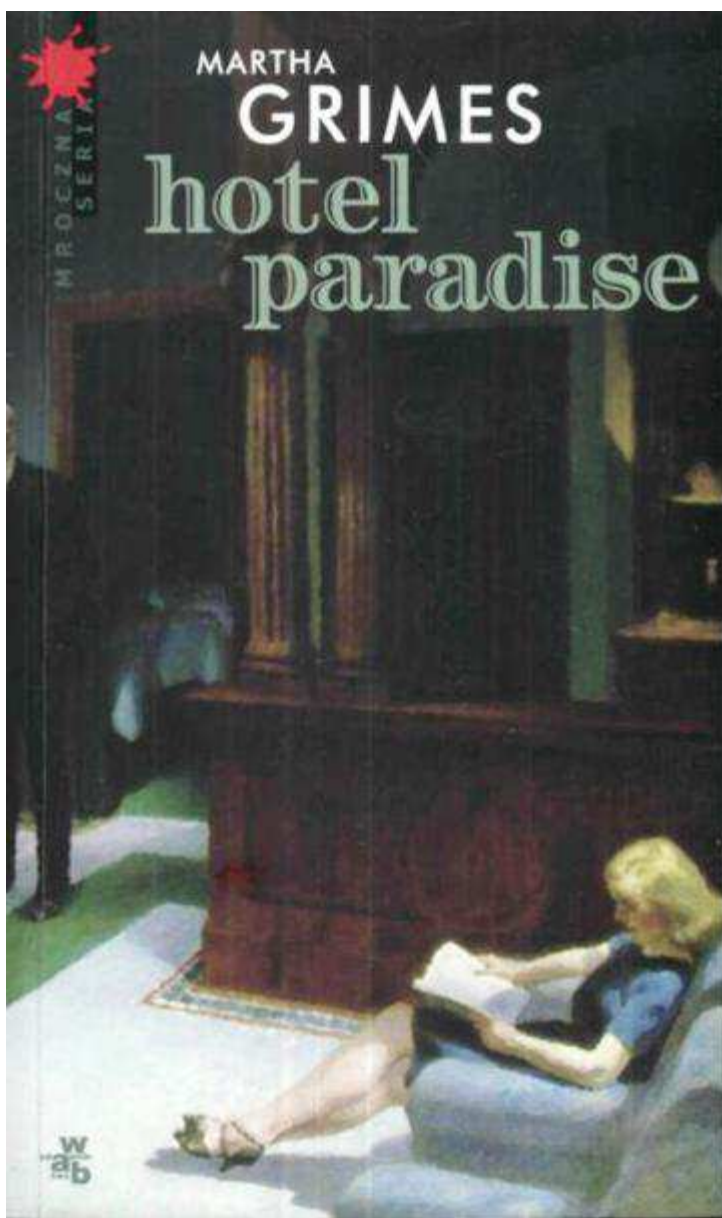


MROČNA
SERIA

MARTHA
GRIMES
hotel
paradise





MRO CZNA
SERIA



Samotne jezioro, zarośnięte
liliami wodnymi; niegdyś modny,
obecnie podupadły kurort;
opuszczony, tajemniczy dom;
zmarła przed czterdziestu laty
dziewczynka.
Zafascynowana tą śmiercią
dwunastoletnia Emma Graham
użyje wszelkich
możliwych podstępów,
by dowiedzieć się o niej wszystkiego.
Pasje młodego detektywa
podsyci jeszcze nowe morderstwo...
Z czułą zadumą
i przewrotnym poczuciem humoru
Grimes maluje świat
małomiasteczkowej Ameryki
– krajinę zapomnianych hoteli,
piaszczystych dróg donikąd,
zdziwaczałych staruszek
mieszkających na strychu;
krajinę, w której wciąż
kryje się wiele niespodzianek.



MARTHA

GRIMES
hotel
paradise

przełożyła
BARBARA KOPEĆ-UMIASTOWSKA

Tytuł oryginału: *Hotel Paradise*

Copyright © 1996 by Martha Grimes

By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc., 551 Fifth Avenue,
Suite 1613, New York, NY 101764)187 USA.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Wydanie I

Warszawa 2006

Z wyrazami wdzięczności dla Sheroda Santosa za zgodę
na przedruk fragmentu jego wiersza, *Elegy for My Sister*,
pierwotnie opublikowanego w „The New Yorker” 4 września 1995.

Redakcja: Magdalena Petryńska Korekta: Elżbieta Jaroszuk, Jadwiga
Przeczek

Projekt graficzny serii: Marek Goebel Na I stronie okładki wykorzystano
obraz olejny Edwarda Hoppera

Hotel Lobby, 1943 © Indianapolis Museum of Art, USA,

William Ray Adams Memorial Collection/The Bridgeman Art Library

Fotografia autorki © Peter Peitsch/peitschphoto.com

Wydawnictwo W.A.B.

02-502 Warszawa, Łowicka 31

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne

Piaseczno, Żółkiewskiego 7

Druk i oprawa: Opolgraf S.A. Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

ISBN 83-7414-216-2 97833-7414-2163

*Pamięci June D. Grimes i Lillian F.
Davis
oraz, oczywiście,
dla Willa, Milla i Waltera*

Mam uczucie (zapewne fatalnie skażone
wiedzą, że gdyby tutaj była, sam jej wygląd
stawiłby opór próbom mych opisów),
że wszystko, nawet wtedy, już przypadło.
W Pałacu Nigdzie. W Hotelu Marzenie.

Sherod Santos, *Elegia dla mojej siostry*

1.

Dzisiaj jest wietrzny dzień. Wichura przygniata, powietrze ma ciężar żelaza. Idąc pod wieczór pół mili do jeziora, z trudem przedzierałam się pod wiatr, który kładł się na mnie niczym warstwa śniegu.

Już od godziny siedzę na omszałym murku, lecz dotąd nie udało mi się zobaczyć domu panien Devereau ani dostrzec, czy pali się tam światło. Na wiosnę las robi się gęsty i skrywa brzeg jeziora jak plama atramentu na stronicy, którą właśnie czytam. Bo tym razem wzięłam ze sobą książkę; postanowiłam czekać, choć nie sądzę, żeby on wrócił.

Zastanawiałam się ostatnio, czy pewne zagadki w ogóle da się rozwiązać - rozwiązać tak, żeby mieć absolutną pewność. Mniej więcej wiem, co się zdarzyło przy moście White'a, znam też odpowiedzi na wiele pytań, lecz te odpowiedzi wydobywają z cienia kolejne pytania - takie, które przedtem nigdy by mi nie przyszły do głowy.

Chyba się domyślam, jak zginęła Fern i kto ją zabił. Ale właściwie nie wiem dlaczego, mogę tylko zgadywać. Lecz choćbym była tego absolutnie pewna, i tak nie poszłabym na policję, nawet do szeryfa. Są rzeczy ważniejsze niż prawo; nie na darmo obejrzałam wszystkie stare westerny z Clintem Eastwoodem. Clint nie zawsze ściga złoczyńcę aż po grób, nie wtedy, kiedy ma powód, by go puścić wolno - powód ważniejszy niż tuzin prawomyślnych przyczyn, by go aresztować. Można to nazwać kowbojską sprawiedliwością.

Czasem słyszę, jak ludzie mówią: „To sprawa między mną a moim sumieniem”. Moim zdaniem słuchanie sumienia jest okropnie ryzykowne. Sumienie bywa nieszczerne - sądzę, że Clint by się ze mną zgodził.

Tak czy inaczej, nic szeryfowi nie powiem. Tę decyzję podjęłam dziś rano i strasznie mi z nią ciężko. Ostatnie dwa tygodnie nauczyły mnie jednego: wybór, który wydawał mi się trudny, naprawdę okazał się trudny, a sprawy, które uznałam za przykre i bolesne, faktycznie są przykre i bolesne.

Pewnie myślicie, że niewiele się dowiedziałam, ale ja sądzę, że to jednak sporo.

2.

Moja matka nie pochodzi z Paradise'ów - to jej dziadek (a mój pradziadek) wzenił się w rodzinę hotelarzy. Ciotecznej babce Paradise bardzo doskwiera świadomość, że Hotel Paradise nie należy do niej w stu procentach. A wszystko przez to, że kiedyś, dawno temu, mój cioteczny dziadek tak się wściekł na rodzinę Paradise'ów, że spisał niezwykle pokrętny testament, przekazując zarząd nad hotelem mojemu ojcu, po jego śmierci zaś - mojej matce. Nie chcę przez to powiedzieć, że matka jest właścicielką tej budy. To okropnie zawile, co jest czyją własnością według prawa, i zawsze takie było. Moja przyjaciółka Maud Chadwick powiada, że należy dziękować Bogu, iż nikt nigdy nie poszedł z tą sprawą do sądu, bo fabuła *Samotni* Dickensa byłaby przy niej prosta jak mandat za parkowanie.

Oczywiście, cioteczna babka Aurora twierdzi, że Hotel Paradise należy do niej, chociaż liczy sobie ona dziewięćdziesiąt jeden lat i „kieruje” nim tylko nominalnie. Nigdy nie opuszcza swoich pokoiów na trzecim piętrze, gdzie pije, gra w karty i bez przerwy narzeka na wszystko, co robią inni.

Cała robota przy prowadzeniu hotelu spada na moją matkę, a teraz jeszcze na współniczkę matki, Lolę Davidow.

Lola Davidow, która pojawiła się wśród nas dopiero pięć lat temu, uważa, że trzeba zmienić nazwę Hotel Paradise na Hotel Spirit Lake. Ma to pewien sens, bo z wyjątkiem Aurory wszyscy Paradise'owie już dawno się stąd wynieśli; lecz kiedy cioteczna babka dowiedziała się o pomysłe Loli, podniosła straszny raban, aż przeraziliśmy się, że zaraz zejdzie na dół. Dopiero moja matka, znacznie lepsza dyplomatką niż pani Davidow, zdołała udobruchać cioteczną babkę, piekąc dla niej swój anielski placek, słynny w całej okolicy. Lola potrafi tylko narzekać, że to nie pieniądze Paradise'ów utrzymują hotel (święta prawda), że dżin i whisky leją się strumieniami (też prawda) i że żyjemy wyłącznie dzięki „naszej harówce w pocie czoła” (prawda częściowa, bo matka rzeczywiście haruje, ale czoło Loli pozostaje całkiem suche).

Ja za to nader często ocieram pot z czoła, pracując przez siedem dni w tygodniu przy obsłudze stołów w jadalni i musząc w dodatku znosić Lolę Davidow i jej wstrętą córkę, dlatego wiem, jakie to uczucie. Trud w pocie czoła i stawianie czoła to chyba rzeczy, które przechodzą z pokolenia na pokolenie. Tyle że nie ma nikogo, komu mogłabym stawiać czoło, bo jako dwunastolatka jestem najmłodsza w rodzinie.

Hotel Paradise to właściwie letni pensjonat, położony w dziesięcioakrowym lesie. Choć trochę podupadły, nie robi wrażenia ruiny (aczkolwiek miejscowa straż pożarna jest odmiennego zdania) - matka szyje zbyt ładne narzuty i zasłony, aby mógł całkowicie zejść na psy. Pełno tu pięknych starych mebli i ogromnych kominków, których płomienie w zimowe dni malują misterne wzory na śliskich rypсовych obiciach i pozłacanych ramach luster. Nie ma nic wspanialszego nad te popołudnia, gdy potoki słońca wlewają się ukosem przez wysokie okna holu i różowe szyby pokoju muzycznego, zamieniając klawisze pianina w blade złoto.

Hotel stoi nie w większym La Porte, lecz w odległym o dwie mile miasteczku Spirit Lake. Pięć tysięcy stóp nad

poziomem morza lata są ciepłe, suche i jasne, a zimy jasne, suche i mroźne. Mnóstwo tu słońca i mnóstwo śniegu - bardzo lubię jego zapach, a od października do marca powietrze w Spirit Lake zawsze trochę pachnie śniegiem. Zimowe niebo ma barwę macicy perłowej, a światło migoce i zanika, płochliwe jak błyski słońca na podwodnych kamieniach.

Nasza „rodzina” (obie Davidow jako wspólniczki już prawie do niej należą) składa się z mojej matki, ciotecznej babki Paradise, mego brata Willa, Loli Davidow oraz jej córki, okropnej Ree-Jane. No i ze mnie.

Nam dzieciom nie wolno używać zdrobnień „babcia”, „mama”, „mamusia”, „tata” i tak dalej; w naszych związkach rodzinnych obowiązuje pewien oficjalny dystans. Nie chodzi o to, że matka (ojciec już nie żyje) nas nie kocha, ale to miłość w białych rękawiczkach, w muszce i we fraku, która idzie przodem i przytrzymuje drzwi, a nie taka, która się przez nie wdziera. Nie narzekam; powściągane uczucia mają swoje zalety, na przykład nikt człowieka nie szturcha ani na niego nie wrzeszczy. Niemniej to głupie, żebym wciąż miała łamać sobie język na „ciotecznej babce Paradise”, toteż dla mnie (znaczy, w moich myślach) jest ona po prostu Aurorą.

Dawno temu Aurora Paradise przejęła na swój użytek sześć przepastnych pokoi na trzecim piętrze hotelu i tam się urządziła. Według mnie, powinna być zadowolona, mając w zasięgu ręki skrzynkę džinu Gordon's i whisky Johnnie Walker, a także ręczną windę. Windę zainstalowano wieki temu do transportu brudnej pościeli, lecz teraz dostarczamy nią Aurorze posiłki, przygotowane przez moją matkę, najlepszą - co do tego wszyscy są zgodni - kucharkę w całym stanie.

Można by pomyśleć, że Aurora żyje sobie spokojnie na diecie, złożonej ze smażonych kurczaków podlewanych dżinem. Nic podobnego! Aurora Paradise najbardziej przypomina czarne ptaszysko, wronę albo kruką, jakie czasem pokazują w książkach, przycupnięte na murach londyńskiej

Tower. Siedzi sobie na samej górze, przekonana, że cień jej ogromnych skrzydeł ogarnia całe nasze dziesięć akrów. Ale ja się nie daję - ja ją rozgryzłam.

Jednak pod względem absolutnej wredności nawet babka Paradise nie może się równać z panną Ree-Jane Davidow. Oczywiście, Ree-Jane wcale nie nazywa się Ree-Jane, tylko Regina Jane. Zawsze sądziłam, że to cudowne imię, szkoda tylko, że ona je nosi. Ale kiedyś Regina Jane Davidow odkryła w jakiejś książce wzmiankę o wielkiej francuskiej aktorce komediowej Réjane i natychmiast zażądała, by tak się do niej zwracano, przestała nawet reagować, kiedy ktoś wołał ją inaczej (ja w ogóle rzadko się do niej odzywam). Nie dość, że musieliśmy ją tak nazywać, to jeszcze kazała nam ćwiczyć francuską wymowę, żeby „Ré” brzmiało gardłowo - „nie tak, tylko z gardła, z g a r d ł a!”, co dawało dźwięk pośredni między „ł” i „r”. Wciąż mnie pouczała - czym niezbyt się przejęłam - jak wymawiać niemożliwe francuskie „rrr”; przebierała palcami po krtani i wydawała krótkie warknięcia, które uwielbiał piesek jednego z gości i nawet próbował się odszczekiwać. Ja tam nigdy nie widziałam aktorki komediowej, ani francuskiej, ani żadnej innej, lecz jedno jest pewne - Regina Jane Davidow na komiczkę słabo się nadaje, bo ma tyle poczucia humoru, co krowa na deszczu.

Mogę się założyć, że teraz Ree-Jane żałuje, iż wpadła na ten pomysł, ale wtedy uważała imię „Réjane” za okropnie eleganckie, stosowne do jej planów życiowych, pasujące do tych wszystkich osób, którymi zamierzała zostać: sławną modelką, młodą Amerykanką mieszkającą w Paryżu, lokatorką zamku na południu Francji, księżniczką Kentu w Anglii. O tę księżniczkę okropnie się z nią pokłóciłam, bo według mnie żona księcia Kentu to księżniczka, ale Ree-Jane, która zawsze wyśmiewa się z mojej niewiedzy, jakby to była najśmieszniejsza rzecz na świecie, oświadczyła (wstrętą snobka), że nie mam pojęcia o tytułach i w tym przypadku mówi się księżna, a w ogóle co książę to książę. Akurat

czytałam książkę o wampirach, więc zapytałam: „Aaa, znaczy jak książkę Drakula?” (ależ się wściekła). A więc do spisu przyszłych wszechświatowych osiągnięć w tej świetlanogównianej przyszłości, o której Ree-Jane nieustannie roi, miała dojść jeszcze rola słynnej komiczki, Jakiejśtam Rójane.

Ale wymyślanie imion bywa niebezpieczne; trzeba uważać, bo można się przypadkiem ocknąć z czymś najgorszym pod słońcem. To właśnie przytrafiło się Ree-Jane. Imię, które sobie wybrała, było tak absolutnie niesłychane, że miejscowa ludność, niekształcona we francuskiej wymowie, uznała, że panna Davidow nazywa się „Rae Jane”, i zaczęła tak do niej mówić. Przyznaję, że nieporozumienie wynikało głównie z mojej winy - nie miałam najmniejszego zamiaru charczuć głoski „r”, więc w rozmowach z mieszkańcami miasta mówiłam o niej po prostu „Ree-Jane”, a oni przerobili „Ree” na swojskie „Rae”. Regina Jane Davidow już nigdy się od niego nie uwolni. Strasznie ją to wścieka. Wścieka ją także, że robię z „Ree-Jane” całe przedstawienie - kiedy ją wołam, zawsze pamiętam, by dodatkowo zaakcentować pierwszą sylabę; moje zawodzenie „Reeeee-Jane! Heeej, Reeeee-Jane!” niesie się po hotelowych salach, jakby właśnie wybuchł pożar i wszyscy musieli natychmiast uciekać. Chętnie by mnie zabiła.

Niestety, durne rojenia Ree-Jane na temat przyszłości znajdują bogatą pożywkę nie tylko w ambicjach jej własnej matki (co zrozumiałe), lecz także i mojej (co już trudniej pojąć). Tego nienawidzę najbardziej - że moja matka każe mi grać drugie skrzypce wobec tych Davidow. Ree-Jane jest ode mnie starsza o cztery lata, akurat tyle, żeby próbować mną rządzić. Jedyna nadzieja w tym, że jeden z tych spisków, których pichcieniem bezustannie zajmuje się Aurora Paradise, ostatecznie usunie Ree-Jane Davidow z mojego życia.

Tylko dwie osoby z rodu Paradise'ów wciąż są wśród żywych. Aurora ma niezamężną siostrę imieniem Alberta,

wypisz wymaluj taką samą jak ona, tylko o dziesięć lat młodszą. Lubię zakradać się na podest drugiego piętra, kiedy Alberta odwiedza apartamenty Aurory, czasem nawet w przypiływie odwagi podchodzę kilka stopni wyżej. Przysiadam w smudze cienia, naciągam spódnicę na kolana i podsłuchuję. Na ogół słyszę jedynie niskie brzęczenie, jakby pszczoły krążyły wokół ula, lecz potem nagle wybucha śmiech, skrzeczący i bezradosny, który znów przechodzi w brzęczenie, a głuchy hurgot ręcznej windy, ciągnącej ku niebu porcje kurczaka na lunch (wyłącznie białe mięso), dostarcza tym odgłosom upiornego tła. Prawdę mówiąc, gdy Aurora i Alberta się spotykają, ręczna winda jest w ciągłym ruchu. Lola Davidow, zmuszona raz po raz słać na górę kanapki, miseczki oliwek oraz (kiedy na trzecim piętrze zapamiętuje posucha) dzbanki martini, nie ma prawie czasu na przerwę koktajlową, którą zwykle urządza sobie w kantorku na tyłach. Nieszczęśnicy, którzy ulegają złudzeniu, że prowadzimy hotel, i szukają u nas pokoju, mają za swoje, kiedy trafią na Lolę po czwartym drinku - wtedy bowiem ostatecznie nabiera mocy jej przekonanie, że budynek to warowna twierdza, i biada intruzom, którzy zdołają pokonać fosę.

Muszę jednak przyznać, że sporadyczne zaproszenia na koktajle do Aurory wystawiają Loli dobre świadectwo. Pewnie mogłabym złośliwie dodać, że zapraszana jest tylko wtedy, gdy Aurorze kończy się zapas džinu Gordon's albo Johnnie Walkera, ale nie jestem tego absolutnie pewna. Od czasu do czasu Lola miewa w sobie coś ujmującego, pewną niefrasobliwość, co stanowi ożywcze wytchnienie w kieracie beznadziejnej rutyny, w którym tkwi moja matka. Nie chcę przez to powiedzieć, że w porównaniu z Lolą matka źle wypada - dobry Boże, nic podobnego! Bez jej kieratu i rutyny cały interes by się zawalił, zupełnie jak te schody przeciwpożarowe na trzecim piętrze, nieustannie grożące katastrofą.

Na schody przeciwpożarowe wychodzi jeden z pokoiów Aurory, która używa ich jako balkonu. Okupują je czasami z Lolą Davidow, niekiedy w towarzystwie naszej sześćdziesięcioletniej

recepjonistki Marge Byrd. Marge lubi trzymać pod biurkiem piersiówkę, z której pociąga, kiedy ruch się zwiększa albo zmniejsza. A więc siedzą we trzy na składanych krzeselkach, pijane jak bele, i wrzaskiem witają zbliżających się podjazdem gości. Matka oczywiście protestuje, gdyż jej zdaniem to wstyd i zgorszenie, a Lola dzielnie jej wtóruje - to znaczy, jeśli sama akurat nie siedzi na górze z Aurorą i Marge Byrd. W takich razach matka wychodzi na werandę, a potem na podjazd, po czym rozgląda się uważnie, osłaniając dłonią oczy. Wreszcie dostrzega na górze Lolę i wzywa ją do jakiegoś pilnego kuchennego zajęcia, prawdziwego bądź wymyślonego. To jasne - chce podkreślić, że gdy one się bawią, ona ciężko pracuje, i prawdę mówiąc, trudno jej się dziwić.

Tak więc Aurora wciąż gra rolę szefowej; podejrzewam także, iż odwiedziny Alberty są traktowane jak zebrania zarządu, gdyż ona również ma jakiś udział w interesie. Kiedy się pojawia (jak zwykle bez zapowiedzi) kilka razy do roku, Aurora nareszcie może się pokazać na schodach przeciwpożarowych z rodziną. Ach, jakież są ładne, w lawendowych sukniach z kołnierzykami z angielskiej koronki i w pantoflach z klamerkami, i jak wdzięcznie machają do nas z góry!

Lola Davidow narzeka wtedy na hałasy (pewnie dlatego, że nie została zaproszona) i każe nam dzwonić po szeryfa. To oczywiście żart, ale czasem chciałabym, żeby ktoś tak zrobił; w ten sposób mogłabym choć trochę zbliżyć się do szeryfa z La Porte, a to dla mnie czysta przyjemność.

3.

Szeryf okręgowy to naprawdę jasny punkt w moim życiu. Nazywa się Sam DeGheyn i wszyscy mówią do niego Sam, tylko ja nie mogę się jakoś na to zdobyć i nawet w zaciszu własnego umysłu nazywam go szeryfem. Ponieważ wykonuje

ważną pracę - pilnuje porządku, a kiedy trzeba, ściga przestępców - za nic nie chce zawracać mu głowy, wałęsając się koło gmachu sądu i utrudniając wykonywanie obowiązków. Przeciwnie, pomagam mu, jak umiem, na przykład obserwuję czerwone chorągiewki parkomatów i sprawdzam, kto parkuje tam, gdzie nie powinien, na przykład blokuje wyjazd z posesji albo rampę przeładunkową.

Rozglądałam się za nielegalnie parkującymi, żeby mieć co zameldować szeryfowi. Bywało, że z radością powitałabym jakąś okropną zbrodnię w samym Hotelu Paradise - może strzelaninę, podczas której Ree-Jane, stojąca w tłumie gapiów na werandzie, oberwałaby serią z pistoletu maszynowego? Wtedy wezwanie szeryfa byłoby uzasadnione, ale to się raczej nie zdarzy.

Jedyny raz, kiedy naprawdę mogłam poprosić policję o pomoc, nie zrobiłam tego - na dwa dni zostałam wówczas sama w Hotelu Paradise, bo wszyscy pojechali odwiedzić bezcenną Reginę Jane Davidow do koleżanki. Mój brat Will już wcześniej wyjechał do swego przyjaciela Brownmillera Conroya, inaczej jego by też zostawili.

Byłam sama, rzecz jasna, nie licząc Aurory Paradise, chociaż jakoś nie przypuszczam, żeby przybiegła na ratunek, gdyby zjawił się morderca z siekierą. Wyobraźcie sobie - dwunastoletnia dziewczynka, sama w dziewięćdziesięciośmiopokojowym hotelu wśród głuchej i mroźnej zimy. Wyobraźcie sobie te wszystkie przypadkowe dźwięki - skrzypienia, szurania, kroki, dochodzące z lasu wycie, pohukiwanie sowy, świst wiatru, pisk nietoperzy i temu podobne! A przecież niewiele sobie z tego robiłam; to znaczy, oczywiście, bałam się, ale uznałam, że taki już mój los. Posyłałam na górę jedzenie oraz whisky, używając ręcznej windy, a ponieważ zabroniono mi niepokoić Aurorę, która nienawidzi gości, po dostarczeniu posiłku szłam na górę i siadałam jak najbliżej trzeciego piętra, po prostu żeby czuć w pobliżu czyjąś obecność.

Nie wiem, jak dowiedział się o tym szeryf DeGheyn, ale się dowiedział. Kiedy jednak ze szczerą troską mnie o to zagadnął, odparłam nonszalancko, że, och, ktoś przecież musi zajmować się hotelem. Pokręcił głową, wspomniał coś o odwadze i tak dalej, więc zrobiło mi się bardzo przyjemnie, mimo to nie potrafiłam odnieść tej uwagi do własnej osoby - osoby, która trzęsa się ze strachu na schodach trzeciego piętra. Szeryf dodał, że gdyby znał wcześniej sytuację, chętnie popilnowałby terenu, a może nawet wpadłby do mnie na colę lub kawę, więc jeśli to się kiedykolwiek powtórzy... tu urwał i twarz mu stężała, a ja już wiedziałam, że to się raczej nie powtórzy.

Wkrótce potem matka zapytała mnie, czy mówiłam Samowi DeGheynowi, że zostałam sama, ja zaś zgodnie z prawdą odparłam, że nie, skądże. Ściągnięte twarze matki i Loli Davidow powiedziały mi jednak, że zrobił komuś piekielną awanturę. Warto było przez kilka dni znosić straszliwe humory pani Davidow, by tego doczekać! (Szeryf to jedyna osoba w okolicy, która może bezkarnie na nią narzeczść).

Byłam wstrząśnięta, że w ogóle ktoś, zwłaszcza szeryf, tak się o mnie troszczy; nie jestem przyzwyczajona, żeby się za mną ujmowano. Nie chodzi o to, że matka się nie przejmie, jeśli naprawdę coś się ze mną stanie, jeśli zachoruję lub będę miała wypadek - jednakże myśl, że trzeba wpaść pod koła pociągu albo dostać tyfusu, aby kogokolwiek to obeszło, naprawdę nie jest szczególnie przyjemna. W każdym razie dzięki postawie szeryfa samotny pobyt w hotelu stał się czymś, co chętnie bym powtórzyła, zaczęłam nawet marzyć, żeby wszyscy znowu się gdzieś wynieśli. Prawdę mówiąc, gotowa byłabym przez tydzień błądzić po transylwańskim lesie z samym księciem Drakulą, gdyby to miało obudzić w szeryfie opiekuńcze uczucia.

Szeryf uwielbia żurawinową gumę do żucia, toteż zawsze mam przy sobie zapas, na wszelki wypadek. I wciąż mu się kończy ta guma, co mnie trochę dziwi, bo ma raczej dobrą pamięć, i wcale nie jest roztargniony. Więc kiedy zaczyna

grzebać w kieszeniach i łagodnie przeklinać, że znów zostawił gumę w biurku, ja od niechcienia wyciągam opakowanie i twarz szeryfa rozjaśnia się w najpromienniejszym uśmiechu pod słońcem. Zawsze mu mówię, żeby wziął jeszcze jedną na potem.

A więc idziemy sobie chodnikiem, szeryf z bloczkiem mandatów, ja ze swoimi wiadomościami o nielegalnie lub nieprawidłowo zaparkowanych samochodach. Aż strach, jak bezwstydnie ludzie korzystają z tymczasowych miejsc postojowych i parkingu biblioteki w La Porte.

Podczas naszych patroli zazwyczaj przyjaźnie milczymy. Uwielbiam milczenie; nie znoszę paplania. Nasze milczenie oznacza: nie musimy zabawiać się nawzajem, dobrze nam tak jak jest.

Zauważyłam, że podobnie czuję się w kinie. Oczywiście, film na ekranie dostarcza hurtowej rozrywki, to prawda. A jednak... a jednak... Lubię się rozglądać po tonącej w półmroku widowni, wpatrywać w ledwie widoczne profile, zarysy policzków, uśmiechnięte lub wykrzywione wargi. Widzieć wszystkie uczucia. Wydaje mi się, że mam przed sobą dziecięce twarzyczki, małe buzie, wychylone ku ekranowi, usta miarowo żujące popkorn lub sączące przez słomkę pepsi albo colę. Ludzie wyglądają tak niewinnie, kiedy nie czują, że ktoś ich obserwuje. Możliwe, że to skutek urzeczenia, wyciszenia, wspólnego działania wielu umysłów, setek oczu patrzących na to samo, pragnących tego samego („Nie, nie! Nie wchodzić do tego pokoju - on tam na ciebie czeka, nie-szczęсна dziewczyno...”).

A zatem wędrujemy w kinowym milczeniu. Szeryf jest wyjątkowy również dlatego, że nigdy nie zadaje pytań tylko po to, by zapełnić pustkę. Banaly takie jak: „Co tam słychać w hotelu?” albo „Jak się czuje mama?”, po prostu nie przechodzą mu przez usta. Przypuszczam, że doskonale zdaje sobie sprawę, że gdyby hotel się zawalił, przygniatając wszystkich gości, gdyby mama opaliła sobie brwi płonącym tłuszczem lub gdyby dłoń Loli Davidow uwięzła w słoju

cebulek koktajlowych, na pewno coś bym o tym bąknęła. Nie - kiedy szeryf zadaje pytanie lub robi jakąś uwagę, to zawsze to coś znaczy. A ponieważ nie sposób bez przerwy prowadzić „znaczących” rozmów, bywa, że milczymy.

Podczas jednej z takich przechadzek szeryf zapytał mnie, czy Regina Jane Davidow naprawdę dostała ten nowy samochód, który Lola obiecała jej na szesnaste urodziny.

- Tak - mruknęłam ponuro do jego pleców, bo właśnie przyklęknął, żeby sprawdzić, czy błotnik volkswagena panny Ruth La Porte nie jest zardzewiały. Panna Ruth nie ma pojęcia o samochodach, więc Sam dogląda jej garbusa.

- Biały kabriolet?

Jeszcze ponurzej powiedziałam, że owszem. Pomyśleć tylko - nie dość, że Ree-Jane umie prowadzić, to jeszcze ma własny samochód, i do tego kabriolet! Rozbija się po całym mieście, żeby się popisać, ale ja na razie nie zostałam zaproszona na przejażdżkę.

Szeryf wyprostował się, wrzucił do parkomatu pięciocentówkę (czerwona strzałka aż się rwała, żeby opaść), po czym odwrócił się w moją stronę:

- Coś ci powiem, a ty zrobisz z tym, co zechcesz. Znasz El Lobo, tę knajpę za Hebrides?

Zmarszczyłam czoło.

- Chyba tak.

Ruszyliśmy dalej.

- Już dwa razy widziałem na tamtejszym parkingu nowiotki biały Chevrolet z otwartym dachem, jeszcze z nalepką sprzedawcy na bocznej szybie.

Jasne, że to samochód Ree-Jane! To cudownie, że podpadła szeryfowi - jest przekonana, że on ją adoruje, chociaż nigdy nie zauważyłam najmniejszych tego oznak! Patrzyłam, jak szeryf stanowczym ruchem zamyka bloczek mandatowy i wpycha go do tylnej kieszeni spodni. Wcale nie wyglądał na wielbiciela panny Davidow.

- Dzieci absolutnie nie mają tam wstępu...

D z i e c i ! Nazwał dzieckiem przyszlą księżną Kentu! Nie mogłam się doczekać, żeby jej to powtórzyć.

- ...i w ogóle nikt poniżej dwudziestego pierwszego roku życia. - Spojrzał na mnie surowo. - Tym razem nie wyciągnąłem jej stamtąd za kołnierz, choć może powinienem, ale jeśli jeszcze raz ją tam zobaczę, to ją zgarnę. Mówię ci o tym, bo może będziesz chciała ją ostrzec. Albo i nie. - Lekko wzruszył ramionami. Patrzył na mnie wymownie, choć nie bardzo wiedziałam, co chce mi przekazać.

Cudownie! Jak cudownie jest wejść w posiadanie takiego kaska na wagę złota, ostrzeżenia, którym mogłam ją dręczyć! Oczywiście, udałam obojętność, powiedziałam tylko:

- Hmm... zobaczę, co się da zrobić.

Lecz idąc chodnikiem, już wyobrażałam sobie, jak od niechcienia rzucam Ree-Jane uwagę, że szeryf zamierza ją „zgarnąć”, jak zagajam, na przykład: „A tak przy okazji, dziś rano rozmawiałam z szeryfem...”, albo: „Szeryf DeGheyn mówił coś o białym kabriolecie...” i tak dalej. I koniecznie w pewnej chwili wspomnę, że „dzieci nie mają wstępu do El Lobo”.

Naturalnie, przyszło mi do głowy, że szeryf mógł bez trudu ostrzec Ree-Jane osobiście, tym bardziej że ta korzysta z każdej okazji, by posadzić tyłek na jego biurku, przynajmniej od chwili, gdy zastępca szeryfa, Donny, zaczął jej wystawiać mandaty za przekraczanie prędkości. Rozsiada się na biurku szeryfa, jak nie przymierzając Lauren Bacall, i usiłuje udawać seksbombę.

Ciekawa jestem, czemu szeryf tego nie zrobił. Pewnie nie chciał jej robić wstydu; to naprawdę miły człowiek.

4.

Z hotelu nad Jezioro Duchów jest około pół mili i często tam chodzę; poza mną nikt nad nim nie bywa z wyjątkiem

meo brata Willa. Lubię czasem przysiąc na murku przy źródle, nawet bez specjalnego celu, takiego jak dziś wieczór. Wszystko strasznie zarosło, trawa, chwasty i drzewa wtargnęły na zaniedbaną polną drogę nad brzegiem i powoli okrążenie jeziora staje się niemożliwe, nawet na piechotę. Ale nadal jest tu bardzo pięknie, przynajmniej moim zdaniem, a część tej urody bierze się właśnie z zarośnięcia i rozrośnięcia, z dzikości.

Najważniejszą, a może najstraszniejszą rzeczą dotyczącą Jeziora Duchów jest to, że czterdzieści lat temu utopiła się w nim pewna dziewczynka. Miała dwanaście lat, tyle co ja, i nikt nie wie dokładnie, jak to się stało. Powiadają, że wypłynęła łódką, która z jakiegoś powodu zatonięła i poszła na dno. Rzeczywiście, pewnej księżycowej nocy widziano na środku jeziora dryfującą łódź, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi, uznano, że pewnie zerwała się z przystani. A potem znaleziono dziewczynkę. Nikt wcześniej nie zgłosił jej zaginięcia, dopiero rano rodzina zawiadomiła policję.

Jezioro Duchów jest małe i częściowo zarośnięte przez gęste nenufary oraz wysokie, rozwichrzone trzciny, w które zaplątało się ciało. Jezioro zawsze robiło tajemnicze wrażenie, tak mi się zdaje, a przez to niewyjaśnione utonięcie zrobiło się jeszcze bardziej niesamowite. Nikt, ani wtedy, ani później, nie umiał wyjaśnić, dlaczego dziewczynka w ogóle wsiadła do łódki, zwłaszcza w nocy, gdyż jej krewne twierdziły, że zawsze trochę bała się wody.

Mieszkała z trzema ciotkami w jedynym domu stojącym nad jeziorem, samotnym, wielkim i szarym. Nie było tam ojca ani matki, tylko ciotki, trzy siostry, bardzo do siebie podobne - jednakże dziewczynka nie przypominała żadnej z nich. Nazywały się Devereau, a ona miała na imię Mary-Evelyn. Mary-Evelyn Devereau.

Wiem to wszystko, bo interesowałam się tą sprawą. Poza tym moja matka w młodości znała Mary-Evelyn, choć była od niej starsza, miała wtedy około szesnastu lat. Widziała też, jak Mary-Evelyn umarła, znaczy, nie jako naoczny świadek,

ale stała w tłumie gapiów, którzy zgromadzili się nad jeziorem, gdy policja prowadziła poszukiwania, i patrzyła, jak wyciągano ciało spomiędzy przybrzeżnych trzciny i nenufarów. Mary-Evelyn była ubrana w białą, niemal odświętną sukienkę, ze spódnicą ozdobioną rzędami falbanek i stanikiem haftowanym od góry do dołu w niebieskie jedwabne kwiatuszki. Matka, sama niezła krawcowa, zwraca uwagę na takie detale.

Matka знаła tę rodzinę, gdyż bywali w hotelu jako goście. Działo się to w czasach, kiedy Paradise'owie wciąż jeszcze grasowali na dole - czterdzieści lat temu cioteczna babka Aurora zapewne dopiero się rozkręcała - a panny Devereau wpadały co jakiś czas na lunch, chociaż jedzenie nie było wówczas tak dobre jak teraz, bo matka jeszcze nie zajmowała się gotowaniem. Matka słynie ze swej kuchni; zawsze żałowałam, że nie miała możliwości pojechać do Paryża i zobaczyć w miejscu, gdzie warto być sławną. No i podczas jednej takiej wizyty - chyba było to przyjęcie urodzinowe - ktoś zrobił zdjęcie pannom Devereau i matka je zachowała. Dlatego wiem, jak wyglądały ciotki Mary-Evelyn oraz ona sama tuż przed utonięciem. Odbitkę trzymam w pudełku po czekoladkach Whitman's, z innymi cennymi przedmiotami. Matka nie wie, że ją sobie wzięłam, kiedy pokazywała mi swoje fotografie, ale nie sądzę, by się tym przejęła.

Lubię siedzieć w Różowym Słoniu (pomieszczenie piwniczne pod jadalnią) i unioślszy głowę znad notesu, patrzeć na ruchome cienie na różowym tynku; widzę ciemny zarys łódki wolno obracający się w płamie księżycowego światła oraz ciało Mary-Evelyn kołyszące się wśród nenufarów, lekko poruszane prądem, tym samym, który znosi łódkę na środku jeziora.

Widzę tę scenę jak żywą i zbiera mi się na płacz; to chyba najsmutniejsza historia, jaką w życiu słyszałam. Myślę, że Mary-Evelyn musiała być najnieszczęśliwszą dziewczynką, jaka kiedykolwiek mieszkała nad Jeziorem Duchów. Do

niedawna tylko podejrzewałam, że tak było, ale teraz wiem to na pewno.

Wyjmuję fotografię, wpatruję się w nią i rozmyślam o Mary-Evelyn Devereau. Jej śmierć przez dłuższy czas była dla mnie zagadką - nie pojmuję, dlaczego wówczas nikt się nie dziwił. Zrobiłam nawet krótki spis pytań, który trzymam w pudełku po czekoladkach i uzupełniam co jakiś czas:

Dlaczego Mary-Evelyn wyszła w nocy z domu?

Dlaczego w nocy znalazła się w łódce?

Dlaczego włożyła najlepszą sukienkę?

Dlaczego jej zaginięcie zgłoszono dopiero rano?

Dlaczego ciało znaleziono tak daleko od łódki?

Policja w owych czasach naprawdę musiała być głupia, bo nigdy nie próbowała tego poskładać do kupy. Owszem, zadali oczywiście pytanie: Co robiła w łódce w środku nocy? Ale przecież to pytanie zadawali sobie wszyscy. Wielka szkoda, że nie było tu wtedy naszego szeryfa Sama DeGheyne - on na pewno umiałby wyjaśnić tajemnicę śmierci Mary-Evelyn.

Co piątek pani Davidow robi w La Porte zakupy na weekend i zabiera mnie ze sobą. Zazwyczaj bywa w mieście dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i piątki, i tak się utarło, że w piątki mogę z nią jeździć. Ciekawa rzecz: chociaż przez większość czasu pani Davidow leży jak kłoda na mojej drodze i zatruwa mi życie, istnieją maleńkie oazy miłego nastroju, kiedy świetnie się dogadujemy - znacznie lepiej niż ona i Ree-Jane, co chyba sprawia jej przykrość. Jedziemy więc do miasta, pękając ze śmiechu, a to z powodu jakiegoś wariata z La Porte, a to wyczynów gości hotelowych, po czym ona z długim spisem udaje się po zakupy spożywcze, ja zaś idę załatwiać swoje sprawy.

Moje sprawy zawsze mają związek z szeryfem. Czasem siedzę w jego biurze w magistracie, paplając o tym i owym, kiedy indziej znów idziemy do Café Tęcza na kawę i wodę sodową. Ale najczęściej po prostu chodzimy po mieście, przy czym ja przeważnie mówię, a szeryf przeważnie słucha. No i

przez dłuższy czas mówiłam głównie o Mary-Evelyn Devereau.

Oczywiście zadałam mu pytanie o sukienkę, o odległość ciała od łódki i o pozostałe rzeczy. Szczegóły odkrycia zwłok oraz późniejszego śledztwa (jeżeli można je tak nazwać) poznałam zresztą wcale nie z opowieści matki - większości dowiedziałam się, przeszukując archiwa w redakcji gazety „Konserwatysta”. Jej redaktor naczelny, pan Gumbel, bardzo się zdziwił, że osóbką w moim wieku przejawia zainteresowanie zgonem sprzed niemal pół wieku, i wygłosił kilka nieświeżych dowcipów o dziennikarstwie śledczym. Nie, odparłam stanowczo, nie zamierzam zostać dziennikarką i pracować w „Konserwatyście”; to Regina Jane Davidow (oświadczyłam) pragnie zostać reporterką - twierdzi, że będzie korespondentką wojenną „New York Timesa” albo innej nadzwyczajnej gazety. Naturalnie, wspomniałam o Ree-Jane, żeby zobaczyć, jak zareaguje pan Gumbel, bo kiedyś Ree-Jane napisała jakąś duperelę i pan Gumbel przyjął ją do druku - przyjął, dodam, bo pewnego wieczora Lola Davidow upiła go (i siebie) i wymusiła na nim zgodę. Cóż, „artykuł” nie zajął wiele miejsca, upchnięty na ostatniej stronie wśród ogłoszeń sklepu z karmą dla bydła i tym podobnych informacji - toteż jeśli ktokolwiek zna literackie możliwości Ree-Jane, to właśnie pan Gumbel! Więc kiedy mu powiedziałam, że Ree-Jane chce zostać korespondentką wojenną, sarknęła tylko i oświadczył, że Ree-Jane może korespondować co najwyżej z Hebrides.

Niemniej był bardzo pomocny, gdyż pokazał mi, gdzie szukać doniesień o śmierci Mary-Evelyn. Sam mgliście pamiętał to zdarzenie, był wówczas w wieku mojej matki. Największy artykuł, jaki znalazłam, ze zdjęciem Mary-Evelyn na początku, miał trzy szpalty długości, jednak nie wyczytałam w nim nic ponad to, co już wiedziałam. Reporter szczegółowo rozpisywał się na temat Jeziora Duchów oraz budynku przystani, domyśliłam się więc, że po prostu wyrabiał wierszówkę (dziennikarze „Konserwatysty” nigdy nie słyneśli

z oryginalności). Zdjęcie przedstawiało ładną i bardzo smutną dziewczynkę o jedwabistych włosach, ubraną w przesliczną sukienkę. Kusilo mnie, by podwędzić tę relację i dołączyć do moich skarbów, rozejrzałam się nawet, czy nikt nie patrzy (nie patrzył, bo nikogo nie było w pobliżu - pewnie mieli co innego do roboty niż mnie pilnować). Ale skoro okazano mi życzliwość, postanowiłam nie podkradać reportażu; wiedziałam, że pana Gumbela wprost zżera ciekawość, dlaczego tak zachłannie zajmuję się tą sprawą.

Wiem, że szeryf także się nad tym zastanawia, ale on przynajmniej wierzy, że mam po temu ważne powody. Poza tym zawsze poświęca moim pytaniom wiele namysłu. W piątki, kiedy sprawdzamy parkomaty na Drugiej ulicy, opowiadam mu o Mary-Evelyn. Zdejmuje swoją czapkę z daszkiem, ociera czoło przedramieniem, po czym ponownie ją nakłada, nie przestając przy tym żuć żurawinowej gumy, którą go częstuję. Ma najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziałam, jak wypalona w piecu błękitna glazura. „Faktycznie, to możliwe” - powiada, komentując jakąś moją uwagę o Mary-Evelyn. Mówi tak, po czym wyciąga notatnik na spiralce i zapisuje to dla pamięci.

Tego konkretnego piątku jak zwykle szliśmy powoli ulicą, gdy wtem dostrzegłam, że w naszą stronę - to znaczy, chcę powiedzieć, w stronę szeryfa - pruje doktorowa Helene Baum. Helene Baum jest najgorszą żoną w La Porte. Zawsze narzeka na kogoś lub na coś - na człowieka, na kota, na psa, na ławkę na przystanku autobusowym; teraz też pewnie zobaczyła mandat, który wsadziliśmy jej za wycieraczkę. Szeryf wziął mnie za ramię i skierował na drugą stronę ulicy, aby tam kontynuować patrol.

Helene Baum również przeszła przez ulicę, ale na szczęście tłum ludzi robiących piątkowe zakupy zasłonił nas przed jej wzrokiem. Szeryf znów chwycił mnie za rękę i pośpiesznie wciągnął w najbliższe drzwi, które przypadkiem prowadziły do naszego ulubionego lokalu Café Tęcza.

Właścicielką Café Tęcza jest kobieta znana jako Shirl, która słynie w całej okolicy ze złego traktowania gości. Podobnie jak Lola Davidow Shirl najwyraźniej sądzi, że jej interes to prywatna rezydencja, w której klienci są tylko intruzami. Naturalnie Shirl i pani Davidow nienawidzą się serdecznie, zwłaszcza odkąd Shirl bezczelnie ukradła przepis mojej matki na anielski placek i handluje nim na prawo i lewo. Marzę, by kiedyś zobaczyć, jak pani Davidow i Shirl naparzają się na środku Drugiej ulicy.

Z ludzi pracujących w Café Tęcza najbardziej lubię Maud Chadwick. Maud Chadwick to osoba, którą miło widzieć nawet wtedy, kiedy nie chce się widzieć nikogo. A mnie to się często zdarza (pani Davidow powiada, że jestem „humorzastą” - dobre sobie, i kto to mówi!).

Szeryf też lubi Maud Chadwick, to widać. W środku są do siebie bardzo podobni, choć na zewnątrz bardzo się różnią. Maud robi wrażenie dość nieśmiałej, chyba że jest w towarzystwie szeryfa lub moim. Ale ja mam dopiero dwanaście lat, więc pewnie przy mnie czuje się swobodnie. W ogóle dzieci lubią Maud, bo nie przemawia do nich z góry, tak jak większość dorosłych.

Zawsze mi się wydawało, że Maud Chadwick wygląda trochę jak elficzka ze starej książki o Piotrusiu Panie, której oczywiście już nie czytam, ale czasem przeglądam, żeby sprawdzić, czy srebrzysto-niebieskie rysunki są takie, jak je zapamiętałam. A więc Maud sprawia wrażenie elfa - ma szeroko rozstawione oczy, a jej usta w kącikach unoszą się do góry, co nadaje twarzy dziecięcy wyraz. To jedyna osoba, do której zwracam się po imieniu, bo matka surowo zakazała mi tak mówić do dorosłych. Ponieważ jednak Maud obsługuje stoliki (kolejna rzecz, która nas łączy) i ma plakietkę z imieniem przypiętą do sukienki, to naturalnie wszyscy nazywają ją „Maud” - tak samo, jak mówią „Shirl” do Shirley i „Charlene” do Charlene.

Przy każdym drewnianym boksie w Café Tęcza wisi przypięty pinezką odręczny napis, informujący, ile co najmniej

osób musi liczyć grupa, żeby wolno im było zająć boks. Liczba ta bez przerwy się zmienia, w zależności od nastroju Shirl. Na ogół wymagane są minimum trzy osoby, ale gdy Shirl ma dobry humor, w bezcennym boksie można usiąść nawet we dwoje, choć zdarzało się, że w przypiływie szaleństwa zabraniała wstępu do boksów grupom mniejszym niż czteroosobowe. A już jedna osoba, hm... Czasem jakiś niešťczęśnik, który nie zna zasad, próbuje zająć boks w pojedynkę, po czym znika stąd na zawsze. To szczerza prawda. Shirl, z nieodłącznym papierosem w zębach, w kółko powtarza, że nie zamierza podejmować wszystkich bezdomnych w La Porte.

Są jednak dni, kiedy z rozmaitych powodów Shirl jest w Tęczy nieobecna. Dwa, trzy razy w miesiącu jeździ na zakupy do Hebrides, ponadto regularnie jak w zegarku odwiedza Super Ścięcie (zawsze mi się wydawało, że to marna nazwa dla salonu fryzjerskiego), i Maud pozwala mi wtedy zająć samodzielny boks. Kiedy więc spodziewam się, że Shirl nie będzie, zabieram do miasta swój notes.

Dwie mile dzielące hotel od La Porte najczęściej pokonuję na piechotę, czasem w towarzystwie Ree-Jane. Ta po przybyciu natychmiast rusza na podbój nowych światów - poprawia urodę w drugim salonie piękności (Pod Włos), skąd wychodzi, mieniać się barwami jak neonowy szyld nad barem Arturo, albo od razu dryfuje w stronę gmachu sądu i biura szeryfa. Ja wślizguję się do boksu, zazwyczaj w kącie kafejki, i biorę się do roboty. Siedzę i piszę o tym, co mam w głowie, a kiedy już skończę, czasami piszę także o ludziach przy barze. W pewnej chwili zawsze zjawia się Maud i stawia przede mną miseczkę chili. Ach, co to za chili! Nie umiem wyjaśnić, dlaczego tak mi smakuje, bo jestem pewna, że każdy prawdziwy znawca uznałby je za wodniste i mdłe. Pośpiesznie zdzieram folię z opakowania chrupków, kruszę je i obficie posypuję danie po wierzchu, wiedząc doskonale, że wcale nie byłoby takie smaczne, gdybym jadła je w hotelu

albo w szkole, gdziekolwiek indziej niż w ostatnim boksie Cafe Tęcza.

Pomimo napisów Shirl uwielbiam także tutejsze boksy. Wszystko zrobione jest z ciemnego drewna: stół i dwie ławki o wysokich oparciach. Te oparcia są takie wysokie, że górą nic nie widać, więc kiedy chcę coś zobaczyć, muszę wychylać się za róg. Dzięki temu boks staje się jakby osobną wyspą, co bardzo mi się podoba.

Całą dziwną historię Mary-Evelyn Devereau opowiedziałam również Maud, która czasem przysiada się do mnie, żeby wypić kawę i zapalić. Maud nie pochodzi z La Porte, poza tym i tak jest o wiele za młoda, żeby pamiętać tę sprawę, ale bardzo się nią interesuje.

Kiedyś zapytała:

- Nie wydaje ci się podejrzane, że zawiadomiły policję dopiero o szóstej rano?

Zamyśliłam się na chwilę, sącząc wiśniową colę.

- Pewnie wtedy odkryły, że wyszła. Albo że nie wróciła.

- Ktoś przed szóstą rano sprawdza, czy ty leżysz w łóżku?

- Nie. - Nie chciało mi się dodawać, że nikt w ogóle nie sprawdza, czy jestem w łóżku, ani o szóstej, ani o dziewiątej, ani o północy. - Ale po co miałyby kłamać?

Na to pytanie nie było odpowiedzi, o czym Maud świetnie wiedziała, więc zamilkłyśmy na chwilę, żeby zastanowić się w spokoju, czemu miałyby kłamać - „one”, czyli panny Devereau, ciotki, u których mieszkała Mary-Evelyn. Ludzie niewiele o nich wiedzieli, a większość pogłosek na ich temat była wyssana z palca. Do mieszkających samotnie kobiet zazwyczaj czepiają się rozmaite historie.

Wiedziano jedynie - gdyż było to słyhać - że uwielbiały muzykę, zwłaszcza operową, a szczególnie *Tannhäusera*. Powiedziała mi o tym Marge Byrd. Marge zna się na muzyce, chociaż z pannami Devereau też nie była zbyt blisko, bo miała wtedy (teraz zresztą też) tyle samo lat, co moja matka. Ale już jako mała dziewczynka stale obcowała z muzyką; jej

rodzina była bardzo muzykalna i przekazała to upodobanie dzieciom. Okropnie zazdroścę ludziom, który zostali wychowani w miłości do malarstwa, muzyki czy książek, bo ja z domu wyniosłam tylko dobre maniery. Owszem, matka sporo czyta, więc i ja to lubię. Jednak mnie i mojego brata nauczono cenić nie Wagnera, Mozarta, Szekspira albo Rembrandta, lecz przede wszystkim Emily Post.

Tak czy inaczej, Marge podarowała mi kilka starych płyt, które odtwarzam za pomocą starego gramofonu na korbkę znalezionej w garażu. Siedzę sobie w Różowym Słoniu, słucham arii Elżbiety z *Tannhäusera* i wyobrażam sobie dom nad Jeziorem Duchów w czasach, kiedy mieszkała tam rodzina Devereau. Nad szarą, lodowatą wodą snują się i wznoszą pasma mgły; jest cicho, tylko daleko z prawej słychać plusk niewidocznej kaskady, a ponad wszystkim rozbrzmiewa melodyjny głos tej z siostr (od tamtego czasu odkryłam, że było ich cztery, nie trzy), która potrafiła zaśpiewać arię Elżbiety.

Albo idę nad odległe o pół mili Jezioro Duchów, zazwyczaj o zmierzchu, i w myślach odtwarzam muzykę; operowy śpiew płynie z wielkiego, krytego szarym łupkiem domostwa, wzlatuje ponad wodą, wije się w esy-floresy nad gęstwą trzciny i lilii wodnych, wśród których (nie mogę się oprzeć tej wizji) kołysze się łagodnie mała figurka Mary-Evelyn Devereau.

Wszystko to jest niesamowite, przerażające i wspaniałe - pusty dom, zamglone, zimne jezioro, muzyka. Po prostu wspaniałe. Moja wyobraźnia to potęga.

- Nieobciążone realiami - powiedział kiedyś szeryf DeGheyn. - Jedna i druga.

Przy sprawdzaniu parkomatów czasem towarzyszy nam Maud, więc szeryf zwracał się do nas obu.

- Absolutnie nieobciążone - powtórzył.

Ale moim zdaniem szeryf nie ma racji, bo ja tam czuję się bardzo obciążona. Realia przygniatają mnie jak nie wiem co.

5.

- Gdybyśmy miały przejmować się realiami, fantazjowanie nie miałyby sensu, prawda? - obruszyła się Maud, również za nas obie, owego konkretnego dnia, kiedy staliśmy we trójkę przy krawężniku, a szeryf wypisywał mandat, który następnie wetknął za wycieraczkę białego oldsmobile'a należącego do burmistrza. Tył samochodu lekko wystawał na podjazd do sklepu 1001 Drobiazgów i choć właściwie nie tarasował drogi, utrudniał ruch ciężarówkom dostawczym.

Szeryf nie odpowiedział, gdyż, prawdę mówiąc, nie było to pytanie - wiadomo, że Maud lubi wciągać go w bezprzedmiotowe spory.

- Może jest nawiedzony? - zapytałam, zwracając się przede wszystkim do Maud. Żaden pomysł nie brzmi dla niej zbyt dziwacznie, za to między innymi ją lubię. Oczywiście, chodziło mi o dom sióstr Devereau; co prawda nie wierzę w duchy, ale uznałam, że to niezły sposób, aby skierować rozmowę na temat Mary-Evelyn.

- A co nie jest? - odparła Maud, zatrzymując się przy następnym parkomacie.

Szeryf spojrział na nią i pokręcił głową:

- Maud, na litość boską!

- Nawiedzenie przenika wszędzie - ciągnęła. - Czuję się jak flet, pełna wietrznych i pustych przestrzeni.

Stała przy krawężniku, obejmując dłońmi łokcie, okropnie zadowolona ze sposobu, w jaki ujęła problem.

Z gardła szeryfa wyrwał się zdławiony dźwięk. Akurat wkładał pięciocentówkę do parkomatu, przy którym panna Ruth La Porte postawiła swego czarnego volkswagena.

- Jak flet.

- Ty, oczywiście, tego nie zrozumiesz - rzuciła Maud przez ramię i ruszyła dalej.

Uśmiechnęłam się. Uwielbiam, kiedy podpuszczają się nawzajem, czego nie robią z nikim innym. Nikt nie mówi do szeryfa tak jak Maud - reszta ludności albo czuje się

onieśmielona (jak na przykład ja), albo trochę się boi (na przykład burmistrz i ten handlarz samochodów z Hebrides).

Staliśmy teraz przy błękitnym cadillacu wspomnianego handlarza; czerwona chorągiewka parkomatu zdążyła już opaść, więc szeryf wetknął za wycieraczkę kolejny mandat.

Podczas tych spacerów lubimy z Maud wymyślać historyjki o mieszkańcach miasteczka, szeryf natomiast próbuje sprowadzać je do znanych sobie realiów, którymi według niego jesteśmy szczególnie „nieobciążone”. Dlatego też jego odpowiedź na moje pytanie o braci Wood bardzo mnie zaskoczyła.

Bracia Ulub i Ubub siedzieli na ławce przed firmą taksówkową Axela. Właściwie ławka jest przeznaczona dla klientów Axela, żeby mogli poczekać na taksówkę. Taksówki są tylko dwie - jedna należy do samego Axela, druga zaś do Delberta, jego pracownika. Zauważyliśmy z Maud, że właściwie nikt nigdy nie widział, aby Axel kogoś wiozł - zawsze wyjeżdża i wraca bez pasażera, na pusto, to znaczy, w taksówce siedzi tylko Axel. Czasem na ławce zasiadają bracia Wood i całymi dniami w milczeniu patrzą, jak Axel i Delbert jeżdżą tam i z powrotem, a pod ich nieobecność obserwują poruszenia innych mieszkańców La Porte. Niekiedy do braci przyłącza się pan Nasalwhite, który też nie lubi dużo mówić, chyba że akurat wmawia braciom (a także przechodniom), że jest królem Czech. Woodowie zwykle jedzą śniadanie w Café Tęcza, potem idą dyżurować na ławkę przez firmą Axela lub na tę drugą, pod sklepem Brittena w Spirit Lake, wracają do Tęczy na lunch i po południu znów są na ławce. Chodzą na swoją ławkę jak inni ludzie do pracy, siedzą w milczeniu (w ogóle rzadko coś mówią) i patrzą, jak światek La Porte toczy się obok nich.

Parę razy szeryfowi udało się wciągnąć ich do rozmowy i później Maud wierciła mu dziurę w brzuchu, żeby jej powtórzył, co właściwie mówili, ale pozostał nieugięty.

Postanowiłam go zapytać o imiona braci.

- Słyszałam, że Ulub i Ubub to oznaczenia ich tablic rejestracyjnych, ale przecież muszą się jakoś nazywać.

- Mhmm - mruknął szeryf, wywracając kieszenie w poszukiwaniu dziesięciocentówki. Czerwona chorągiewka parkomatu przy półciężarówce Bunny Caruso już opadła. - Ubub to skrót od Utrapiiony Brzydal Bob, a Ulub od Utrapiiony Lalus Bob. Maud, masz dziesiątkę?

- Jak to? - zdziwiłam się.

- On zmyśla! - zawołała Maud, wygrzebując z kieszonki dziesięć centów (dostaje mnóstwo napiwków, więc zawsze ma drobne). Maud wciąż oskarża szeryfa, że „zmyśla”; przypuszczam, że od czasu do czasu szeryf faktycznie zmyśla na jej użytek, żeby nigdy nie była całkiem pewna tego, co on mówi.

- Widziałam! - oznajmiła oskarżycielsko. - Widziałam, jak pracuje twój mózg! Zacząłeś intensywnie myśleć, na chwilę się zaciąłeś, a potem wyprodukowałeś rozwinięcie tych skrótów!

UBB i ULB to pierwsze trzy znaki na tablicach rejestracyjnych identycznych półciężarówek Ububa i Uluba. O ile wiem, stąd wzięły się przezwiska braci.

Szeryf nie odpowiadał; udawał, że jest okropnie zajęty oględzinami pojazdu Bunny Caruso, nawet kontrolnie kopnął go w oponę. Jego milczenie wyraźnie zirytowało Maud. Prawdę mówiąc, wyglądała na okropnie rozsierdzoną. Jeszcze chwila, a podeszłaby do ławki i sama zapytała Ububa i Uluba o imiona.

- Chyba faktycznie są utrapieni - powiedziałam pojednawczo.

- Nie słuchaj, co on mówi! W ogóle nie zwracaj na niego uwagi. Połowa jego opowieści to zwykle zmyślenia!

Mówiła, jakby szeryf był łobuziakiem, który mógł sprowadzić mnie na złą drogę.

Kiedy ruszyliśmy dalej, Maud była już nadąsana nie na żarty, co wydało mi się strasznie zabawne - moim zdaniem

szeryf Sam DeGheyn jest ostatnim człowiekiem w La Porte, na którego można się dąsać.

Postanowiłam przerwać te fomy, wracając do ulubionego tematu.

- No więc jak, wierzycie, że jakieś miejsce może być nawiedzone?

- Nie. - Tak - odpowiedzieli jednocześnie.

Nie wiem, czy Maud przytaknęła mi dlatego, że naprawdę wierzy w duchy, czy jedynie po to, by dokuczyć szeryfowi.

- I od śmierci Mary-Evelyn w domu Devereau nikt nie mieszkał?

- O ile wiem, to nie - odparł szeryf.

Rzecz w tym, że ani jego, ani Maud wtedy tu nie było, więc mogą tylko zgadywać.

- Podobno Marge Byrd pewnej nocy słyszała tam dziwne odgłosy.

- To na pewno włóczędzy. Niektórzy ludzie w ogóle nie zwracają uwagi na ostrzeżenia „Wstęp wzbroniony”. Donny mi mówił, że niedawno musiał kogoś stamtąd przepędzić.

Donny, zastępca Sama DeGheyna, nie grzeszy inteligencją ani urodą, ale sądzi, że mundur przydaje mu zarówno jednej, jak i drugiej. Ree-Jane, która często kręci się po magistracie, próbuje go kokietować, kiedy szeryfa nie ma pod ręką.

- Ktoś, kto umarł z żalu, czasem wraca, żeby nawiedzać miejsce swojej śmierci - rzekła Maud takim tonem, jakby za chwilę sama miała umrzeć.

- Chyba masz na myśli osobę, która zmarła gwałtownie - powiedział szeryf.

Maud aż przystanąła.

- Nie, mam na myśli osobę naprawdę nieszczęśliwą, taką jak ja. Albo ty.

Przenośny telefon szeryfa zadzwonił, zanim jeszcze Maud powiedziała: „Albo ty”. Mogę się założyć, że dodała te słowa rozmyślnie, żeby szeryf się zawahał, zanim odbierze wezwanie (chyba tylko ważne osoby mają takie telefony).

- Co, ja? - z roztargnieniem rzekł szeryf do słuchawki. - Tylko dlatego, że ty... Och, dobrze już, dobrze! Donny?

Głos Donny'ego zaskrzeczał coś o wypadku na drodze numer 6 - nazywamy ją Drogą do Jeziora, chociaż wydaje mi się, że jej urzędowa nazwa brzmi Dylowy Szlak. Chyba wspomniał też o restauracji Pod Srebrną Gruszką, nie miałam jednak co do tego pewności, bo w sprawach służbowych Donny zawsze trochę histeryzuje, poza tym ledwie było go słyszeć. Ale i tak nadstawiałam ucha, mimo że rozmowa była służbowa, natomiast Maud wpatrywała się w tory kolejowe, jakby figę ją to wszystko obchodziło.

Zapytałam szeryfa, co oznacza określenie „przemoc domowa”. Wyjaśnił, że zazwyczaj chodzi o nieporozumienie - sprzeczkę, bójkę, awanturę - w domu prywatnym. Po jego odjeździe zagadnęłam Maud, kto mieszka Pod Srebrną Gruszką. Powiedziała, że właściciele nazywają się Gaby i Ron von Gruber, ale jakoś nie wyobraża sobie, żeby się bili - są dłudzy i wiotcy niczym witki wierzbowe i mają srebrzyste fryzury à la Pompadour.

Szłyśmy już z powrotem do Café Tęcza, gdyż Maud spacerowała z nami po Drugiej ulicy, korzystając z przerwy na lunch. Zapytałam, czy kiedykolwiek jadła obiad Pod Srebrną Gruszką. Odrzekła, że owszem, kilka razy była tam z Chadem. Miała smutny głos - jest rozwiedziona, a Chad to jej jedyny syn. Wyjechał do szkoły i wiem, że Maud za nim tęskni. Jednak nie miałam zbytnej ochoty rozmyślać o smutkach dorosłych; chyba nie przyjmowałam do wiadomości, że mogą być naprawdę nieszczęśliwi. Przecież podobno ich świat jest inny, myślałam. A jeśli już zdarzy się, że cierpią, myślałam, to na pewno znają mnóstwo skutecznych sposobów, by sobie z tym poradzić, zupełnie nieznanymi w moim świecie. To jedna z zalet dorosłości, myślałam - dorosły może schludnie zapakować przykre i bolesne uczucia, zawinąć je w papier i cisnąć do śmieciarki, która je wywiezie i porzuci gdzieś w Alei Nieszczęścia. Nie to co ja, o nie! Ja swoje złe uczucia muszę znosić na co dzień.

- Dobrze było? - zapytałam po tej burzy przemyśleń na temat możliwych nieszczęść Maud. Chodziło mi o lunch Pod Srebrną Gruszką.

- Nie. To znaczy, jedzenie było niezłe, ale porcje mikroskopijne. Prowadzą kuchnię francuską w stylu *nouvelle cuisine*. To nie jedzenie, to iluzja jedzenia! Wężyk marchewki tu, gałązka pietruszki tam oraz trójkącik wędzonej ryby w kałuży różowego sosu. Nie ma porównania z kuchnią twojej mamy, szkoda słów!

Zapamiętałam sobie ten komplement, żeby powtórzyć go matce; wciąż musi wysłuchiwać, jak ludzie chwalą Srebrną Gruszkę, która uchodzi za najelegantszą restaurację w promieniu pięćdziesięciu mil.

- Ulubiony lokal tych znad jeziora - podsunęłam z nadzieją, że Maud będzie dalej opowiadać, jak tam było fatalnie, co pozwoli mi rozbudować komplement.

Jezioro, o którym wspomniałam, leży po drugiej stronie La Porte, zupełnie gdzie indziej niż Jezioro Duchów, a ludzie stamtąd to całkiem inna rasa: bogaci, piękni, opaleni przez okrągły rok. Mają bajeczne domy, a w wolnych chwilach, kiedy nie pływają i nie żeglują, to jeżdżą na nartach wodnych. Maud też mieszka nad tym jeziorem, ale jej domek jest mały i stoi na niemodnym brzegu, bliżej miasta.

- Gdyby z Hotelu Paradise było pięć mil bliżej do jeziora - rzekła Maud - mielibyście kwitnący interes i nie moglibyście opędzić się od gości.

Bo interesy - nasze interesy - nie idą zbyt dobrze. Spirit Lake, kiedyś zamożne dzięki stacyjce kolejowej dla turystów, okres letniskowej świetności ma już za sobą. Ludzie przestali podróżować koleją - przesiedli się do aut, które tylko śmigają przez miasteczko w drodze do innych miejscowości. Z działających tu dawniej sześciu hoteli teraz został tylko nasz.

Mijając salon Super Ścięcie, zauważyłam przez okno Shirl, która wyglądała jak zmokła kura. Jeszcze nie siedziała pod suszarką - Alma Duke (właścicielka i fryzjerka) dopiero

zabierała się do nawijania jej włosów na wałki - więc obliczyłam, że zjawi się w Café Tęcza najwcześniej za godzinę, albo i później, jeśli każe sobie zrobić manikiur. Pomachałyśmy do niej obie z Maud, ale udała, że nas nie dostrzega; pewnie nie chciała przyjąć do wiadomości, że ktoś ją widzi w takim stanie.

Mając gwarancję, że Shirl nieprędko przyjdzie do pracy, zapytałam Maud, czy pozwoli mi posiedzieć w boksie. Tak, oczywiście, powiedziała, chętnie przysiadzie się do mnie na kawę, bo nie zdążyła zjeść lunchu.

- To znaczy, jeśli nie przeszkodzę ci w pisaniu - dodała.

Otóż za to właśnie lubię Maud i szeryfa. Żadne z nich nie zakłada, że dwunastoletnia osoba nie ma nic do roboty, tylko się obija i czeka, aż otworzą kino. Chociaż faktycznie - zamierzałam posiedzieć godzinkę w Tęczy, a potem iść do kina na Pierwszej ulicy. Kocham kino, zwłaszcza popołudniowe sobotnie seanse, kiedy zawsze wyświetlają westerny - spaghetti westerny, tak je nazywają, z Clintem Eastwoodem - komedie albo filmy przygodowe, innymi słowy, filmy nieobciążone seksem.

Można mnie znaleźć w kinie Orion praktycznie w każdą sobotę po południu. Właściciel, pan McComas, to miły człowiek w średnim wieku - chętnie zastępujący pracowników w razie choroby. Bardzo często sprawdza bilety osobiście; wprawdzie zatrudnia prawdziwą bileterkę, ale według mnie po prostu lubi to zajęcie, bo w ten sposób zyskuje pretekst, aby przebywać na sali kinowej. Podejrzewam, że pan McComas kocha kino tak jak ja, dlatego w ogóle je prowadzi. Czasem szufluje prażoną kukurydzą do wysokich papierowych tutek, które pyszną się na ladzie w całej swej różnorodnej krasie. Kukurydza pana McComasa praży się na miejscu i jest najświeższą, najgorętszą kukurydzą w okolicy - kiedy wyskakuje z metalowego walca, często aż parzy mi palce.

Na sali są dwa przejścia, a ekran jest lekko przesunięty w lewo. Właściwie to dość dziwne. Kiedy wzrok się przyzwyczai, nie przeszkadza to w oglądaniu, jednak widzowie

wyraźnie wolą miejsca z lewej strony, gdyż wtedy siedzą bardziej na wprost ekranu. Co do mnie, lubię ten lekki skos, więc zazwyczaj rozsiadam się wygodnie po prawej i zajadam kukurydzę z masłem z niebieskiej lub różowej tutki. W takich chwilach niemal nabieram przekonania, że warto żyć.

O seksie wiem tylko tyle, że aby kobieta miała dziecko, musi jej „wetknąć” jakiś mężczyzna (mówili mi w trzeciej klasie), lecz moje pojęcie o samym „wtykaniu” jest bardzo mgliste. Z początku myślałam nawet, że ma to coś wspólnego z zatykaniem, co czyni sprawę ciekawszą, choć bardziej zagadkową. Kiedy się nad tym zastanawiam, jem kukurydzę wolniej i z większym rozmysłem.

Tyle tylko, że osobiście nie mam się nad czym zastanawiać, a już z pewnością nie mam kogo zapytać. Nie mogę się zwrócić do szeryfa - chyba umarłabym ze wstydu. Maud pewnie by mi wyjaśniła, jednak fakt, że nic nie wiem, tak mnie krępuje, że za nic w świecie nie wykrztuszę z siebie pytania. Bóg jeden wie, co ja przeżyłam, kiedy zaczęłam krwawić - podejrzewam, że ma to związek z całą sprawą, choć nadal nie rozumiem jaki. Powiem tylko tyle - t a m t o tak boli, że aż chce się krzyczeć, więc jeśli seks jest choć trochę podobny, to proszę na mnie nie liczyć.

6.

Tuż obok kina Orion przycupnął mój ulubiony sklepik; nosi nazwę Ogarek i prowadzi wyłącznie świece. Zanim przejęła go panna Flyte, znajdował się tutaj skład artykułów żelaznych, teraz jednak miejsce grabi, nawozów sztucznych i worków na liście w dużym oknie wystawowym zajęły szeregi świec ustawionych na czarnym aksamicie oraz najrozmaitsze lichtarze: mosiężne, marmurowe, drewniane, ceramiczne, wysokie, niskie, kwadratowe, przysadziste, spawane metalowe, przeznaczone do większej liczby świec, i gliniane

meksykańskie w zaskakujących kolorach. Całymi godzinami sterczę przed wystawą, zdumiona, że świece i świeczniki mogą być tak fascynujące.

Zawsze pali się tutaj kilka sztucznych światełek, imitujących płomyki. Jednak z okazji świąt, na przykład w Boże Narodzenie, panna Flyte usuwa tkaninę (dla bezpieczeństwa) i zapala wszystkie świece w witrynie. Wtedy z daleka widać jedynie czarne okno, a w nim morze migotliwych ognia.

Panna Flyte „robi” (jak to określa) śluby i pogrzeby. Łatwo rozpoznać przyjęcie ślubne „w stylu Flyte”. Pali się wówczas mnóstwo świec, ale nie tylko o to chodzi - śluby panny Flyte mają coś ze snu i baśni, jest w nich tajemniczy nastrój kryształowych skrzydeł, księżycowego pyłu i pastelowych barw, przenikających się nawzajem niby tęcza. Oczywiście, to przede wszystkim skutek oświetlenia, ale moim zdaniem ów ciepły blask ma też inne źródła. Ślub, do którego panna Flyte przyłoży rękę, otrzymuje coś w rodzaju błogosławieństwa (od jej pogrzebów trzymam się jak najdalej).

Panna Flyte nie „robi” nic pośredniego: „śluby, pogrzeby i nic pomiędzy” - oto jej dewiza. „Pomiędzy” obejmuje prozowane obiady i przyjęcia urodzinowe, na przykład takie, jak wielka feta, którą urządził pewien człowiek znad jeziora, z firmą cateringową, łabędziami z lodu i pięcioosobową orkiestrą. Panna Flyte mu odmówiła, dzięki czemu stała się jeszcze cenniejszą zdobyczą. Bogacze znad jeziora sądzą, że każdego można kupić - lecz nie można kupić panny Flyte. Wciąż ktoś ją prosi, aby przyjechała ze swymi świecami „zrobić” przyjęcie w Nowym Jorku, na przylądku Cod albo w innej wytwornej miejscowości, a im częściej panna Flyte odmawia, tym bardziej natarczywi stają się petenci. Pozyskać pannę Flyte to sukces nie lada.

Ale chodzi też o coś więcej. Ambitne panie domu, na przykład Helene Baum, nieustannie usiłują naśladować pannę Flyte. Rzecz jasna, nic z tego nie wychodzi. Albowiem nie wystarczy zapalić sto świec - trzeba umieć je rozmieścić,

wiedzieć, gdzie postawić maleńkie, a gdzie duże, które mają stać, a które wisieć. Tylko panna Flyte ma taki dar. Jest mistrzynią światła.

Tuż obok Ogarka mieści się malutki sklepik z upominkami, również prowadzony przez panią w starszym wieku. Panna Flyte i panna Flagler bardzo się przyjaźnią i prawie co dzień przesiadują w jednym bądź drugim sklepie przy kawie lub przy herbacie i świeżych bułeczkach. Boczne drzwi obu lokali wychodzą wprost na siebie; wystarczy krok przez alejkę, żeby wspólnie zjeść śniadanie albo podwieczorek. Często zaglądam do panien Flyte i Flagler i choć mam lat dwanaście, a one są dobrze po sześćdziesiątce, coś nas jednak łączy. Nie bardzo wiem co, ale kiedy siedzę w kuchni panny Flagler, drzemiąc nad kubkiem herbaty lub gorącej czekolady, to wprost czuję, jak upływ dni coraz bardziej nuży i wyczerpuje całą naszą trójkę.

Sklepik panny Flagler, noszący nazwę Pod Dębem, jest maleńki, istna dziupelka. Nie mam pojęcia, jak panna Flagler wiąże koniec z końcem, gdyż rzadko spotyka się tu klientów. Cały towar mieści się w jednym niewielkim pomieszczeniu; na półkach tłoczą się porcelanowe mydelniczki, kruche filiżanki ze spodkami, szklane zwierzątka i lniane serwetki, w gablocie połyskuje srebrna biżuteria, spinki, bransolety i naszyjniki.

Niewykluczone, że panna Flagler ma prywatne źródło dochodów, bo nigdy nie zauważyłam, żeby czegoś jej brakowało. Jej stroje zawsze są w doskonałym gatunku. Nosi jedwabne bądź taftowe suknie w różnych odcieniach szarości oraz białe płócienne kołnierzyki i żaboty, odpinane, żeby łatwiej było je prać. Ramiona okrywa rozpinanym sweterkiem, szarym, robionym w warkocze, albo brązowym z kaszmiru. Kaszmirowy bardzo mi się podoba - ma złoto-rudo-brązową barwę lisiego futra, a panna Flagler zazwyczaj wkłada do niego perełki.

Nad wejściem do sklepu Pod Dębem wisi srebrny dzwoneczek, który dzwoni melodyjnie za każdym otwarciem

drzwi, wywołując pannę Flagler zza kotary dzielącej sklepik od pokojów na tyłach. Choć czasem odnoszę wrażenie, że „sklepowa” część życia panny Flagler wzbudza w niej niesmak, zawsze zachowuje się uprzedzająco grzecznie, powściągliwie, ale miło. Mama nazywa ją „ostatnią panną szlachcianką” i moim zdaniem to określenie znakomicie do niej pasuje. Siedząc w jej przytulnej kuchni, pachnącej imbirem i cynamonem, w towarzystwie kotki imieniem Albertyna, myślę sobie, że można znacznie gorzej ułożyć sobie życie niż panna Flagler. Przyznaję, to życie jakby przyćmione i pozbawione wesołości, ale ja nie cenię wesołości zbyt wysoko - mam aż nadto okazji, by ją oglądać w Hotelu Paradise, kiedy Aurora Paradise i jej siostra balują na schodach przeciwpożarowych.

Czasem panny Flyte i Flagler zapraszają mnie na poranną kawę lub popołudniową herbatę (ach, te świeżutkie bułeczki z cynamonem!). Można by podejrzewać, że znoszą mnie wyłącznie przez uprzejmość, ale tak nie jest; z jakiegoś powodu czuję się swobodnie w towarzystwie starszych pań, jakbym w dwunastej wiośnie życia miała duszę zgrzybiałą starsuszki w binoklach i rozpinanym sweterku.

Siedzimy na drewnianych malowanych krzeselkach, turkusowych i żółtych jak kaczeńce (chyba powinnam przemyśleć swe wyobrażenia o braku wesołości w życiu panny Flagler), przy białym kuchennym stole. Zimą grzeje nas czarny żeliwny piecyk, do którego panna Flagler wrzuca szufelką kolejne kawałki węgla. Jest tu również piecyk gazowy, ale panna Flagler twierdzi, że gdy chodzi o równe wypieki, nie ma jak piecyk żeliwny (moja matka też jest tego zdania, więc wierzę pannie Flagler na słowo). Bułeczki i ciastka pieką się zatem na węglu, a na górnej płycie, na fajerce, grzeje się w rondelku moje kakao. Obok stoi wielka biała lodówka General Electric, do której zdaniem panny Flagler nie umywa się żadne „z tych nowych, wąskich” urządzeń, a ze spiżarki na zapleczu dobiegają głuche tąpnięcia zmywarki Bendix, która rzeźi, jakby była w agonii.

Uwielbiam kakao. Nie umiem jednak usunąć kożucha z parującej powierzchni, żeby nie wydać się niegrzeczną. Zazwyczaj dmucham, starając się zepchnąć go na bok, i piję jak najszybciej, pilnując, by nie wpadł mi do ust. Czasem, niby to niechcący, wrzucam do kubka serwetkę, która wchłania kożuch. Strasznie się tym denerwuję, zwłaszcza kiedy serwetka zabiera także piankę, bo szczególnie lubię, gdy pianka rozplywa się w kakao.

Siedzimy więc i pijemy; panie uprzejmie pytają o moją matkę, którą bardzo podziwiają, o Lolę Davidow, którą podziwiają znacznie mniej, oraz o Ree-Jane, której nie podziwiają wcale. Nazywają ją „Rae Jane”, bo pewnie nie dosłyszały, jak wymawiam to imię, ja zaś nie wyprowadzam ich z błędu, chociaż wiem, że Ree-Jane okropnie to denerwuje. W ten sposób wyrównuję rachunki, gdyż ludzie czasem myślą nas ze sobą i zwracają się do mnie per „Janey”! Dostaję szału na myśl, że zostałam stłamszona przez osobę, która w Hotelu Paradise pojawiła się zaledwie pięć lat temu i natychmiast unieważniła moje istnienie.

Panny Flyte i Flagler nigdy nie popełniają tego błędu. Wiedzą, kim jestem, wiedzą, że rodzina Davidow nie ma nic wspólnego z Hotelem Paradise. Ale Ree-Jane rozpowiada na lewo i prawo, że hotel „należy” do jej matki, co doprowadza mnie do szewskiej pasji; mówiłam o tym matce, która jednak nie robi nic, aby wyjaśnić nieporozumienie, i po prostu każe mi się nie przejmować.

Oczywiście, panny Flyte i Flagler lubią moje towarzystwo także dlatego, że uwielbiają plotki - czemuż by nie? - i chcą wiedzieć, co się dzieje w Spirit Lake, a przede wszystkim w apartamentach Aurory na górnym piętrze Hotelu Paradise. Aurora, powiadają uprzejmie, zawsze była „trochę zbzikowana”, co według mnie znaczy po prostu, że ma kompletnego fioła.

Panna Flyte i panna Flagler są w takim wieku, że mogły znać rodzinę Devereau i Mary-Evelyn; panna Flyte ma sześćdziesiąt trzy lata, a panna Flagler (co mnie zdumiewa)

siedemdziesiąt. Wynika stąd, że w chwili śmierci Mary-Evelyn były całkiem dorosłe, po dwudziestce albo trzydziestce, jednak ich wspomnienia z tego okresu są jakieś niewyraźne. Panna Flagler przypomniała sobie „małą rudą dziewczynkę o nieobecny spojrzeniu”, zawsze prześlicznie ubraną, chociaż trochę dziwną. Nie, zaprzeczyła panna Flyte, to te jej ciotki były dziwne. Jedna z nich cudownie szyła, utrzymywała się z krawiectwa, kiedyś nawet uszyła panie Flagler suknię z jedwabiu i organdyny. To było coś (rzekła panna Flagler, a panna Flyte jej przytaknęła) nosić suknię od panny Devereau, która uchodziła za najlepszą krawcową w całym stanie, w dodatku w czasach, gdy szycie sukien na miarę było czymś powszechnym. Teraz można pojechać na przykład do Emporium w Hebrides, albo jeszcze dalej, do Camberwell - dla mieszkańców La Porte to wielka metropolia - do butik Europa Heather Gay Struther, która podobno faktycznie sprowadza towar z Europy. Wątpliwe jednak, czy dzisiejsza suknia z Emporium lub z Europy mogłaby się równać z kreacją Devereau; suknia panny Flagler była z seledynowej organdyny na białym, jedwabnym spodzie i panna Flagler wystąpiła w niej na garden party, które opisała jako „całe na biało”: białe suknie, białe garnitury, białe pantofle, białe róże, białe lukrowane torty.

Na chwilę powędrowałam myślami do owego baśniowego świata organdynowych sukien i przyjęć w ogrodach. Osobiście nie widziałam nigdy ani jednego, ani drugiego, ale usiłowałam wyobrazić sobie pannę Flagler w organdynowym obłoku, trzymającą w jednej dłoni pucharek ponczu, a w drugiej talerzyk małych sandwiczów. Nawet samo słowo „seledynowy” brzmi przepysznie i chłodno. Doszłam do wniosku, że taki właśnie jest kolor oczu Albertyny.

Mary-Evelyn była na przyjęciu, naturalnie w stroju od panny Devereau, i roznosiła sandwicze. Panna Flagler powiedziała, że w kremowej sukience wyglądała naprawdę ładnie.

Ale miała nieobecne spojrzenie, dodałam w duchu. W myślach zawsze widzę ją samą - nad jeziorem albo w wysokim mansardowym oknie, patrzącą w dół zza firanki - więc z przyjemnością wyobraziłam ją sobie na przyjęciu, choćby dla dorosłych, choćby tylko roznosiła talerzyki z ciastem i sandwichami.

Zaciekawilo mnie natomiast, dlaczego uważano panny Devereau za dziwne.

Hmm, panna Flagler właściwie nie wiedziała. Zna tę sprawę tylko ze słyszenia, oznajmiła, wymieniając z panną Flagler spojrzenie tak gładko, jakby podawała jej miseczkę z twarożkiem.

Od dawna wiedziałam, że z Mary-Evelyn i z jej ciotkami wiąże się jakaś smutna tajemnica. Szeryf, jak już wspomniałam, nic o nich nie wiedział, inaczej powiedziałby mi przecież, zwłaszcza że o rodzinie Devereau krążyły głównie plotki i bezpodstawne pogłoski, przekazywane z pokolenia na pokolenie, przez lata zanikające bądź obrastające w treść, a tu i ówdzie wypuszczające świeże listeczki dalekie od pierwotnego korzenia.

W gruncie rzeczy panna Flyte nie potrafiła dodać do tego obrazu nic szczególnie nowego, zauważyła tylko, że Mary-Evelyn właściwie nie miała koleżanek w swoim wieku. Zapytałam, skąd miała je brać, skoro nie chodziła do szkoły powszechnej ani w Spirit Lake, ani nigdzie indziej, tylko pobierała prywatne lekcje. Postanowiłam wziąć Mary-Evelyn w obronę.

Matka nigdy nie wspominała, że Mary-Evelyn była „dziwna”, więc pomyślałam sobie, iż panna Flagler przez delikatność nie chce mi powtórzyć czegoś na jej temat, co zresztą pewnie wcale by mnie nie zaskoczyło. Takie „niewymowne” kąski zazwyczaj mają coś wspólnego z seksem, a ja nie wiem na ten temat prawie nic; prawdę mówiąc, nie za bardzo dociera do mnie fakt, że to w ogóle jest jakiś temat. Oczywiście, w głębi duszy uświadamiam sobie (z pewnym zakłopotaniem), że niektóre przytulane sceny na popołudniowych seansach (te, które uszły czujnemu oku pana

McComasa) nie zakończą się na pocałunkach i uściskach bohaterów, tyle że nie mam pojęcia, o co im właściwie chodzi. Czuję się zażenowana, opuszczona, wręcz porzucona w dusznym popkornowym półmroku fotela (w który coraz bardziej się zapadam), podczas gdy oni wędrują tam, dokąd ja z nimi pójść nie mogę. To się nie mieści w głowie, że można dożyć dwunastu lat i nie wiedzieć nic o czymś, o czym wszyscy myślą przez cały czas, w dzień na jawie i w nocy we śnie. Moja ignorancja pokazuje tylko, jakie „chirurgiczne” jest życie, które prowadzę: białe, sterylne, do którego ludzie wchodzą zamaskowani i milczący. Takie życie wydaje się spokojne i ciche (a już z pewnością czyste), dopóki nie przypomnimy sobie o istnieniu skalpeli. Przez cały prawie czas mam wrażenie, że błąkam się jak pijana, tylko pozornie przytomna - choć zdaniem niektórych jestem przytomna aż zanadto.

Niewykluczone, że panna Flagler również tak pomyślała, kiedy nie dopuściłam, by spojrzenie, jakie wymieniła z panną Flyte, przeszło do krainy spojrzeń utraconych. Zażądałam szczegółów - co to znaczy „dziwna”?

Cóż, rzekła panna Flagler, dolewając mi z dzbanka kakao i dodając do niego dużą piankę (co uznałam za nieszkodliwą formę przekupstwa), Mary-Evelyn chyba nie była serdeczną ani kochającą osobą - nie, chyba niewiele rzeczy kochała.

Definicja słowa „dziwna” najwyraźniej zaczynała się nam wymykać. Jakich to rzeczy nie kochała Mary-Evelyn?

Panna Flagler zagryzła dolną wargę, jakby poczuła, że powinna dostarczyć jakiś dowód owej „dziwności”. Mary-Evelyn, powiedziała w końcu, miała kota, który zdechł. Nie dawała mu jeść, tak powiadano, i biedne stworzenie zdechło.

Wszystkie obróciłyśmy się w stronę Albertyny, rozpartej na kuchennym stole w całej swojej pulchnej okazałości, jakbyśmy chciały zasięgnąć jej opinii w kwestii skutków wstrzymania codziennej porcji mleczka. Ale słowa panny Flagler mnie zdumiały. Nawet jeśli tę smakowitą plotkę

przyniósł ktoś z miasta - sprzątaczką albo robotnik - nie mogłam pojąć, dlaczego nie wyciągnęła z nich oczywistego wniosku. Gdy naszła mnie ta myśl, coś we mnie pękło i zapadło się, zalewając mnie powodzią smutku.

Skoro kot zdechł, to nikt inny też go nie karmił.

7.

O czym to świadczyło, nie chciałam nawet myśleć. A przecież musiałam o tym myśleć, żeby zrozumieć, co się stało z Mary-Evelyn.

Przypomniałam sobie, że pewnego dnia, na widok Uluba (albo Ububa) grabiącego liście na podwórku - powoli i z namysłem, jak to bracia Wood - Marge Byrd powiedziała, iż chyba pracowali kiedyś w obejściu Devereau. Przez kilka dni tropiłam więc Uluba i Ububa na ich rozmaitych ławkach i krzesłach - w Tęczy, koło Axela i pod sklepem Brittena - aż w końcu zdecydowałam się do nich podejść.

Jak żyję, nigdy nie widziałam, żeby ktoś próbował konwersować z Woodami. Czasem ktoś przyjaźnie szturchnie któregoś z nich w ramię i powie „cześć” albo „jak leci?”, ale to wszystko. Obaj słyszą bardzo dobrze, gdyż zazwyczaj reagują chrząknięciami, poza tym Ubub jest chyba „mowniejszy” niż Ulub. Nie są bliźniakami, nawet nie są do siebie podobni - jeden jest wysoki i chudy, drugi niski i krępy; mam niemal pewność, że ten wysoki to Ubub, Utrapiiony Brzydala Bob, UBB.

Odrapaną zieloną ławkę przed sklepem Brittena co rano zajmuje dwóch lub trzech starsuszków, którzy dyżurują na niej do popołudnia, czekając, aż kolejnych dwóch lub trzech starsuszków przyjdzie ich zmienić. To stali bywalcy; bracia Wood czasem powiększają ich szeregi i wtedy na ławce robi się tłok. Postanowiłam ich zagadnąć któregoś popołudnia, kiedy będą na ławce sami, co się niekiedy zdarza.

Z ławki przed sklepem Brittena jest świetny widok na szosę stanową; można godzinami patrzeć, jak samochody i ciężarówki pędzą w jedną i drugą stronę, a cały świat w podnieceniu uwija się wokół swoich spraw. Nieopodal znajduje się przystanek autobusu Tabernakulum Pierwszej Unii, gdzie wysiadają pasażerowie z Cold Flat Junction. Autobus ma dwa przystanki - jeden przed sklepem Brittena, drugi po przeciwnej stronie szosy, na wzniesieniu, przy wielkim namiocie, w którym zbierają się członkowie Tabernakulum, aby śpiewać nabożne pieśni oraz (tak mi się wydaje) głosić słowo Boże. Zawsze kiedy przyjeżdża, gapię się ciekawie na wysiadających, gdyż nieustannie wypatruję kogoś z Tidewaterów.

Tidewaterowie mieszkają w Cold Flat Junction, miejscowości odległej o osiemnaście mil od Spirit Lake. Matka stale powtarza, żebym nie ważyła się z nimi zadawać, wobec czego w dni przyjazdu autobusu Tabernakulum gorliwie przesiaduję na ławce. Mam nadzieję, że uda mi się choćby rzucić okiem na Joleen lub Toyę Tidewater bądź kogoś z ich braci, właśnie dlatego, że matka stanowczo mi tego zabrania. Tidewaterów też otacza tajemnica, choć w tym przypadku chyba nie chodzi o żadną zagadkę, lecz o znowę milczenia na ich temat. Za najgorszą (czyli dla mnie najlepszą) z całej rodziny uchodzi Toya, jestem więc pewna, że seks ma z tym jakiś związek, jak zresztą w ogóle ze wszystkim.

Policja z La Porte często bywa w Cold Flat i szeryf De-gheyn świetnie zna Tidewaterów. Nie żeby policję wzywano wyłącznie z ich powodu, bo w Cold Flat mieszka wielu ludzi z marginesu. Moja matka o każdym coś wie. Mam się w ogóle nie zbliżać do tej miejscowości.

Toya Tidewater (obecnie pod trzydziestkę) dziesięć lat temu pracowała w Hotelu Paradise jako kelnerka. Miałam wtedy roczek albo dwa, więc rzecz jasna, w ogóle jej nie pamiętam (ale często się zastanawiam, ile wchłonęły moje dziecięce uszy i oczy). Matka czasem odwoziła ją do domu; a Lola Davidow do tej pory jeździ do Cold Flat po jajka, gdyż

z tego - z hodowli kur niosek - lub z wyrobu szmacianych dywaników utrzymuje się wiele tamtejszych rodzin. W Cold Flat Junction po prostu nie ma co robić, można tylko przeziadywać w jedynym barze u Rudy'ego (dokąd szeryf wzywany jest najczęściej) lub iść do jadłodajni na lunch.

Ale Cold Flat Junction ma jedną atrakcję, a jest nią stacja kolejowa. Nazwa miasteczka dokładnie je określa - *junction* to rozjazd, krzyżówka, stacja węzłowa; jak to się jednak stało, że wzniesiono w Cold Flat tak elegancki i naprawdę piękny budynek stacyjny, nie mam pojęcia. Niektórzy próbują snuć domysły. Podobno był tu kiedyś ważny węzeł kolejowy, tak powiadają, lecz to niczego nie wyjaśnia. Bo dlaczego Cold Flat Junction miałyby być ważnym węzłem kolejowym? La Porte, oddalone o zaledwie czternaście mil, jeden przystanek dalej, to znacznie większa miejscowość, i też jest tam ładny stary dworzec, a przecież nie ma porównania ze stacją w Cold Flat.

Nic tu człowieka nie zachęca, żeby na moment wysiąść z pociągu i potem wsiąść do niego z powrotem. To jedna z owych zapuszczonych dziur, z których zawsze chciałoby się uciec, ale niby jak, skoro Cold Flat jest, jakie jest. Na kurczakach i dywanikach niewiele da się zarobić i koło się zamyka. A w Cold Flat, porzuconym byle jak na pustkowiu, faktycznie jest zimno i płasko. Nie osłaniają go ani drzewa, ani góry, temperatura spada, a po okolicznych polach hula wiatr.

Zdaniem Marge Byrd okazały dworzec zbudowano tutaj dlatego, że właścicielem największego i najbardziej luksusowego hotelu w Spirit Lake było towarzystwo kolejowe; interesy wówczas kwitły i sądzono, że kurort będzie się rozwijał w nieskończoność. Lecz wywód Marge wcale nie wyjaśnia zagadki budynku stacyjnego w Cold Flat, który wygląda, jakby powstał o wiele wcześniej, zanim kolej zaczęła marzyć o ekspansji. Poza tym w jaki sposób Spirit Lake miałyby się rozrosnąć o osiemnaście mil?

W dni kupowania jajek nigdy nie udaje mi się zabrać do Cold Flat Junction. Czasem próbuję podsunąć ten pomysł Loli Davidow, proponuję, że chętnie poniosę jajka albo coś innego. Niestety, Lola (która zwykle z entuzjazmem pozwala mi na coś, czego zabrania mi matka) jakoś nie reaguje na te aluzje. Ale Ree-Jane z nią jeździ, nie bardzo wiem po co, pewnie tylko dlatego, żeby mi zrobić na złość. Domyśla się, że tamtejsza stacja oraz rodzina Tidewaterów bardzo mnie interesują, więc po powrocie z zapalem rozprawia o jednym i drugim (choć wiem, że stacja niewiele ją obchodzi, i że nie poznałaby Tidewatera, nawet gdyby się o niego potknęła). Wysiada z samochodu i, jak to ona, powoli wstępuje po stopniach hotelu, starannie demonstrując swoje wdzięki, za to jajek ani śladu - wszystkie jajka niesie jej matka.

A zatem - niezwykle bohatersko - udałam się pewnego dnia do La Porte i wskoczyłam do pociągu o 13.53, który zmierza do tak egzotycznej stacji docelowej, że nawet nie śmiem o niej marzyć. Ja chciałam tylko przejechać jeden przystanek. „Wskoczyłam” to nader właściwe słowo - dałam bowiem susa do wagonu, gdy konduktor się odwrócił, aby sprawdzić skład pociągu, po czym przez całą piętnastominutową podróż gorączkowo przemierzałam korytarze, udając, że szukam swego miejsca obok dorosłej osoby, która zapłaciła za mój bilet. W każdym razie tak zapewne pomyślał konduktor, bo ani razu mnie nie zagadnął. Czasem dobrze jest być kimś bardzo młodym - nikt nie zwraca na człowieka uwagi.

Cold Flat to następny przystanek i tu wyskoczyłam z pociągu. Nikt nie wszedł i nikt nie wysiadł oprócz mnie.

Przystanąłam na chwilę w podmuchu wiatru, wzniesionym przez pociąg, oddalający się ze stukotem po torach, i spojrzałam na budynek dworca. Był ogromny, zbudowany z cegły koloru wina, i miał wieżyczkę z kopułą. Mimo przez lata opadającej sadzy i dymu węglowego wyglądał niesamowicie czysto, podobnie zresztą jak peron. Zauważyłam, że jego ciemne i chłodne wnętrze również jest nieskazitelne,

a przynajmniej takim się wydawało. Mnóstwo połyskującego mahoniu oraz dębowych lub leż sosnowych ławek - i ani jednego papierka.

Zastanawiałam się właśnie, czy nie wejść do budynku, aby mu się bliżej przyjrzeć, kiedy wyszła z niego dziewczyna, a właściwie młoda kobieta, którą oceniałam na góra dwadzieścia lat. Jej wzrok ześliznął się po mnie gładko jak atlas po jedwabiu i pozostał całkowicie obojętny - tu, w tym miejscu, gdzie działo się tak niewiele, że obca osoba powinna zasłużyć choćby na krótkie spojrzenie. Jedno z dwojga, pomyślałam: albo moja obecność nie jest w stanie wzbudzić niczyjej ciekawości, albo dziewczyna jest niezmiernie pochłonięta swoimi sprawami. Zaciekawilo mnie, jakie to mogą być sprawy. Nie niosła walizki, a jej strój nie nadawał się do podróży, przynajmniej nie do dalekiej. Płócienna sukienka z dekoltem w kształcie serca nie miała rękawów, tylko małe, marszczone skrzydełka, okrywające ramiona, a wcięta talię podkreślały związane z tyłu troczki. Była jasnoblękitna, sprana, niemal tak błada jak świt.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła na tory w jedną i w drugą stronę, jakby zdziwiona, gdzie podział się pociąg, po czym odwróciła się i usiadła na jednej z ławek. W rękę trzymała tylko portmonetkę.

Nie chciałam, by zauważyła, że się jej przyglądam, więc udałam, że pilnie studiuję wywieszony za szkłem rozkład jazdy. Wiedziałam, kiedy kursują pociągi między La Porte i Cold Flat Junction, i pamiętałam, że powrotny mam dopiero późnym popołudniem (dokładniej mówiąc, o 16.32), gdyż oczywiście sprawdziłam to już wcześniej. Ale co ona tu robi? Zrezygnowałam z czytania rozkładu i spojrzałam na nią całym otwarcie, bo najwyraźniej nie zwracała na mnie uwagi. Nie istniałam dla niej - nie obchodziło jej nic oprócz tego, co kryło się za horyzontem.

Zauważyłam to wszystko dlatego, że była bardzo ładna. Chyba nawet piękna - włosy miała tak jasne i cienkie, że w świetle słońca wyglądały jak włókna dmuchawca, a oczy

barwy Jeziora Duchów - ciemnoszarej, dobrze mi znanej barwy, migotliwej i zmiennej, zależnej od kąta padania światła.

Zaciekawiło mnie, co taka dziewczyna robi w Cold Flat. W niczym nie przypominała ludzi, którzy wysiadali z autobusu Tabernakulum Pierwszej Unii; ci mieli grube rysy - „pospolite”, powiedziałaaby moja matka - jakby jakiś garniarz za wcześniej zatrzymał koło, zostawiając niewykończone, ciężkie twarze, nierówne i toporne. Wszyscy, bez względu na wiek i płeć, nawet małe dzieci, wyglądali, jakby koniecznie powinni wrócić do garniarza, aby dokończył robotę. Ale może wcale nie byli typowi dla Cold Flat Junction, może to przynależność do Tabernakulum Pierwszej Unii oddziałuje na człowieka w ten sposób? Tak czy inaczej, miałam przed sobą dziewczynę o włosach jak dmuchawiec, która siedziała całkiem nieruchomo, ze złączonymi stopami, i odwróciwszy głowę, wlepiała wzrok w tory na horyzoncie, skąd właśnie przyjechałam.

Pamiętam niebo. Było niezwykle, można by rzec, białe - mleczna, gęsta biel, w której nic się nie unosiło, jak jakaś gigantyczna stronica z wypłowiałym drukiem, nieprzezroczysta i nieczytelna. Nie jestem zbyt spostrzegawcza: nie zwracam uwagi na korę drzew, wzory na liściach i na ptasich skrzydłach, nic z tych rzeczy. Moja matka zna każdy kwiatek, jaki kwitnie na świecie, Marge dostrzega każdego ćwierkającego ptaka, ja natomiast pozostaję ślepa na kwiaty i głucha na ptaki. Całe szczęście, że nie do mnie należy spisywanie księgi przyrody. Ale tego nieba nie zapomnę nigdy. Nic nie mąciło jego przepastnej białości, ani strzęp obłoku, ani smuga jaskółek, ani chorowity, poroniony, porzucony nocą księżyc. Horyzont wyglądał jak szara niewyraźna linia i w tamtą właśnie stronę patrzyła dziewczyna. To niebo było niczym sąd, ale nie miałam pojęcia nad kim.

Na prawo, po drugiej stronie torów, widniały jakieś zabudowania, małe zakłady i sklepy. Dostrzegłam duży czerwono-biały znak Esso, sklep wielobranżowy oraz bar z napisem

„Obiady”, i tam właśnie skierowałam swoje kroki. Droga okazała się dłuższa, niż przypuszczałam, pustka krajobrazu mamila i oszukiwała wzrok, niemniej po dziesięciu minutach znalazłam się w jadłodajni Na Wietrznym Szlaku, a pociągnięte mocną sprężyną drzwi ze szkła i metalu zamknęły się za mną z sapnięciem.

Inaczej niż na dworcu, tutaj wzbudziłam pewne zainteresowanie. Głowy, tkwiące jedna przy drugiej przy kontuarze, odwróciły się ku mnie, zauważyłam też kilka skinięć oraz bladych uśmiezków. Zapewne zebrani uznali, że moi rodzice zatrzymali się na stacji Esso po benzynę.

Kiedy kelnerka plasnęła bloczkiem o kontuar (dając do zrozumienia, że pora coś zamówić), poprosiłam o coś, okropnie żałując, że nie mogę zdecydowanym tonem zamówić kawy, mimo że jej właściwie nie lubię.

Jeżeli nawet miałam jakiś plan, to był on bardzo ogólny; może uznałam, że kiedy już się znajdę wśród miejscowych, ci zaczną trąkotać jak najęci o innych mieszkańcach miasteczka i z pewnością usłyszę coś o Tidewaterach. Nic podobnego. Dwaj starcy po prawej zachowywali grobowe milczenie - jedynym dźwiękiem, który dochodził z ich strony, były stuknięcia metalu o fajans, gdy sypali do kubków potężne ilości cukru - a kobieta po lewej nieustannie żuła gumę, w przerwach zaciągając się papierosem i poprawiając grube okulary zjeżdżające z jej krótkiego nosa.

Kelnerka (na plakietce, takiej samej jak u Maud, widniał napis „Louise Snell, wł.”) zagadnęła mnie przyjaźnie:

- Skąd jesteś, złotko?

Skłamałam, że aż z Comus, które leży ponad trzydzieści mil za Cold Flat. Pomyślałam, że Comus to duże miasto i Louise się nie zdziwi, że nigdy mnie przedtem nie widziała. Chciałam dowiedzieć się czegoś o Tidewaterach, byłam też bardzo ciekawa, kim jest dziewczyna ze stacji kolejowej, ale nie miałam pojęcia, jak o to zapytać. Za to sprowadzenie rozmowy na Tidewaterów przyszło mi z łatwością; wystarczyło,

że powiedziałam, że w Cold Flat mieszka moja znajoma, która nazywa się Toya Tidewater.

Pamiętając zaciśnięte usta matki i jej srogie spojrzenia towarzyszące każdej wzmiance o Tidewaterach, byłam przygotowana, że osoby przy barze ofukną mnie z oburzeniem. Nic takiego się nie stało. Tylko jeden ze starszków po prawej obrzydliwie charknął flegmą, nadal jednak gapił się w swoje odbicie w lustrze, jakby zahipnotyzowany własnym wizerunkiem.

Louise Snell zawołała do siedzącego na końcu kierowcy ciężarówki imieniem Billy, czy nie wie, gdzie mieszka Toya Tidewater, może w tym zrujnowanym domku na Swansdown Road. Billy odkrzyknął, że nie, skądże, dom należy do Simpsonów, a Tidewaterowie mieszkają przy drodze do Lonemeadow. Zaprzeczyła temu natychmiast kobieta z lewej, twierdząc, że żadnych Tidewaterów tam nie było, przynajmniej nie ostatnio, a Billy pewnie ma na myśli starego Joe, który przecież nie żyje. Billy się naburmuszył, pewnie dlatego, że kobieta wytknęła mu błąd, i wrzasnął przez cały bar, że może stary Joe faktycznie umarł, ale to nie znaczy, że nie miał rodziny w Lonemeadow. Na te słowa kobieta i mężczyzna siedzący przy jednym z krytych laminatem stolików, których równy szereg stał pod ścianą, postanowili włączyć się do dyskusji i oświadczyli, że oboje przedmówcy się mylą, bo Tidewaterowie w zeszłym roku przenieśli się do Dubois - przynajmniej niektórzy (nieśmiało bąknął mężczyzna do kobiety). Spór o miejsce zamieszkania Tidewaterów wkrótce zamienił się w zgadywanek na temat ich rodziny, kto był czyim dzieckiem, kto poszedł do pracy w Comus i która z dziewczyn wyszła za jakiegoś Mervina. Nieznane imiona pojawiały się i unosiły jak piana na falach konwersacji (Mattie Mae... Abraham... Joleen i tak dalej, i tak dalej), aż w końcu wszyscy zapomnieli o moim pierwotnym pytaniu o Toyę i w ogóle o mojej osobie. Wzięłam więc po prostu rachunek i poszłam zapłacić do kasjera, chudego chłopaka, który zapamiętałe czytał komiks, siąkając nosem z powodu

ciężkiego kataru, i najwyraźniej nie należał do wielbicieli Tidewaterów, gdyż ledwie spojrzął na pieniądze, a na mnie w ogóle nie podniósł wzroku.

Znalazszy się znów na wąskim chodniku przy autostradzie, zadałam sobie pytanie, co dalej. Pewnie mogłam rzucić okiem na drogę do Lonemeadow (to znaczy, gdybym ją znalazła), ale skąd bym wiedziała, czy w domu na jej końcu mieszkają Tidewaterowie, skoro nawet bywalcy baru Na Wietrznym Szlaku nie byli co do tego zgodni?

Jak już mówiłam, bar należy do nielicznych przedsiębiorstw w Cold Flat. Tuż za nim tory kolejowe ukośnie przecinają jedną z dwóch tutejszych „autostrad” (niewiele szerszych od zwykłej szosy). Kiedy tak stałam odwrócona tyłem do stacji, dobiegł mnie odgłos nadjeżdżającego pociągu (chyba towarowego). Zrobiłam kilka kroków w stronę torów - zawsze kochałam pociągi i ich smętny gwizd, jak zresztą chyba wszyscy. Skład minął mnie ze stukotem, a konwojent wychylił się i pomachał mi ręką. Odmachałam mu z dziwnym uczuciem; wyobraziłam sobie, że wziął mnie za mieszkankę Cold Flat Junction i tym samym przypisał mi nowe miejsce i nową tożsamość.

Zawróciłam bez specjalnego celu. Ulica była pusta, tylko w oddalonym od drogi domu uchylili się drzwi i jakaś kobieta chlusnęła na podwórze zawartością wiadra, po czym szybko cofnęła się do środka. Idąc dalej, natknęłam się na biały drewniany budynek szkolny, z tych, jakie czasem widuje się na ilustracjach, podobny do wiejskiego kościółka z wieżyczką i dzwonnicy. Najwyraźniej w szkole nie odbywały się zajęcia, co mnie zdziwiło, gdyż był dopiero maj. Nie przywiązuję większej wagi do wakacji szkolnych, bo na ogół i tak muszę porzucać naukę w miejscu, gdzie spędzamy zimę, żeby zdążyć na wiosenne otwarcie hotelu. W głębi boiska kilkoro dzieci rzucało piłkę do kosza, a tuż za siatkowym ogrodzeniem stała samotna dziewczynka i nieruchomo wpatrywała się w przestrzeń. Jedną rękę wczepiła w oczka siatki, drugą przyciskała do twarzy walcowaty przedmiot, jakby

tubkę, w którym, zbliżywszy się, rozpoznałam pudełko bierrek. Gapiała się tak intensywnie, że uznałam to za wyraz zainteresowania moją osobą, ale myliłam się - patrzyła przeze mnie na wylot. Wszystko w niej robiło wrażenie spranego: miała wyblakłe dzinsy, przejrzyste jasnoszare oczy, dziwnie pozbawione głębi, bladą skórę i włosy, które wyglądały jak wypłukane w chlorku. Jej bezbarwność była wręcz niepokojąca, jakby stanowiła fragment owego białego, „sądowego” nieba.

Przypuszczałam, że mi nie odpowie, lecz mimo to podeszłam bliżej i zagadnęłam ją o Tidewaterów. Zacisnęła palce na siatce i znów je rozluźniła, ale nie odezwała się ani słowem. Przywarłam do ogrodzenia i również przyłożyłam dłoń do siatki. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, lecz mój gest podziałał niemal jak sekretny sygnał - najcichszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałam, dziewczynka zapytała mnie, czy zechcę zagrać w bierki. Jasne, odparłam, aczkolwiek uważam, że jestem już trochę za duża do tej gry (choć zawsze czułam do niej tajemne upodobanie).

Podeszłam więc do bramy, po czym usiadłyśmy we dwie na krawędzi trawnika i rozsypałyśmy kolorowe patyczki na betonie. Świetnie grała, znacznie lepiej niż ja. Gra w bierki nie jest trudna, lecz wymaga cierpliwości, skupienia i koordynacji, gdyż podnosząc jedną bierkę za pomocą drugiej, trzeba bardzo uważać, by nie potrącić trzeciej. Dziewczynka podnosiła połowę bierek za jednym zamachem - ja zbierałam około sześciu, ona całą resztę. Po zakończeniu partii wsunęła bierki do tuby. Nigdy nie dowiedziałam się, jak miała na imię - równie dobrze mogła być jedną z Tidewaterów.

Za szkołą mieściła się poczta, szary budynek z betonowej kostki, z amerykańską flagą, oklapniętą wysoko na maszcie. Pomyślałam, że głupio zrobiłam, nie przychodząc tu od razu: na poczcie na pewno wiedzą, gdzie szukać rodziny o nazwisku Tidewater. Albo rodzin, bo najwyraźniej było ich więcej.

Wewnątrz płonęły jarzeniówki, nieosłonięte i jakby nie z tego świata. Na ścianie na wprost ujrzałam rzędy stalowych skrytek, takich, jakie się wynajmuje, żeby otrzymywać prywatną korespondencję w całkowitym sekrecie. Na naszej poczcie w Spirit Lake (znacznie przytulniejszej niż budynek w Cold Flat) też są takie skrytki, tylko drzwiczki mają ze szkła łączonego z metalem, bardzo stare, pewnie zabytkowe.

Kiedyś, dawno temu, podniecające zadanie odbierania poczty należało do mnie i mojego brata Willa. Przy klubie tenisowym wstępowaliśmy na długi drewniany chodnik, obrośnięty drzewami i krzewami, po czym podążaliśmy wzdłuż szosy aż do stacji kolejowej i budynku poczty. Nie śpieszyliśmy się specjalnie; przed wizytą na poczcie, albo po niej, szliśmy do Grega na oranżadę i księżycowy placek (to ulubiony zestaw przyjaciela Willa, Brownmillera; chyba Will zamawiał go na jego cześć, jakby chodziło o jakiegoś bohatera wojennego, choć w rzeczywistości Brownmiller mieszka zaledwie o sto mil stąd). Potem stawialiśmy szklanki z oranżadą na automacie do gry, który Will zamęczał na śmierć, sprawnie zdobywając darmowe rozgrywki (choć nie tak sprawnie jak Brownmiller).

Ale to było kilka lat temu, zanim Lola Davidow zaczęła jeździć na pocztę samochodem. Teraz robi to również Ree-Jane, zwłaszcza odkąd ma ten swój nowy kabriolet - Bóg świadkiem, że Ree-Jane nie zamierza nigdzie chodzić. Odbieranie listów to kolejna rzecz zawłaszczona przez te Davidow, co między innymi oznacza, że kiedy ktoś do mnie pisze - co zdarza się nader rzadko - pani Davidow albo Ree-Jane pierwsze odbierają przesyłkę i, na domiar złego, od nich dowiaduję się, od kogo przyszła. To psuje całą przyjemność, bo gdy list wreszcie do mnie trafia, jest jakby zużyty, wyprany z czarodziejskiej mocy, jaką ma nieotwarta poczta. No i oczywiście Ree-Jane nie ma dla mnie litości. Po prostu nie potrafi zostawić listu w recepcji albo zwyczajnie mi go oddać. Nie, musi urządzić całe przedstawienie, bez przerwy gada o nadawcy i moich stosunkach z nią lub z nim („z nim”

zawsze jest gorzej) albo otwiera list „przez omyłkę”, udając, że wzięła go za rezerwację pokoju, czasem zaś nawet „zapomina” mi go przekazać i przyznaje się dopiero po kilku dniach lub nawet po tygodniu. Kiedy Ree-Jane skończy z moim biednym listem, błednie na nim nawet atrament - a już z pewnością błednie podniecenie związane z jego otrzymaniem.

Zawsze więc chciałam wynająć jedną z tych małych, metalowych skrytek, żeby spokojnie sama odbierać pocztę, tylko do mojej wiadomości.

Dla Willa i dla mnie szczytowym momentem dnia był widok pliku białych kopert za szklanymi drzwiczkami, niekiedy urozmaicony niebieską paczką lub oficjalnie wyglądającą brązową przesyłką. Nawet pokrętko sztyfrowego zamka otwieraliśmy na zmianę. Czasem dostawaliśmy od matki pieniądze na zakup znaczków, z czego ogromnie się cieszyłam, bo dzięki temu zyskiwałam pretekst do rozmowy z kierowniczką poczty, panną Crosby.

Panna Crosby siedzi w półokrągłym okienku i jest to jedyne miejsce, z którego da się zajrzeć na zaplecze, gdzie na ogromnym stole piętrzą się sterty paczek i listów. Przez to okienko, wyposażone w drewnianą przegródkę, panna Crosby sprzedaje znaczki, wydaje resztę, a także w pewnym stopniu udziela informacji. Kiedy zamyka na lunch (herbata, kanapka z tuńczykiem i ciasto z cukierni) albo wychodzi w jakiejś sprawie, zasuwą przegródkę; bywa też, że wręcz ją zatrzaskuje, na przykład wtedy, gdy zadają zbyt dużo pytań. Prawdę mówiąc, panna Crosby czasem zamyka okienko tylko dlatego, że nie ma ochoty wystawiać się na widok publiczny - nikt przecież nie sprawdzi, czy nie ukrywa się gdzieś z tyłu z filiżanką herbaty i kawałkiem ciasta. Uważam, że ma najbardziej godną pozazdroszczenia pracę na świecie, ukryta na zapleczu z herbatą, ciastkami i całą tą masą przesyłek.

Ale lokal poczty w Cold Flat był znacznie bardziej oficjalny i bezosobowy. Niewielkie pomieszczenie dzielił na pół wąski kontuar; osoba za nim stojąca pewnie czuła się całkowicie

obnażona, tyle że owego dnia nikt za nim nie stał. Z zaplecza nie dobiegał żaden dźwięk, nic się nie poruszało, z wyjątkiem wiatraka pod sufitem, który obracał się wolno, cicho poświstując.

Osoba przypuszczalnie korzystała z toalety, postanowiłam więc zaczekać. Przeczytałam dwa listy gończe i zamyśliłam się nad losem ściganych mężczyzn. Nazwisko jednego z nich, które natychmiast przykuło moją uwagę, brzmiało Drinkwater, drugi nazywał się Waters. To pewnie krewni, pomyślałam, może nawet bracia, poza tym byli do siebie bardzo podobni; niewykluczone, pomyślałam, że jeden z nich po prostu odjął (albo dodał) sobie sylabę, naiwnie próbując zmienić tożsamość. Naprawdę ich podobieństwo było zdumiewające. Ale wówczas jak przez mgłę przypomniałam sobie inne obwieszczenia tego typu, na których ścigani zawsze wyglądali tak samo, więc odnotowałam tylko w pamięci, żeby zapytać szeryfa, jak to możliwe. Czyżby wszyscy przestępcy mieli ciemne włosy i cienkie, pajęczne wąsiki opadające na kąciki ust? I małe oczka jak paciorki? Zaplotłam ręce za plecami i kiwając się na piętach, przeczytałam, co przekrobali ci ludzie. Obaj dopuścili się włamania - przestępstwa, które zasadniczo jest dość nudne, ale to dokonane zostało z bronią w ręku, co czyniło je ciekawszym. Wycelowałam więc palec i zastrzeliłam ich obu.

Nadal nikt się nie pojawiał. Podeszłam do stojaka z widokówkami, przedstawiającymi La Porte, Cloverly, dworzec w Cold Flat oraz kościół, po czym wybrałam dworzec i Tabernakulum. Wymyśliłam sobie, że kupię dwa znaczki, aby uzasadnić swoją obecność na pocztce, a później niby to mimochodem zapytam o Tidewaterów. Wizerunki Drinkwaterów (na pewno byli braćmi!) bardzo mi to ułatwiły - teraz mogłam ze śmiechem powiedzieć urzędniczce (albo urzędnikowi), że czytając obwieszczenie, niemal umarłam ze strachu, bo wydawało mi się, że ścigani noszą nazwisko Tidewater, co nie było prawdą, ale mogło nią być. Choć jednak zaplanowałam wszystko bardzo sprytnie (z pewnością

sprytniej, niż zrobiliby to Drinkwaterowie, gdyby ich złapano), nic z tego nie wyszło, ponieważ nikt się nie zjawił, mimo że czekałam jeszcze dziesięć minut. Nie da się w ten sposób rządzić krajem. Położyłam na kontuarze dwie dziesięciocentówki, zabrałam widokówkę i wyszłam.

Na zewnątrz spojrzałam na widokówkę. Oczywiście! Ależ ja jestem głupia! Tabernakulum Pierwszej Unii! Wielebny, kaznodzieja czy jak go tam zwać, z pewnością będzie wiedział, gdzie mieszkają Tidewaterowie, a także co to za ludzie! Po jego minie od razu się domyśle, czy pójdą do piekła, czy też gorliwie chodzą do kościoła!

W oddali ujrzałam wieżę kościelną, a ponieważ nigdzie nie dostrzegłam innej świątyni, szybkim krokiem ruszyłam w jej kierunku. Wtem rozległo się głośnie bicie dzwonu. Pomyślałam, że to znak, iż jestem na właściwym tropie, maszerowałam więc śmiało przy wtórze kolejnych uderzeń, gdy nagle uświadomiłam sobie, co słyszę - wybiła czwarta! Nie mogłam iść do kościoła, bo nie zdążyłabym na jedyny pociąg do domu.

Pokonana, zawróciłam na stację.

I nie zobaczyłam ani jednego Tidewatera.

8.

W niedzielę zasiadłam na przystanku, aby przyjrzeć się pasażerom wysiadającym z autobusu Tabernakulum Pierwszej Unii. Usiłowałam wypatrzeć dziewczynę spotkaną na dworcu - odkąd ją ujrzałam, nie dawała mi spokoju myśl, w jakim stopniu jej osoba odstaje od Cold Flat Junction, zupełnie jak w kinie, kiedy ktoś przechodzący przed ekranem zasłania na moment aktorów, wyrrywając nas z rozmarzenia. Ale w autobusie jej nie było, więc uznałam, że pewnie nie podziela wiary wyznawców Tabernakulum.

Tego dnia ławkę przed sklepem Brittena zajmował staruszek w spłowiałej niebieskiej czapce pracownika kolei, który zawsze żuje tytoń i wyciąga go z ust jak ja toffi. Kupiłam u Brittena paczkę suszonych owoców jujuby, po czym przysiadłam na drugim końcu ławki, żeby zaczekać na Uluba i Ububa. Staruszek zerknął na mnie z ukosa; pewnie sądził, że skoro pojawił się ktoś nowy, to dzieje się coś ciekawego. Oczywiście, już sto razy widział, jak wchodzę do sklepu i z niego wychodzę, ale wspólne przesiadywanie na ławce to była dla niego nowina.

- ...brywieczór - mruknął, chociaż było dopiero popołudnie. Pewnie jadał kolację około czwartej, jak wielu starych ludzi, którzy często wstają naprawdę wcześniej - założę się, że o świcie - i równie wcześniej chodzą spać.

- Cześć - odparłam z uśmiechem i na tym skończyła się nasza rozmowa.

Siedzieliśmy więc, licząc samochody, ja gryząc jujuby, on żując tytoń, aż na żwirowej ścieżce prowadzącej do sklepu zjawili się Woodowie. Weszli do środka, lecz zaraz wyszli, każdy z butelką soku z winogron, po czym skinęli mi głowami i uśmiechnęli się uprzejmie. Też się uśmiechnęłam i wstałam, żeby ustąpić im miejsca, na co Ubub rzekł:

- Jaadaj, jaadaj.

Domyśliłam się, że chce powiedzieć: „Siadaj, siadaj”, bo machnął ręką w stronę ławki. Usiadłam więc ponownie przy dziadku w kolejowej czapce, Ubub z drugiej strony, a Ulub na końcu.

Teraz już było nas czworo. Poczęstowałam wszystkich jujubami. Każdy wziął po jednej - to niewiele, jeśli znacie jujuby. Ulub zaczął, żeby zobaczyć, co zrobi Ubub, a kiedy ten schował owoc do kieszeni koszuli, postąpił tak samo ze swoim. Dziadek w kolejowej czapce, który nie włożył tego dnia zębów, zaczął mielić jujubę dziąsłami, mieszając jej słodycz z aromatem tytoniu Mail Pouch. Jeśli ma się zęby, trzeba bardzo uważać na jujuby - wciskają się w najmniejszą

szczelinę jak cement, kiedyś nawet powiedziałam Marge, że miejski dentysta mógłby ich używać zamiast plomb.

Zgromadzeni wyglądali na bardzo zadowolonych z mojej obecności. Pomyślałam, że chyba nieźle pasujemy do siebie, siedząc razem, jedząc łakocie, pijąc napoje i żując tytoń. Zawsze byłam pod tym względem nietypowa - umiem wtopić się w otoczenie i przybrać zabarwienie stosowne do okoliczności. Czasem sędzę, że można mnie wykorzystywać do łatania dziur, tak dalece staję się tym, co jest dokoła. Chciałabym myśleć, że to jakaś zaleta, ale nie mam co do tego pewności.

Tak czy owak wyglądało na to, że przynajmniej tym razem moja obecność stanowi przyjemną odmianę. Woodowie znają mnie z widzenia; mieszkają w starym drewnianym domu na błotnistej ćwierćakrowej posesji na tyłach naszego hotelu i czasem wykonują dla nas cięższe prace. Nasz regularny stróż, Wilton Macreedy, który ich nie lubi, twierdzi, że to „idioci” i „niedorozwoje”. Co do mnie, to nie znam większego idioty niż Wilton Macreedy, pijak i obibok, wiecznie przesiadujący w grill-barze El Lobo, tym samym, od którego zdaniem szeryfa Ree-Jane powinna się trzymać z daleka. Bar leży w połowie drogi między La Porte i Hebrides, a Wilton Macreedy jeździ tam swym starożytnym fordem pick-upem i wszczyna bójki, gdyż jest wredny i zawistny z natury. Trzeba być naprawdę ubogim duchem, żeby zazdrościć cze-
gokolwiek braciom Wood, ale to właśnie cały Wilton.

Nie chciałam zwracać się do nich „Ulub” i „Ubub”, bo nie byłam pewna, czy ich przypadkiem nie urażę. Z drugiej strony, nie mogli przecież obaj mieć na imię Bob. Chwilę się zastanawiałam, po czym wymyśliłam: rzecz jasna, najlepsza będzie forma „panie Wood”. A zatem zapytałam pana Wooda (Ububa), czy to prawda, że czterdzieści albo i więcej lat temu on i drugi pan Wood (tu skinęłam głową w stronę Uluba) pracowali u panien Devereau, w dużym domu nad jeziorem. W tym domu, gdzie teraz już nikt nie mieszka.

- Eh pomyle. Deu-rou - rzekł Ubub, marszcząc czoło z wysiłku.

Aż podskoczyłam, słysząc, jak wymawia „reau” w słowie „Devereau”; z ochotą natychmiast zaprowadziłabym go do hotelu, żeby Ree-Jane mogła sobie z nim pogadać. Wymawiał owo zwariowane francuskie nazwisko dokładnie tak, jak sobie życzyła, jak na zamówienie! Wyobraźcie sobie - Ubub Wood jako jedyny człowiek, który naprawdę umiałby poprawnie powiedzieć „Réjane”! Zapamiętałam sobie, żeby jej to powtórzyć przy pierwszej okazji.

Ulub wpatrzył się w Ububa, naśladując ruchy jego ust, po czym energicznie przytaknął.

- Paasoam am eeno aa-o - dodał zadowolony Ubub.

Obróciłam te dźwięki kilka razy w umyśle, aż w końcu uznałam, że Ubub chciał powiedzieć: „Pracowałem tam jedno lato”. Powtórzyłam to na głos, żeby się upewnić, a Ubub skwapliwie kiwnął głową. Ulub aż się uśmiechnął, widząc sukces brata.

Pewnie byłoby lepiej, gdybym zadawała pytania, na które można udzielić odpowiedzi tak albo nie, jednak nie byłam pewna (oprócz sprawy kota), czego właściwie chcę się dowiedzieć, a poza tym uznałam, że to trochę obraźliwe. Skoro Ubub miał ochotę podjąć trud rozmowy, to ja również powinnam się wysilić. Wtem przyszło mi do głowy pytanie, które mogło wiele wyjaśnić.

- Lubił je pan? Te panny Devereau?

Obaj gwałtownie pokręcili głowami.

- Neel - sylaba niemal wyrwała się z ust Ububa.

- Jak to? - zapytałam

Zauważyłam, że żujący tytoń dziadek zaplótł dłonie, wsparł łokcie na kolanach i aż wychylił się naprzód, tak bardzo pragnął poznać odpowiedź.

Ubub wyciągnął długą szyję, spojrział w niebo i podrapał się w kark, jakby obmyślając najlepszy sposób wyrażenia tego, co zamierzał mi oznajmić. W końcu rzekł:

- Oe ne miły.

Ulub żywo przytaknął bratu skinieniem głowy.

„Oe ne miły” - powtórzyłam w myślach kilkakrotnie, usiłując rozwikłać zagadkę. Oe ne miły. Byłam niemal pewna, że „oe” znaczy „one”, więc „oe ne” musiało oznaczać „one nie”. Ale „miły”? O co tu chodziło? Za nic nie chciałam, by Ubub zaczął podejrzewać, że nie rozumiem, co mówi, więc usiłowałam zachowywać się tak, jakbym rozważała wnioski z jego słów, a nie same słowa.

- Hmm - mruknęłam, również patrząc w niebo. - A więc one nie...

- Moo...iły - powtórzył, próbując wydobyć z siebie dźwięk, który, idę o zakład, z pewnością był spółgłoską.

- Mówiły! - wykrzyknęłam. - One nie mówiły?

Znów obaj radośnie przytaknęli.

- Panie Wood, chce pan powiedzieć, że siostry Devereau się nie odzywały?

Kiwnięcie głową.

- To znaczy, do pana?

Przeczący ruch głowy. Obu głów. Nie, nie całkiem o to im chodziło.

- Zee... ooo... zeeobo.

Biedny Ubub, tak bardzo się starał, żeby go zrozumiano.

Staruszek obok, podobnie jak ja, z natężeniem rozmyślał nad tą wymianą zdań. Zdjął czapkę, podrapał się w siwą szczecinę, po czym znów włożył czapkę i podsunął:

- Ze sobą? Chcesz powiedzieć, że nie rozmawiały ze sobą?

Ubub i Ulub gorliwie kiwnęli głowami, najwyraźniej niewymownie mu wdzięczni.

Dziadek, wielce zadowolony, splunął strumieniem tytoniu, jakby sobie na to zasłużył.

To przypominało rozwiązywanie rebusów. Ale dlaczego, chciałam zapytać, dlaczego? Wątpiłam jednak, czy któryś z nich zdołałby udzielić odpowiedzi, nawet gdyby ją znał.

- To znaczy, że nigdy nie słyszeliście, żeby do siebie mówiły?

- Aii do aarew... - Ubub wykrzywił twarz. Jak wspinacz szukający bezpiecznego stopnia na szklanej górze, usiłował zaczepić językiem o zamknięte w ustach dźwięki, które osuwały się, nie dając oparcia.

Patrzyliśmy w napięciu, nie mogąc oderwać odeń wzroku.

W końcu wyrzucił z siebie:

- Murra.

Ulub przytaknął.

- Aeeiw... yn - dodał Ubub.

Mary-Evelyn! - pomyślałam, i w tej samej chwili staruszek klepnął się w kolano i zawołał:

- Mary-Eva!

- Mary-Evelyn - poprawiłam. - To znaczy, że siostry nigdy nie rozmawiały z Mary-Evelyn?

Bracia popatrzyli na mnie, na dziadka i na siebie nawzajem, cały czas kiwając głowami.

- Ale...

Byłam wstrząśnięta. Wstrząśnięta. Nic, co usłyszałam od matki (lub kogokolwiek innego) o siostrach Devereau, nie wskazywało, że były choć trochę nienormalne. Matka nigdy nie wspomniała ani słowem, że nie mówiły, nic z tych rzeczy. Przychodziły do hotelu, razem lub parami (nigdy samotnie), przyprowadzały ze sobą Mary-Evelyn, zamawiały posiłki i zapewne rozmawiały z innymi gośćmi jak wszyscy. Nie chodziło więc o to, że nie mogły mówić, ale o to, że nie chciały.

Odruchowo poderwałam się z ławki i stanęłam przed braćmi Wood. Może lepiej zrozumieję słowa Ububa, stojąc z nim twarzą w twarz?

- Nigdy nie słyszeliście, żeby odzywały się do Mary-Evelyn?

Ubub stanowczo pokręcił głową, a za nim Ulub i bynajmniej nie wyglądało na to, że bezmyślnie naśladuje brata. Nie, nigdy nie słyszeli, żeby któraś z siostr cokolwiek powiedziała do dziewczynki. Wtem Ubub przemówił:

- Myy-eelii-my eeoo diine.

Odwrócił się do Ułuba i obaj znów potakująco kiwnęli głowami.

Staruszek, który jako nowy Oficjalny Tłumacz zdążył tymczasem przysunąć się bliżej, poruszył ustami w ślad za Ulubem.

- Dziwne! Myśleli, że to dziwne!

To znaczy, Woodowie tak myśleli.

Bracia odwrócili się do niego i uśmiechnęli szeroko. Dla mnie to było więcej niż dziwne - było straszne.

- Ale pracowaliście tam bardzo krótko - podsunęłam. - Może nie rozmawiały ze sobą przy obcych. Albo coś w tym rodzaju.

Ulub zadumał się, podnosząc do czoła długie, wysmarowane olejem palce, ale za chwilę jego twarz nabrała stanowczego wyrazu. Pokręcił głową, cicho odchrząknął kilka razy i spojrział w górę, zaciskając i otwierając szczupłe dłonie. Miał wygląd człowieka, który zamierza zrobić panu Bogu awanturę i nie powiem, bym się mu dziwiła (wiem co nieco o awanturach). Potem opuścił głowę, jakby popadł w niełaszkę (niełaszkę też znam całkiem nieźle), a Ulub po prostu położył rękę na jego ramieniu i głaskaniem wprowadził w stan mrocznego, nieszczęśliwego wyciszenia.

Pomyślałam, jakie to okropne nie móc się wyjęzyczyć (choć przychodzi mi do głowy kilka osób - przede wszystkim Lola Davidow - które nie przejęłyby się zbytnio, gdyby mnie spotkał taki los). A ponieważ byłam niemal pewna, że Woodowie nie umieją pisać ani czytać, wyobraziłam sobie, jak to jest nie mieć żadnej możliwości porozumienia, chyba że znajdzie się ktoś, komu naprawdę zależy, żeby zrozumieć, tak jak ja teraz.

A jednak obaj razem (nigdy nie pojawiali się oddzielnie) wyglądali na zadowolonych z życia. Zawsze uważałam, że uwagi na temat cudzego szczęścia - to znaczy rozważania, czy ktoś jest szczęśliwy, czy nie - to straszna głupota, ale Woodowie przez większość czasu naprawdę sprawiali

wrażenie mniej więcej szczęśliwych. Na przykład kiedy jedli lunch w Tęczy i przysłuchiwali się żartom siały cli bywalców przy barze, uśmiechali się, jakby także brali udział w tych wygłupach. Oczywiście, lubili Tęczę przede wszystkim ze względu na Maud, która zawsze upiera się, żeby obsługiwać ich osobiście i nie dopuszcza do nich Shirl. Shirl im dokucza - potrafi zmieścić mnóstwo złości w jednym uśmieszku (nawet ten uśmieszek jest wredny moim zdaniem) i udaje, że nie rozumie, kiedy Ulub albo Ubub pokazują coś w jadłospisie - natomiast Maud zawsze im doradza, kiedy w karcie jest coś specjalnego, i podpowiada lepsze dania. To im się naprawdę podoba, lubią być traktowani jak inni goście, czasem wręcz zastanawiają się nad zamówieniem, chociaż w końcu i tak zawsze biorą to samo: sandwich z pieczenia wołową na gorąco i purée z ziemniaków z sosem.

Być może, myślałam, w ogóle mają lepszą pamięć niż my wszyscy, ponieważ, by tak rzec, mniej ją zaśmiecają i są bardziej od niej zależni. Częściej są sami ze swoimi myślami, więc wgłębiają się w nie uważniej niż inni ludzie. Nie mącą swoich wspomnień mnóstwem gadania.

Zwróciłam się do Ububa, mając nadzieję, że widzi, jak dobrze mi idzie:

- A więc pan sądzi... Sądzi pan, że nigdy z nią nie rozmawiała? Z Mary-Evelyn?

Ubub podniósł głowę i przytaknął z pogodniejszą miną.

- Kee-y Mur-ra oomowii-ua ni-it nee o-o-waał - dodał.

Kolejna zagadka! Zmarszczyłam czoło w namyśle, aż w końcu uznałam, że „keey” to „kiedy”, więc zaczęłam:

- Kiedy Mary...

Kiwnęli zachęcająco głowami. Ale co miało znaczyć „oomowii-ua”. Może „mówiła”?

- Kiedy Mary coś mówiła...

Mocne kiwanie.

Ale reszty nie mogłam odgadnąć. Staruszek zamyślił się głęboko - naprawdę był niesamowity! - po czym oznajmił:

- Nikt nie odpowiadał? Znaczy nikt jej nie odpowiadał, tak?

Woodowie ogromnie się uradowali.

- Uhu, uhu! - potwierdził Ubub.

- Więc kiedy ta cała Mary-Evelyn coś mówiła, nikt jej nie odpowiadał, nikt z nią nie rozmawiał, tak?

Znowu splunął tytoniem, otarł usta wierzchem dłoni i spojrział na swoje buty.

- Ta biedna mała musiała mieć diabelskiego bluesa.

- Co to jest diabelski blues? - zapytałam.

Pan Root ściągnął wargi zamyślony.

- Niektórzy mówią na to depresja. Ja mówię, że to najgorszy rodzaj żalości. Najżałośniejsza żalość, ot co.

I zamilkł, jakby wiedział, o czym mówi.

9.

Powinłam była wiedzieć, że nie należy nikomu wspominać o rozmowie z Woodami, ale tak się przejęłam swym odkryciem, że po powrocie do hotelu nie wytrzymałam. Stało się to podczas niedzielного lunchu.

Siedzieliśmy przy „rodzinnym stole” w głębi jadalni: pani Davidow, Ree-Jane, Will, ja oraz moja matka, to znaczy w chwilach, kiedy nie biegała do kuchni przez wahadłowe drzwi, podczas gdy jej lunch stygł w najlepsze. W porach posiłków matka ma tak dużo roboty, że często je lunch w kuchni na stojąco.

Lola Davidow z pewnością nigdy nie je nic na stojąco, a już zwłaszcza obiadu, gdy jest tak „naoliwiona” (jak to określa Will), że ledwie trzyma się na nogach. Tego dnia jak zwykle jadła stek *filet mignon*, swoje dietetyczne danie. Zawsze gada o dietach, złożonych ze steków i grejprutów, co nawet nieźle brzmi, póki nie dodamy do tego zwyczajowego dzbanka martini. Pozostali jedli smażonego kurczaka, Ree-Jane

także, z tym że ona zawsze dostaje białe mięso. To się rozumie samo przez się - kiedy jedna z kelnerek popełniła niewybaczalny błąd i podała białe mięso mnie, dostała od pani Davidow straszną burę. Talerze zostały natychmiast zamienione, mimo że zdążyłam wbić widelec w pierś kurczęcia i wygryźć z niej spory kęs.

Wciąż się o to wyklócam. Po prostu mnie to wścieka. Nie miałabym nic przeciwko temu, aby każde z nas po kolei jadło białe mięso, lecz fakt, że Ree-Jane zawsze dostaje najlepszy kawałek kurczaka, jest wprost nie do zniesienia. Złości mnie to tym bardziej, że kurczak, by tak rzec, należy do mojej matki, bo to ona, a nie rodzina Davidow, reprezentuje Paradise'ów przy „rodzinnym stole” (o ile zakład, że Aurora zawsze dostaje białe mięso?). No i oczywiście Ree-Jane nieznośnie się nadyma, niemal pęka z dumy za każdym razem, gdy kurczę pojawia się w jadłospisie.

Nie wiem, ile już razy wytykałam matce tę niesprawiedliwość, wszystko na próżno. Zawsze odpowiada, że goście wolą białe mięso, więc musi trochę dla nich zachować, na wypadek, gdyby większa grupa go sobie zażyczyła. Skoro tak, odpowiedziałam, to Ree-Jane także nie powinna go dostawać, prawda? Po co tyle hałasu o taki drobiazg? - brzmi odpowiedź mojej matki, która, rozsierdzona, zaczyna walić garnkami i patelniami. Powtarza, że ma dosyć tych nieustannych „tarć” i chce tylko odrobinę świętego spokoju. No a ja, powiadam, chcę tylko odrobinę białego mięsa z kurczęcia.

Jednak podczas tego konkretnego lunchu niespecjalnie obchodziło mnie, co jem (ku wielkiemu rozczarowaniu Ree-Jane, której nadęcia nikt nie zauważył), gdyż byłam zbyt podniecona nowinami.

- ...i powiedzieli, że jej ciotki nie chciały z nią rozmawiać! Czy to nie okropne?

Po drugiej stronie stołu Ree-Jane aż się zatrzęsała od tłumionego śmiechu; przypuszczalnie śmiała się ze mnie od samego początku. Poczulałam, że coś mnie dławi.

- Co cię tak śmieszy?

Śmiech stał się głośniejszy. Dały się słyszeć urywane słowa:

- ...jakbym słyszała (ha, ha), no, jakbym to słyszała (ha, ha). Ty (ha, ha) i Woodowie (ha, ha), te stękania i chrząkania... - Tu zaczęła obrzydliwie przedrzeźniać Uluba i Ububa.

Jej matka również nie posiadała się z uciechy. Muszę przyznać, że Lola Davidow nie zawsze staje po stronie Ree-Jane, kiedy ta zachowuje się paskudnie; w gruncie rzeczy pani Davidow chyba nie jest paskudną osobą. Co innego Ree-Jane. Ale pani Davidow była już trochę „naoliwiona” i śmiech łatwo jej przychodził.

Nawet Will przyłączył się do ogólnej wesołości, żeby się podlizać. To mnie naprawdę rozgniewało i rzuciłam mu spojrzenie ostre jak brzytwa, więc zrozumiał, że zachowuje się wstętnie. Urwał i powiedział:

- No, ja czasem rozumiem, co mówią. Czasem udaje mi się zrozumieć Brzydkiego Boba.

Właśnie podano słynny piórkowy tort czekoladowy mojej matki i Lola Davidow (której dieta właśnie poszła w zapomnienie) unosiła do ust spory kęs.

- Bracia Wood pewnie zmyślili to wszystko - oznajmiła. - W końcu minęło ponad czterdzieści lat, jakżeby mieli pamiętać? Wątpię, czy pamiętają, co przed chwilą widzieli za rogiem - dodała, rozgniatając widelczykiem okruchy na talerzyku.

Matka przynajmniej potraktowała moją opowieść poważnie, ale z wnioskami się nie zgodziła.

- Nie wiem, skąd Woodom wzięło się coś takiego - rzekła, dołączając do nas z filiżanką kawy. - Siostry Devereau były bardzo towarzyskie, kiedy się rozkręciły w większym gronie.

- A w mniejszym gronie?

Ree-Jane, która obskubywała z ciasta lukier czekoladowy, musiała wtrącić swoje trzy grosze:

- Co cię to obchodzi? Skoro to zdarzyło się czterdzieści lat temu?

Zignorowałam ją i zwróciłam się do matki:

- Słyszałaś, żeby mówiły coś do Mary-Evelyn, kiedy ją tu przyprowadzały:

- Nie pamiętam. Ale pewnie tak, bo inaczej bym zwróciła uwagę.

- Niby dlaczego? Dorośli nie zwracają uwagi na dzieci. Zawsze powtarzałaś, że Mary-Evelyn była naprawdę cichą dziewczynką. Jeżeli się nie odzywała, to żadna z ciotek nie musiała jej odpowiadać. Nie zauważyłabyś, że dzieje się coś dziwnego.

- Lepiej byś zrobiła - oświadczyła Ree-Jane, obliczując widelczyk od spodu - gdybyś poznała jakieś żywe dziewczynki w swoim wieku, a nie same umarłe.

Ale mądrała.

Chodziło jej o to, że nie mam koleżanek. Ten nieszczęsny temat zawsze musi w końcu wypłynąć. Ściśle rzecz biorąc, to nieprawda, bo mam koleżanki, kiedy chodzę do szkoły, sęk w tym, że na ogół szkoła znajduje się gdzie indziej, w miejscu, gdzie przenosimy się na zimę; zamykamy wtedy hotel, tylko Aurora zostaje na górze, gdzie ją grzeje zapas dżinu, przenośny piecyk oraz Marge Byrd, która pilnuje, by dostarczano jej posiłki (nie mam pojęcia, jakim cudem po powrocie zastajemy hotel w całości). Gdy rozmowa schodzi na moje koleżanki, zaczyna się ogólny jazgot, nawet Will czasem się przyłącza. To po prostu nie do zniesienia.

Postanowiłam, że tym razem nie dam się zbić z tropu.

- A kot? - ciągnęłam. - Miała kota, który zmarł... w dziwnych okolicznościach - dodałam, choć nie wiedziałam tego na pewno. - Panna Flagler mi mówiła. I panna Flyte też - skłamałam, bo panna Flyte nic takiego nie powiedziała.

- Doprawdy wolałabym, żebyś nie zadawała się z braćmi Wood - oznajmiła matka, stojąc przy stole z filiżanką kawy.

- Gertrude Flyte to kompletna wariatka. Naprawdę nie masz żadnych znajomych, że przesiadujesz w sklepie ze starymi babami? - wtrąciła pani Davidow, znów wywlekając utrapiony temat.

Nikt nie zapytał, jakie były te dziwne okoliczności, nikt nie był ani trochę ciekawy, nikt nie uznał moich wieści za fascynujące. Zawsze tak jest - kiedy z jakiegoś powodu okazują podniecenie albo nawet radość, powód tego uczucia - ktoś albo coś - zostaje unieważniony (kolejne słowo z „nie”; moje życie najwyraźniej jest ich pełne), skrytkowany bądź, co gorsza, wyśmiany do tego stopnia, że zaczynam się wstydzić swego entuzjazmu.

Weźmy na przykład przyjęcie weselne jednej z dziewczyn McIntyre'ów, które miała organizować panna Flyte. Moja matka i pani Davidow strasznie się o to wściekły (dlatego wzmianka o panie Flyte działa na nie jak czerwona płachta na byka). Matka pienią się i miotają po kuchni, nie odrywając wzroku od swoich ślicznych „wstążkowych” kanapek, które cieszą się takim powodzeniem, starannie krojąc ogórki na cieniutkie jak opłatek plasterki i malując kolejną delikatną białą różę na czteropiętrowym torcie. Każdy potrafi rozstawić kilka cholernych świec, powtarzała. Strasznie ją ubodło, że ktoś inny organizuje imprezę, z którą sama świetnie by sobie poradziła na swoim własnym terenie. No, nie całkiem na własnym, gdyż Lola Davidow zawsze wtrąca swoje trzy grosze i z zasady nie zgadza się z matką, jednak gdy w grę wchodzi dobre imię Hotelu Paradise - a wynajęcie kogoś, z jakiegokolwiek powodu, żeby nadzorował przyjęcie w pomieszczeniach hotelu, stanowczo przynosi mu ujmę! - Lola bez wahania staje po jej stronie. Lola Davidow wręcz uważa, że ma w Hotelu Paradise więcej do gadania niż moja matka, a przecież nie robi kanapek ani ciast, umie tylko przyrządzać mocny poncz na szampanie. Tak czy inaczej, pani Davidow oświadczyła, że wzięwszy pod uwagę, ile bierze Gertrude Flyte, to jest z niej większa złodziejka niż William Archibald (wiceprezes Pierwszego Banku Narodowego i zarazem jego najlepszy klient, bo przywłaszczył sobie cudze oszczędności); czy wiemy, zapytała Lola, ile McIntyre'owie płacą jej za „oświetlenie” tego przyjęcia? Słyszała, że tysiąc dolarów! Ponieważ prawie tyle samo płacili za jedzenie,

obsługę i wynajęcie wielkiej jadalni w hotelu (sto osób po dwanaście dolarów od głowy), matka i pani Davidow poczuły się wielce urażone. I bynajmniej nie spodobało im się, kiedy zwróciłam uwagę, że panna Flyte oszczędza nam wiele pracy i kłopotu, bo wszystko urządzi sama - stoły, kwiaty, no i świece, rzecz jasna. Pani McIntyre po prostu chciała mieć kuchnię mojej matki w dekoracjach panny Flyte. Ale pani Davidow zemściła się strasznie, podnosząc opłatę do trzynastu dolarów i pięćdziesięciu centów od głowy.

No i przy byle okazji naśmiewała się niemiłosiernie z panny Flyte i jej świec. Siedząc na zapleczu podczas „godziny koktajlowej”, stawiała sobie na głowie ogarek i z chichotem czekała, aż spadnie. Po czterech czy pięciu martini na ogół wpadała w świetny humor, ale numer ze świeczką to był po prostu szczyt. Ze wstydem przyznaję, że czasem śmiałam się wraz z nią, chyba z ulgi, że się na mnie nie złości. Cały czas miałam jednak wrażenie, że popełniam zdradę wobec panny Flyte.

Tak czy inaczej, kiedy wreszcie nadeszła pora przyjęcia, nieustanne kpiny zdołały całkowicie wyprać mnie z entuzjazmu. Po zabiegach panny Flyte jadalnia wyglądała przepięknie. Wszędzie płynęły potoki i kaskady światła, płomyki migotały i mrugały na setki sposobów, subtelnie odbite w maleńkich szklanych i złotych ozdobach, które panna Flyte rozmieściła na świecach, by zdwoić efekt. Jednak w moich oczach ów blask dziwnie zbladł, cała kunsztowna aranżacja robiła wrażenie idiotycznej, a świece zamieniły się w kupę płonącego wosku. Przez cały czas bowiem widziałam Lolę Davidow z ogarkiem na głowie i słyszałam swój własny śmiech.

Zawsze więc próbuję powściągnąć entuzjazm, żeby ktoś inny zaraz mnie w tym nie wyręczył. Szkoda, bo kiedy człowiek tak postępuje, to w końcu coraz mniej rzeczy go podnieca. Jednak tym razem po prostu musiałam z kimś porozmawiać o tym, czego dowiedziałam się od Woodów o Mary-Evelyn Devereau. No i efekt był taki sam jak zwykle,

a nawet gorszy, bo pani Davidow po raz kolejny postanowiła „odejść”.

Albowiem znowu jej „napyskowałam” - oświadczyłam, że nie ma pojęcia o Woodach, że przebywa w Spirit Lake dopiero od pięciu lat, skąd więc może wiedzieć, co pamiętają? I powiedziałam to wszystko bardzo stanowczo. A ona (jak zwykle, kiedy się jej sprzeciwiam) oznajmiła, że odchodzi, odchodzi natychmiast. Rzuciła serwetkę i z hałasem wstała od stołu, odpychając talerze i przewracając szklanki na wodę, a matka pobiegła za nią przez salę jadalną, usiłując ją udobruchać.

Znalazłam się w niełasce. Nie-łaska, być może najsmutniejsze słowo na „nie”. Pozbawiona łaski, wyzuta z łaski, nieułaskawiona.

10.

Na wpół leżałam na stole w Różowym Słoniu, ułożywszy skroń na wyciągniętej ręce. Drugą ręką niechłujnie gryzmo-liłam w notesie, czekając, aż pod moją nieobecność harmider na górze ucichnie. Pani Davidow na pewno pakowała się albo groziła, że się spakuje, a Ree-Jane jak zwykle nie mogła się zdecydować (aczkolwiek decyzja i tak nie należała do niej), czy odejść z matką, czy nie. Właściwie dlaczego miała by odchodzić? Nawet jeżeli w hotelu nie czuła się najlepiej, to i tak wiodła jedwabne życie na białym mięsie z kurczaka. Nieobecność pani Davidow mogła trwać tylko dzień lub dwa, góra trzy, ale dla mojej matki jej odejście miało ciężar gatunkowy wieczności i było istną katastrofą.

Przez jakiś czas półleżałam, wpatrując się w notes z ukosa, jakbym spodziewała się, że w ten sposób zyskam energię, by zapisać popołudniowe rewelacje. Zbyt znużona, by podnieść głowę, błędziłam wokół spojrzeniem, przypatrując się uważnie wszystkiemu w zasięgu wzroku. Pokój miał różowe

gipsowe ściany oraz niski sufit i właśnie na suficie było najwięcej do oglądania pod tym dziwnym kątem.

Przede wszystkim dostrzegłam pajęczynę, o której nie wiedziałam, ale która wcale mnie nie zaskoczyła - chłód ścian Różowego Słonia czynił z niego niemal jaskinię, nic więc dziwnego, że ściągały tu pająki. Z dzisiejszej pajęczyny także zwisał nieruchomo średniej wielkości osobnik. Ciekawa byłam, czy pająki kiedykolwiek czują znużenie, co przywiodło mnie do pytania, czy w ogóle owady - i szerzej, zwierzęta - bywają „znużone”. Zmęczone, owszem, ale „znużone”? Znużenie polega na tym, że słabną w nas u c z u c i a . Patrzyłam na pająka wiszącego w półmroku, wypatrując oznak pracowitości, ale nic nie zauważyłam. Oczywiście, rzecz w tym, że owady i ptaki (na przykład) w gruncie rzeczy nie mogą sobie pozwolić na znużenie - muszą wciąż być czujne, muszą szybko się ruszać, żeby przeżyć. Przypomniało mi się, jak kiedyś przez całe popołudnie obserwowałam z werandy kota hotelowego, który czaił się na klombie przy krzaku jagód szczególnie lubianych przez ptaki. Prężył się wśród nagietków nieprawdopodobnie długo, zastygły, napięty i wyczekujący, aż wreszcie skoczył, płosząc stadko strzyżyków. Ptaki wzbily się w powietrze; kot wykonał piruet, zataczając nad krzakiem prawie pełne koło, a gdy opadał, jednym uderzeniem łapy strącił ptaka na ziemię.

O rany. Przyjrzałam się temu „o rany”, badając, ile jest w nim energii, ale nie było jej prawie wcale, a zatem nie przyszła jeszcze pora, by unieść głowę. Pająk też tkwił bez ruchu, jakby miał na oku muchę brzęczącą gdzieś w kącie; owadzi świat toczył się swoim torem, najwyraźniej niepodatny na znużenie.

Różowy Słoń mieści się bezpośrednio pod oknem jadalni, przy którym stoi nasz „rodzinny stół”. Tym razem okno było otwarte i przez uchylone drzwi dobiegały mnie głosy, to słabsze, to silniejsze. Słyszałam kroki zmierzające tam i sam oraz wzburzone okrzyki, zwłaszcza Loli Davidow, która chyba wróciła - zapewne bez walizki, za to ze świeżym martini -

rozniewana i swarliwa. Wiedziałam, że będę musiała ją przeprosić, zamknęłam więc oczy, nie dbając już o to, że zdrętwiała mi ręka. Przepraszać jest trudno, nawet kiedy człowiek nie ma racji, lecz kiedy wie, że w gruncie rzeczy nie zrobił nic złego, tylko wyraził sprzeciw, konieczność przeprosin jest podwójnie upokarzająca. Na samą myśl o tym ogarnęła mnie depresja.

Czy depresja przychodzi, gdy po raz pierwszy zdajemy sobie sprawę, że nasza sytuacja jest beznadziejna, jak na przykład skazaniec w celi śmierci? Próbuje ukryć przed sobą fakt, że źródłem beznadziei jest coś, czego nie można zmienić, jakby w pewnym momencie ktoś przestawił zwrotnicę wyznaczającą bieg pociągu; że dojedziemy tam, gdzie doprowadzą nas tory, i zobaczymy to, co leży przy linii kolejowej - i tylko to, bo w chwili gdy pociąg zmieniał kierunek, być może akurat drzemaliśmy albo czytaliśmy książkę, nieświadomi, że dzieje się coś okropnie ważnego, nad czym w najmniejszym stopniu nie panujemy.

Wolną ręką wymacałam pudełko po czekoladkach Whittman's i przysunęłam je do siebie. Zdjęłam pokrywkę, po czym wyjęłam z niego zdjęcie siostrzycy Devereau, zrobione na podjeździe przed wejściem do hotelu. Przyjrzałam mu się uważnie. Oto miałam je przed sobą - trzy siostry Devereau oraz Mary-Evelyn, stojącą nieco z przodu, jakąś... nie wiem... oddzielną, jakby nie miała nic wspólnego ze zdjęciem, jakby jej właściwie tam nie było.

Pomyślałam, że to może być złudzenie, postanowiłam więc unieść głowę, żeby lepiej widzieć. Ciotki stały sztywno wyprostowane z rękami po bokach i uśmiechały się sztucznie do aparatu. Zazwyczaj kiedy dorośli fotografują się z dziećmi, wciąż je obejmują, ciągną, ustawiają, szarpiają i ogólnie maltretują, bo uwielbiają je mieć na zdjęciach. Każą im szczyrzyć zęby albo stać prosto, albo głaskać psa, słowem, robić różne rzeczy, na które dzieci nie mają najmniejszej ochoty. A tutaj nikt z dorosłych nawet nie położył

Mary-Evelyn ręki na ramieniu. Wszystkie trzy ciotki bezsensownie i głupio wpatrywały się w aparat, nie zwracając najmniejszej uwagi na siostrzenicę.

Zupełnie jakby była niewidzialna.

Dlaczego jej nie dotykały, dlaczego nie chciały z nią rozmawiać?

Albowiem nadal wierzyłam w to, co powiedzieli mi Ubu i Ulub, nieważne, jak bardzo matka i pani Davidow starały się umniejszyć wagę tego zdarzenia.

Posiedziałam jeszcze chwilę w pajęczej ciemności, po czym uznałam, że właściwie mogę już iść na górę i przeprześć.

11.

Jak już wspomniałam, nie wolno nam niepokoić stryjecznej babki Paradise. Nawet Lola Davidow czuje się nieswojo na schodach na trzecie piętro (z wyjątkiem rzadkich okazji, kiedy jest tam zapraszana), a już my, dzieci, drżymy ze strachu na samą myśl, że mielibyśmy wejść na górę. Will i ja, zaledwie spowinowaceni z Paradise'ami, w ogóle nie wchodzimy w krąg zainteresowań Aurory, która nawet naszej matce odmawia prawa przynależności do rodziny. Prawdę mówiąc, nie liczymy się dla niej wcale, w najlepszym razie uważa nas za Paradise'ów przyszywanych.

Aurora Paradise jest dla mnie pokręconą, skarłałą niczym gnom istotą, która najlepiej czułaby się pod mostem, skąd wypadalaby nagle, by straszyć podróżnych. Nosi staromodne suknie z szarego jedwabiu i czarnej wełny, które niemal muskają podłogę, włosy zaś upina z tyłu w ciasny węzeł.

A jednak. Następnego ranka, kiedy goście spożyli lśniące, lecz mimo to nietłuste jajka sadzone mojej matki i w kuchni znów zrobiło się pusto, wyciągnęłam liczne butelki oraz blender, po czym wzięłam się do pracy. Dolewalam i odmierzałam,

odmierzałam i ubijałam, wrzucałam kostki lodu, zmuszałam blender do zgrzytania metalowymi zębami i kręciłam, kręciłam, na końcu dodając kropelkę spożywczego barwnika, gdy zaś zawartość znalazła się w wysokiej szklance, oszronionej cukrem granulowanym, wsadziłam do niej patyczek, na który nadziałam rozmaite owoce. Rezultat wyglądał imponująco, więc opuściłam kuchnię bardzo z siebie zadowolona.

Umieściłam napój na czarnej emaliowanej tacy z obrazkiem jaskrawozielonego smoka, dyszącego ogniem. Surowa reguła jadalniana mojej matki brzmi: jedzenie wnosimy na tacy, nigdy, przenigdy w rękach! Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby za jej złamanie matka wymierzała jakieś starożytne orientalne kary, na przykład obcięcie ręki; słyszałam, że w dawnych czasach japońscy książęta tak karali nieuczciwych służących i złodziei. A przecież reguła ta jest całkowicie zrozumiała, nie tylko jako zasada, którą winny stosować wszystkie hotele, ale (zdaniem mojej matki) jako kwestia zwykłego dobrego wychowania.

Cokolwiek mówi Aurora o wyższości Paradise'ów, pod względem dobrych manier moja matka bije ją na głowę, jak zresztą wszystkich.

W późnoporannej hotelowej ciszy wstąpiłam na schody ze szklanką na tacy, przystając na obu podestach, aby zebrać odwagę. Instykt podpowiadał mi, że Aurorę można podbić tylko w jeden sposób - nie wolno wahać się ani cofać.

Siedziała w ciemnozielonym wiklinowym fotelu na biegunach, takim samym, jakie nieustannie znikają z hotelowej werandy, na co wciąż narzeka moja matka. W pokoju stały jeszcze dwa, dojrzałam też kolejne dwa na balkonie. Na podłodze w kącie zauważyłam kilka wyblakłych obrazów, trzy inne wisiały krzywo na ścianach. Na środku pokoju stały dwa otwarte, obwieszane ubraniami kufry okrętowe, których, jak się domyśliłam, Aurora używała zamiast szaf. Jak

zwykle miała na sobie szarą jedwabną suknię i szydełkowe mitenki, również szare i zdobione migotliwymi drobnymi cekinami - bardzo ładne i być może odpowiednie na bal, lecz całkiem nieoczekiwane w słoneczny poranek na trzecim piętrze. Koronkowy kołnierzyk sukni był spięty broszką tak głębokiej niebieskiej barwy, że aż kusilo, by się w niej zanurzyć. Zaciekawilo mnie, czy nie jest to przypadkiem gwiazdzisty szafir. Niewiele wiem o klejnotach i pewnie nigdy nie dowiem się więcej - moje perspektywy pod tym względem są bardzo ograniczone.

Na stoliku obok fotela leżały rozmaite przedmioty służące rozrywce. Była tam Biblia, zdecydowanie mało używana, oraz talia kart, jakby przekręcona przez wyżymaczkę, dostrzegłam również trzy łupiny orzecha włoskiego i ziarnko suszonego grochu.

Aurora gapila się na mnie, jakbym narodziła się na jej oczach. I może istotnie tak było? Odchrząknęłam i podałam jej tacę. Szklanka połyskiwała, cienkie smugi wilgoci na jej ściankach mieniły się w późnoporannym słońcu, wlewającym się przez wysokie okno. Pewnie ładny z nas obrazek, pomyślałam, mój różowawy drink i ja z wyszorowaną buzią i wyszczotkowanymi włosami.

- Mam tu coś dla ciebie...

Tak jak się spodziewałam, odjęło jej mowę, nie z wdzięczności rzecz jasna, lecz ze zdumienia.

- Ciociu Auroro?

- Nie mów do mnie „ciociu”! Nie jesteśmy spokrewnione. Doskonale wiem, coś ty za jedna - oświadczyła oskarżycielsko, jakbym próbowała zataić swoją tożsamość. - Ty jesteś ta mała od Grahamów.

- To jak mam cię nazywać?

- Nijak. I ja też nie będę cię nazywać. Pozostaniemy bezimiennie. Przy odrobinie szczęścia obie znikniemy. Kto przyrządził tego drinka? Ta cała Davidow? - Sięgnęła po szklankę i podniosła ją do światła, które pomalowało jej dłoń piękną żonkilową żółcią. - Na pewno jest zatruty.

Uśmiechnęła się paskudnie. Jej wąskie, sinawe wargi ciężko wyraziły jak nożyczki.

- Sama go zrobiłam. Specjalnie dla ciebie - powiedziałam.

- I tak stoję nad grobem, przecież wiesz.

Wąskie wargi cmoknęły, wymawiając te słowa, oczy zwęziły się, bacznie patrząc, jak zareaguję.

- Wątpię - odparłam spokojnie. Czulałam się dziwnie niezłomna, zapewne wskutek przebywania z nią w jednym pokoju.

- Masz! - Wyciągnęła ku mnie szklanę. - Niech pies spróbuje.

Rozejrzałam się po pokoju.

- Nie, głupia, to ty masz spróbować! Tak robili królowie, żeby sprawdzić, czy w jedzeniu nie ma trucizny. Rzucali trochę psu.

Spór nie miał sensu; wzięłam szklanę, pociągnęłam łyk i zaparło mi dech. Z trudem opanowałam kaszel, gardło mnie paliło, przelyk stanął w ogniu. Jednak gdy pieczenie ustało, drink okazał się dość przyjemny, świeży i słodki od owoców.

Aurora zręcznie odebrała mi szklanę i powiedziała:

- Poczekam, czy nie padniesz w konwulsjach na podłogę.

Przez mniej więcej pół minuty stałam więc bez ruchu, a Aurora siedziała w milczeniu, aż wreszcie, widząc, że jakoś się nie skręcam, oznajmiła:

- Doskonale.

Trochę upiła, mlasnęła i zamyśliła się.

- Niezłe. Interesujące. Co w tym jest oprócz dżinu?

- Whisky Jack Daniels, likier Southern Comfort, czyli Południowa Pociecha, sok ananasowy, brandy z jabłek... - urwałam.

Przypomniałam sobie zasadę mojej matki, która podając komuś przepis, zawsze umieszcza w nim kilka zbędnych składników, zmieniających właściwy smak potrawy. Zaczęła stosować tę sztuczkę nauczona przykrym doświadczeniem, po tym jak Shirl z Café Tęcza wyciągnęła od niej przepis na

anielski placek, a następnie ją go sprzedawać jako własny. Kiedy więc Shirl spróbowała wydobyć od matki przepis na tort czekoladowy, matka kazała jej dodać do ciasta garść zimnych fusów z kawy.

- Plus mocna herbata - powiedziałam i pamiętając o fuszach, dodałam: - Stara. To ważne.

Aurora zmarszczyła czoło.

- Herbata, to niezwykle.

- Wiem. Ale stąd się bierze ten przyjemny, cierpki smak.

Jeżeli mój drink miał cierpki smak, to wyłącznie dzięki trzem miarkom dżinu.

- Jak się nazywa? - zapytała Aurora, ciągnąc napój przez słomkę.

W głowie zakłębiło mi się od nazw z *Radości gotowania*, osobistej biblii mojej matki - Dżin Sling, Singapur Sling, Dżin Fizz, Zombi. Ta ostatnia wydała mi się najlepsza, niestety, nie była oryginalna. Wówczas przypomniałam sobie, że głównym składnikiem napoju jest Południowa Pociecha.

- Słaba Pociecha - odparłam w przyływie inteligencji.

Aurora zdumiała się wielce i na milisekundę aż przestała pić.

- Nigdy bym nie pomyślała, że ktoś z rodziny Grahamów wykaże się wyobraźnią - pogratulowała mi.

- Niektórzy z nas tak mają - odparłam ostro. Nas, Grahamów, było tylko troje, więc moja odpowiedź ustawiała Willa i matkę w rolach pozbawionych wyobraźni tłumoków. Jednak nie uśmiechnęłam się; w ogóle starałam się w żaden sposób nie okazać, że te odwiedziny mnie bawią, podejrzewałam bowiem, że wówczas Aurora posłałaby mnie do diabła. Czekałam.

Przez dłuższą chwilę mierzyła mnie wzrokiem, jakby oceniała towar, na którego zakup nie mogła się zdecydować.

- Grasz w pokera? W remika?

Chwyciła oślizgłą talię, przełożyła i błyskawicznie przetasowała z trzaskiem. Coś w objęściu Aurory silnie zalatywało szulerką.

Ale nie zamierzałam się zniechęcać.

- Nie.

- Poczekaj, aż się zestarzejesz i wszyscy o tobie zapomną - rzekła, plasnawszy kartą o stół. - Wtedy będziesz się cieszyć z kart.

Ów żaloszny opis wzbudził we mnie pusty śmiech.

- Nikt o tobie nie zapomniał. Winda ręczna jeździ do ciebie dziesięć razy dziennie. - I wręcz zuchwale dodałam: - Poza tym nie byłabyś samotna, gdybyś mieszkała na dole ze wszystkimi.

Miałam nadzieję, że nie potraktuje tej propozycji poważnie.

Ale nie zwracała już na mnie uwagi; jej dłoń, porzuciwszy karty, na chwilę zawisała nad stołem wśród rozłożonych tam rozrywkowych przedmiotów, aż wreszcie opadła na łupiny orzecha.

- Zagramy po cencie od punktu? - zagadnęła, zerkając na mnie chytrze, i umieściła suszony groszek pod jedną z łupin. - Musisz odgadnąć, gdzie jest ziarnko grochu. - Z wprawą przesunęła łupiny po powierzchni stołu. - No, zgaduj.

Na stole stała duża miska orzechów, częściowo rozłupanych i zjedzonych.

- Nie możesz grać prawdziwymi łupinami - powiedziałam. - Każda jest inna. - Wskazałam palcem odłamany brzeg jednej łupiny i ciemniejszy pasek na kolejnej. - To jakbyś grała w pokera, używając asa kier z obcej talii, z innym wzorem koszulki. Grający zawsze będą wiedzieli, gdzie jest ten as.

Siedziała, nic nie mówiąc, mocno zacisnąwszy usta.

- Groszek jest tutaj - westchnęłam i dotknęłam właściwej łupiny.

Pokręciła głową i z zawziętym uśmiechem oświadczyła:

- Wcale nie.

A właśnie że tak, ona jednak nie zamierzała tego sprawdzić, gdy zaś zaczęłam protestować, jednym ruchem zmiotła w dłoń łupiny i groszek.

- Jak na kogoś, kto czegoś chce - rzekła - najwyraźniej nie zamierzasz na to zapracować.

- A kto mówi, że czegoś chcę?

- Inaczej nie przyszlabyś mnie przekupić. - Jej dłoń w naszywanej cekinami mitence zamknęła się wokół szklanki Słabej Pocięchy, przywodząc mi na myśl zwiniętego węża o połyskliwej łusce.

- Chcę tylko informacji.

- Ha!

Zgłoska, zda się, eksplodowała ku górze jakby wzywając na świadka któregoś z archaniołów: „A nie mówiłam! Sam widzisz!”

- Chodzi o coś, czego właściwie nikt nie pamięta. Moja matka niewiele sobie przypomina...

„Ha!” znów wzbilo się pod sufit.

- Twoja matka nie należy do Paradise'ów! A ta cała Lola Davidow! Czy im się zdaje, że mogą mi wykraść cały hotel spod tyłka? Już ja potrafię je powstrzymać, nie myśl sobie!

- Jak?

Jej oczy błyszczały niczym cekiny na rękawiczkach; grzebała słomką na dnie szklanki, tak samo jak ja w resztkach koktajli mlecznych. Nagle odczułam przemożny apetyt na koktajl mleczny z lodami czekoladowymi, zwieńczony kandyzowaną wisienką. Obiecałam sobie, że kiedy tylko skończę z Aurorą, pójdę na piechotę do La Porte do drugstores Souderów. Pani Souder robi koktajle z prawdziwą bitą śmietaną.

Zacisnęłam dłoń na tacy z zielonym smokiem. Aurora wychylała się ku mnie z wiklinowego fotela, wzniesioną drobiną kurzu i iskierki światła, roztaczając woń lawendy i wody różanej.

- A tak, panno Mądralo, że spalę Hotel Paradise do fundamentów, to znaczy, jeżeli sam się przedtem nie zapali!

Odruchowo - bo zamierzałam stawić jej czoło bez względu na wszystko - cofnęłam się o krok.

- Kiedy?

Nie chodziło mi o ludzkie życie, lecz o skarby z Różowego Słonia.

- Kie-dy-mi-się-spo-do-ba, oczywiście! Zupełnie jak w Manderley! Zginę wraz z hotelem! Będę stała na balkonie, śmiejąc się do rozpuku - machnęła dłonią w jego stronę - i zginę jako ostatnia! W każdym razie tak sobie wymyśliłam - zakończyła zupełnie normalnym tonem.

- Jeśli wyjdiesz na ten balkon, zginiesz jako pierwsza. Jest cały przegniły.

- Och, nie bądź taka piekielnie dosłowna! No - poma-chała pustą szklanką - zrób mi jeszcze jedną Słabą Pocięchę.

Nie wzięłam szklanki.

- Zrobię, jeśli opowiesz mi o pannach Devereau - odpar-łam nieporuszona.

Aurora zmarszczyła czoło i zadumała się głęboko.

- O tych, które mieszkały nad Jeziorem Duchów?

- Tak - rozluźniłam się nieco. Przynajmniej nie rzuciła szklanką we mnie. Widząc, że ani drgnę, w końcu odstawiła ją na stół, lecz nie przestawała się w nią wpatrywać, jakby chciała siłą woli znów napęlić ją po brzegi alkoholem.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko, co pamiętasz. - Nie zamierzałam jej ograni-czać wzmianką o śmierci Mary-Evelyn.

- Były stuknięte. Zwłaszcza Isabel Devereau. Chociaż może przez to miała więcej serca niż Louise. Cóż, kiedy siostry tak długo mieszkają razem, należy oczekiwać, że w końcu zwariują. Gdybym to ja musiała przebywać ze swoją siostrą, oszalałabym do szczętu. No i jeszcze ta młoda Rose Souder...

Rose Souder? Nie słyszałam od matki o żadnej Rose.

- Souder? Nie była Devereau?

- Ależ tak, o ile wiem. Była ich siostrą przyrodnią. Jej matka była jakoś spokrewniona z tą hołotą, tutejszymi Souderami.

Pomyślałam o drugstorze Souderów. Stara pani Souder wcale nie wyglądała na „hołotę”. Ale nie chciałam nic mówić,

bo Aurora zaczęłyby się ze mną wyklócać i przywoływać innych Souderów, tylko po to, by udowodnić, że ma rację.

- Matka nigdy nie wspominała o żadnej Rose Souder Devereau.

- Nikt o niej nie wspominał. Była czarną owcą.

Na te słowa znieruchomiałam i przestałam przestępować z nogi na nogę. Określenie „czarna owca” zawsze mnie ciekawiło - chyba sama zaliczałam się do owego nieszczęsnego gatunku.

- Dlaczego? Co złego zrobiła?

- Były z nią same kłopoty.

Aurora znów podniosła połówki orzechów, umieściła pod jedną ziarnko grochu i widząc, że odmawiam współpracy, zaczęła grać sama ze sobą. Jej kościste palce wprost śmigły po stole.

- Grała na pianinie. Ona grała, a ta wariatka, Lillian albo Isabel, śpiewała. Słychać było aż na drodze.

- Jakie kłopoty?

Wyprostowała się w fotelu i marszcząc w skupieniu czoło, wpatrzyła się w łupiny orzecha, gotowa do kolejnej rundy.

- Gdzie jest groszek? - Zerknęła na mnie spod narysowanych kredką brwi.

Chyba jednak musiałam zagrać w tę głupią grę.

- Tutaj.

Ktoś chytrzejszy pewnie wskazałby niewłaściwą łupinę, ale ja nie miałam cierpliwości do bzdur. Obie wiedziałyśmy, gdzie jest ziarnko grochu, lecz ja, w przeciwieństwie do niej, nie potrafiłam udawać. Nie wiem dlaczego, ale nie umiem przystać na oszustwo, nawet gdy jest nieszkodliwe.

Wygięła usta w grymasie, który u niej uchodził za uśmiech.

- Wcale nie.

- Wcale tak. - Wyciągnęłam rękę, ale zdzieliła mnie boleśnie po palcach.

Potem wyjęła groszek - przynajmniej tak przypuszczam, gdyż zasłoniła wszystko dłonią - i nadał kryjąc się przede mną, schowała go pod inną łupiną.

To był jakiś idiotyzm.

- Chwileczkę! W tej sztuczce chodzi o to, by pokazać, że ręka jest szybsza niż oko. Jeżeli nie wiadomo, gdzie groszek jest na początku, cała zabawa po prostu mija się z celem!

Aurora szybko przesuwiała łupiny, nie zwracając najmniejszej uwagi na moje protesty.

- No, gdzie? - zawołała triumfalnie, najwyraźniej przekonana, że ostatecznie mnie zwyciężyła.

Pokazałam cokolwiek; naprawdę było mi już wszystko jedno. Aurora kilkakrotnie klepnęła się po bokach, łup łup łup, po czym wybuchnęła skrzekliwym śmiechem, jakby właśnie dokonała najmądrzejszej rzeczy na świecie.

- Żle! Żle! Tutaj!

Oczywiście, tym razem uniosła łupinę i pokazała mi wędrujący groszek. Potem, zadowolona, że w końcu dopięła swego, odsunęła wszystko na bok i z bulgotem wyssała ze szklanki resztkę płynu.

Nie zamierzałam się poddać.

- Co się stało z Rose Souder Devereau?

- Z kim?

- Rose Souder Devereau - powtórzyłam niecierpliwie. - Nie powiedziałas mi, dlaczego uznano ją za czarną owcę.

- Bo uciekła z Benem Queenem.

Teraz z kolei trzymała w rękach karty, które przetasowała z trzaskiem.

Wstrzymałam oddech. Oto kolejna osoba całkowicie mi nieznana. Ben Queen. Niemal się oblizałam, smakując nowe nazwiska, które wydały mi się równie apetyczne jak upragniony koktajl od Souderów. Nowe nazwiska, nowe tropy w sprawie dziwnej śmierci Mary-Evelyn, w śledztwie, które niemal stanęło już w miejscu.

Zajęta układaniem pasjansa Aurora westchnęła (najwyraźniej do siebie):

- Ben Queen! Ależ to był piękny mężczyzna, najprzystojniejszy, jakiego w życiu widziałam! Każda kobieta poszłaby do piekła i z powrotem, żeby mieć u niego szansę. Chyba mu się spodobałam; nauczył mnie grać w karty, zwłaszcza w pokera. - Przejechała po nich palcem, jakby także miały wspomnienia. - Gdyby nie to, że byłam troszkę od niego starsza - tu zerknęła na mnie przebiegle - sama bym z nim uciekła, mimo że miał w rodzinie wariata. Miał wtedy może dwadzieścia albo dwadzieścia jeden lat... Ciekawe, czy jeszcze żyje? Pewnie jest już po sześćdziesiątce...

Czyżby naprawdę sądziła, że nabrała mnie w kwestii wieku? Skoro Ben Queen miał teraz sześćdziesiąt lat, musiała być o trzydzieści lat starsza...

- Te wariatki Devereau nie pozwalały mu przychodzić do Rose. Nigdy nie postawił stopy w ich domu. Pewnie myślały, że Queenowie nie są dość dobrzy dla takich jak one. Ha! Ale mężczyźni tacy jak Ben Queen zawsze znajdują sposób, by dopiąć swego. W końcu Rose z nim uciekła. - Aurora urwała na chwilę, wpatrując się w łupiny orzecha. - No i jeszcze ten skandal!

Wytrzeszczyłam oczy.

- Skandal?

Obrzuciła mnie chytrym spojrzeniem.

- A co ci do tego, moja panno? A poza tym to było w Cold Flat Junction.

Westchnęłam. Prawdopodobnie i tak zmyślała.

- Pamiętasz Mary-Evelyn?

Zmarszczyła brwi.

- A kto to taki?

Jak ktoś, kto wtedy żył, mógł o niej zapomnieć?

- Utonęła. Była najmłodsza w rodzinie Devereau.

Przymknęła oczy, udając, że się zastanawia.

- A, ona. Ta mała, którą wyciągnęli z jeziora. Smutna sprawa. - Urwała, po czym znów zaczęła mówić o Benie Queenie: - Pewnie już nie żyje. Tacy ludzie nie są długowieczni.

Wypalają się. Pochodził z tych Queenów z Cold Flat.

Z Cold Flat! Szczeka mi opadła. Byłam tam kilka dni temu pierwszy i jedyny raz w życiu, a teraz miałam już trzy nowe ślady: Rose Souder Devereau, Bena Queena i związek obojga z Cold Flat! Uznałam, że nie mogę kusić losu, rozmawiając dłużej z Aurorą. Wzięłam szklankę i zapytałam słodko:

- Miałabyś ochotę na jeszcze jeden?

- Nie mam nic przeciwko temu, skoro już o tym wspominasz.

Zbiegłam po schodach z tacą i szklanką, modląc się, by w kuchni nie trafić na matkę i całą resztę - w końcu była już pora, by zacząć robić obiad.

Nie do wiary, szczęście wciąż mi dopisywało! W pustej kuchni panowała cisza jak w rodzinnym grobowcu. Szybko zdjęłam z półki burbona Jack Daniels i likier Southern Comfort, wlałam do blendera i dodałam kostkę lodu. Urządzenie zawarczało głośno, a ja tymczasem zastanawiałam się nad tym, co usłyszałam.

Sprawdziłam, czy nikt się nie kręci po jadalni, po czym przebiegłam przez nią z drinkiem na tacy. Był jeszcze ładniejszy niż przedtem, a z pewnością mocniejszy - miałam hojną rękę.

Za jadalnią był pokój muzyczny, gdzie przystanąłam, aby popatrzeć na pianino.

Rose Devereau i Ben Queen.

W niepełny obraz tamtego fatalnego lata udało mi się wpasować dwa kolejne brakujące fragmenty. Kawalek z Rose dopasowałam do pustego miejsca przy pianinie w bawialni panien Devereau, gdzie wewnętrznym uchem usłyszałam drżącą, wodnistą melodyjkę, rozlaną po klawiaturze.

Ben Queen stanowił niewiadomą w każdym sensie tego słowa. Jego umieściłam w ciemnych, zamglonych, pełnych dymów lasach, które otaczały Jezioro Duchów.

12.

Ze Spirit Lake prowadzi do La Porte zakurzona lokalna zsoza, z której, odkąd zbudowano obwodnicę, korzystają głównie miejscowi. Po okolicznych płaskich polach hula wiatr, a przejeżdżające z rzadka samochody wzbijają tumany pyłu. Na horyzoncie, gdzie zaczynają się lasy, mającą ciemnozielone pasma sosen; słońce przeświewa połacie spłowiałych traw i leśnej marchwi - zwanej tu koronką królowej Anny - którą zawsze uważałam za kwiat, dopóki Ree-Jane, skwapliwie „odpięknijająca” wszystko, co lubię, nie powiedziała: „To przecież chwast, tylko chwast”. Ciekawe dlaczego żywa roślina, która sama z siebie rośnie w zaskakujących miejscach, musi być „tylko chwastem”?

Idę więc wśród morza koronek i owych kruchych, gwiazdistych chwastów, zwanych dmuchawcami, których białe włókienka znikają od najbliższego oddechu. Dmuchańce przywodzą mi na myśl pana Boga, któremu zazwyczaj nie poświęcam wiele czasu; zastanawiam się, czy nasze dusze są jak niteczki dmuchańców, Bóg zaś to ów oddech, który sprawia, że polatują z miejsca na miejsce, aby wreszcie zniknąć. Czy te prawie niewidzialne włókna skurczą się w końcu i zwiędną niczym płatki stokrotek, oderwane od źródła życia? Nie spodobało mi się to porównanie - chyba nie było stosowne - ale przestałam dmuchać na dmuchańce. Uznałam, że to byłoby nadużycie; są zdane całkowicie na moją łaskę i niełaskę, a zrywanie polnych kwiatów w ogóle jest czymś dziecinnym i paskudnym, nie mówiąc już o szarpaniu ich na strzępy. Od tej pory podziwiam je wyłącznie na odległość, zwłaszcza gdy okrążam jezioro, gdzie rośnie zatrzęsienie leśnej marchwi, a nieprzejezdna droga aż się pieni od dmuchańców.

Ree-Jane czasem chodzi ze mną do La Porte, ale tylko wtedy, gdy nie zdoła wyciągnąć od matki pieniędzy na tak-sówkę. To samotne dwie mile, więc jestem zadowolona

z towarzystwa, chociaż lodowate spojrzenie Ree-Jane potrafi zwarzyć każdą przyjemność.

Jednak tego dnia, gdy już doniosłam ciotecznej babce Paradise drugą Słabą Pocięgę i uporałam się z obowiązkami kelnerki, miałam szosę właściwie dla siebie. W drodze do miasta minęły mnie tylko dwa zardzewiałe pick-upy, tęponosy studebaker Billy'ego Clutterbacka oraz jadąca w przeciwną stronę taksówka Axela, w której jak zwykle siedział tylko sam Axel. W żołądku czułam miły ciężar lunchu, powinnam właściwie rzec, b a j k o w y ciężar, gdyż na lunch była rolada z szynki wyrobu mojej matki, zalana serowym sosem - moje ulubione danie, którego jednak matka zbyt nie ceni, twierdząc, że to same resztki. Roladę robi się ze zmielonej i odpowiednio przyprawionej szynki upieczonej we francuskim cieście; matka kroi ją na wielkie kręgi, a następnie polewa gęstym sosem barwy nagietków, zrobionym z sera cheddar i musztardy. Matka w ogóle ma za nic takie potrawy, a przecież ciasto rozpływa się na języku, a sos jest gładki jak jedwab. Według niej rolada to byle jakie chłopskie jedzenie, któremu nawet nie nadała żadnej nazwy - nie takie jak anielski placek albo piórkowy tort czekoladowy. Ale, och, ta szynka! I ten sos serowy!!! Aż poklepałam się po brzuchu, ledwie mieszczącym ową cudowną mieszaninę smaków i zapachów.

Mimo takiego lunchu, dotarwszy do miasta, pomaszero- wałam Pierwszą ulicą prosto do drugstore'u Soudera; prze- można ochota na lody czekoladowe z wodą sodową kazała mi obojętnie minąć Ogarek, sklepik Pod Dębem, Café Tęcza, a nawet gmach sądu okręgowego.

W La Porte są trzy drugstore'y, przy czym u Soudera i Frazee jest więcej marmuru i mahoniu niż w Walgreenie u Sparksa, gdzie jada się przy obłożonym laminatem kontu- arze w kształcie podwójnej podkowy i gdzie specjalizują się raczej w śniadaniowych kanapkach i gofrach niż w lodach i koktajlach mlecznych. Lokal Soudera jest wciśnięty między Super Ścięcie, ulubiony salon fryzjerski Shirl, i wąski zaułek,

na rogu którego mieści się sklep z sukniami Betty. Zarówno salon, jak i sklep zawsze zalane są mleczną poświatą, natomiast u Soudera panuje mrok i niemal chłód. A teraz, dzięki osobie Rose Souder, miejsce to, jako związane z Mary-Evelyn, jeszcze nabrało uroku.

Podobnie jak u panny Flagler, tutaj również przy drzwiach zadźwięczał mały dzwoneczek. Siadając przy konuarze, zastanawiałam się, czy stara pani Souder będzie w stanie udzielić mi informacji o Rose; Souderów jest tak wielu, iż prawie zwątpiłam, czy warto ją zmuszać, by przypomniła sobie jakąś Rose w swojej gałęzi rodziny. No i pani Souder jest przygłucha, nie wiedziałam więc, czy w ogóle pytanie do niej dotrze.

Na tyłach lokalu zaklekotała zasłonka z drewnianych koralików i pani Souder wyłoniła się z półmroku, jak zwykle podrygując nerwowo. Nie mam pojęcia, na co choruje, ale to coś sprawia, że głowa odskakuje jej w bok, jakby ktoś pociągał za przyczepiony do ucha sznurek. Pani Souder chyba nie lubi młodych osób (takich jak ja), może dlatego, że przy nas jeszcze bardziej się denerwuje.

Lecz jeśli ktokolwiek miałby się denerwować, to przede wszystkim klientki jej męża, gdyż dłonie pana Soudera, który jest aptekarzem, dotknięte są tą samą przypadłością, co głowa jego żony; gdy pan Souder odmierza płyny ze smukłych fiolek, szklane naczynia dzwonią i brzęczą donośnie. Kolory tych lekarstw budzą we mnie szczerzy zachwyty - kuliste butle na drewnianej półce mieniają się tęczo, od przejrzystej jak woda źródłana, przez akwamarynę i trawiastą zieleń, aż po fiolet. Stary pociąg B&Q, przejeżdżając przez miasto, wprawia w drżenie migotliwe płyny, a szklanki do coca-coli i pucharki do lodów trzęsą się w gablocie za szkłem.

Zawsze zamawiam czekoladowy koktajl z lodami czekoladowymi. Staram się czasem wybrać coś innego, ale jakoś nigdy do tego nie dochodzi. Chyba wszyscy wolą lody czekoladowe - pojemnik jest zazwyczaj w połowie pusty, a na jego ściankach zbierają się grudki zlodowaciałej śmietany. Tego

dnia, pólleżąc na marmurowym blacie, przyjrzałam się pozostałym pojemnikom: pora zamówić coś innego, myślałam, może lody klonowe, o nieskalanej powierzchni, w których łyżka do nabierania zostawiłaby pierwsze kremowe wgłębienie... Ale nie, jestem niewolnicą czekolady.

Pani Souder stała już w pogotowiu z uniesioną łyżką do lodów. Zawsze jest zdumiewająco szczodra i kładzie do żebrowanej szklanki dwie porcje, nie to co u Frazeeego, gdzie dają tylko jedną. Ze skupieniem nałogowca śledziłam komponowanie mego deseru.

Małą chochelką na długiej rączce pani Souder wpuściła pasemko czekolady na dno wysokiej szklanki, następnie chlusnęła mleka, włożyła pierwszą łyżkę lodów i psiknęła odrobinę wody sodowej. Potem dodała sosu czekoladowego, jeszcze trochę wody oraz drugą łyżkę lodów, i znowu uzupełniła wodą, aż na powierzchni ukazały się bąbelki. W końcu nakreśliła bitą śmietaną kilka misternych kręgów, tworząc mały lodowy szczyt, a całość zwieńczyła kandyzowaną wisienką, która prawie utonęła w śmietanie.

Smużki soku z wiśni zabarwiły biały obłok piany zupełnie tak samo, jak szminka pani Souder, rozlewająca się smużkami poza kontur jej wąskich warg. Zawsze sądziłam, że ta szminka dowodzi wielkiej odwagi, zważywszy, że pani Souder jest stara i ma skórę przezroczystą i delikatną jak bibułka, a także bardzo białą, zapewne dzięki grubej warstwie pudru Pond's, który również można kupić w drugstorze.

Pani Souder to osoba milcząca i nieprzyjazna, sądzę jednak, że trochę się szczyci swym lodowym kunsztem. Mam wrażenie, że bawi ją unoszenie chochelki wysoko ponad szklanekę, aby czekolada układała się w spirale i wstążki; że lubi robić piramidy z bitej śmietany, których czubek następnie rozbija spuszczaną z góry wisienką. A gdy wreszcie kończy owe zabiegi, jej zrzędlive milczenie na chwilę ustępuje pedantycznemu uśmieszkowi, leciutkiemu uniesieniu kącików ust, a herbaciane oczy nasycają się niemalże zachwytem, który szybko gaśnie, gdy spostrzeże, że jest obserwowana.

Dlatego jestem ciekawa, czy pani Souder, którą z pozoru prawie wszystko różni od osób w moim wieku, która jeśli przerywa milczenie, to tylko po to, by nas strofować - czy pani Souder, komponując deser, nie wspomina przypadkiem swego dzieciństwa, być może spędzonego właśnie tutaj, w drugstorze Soudera, na jednym z obrotowych stołków, gdyż jak sądzę, w La Porte mieszkała przez całe życie? Ta myśl sprawia, że odczuwam z nią pewną więź, wręcz czuję, że powinnam umieć sobie wyobrazić swoją starość, ale jakoś nie potrafię. Zbyt trudno wybiegać myślą tak daleko w przyszłość. Oczyma duszy potrafię dostrzec jeszcze odległy dzień swego ślubu (pan młody często się zmienia, zależnie od mego nastroju), jednak dalej jest tylko mgła.

A więc piłam powoli koktajl i kręciłam się na drewnianym stolku, patrząc na znajome wnętrza i ciemne rewersy przedmiotów na wystawie - kartonową sylwetkę reklamy pomady Vitalisa i drugą, kremu Pond's, dwa granatowe flakony wody toaletowej Soir de Paris, gwiazdździe ułożone szczotki do włosów różnego typu. Wystawa nigdy się nie zmieniała, zupełnie jak dzieło sztuki, które latami wisi w jakimś muzeum; na granatowych butelkach dostrzegłam cieniutką warstwę pyłu, a także kłacek kurzu za pomadą Vitalisa. Tylko tykanie ściennego zegara zakłócało panującą tu ciszę. Wnętrze drugstores było ciemne i chłodne, tak jak ciemne i chłodne bywają jedynie mahoń i marmur.

Spokój prysnął wraz z wtargnięciem rozgadanej Helene Baum i dwóch innych pań - żony burmistrza i pani Dodge'owej Haines. To tylko dwie z przybocznych Helene Baum, która zawsze ciągnie za sobą sznur kobiet, rozmawiając z nimi przez ramię. Ma farbowane rude włosy i ubiera się wyłącznie na żółto - tego dnia był to rozpinany sweter i tweedowa spódnica - nosi również okulary w „kocich” oprawkach, wysadzone u góry sztucznymi brylancikami, naprawdę okropne.

Wszystkie trzy podeszły, trąkocząc, do jednego z małych stolików, przy czym Helene Baum zatrzymała się przy mnie

na chwilę, abym zdążyła się jej uklonić. Nigdy pierwsza nie mówi dzień dobry, a słysząc jej nosowy, chrapliwy głos, mam uczucie, że zaraz spiłuje mnie jak paznokiec. Moim zdaniem to wredna osoba, która krąży po mieście i zadaje ludziom ból, żeby doktor Baum miał potem kogo leczyć.

Helene jest przekonana, że jako żona głównego lekarza w La Porte zajmuje wysoką pozycję towarzyską. Ale w La Porte nietrudno o pozycję, bo nie ma tu prawdziwych bogaczy ani osób ustosunkowanych, ani eleganckich rodzin, takich jak na przykład Rockefellerowie. Oczywiście gdy chodzi o zasiadzenie, Paradise'owie są tu chyba najdłużej, lecz nawet Grahamowie (do których się zaliczam) byli w La Porte przed Helene Baum. Wiem, że wprost ją dobija fakt, iż nie jest zapraszana na balkon w owe dni, gdy Aurora ma ochotę na życie towarzyskie. A już z pewnością doprowadza ją do szału świadomość, że bywa tam pani Davidow, tym bardziej że pani Baum uważa Lolę za absolutną przybłędę.

Wyskrobując ze szklanki resztki czekolady (i usiłując nie zwracać uwagi na Helene Baum, która nosowym głosem wydawała polecenia pani Souder), zastanawiałam się, od jak dawna praktykuje w La Porte doktor Baum, który musi mieć około sześćdziesiątki. Czy pracował tutaj, kiedy umarła Mary-Evelyn? Nie, to niemożliwe - czterdzieści lat temu był w najlepszym razie świeżo po studiach. Wtedy nagle przypomniałam sobie doktora McComba, który jest naprawdę starszym panem i mieszka w La Porte od przeszło pięćdziesięciu lat.

Z brzękiem wrzuciłam łyżeczkę do szklanki, zdumiona, że dotąd na to nie wpadłam - przecież jakiś lekarz musiał podpisać świadectwo zgonu albo coś w tym rodzaju! Słyszałam, jak matka mówiła, że doktor McComb zbiera różne rzeczy, kwiaty, motyle i temu podobne. Zmarszczyłam czoło. „Przyrodnik” - chyba tak to określiła. Doktor McComb pisywał artykuły do gazet na temat fauny i flory naszych okolic. Byłam pewna, że wie sporo o chwastach.

Odepchnąwszy się czubkiem buta, obróciłam się kilka razy na stołku, jednocześnie próbując sobie przypomnieć, co mi wiadomo o kwiatkach i motylach. Nie było tego wiele. Przyszło mi do głowy, że gdybym znalazła kwiat (albo motyla), który doktor McComb zechciałby włączyć do swojej kolekcji, miałabym pretekst, by z nim porozmawiać. A rozmawiając z nim, mogłabym zapytać o Mary-Evelyn. Jak to się stało, że wcześniej o tym nie pomyślałam? Pewnie dlatego, że doktor McComb rzadko bywa w mieście, bo przekazał swoją praktykę młodszemu lekarzowi, temu, przed którym Helene Baum zawsze wszystkich ostrzega.

I to ona przerwała moje wyimaginowane polowanie na motyle, żądając, bym wreszcie przestała się kręcić, gdyż skrzywienie stołka doprowadza ją do szału. Pozostałe dwie panie patrzyły na mnie, ściągnąwszy usta z dezaprobatą. Nie miałam śmiałości dłużej się bawić; odepchnęłam się po raz ostatni i zawirowałam na stołku, przelotnie muskając wzrokiem okno wystawowe. Ktoś tam stał. Twarz tej osoby skrywała się w cieniu; w półobrocie zdążyłam zobaczyć, jak promień słońca rozświetla jej plecy i głowę, jakby otulając ją złotym kokonem. Ale może to rozmyślanie o motylach nasunęły mi takie porównanie.

Kiedy wreszcie zatrzymałam się z trzaskiem, już odchodziła, ale byłam prawie pewna, że to on a, dziewczyna z peronu w Cold Flat Junction. Wtedy zobaczyłam jej profil.

To była Dziewczyna, z całą pewnością.

13.

Zniknęła sprzed wystawy.

Pragnęłam rzucić się za nią, niestety, nauczono mnie, bym zachowywała się powściągliwie: „Nigdy nie zeskakuj z krzesła, tylko powoli wstań i spokojnie odejdz”. Przypomniałam sobie, jak kilka lat temu siedziałam w naszej

bibliotece przy odrapanym stoliku w dziale dla dzieci i płakałam przy lekturze wierszyków o dziewczynce imieniem Jenny, która, chcąc ucałować autora, zawsze zeskakiwała z krzesła. Pamiętam, że oczy mi wezbrały - więcej, całe moje ciało wezbrało - od łez, których nie umiałam powstrzymać. Trzymałam głowę nisko nad książką, a łzy kapały mi wprost na stronicę. Pragnęłam być Jenny.

Zapłaciłam już za swój deser i nic nie stało na przeszkodzie, bym natychmiast popędziła do drzwi; w wyobraźni zeskakiwałam ze stolka, wypadałam na dwór, chwyciłam ją za ramię i pytałam: „Kim jesteś? Kim jesteś?”. Pod pozorami chłodu kryje się we mnie gwałtowność fajerwerków wybuchających na 4 lipca: targające mną uczucia rozbłyskują, płoną, strzelają, kołują i syczą albo, odwrotnie, z taką samą energią opadają, lecą w dół, topnieją. Jednak ze wszystkich sił staram się nic nie okazywać na zewnątrz, pozostawać osobą chłodną, a nawet suchą, jakbym nie posiadała płynów fizjologicznych - żadnych łez, śliny ani potu. Kiedyś wymyśliłam sobie, że w życiu za nic nie wolno przejawiać zbytniego entuzjazmu, sądziłam bowiem, że w ten sposób uniknę rozczarowań. To myślenie magiczne, i w dodatku nieskuteczne - rozczarowania za każdym razem są tak samo dotkliwe.

A więc zanim wyszłam na zewnątrz, Dziewczyna zniknęła.

Zrozpaczona popędziłam za róg, w kierunku, w którym odeszła. Spojrzałam ku torom kolejowym, odwróciłam się pośpiesznie i... wpadłam wprost na szeryfa.

- Widział ją pan? - zapytałam, z trudem łapiąc dech.

- Kogo?

Obrzuciłam spojrzeniem chodnik za jego plecami. Pusty - w każdym razie j e j tam nie było.

- Musiał pan ją minąć! Nie mogła przejść przez tory; szlaban jest opuszczony, bo jedzie towarowy. Pewnie poszła w drugą stronę! - Stał bez ruchu jak kołek. - Nie widział jej pan?! Weszła do sklepu?

- K t o ?

- Blondynka, naprawdę ładna! Nie wiem, ile ma lat, chyba około dwudziestu! - Wspinałam się na palce, próbując wyrzeć za niego z lewej i z prawej strony.

- Na litość boską, uspokój się! - Łagodnie położył mi dłonie na ramionach. - Możesz mi wyjaśnić, dlaczego ta dziewczyna jest taka ważna?

Tego nie wiedziałam, ale była ważna. Zanurkowałam pod ramieniem szeryfa i popędziłam do 1001 Drobiazgów. Mogła wejść do pasmanterii, do artykułów żelaznych na rogu, do dowolnego sklepu na tej ulicy, ale uznałam, że jako osoba przyjezdna najprędzej będzie potrzebować czegoś za parę groszy, może szczoteczki do zębów albo szminki.

W 1001 Drobiazgów są cztery przejścia między półkami; sprawdziłam je wszystkie, ale wśród kilkunastu klientów w sklepie nie dostrzegłam Dziewczyny. Na moje nieszczęście jest tam za to mnóstwo innych ciekawych rzeczy. Najpierw drogę zagroził mi metalowy stojak z komiksem, który koniecznie musiałam przewertować, potem zatrzymałam się przy szminkach w najnowszych odcieniach i po namyśle wybrałam jasny, brzoskwinowy kolor - to znaczy, gdybym używała szminki, czego oczywiście nie robię. W końcu, zniechęcona i przybita, wyszłam na chłodną, zalaną słońcem ulicę i ujrzałam szeryfa, który wsparty o parkomat beztrąsko gawędził z Bunny Caruso.

Otóż Bunny Caruso należy do tajemniczej grupy miejscowych, z którymi surowo zakazano mi się zadawać. Jest wśród nich Toya Tidewater, ale też takie osoby, jak Gummy John czy też wysoki starzec o srebrnych włosach, którego nazwiska nie mogę zapamiętać - inaczej mówiąc, ludzie dziwni i fascynujący. Tyle że Bunny Caruso miałam unikać bez względu na to, podczas gdy na przykład Woodowie zostali dołączeni właściwie bez powodu (rozmawianie z nimi było OK, dopóki pracowali na terenie hotelu). W ogóle odnoszę wrażenie, że za niebezpiecznego uważany jest każdy, kto choć trochę się wyróżnia, za to muszę się płaszczyć

przed osobami nudnymi i wrednymi, takimi jak Helene Baum. Nic dziwnego, że to mnie mierzi.

Nikt mi nigdy nie powiedział, dlaczego właściwie mam się trzymać z dala od Bunny, więc oczywiście zaczęłam podejrzewać, że chodzi o seks - coś, o czym wiem jeszcze mniej niż o Bogu i dmuchawcach. Moje wyobrażenie osoby sexy jest dość mgliste, ale Bunny nigdy mi się taka nie wydawała, bo jest dosyć chuda, chociaż ma bardzo ładną twarz. Powiadają, że wokół jej małego domku na cyplu Swaina wciąż kręcą się mężczyźni i nigdy, przenigdy nie powinnam tam chodzić - przykazanie, które złamałam przy pierwszej możliwej okazji, gdy pewnego dnia pomogłam Bunny zanieść zakupy ze sklepu Millera do poobijanego pick-upu, a ona zaprosiła mnie do domu na lunch. Skwapliwie przyjąłm zaproszenie - zauważyłam w torbie małe pudełka z delikatesów, wśród nich surówkę z białej kapusty od Millera, która jest prawie tak dobra jak mojej matki.

Tłukłyśmy się w pick-upie dobrych kilka wyboistych mil. Słuchałam pogodnego trąkotania Bunny i za Chiny nie mogłam pojąć, co właściwie jest w niej takie groźne. Miała niewinną buzię, bez odrobiny makijażu, i złocistorude włosy obcięte krótko jak chłopak, tylko z tyłu nad kołnierzykiem zawijał się mały lok. Jeśli w ogóle z kimś mi się kojarzyła, to z córką farmera; z łatwością wyobrażałam ją sobie w dużym kapeluszu, pracującą w polu, może przy zbiorze kukurydzy. Ale z drugiej strony bardziej spodobał mi się obraz falujących łąnów zboża i dalekie dźwięki młócki - a więc Bunny młóciła.

Zwróciłam uwagę na jej dziwną wymowę - dziwną, bo nie umiem jej umiejscowić. Nie pochodzi z południa ani z gór: „a” są przedłużone, natomiast „u” znikają, więc z „ale upał” robi się „aaalepał”, lecz wszystkie te błędy rekompensuje miękka intonacja Bunny, która ma najdelikatniejszy, najbardziej melodyjny głos, jaki w życiu słyszałam. Jego dźwięk przywodzi mi na myśl lekki wiatr nad morzem pszenicy, odgłos siania i odgłos młócenia.

Tego dnia pierwszy raz widziałam jej dom, który naprawdę mnie zaciekał. Było tam pełno luster, całe ściany, i wszędzie stało mnóstwo świec, chyba ze dwadzieścia rozstawionych w różnych miejscach. Zapytałam Bunny, czy jej dom urządziła panna Flyte, ale powiedziała, że nie, nie stać jej na pannę Flyte, choć podpatrzyła w Ogarku kilka pomysłów. Lustra, wyjaśniła, są po to, żeby pokój wydawał się większy, bo dom jest maciupieńki. Zjadłyśmy surówkę, tuńczyka i całą resztę, a potem poszłyśmy nad jezioro, usiadłyśmy na kamieniu tuż nad zatoczką i zanurzyłyśmy stopy w wodzie. Bunny lubi mówić i słuchanie jej głosu sprawiało mi prawdziwą przyjemność, ma też siatkę na motyle, więc czasem wstawaliśmy, żeby pobiegać za motylami, a jak nam się nie chciało ruszać z kamienia, po prostu machaliśmy siatką w powietrzu, kiedy coś przelatywało w pobliżu. Później byłam tam jeszcze kilka razy.

Po tej wizycie zaczęłam sobie wyobrażać, że pewnego dnia będę miała farmę, na której zamieszkać razem z Bunny. Wokół farmy będą się rozciągać hektary żyznej ziemi, zwane „doliną Paradise” (od rajów i Pana Boga, nie od Aurory Paradise). Oczywiście widziałam Bunny, w dużym kapeluszu i sukience z błękitnego perkalu, jak pracuje w polu, zbiera to, co trzeba zebrać, no i oczywiście młóci (o pracy na roli i hodowli bydła wiem mniej więcej tyle samo, co o Bogu, dmuchawcach i seksie). Miałam zamiar spędzać z Bunny mnóstwo czasu, brodzić w strumieniu, przyglądać się ważkom i gonić motyle, chciałam też samotnie błodzić po polach wśród łąk zbóż - może kukurydzy - otoczona gromadą wiejskich psów, patrząc, jak spośród wysokich traw wyskakują koty i próbują strącić łapą motyla.

No więc Bunny pracowałaby na roli, nie bardzo jednak wiem, co ja bym robiła na tej farmie. Chyba niewiele - w końcu zajmuję się głównie hotelarstwem.

- Nieźle przeszukałaś ten lokal - rzekł szeryf, wskazując głową sklep.

Nie odpowiedziałam; przywitałam się z Bunny i od razu postanowiłam wciągnąć ją do poszukiwań Dziewczyny.

- Musiał pan ją minąć - zwróciłam się do szeryfa; w końcu powinien sobie uświadomić, że reprezentuje władzę i do niego należy obserwowanie obcych w naszym miasteczku.

- Kogo? - dopytywała się Bunny, patrząc to na mnie, to na niego. Chyba naprawdę szeryf jej się podoba, ale komu on się nie podoba? Przeszyło mnie ukłucie zazdrości.

Opowiedziałam jej o Dziewczynie prawie wszystko, nie przyznałam się tylko, że byłam w Cold Flat Junction. Zamyśliła się i powoli pokręciła głową:

- Nie paaamiętam, żebym widziała kogoś taaakiego.

Pod tym względem przypomina szeryfa i Maud Chadwick - poważnie traktuje każde moje pytanie i nigdy mnie nie zbywa ani nie lekceważy. Czasem się nad tym głowię: jak to możliwe, że trzy tak różne osoby są tak do siebie podobne? Ale potem pytam: czy rzeczywiście tak się różnią? I czy my wszyscy różnimy się od siebie tak bardzo? Bo rzecz jasna, samą siebie też zaliczam do niewielkiego grona swych ulubionych ludzi.

Szeryf zaproponował, byśmy zaszli do Tęczy, lecz Bunny cofnęła się o krok, jakby uznała, że nie jest godna uczestnictwa w takiej fecie. Zaczęłam ją namawiać, ale zdenerwowała się jeszcze bardziej i z przejęciem tuląc do piersi maleńką torebkę, szybko odeszła do swego pick-upu.

Zapytałam szeryfa, co właściwie ludzie mają jej za złe.

- Pewnie nie podoba im się jej styl życia.

Zmierzałyśmy właśnie do Café Tęcza.

- Ależ ona mieszka zupełnie sama w małym domku na cyplu Swaina! Ma tylko kota! Bardzo jest u niej schludnie i całkiem przyzwoicie! - „Całkiem przyzwoity” to ulubione określenie mojej matki, które zwykle znaczy, że dana osoba albo rzecz niczym szczególnym się nie wyróżnia. - Dom jak każdy inny, no, może oprócz tych luster!

Szeryf nagle przykucnął, by zawiązać sznurowadło, więc nie dostrzegłam jego miny.

- Wygląda na to, że tam byłaś - powiedział, po czym wyprostował się i ruszyliśmy dalej.

Nie wiem, jak to się dzieje, ale kiedy rozmawiam z nim albo z Maud, różne rzeczy po prostu same wymykają mi się z ust. Absolutnie nie zamierzałam mu mówić, że odwiedziłam Bunny.

- Raz albo dwa - westchnęłam. - Nie wolno mi nawet z nią rozmawiać. Matka mi zabrania. Moim zdaniem to głupota. Bunny jest naprawdę miła.

Dochodziliśmy już do drugstore'u Soudera, gdy zobaczyłam, że trochę dalej, pod sklepem z sukniami Betty, stoi Cadillac Helene Baum. Oczywiście, jeździła cadillakiem, i to złotym jak kaczeniec - pewnie myślała, że to lepszy samochód niż oldsmobile burmistrza. Przypuszczalnie wciąż jeszcze siedziała w drugstorze i pouczała swoje towarzyszkę, jak mają żyć.

Przystanęliśmy, więc obudziła się we mnie nadzieja, że czerwona strzałka parkomatu już się podniosła, ale nie. Szeryf popatrzył na przód samochodu, wystający około dwóch stóp na alejkę, zastanawiał się przez chwilę, po czym (miło mi przypuszczać, że to skutek mojego wymownego milczenia) wyciągnął z tylnej kieszeni bloczek mandatowy, pstryknął długopisem i zaczął pisać.

Wykonałam kilka tanecznych podskoków wokół parkomatu, a gdy ujrzałam, że Helene wynurza się z drugstore'u i wściekła zmierza w naszą stronę, podnieciłam się jeszcze bardziej. Pewnie zobaczyła, co się dzieje, przez okno wystawowe.

- Co robisz? - zwróciła się do szeryfa; na mnie, rzecz jasna, nie zwróciła najmniejszej uwagi.

- Dzień dobry, Helene - szeryf uprzejmie podniósł do czapki dwa palce.

- Pytałam, co robisz? Nie przekroczyłam czasu! - Kilkakrotnie stuknęła pięścią w parkomat, jakby żądając, by potwierdził jej słowa.

- Nie, ale blokujesz alejkę - rzucił szeryf, nie przerywając pisania.

Helene rozłożyła ramiona i teatralnym gestem zmierzyła odległość.

- Nie mów głupstw. Nawet ciężarówka się tędy przecisnie.

Szeryf wyrwał z bloczka różowy świstek i wręczył jej z uśmiechem, ale odepchnęła jego dłoń. Niezrażony umieścił mandat pod wycieraczką

- Wiesz - powiedział łagodnie - gdyby doktor Baum robił mi bypasy i zamiast poszerzyć należyście tętnicę, oznajmił: „Hmm, jest tu dosyć miejsca, krew się jakoś przecisnie”, tobym się chyba zmartwił. - Uśmiechnął się oślepiająco. - Do zobaczenia, Helene.

I odeszliśmy - to znaczy, przyznaję, że ja oddaliłam się tanecznym krokiem, pijana z zachwytem, upojona władzą urzędu szeryfa. Kiedy się obejrzałam, Helene wciąż stała przy samochodzie, niemal dymiąc z wściekłości.

- To co powiesz na colę? - zagadnął szeryf.

Czekoladowe lody z wodą sodową wciąż zalegały mi w żołądku, a raczej zalegały na roladzie z szynki z sosem serowym i podwójnej porcji fasolki. Matka otwarcie przyznała, że fasola pochodzi z puszek, co wszystkich zaskoczyło, bo smakowała jak domowa. „Preparowane” - tak matka określała te wszystkie warzywa o poprawionym smaku. Co do mnie, to uważam, że mogłaby prowadzić klinikę dla warzyw: przyjemnie patrzeć, jak bierze bładą, rachityczną fasolkę, groszek lub kapustę i za pomocą odrobiny przypraw i zręczności sprawia, że wkraczają na salę jadalną, jakby całe życie spędziły na słońcu i nigdy nie oglądały puszek od środka.

Stojąc z szeryfem przed Café Tęcza, uznałam więc, że nie, po prostu nie zdołam już nic przełknąć, zważywszy na to, ile zjadłam przez ostatnie dwie godziny. Nawet mój apetyt ma swoje granice. A poza tym musiałam wreszcie poświęcić nieco uwagi swemu niedawnemu olśnieniu w sprawie

doktora McComba oraz jego kwiatków i motylków. Wprost nie mogłam się doczekać, żeby pójść do biblioteki.

- Zna pan doktora McComba? - zapytałam szeryfa.

- Trochę. A bo co?

Nadal chodziło mi po głowie, że to on mógł być lekarzem, który wystawił akt zgonu Mary-Evelyn.

- Chyba jest strasznie stary. Ma co najmniej sześćdziesiąt pięć lat.

- Raczej osiemdziesiąt. - Nie widziałam oczu szeryfa za nieprzeniknionymi czarnymi szklami, lecz wyraźnie się uśmiechał. - Może się zdziwisz, ale są ludzie, dla których sześćdziesiąt pięć lat to nie jest straszna starość.

- A osiemdziesiąt?

Uznałam, że lepiej to sprawdzić, żeby przypadkiem nie nadebrać komuś na odcisk. Szeryf mógł mieć osiemdziesięcioletniego krewnego.

- Tak, można powiedzieć, że osiemdziesiąt lat to naprawdę starość.

- Gdzie on mieszka?

Szeryf spojrzał w dal ponad moją głowę.

- Na końcu Valley Road. Ma stary wiktoriański dom, nie całkiem w lesie, ale rośnie tam mnóstwo drzew i krzaków. To prawie odludzie. A co? Chcesz go odwiedzić?

Czasem szeryf działa mi na nerwy z tym swoim czytaniem w myślach. Więc nic nie powiedziałam, tylko wzruszyłam ramionami, oświadczyłam, że idę do biblioteki, i grzecznie podziękowałam za colę.

Biblioteka Okręgowa im. Abigail Butte to miejsce jeszcze bardziej niezbędne mi do szczęścia niż drugstore Soudera, choć nie mam pojęcia, kim była Abigail Butte ani dlaczego biblioteka nosi jej imię.

Nie chodzi o to, że jestem mołem książkowym, ani nawet o to, że dużo czytam; owszem, czytam, ale nie jestem „oczytana” (czego dowodzi mój brak wiedzy na niemal każdy

temat). Po prostu lubię biblioteczną ciszę, to, że ludzie mówią tu szeptem, jak przy chorym lub umierającym. Dlaczego podoba mi się taki nastrój, nie mam pojęcia.

Z wyjątkiem działu dziecięcego w oddzielnej sali, wszystko inne mieści się w jednym wielkim pomieszczeniu - kontuar, przy którym kierowniczką biblioteki wypożycza książki, kilka stołów, gdzie można usiąść i poczytać, fotele dostawione w tym samym celu oraz, oczywiście, regały. Uwielbiam przechadzać się między półkami - czuję się wówczas pogrzebana, ukryta, niewidzialna, niedająca się odszukać.

Najpierw udałam się do działu z ogrodnictwem, ale zaraz zdałam sobie sprawę, że to za ogólne. Oczywiście, mogłam poprosić o pomoc bibliotekarkę, pannę Babbit, która wcale się nie zmienia przez te wszystkie lata, odkąd ją obserwuję (choć prawdę mówiąc, tych lat na obserwację miałam zaledwie siedem albo osiem), ale to ostateczność. Skoro biblioteki są wypchane po brzegi encyklopediami, słownikami, katalogami, skoro dysponują tysiącami sposobów sprawdzania różnych rzeczy i tysiącami książek do tego przeznaczonych, pytanie o cokolwiek to moim zdaniem kapitulacja.

Odszukałam w katalogu rzeczowym hasło „motyle”, po czym wróciłam do regałów i wydobyłam kilka pozycji. Sprawdziłam, czy wypożyczał je doktor McComb, i rzeczywiście, na trzech kartach było napisane „L.W. McComb”. Nie byłam pewna, czy „L.W.” to ten McComb, o którego mi chodzi, choć oczywiście mogłam o to zapytać pannę Babbit, po namyśle jednak uznałam, że to musi być on - raczej nie istniało dwóch McCombów interesujących się motylami, chyba że to u nich rodzinne. No i te daty: „L.W.” nie wypożyczał tych książek w zeszłym tygodniu, ale przed laty, co również wskazywało na starego doktora, któremu zasoby Biblioteki im. Abigail Butte przypuszczalnie już dawno przestały wystarczać.

A więc zasiadłam do lektury. Z naukowych opisów rozumiałam niewiele, lecz kolorowe obrazki bardzo mi się podobały. Nie wiedziałam, że istnieje tyle gatunków motyli!

Dotąd miałam o nich dość mętne pojęcie, widząc tylko trzepoczące pary skrzydełek, bladożółtych, pomarańczowych bądź nakrapianych z czarną obwódką - kolejny dowód, jaka jestem spostrzegawcza. Lecz tu ujrzałam motyle, które należało pokazywać na czarnym aksamicie jak klejnoty, szmaragdowe, akwamarynowe, rubinowe. Wprost zapierały dech w piersiach.

Przez kilka chwil zasepiona patrzyłam w przestrzeń, próbując sobie przypomnieć choć jedną rzecz, na której się znam. Nie wiedziałam nic o niczym. Przebiegłam w myślach wszystkie możliwe kategorie - bez skutku. Naturalnie, świetnie zjadam potrawy mojej matki, ale nie zdołałabym ich przygotować. Umysł najwyraźniej mnie zawodził, spojrzałam zatem na ręce. Czy one coś potrafią? Nie umięją gotować, szyć, grać na pianinie, sadzić roślin, rzeźbić w drewnie...

Po prostu marnowałam życie! A już na pewno, pomyślałam, nie zajdę daleko dzięki urodzie. Coraz bardziej ponurzęc, przeszukałam w myślach swój osobisty słownik słów na „nie”. „Niepocieszona” znaczy „niedająca się pocieszyć”. To właśnie ja. Westchnęłam.

Znów zaczęłam przeglądać kolorowe plansze, kiedy nagle przypomniałam sobie, że w bibliotece znajduje się dział informacji o miejscowych ciekawostkach przyrodniczych, na przykład o jeziorze (dużym), lasach i parkach, a także o nadchodzących imprezach. Na półce poświęconej La Porte ujrzałam również książki i artykuły mieszkańców miasta, przede wszystkim poetów bądź osób, które się za nich uważały. (Nawet ja, która oprócz przygód Nancy Drew i lokalnej gazety czytam naprawdę niewiele, sądzę, że ich wiersze są okropne). Ale w końcu znalazłam to, czego szukałam - cienką książeczkę o rzadkich gatunkach motyli, zawierającą eseje i artykuły różnych ludzi, nauczycieli, profesorów i innych naukowców, z których jednym był doktor McComb.

Doktor opisywał niezwykle odmiany motyli, które zostały złowione w naszej okolicy - okazy, które ścigał z siatką w rozmaitych miejscach: w lasach pod Cloverly, siedemdziesiąt

mil stąd, w dolinie Paradise po drugiej stronie torów oraz nad samym Jeziorem Duchów. Było nawet lepiej, niż się spodziewałam - coś mnie z nim łączyło, bo oboje szukaliśmy czegoś nad tym jeziorem. Zaniósłam książeczkę do stolika, wsparłam głowę na zaciśniętych pięściach i zatopiłam się w lekturze, z wolna nabierając osobliwego przekonania, że doktorowi i mnie pisane jest spotkanie. Gdybym była osobą o większych skłonnościach do melodramatu, mogłabym nawet rzec, że los tak chce.

Artykuł doktora McComba naprawdę mi się spodobał. Był całkiem inny niż teksty w książkach, które usiłowałam czytać, suche jak patyki, pisane z poczuciem wyższości, jakby naukowcy sądzili, że wszyscy muszą znać łacinę - jakby wręcz nie lubili potocznej nazwy „motyl”. Nie, doktor McComb napisał swoją pogoń za „białym koronkowcem” (tak nazwał motyla), jakby to było opowiadanie:

To najbardziej nieuchwytny motyl, z jakim miałem do czynienia przez pięćdziesiąt lat badań. Ponad dwie godziny tkwiłem na brezentowym krześle z dala od drogi, choć jednak dostrzegłem wiele okazów bielinka wirginijskiego, a nawet modraszka, nie ujrzałem ani jednego białego koronkowca, któremu nadałem tę nazwę, gdyż przypomina mi koronkę królowej Anny, czyli dziką marchew, pleniącą się na poboczu, albowiem krawędzie jego skrzydeł są obramowane otworkami maleńkimi jak dziurki od szpilki, przez które prześwieca światło, nadając owemu motylowi lekkość jedwabnej siateczki.

Przypomniawszy sobie, że poprzednim razem widziałem go nad jeziorem, przysiadłem na kwiecie mniszka, uznałem, że zapewne przyciąga go woda. Przeniosłem więc swój „obóz” (gumiaki i lornetę) na trawiaste torfowisko i przeszedłem godzinę stałem nieruchomo na płyciźnie...

Całą godzinę w wodzie! Ja nie mogę ustać przez pięć minut, żeby się nie podrapać!

...aż wreszcie zostałem nagrodzony nagłym pojawieniem się koronkowca, który tym razem również przysiadł na mleczu i pozostał tam przez pełne dwie minuty, z wolna bijąc skrzydełkami...

Ciekawe, pomyślałam, dlaczego doktor nie schwytał go w siatkę? Zupełnie jakby darzył tego motyla szacunkiem, którego nie odczuwał wobec innych gatunków.

Tego wieczoru po powrocie do hotelu, zanim zabrałam się do robienia sałatek na lunch, poszukałam czegoś, co nadałoby się na siatkę na motyle. Pożyczyłabym siatkę od Bunny Caruso, ale jakoś nie mogłam jej spotkać. I wtedy uderzyło mnie, że to dziwne, iż wyklętą Bunny Caruso łączę z doktorem McCombem tak niezwykle więź: ze wszystkich znanych mi ludzi tylko tych dwoje kiedykolwiek obchodziły motyle w okolicach La Porte.

14.

Nie jestem pewna, dlaczego na poszukiwania bielinka koronkowca wybrałam się akurat wczesnym rankiem; przecież motyle nad Jeziorem Duchów mogły się jeszcze nie obudzić. Chyba powodowało mną niejasne odczucie, że wszystkie tego typu wyprawy należy rozpoczynać o niewygodnych, uciążliwych porach, gdyż jedynie ofiary dają gwarancję powodzenia (zauważyłam, że tak często bywa).

Pomna opisu wycieczki doktora McComba, stanęłam na czatach nad brzegiem jeziora, tyle że nie weszłam do wody tak jak on, bo nie miałam wysokich kaloszy, tylko gumiaci. Normalnie nienawidzę gumiaków, nie znoszę, jak zmusza się mnie, bym w deszczowe dni nosiła je do szkoły, ale tego ranka bardzo się z nich cieszyłam. Dygotałam z zimna, stojąc po kolana w trawie, zimnej i lepkiej od rosy, wpatrzona w białą mgłę podnoszącą się znad wody, ściskając w dłoni

sitko do czyszczenia akwarium oraz płaski kuchenny cedzak. Pudełko na motyle, wykonane z kartonu, w którym wybiłam dziurki i zrobiłam plastikowe okienko, stało trochę dalej na skraju drogi.

Pomyślałam sobie, że mam ponad godzinę, zanim trzeba będzie wracać do jadalni, żeby ustawić na stołach dzbanki z syropem klonowym i miseczki z dżemem. Vera, główna kelnerka, na pewno by się zdziwiła, widząc mnie na stanowisku pracy; odnoszę wrażenie, iż bardzo się szczyci faktem, że jest zawsze pierwsza, to znaczy, z wyjątkiem mojej matki, która już przed świtem schodzi do kuchni, aby zabrać się do pieczenia bułek i ciasteczek na śniadanie. Lepiej było nie myśleć zbyt długo o tych ciasteczkach (małych, gorących, barwy porannego słońca), kiedy tu stałam i okrywałam się gęsią skórką - samo ich wspomnienie sprowadzało mój umysł na manowce, każąc mu rozmyślać o śniadaniu w ogóle. Te obłoki omletów, placki kukurydziane pływające w syropie, kielbaski, no i te jajka sadzone! Jadałam już w restauracjach, gdzie „jajka sadzone” przybywały na stół zbrązowiałe i skurczone, po prawdziwych przejściach. Moja matka nie dość, że nigdy nie podałaby takiego jajka, nie pozwoliłaby nawet, by pęknięte żółtko opuściło kuchnię. Musiały być doskonałe, co oznaczało także nietłuste. Widywałam już, jak zbierała serwetką najmniejszy ślad tłuszczu, a zważywszy na to, że smaży je na maśle, tłuszcz także jest niezłej klasy. Te jajka na białym porcelanowym talerzu wręcz promienieją! Chyba każda potrawa mojej matki ma odpowiednik wśród tkanin: jedwab (jajecznicza), adamaszek (jajka sadzone i sos serowy), szyfon (omlety i tort cytrynowy). Nawet jej placki przypominają kaszmir - wiem, bo kiedyś przyłożyłam jeden z nich do policzka, i odkryłam, że jest miękki i przytulny.

Promienie słońca, prześwietlające drzewa i trawy po drugiej stronie jeziora, przekradły się po bladej dywanie lili wodnych do budynku przystani, który stopniowo wyłączał się z mglistego okrycia. Cztery łódki, na których tak lubili pływać letnicy, unosiły się nieruchomo przy pomoście.

Jezioro nie należy do dużych - jego linia brzegowa ma około mili długości, choć może słowo „linia” nie jest tu stosowne, bo między lądem i wodą nie istnieje wyraźna granica. Nie ma tu skalistego brzegu ani plaży: torfowisko przechodzi w bagno, a to - w wodę.

W tym półświecie i półmroku było coś, co nie pozwoliło mi dłużej wspominać jajek sadzonych i placków kukurydzianych, tego, jakie są pyszne i niezmiennie, lecz kazało zastanowić się nad otoczeniem. Brzask, pocięty smugami cieni, cisza, wypełniona cichym świergotem, sprawiły, że nagle poczułam się tak, jakby świat obudził się po raz pierwszy - jakby świt nie stanowił powtórki z wczoraj i przedwczoraj, ale był czymś całkowicie nowym. To oczywiście śmiechu warte - cóż ja, nie będąc rannym ptaszkiem (o czym z pewnością zaświadczyłaby Vera), mogłam wiedzieć o niegdysiejszych świtach? Westchnęłam, porzuciłam filozoficzne rozważania i spojrzałam na drugi brzeg.

Tam, w gąszczu krzewów i zarośli, wznosił się stary dom panien Devereau. Stał w pewnej odległości od brzegu, więc widziałam tylko dwa mansardowe okna i fragment dachu z kominem, oraz balustradę werandy częściowo skrytą za dębami i sosnami. W niewielkim sosnowym zagajniku, w cieniu drzew, stała szara zwietrzała figura, jakby postać kobiety, choć z tej odległości niewiele mogłam dostrzec. Obecność tego posągu, wpatzonego w jezioro, przy domu sióstr Devereau wydała mi się trochę dziwna, trochę nazbyt romantyczna.

Dom był słabo widoczny również dlatego, że inaczej niż większość letnich domów w okolicy został pomalowany nie na biało, lecz na szaro. Nie był ciemny ani jasny - miał osobliwą, leśną barwę pni drzew i gładko wtapiał się w otoczenie. Nawet ja, która przecież wiedziałam, że tam stoi, mogłabym go nie zauważyć, gdyby nie srebrzyste rozbłyśki słońca w oknach na mansardzie.

Ów przeciwny brzeg jeziora był tak zarośnięty, tyle tam leżało powalonych wiatrem drzew, że prowadząca wokół

niego wąska polna droga ginęła w nieprzebranych chaszczach. Wiem, bo kilkakrotnie próbowałam się nią przedrzeć; za każdym razem udawało mi się dojść trochę dalej, pokonałam niemal dwie trzecie trasy, lecz za każdym razem byłam zmuszona zawrócić, bądź z racji bagnistego terenu, gdzie mogłabym się utopić (zbyt wiele godzin z Nancy Drew), bądź z powodu dziwnych odgłosów, skowytu domniemanych kojotów, czy też szelestu grzechotników w trawie (zbyt wiele sobót w towarzystwie Clinty).

Potrzebowałam kogoś, kto by się ze mną wybrał, ale nikogo takiego nie było, zresztą nawet gdyby nie wiem ile osób błagało, żeby zabrać je na tę wyprawę, w rachubę wchodziłoby tylko nieliczni. Prosiłam swego brata Willa, który obiecał, że owszem, pójdzie, „kiedyś”. Ale „kiedyś” jakoś nie nadchodziło, nie bardzo wiem dlaczego - przecież Will zyskałby wspaniałą okazję, żeby napędzić mi strachu, zmyślając jakieś historyjki o węzłach i temu podobnych. Przez chwilę chciałam zwrócić się z tym do szeryfa (który oprócz inteligencji i sprawności fizycznej odznacza się jeszcze tą zaletą, że w razie konieczności może użyć broni), ale za bardzo się krępowałam - szeryf i tak sądzi, że zbyt wiele rozmyślałam o śmierci Mary-Evelyn.

Na chwilę przyjemnie się rozmarzyłam, niemal widząc, jak szeryf wyrąbuje nam drogę przez konary i pnącza, gdy wtem kątem oka dostrzegłam niewielki, migotliwy obiekt. Odwróciłam się; tuż obok duży motyl właśnie lądował na wierzbowej witce. Wprawdzie nie był to bielonek koronkowiec, niemniej miał ładny jasnoniebieski kolor. Wyciągnęłam z kieszeni cienką książeczkę z biblioteki. Motyl cierpliwie kołysał się na gałązce, jakby czekał, aż odnajdę jego podobiznę - i rzeczywiście, bardzo przypominał osobnika gatunku modraszek wieszczek, wprost błyszczał w białych promieniach słońca. Uniosłam wzrok znad stronicy i spojrzałam na światło, wirujące na powierzchni jeziora zmarszczonej przez świeży poranny powiew. Nad samą powierzchnią

wody w załamaniach maleńkich fal polatywały owady, chyba ważki i wodne chrząszcze.

Błękitny motyl odleciał, gdy sięgałam po sitko, które poprzednio rzuciłam na trawę, aby wyjąć książkę. Westchnęłam i postanowiłam jeszcze poczekać. Bardzo chciałam zobaczyć jakiegoś motyla opisanego przez doktora, jeśli nie koronkowca, to chociaż inny rzadko spotykany w tych stronach okaz. Pomyślałam o rusałce żałobniku (jego ludowa nazwa, „piękność z Camberwell”, jest wprost zachwycająca; ciekawe, czy motyl faktycznie pochodzi z okolic Camberwell?), lecz wówczas rzuciła mi się w oczy jakby fontanna miedziaków wzbijająca się ponad gąszcz przydrożnych jeżyn. Oczywiście, poza zasięgiem siatki. Sprawdziłam w książce i uznałam, że mam przed sobą czerwończyki uroczyki - naprawdę urocze motylki miedzianej barwy.

W ciągu następnych trzech kwadransów zostałam starannie obejrzana przez osobniki jeszcze kilku innych gatunków motyli. Niektóre, jak modraszki wieszczyki, przysiadły na gałązkach wierzby lub źdźbłach wysokiej trawy; inne, których nazwy nie znałam, nie większe od paznokcia małego palca, unosiły się nad łąką wielkimi żółtymi chmarami. Nie mogłam uwierzyć, że doktor McComb uśmiercał je i nabijał na szpilki - nie po tym, co i jak o nich pisał.

A potem zobaczyłam dużego, białego motyla, który opadł, znów się wzniósł, zawrócił i wreszcie usiadł w pobliżu. Wstrzymując oddech, ostrożnie pochyliłam się ku niemu, aby sprawdzić, czy ma w skrzydełkach dziurki. Nie, to był zwykły bielonek. Stałam, patrząc na niego, i do głowy mi nie przyszło, żeby skorzystać z sitka i cedzaka - po prostu wiedziałam, że tego nie zrobię, choćbym miała tu tkwić cały dzień. To byłoby nie fair; motyl sobie odpoczywał, nieświadomy, że jego los jest w moich rękach. Choć raczej niewiele mu groziło z mojej strony, bo nigdy nie byłam zbyt zręczna.

Kiedy wreszcie odwróciłam wzrok, aby ponad jeziorem spojrzeć na dom pańien Devereau, odniosłam wrażenie, że coś mi się zwiduje.

Albowiem stała tam Dziewczyna. Tam, po drugiej stronie jeziora. Stała w swojej sukience barwy świtu, z włosami barwy księżycy, i po prostu wpatrywała się w wodę tak samo jak ja. Jakby na mnie patrzyła. Wypuściłam z rąk sitko i cedzak, przetarłam oczy i spojrzałam ponownie. Nadal tam była, tylko trochę dalej, teraz już na poły ukryta za kępą jesionów i wierzb płaczących. W końcu odwróciła się w stronę domu, zrobiła kilka kroków i zniknęła za drzewami.

Jak długo stałam oniemiała, gapiąc się na przeciwny brzeg i dom panien Devereau? Nie wiem, ale już jej nie zobaczyłam.

Byłam poniekąd zadowolona, że prawie spóźnię się na śniadanie i ledwie zdążę do hotelowej jadalni, aby rozłożyć na talerze porcje masła. To jedno z moich nudnych przedśniadaniowych zajęć - krążenie po sali z miską maślanych krążków i dziabanie każdego widelcem. Zimne jak lód masło przywiera do zębów widelca, więc muszę je strząsać siłą - dziabię i strząsam, dziabię i strząsam. Czasem myślę, że łatwiej byłoby wycisnąć masło prosto z krowy.

Och, ale potem na pociechę będą placki kukurydziane i jajka sadzone! Myślałam o nich z radością, drepcząc przed siebie ubitą ścieżką. O tej porannej, szarobłękitnej siódmej godzinie powietrze było chłodne, prawie zimne, prawie jesienne. A jesienią zaczną się placki gryczane! Opisanie placków gryczanych mojej matki przekracza moje możliwości, ale widzę je oczyma duszy - brązowo żyłkowane, chrupiące po brzegach i dokładnie takie kwaśne, jak trzeba.

Nie jestem katoliczką ani w ogóle jakoś szczególnie wierzącą osobą, lecz kiedy myślę o tych plackach, to muszę się przeżegnać.

15.

Zachowałam pudełko na motyle z kartonu po sosie pomidorowym Hunt's, bo zrobienie w nim plastikowego okienka kosztowało mnie wiele trudu. Mogło mi się jeszcze przydać.

Po zjedzeniu na śniadanie dwóch porcji placków kukurydzianych z syropem klonowym, a potem dużej miski spaghetti na lunch (plus kilka klopsików), doszłam do wniosku, że przyda mi się trochę ruchu. Piechotą pokonałam dwie mile do miasta, po czym skręciłam na drogę prowadzącą do klubu golfowego i ośrodka rekreacyjnego dla miejscowej elity. Szeryf powiedział, że doktor McComb mieszka na Valley Road, toteż tam właśnie zmierzałam.

Kiedy przed lunchem zadzwoniłam do doktora, mówiąc, że chciałabym go odwiedzić i zasięgnąć informacji o motylach, potraktował mnie bardzo uprzejmie, a na wzmiankę o matce i Hotelu Paradise wręcz wpadł w zachwyt, bo podobno pamiętał mnie jeszcze jako niemowlę. Miałam tylko nadzieję, że nie zacznie porównywać mnie dzisiejszej z niemowlęciem, którym niegdyś byłam. Niemowlęta jakoś nigdy nie spełniają nadziei, jakie się w nich pokłada.

Minąwszy La Porte, ruszyłam Drogą Czerwonego Ptaka i mniej więcej pół mili dalej dotarłam do odchodzącej w lewo Valley Road. Stała tu tylko jedna ludzka siedziba, właściwie nie dom, tylko przyczepa kempingowa, jedna z tych, co to zyskują atrybuty trwałości dzięki dobudowanym na stałe schodkom, daszkowi z plastiku i stadku plastikowych gęsi przed wejściem. Dopiero na samym końcu ujrzałam prawdziwy dom, zapewne należący do doktora McComba, gdyż jego nazwisko, namalowane białą farbą, widniało na skrzynce na listy przytwierdzonej do drewnianego słupka.

Dom był dokładnie taki jak w książkach o Anglii. Nie miał werandy, a ogród sięgał do samych drzwi wejściowych, gdzie rosły kępy wysokich traw i mieczyki koloru lawendy. Budynek wyrastał jakby prosto z ziemi i wyglądał dość

tajemniczo - mogłaby się nań natknąć Nancy Drew, myszkując o zmierzchu z latarką w ręce.

Podeszłam do drzwi po zarośniętej trawą i dziką marchwią ścieżce i zapukałam. Nikt nie otwierał. Odczekałam chwilę. Doktor McComb wyraźnie powiedział, że mogę przyjść dzisiaj o dowolnej porze, więc byłam pewna, że na mnie czeka - chyba że upodobił się do staruszków z Domu Opieki Weeksa, którzy czasem nie pamiętają, co mówili pięć minut temu. Osiemdziesiątka to podeszły wiek, nawet szeryf tak twierdzi.

Zapukałam mocniej i drzwi same się uchyliły. Wejść czy nie? Pewnie tak, bo doktor chyba zostawił je otwarte dla mnie. Musiał być gdzieś w pobliżu, tylko dlaczego nic nie słyszał?

W środku panowała ciemność, taka sama jak w kinie Orion. Zamrugałam powiekami i w półmroku zamajaczyły przede mną zarysy przysadzistych foteli i nakrytych chustami stołów. Było tu chłodno, znacznie chłodniej niż na dworze, gdzie słońce grzało jak silny reflektor. Miałam wrażenie, że przeszłam do innej pory roku, z wiosny do jesieni. Zresztą wolę jesień; zawsze wolałam. Z latem wiąże się mnóstwo wysiłku - to całe bieganie wśród okrzyków po plaży, walenie w piłki tenisowe, ryk motorówek na wzburzonych wodach dużego jeziora za La Porte; albo sprężyste, jaskrawe kwiaty przed wejściem do hotelu, śmigające z piskiem ptaki i pszczoły brzęczące jak piły tarczowe. Wszystko pełne przesady, zbyt barwne, zbyt głośne. Wszystko szalenie wyczerpujące, nawet zachody słońca, rozpostarte na niebie niczym kolorowe flagi. Wewnątrz tego domu było cicho i chłodno. Ogarnęło mnie poczucie wdzięczności.

A jednak zastanowiło mnie, jak owa niska temperatura wpływa na starca takiego jak doktor McComb. W mieszkaniach panien Flyte i Flagler jest zawsze o kilka stopni cieplej niż u innych ludzi, a one same mówią, że krew stygnie im w żyłach. Siedzą opatulone w swetry i szale, panna Flagler czasem nawet otwiera drzwiczki piekarnika, „żeby zabrało

ziąb”. Potajemnie zazdroszczę im tego ciepłego i przytulnego życia, nasyconego woniami pieczenia, melasy i zaczynu na ciasto, oraz cudownego aromatu gorzkiej czekolady, która zazwyczaj pyrkocze na fajerce.

Czasem po prostu siedzę sobie z przymkniętymi powiekami i z kubkiem kakao w rękę, a kot na półce za moimi plecami delikatnie gryzie mi włosy; czasem nawet zapadam w drzemkę i podbródek opada mi na piersi. Kiedyś kubek zsunął mi się z podółka i kakao rozlało się na nieskazitelne linoleum panny Flagler, ale obie panny wyśmiały moje zakłopotanie, mówiąc, że to żaden kłopot, skądże znowu, to tylko stare linoleum. Mnie samej wydaje się dziwne, że tak lubię te podwieczorki. „To nie jest miejsce dla dwunastolatki” (głos mojej matki), która „powinna częściej wychodzić” (głos pani Davidow, wysyłającej mnie w miejsca, gdzie wcale nie chcę iść) i „mieć koleżanki w swoim wieku” (głos Ree-Jane). Zupełnie jakby to był jakiś wstyd, że towarzystwo starsuszków sprawia mi przyjemność.

Zastanawiam się nad pensjonariuszami Domu Opieki Weeksa, dokąd niekiedy zanoszę ciasto lub bułeczki, które piecze matka (potrafi być dobroczynna). Wiem, że niektórzy są nieszczęśliwi, bo płaczą, inni są gniewni, bo krzyczą, ale jest też wielu, którzy sprawiają wrażenie zadowolonych, siedzą sobie i spokojnie patrzą przez okno. Mają nieruchomy, stabilny wygląd kupek opadłych, zgrabionych liści, w szlafrokach i kapciach chyba im wygodnie, wyobrażam sobie nawet, że mogłabym skoczyć im na kolana, tak jak skakałam na sterty liści, kiedy byłam młodsza. To oczywiście tylko moje domysły, zapewne głupie, gdyż wszyscy wokół powtarzają, jak pożałowania godni są ci ludzie i jak okropnie jest się zestarzeć i trafić do Domu Opieki Weeksa. Z pewnością Lola Davidow nie chciałaby tak skończyć, co doskonale rozumiem, bo nie widziałam w tym domu ani jednej butelki Southern Comfort ani džinu Gordon's. Pewnego dnia, gdy jechałyśmy z panią Davidow samochodem, żeby zawieźć starsuszkom ciasto i bułeczki, zapytałam ją nawet, dlaczego

właściwie nie organizują godziny koktajlowej. Wszyscy byliby znacznie szczęśliwsi, a poza tym jakie to ma znaczenie, że ktoś zostanie alkoholikiem w wieku lat dziewięćdziesięciu? W dalszej drodze rozprawialiśmy wesoło o tym, że niektórym pensjonariuszom na pewno świetnie by to zrobiło i że teściowej Helene Baum musi brakować przedobiednich koktajli *old-fashioned* (bo z pewnością nie brakuje jej Helene, wtrąciła pani Davidow, pękając ze śmiechu), i że wyglądałyby o wiele wytworniej ze szklanką burbona w rękę.

Błądziłam po ciemnej bawialni doktora McComba, sama podobna do suchego liścia, i muskałam palcami przedmioty tylko po to, by ich dotknąć: koronkowe serwetki na fotelach, fotografie w srebrnych ramkach ustawione na podręcznym stoliku, ciemne drewno futryn i pianina, chusty z jedwabnymi frędzlami, ciężkie zasłony, a nawet wilgotną i chłodną tapetę, drukowaną w szerokie liściaste szlaki. Tak, bez wątpienia był to pokój jesienny; czułam się w nim tak samo jak w kuchni panny Flagler lub w lesie świec w sklepie panny Flyte. Miałam wrażenie, że wszyscy ludzie kołują na wietrze niczym zwędłe liście, powoli opadają i osiadają na ziemi. Podeszłam do pianina, brzdąknęłam dwoma palcami w klawisze i zagrałam początkowe nuty *Clair de lune*. Tylko tyle zapamiętałam z lekcji muzyki u miejscowej nauczycielki; brałam te lekcje przez kilka miesięcy, przerywałam i po roku znów do nich wracałam, ale nigdy nie nauczyłam się niczego bardziej skomplikowanego niż tych kilka taktów.

Kiedy skończyłam (miałam nadzieję, że doktor McComb zjawi się przywabiony moją grą - gdzież on się u licha podziewał?), postanowiłam dokładniej zbadać stojącą obok fotela tacę, na której znajdowały się dwa pączki z dziurką i szklanka mleka. Usiadłam - a właściwie zatonełam, gdyż fotel robił wrażenie wypchanego obłokami - pomyślałam chwilę i uznałam, że jedzenie zostawiono albo dla świętego Mikołaja, albo dla mnie. Wzięłam pączek, obejrzałam go uważnie, stwierdziłam, że pochodzi ze sklepu (nie żeby to był jakiś grzech), po czym, jak przez lunetę, popatrzyłam

przez dziurkę na portret na przeciwległej ścianie. Przedstawiał kobietę o przeraźliwie ponurej twarzy, która, gdyby kiedykolwiek wylądowała w Domu Opieki Weeksa, to naprawdę urządziłaby staruszkom piekło. Z pewnością nie wyglądała na osobę, mającą ochotę na drinka.

Nadgryzłam pączek, obsypując bluzkę białym cukrem pudrem, napiłam się mleka, po czym zjadłam pączek do końca. Drugi, z cynamonem, postanowiłam zostawić sobie na później, na wypadek, gdyby doktor McComb kazał mi czekać na siebie jeszcze kilka dni.

Otrzeputując się z cukru, zdałam sobie sprawę, że ten poczęstunek mógł być pułapką - nie na mnie, rzecz jasna, lecz na jakiegoś arcywroga doktora McComba. Kto wie, może biały proszek, który strzepywałam z bluzki, w rzeczywistości zawierał arsenik? Pomyślałam, że jeśli pierwszy pączek był zatruty, to mogę z powodzeniem zjeść drugi, póki jeszcze jestem przytomna. Nadgryzłam go i popiłam mlekiem. A może doktor w ten sposób chciał mi dać do zrozumienia, że się spóźni i że mam się rozgościć? To niezwykle, żeby starszy człowiek zadawał sobie tyle trudu dla dziecka; a więc doktor McComb zaliczał się do tej samej kategorii, co panny Flyte i Flagler! Siedząc w miękkim jak obłok fotelu, z dwoma pączkami i szklanką mleka w brzuchu, poczułam ogarniającą mnie senność, lecz dopiero gdy ktoś położył mi rękę na ramieniu, uświadomiłam sobie, że chyba się zdrzemnęłam.

Dłoń, która mną potrzęsała, i to dość brutalnie, wylaniała się z długiego, czarnego rękawa, który bynajmniej nie należał do doktora McComba. Wisiała nade mną kobieca twarz o spiczastym nosie, wydatnych kościach policzkowych i czarnych włosach tak mocno ściągniętych w kok, że zdawały się odpowiedzialne za wyniosłe odchylenie głowy. Twarz spoglądała na mnie co najmniej z dezaprobatą, właściwie bez gniewu, ale z ogromną zawziętością. Czyżby pączki i mleko, które właśnie spożyłam, były własnością tej damy?

- O, dzień dobry - wymamrotałam, pocierając zaspane powieki.

Kobieta nie odpowiedziała. Usta miała zaciśnięte, dłonie splecione na brzuchu, a jej czarna suknia z wysokim kołnierzykiem, niemal sięgająca czarnych pantofli, z pewnością spodobałaby się Aurorze Paradise. Była to suknia, która dusiła.

Dama usiadła naprzeciwko mnie, jakby szykując się do długiej rozmowy, którą postanowiła przeprowadzić, choćby nie wiem jak była przykra.

Ale nadal się nie odzywała, więc postanowiłam zacząć:

- Przyszłam do doktora McComba. Jestem umówiona - bąknęłam trochę przepraszająco.

Nie zareagowała, po prostu odwróciła się do kominka, jakbym nic nie mówiła, jakby mnie wcale nie było. Pomyślałam, że może jest całkiem głucha, ale chyba jednak nie, bo kiedy zegar zaczął bić, spojrzała w jego stronę, odczekała, aż wybije trzecią (co trwało nieskończenie długo), a potem znów odwróciła się do ognia. Nie pozostało mi nic innego, jak pójść w jej ślady.

Kim mogła być? Nikt, ani szeryf, ani nikt inny, nie wspominał, aby doktor McComb miał żonę albo siostrę. Może była gospodynią? Ale czy gospodyni siadałaby w bawialni przy obcej osobie? Owszem, pasowała do tej roli: wyglądała jak pani Danvers w *Rebecce* i tak się również zachowywała, jakbym ja była wystraszoną przybyszką, ona zaś zazdrosną o wszystko jędzą. Jednak kiedy przemyślałam ten scenariusz, zrozumiałam, że to niewypał - byłam tylko sobą, dwunastoletnią dziewczynką, a przecież nikt nie może być zazdrosny o dziecko, tym bardziej takie jak ja.

Siedziałyśmy więc i gapiliśmy się w ogień. W pewnej chwili kobieta wzięła pogrzebacz, kilkakrotnie szturchnęła nadpalone polano, po czym znów usiadła prosto, wspierając się na pogrzebaczku jak na lasce. Przyznaję, że wolałabym, by go odłożyła.

I wówczas, zupełnie jakby życiowe zadanie owej damy polegało wyłącznie na budzeniu obcych osób drzemających

w bawialni - po prostu wyszła. Wstała, wygładziła suknię i oddaliła się, nie zaszczycając mnie choćby spojrzeniem.

Zmartwiona, znieruchomiałam w fotelu. Nie miałam pojęcia, co robić. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jak sobie pójdę, i z westchnieniem zaczęłam gramolić się z fotela, gdy w drzwiach stanął starszy pan. To musiał być doktor McComb; nie zniosłabym, gdyby to był kolejny z jego krewnych.

- Aaa, tu jesteś! Dziwiłem się, że jeszcze cię nie ma.

O n się dziwił? Nie zaprotestowałam jednak - naprawdę ucieszyłam się, że przyszedł.

- Dzień dobry. Siedzę tu od pewnego czasu. Zastanawiałam się, gdzie pan się podział.

- W kurniku - odparł, rozglądając się i macając po kieszeniach, jakby szukał świeżo zniesionych jaj.

Nie wyglądał tak staro, jak się spodziewałam; jeśli faktycznie liczył sobie ponad osiemdziesiąt lat, to świetnie się trzymał. Średniego wzrostu i tuszy, miał siwe włosy i wąsy, a cerę delikatną jak płatek kwiatu, taką, jakie widywałam już u pensjonariuszy Domu Opieki Weeksa.

Nagle zawstydziałam się swego wyglądu. Uświadomiłam sobie, że mam za długą spódnicę, a moje „zdrowotne” buty są zbyt duże i ciężkie. W dodatku doktor McComb był lekarzem, więc tknęło mnie podejrzenie, że właśnie zagląda mi do wnętrza i widzi wszystkie narządy, pływające w mętnej płynie, lepiej nie myśleć jakim; więcej, że patrzy mi przez oczy wprost do mózgu, dzięki czemu natychmiast rozszyfruje mój planik z motylami.

Ale doktor McComb tylko się uśmiechnął i powitał mnie jak starą znajomą. Szybko opowiedziałam mu o napotkanym białym motyłu, napomknęłam też, że czytałam jego artykuł (bardzo dobry, dodałam) i że często chodzę drogą nad jeziorem, bo motyle to moje hobby, więc widząc tego konkretnego motyla, pomyślałam sobie, że to może koronkowiec. Po czym skończyłam, bo zabrakło mi tchu. Kiedy kłamię, mówię dużo i szybko.

Zadał mi kilka pytań, zadumał się nad odpowiedziami, a potem niemal ze smutkiem odparł, że nie, chyba nie, motyl, którego widziałam, to prawie na pewno - i tu przytoczył długą łacińską nazwę.

- Och - rzekłam, udając, że dokładnie wiem, o czym mówi, i próbując robić wrażenie rozczarowanej.

- Jeśli jesteś kolekcjonerką, może zechcesz pójść ze mną. - Zerknął na otwarte drzwi za sobą. - Tam lata rusalka, na którą od dawna się zaczajam. Na pewno miałabyś ochotę rzucić na nią okiem. Mogę ci dać siatkę na motyle.

Jego uśmiech był tak pełen wiary w moje zainteresowanie, że ogarnął mnie okropny wstyd. Przyjęłam siatkę z większym entuzjazmem, niż naprawdę czułam, i w ślad za doktorem przekroczyłam rozświetlony prostokąt bocznych drzwi. Znalazłam się na podwórku.

Prawdę mówiąc, trudno to było nazwać „podwórkiem”. Po pierwsze, nie miało widocznych granic - zarośnięty chwastami obszar ciągnął się aż do lasu i wyjąwszy ścieżkę wydeptaną tuż za drzwiami, nie dostrzegłam żadnych oznak, by ktokolwiek kiedykolwiek coś tu strzygł, kosił lub przycinał. Nawet przy samych drzwiach trawa sięgała łydek, dwadzieścia kroków dalej była już po kolana, a potem ogarnęła mnie po pas, zupełnie jakbym opuszczała suchy łąd i wchodziła na coraz głębszą wodę.

W morzu chwastów rosły całe masy werbeny, rudbekii, bławatków, dzięki marchwi i ostów, a także małe i duże drzewa owocowe, dęby oraz wierzy płaczące.

- Nie kosimy tu trawy, nie strzyżemy żywopłotów i nie usuwamy zwiędłych kwiatów, bo nie chcemy naruszyć naturalnego środowiska motyli ani ptaków. Zostawiamy roślinność w spokoju. Widzisz tę barwną plamę? To rośliny nektarujące: gailardia nadobna, werbena i omżyn. Motyle lubią także chwasty: trojeść, sadzic...

- No i dziką marchew - rzekłam, udając mądrałą. Czyżby Ree-Jane wyświadczyła mi przysługę? Nawet jeśli tak, nie było to jej zamiarem.

Doktor McComb przytaknął i otarł kark chustką.

- Ale mam tu głównie rośliny, które nektarują.

- Jak one piją?

Poniewczasie zorientowałam się, że zważywszy na moje „hobby”, jest to coś, co powinnam wiedzieć.

- Wyczuwają smak nogami.

Przyznam, że nie mogłam powstrzymać okrzyku zdumienia. Przez chwilę podejrzewałam, że doktor żartuje sobie ze mnie, ale nie, zapewnił, że to absolutna prawda. Nogami! Spojrzałam w dół. Jak by to było, gdyby moje nogi czuły boski smak rolady szynkowej z sosem serowym? Albo anielskiego placka? Nie, tym razem byłam prawie pewna, że Pan Bóg wiedział, co robi, kiedy urządził wszystkim tak, jak jest.

Faktycznie, to była roślinność! Nieco dalej kity wiechlin i lucerny sięgały mi już do podbródka, a jedna kępa - znów omżyn? - w którą stąpnęłam zbyt szybko, pochłonęła mnie razem z głową. Gorączkowo odpychałam od siebie wysokie źdźbła, które drapały i laskotały mnie po twarzy, gdy rozległ się głos doktora McComba.

- Hej, jesteś tam?

Miotnęłam się jeszcze kilka razy i wznosząc wysoko siatkę, pomachałam nią niczym flagą, po czym wypadłam na polanę, a przynajmniej w miejsce, gdzie trawy sięgały zaledwie do pasa.

- No proszę! Znalazłaś coś ciekawego?

Właściwie niczego nie szukałam, ale nie chciałam wyjść na beczynną. Przez chwilę łamałam sobie głowę, przywołując kolorowe plansze z bibliotecznego księżki.

- Wydaje mi się, że chyba widziałam anteosa - powiedziałam niepewnie.

Parsknął wesoło.

- W tej okolicy? Raczej nie. Spotyka się je głównie w Ameryce Południowej.

To do mnie podobne, postawić na niewłaściwy konty-
nent.

- Powiedziałam tylko, że tak mi się wydawało - odpar-
łam rozdrażniona.

Przedarliśmy się jeszcze kawałek przez dżungłę i ruszyli-
śmy wolno po udeptanej ścieżce. Miała może dwie stopy
szerokości, ale dla mnie to była cywilizacja. Wykonałam
kilka szybkich ruchów siatką, okropnie wdzięczna Bunny
Caruso za to, że zdobyłam przy niej pewne doświadczenie -
tak fachowo pracowałam nadgarstkiem, obracając siatką ze
świsem, że musiałam robić wrażenie nieźle wyszkolonej.

Przystawaliśmy i ruszaliśmy jeszcze kilkakrotnie, aż
wreszcie zagadnęłam:

- Kiedy byłam nad Jeziorem Duchów...

- Ciiiiii!!!

Doktor McComb stanął i mrużąc oczy, wpatrzył się w
zamgloną dal. Widziane z profilu jego gęste siwe brwi two-
rzyły jakby małą półeczkę. Nie wiem, po co w ogóle zadał
sobie trud, by mnie uciszyć - jego szept postawiłby na nogi
umarłego. A poza tym motyle chyba nie mają uszu? Przecież
nic nie słyszą, no nie?

- Spójrz, tam przy ścieżce, wśród nagietek - mruknął, jak
umiał najciszej. - Na drugiej godzinie, patrząc z miejsca,
gdzie stoisz. To strzępotek, załóżę się o co zechcesz.

- Hmm - odrzekłam niezobowiązująco.

- Jak myślisz?

Nie wiem, jak mi się udało równocześnie pokiwać głową i
nią pokręcić, na szczęście motyl rozpostarł skrzydła i leniwie
się oddalił, dzięki czemu doktor zdołał lepiej mu się przyj-
rzeć. Nie, to jednak nie strzępotek, uznał w końcu i tym sa-
mym zwolnił mnie z obowiązku deklaracji.

- Wiesz, że patrolują teren?

- Kto? Strzępotki...? - udałam gwałtowny atak kaszlu.

- Szukają samic.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi, więc znów wymamro-
tałam coś niewyraźnie. Trochę dalej nad kępą dzikich konopi

unosily się setki nie większych od paznokcia żółto-białych motylków; było ich tak wiele, że wyglądały jak żółtobiała mgielka.

- Ileż ich jest! - wykrzyknęłam.

Teraz z kolei doktor McComb powiedział:

- Hmmm - a potem: - Chyba siarczenniki?

Patrzyłam w zachwycie na chmurę domniemanych siarczenników.

- To dzięki trojeści, która tu rośnie. Bardzo ją lubią.

- Chyba nie ma jej nad Jeziorem Duchów? - wtrąciłam. - Przynajmniej nigdy jej nie zauważyłam.

Nie odzywał się, sennie wpatrzony w chmurę motyli, więc ciągnęłam dalej:

- Chodził pan jeszcze nad Jezioro Duchów szukać koronkowca?

- Tak, wiele razy.

- Szkoda, że tak zapuścili jezioro, prawda? Właściwie to prawie bagno, ale przecież pan wie, skoro był pan tam ostatnio. - Nadal nie odpowiadał. Stał na ścieżce tak nieruchomo, że się zaniepokoiłam. Może popadł w śpiączkę?

- Widziałam dawne zdjęcia Jeziora Duchów, nawet sprzed czterdziestu lat, kiedy nie było jeszcze takie zarośnięte. Zbudowali tam przystań, to znaczy, wciąż istnieje, chociaż to ruina. - Nie reagował. - Tak, zupełna ruina. Pewnie można by nawet wziąć łódź, nadal są przy pomoście, ale pewnie przeciekają. - Doktor sennie zamrugał powiekami, całym ciałem wychylony ku kępie trojeści, jakby chciał wtulić się w motyle niczym w pierzynkę i smacznie zasnąć. - Na drugim brzegu stoi dom...

- Devereau - dokończył nagle doktor ku memu zdumieniu i miękkim ruchem zagarnął powietrze siatką. Na kwiecie malwy pysznił się przepiękny okaz motyla, różowy, lawendowy i ciemnoniebieski, a ja nawet go nie zauważyłam! Doktor śledził go pilnie, lecz zanim siatka opadła, motyl odleciał.

- Do licha, jaka szkoda - westchnął głęboko. - Naprawdę szkoda.

No i teraz musiałam znowu podpompować temat Devereau, który oklapł jak przekłuty balon. To naprawdę była ciężka praca! Doktor McComb ponownie wpatrzył się w szarobłękitny przestwór, gotów coś zaobserwować i dokonać wiekopomnego odkrycia. Właściwie, pomyślałam, po co mi te wszystkie podchody? Dlaczego, skoro pragnę wyciągnąć od niego informację, po prostu go nie zapytam? A może uległam złudzeniu, że jeśli istnieje jakaś wiedza zakazana - to znaczy, jeśli moja matka lub ktoś inny uważa, że nie powinnam o czymś wiedzieć - to muszę dobierać się do niej jak łasica, podstępem?

- Dom panien Devereau jest ładny, tylko bardzo zaniedbany. Ciekawe, dlaczego nikt tam nie mieszka. Wygląda na to, że stoi pusty od... nie wiem, czterdziestu lat?

Zerknęłam na doktora, który nawet nie drgnął; trwał w wojowniczej pozie myśliwego, trzymając siatkę przy boku niczym strzelbę, niemal jakby chciał coś zastrzelić.

Właśnie myślałam, jak napocząć temat od innej strony, gdy doktor mnie zaskoczył.

- Pewnie z powodu Tragedii - powiedział.

Szeroko otworzyłam oczy. Tak bezpośrednia wzmianka o śmierci Mary-Evelyn zdziwiła mnie i poruszyła, a jeszcze bardziej przejęłam się nadanym jej mianem - Tragedia.

- Tragedii?

- Mała dziewczynka utonęła.

- Jak to utonęła?

Odrzucił się i spojrzął na mnie. Promienie słońca uderzyły w jego okrągłe okulary, zamieniając je w srebrne krążki.

- Była w twoim wieku.

Mimowolnie cofnęłam się o krok, czując, że zapadam się w krzaki jeżyn i malin. Powietrze, dotąd przejrzyste, jasne i błękitne, nagle zgęstniało i napuchło, cichutkie dźwięki - granie cykad i świerszczy, łagodny poszum traw - zwały się w głucho dudnienie.

Wykrztusiłam:

- W moim... - ale gardło również mi opuchło, struny głosowe napięły się i zeszywniały. Pole, kurnik, chwasty, trawy i sam doktor McComb, wszystko jakby uległo dziwacznemu, nieco złowieszcemu przemieszczeniu. Doktor wciąż zwracał ku mnie szkła podobne do lśniących krążków lodu. Chyba tylko szeryf umie wyglądać przyjaźnie mimo ciemnych odblaskowych okularów. Przełknęłam z wysiłkiem - jakże żałowałam, że go tu nie ma!

Lecz doktor McComb nagle pchnął okulary na czubek głowy i chwycił lornetkę. Dzień naprostował się i rozjaśnił równie szybko, jak przedtem pociemniał.

- Ach!

Z uczuciem, że łydki mam naszpikowane kolcami wylażłam z ciernistej kępy, słuchając, jak doktor McComb pomstuje pod nosem, że nie, to tylko pospolity bielinek kapustnik. Ucieszyłam się - gdyby doktor ruszył w pogoń za jakąś rzadką odmianą, rozmowę o śmierci Mary-Evelyn musiałabym znów przerabiać od początku.

- Mówił pan, że utonęła? - odpowiedziałam.

Przytaknęłam.

Przygryzłam policzek od wewnątrz.

- O rany, i miała tylko dwanaście lat?

Doktor McComb skinął głową, a po chwili zaproponował:

- No, pora na filiżankę neski. Napijesz się?

Jęknęłam w duchu - znowu nie udało mi się podtrzymać tematu - jednak zaproszenie na kawę, jakbym była osobą dorosłą i wytworną, sprawiło mi nieklamaną przyjemność.

- Pewnie - odparłam, wzruszając ramionami w stylu: „Czemu nie?”.

Wróciliśmy do domu tą samą drogą; doktor w roztargnięciu okładał siatką brązowe, sztywne trawy, ja zastanawiałam się, jak go ponownie zagadnąć o Mary-Evelyn. W ten sposób dotarliśmy do drzwi kuchennych, niemal ginących w płataninie winorośli i dzikiej marchwi, jakby ten koniec domu z wolna pogrążał się w miękkiej ziemi.

Wchodząc z zalanych słońcem łąk do chłodnego, cieni-
stego wnętrza kuchni, ponownie zmrużyłam oczy, by powo-
łać przedmioty do istnienia. Lodówka z aluminiową klamką,
biała emaliowana kuchenka na wygiętych nóżkach - te jakoś
wyróżniały się w mroku, lecz żeby dostrzec inne - kuchenny
stół, krzesła z giętymi oparciami - musiałam nieźle się na-
mrużyć. Po chwili z szarej ciemności wyłoniły się jeszcze
duży i mały kufer, stara zamrażarka, staromodny walijski
kredens pod przeciwległą ścianą, a w nim rzędy filiżanek i
spodków we wzór, który rozpoznałam jako chiński „ryżowy”.

Usiadłam na stołku przy białym stole, a doktor McComb
zakrzętnął się, wyjmując z szafki dzbanek do kawy z harto-
wanego szkła i odmierzając doń wodę i neskę. I nagle w tym
mętym, przyćmionym świetle, wśród przedmiotów o kon-
turach nieostrych, zamazanych, stłumionych niczym dźwię-
ki, wstrząsnęło mną dojmujące uczucie, że już nigdy nie
znajdę dla siebie właściwego miejsca, miejsca, które byłoby
moje, że będę szukać i szukać, mieszkać tu albo tam, ale
wszystko pozostanie tylko snem. Poruszyło mnie to do głębi,
bo Hotel Paradise zawsze był „moim” miejscem, miejscem
mojej rodziny, a moja rodzina była „moja” z oczywistych
powodów, przecież do niej należałam. Ale teraz poczułam, że
nie należę nigdzie ani do nikogo, chociaż tyle razy chodziłam
po zakurzonych starych drogach wokół Jeziora Duchów i
dwie mile szosą do La Porte, i nagle zapragnęłam, by moje
buty uwięzły w błocie, by pochwytyły mnie grube błotne ręce
- by ziemia zatrzymała mnie na ziemi.

Lecz popatrzcie tylko! Popatrzcie, jak łatwo ręce zwalnia-
ją uchwyt, z jaką łatwością te Davidow przyszły i zawłaszczy-
ły wszystko - mój hotel, moje drogi i ścieżki, moją prze-
szłość. Moją terażniejszość.

Czy to możliwe? Usłyszałam, jak drzwi lodówki otwierają
się i zamykają. Nie, to nie mogło się zdarzyć. Te Davidow do
niczego nie miały większych praw niż ja. Pomyślałam, że
wtedy na dworze, gdy doktor McComb zwrócił ku mnie swo-
je lodowate, błyszczące okulary, wewnętrzne oko, nie moje,

odebrało coś na innych falach, a ja nie przyjąłem tej wiedzy, gdyż była zbyt przerażająca, zmiotłem ją sprzed oczu niczym pajęczynę. Z jakiegoś powodu przypomniał mi się stary sklep w Spirit Lake, nie ruchliwy market Brittena, gdzie kupują wszyscy, ale mały, ciemny lokal po drugiej stronie miasteczka, właściwie zapuszczony dom, którego właścicielka, starsza pani, postanowiła sobie dorobić, sprzedając podstawowe produkty - nie takie wymyślne jak u Brittena, gdzie jest oddzielne stoisko z mięsem (i nawet rzeźnik Brittenów) oraz duże, przezroczyste pojemniki z ciasteczkami, i szklane gabloty z cukierkami za centa. Nie, ten sklep jest ciemny i skromny, a półki są prawie puste, z wyjątkiem kilku puszek zupy i fasoli. Najjaśniejsza rzecz tutaj to rzędy testowego chleba Wonder Bread w białych, lśniących opakowaniach. Ponury półmrok i połyskliwy Wonder Bread.

A potem wspomniałem jaskrawą szminkę Ree-Jane, jej stroje w landrynkowych kolorach (kiedy przechodziły na mnie, były już wypłowiałe) i sukienkę balową, którą uszyła jej moja matka - całe metry tiulu gęsto ozdobione tęczami z cekinów. I zastanowiłem się, czy te wszystkie błyskotki naprawdę są w życiu potrzebne? A może lepiej mieć proste, ascetyczne pomieszczenie z paczkami Wonder Bread?

W oddali wezbrał grzmot i po chwili o dach plasnęły krople deszczu. Niebo w oknie zaciągnęło się jak żaluzją, światło niemal całkiem znikło, pogrążając kuchnię w jeszcze większym mroku, co wszakże polepszyło mi samopoczucie. Nie bardzo rozumiałam, jak to się stało, skoro deszcz i mrok zazwyczaj kojarzą się z nieszczęściem i smutkiem. Więc żeby się lepiej zastanowić, wbiłam wzrok w podłogę. Zamknęłabym oczy, ale doktor McComb na pewno by zapytał: „Dlaczego zamykasz oczy?”

Słuchałam, jak drepcze po kuchni, pogwizdując pod nosem, i rozmyślałam o kurniku, o stłoczonych w nim kurach, o tym, jak dziobią i stroszą piórka, jak moszczą się na słomie, a może nawet właśnie znoszą jajko (jakkolwiek to robią) pomimo deszczu, który rozpadał się na dobre, i mimo

walenią piorunów. Kury nie oglądały się na pogodę; deszcz, słońce, mróz czy wiosna, przyjmowały je do wiadomości i robiły swoje. Pewnie nie chciało im się nawet ruszyć z podwórka i schować do środka. Zagadnęłam o to doktora, nawet nie myśląc, jakie to głupie pytanie.

- Jedne się chowają, inne nie - odparł, stawiając na stole kubek i talerz pierniczków, po czym odwrócił się do kuchni.

Uderzył mnie rozsądek tej odpowiedzi, jak również rozsądne zachowanie kur. Albo ktoś się chowa przed deszczem, albo nie, zależy, jak kto na niego reaguje. Doktor McComb najwyraźniej potraktował moje pytanie rzeczowo i rzeczowo na nie odpowiedział.

Odwróciłam się do okna, lecz zamiast patrzeć prosto, zmrużyłam oczy, bo w ten sposób lepiej widziałam swoje myśli, coraz bardziej zajęte pogodą. Stary sklep, kuchenny mrok, Jezioro Duchów - coś je łączyło. Kryły w sobie jakąś tajemnicę, sekret zagubienia. Ujrzałam Dziewczynę; tak o niej myślałam, Dziewczyna. Przez półprzymknięte oczy zobaczyłam Jezioro Duchów, jego szarą powierzchnię, dziobatą od deszczu, wiatr targający trzciniami przy brzegu i rozkołysany dywan lilii wodnych.

Dziewczyna.

Zobaczyłam, jak stoi na drugim brzegu - po prostu stoi, opuściwszy ręce, z tymi swoimi włosami barwy księżyca, a jej jasna sukienka połyskuje w półmroku niczym stojąca w kącie kuchni emaliowana kuchenka albo opakowanie Wonder bread w pustym sklepie. A przedtem widziałam ją siedzącą na peronie z pustymi rękami, jeśli nie liczyć portmonecki w zaciśniętej pięści. No i na chodniku w La Porte w sukience w drobne kwiatki, znów bez bagażu. Wyglądało na to, że nie ma nic własnego, lecz, o dziwo, ten fakt wcale mnie nie zasmucił - przeciwnie, pojęłam, że nic jej nie trzyma w żadnym miejscu i czasie. Robiła wrażenie nieważkiej.

- Wpadłaś w trans czy co? A może dostałaś ataku?

Głos doktora McComba wyrwał mnie z zadumy. Podskoczyłam.

- Ee?

- Zacisnęłaś powieki i poruszasz wargami. Masz, zjedz pierniczka.

Pchnął talerz w moją stronę. Pierniczki wyglądały nęcąco, z kleksami polewy na środku.

- Rozmyślałam sobie - wyjaśniłam chłodno, wypatrując pierniczka z największą ilością lukru (niestety, doktor chwycił go pierwszy).

- Hmm - chrząknął z niedowierzaniem, po czym nalął kawy do białych fajansowych kubków. Wolałabym filiżanki w chiński wzór, ale pewnie trzymali je na specjalne okazje. Z drugiej strony, zwątpiłam, czy specjalne okazje w ogóle zdarzają się w tym domu, co przywiodło mi na myśl dziwną kobietę z bawialni. Dokąd poszła? Kim była? Nie pytałam, bo nie chciałam stracić wątku Devereau, ale jeszcze bardziej dlatego, że odniosłam wrażenie, iż doktor McComb nie życzy sobie, by zwracano na nią uwagę bądź o niej wspomiano, w przeciwnym razie sam by to zrobił. Może się jej wstydził, a może nie był świadom, że ona się tu kręci? Wiem, że to brzmi dziwnie, ale coraz częściej nachodzi mnie podejrzenie, że ludzie po prostu włączają w nasze życie (i dom) bez uprzedzenia albo pojawiają się znikąd na ścieżce lub w drzwiach. Jakaś twarz w oknie - czyja? Życie jest takie chaotyczne i zwariowane, że wprost brak mi słów.

Właściwie nie chciałam wspominać o Dziewczynie, ale pamiętałam, co odpowiedział doktor zagadnięty o kurczaki, i uznałam, że mogę mieć nadzieję, iż nie zada mi miliona pytań - „A dlaczego o to pytasz?”, „Czemu cię to interesuje?”, „Skąd to wiesz? Kto ci o tym powiedział?” - jakie zazwyczaj dorośli stawiają dzieciakom pytającym o coś choćby odrobinę zaskakującego.

- Widział pan kiedyś kogoś przy domu panien Devereau nad Jeziorem Duchów?

Pokręcił głową. Obgryzał brzeżki swego pierniczka, zostawiając lukier na koniec.

- A ja tak.

- Tak? - Jego starcze czoło zmarszczyło się równiutko ze zdumienia. - Ale jak ten ktoś dotarł pod dom? Tam jest taki gąszcz, że chyba musiał wyrąbywać sobie drogę.

Upiłam łyk kawy i dosypałam dwie łyżki cukru.

- A jednak komuś się chciało.

- I co robił?

- To była ona. Nic, po prostu stała.

- Może to jakiś agent nieruchomości? - zmarszczył brwi doktor.

- Nie wydaje mi się.

Nie kapitulował jednak.

- To na pewno ten wałkoń Henderson. A nie, mówiłaś, że to ona.

Doktor McComb, człowiek elegancki, nie próbował mi wmawiać, iż nikogo nie widziałam. Prawie każdy inny dorosły (z wyjątkiem Maud i szeryfa) powiedziałby, że pewnie to była krowa albo inne zwierzę, a mnie tylko się wydawało, że widzę człowieka.

Doktor McComb wciąż pomstował na agenta nieruchomości:

- Ten wałkoń Henderson pojechał tam ze dwa lata temu swoim cholernym cherokee chef i wyciął coś w rodzaju ścieżki. Podobno przymierzał się do sprzedaży tego domu! Co za krętacz, co za kupa gnoju! Takich jak on należałoby zamykać! Znasz go?

Pokręciłam przecząco głową, niemniej aż rozkwitłam w świetle jego przypuszczenia, że mogę utrzymywać stosunki z kupami gnoju z La Porte. Oraz słuchać przekleństw bez mrugnięcia okiem.

Pożarł lukrowany środek pierniczka, oblizal palce, siorbnął łyk kawy, po czym wstał, zakręcił się po kuchni i wrócił, trzymając w ręku spodek i wymiętoszone, do połowy wypalone cygareto. Następnie przypalił i nagle znieruchomiał.

- Mogę zapalić? - zwrócił się do mnie.

W życiu nikt mnie nie pytał o pozwolenie, czy może zapalić! Od niechcienia machnąłem ręką - „och, proszę bardzo” - jakbym robiła to codziennie, i skupiłem uwagę na ostatnim pierniczku na talerzu. Nie chciałem zachować się jak prosiak, ale doktor sam pchnął talerz w moją stronę. Wzięłem ciastko i zaczęłem jeść.

Doktor z zamyśloną miną popatrzył na wznoszące się smugi dymu i zapytał:

- Ciekawe, kto to mógł być. Kobieta, powiadasz?

- Tak.

- Jak wyglądała?

Z jakiegoś powodu nie miałam ochoty o tym mówić. Właściwie dlaczego? Sama tego nie rozumiałam. Zmarszczyłam czoło.

- Byłam za daleko, znaczy, za daleko, by dojrzeć rysy twarzy.

Palił, ja kończyłam pierniczek. Panowała przyjemna cisza, taka jak okresy milczenia w kuchni panny Flagler. Zegar tykał. Tylko kota nie było.

- Może to jakaś Devereau - powiedziałam w końcu.

- Od czasu rozprawy u koronera żadnej z nich tu nie widziałem, wszystkie wyjechały. Pewnie już nie żyją.

- A Rose? Wtedy była jeszcze młoda.

Skrzywił się, jakby ta koncepcja niezbyt przemawiała mu do przekonania.

- Rose Devereau. Tak, pamiętam ją, chociaż słabo. Przed ślubem nazywała się Rose Souder. - Skrzywił się jeszcze bardziej. - A skąd o niej wiesz?

- Od stryjecznej babki Paradise.

Doktor McComb westchnął z lekkim chichotem.

- Aurora Paradise...

Sądząc ze sposobu, w jaki to powiedział, jednocześnie kręcąc głową, można by pomyśleć, że Aurora Paradise jest źródłem wszelkiego zamętu na świecie. Powtórzył jej imię i roześmiał się głośno.

- Przypuszczalnie - powiedziałam - kiedy zdarzyła się Tragedia - wielka litera wciąż przyprawiała mnie o miły dreszczyk - babka Aurora mieszkała już w tej okolicy.

- Owszem, przypuszczalnie. Nie leczyłem rodziny Deve-reau i nie miałem z nimi wiele do czynienia. Nikt nie wspominał, aby mieli krewnych gdzie indziej.

- A kto ich leczył?

- Hmm, wtedy jeszcze żył doktor Jenks.

- I większość mieszkańców leczyła się u niego?

- Mhmm.

- Pewnie wszyscy do niego chodzili. Założę się, że trudno kogoś namówić, by zmienił lekarza. - Przypomniałam sobie, jak kiedyś Aurora wrzeszczała, że jakiś „nowy konował” przyszedł do niej z wizytą.

- No właśnie.

- To dlaczego do dziewczynki wezwano pana, a nie doktora Jenksa? Przecież on był lekarzem policyjnym?

Nie mogłam sobie przypomnieć, jakim słowem szeryf określa takiego lekarza.

- Bo tej nocy był poza miastem. O ile pamiętam, pojechał do chorej rodziny w Hebrides.

- Więc utonęła?

Doktor pokiwał głową i gwałtownie zapykał, usiłując ożywić cygaro, które zupełnie zdechło. Było całe w strzępach i wyglądało okropnie.

Zjechałam w dół na krzesło i zaczęłam bawić się kubkiem w nadziei, że robię wrażenie beztroskiej.

- To dziwne. Znaczy, miała tylko dwanaście lat, a była w łódce s a m a i w dodatku przez c a ł ą n o c ? - Spojrzałam na niego spod oka.

- Kto mówił, że to było w nocy?

- Pan. Przed chwilą.

- Och - zdjął z dolnej wargi strzępek tytoniu.

W oknie za jego plecami, ulotne i wdzięczne niczym przejrzyste zasłony, przesuwały się w ciszy błękitne cienie. Jak długo już tu byłam?

- To trochę dziwne. Niezwykłe.

Zegar tykał; spojrzałam na cyferblat. Pół do szóstej! Natychmiast popędziłabym do wyjścia, gdyby nie to, że doktor McComb powiedział:

- Też tak uważałem. - Odchrząknął z zakłopotaniem. Chyba poczuł się nieswojo, wskazywały na to jego głos i mina.

Siedziałam więc na krześle bez ruchu, wstrzymując oddech. Doktor zamilknął i zapatrzył się w siebie, jak to czasem robią dorośli, gdy mierzą się z przeszłością. Nie odzywałam się.

Znów odchrząknął.

- Tak, ja też tak uważałem. Oto pytanie: dlaczego ta mała była w łódce? Dobrze mówisz, to bez sensu. Zupełnie bez sensu. - Pokręcił głową. - Ale co miałem napisać? Co miałem zrobić? - Doktor McComb nie kierował tych pytań do mnie, być może nawet zapomniał o moim istnieniu. Wciąż milczałam. - One wszystkie - znaczy, te trzy starsze, bo Rose już odeszła - wisiały mi nad głową, znaczy, stały nad jeziorem okutane w te swoje ciemne szale i peleryny i... wprost zawiśły nade mną. Nie znałaś sióstr Devereau.

Podbródek powoli opadał mu na piersi. Wyglądał jak ktoś w moim wieku, nie jak starszy nobliwy pan. Wreszcie przeniósł na mnie zamglone spojrzenie i zamrugał, jakby chcąc wyraźniej ujrzeć moją twarz.

Milczałam.

- To było dawno temu. - Machinalnie obracał w palcach łyżeczkę do kawy. - Tylko jeden człowiek przyznał, że tamtej nocy był w pobliżu domu, niejaki Alonzo Wood. Znasz go?

Wytrzeszczyłam oczy. Zegar wybił kolejny kwadrans, jakby wiedział, że mi się oberwie - w żaden sposób nie mogłam już zdążyć do hotelu, aby przygotować sałatki na obiad. Ale nawet gdyby rozpedzony pociąg B&Q z Vera jako maszynistką wpadł teraz przez ścianę kuchni, nie oderwałabym się od krzesła. Za żadne skarby.

- Kto?

- Alonzo. Nazywają go inaczej, głupio, Ulub albo jakoś tak.

- Ulub. Ulub i Ubub Woodowie. Pewnie, że ich znam!

Jeszcze nigdy nie byłam taka podniecona.

- No więc Alonzo powiedział, że tam był. To znaczy, wydaje mi się, że tak powiedział. Wtedy miał, bo ja wiem, kilkanaście lat? A jego brat, ten wysoki...

- Mówią na niego Ubub. Nie jestem pewna, jak ma na imię. Może Bob?

- Skąd się wzięły te idiotyczne przezwiska?

Tak niecierpliwie czekałam, co jeszcze powie, wierciłam się na krześle tak niemiłosiernie, że ktoś mógłby pomyśleć, że chce mi się sikać. Dlaczego traciliśmy czas na przezwiska?

- Od tablic rejestracyjnych.

- Od tablic rejestracyjnych?

- To niby miał być żart. Litery są prawie takie same. Ale niech pan opowiada dalej!

Zerknął na zegarek, więc przestraszyłam się, że każe mi wyjść i wracać do hotelu, do mojej kelnerskiej pracy. Ale głuptas ze mnie.

- No więc Alonzo czy też U-lub - pokręcił głową, dając wyraz swej niechęci do owego przezwiska - przyszedł zobaczyć się ze mną. Przyszli obaj. Jego brat - Robert? - jest starszy i chyba chciał go wesprzeć. Wiesz, dodać mu otuchy.

Wygląda na to, że Alonzo był tamtej nocy nad jeziorem w pobliżu domu i coś widział.

Zastygłam. Doktor urwał i przelekkłam się, że zamilkł na zawsze.

- No, niech pan powie! Co mówił?

Doktor McComb spojrział na mnie z uśmiechem, jakbyśmy grali w warcaby i właśnie zgarnął wszystkie moje pionki.

- Niestety, nie wiem. Nie zrozumiałem, co mówił.

- Jak to? - prawie wrzasnęłam na niego.

Przegapił taką ważną wiadomość i jeszcze się uśmiecha? Nie do wiary.

- Jeśli kiedykolwiek z nim rozmawiałaś, to powinnaś wiedzieć, jak to jest. Staralem się być cierpliwy, a jego brat cały czas próbował tłumaczyć, ale prawdę mówiąc, to wyglądało, jakby ślepy wiódł kulawego.

Moje rozczarowanie musiało być wręcz namacalne; do prawdy, chciało mi się płakać na myśl, że ktoś tyle wie, lecz ta wiedza pozostanie na zawsze zamknięta w jego wnętrzu.

- Ale udało mi się zapisać co nieco - powiedział doktor. - Mam zeszyt. Chcesz zobaczyć?

Zaniemówiłam. Jeszcze jak!

Doktor wyszedł z kuchni i z bawialni dobiegły mnie odgłosy ciskanych z furją przedmiotów. Po chwili wrócił.

- Jesteś jedyną osobą, która się tym choć odrobinę zainteresowała. Może zdołasz coś z tego zrozumieć.

Kiwnęłam głową; odebrało mi mowę. Doktor położył na stole zwykły szkolny zeszyt w tekturowej czarno-białej okładce z białym prostokątem na nazwisko.

- To znaczy, że mogę go zabrać?

- Ummm, jeśli chcesz. Tylko co to zmieni? Po czterdziestu latach? Z tych, którzy wtedy tutaj mieszkali, nie został prawie nikt. No, może Aurora Paradise.

- Ulub i Ubub - powiedziałam, gładząc zeszyt, chłodny i gładki pod moją dłonią.

16.

Kiedy opadną liście, widać...

Z zeszytem wetkniętym za połę cienkiej kurtki wróciłam do hotelu w rekordowym czasie, gdyż doktor McComb był tak dobry, że mnie odwiózł. Nieźle prowadzi, jak na osobę w podeszłym wieku; nawet ręce mu się nie trzęsą na kierownicy. Grzecznie poprosiłam, by wysadził mnie przy końcu podjazdu - naprawdę nie miałam ochoty odpowiadać na

mnóstwo pytań, gdzie byłam i co robiłam, chociaż nie robiłam nic złego. Zrozumiał.

Wsadziłam zeszyt pod materac w swoim pokoju, włożyłam biały fartuszek i pędem zbiegłam do jadalni, gdzie panna Bertha i pani Fulbright siedziały już przy stole nieporuszone niczym skały, ponieważ lunch zaczął się pół godziny temu. Vera śmigała po sali, unosząc na czubkach zręcznych palców tacę z bułeczkami i wodą. Pod jej osłoną szybko prześliznęłam się do kuchni i stanęłam przy stole z sałatkami.

Na szczęście w kuchni nie było pani Davidow. Pani Davidow zawsze znajdzie czas, by mi nawymyślać; moja matka, z drugiej strony, uważa się za zbyt zajęta, by tracić czas na robienie mi awantur, więc tylko rzuciła mi spojrzenie śmiercionośne jak nóż i wróciła do kotletów wieprzowych. Zamierzała je obsmażyć - na patelni skwierczało już masło - po czym, zrumienione, upiec z jabłkami i cebulą. Widziałam, jak odcinając tasakiem kostki, rozładowuje gniew; rąbała kość i mięso, jakby mówiła do mnie: „Ten kotlet - BUCH! - pojawił się o właściwej porze - BUCH! - bo na tym kotlecie można polegać” - BUCH!

Próbowałam nie zwracać uwagi na tasak i skupić się na sałatkach; szczerze mówiąc, nie zostało mi wiele do roboty, gdyż Anna Paugh przygotowała już kilkanaście porcji. Ułożyłam na każdej z nich ćwiartkę pomidora, krążek zielonej papryki i krążek cebuli, a widząc obok dzbanka z sosem winegret miseczkę czarnych oliwek, postanowiłam wykazać się inwencją. Starannie przekroiłam je na połówki, które następnie umieściłam na sałatkach, tworząc zielono-czerwono-czarne kompozycje, moim zdaniem, całkiem niebrzydkie. Niestety, wszystko zepsuła Vera, która zaszła mnie z boku, zdjęła oliwki, polala sałatki winegretem dla swoich gości, po czym szybko wyrecytowała kolejne dwa zamówienia i wyprysnęła z kuchni z tacą pełną sałatek. Vera obraca się i staje tak raptownie, że wręcz wzbudza wiatr - gdyby była trochę ładniejsza, mogłaby zostać tancerką baletową.

Chociaż sałatek nie należy przyprawiać, póki goście nie wybiorą sosu, uznałam, że przyozdobię trzy lub cztery z nich niezrównanym sosem rokforowym mojej matki. Wiem, że pewne osoby nienawidzą sosów serowych, ale to dlatego, że nigdy niczego podobnego nie jadły. To sama prostota: rokfor (no, dowolny ser pleśniowy, bo czasy są ciężkie) i oliwa. Tylko tyle. Problem w tym, że większość ludzi nie wie, jak je połączyć - ale sos matki przypomina aksamit. Połałam nim sałatki, na lśniących, białych wierzchołkach ułożyłam zlekceważone połówki oliwek i wykończyłam smugą papryki w proszku. Wyglądały prześlicznie.

W jadalni zajmuję się panną Berthą i panią Fulbright. Panna Bertha jest „trudna” i w dodatku skąpa - Vera scedowała ją na mnie, bo doskonale wie, skąd można spodziewać się napiwków. Ale jej towarzyszka, pani Fulbright, to najśłodsza osoba pod słońcem. Nosi stroje z czarnego woalu i jest bardzo stara - ma chyba z dziewięćdziesiąt lat - poza tym zna Aurorę Paradise i zawsze się o nią dopytuje, jakby Aurora przebywała gdzieś za granicą, a nie trzy piętra wyżej.

Panna Bertha przywodzi mi na myśl srebrnego ślimaka - ma ściągnięte w kok siwe włosy, szarą suknię z połyskliwej tkaniny, która odbija światło jak deszcz, oraz podobny do skorupy gorset. Jej małe ciało, opancerzone przeciwko światu, robi wrażenie twardego i zwarte. I bywa złośliwa. Naturalnie, słabo słyszy, więc nosi aparat słuchowy wielkości pięści, z baterią, która bez przerwy się wyczerpuje; jedyny dźwięk, który dociera do niej bez przynajmniej stu powtórzeń, to gwizd pociągu B&Q. Więc kiedy przez kilkanaście minut dokładałam starań, by wyjaśnić, co kuchnia proponuje na lunch, i wciąż słyszę tylko jej „Co?... co?... co?”, po prostu zaczynam wrzeszczeć. Wtedy pędem zjawia się Vera, przyjmuje zamówienie, a później chwali się mojej matce, że ona porozumiewa się z panną Berthą bez najmniejszego trudu. I nikt nie zwraca uwagi na moje tłumaczenia: „Pewnie, że bez trudu, bo przed chwilą sto razy wywrzeszczałam KLOPS CZY KOTLETY WIEPRZOWE? KLOPS CZY KOTLETY

WIEPRZOWE?” lub też co tam jest w kuchni danego dnia. Ale na mnie w ogóle nikt nie zwraca uwagi.

Will i ja bez przerwy musimy wysłuchiwać kazań, jak się odnosić do osób starszych. To naprawdę irytujące. Moim zdaniem starsi ludzie powinni już się przyzwyczaić, że życie jest ciężkie, w końcu są na świecie od kilku dziesięcioleci, a ja mam zaledwie dwanaście lat i muszę dopiero się tego nauczyć.

Ja się wyklócam, a Will uśmiecha się i milczy. Stoi sobie z radosnym błyskiem w piwnych oczach, jakby nie znał większej przyjemności niż te tyrady i chłonał każde wypowiedziane słowo, choć wiem, że w ogóle ich nie słucha. Znalazł świetną metodę: udaje, że życie jest super, a potem idzie sobie i robi, co mu się podoba, podchodzi na przykład do panny Berthy, gdy nikogo nie ma w pobliżu, i bezgłośnie porusza ustami, jakby coś do niej mówił. Panna Bertha wpada w histerię, potrząsa aparatem słuchowym, wali nim o stół, aż w końcu Will spokojnie go podnosi, delikatnie weń puka, po czym zaczyna mówić nieco głośniej. Panna Bertha uważa Willa za cudotwórcę. Większość ludzi tak uważa. Gładki Guccio.

Zamiast spodziewanych dwóch tuzinów gości przyszło tylko dziesięć lub dwanaście osób i wszystkie zjawily się prawie razem, więc mogłam się urwać wcześniej niż zwykle. Zjadłszy swój niebiański lunch - kotlety wieprzowe w jabłkowo-cebulowym sosie i ziemniaki purée - wyciągnęłam więc zeszyt spod materaca i udałam się do Różowego Słonia, gdzie okazało się, że zadanie, którego się podjęłam, jest niewykonalne.

Zeszyt był cudowny.

Pełno w nim było dziwnych sformułowań, jak gdyby ktoś zamknięty w jaskini opowiadał jakąś historię i słowa wydobywały się spod ziemi, zniekształcone w skalnym tunelu. Wśród licznych skreśleń widniały rozproszone wyrazy oraz

fragmenty zdań, które doktor McComb zdołał rozwikłać. Całość wyglądała na szyfr nie do złamania.

To znaczy, nie do złamania - aż do dzisiaj.

Kiedy opadną liście, widać...

Co widać?

...jana siała okoń.

O czym ten Ulub mówił? O sianiu okoni? Nie, to bez sensu. Kto nasiał i co?

Wyjęłam latarkę z szuflady w recepcji, gdzie pani Davidow przechowuje narzędzia, zesłałam do Różowego Słonia i zapaliwszy wszystkie ogarki, jakie znalazłam na zalanych woskiem spodkach, ustawiłam je wokół zeszytu. Potem oświetliłam stronicę latarką. Była prawie tak duża jak reflektor samochodowy i z trudem utrzymywałam ją w ręce, ale niziutkie, filujące świece nie dawały, niestety, dość światła.

Musiałam też pamiętać o najważniejszym: miałam przed sobą nie tylko nieartykułowaną opowieść Uluba o tym, co się wydarzyło (co się właściwie wydarzyło?), na którą nakładała się równie poważna wada wymowy jego brata, lecz głównie to, co z ich wspólnej relacji odcedził rozum doktora McComba. Ciężki cień cienia.

Nie dałam się zniechęcić. Przeczytałam uważnie każdziuteńki wyraz - a może należałoby raczej powiedzieć, każdy napis. Słowa niekiedy zawodziły doktora, który wówczas notował same dźwięki, jakby chrząknięcia, a czasem zostawiał na kartce puste miejsca. Było też dużo skreśleń, na przykład:

Kiedy opadną liście, widać jana siała okoń

naprawdę wyglądało tak:

Kiedy opadną liście, widać jana ~~jania jak na~~ siała ~~siatka~~ ~~siała~~-okoń ~~konie~~.

Zapis w zeszycie nie był długi, liczył nieco ponad trzy strony i urywał się nagle, jakby wszyscy trzej się zmęczeni. Jednakże im dalej, tym rzadziej zdarzały się skreślenia, mniej było chrząknięć i pustych miejsc. Nie żeby Ulub nagle stał się złotousty - po prostu doktor wciągnął się w opowieść

i oszczędzając jemu udreki, a sobie domysłów, podpowiadała mu słowa o podobnym brzmieniu jak te, które Ulub usiłował wymówić. Niemniej fragment z okoniem naprawdę nie miał sensu. Był to niepojęty potok obrazów i dźwięków, których nie potrafiłam rozróżnić, wyczuwając tylko ich dynamikę i barwę.

Relację kończył wyraz „piekło” tak raptownie, że wydało mi się, iż potykam się i lecę, jakbym zaczepiła nogą o próg i wpadła w jakieś ciemne drzwi.

Wróciłam do pierwszego zdania i zaczęłam się przyglądać skreśleniom. Przyszło mi do głowy, że skreślone wyrazy brzmią podobnie do tych, które wypowiedzieli Ulub i Ubub, a doktor McComb po prostu je zapisał, na próżno szukając w dźwiękach jakiegokolwiek sensu.

„Okoń”. Byłam pewna, że nie chodzi tu o rybę drapieżną, że Ulubowi w ogóle nie chodziło o rybę. Wyraz „konie” został skreślony - na początku musiało być „o”, stąd zapewne wziął się „okoń”. Zamyśliłam się. Spróbowałam wejść w skórę Uluba; ułożyłam wargi tak jak on, usłyszałam jego rozmazane spółgłoski. Okonie? Oknie?

Oczy same mi się otworzyły. Oknie!

Kiedy opadną liście, widać jana siała w oknie.

Och!

Kiedy opadną liście, widać jasne światła w oknie!

Czyżby Ulub zaglądał przez okno? To by się zgadzało! Ulub i Ubub za dnia pracowali w obejściu panien Devereau, grabili liście, przycinali gałęzie i temu podobne, więc Ulub mógł tam wrócić także wieczorem.

Ogarnęło mnie podniecenie. Gdybym przyjęła, że Ulub faktycznie podglądał siostry Devereau i naprawdę coś widział, to może udałoby się dopasować również inne szczegóły! Siedziałam z głową w dłoniach, gapiąc się w kartkę; świece ledwie migotały, latarka, na początku jasna jak słońce, teraz przygasła, pewnie z wyczerpania baterii. Potrząsnęłam nią, ale promień zbladł jeszcze bardziej. Światło, jakby

odsysane przez pijawkę, znikają, ginęły wśród cieni, które niczym gęsta, ciężka winorośl rozrastały się na gipsowych ścianach Różowego Słonia.

Och, gdyby pan Root był obecny przy relacji Uluba i Ububa!

No ale nie był, więc musiałam radzić sobie sama. Przede wszystkim należało pamiętać, że bracia Wood uznali tę historię za tak ważną, iż zdecydowali się opowiedzieć ją doktorowi McCombowi (którego, zważywszy na jego „pozycję”, zapewne obawiali się bardziej niż innych ludzi w La Porte). Nie miałam więc wątpliwości, że warto odkryć, co to właściwie znaczy.

Ale to coś było jak sen. Czytając, miałam wrażenie, że nie przeżywam tego na jawie, lecz we śnie, gdzie obrazy się płaczą, a znaczenia nakładają jedno na drugie niczym karty w pasjansie Aurory.

Potem jednak zahałam się: czy powinnam znów narażać biednego Uluba na przykrość? Wracać do tej sprawy, skoro Woodowie, być może, chcieli nade wszystko o niej zapomnieć - a może już zapomnieli? W zadumie przeciągnęłam dłońią po chłodnej czarno-białej okładce. Ciekawość zwyciężyła. Coś więcej niż zwykła ciekawość - koniecznie, ale to koniecznie musiałam się dowiedzieć, co się stało z Mary-Evelyn.

Zdmuchnęłam świecę i usiadłam przy resztkach zamierającego światła latarki. W kręgu widmowego blasku, który rzucała na ścianę, oczyma duszy jeszcze raz ujrzałam Dziewczynę, taką jak dziś rano. Czy rzeczywiście było to dziś rano? Miałam poczucie, że dawno temu.

Każdy by powiedział, że widziałam ducha, i mnie wysmiał. Ale czy duch pojawiłby się na Drugiej ulicy w La Porte? Druga ulica, na której szeryf wlepia mandaty za parkowanie, ma w sobie coś szczególnie konkretnego.

Gdybym nie była taka senna, pewnie poszłabym nad jezioro. Pragnęłam zobaczyć jego czarną płaszczyznę, sprawdzić,

czy nie ma tam Dziewczyny. Pragnęłam zobaczyć jej księżycowe włosy, połyskujące w ciemnościach jak opakowania chleba Wonder Bread.

17.

Ktoś mógłby pomyśleć, że nazajutrz rano od razu złapałam zeszyt i pobiegłam do sklepu Brittena, żeby poszukać Uluba i Ububa. Nic z tych rzeczy. Chciałam najpierw porozmawiać z szeryfem - nie byłam pewna, czy wolno mi zmuszać Uluba, by jeszcze raz przeżywał tę sprawę, zwłaszcza że mogła być dla niego przykra.

A poza tym każdego ranka o siódmej przede wszystkim schodzę do kuchni i pilnuję, żeby na każdym stoliku pojawił się dzbanek z syropem klonowym. Zanim matka porządnie rozpali piec, w jadalni bywa strasznie zimno, zwłaszcza kiedy się trzyma w ręku miskę pełną masła z lodu. Nawet Vera, która za nic nie zniży się do takiego zajęcia i zawsze paraduje w nieskazitelnej czerni, czasem narzuca ciemny sweterek i kręci się po sali, sprawdzając, czy wszędzie stoi syrop, ze złośliwą nadzieją, że nie wywiązałam się z obowiązków.

Pozostałe kelnerki, Anna Paugh i Sheila, przychodzą później, przy czym Sheila zawsze jest rozmamlana i półprzytomna, jakby przed chwilą wstała z łóżka i narzuciła na siebie cokolwiek, co się jej nawinęło pod rękę. Trudno się dziwić, że błąka się jak przetrącona z pytającą miną: „Gdzie jestem? Gdzie ja jestem? Czy to piekło?”. Ale i walka z aparatem słuchowym panny Berthy w lodowatym porannym chłodzie to nie zabawa. Choć menu śniadaniowe nie zmienia się zbyt często (czasem tylko, jak tego ranka, zamiast placzków są grzanki francuskie) i zazwyczaj składa się z jajek w dowolnej postaci, bekonu albo kielbasek, grzanek i ciasteczek, panna Bertha każe mi bez końca je powtarzać, podejrzewam nawet, że celowo mnie dręczy. Lecz humor zawsze

mi się poprawia na myśl, że i na mnie czeka porcja obsypanych cukrem pudrem francuskich grzanek mojej matki oraz pikantnych smażonych kielbasek.

Jednak tym razem moje myśli zaprzętały sprawy ważniejsze niż francuskie grzanki; biegiem obsłużyłam gości, po czym błyskawicznie pożarłam swój przydział i czym prędzej zamówiłam taksówkę do miasta. Poprosiłam, żeby czekała na mnie w połowie podjazdu - obawiałam się, że Ree-Jane, która jak na złość wstała wcześniej, niewątpliwie zechce się zabrać, oczywiście na mój koszt. I choć dyspozytorka obiecała, że Axel zaraz pojedzie, jak zwykle przyjechał Delbert.

Szeryfa nie było w biurze - od Donny'ego dowiedziałam się, że chyba poszedł do Café Tęcza. Rzeczywiście, ujrzałam go przy stoisku z wypiekami, rozmawiającego z własną żoną (ni mniej, ni więcej!). To był dopiero cios! Nie dość, że nie spotkałam go jak zwykle na patrolu, kiedy to mogłabym porozmawiać z nim na osobności, to na domiar złego ta żona! Chociaż właściwie trudno powiedzieć, że z nią „był” - po prostu przypadkiem spotkali się przy stoisku cukierniczym w Tęczy. Wiedziałam, że ona często kupuje tu ciasta (podobno wcale nie umie gotować!), i chyba właśnie w tym celu przyszła, bo wzięła od Shirl duże białe pudełko i skierowała się ku drzwiom.

Wchodząc, wciąż o niej myślałam.

Była ciemnowłosa i ładna, urodą dość krzykliwą; ktoś kiedyś wspomniał, że ma „śródziemnomorskie korzenie”, cokolwiek to znaczy. Usłyszawszy to określenie jakiś czas temu, udałam się do Biblioteki Okręgowej im. Abigail Butte i wzięłam wielki atlas świata, aby obejrzeć sobie Morze Śródziemne oraz kraje wokół niego, bardzo zresztą liczne. Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że Florence DeGheyn jest Włoszką (choć panna Flyte twierdzi, że Greczynką). Ciekawe. Oczywiście, mogłabym po prostu zagadnąć o to szeryfa, ale nie chcę, by posądził mnie o wścibstwo. Co prawda zapytanie od niechcienia „Czy pana żona jest Greczynką?” to niekoniecznie oznaka niezdrowej ciekawości,

lecz szeryf wyczuwa rzeczy, których inni ludzie nie dostrzegają. A więc tylko przyglądam się Florence z daleka (jakby faktycznie była jakimś obcym krajem).

Kiedy weszłam do Tęczy tego ranka, szeryf właśnie przystanął przy „zarezerwowanym” boksie z kubkiem kawy w ręku, żeby pogawędzić z Maud. Poprosiłam Charlene o wiśniową colę i przez chwilę rozmyślałam o Maud i szeryfie. Myślę o nich o wiele częściej niż o Florence. Na przykład, co zdumiewające, Maud bez przerwy się z nim sprzecza, a jemu jakby się to podobało. Prawdę mówiąc, czasem wydaje mi się, że on specjalnie mówi pewne rzeczy, żeby ją rozdrażnić. Na przykład zeszłej zimy rzuciła uwagę, że chciałaby pojeździć na łyżwach na Jeziorze Duchów, na co on uraczył ją historyjką o tym, że nikt tam się nie ślizga, bo wszyscy boją się zbliżyć do jeziora. Rozmowa, której sporą część zapisałam (często tak robię, żeby nie zapomnieć, o czym się mówi), brzmiała mniej więcej tak:

On:

- Kuzyn Axela Spikera poszedł tam kiedyś i przepadł. Przez dłuższy czas nikt go nie widział, aż ktoś ze Spirit Lake przypadkiem spojrzął pod nogi i zobaczył pod lodem ciemną postać. Zamarznąła.

Ona:

- Axel nie ma żadnego kuzyna.

Moim zdaniem, zważywszy na los, jaki spotkał owego rzekomego krewnego, jej odpowiedź była trochę od rzeczy.

- Maud - rzekł szeryf - przecież nie masz pojęcia, czy ma, czy nie ma, po prostu sprzeciwiasz się z czystej przekory. Pamiętasz to zeszłoroczne ogłoszenie w „Konserwatyście” o zjeździe rodziny Spikerów? W okolicy mieszka ich tak wielu, że musieli dać ogłoszenie, żeby się zebrać! Oczywiście, że Axel ma kuzynów.

O co im chodzi? - zastanawiałam się. Pragnęłam usłyszeć więcej o postaci pod lodem, a oni kłócili się o to, czy Axel ma kuzyna, czy nie.

- To było w środku zimy - ciągnął szeryf. - Kuzyn Axela wyjechał samotnie na jezioro i wpadł pod lód. Znaleźli go pod koniec lutego - był znakomicie zakonserwowany. Wyobrażasz sobie?

Nie chciałam sobie wyobrażać. Szeryf zmyślał, wiem o tym - pamiętam, jaki gruby robi się lód na Jeziorze Duchów. Zimą wszystko jest tu grube i gęste, lód, śnieg, powietrze, niebo. Kiedy byliśmy mali, wychodziliśmy z Willem na sam środek tafli, mając na nogach tylko grube skarpetki. Jezioro było jak mleko, białe i nieprzejrzyste; założy się, że zamarzało do samego dna. Will brał kamień i z całych sił walił w powierzchnię (niezbyt mądrze), ale nic się nie działo. Czasem udawało mu się zrobić w lodzie szczyrbę, z której rozbiegały się włosowate pęknięcia, ale nigdy nie zdołał przebić go na wylot. (Swoją drogą, to ładnie ze strony Maud, iż nie wspomniała, że Will czasem ciągał mnie po lodzie).

Za każdym razem, gdy słyszę, jak z szafy grającej w Tęczy lecą stare, trzeszczące piosenki (zazwyczaj w wykonaniu Nat King Cole'a) o zimowej, bajkowej krainie, przychodzi mi na myśl Jezioro Duchów. Uważam, że są dosyć głupie, bo jezioro wcale nie wygląda „bajkowo” - wygląda nieziemsko, jakby nie z tej planety. Słowa nie są w stanie oddać przeżycia, jakim jest Jezioro Duchów - ale na ogół słowa nie są w stanie oddać żadnego przeżycia.

Lubię chodzić nad jezioro w ciepłych botkach i czapce uszance, okutana w palto i grube rękawiczki. Leży tu taka masa śniegu, że czasem wydaje mi się, iż cała sceneria łąda moment zapadnie się pod własnym ciężarem. Już o czwartej zaczyna się ściemniać; stoję w coraz grubszej warstwie śniegu i myślę sobie, że nad Jeziorzem Duchów śnieg pada jak nigdzie indziej. Tak sędzę. Płatki, gęste i ciche, lecą prosto w dół, obciążając mniejsze drzewa do granic wytrzymałości, zmieniając żywopłoty w zaokrąglone białe murki; szron na łące jest tak gruby, że niemal można się ślizgać po zlodowaciałej trawie; cieniutka warstewka lodu przekształca drzewa

w koronkę i obleka kruche gałązki w przezroczyste niebieskie rękawy. Wiem, że są na ziemi miejsca zimniejsze - na przykład Alaska albo bieguny - bardziej śnieżne i lodowate, ale chyba nigdzie indziej doznanie zimy nie bywa tak silne jak tutaj, nad Jeziorem Duchów. Może dlatego, że jest tu tak zacisznie, a niewielkie jezioro sprawia wrażenie spowitego całunem. Zima wróciła do domu, mrużąc do siebie, znieruchomiła w sennej ciszy, z twarzą tak zmarzniętą, że prawie spekaną, i białymi od mrozu brwiami, a śnieg pada i pada prosto w dół. Tak, jeżeli zima w ogóle ma dom, to domem tym jest Jezioro Duchów.

Teraz też się sprzeczali, a przynajmniej Maud. Szeryf tłumaczył jej, by czegoś nie robiła, przez co jeszcze bardziej chciała to zrobić albo przynajmniej udawała, że chce, ale na mój widok przestali się kłócić i przywitali się ze mną serdecznie, jakby naprawdę ucieszyli się, że mnie widzą. To było bardzo miłe, aż zrobiło mi się ciepło w środku; Maud nawet przesunęła się na ławce, żebym mogła usiąść obok niej, mimo że miejsce naprzeciwko było wolne. Szeryf wciąż stał obok z kawą w ręku.

- Zamierzam pójść na piechotę do Hebrides - oznajmiła Maud (ignorując szeryfa) i zaciągnęła się papierosem z zadowoloną miną.

Zanim zdążyłam powiedzieć coś w rodzaju: „Ale to okropnie daleko”, szeryf wyjaśnił, że Maud zaczęła się dąsać jeszcze przed moim przyjściem - po prostu chciała, żeby podwiózł ją policyjnym samochodem.

Maud zwróciła się do mnie owym przesadnie słodkim tonem, jakiego często używa przy szeryfie:

- Wydawałoby się, że przyjaciel mógłby człowieka podrzucić, nieprawdaż? To raptem piętnaście minut

Nie patrzyła na niego.

- Weź taksówkę. Axel cię zawiezie - powiedział szeryf.

- Axel nigdy nikogo nie wozi - wtrąciłam. - Ale Delbert owszem.

Lecz Maud była zbyt pochłonięta złością na szeryfa, żeby zwracać uwagę na moje słowa.

- A dlaczego ten twój służbowy pojazd jest taki cenny? Nie powiesz chyba, że nigdy go nie używałeś do celów prywatnych!

- Właśnie że powiem. Nigdy go nie używam do celów prywatnych. Pistoletu też bym ci nie pożyczył, gdybyś chciała postrzelać sobie do księżycy.

Szeryf chodzi po mieście z bronią przy biodrze, co przydaje mu blasku i sławy twardziela, jakiej nie ma nikt w całym La Porte. W marzeniach widziałam siebie, powoli celującą z tej broni w czoło Ree-Jane. W Hebrides również jest szeryf, ale tamten ma piwny brzuch i małe świńskie oczka w tłustej twarzy; bardzo bym nie chciała, by to on czuwał nad moim życiem. Nasz szeryf dzisiaj także miał przy sobie pistolet - widziałam kolbę wyzierającą z ciemnobrązowej skórzanej kabury. Był śmiercionośny jak Bóg.

- Jedź autobusem - poradził.

Między La Porte i Hebrides kursuje lokalny autobus, który ma nie wiem ile przystanków. Jest ciemnozielony i całkowicie przerdzewiały, a jeżdżenie nim to ostateczność, o czym szeryf świetnie wie.

- Chyba zwariowałeś - rzekła Maud, strzepując popiół do metalowej popielniczki. - Ten gruchot zatrzymuje się przy każdym domu! Rozwozi pocztę i dostarcza ludziom mleko i jajka! Na litość boską! - I odwracając się do mnie, zapytała: - A może ty się ze mną wybierzesz? Mogłybyśmy zajść do baru Światło Stopu pod Hebrides i zjeść lunch. Albo obiad.

- Nie zwracaj na nią uwagi.

Prawdę mówiąc, miałam wielką ochotę iść z Maud, chociaż marsz do Hebrides to faktycznie szaleństwo.

- Muszę podawać do stołów przy obiedzie.

Westchnęła.

- Lola Davidow nigdy nie daje ci wolnego?

Zwróciłam uwagę, jak starannie wyłączyła z tej przygany moją matkę.

- Nie.

I była to prawda. Och, oczywiście, dostałabym wolne, gdyby chodziło o ulepszanie mojej osoby, gdybym na przykład chodziła na kurs dla modelek albo zainteresował się mną producent filmowy. Jednak wyjąwszy takie nadzwyczajne sytuacje, muszę stawić się w pracy, trzy posiłki dziennie, siedem dni w tygodniu.

- Co chcesz kupić w Hebrides? - zapytałam.

- Nic - odpowiedział za nią szeryf, uśmiechając się leciutko, jak zawsze, kiedy usiłuje powstrzymać śmiech. Dziwne: wobec innych ludzi (mnie na przykład) oboje są nadzwyczaj uprzejmi i wrażliwi, jakby wiedzieli, co kto czuje, co go może rozzłościć albo zranić, i bardzo się starali tego nie robić. Ale nie wobec siebie nawzajem. To bardzo zagadkowe, dlatego wciąż o tym rozmyślam.

- Owszem, potrzebuję rozmaitych rzeczy. Chcę iść do centrum handlowego i kupić sobie coś... coś strojnego.

Po sposobie, w jaki się zawahała, poznałam, że nawet nie zadała sobie trudu, by wymyślić, po co jej to całe Hebrides. Szeryf prawdopodobnie miał rację. Na ogół ją ma.

- „Strojnego”? Po co?

- To chyba nie twój interes, dlaczego ja chcę mieć nową suknię - oznajmiła stanowczo, powoli przesuwając dłonią po laminacie stołu, jakby zgarniała popiół i okruchy.

- Na pogrzeb Almy Stuck? - powstrzymał się od uśmiechu.

Przestała zbierać urojone okruchy; wyczułam, że uwaga szeryfa, przypisująca jej zaledwie „pogrzebowe” wzięcie, okropnie ją ubodła. Zupełnie jakby nikt nie mógł jej zaprosić na kolację albo do kina!

Po chwili znów zaczęła gładzić stół.

- Oczywiście, wiem, że t y nigdy nie bywasz w Czerwonej Stodole, ale pewnie sobie przypominasz, że czasem urządzają tam tańce?

- Owszem, przypominam sobie, za każdym razem, kiedy sterczę w tej budzie z Donnym i połową policji stanowej, usiłując nie dopuścić do bijatyki. - Patrzyłam, jak szeryf odstawia kubek, wkłada do ust kawałek żurawinowej gumy, a potem pyta: - No to z kim idziesz? Z Dodge'em Hainesem? Z Axelem Spikerem?

Maud przyglądała suknię.

- Nie znasz go, więc nie męcz się zgadywaniem. Moja przerwa się skończyła. Do widzenia. - Co mówiąc, wstała dystygownie, poklepała mnie po ramieniu i odeszła.

Patrzył za nią, gdy wchodziła za kontuar, patrzył, jak słuchała wrzaskliwego zamówienia Dodge'a Hainesa, a potem nosowego, smagającego jak bicz głosu Carla Beddowesa - i przez cały czas na jego ustach igrał ten cudowny uśmiech, którego resztki skierował teraz ku mnie. Ale nawet te resztki sprawiły, że ogarnęło mnie uczucie, jakiego zapewne powinienam doznawać na widok nowych witraży w naszym kościele. Chociaż... uśmiech szeryfa jest znacznie bardziej promienny.

- Chodź. Sprawdźmy, czy na parkomacie Helene Baum podniosła się chorągiewka.

Wzięłam zeszyt i ruszyłam za nim do wyjścia. Maud, nie odwracając głowy, odprowadziła szeryfa spojrzeniem. Zdumiał mnie smutek w jej oczach.

Według ostatnich obliczeń, oświadczył szeryf, wypisując złotemu cadillacowi kolejny kwitek, Helene Baum ma dwadzieścia trzy niezapłacone mandaty, dostała więc ostrzeżenie (na piśmie, by pojęła, że to nie żarty), że jeśli nie uiszczy należności, samochód zostanie odholowany. Nadal ją widzę, jak gotuje się ze złości i nerwowo szarpie podwójny sznurek pereł; jak sypiąc iskrami z rudych włosów (świeżo ufarbowanych w Super Ścięciu), biegnie za nami do następnej przecznicy i wrzeszczy za szeryfem: „Prześladowca!”.

Helene Baum wielokrotnie groziła, że namówi burmistrza Simsa, by wylał szeryfa, co jest oczywistym idiotyzmem, bo szeryf cieszy się ogromną popularnością, chociaż sam burmistrz za nim nie przepada (moim zdaniem jest zazdrosny, podobno nawet obawia się, że pewnego pięknego dnia utraci na rzecz Sama swój urząd). Maud twierdzi, że Sam DeGheyn jest absolutnie nietykalny. Mówi to z dumą, która wydaje się całkowicie sprzeczna z kłótliwym tonem, jaki przybiera w jego towarzystwie. Już wspominałam, że zachowanie tych dwojga daje mi wiele do myślenia.

Dziś również szeryf spokojnie wypisał mandat i starannie umieścił go pod wycieraczką, gdzie papier natychmiast przywarł do szyby, jeszcze mokrej po cotygodniowej wizycie w zakładzie Szczotki w Ruch (według mnie to Super Ścięcie powinno się tak nazywać, a nie jakaś myjnia samochodowa).

- Dwadzieścia trzy - powtórzyłam osłupiała.

Przytaknął i schował bloczek do tylnej kieszeni spodni.

Ruszyliśmy dalej, wyjęłam zatem swój zeszyt i zaczęłam przerzucać kartki, udając, że go przeglądam. Naturalnie, szeryf zapytał mnie, co to takiego. Wyjaśniłam, początkowo niby od niechcienia (staram się przy szeryfie zachowywać bez troski), później jednak z coraz większym entuzjazmem. Szeryf aż przystanął.

- Chcesz powiedzieć, że Ulub i Ubub byli tamtej nocy nad Jeziołem Duchów i coś widzieli?

- Tak! Tak! O, proszę... - Tu wskazałam fragment, nad którym tak długo się głowiłam: „jana siała okoń”.

Zmarszczył brwi, ale raczej nie dlatego, że mi nie dowierzał, po prostu skupiał się nad tekstem.

- Kłopot w tym, że nie wszystko potrafię rozgryźć - wyznałam. - Jak pan myśli, czy wypada wziąć ten zeszyt i zapytać braci Wood osobiście? Czy to byłoby w porządku?

Szeryf wziął zeszyt, zadumał się i spojrzał w niebo. Jaśniało owym niewinnym błękitem, jaki czasem widuje się na obrazach religijnych.

- Sama wiesz, że rozmowa z Woodami nie jest najłatwiejsza. - Pokręcił lekko głową i wrócił do studiowania tekstu. - „Jana siała”?

Zdradziłam mu, co to znaczy; nie miałam ochoty stać godzinami na Drugiej ulicy i objaśniać, w jaki sposób doszłam do sensu wszystkich tych wyrazów.

- Pan Root potrafi z nimi gadać.

- Kto? - zdziwił się.

- Pan Root. Potrafi odgadnąć, co mówią. - Ale chodziło mi o co innego. - Zastanawiam się, czy to nie będzie dla Uluba... - Jakże brzmiało to słowo? To, którego użył doktor McComb? A szeryf stał jak słup i czekał, aż skończę. Naprawdę, traciłam już do niego cierpliwość! - No, wie pan, jak w tych filmach, kiedy lekarz lub ktoś inny sprawia, że bohater przypomina sobie jakieś straszne wydarzenie i wariuje od tego? - Nagle przyszło mi do głowy, że martwię się nie tyle o dobro Uluba, ile o swoje własne.

Szeryf otworzył świeżą paczkę żurawinowej gumy.

- Ee, chyba w życiu tak nie bywa - oznajmił po namyśle.

- Nawet jeśli w przeszłości zdarzyło się coś traumatycznego...

„Traumatyczne”! Tak, to było to słowo, które znało całe miasto z wyjątkiem mnie!

- ...to moim zdaniem człowiek po prostu tego nie pamięta. Nie chce pamiętać.

- Więc nawet jeśli przeczytam Ulubowi to, co jest w tym zeszycie, nic sobie nie przypomni, bo opisane zdarzenia były dla niego zbyt traumatyczne?

- Tak mi się wydaje.

Wciąż pochylał się nad zeszytem.

- To było bardzo dawno temu - spojrzał na mnie z ukosa.

- O ile wiem, wszyscy już o tym zapomnieli.

- Doktor McComb jakoś nie zapomniał - rzuciłam cierpko.

- Jakim cudem w ogóle udało ci się porozmawiać z doktorem na ten temat?

Teraz ja z kolei popatrzyłam w niebo.

- Och, tak jakoś wyszło.

- Aha.

Oddał mi zeszyt. Wznowiliśmy spacer.

- Mary-Evelyn Devereau - mruknął pod nosem, przystając, aby sprawdzić parkomat przy aucie panny Ruth La Porte. Zostało jej tylko pięć minut; pewnie siedziała w Tęczy i jadła lunch. Szeryf włożył do otworu dziesięciocentówkę i obrócił srebrzyste pokrętło. - Ciekawe, czy Aurora Paradise coś wie? Pytałaś ją? Z nią chyba łatwiej się porozumieć niż z braćmi Wood.

- Akurat! Zmyśla na potęgę! Trudno się rozeznąć, kiedy mówi prawdę, a kiedy kłamie. Tak jak z tą historią o Benie Queenie.

Z naprzeciwiaka, kołysząc biodrami, sunęła ku nam Tammy Allbright, jak zwykle wypacykowana szminką Pond's i cieniami do powiek Maybelline. No i pachniała jak nieboskie stworzenie, jakby właśnie wzięła kąpiel w Soir de Paris. Zatrzymała się przy nas i zaczęła z chichotem mizdrzyć się do szeryfa, mrugać maybellinowymi oczętami i lekko go poszturchiwać. Ohyda! Dziwiłam się, że on to znosi, ale tylko się uśmiechnął i przekazał Tammy pozdrowienia dla rodziny.

Kiedy odeszła, szeryf odwrócił się do mnie:

- O kim?

Odprowadziłam wzrokiem tłusty zadek Tammy Allbright.

- O kim co?

- Aurora powiadała ci o kimś.

- Ben Queen, tak się nazywa. Albo nazywał. Był z niego prawdziwy kobieciarz. - Zmierzyłam szeryfa wymownym (mam nadzieję) spojrzeniem, usiłując zasugerować, że jak nie będzie uważał, to czeka go los Bena Queena. Tyle że nie bardzo wiedziałam, co to za los. - Stryjeczna babka Aurora mówi, że uciekł z jedną z siostr Devereau.

- Hmm - szeryf właśnie przykucnął, żeby sprawdzić oponę pick-upu Bunny.

Przygryzłam wewnątrz policzka. Właściwie dlaczego nie powiedziałam mu o Dziewczynie, chociaż zwierzyłam się doktorowi? Czy dlatego, że doktor McComb odegrał pewną rolę w historii Mary-Evelyn, a szeryf nie? A może czułam się zawiedziona, że nie przejawił większego zainteresowania, by osobiście wszcząć śledztwo w tej sprawie? W końcu to on był policjantem, prawda?

Więc zachowałam ten kąsek dla siebie.

18.

Przed pójściem do sklepu Brittena musiałam nakryć do lunchu, co oznaczało dodatkową rundę po jadalni o wpół do dwunastej - lunchy wydawane są od południa do drugiej.

Czasem wydaje mi się, że Hotel Paradise to niekończący się ciąg posiłków. Z drugiej strony, raczej nie powinnam krytykować gości, którzy te posiłki jedzą, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę to, co teraz wynurzało się z pieca na ogromnej płachcie pergaminu. Rolada szynkowa! Szybko podeszłam do kuchni, by się upewnić, że potrawa, pyrkająca w rondelku na wolnym ogniu, to rzeczywiście sos serowy. Byłam pewna, że tak jest - po prostu chciałam podnieść pokrywkę i zanurzyć nos w wonnej serowej parze.

Kiedy miałam sześć lat, musiałam nauczyć się na pamięć wierszyka o serduszkach, które pika na widok tęczy. Ale żadna tęcza nigdy nie przyprowadziła mego serduszka o takie pikanie, jak widok rolady i zapach serowego sosu. W dodatku tak się świetnie składa, że Ree-Jane nie lubi tego dania, bo inaczej znowu miałybyśmy wyścigi, jak do białego mięsa z kurczaka. Ree-Jane nie zniży się do jedzenia „resztek” - resztek ciasta i resztek pieczonej szynki. Resztek! Czy ona naprawdę nie widzi tej lśniącej, brązowej glazury, powstałej dzięki malowaniu ciasta pędzelkiem zamoczonym w białku? I tego sosu, tak pełnego słońca? Resztek! Powiedziałam jej, że resztki

robią dobrze na mózg, ale nie zrozumiała, tylko gapiła się na mnie swymi tępyimi niebieskimi oczami. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś miał tak puste spojrzenie jak ona.

Myśl o spodziewanych lunchowych rozkoszach tak podniosła mnie na duchu, że zaczęłam żwawiej uwijać się między stolami i nawet zdobyłam się na miły uśmiech, proponując roladę pannie Bercie. Jednak mimo że w kółko powtarzałam i wyjaśniałam, ona jak zwykle dopytywała się donośnie: „Co mówisz?”, a ponieważ oprócz tego w menu figurował hiszpański omlet, spędziłam przy jej stoliku mnóstwo czasu. Wreszcie oznajmiła, że chce jajka z sosem serowym, i tak się przy tym upierała, że w końcu poszłam powiadomić matkę. Vera obrzuciła mnie surowym spojrzeniem - pewnie pomyślała, że chcę sobie zadrwić z panny Berthy - za to Lola Davidow (która pętała się po kuchni, pijąc niezliczone Krwawe Mary) uznała to za pyszny dowcip i aż popłakała się ze śmiechu. Natomiast moja matka po prostu wzruszyła ramionami i raz dwa usmażyła pannie Bercie omlet z serem - danie tak śliczne, że kiedy je podawałam, panna Bertha radośnie się rozpromieniła! Do tego stopnia, że panna Fulbright, z którą nigdy nie ma żadnych kłopotów, też zażyczyła sobie coś takiego („jeśli to nie za dużo fatygi”), na co panna Bertha rozpromieniła się jeszcze bardziej. Pewnie sądzi, że doprowadziła do odkrycia nowej potrawy!

Z brzuchem wypchanym podwójną porcją rolady szynkowej z serowym sosem o ciężale dowlokłam się do sklepu Brittena. Postanowiłam nie zabierać zeszytu, choć niechętnie rezygnowałam z urzędowej aury, jakiej wyraźnie mi używał. Może sądziłam, że na jego widok w oczach Uluba zabłyśnie światło zrozumienia, a pamięć wydarzeń tamtej nocy uderzy mu do głowy?

Wszyscy trzej - Ulub, Uub, a także pan Root - siedzieli na ławce przed sklepem, wyraźnie spodziewając się kogoś lub czegoś. Na mój widok uśmiechnęli się radośnie i zaczęli do mnie machać. A więc to ja byłam tym kimś (lub czymś),

na kogo czekali! Aż przystanąłam - nie przywykłam, by witano mnie z taką nadzieją i tak się cieszą, że przyszedłam.

Ulub i Ubub rozsunęli się na boki, robiąc mi miejsce między sobą. Wskutek tego pan Root znalazł się na końcu ławki, ale ta pozycja najwyraźniej mu odpowiadała, gdyż mógł pochylić się do przodu z łokciami na kolanach i przypatrywać się naszej trójce, jakby został wyznaczony na arbitra lub sędziego, który nadzoruje spotkanie i pilnuje, byśmy wszystko dokładnie zrozumieli i by nikt nas nie oszukał. Nadal miał na głowie swoją niebieską czapkę kolejarza - do której na mój widok uniósł dwa palce - włożył też zęby, jakby chciał podkreślić niezwykłą wagę dzisiejszego zebrania, choć przecież nie mogli wiedzieć, że przyjdę się z nimi zebrać. Ale zaraz dotarło do mnie, że po dramatycznej rozmowie dwa dni temu po prostu założyli, że na tym się nie skończy. Że wróć. To mnie naprawdę ucieszyło.

Sadowiąc się na ławce, rozważałam, w jaki sposób poruszyć temat opowieści zapisanej w zeszycie. Swoim zwyczajem wolałam uniknąć pytania wprost. Wmawiam sobie, że to dlatego, iż rozmówcy boją się bezpośredniości i po prostu milkną. Ale prawda jest zapewne taka, że celowo przeciągam i odwlekam różne sprawy, bo nie lubię, kiedy się kończą.

I wówczas nastąpiło coś zaskakującego: Ubub wyciągnął z kieszeni niewielki plik papierów, które okazały się wycinkami z gazet. Był wśród nich trzyszpaltowy artykuł ze zdjęciem, ten sam, który przeczytałam w redakcji „Konserwatywy” i przed którego kradzieżą szlachetnie się powstrzymałam; ale Ubub miał więcej wycinków, również z większego, bardziej wielkomięjskiego dziennika „Star-Times” z Cloverly. Teraz wręczył mi je wszystkie, kiwając energicznie głową.

Duży artykuł, przechowany przez Ububa, wyglądał trochę inaczej niż w redakcji: na wszystkich marginesach ktoś (pewnie jeden z braci lub nawet obaj) narysował małe obrazki, kwiatki i krągłe kształty, jakby wyobrażenia leśnych stworzeń, a niektóre zdania w tekście zostały podkreślone barwnymi kredkami. Najbardziej zdumiało mnie wszakże co

innego - do tej pory myślałam (tak jak reszta miasta), że Woodowie są analfabetami, że nie potrafią zrobić niczego, co wymaga choć cienia inteligencji; prostacko założyłam, że skoro mają kłopoty z mówieniem, to nie umieją ani czytać, ani nawet porządnie myśleć. Zrobiło mi się wstyd. Powiedziałam, że nie znam większości tych relacji.

- Nyy ne-ooo niich ee maa - odrzekł Ubub, stukając palcem w długi artykuł.

Pan Root ściągnął wargi i spojrzał na mnie, sprawdzając, czy zrozumiałam. Zerknęłam na pierwszy i ostatni wycinek i domyśliłam się.

- Nic nowego... w nich nie ma. - Ulub i Ubub przytaknęli.

- To samo co w „Konserwatyście”.

Obaj się uśmiechnęli i przytaknęli jeszcze mocniej. Pan Root chrząknął twierdząco. Podobał mi się sposób, w jaki pan Root tłumaczył - nie wcinał się ze swoją wersją, tylko patrzył, czy sobie radzę. Oczywiście, przyszło mi do głowy, że czasem również on sobie nie radził i skwapliwie czekał na to, co powiem. Wszystko jedno.

Przeczytałam jeszcze raz długi artykuł, upewniając się, że nie przeoczyłam żadnej wskazówki, rzuciłam też okiem na krótsze teksty. I wówczas zdałam sobie sprawę, co w tym wszystkim jest najistotniejsze - to, że Woodowie w ogóle zebrali te wycinki, a nawet podkreślili niektóre fragmenty!

- Założę się, że było zupełnie inaczej, prawda? - zapytałam, machając im przed nosem plikiem papieru.

Obaj równocześnie krzyknęli, z entuzjazmem kiwając głowami, Ulub nawet zaczął walić się pięścią w kolano. Zdziwiłam się, że ma takie małe dłonie.

- Te podkreślone fragmenty to nieprawda?

- Ee-uuee - rzekł Ubub.

„Niektóre”? Ale mogłam sobie darować interpretację, bo Ubub znów stuknął palcem w gazetę.

- Lonzo mooii...

Ciekawe, że potrafił dość wyraźnie wymówić imię „Alonzo”.

Pomyślałam, że może byłoby łatwiej, gdybym wyciągnęła zeszyt doktora McComba i zapytała, czy słusznie domyślałam się pewnych rzeczy. Ale zaraz doszłam do wniosku, że poczuliby się zażenowani, widząc w moich rękach swoją kulawą relację na piśmie. Fakt, było w niej coś obraźliwego.

Wskazany przez Ububa fragment zawierał relację panny Isabel Devereau, według której Mary-Evelyn poszła spać około ósmej i żadna z siostr jej więcej nie widziała. Przez cały czas, gdy czytałam go na głos, Ulub kręcił głową tak mocno, że myślałam, że sobie ją ukreści.

- Panie Ulub, jak było naprawdę?

Zbyt późno przypomniałam sobie, że naprawdę ma na imię Alonzo, ale przezwisko najwyraźniej mu nie przeszkadzało, chyba już się do niego przyzwyczaił. Spojrzał pytająco na brata i pana Roota.

Ubub łaskawym gestem oddał głos młodszemu bratu; w końcu Ulub miał tę przewagę, że był na miejscu zdarzenia. Pan Root również przytaknął, mimo że do przedwczoraj nie miał o niczym zielonego pojęcia.

Z napięcia niemal wstrzymałam oddech, choć wiedziałam, iż wiele czasu upłynie między wypowiedzią a jej zrozumieniem.

- Aa yylem b eesiee. Aa... aa... aa... - zarzucił głową, by wyrwać z siebie słowo.

Dzięki naszej poprzedniej rozmowie i lekturze zeszytu domyślałam się już, co znaczą niektóre dźwięki, wiedziałam na przykład, że „aa” oznacza „ja”, natomiast „b” to jeden z przyimków: „w” albo „z”. Więc jakoś przetłumaczyłam sobie, co mówi. „Aa yylem b eesiee” musiało znaczyć „Ja byłem w lesie”. Miało to sens.

- Był pan w lesie - odpowiedziałam.

- Ak! - kiwnął głową. - Yylem b eesiee oo ofabi-iem rabie i fe-etor i muu-siaam oo niee uucii.

Zmarszczyłam brwi, podrapałam się po głowie i zerknęłam na pana Roota, który wręcz zamarł, tak mocno się

koncentrował. Pojęłam, że „muusiaam” to „musiałem”, ale „rabie i fetor”? Utknęłam.

Nagle pan Root podniósł głowę i powiedział:

- Byłeś w lesie i musiałeś po coś wrócić?

Ulub machnął wściekle głową.

- Ofabiiem rabie! I feetor!

Wpadłam w głęboki namysł. Pan Root chyba też, bo mocno zacisnął oczy i poruszał językiem, jakby próbował różne dźwięki.

- Zostawiłeś coś na trawie? - Pan Root, zadowolony, że udało mu się coś wykombinować, całkiem nie zwracał uwagi na fakt, że Ulub kręci głową. Nagle pstryknął palcami.

- Robiłeś coś w ogrodzie... Sekator! Wróciłeś po sekator?

Ulub przytaknął, ale wciąż czekał, aż pan Root odgadnie „rabie”. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że Ulub potrafi być przekorny. Uznałam, że to dobrze - sama bywam przekorna.

Sekator i rabie...

- Och, na litość boską! Grabie, zostawił pan grabie, prawda, panie Ulub?

Zaczęliśmy bić brawo, trochę jak w teleturnieju, chociaż wydawało mi się, że pan Root jest urażony, bo nie wpadł pierwszy na te grabie.

Coś przyszło mi do głowy.

- Panowie czasem tam chodzą?

Ze spojrzeń, jakimi się obrzucili, nietrudno było wywnioskować, że tak.

- Nie, proszę się nie wstydzic - roześmiałam się. - Jestem ostatnią osobą, która by panów za to krytykowała... - Powoli docierało do mnie, że nigdy tam chodzić nie przestali.

I wówczas przyszedł mi do głowy świetny pomysł. Wszyscy razem wybierzemy się do domu panien Devereau! Na miejsce zbrodni - zakładając, że zdarzyła się tam zbrodnia! Nie wpadłam na to wcześniej, bo uznałam, że droga jest nie do przebycia, ale skoro agent nieruchomości zdołał tam

dotrzeć... Najwyraźniej tylko ja sądziłam, że tą drogą nie da się przejść, to wszystko.

Dom panien Devereau. W myślach widziałam go po drugiej stronie jeziora - samotny budynek koloru mgły, jak mgła ulotny i niematerialny.

- Moglibyśmy tam pójść wszyscy razem - oznajmiłam. - Moglibyśmy pójść i... się rozejrzeć.

Gapili się na mnie w milczeniu.

- Dlaczego nie? Panowie - tu spozjrzałam na Uluba i Ububa - już tam byli, znacie drogę.

Nawet nie pamiętając o wadzie wymowy, Ulub zapytał:

- Kedy?

„Kiedy?”. Podobało mi się, że oczekują, bym to ja dała sygnał do wymarszu - chociaż raz w życiu byłam przywódcą! Przygryzłam wargę w namyśle; już dawno minęło południe i do obiadu zostało mi tylko dwie godziny. A przecież trzeba było jeszcze dotrzeć nad jezioro, odległe o prawie milę drogi, a potem wrócić przeszło pół mili do hotelu, gdzie powinnam się zjawić najpóźniej o szóstej, i to nie licząc czasu na przygotowanie surówek.

Pokręciłam przecząco głową:

- Muszę zrobić surówki i roznieść talerzyki z masłem.

Spoznarli na mnie ze zdziwieniem. Pewnie uznali, że surówki i talerzyki z masłem to dziwny powód, by rezygnować z przygody. Wyjaśniłam, że jako kelnerka mam pewne obowiązki i muszę o wpół do szóstej być w hotelu, żeby się z nich wywiązać.

Oczywiście, problem polegał na tym, że po obiedzie robiło się ciemno, a ja niezbyt chciałam znaleźć się po zmroku w lesie nad jeziorem, zaplątana w pnącza i krzaki. Z drugiej strony, teraz, w maju, dni były coraz dłuższe i prawdziwa noc zapadała dopiero około ósmej. Porównałam ryzyko ciemności z konsekwencjami spóźnienia i doszłam do wniosku, że z dwojga złego wolę się bać niż znosić zabójcze spojrzania Very i Loli Davidow.

Podrapałam się po łokciach i rzekłam:

- Spróbuję wyjść wcześniej; może uda mi się urwać około siódmej, wtedy mielibyśmy trochę czasu? Znaczą, przed nocą? Spotkamy się nad jeziorem, dobrze? Powiedzmy, na przystani?

Wiedziałam, że nikt z zewnątrz nie zarezerwował u nas stolika na wieczór, a stali goście, panna Bertha i pan Gosling (komiwojażer i stały klient), zjawią się najpóźniej o szóstej - szóstej dwadzieścia. O siódmej mogłam być już daleko. A w razie potrzeby mogłam po prostu się ulotnić.

Spojrzeli na mnie i skinęli głowami.

Byliśmy drużyną.

A więc tego wieczoru pojawiłam się w kuchni wyjątkowo wcześnie, nawet przed Verą. To ją naprawdę rozdrażniło - zorientowałam się od razu, kiedy wkroczyła przez wahadłowe kuchenne drzwi. Kwadrans po piątej tkwiłam już na stanowisku surówkowym, układając w miseczkach małe sałaty masłowe, które posypywałam siekanym jajkiem i ozdabiałam czarnymi oliwkami oraz paskami papryki *pimento*. Znów byłam w artystycznym nastroju.

Sztuka surówkowa z użyciem sałaty masłowej denerwuje panią Davidow - jej zdaniem jedna sałata masłowa na osobę i tak dowodzi ogromnej szczodrości i wytworności Hotelu Paradise, toteż nie należy do niej dodawać nic oprócz sosu winegret. Wszystko, co powoduje dodatkowe koszty (jajka, oliwki, papryka), to doprawdy przesada. Już raz mi się oberwało, gdy przyłapała mnie na układaniu buziek na sałacie masłowej - oczu z krążków oliwek, ust z papryki, loczków z jajka. Taka zabawa doprowadza ją do szału, dlatego tak się bawię. Ale przez większość czasu Lola Davidow tylko biega do dzbanka z martini, więc nie zwróciłaby uwagi, nawet gdyby sałata przemówiła do niej ludzkim głosem.

Pogwizdując, ułożyłam krzyż z oliwek na surówce panny Berthy, z nadzieją, że natchnę ją chrześcijańskimi uczuciami. Do sałaty pana Goslinga sypnęłam dodatkową łyżkę

siekanego jajka, które częściowo ukryłam wśród zielonych liści - Lola lub Vera mogły zjawić się w każdej chwili i z powrotem je wydłubać - bo pan Gosling uwielbia jajka na twardo. I wówczas zdałam sobie sprawę: jeśli mam zdążyć na spotkanie nad jeziorem, sama nie zdążę zjeść obiadu! Skorzystałam więc z okazji i gdy matka wyszła do recepcji, zajrzałam do wszystkich garnków na kuchence, żeby zobaczyć, czy ominą mnie jakieś smakołyki. Wielka patelnia była jak zwykle pełna świeżo usmażonych kawałków kurczaka (i jak zwykle, brakowało białego mięsa); w misce, zamarynowane w czymś winnym, leżały dwa grube steki; na pergaminie, gotowe do pieczenia, czekały ogony homara, błyszczące od jakiejś egzotycznej mikstury. Z tego wszystkiego jedynie kurczak mógł trafić do mojego żołądka, i to nie białe mięso, więc traciłam niewiele, skrzydełko lub udko. Jednak na widok stojącego na parze garnka purée z ziemniaków z mego gardła wyrwało się westchnienie. Ach, ten kremowy, puszysty obłok! Zdjęłam z półki porcelanową miseczkę do warzyw, nałożyłam sobie dwie czubate łyżki i wygładziłam zawartość garnka, ozdabiając powierzchnię misternym zakrętasem.

Położyłam na ziemniakach kawałek masła i przeniosłam się do kredensowego, gdzie zastałam Paula. Paul jest synem pomywaczki, która przychodzi pomóc Walterowi, kiedy w hotelu odbywa się duże przyjęcie. Jego matka ma płaską jak deska figurę i płaską, szeroką twarz; ludzie powiadają, że Paul jest do niej podobny, chociaż trudno sobie wyobrazić, by ktoś tak nijaki występował w dwóch egzemplarzach.

Siedział przy stole i z trzaskiem przewracał kartki komiksu, który leżał przed nim odwrócony do góry nogami. Paul (który ma lat siedem lub osiem) nie umie czytać, co rozumie się samo przez się, jednak zaciekał mnie fakt, że nie umie też oglądać obrazków. Często się uśmiecha, ale prawie nie mówi, pewnie dlatego, że za każdym razem, gdy się odzywa, matka wali go w ucho. Wbiła sobie do głowy - właściwie nie dziwnego - że w naszej kuchni Paul ma siedzieć cicho. Prawdę mówiąc, uważam, że to wcale niegłupie.

Z czystej przekory wyciągnęłam rękę i odwróciłam komiks, informując (z wyższością), że leży do góry nogami. Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kiedy się uśmiecha, wygląda dokładnie tak samo, jak chłopiec na okładce czasopiśma „Mad” - zwariowane, blisko osadzone oczka i usiana piegami buzia. Więc wyszczerzył zęby, odwrócił komiks tak jak przedtem i znów zaczął głośno przewracać kartki. Wiedziałam, że nikomu nie powie o mojej miseczce ziemniaków.

Na siódmą zapowiedziała się sześciuosobowa grupa (Baumowie) i ku mojej rozpaczy matka kazała mi również podawać do stołu. Na szczęście Vera stanowczo oznajmiła, że nie życzy sobie mojej pomocy, bo jeden stół obsłuży sama; obie wiemy, że doktor Baum daje spore napiwki, i Vera nie miała najmniejszego zamiaru się ze mną dzielić.

Wtoczyli się wcześniej, akurat gdy kończyłam sprzątać stół pana Goslinga: Helene Baum w „kocich” okularach i jaskrawożółtej szyfonowej sukni, doktor w czarnym golfie, cała szóstka na niezłej bani. Właściwie było ich siedmioro, bo na czele sunęła pani Davidow, uróżowana, wygorsetowana, niezwykle podobna do owych drewnianych dam prujących fale na dziobie statku, jak na tym filmie z Johnem Wayne'em, który niedawno widziałam. Można wręcz powiedzieć, że pani Davidow wprosiła się na przyjęcie, bo najpierw piła z gośćmi koktajle w barze, a teraz pchała się do stołu ze swoim krzesłem i befsztykiem.

Twarz Very przybrała wyraz najwyższej dezaprobaty, a nos powędrował tak wysoko, że niemal odleciał - po pierwsze, wstawieni goście nie byli w stanie docenić jej pierwszorzędnej obsługi, po drugie, groziło jej, że doktor Baum zapomni o ekstra napiwku. Przestraszyłam się, że w tej sytuacji zmieni zdanie i zapędzi mnie do roboty.

Więc na wszelki wypadek czym prędzej się zmyłam.

19.

Dochodziła siódma, gdy dotarłam do przystani, gdzie ujrzałam wszystkich trzech panów, którzy pomachali mi radośnie. Woodowie mieli na sobie grube, czarne dwurzędowe kurtki; pan Root był wprawdzie w cienkiej dżinsowej bluzie, ale mogę się założyć, że pod spód włożył ciepłą bieliznę. Tutaj, w górach, na wysokości pięciu tysięcy stóp, po zachodzie słońca szybko robi się chłodno.

Ulub przyniósł latarkę i - nie wiadomo po co - zardzewiałe nożyce; pan Root wymachiwał starą lampą naftową, więc natychmiast wyobraziłam sobie, jak idzie z nią po torach i daje sygnały pociągom. Latarka i lampa przypomniały mi o nadsciągającej nocy. Spojrzałam w niebo, jakby to mogło zmienić jakość światła tutaj, na ziemi, i zobaczyłam, że wciąż najwyraźniej jest to światło dzienne, choć trzeba przyznać, że niezupełnie takie jak w dzień. Odcienie jasności marnowały się na mnie - o wiele lepiej wyczuwam smaki, na przykład rolady szynkowej, niż przyrodę. Pan Root wziął również pudełko zapalek na wypadek, gdybyśmy chcieli rozpalic ognisko - kolejne niemile przypomnienie, że będziemy na dworze po zmroku - oraz lekko zakrzywiony nóż, zwany chyba finką, w pochwie, którą dość ostentacyjnie przypiął do pasa. Ubub miał plecak; ciekawe, pomyślałam, co w nim jest.

Przed wyruszeniem odwróciliśmy się i z nabożeństwem spojrzeliśmy na odległy dom koloru mgły, z czarnymi oczodołami okien.

Zryta koleinami droga prowadziła w stronę źródła, mijając malowany na biało, nieco już złuszczonego budynek przystani z wąskim drewnianym pomostem, a potem kępę klonów i mój ukochany samotny buk. Małe źródło leży o ćwierć mili dalej i tu przystanęliśmy, właściwie bez powodu, po prostu jest to zazwyczaj cel wycieczek. Przynajmniej zawsze było nim dla mnie i dla Willa, a także dla naszego ojca, kiedy jeszcze tu z nami przychodził. Z niewielkiej skalnej

wnęki wystaje stara metalowa rurka, ktoś również wybudował w tym zakątku duży, okrągły, płytki basen i wyłożył go ślicznymi kolorowymi kafelkami, malowanymi w ryby. Basen zasilany jest ze źródła, a źródło z jeziora.

Siedliśmy we czwórce na kamiennym obramowaniu i puściliśmy w obieg blaszany kubek, który zawsze stoi w skalnej wnęce, jakby zrobionej specjalnie w tym celu. Często rozmyślałam o tym kubku; zastanawiam się, kto go tu zostawił i czy ta osoba zamierzała go ukryć, i jak to się dzieje, że stoi tu przez tyle lat i nikt go dotąd nie ukradł; zastanawiam się, czy przetrwa całe życie ludzkie i czy będzie tu stał po mojej śmierci. Przekazywaliśmy sobie kubek z rąk do rąk, aż wszyscy napili się do syta; kiedy trafił do mnie, ukradkiem wytarłam krawędź, zanim podniosłam go do ust.

Korzystając z postoju, wypytałam towarzyszy, czego możemy się spodziewać w gęstym poszyciu wśród drzew. Idąc tutaj, rozważałam różne możliwości - odrzuciłam niedźwiedzie i pantery, nie miałam jednak pewności co do węży, pajaków i wilków.

Pan Root odgryzł kawałek tytoniu, poczęstował pozostałych, po czym zadumał się nad moim pytaniem. Ubu przyjął poczęstunek, Ulub wolał żurawinową gumę do żucia, którą zazwyczaj noszę dla szeryfa. Sama też się na nią zdecydowałam: w końcu wszyscy coś żuli.

Kiedy już tytoń zamienił się w czarną plwocinę, pan Root oznajmił:

- Wilków tu nie ma, co to, to nie. Może lisy. Pewnie króliki. - I patrząc na niknącą w mroku drogę przed nami, dodał: - Na pewno węże mleczne.

Byłam ciekawa, co to jest wąż mleczny, ale nie miałam ochoty drażnić tego tematu. Ulub pokiwał głową.

- Ee koo - oświadczył, kłapiąc zardzewiałymi nożycami jak krokodylą szczęką.

Spojrzelśmy na niego pytająco. Powtórzył wyraz, z wysiłkiem dodając końcowy dźwięk:

- Koo-aa-d. Kod? Kad?
- Kot! - wykrzyknęłam triumfalnie.
- Aa, pewnie chodzi mu o dzikie koty - wyjaśnił pan Root, trochę zły, że wyprzedziłam go w kwestii „kota”. - Tak, chyba je tu widziałem.

Odniosłam wrażenie, że zgaduje. Prawdę mówiąc, byłam trochę rozczarowana, że Woodowie tak niewiele wiedzą o tym, co nas czeka w lesie. Chyba uległam złudzeniu, że wada wymowy i życie w odosobnieniu zapewnia im znacznie lepszy kontakt z przyrodą i zwierzętami niż reszcie ludności. O ile wiem, nie mają żadnej rodziny i mieszkają sami w zniszczonym drewnianym domu przy drodze na tyłach hotelu. Dom pana Roota znajduje się chyba po drugiej stronie szosy stanowej, która przecina Spirit Lake. Panuje pogląd, że ludzie zza szosy stoją wyżej w hierarchii towarzyskiej niż osoby mieszkające po stronie hotelu - choć, oczywiście, nie jest to pogląd, z którym zgodziłaby się moja matka. Wprawdzie po drugiej stronie spotyka się więcej ogromnych wiktoriańskich ruder, ale stoi tam także sporo tandetnych domków i przyczep. Mnie tam wszystko jedno, podupadli bogacze czy podupadła biedota. Moim zdaniem wszyscy jesteśmy podupadłą klasą średnią, aczkolwiek pod względem przynależności klasowej Spirit Lake i tak stanowczo plasuje się wyżej niż Cold Flat Junction.

Żuliśmy więc, gapiąc się na drogę niknącą w gąszczu drzew i wysokich traw, i żadne z nas jakoś się nie śpieszyło, aby wstać i nią pójść. Nieważne, z której strony podchodziło się do domu panien Devereau, od źródła czy od grobli, droga - tak jak sobie mówiłam - robiła wrażenie nieprzebytej. Ale jak w takim razie Dziewczyna dotarła na drugi brzeg jeziora? Nie chciałam nawet myśleć o alternatywach, a zwłaszcza o tej, że wcale nie dotarła - że po prostu jej tam nie było.

Może dlatego właśnie nikomu nie wspomniałam o Dziewczynie ani o tym, że pojawiła się po tamtej stronie - pociągnęłoby to za sobą wiele pytań, na które nie potrafiłam

i nie miałam ochoty odpowiedzieć. Było to coś, co najwyraźniej pragnęłam zachować dla siebie. Ogarnęło mnie uczucie, którego nie umiałam nazwać - nie strach, bo nie czułam pulsowania w żyłach i ucisku w żołądku, lecz raczej straszliwy smutek. O tej wieczornej porze nie było jeszcze ciemno, nawet nie tak ciemno jak w kinie, bo smugi blasku wciąż przedzierały się przez gęste czarne sosny i przenikały między liśćmi klonów, siejąc szarym świetlistym pyłem po brunatnych, zwiedłych liściach niejednej jesieni. W wyrytych przez ciężarówkę bruzdach stała deszczówka; droga, i tak opanowana przez pnącza i suche gałęzie, zwężała się jeszcze bardziej pod naporem paproci i gąbczastych mchów.

Ruszyliśmy naprzód gęsiego - ja zawsze między dwoma panami, przez cały czas pilnie wypatrując śladów Dziewczyny. Chyba naprawdę się spodziewałam, że zostawiła za sobą trop z okruszków! Dźwięki - metaliczny szelest suchych liści, krótkie, urywane nawoływania ptaków - docierały do mnie ostre jak nóż. Coś śmignęło nad nami i Ubub próbował nam powiedzieć, co to było; coś innego wyprysnęło nam spod nóg i pan Root krótko oznajmił: „Królik”.

Postanowiliśmy, że poprowadzi nas Ulub - w końcu to on szedł tędy owej nocy. Droga, którą wybraliśmy, była nieco krótsza niż trasa drugą stroną jeziora, gdzie zbudowano kamienną groblę, tandetną stertę spojonych cementem cegieł i płaskich głazów, wygładzonych stopami ludzi. Na jednym końcu grobli stała kruszejąca kolumna z szarego kamienia.

A więc Ulub szedł na czele, od czasu do czasu szcękając nożycami. Ubub z zapalem ciął po zaroślach małym toporkiem z pękniętym styliskiem, który wyjął z plecaka, pan Root z upodobaniem przedzierał się przez chaszczę. Kiedy jednak uniosłam dłoń, by odgarnąć splątaną roślinność, stwierdziłam, że nożyce i toporek w gruncie rzeczy nie są konieczne, gdyż zarośla okazały się tak stare, cienkie i kruche, że dawały się bez trudu usunąć, prawie jak pajęczyna. Uległam złudzeniu; misterne draperie pnączy i gałązek z daleka wyglądały na nieprzebyte, a przecież, gdy podchodziłam

bliżej, z łatwością je odpychałam jednym ruchem ręki.

Idący przede mną Ulub zatrzymał się i przeciągnął dłonią po pniu dębu, po czym wskazał wycięte w korze serce, a pod nim dwie litery: AL.

AL. Musiałam się uśmiechnąć. Ten napis został zrobiony, zanim Uluba zaczęto przezywać skrótem z tablicy rejestracyjnej. Doktor McComb mówił, że naprawdę ma na imię Alonzo; uśmiechnęłam się na myśl, że Ulub to Al. Ciekawa byłam także, czy serce wyciął tylko dla siebie - nie było przebite strzałą, ale pewnie Ulub nie raz dostał strzałę w serce.

Z wyjątkiem ćwierkania ptaków i miękkich pacnięć sennych szyszek panowała śmiertelna cisza. Miałam wrażenie, że wędrujemy przez martwy, jałowy krajobraz. Coś przesłiznęło się po mojej stopie. Zmrużyłam oczy i spojrzałam w dół, przygotowana na mlecznego węża, ale to była tylko jaszczurka, bardzo maleńka, która przycupnęła, przerażona, pod ochronną kupką liści.

Poruszyłam językiem, szukając w ustach gumy, zupełnie już pozbawionej smaku, lecz przypomniałam sobie, że wypłułam ją nieco wcześniej, kiedy przedzierałam się przez pnącza. Jednak mój język nadal się poruszał. Poczułam w środku dziwną pustkę, i zaczęłam się zastanawiać, co dzieje się z osobą, której myśli umykają, a umysł się opróżnia. Która nie ma nic w ustach ani w brzuchu, ani w mózgu, która jest jak sito, puste, bo wszystko przez nie przeciekło, tak jak rozsypane na ziemi świetlne confetti przeciekało przez gałęzie nad moją głową. Wspomniałam filmy gangsterskie, w których krew leje się strumieniem, a osobnik z karabinem maszynowym oznajmia, że zrobił sito z tego czy tamtego; spojrzałam na drobinki światła przesiane przez siatkę konarów, wyobrażając sobie, że wypłynęły ze mnie i teraz rozlewają się po zwiedłych liściach niczym srebrzyste kropelki krwi, i nagle zatęskniłam za drugą porcją purée z ziemniaków. Właściwie nie byłam głodna, jadłam niespełna godzinę

temu, a jednak ogarnął mnie jakby głód - głód lub owa olbrzymia pustka. Miałam wrażenie, że serce we mnie omdlewa, co brzmi lepiej, niż „przestraszyłam się”. Czy serce może omdleć albo zasnąć? Uciec? Ukryć się? Niespodziewany ruch jaszczurki obudził mnie z zamyślenia, i zobaczyłam, że pozostali mnie wyprzedzili i teraz odciągają Uluba od kolejnego drzewa - i pewnie kolejnego wyciętego serca.

Posunęliśmy się trochę do przodu i nie szliśmy już gęsiego. Gałęzie i liście całkowicie zasypały resztkę ścieżki - a może nigdy nie było tu żadnej ścieżki, tylko stara koleina? - więc dalej podążaliśmy osobno, jakby każde z nas, zmierzając w tę samą stronę, szukało czegoś innego. Mimo że szłam najbliżej brzegu jeziora, przez gęste poszycie, splątane gałęzie i nisko zwisające witki przygarbionych wierzb dostrzegałam tylko przebliski wody. Światło przybrało barwę niklu, kontury się zacierały, za to cisza działała kojąco, niezakłócana odgłosami kuchennymi, zgrzytem miksera do martini ani uszczypliwymi uwagami Very.

Zmrużyłam oczy, usiłując zobaczyć jak najwięcej jeziora, szybko niknącego w słabnącym świetle. Pomyślałam o ojcu. To było jego jezioro - często chodził do źródła i na przystań, łowił też ryby, które chyba zawsze wrzucał z powrotem do wody. Nie pamiętam go zbyt dobrze i niewiele o nim myślę. Inni ludzie też przychodzili nad jezioro, a potem odchodzili; z biegiem lat było ich coraz mniej, a teraz nie bywa tu prawie nikt, ale mój ojciec jakby wciąż gdzieś tu krążył.

W końcu las zaczął rzednąć i wkrótce dotarliśmy na krańcówkę polany. Przed nami stał dom niczym miejsce ze snu, miejsce, które raz po raz widywałam w marzeniach, a teraz oto objawiło mi się w fizycznej postaci, konkretne i namacalne.

Powoli podeszliśmy do budynku. Pan Root przykucnął i zapalił lampę naftową; dochodziła ósma, owa pora lawendowego światła, która zapowiada nadejście nocy, gdy kierowcy włączają reflektory, choć nadal wszystko wyraźnie widać. Niektórzy kierowcy, tacy jak Lola Davidow, czują się

niepewnie w takim świetle. Mnie natomiast ogarnia ulga, kiedy dorośli nie są czegoś pewni, bo na ogół uważają, że mają rację. A więc pan Root chyba poczuł się trochę nieswojo, bo zapalił lampę, której przyjazny płomyk zapełgał w szklanej klatce.

Okrążywszy dom od tyłu, ujrzelśmy mały ganek oraz wypaczone siatkowe drzwi, krzywo zwisające na jednym zawiasie. Chyba prowadziły do kuchni, całkiem dużej, sądząc po oknie. Jakiś czas staliśmy, wpatrując się w dużą tafłę starego, wodnistego szkła, po czym skręciliśmy za róg i przez takie samo okno zobaczyliśmy duży pokój, salon albo bawialnię. Tu głównym sprzętem był fortepian; pod ścianami majaczyły niebieskie plamy starych foteli i kanap, gdzieś niedzie stały okrągłe stoliki, przykryte ciemnymi serwetkami. Nagle Ulub bardzo się ożywił i zamachał rękami, usiłując coś powiedzieć. Był tak podniecony, że już w ogóle nie potrafił się wyjęzyczyć, tylko wskazywał na fortepian, biegł za róg do kuchennego okna, po czym wracał i zaczynał od nowa. Próbowaliśmy go uspokoić, aż w końcu uznałam, że najlepiej będzie, jeśli wejdziemy do domu, żeby Ulub pokazał nam, o co mu chodzi.

Dom stał otworem, drzwi kuchenne również; zdziwiłam się nawet, że budynek przez tyle czasu nie uległ zniszczeniu i że nie ma tu dzikich lokatorów. Albowiem nie dostrzegłam żadnych oznak, by ktoś próbował tu zamieszkać, wyjąwszy ogarki świec przyklejone do talerzyków (śniadaniowych, jak podpowiedziało mi spore doświadczenie). Chociaż, podobnie jak meble, i one mogły tu stać od czasów sióstr Devereau. Ciekawe, pomyślałam, czy opuściły dom nagle? Chyba nie, bo nikt nigdy o tym nie wspominał, ale też nikt nie wiedział, dokąd się udały ani nawet czy wyjechały wszystkie razem.

Zapadł już zmrok, a tutaj oczywiście nie było prądu, więc pan Root wyjął zapalniczki i zapalił dwie świeczki stojące na kuchennym stole. Błat, wykonany z białej porcelany, jak u

panny Flagler, był mocno obtłuczony i upstrzony zaciekami. Wokół stały cztery krzesła z malowanego drewna.

Ulub, wciąż bardzo ożywiony, nakazał gestem, byśmy poszli za nim do bawialni. Na okrytym chustą fortepianie stały kolejne trzy świece, przyklejone do talerzyków kroplami zastygłej parafiny, więc pan Root (który chyba nie lubił marnować zapalek) zapalił jedną z nich, a od niej następne. W dziwnej poświacie, która zalała pokój, z mroku wychynęły skupiska foteli i kanap, duży kominek z marmurowym gzymsem oraz stojące przed nim dwa fotele z końskiego włosia, ozdobione koronkowymi serwetkami, całkiem sztywnymi ze starości. Rozstawione tu i ówdzie okrągłe stoliki różnej wielkości, także okryte serwetami - jeden za kanapą, jeden większy mniej więcej pośrodku, dwa inne przy fotelach - były pozbawione jakichkolwiek ozdób i fotografii. Gdyby nie ten szczegół, bawialnią, o dziwo, do złudzenia przypominałaby salon doktora McComba. Wprawdzie tam panował cieplejszy i przyjaźniejszy nastrój, ale to nic dziwnego, w końcu przez ostatnie czterdzieści lat doktor mieszkał w swoim domu, podczas gdy ten pokój stał pusty.

Tapeta nieokreślonej barwy miała wzór w pnącza winorośli oraz zmęczone kwiaty, być może petunie, a na ścianie obok kredensu wisiał portret, jedyna fotografia w pomieszczeniu. Podeszłam, żeby go sobie obejrzyć. Siostry Devereau jako dzieci - oto kim musiały być przedstawione na nim trzy dziewczynki, a właściwie cztery, gdyż pośrodku stała jeszcze jedna dziewczynka, najmłodsza ze wszystkich, sięgająca pozostałym do ramienia. Te były niewątpliwie siostrami - miały takie same kwadratowe twarze, długie brązowe włosy, zaplecione w warkocz lub puszczone luźno, oraz zaciśnięte wargi i solenne miny osób, które zaraz mają być ochrzczone. Natomiast dziewczynka z przodu była blondynką - bardzo jasną blondynką - a na jej okrągłej buzi malował się niemal wyraz wesołości.

Z trudem otrząsnęłam się z myśli, że to Dziewczyna. Czas zdawał się topnieć, odpływać niczym potok albo rzeka;

przecież nie było jej na świecie, kiedy robiono to zdjęcie. Obliczyłam, że siostry Devereau musiały mieć wtedy nieco ponad dziesięć lat, być może nawet mniej, gdyż dzieci na dawnych fotografiach zawsze wyglądają sztywno, poważnie i staro. Z pewnością wygląda tak moja matka.

Jeśli to, co mówiła Aurora Paradise, było prawdą, jasnowłosą dziewczynką była Rose.

Machanie rękami i gardłowe pochrząkiwania Uluba w końcu zwróciły moją uwagę. Odwróciłam się i zobaczyłam, że siedzi na stołku przy fortepianie, stuka palcem w klawisze i mówi coś w rodzaju:

- Ooaa ra-aa. - Powtórzył swoje „Ooaa ra-aa”, podczas gdy pan Root wykrzywił twarz w straszliwym skupieniu. Wreszcie pstryknął palcami:

- Ona grała!

Ulub gorliwie pokiwał głową, a pan Root z radości aż plasnął się w udo.

- Kiedy zajrzałeś przez okno, Mary-Evelyn siedziała tutaj i grała na fortepianie? - Skinęłam w stronę najbliższego okna, skąd mimo zmroku było jeszcze widać miejsce, gdzie staliśmy, patrząc do środka. Ulub znów przytaknął, tak, tak, po czym wstał i zachęcił nas, byśmy poszli za nim do kuchni. Usiadł przy stole, ujął wymagany widelec (lub łyżkę) i podniósł go do ust, udając, że je. Tam i z powrotem wędrował urojony widelec do urojonego talerza, a Ulub przybierał przy tym tępą minę, co miało chyba oznaczać, że nie jest to jego twarz, tylko cudza, zapewne jednej z panien Devereau. Potem przesiadł się na drugie krzesło, zrobił inną minę, a potem na trzecie - sam grał wszystkie postaci. W milczeniu patrzyliśmy, jak okrąży stół, aż wreszcie wpadł na genialny pomysł, żeby nas obsadzić w rolach siostr.

- Aadaasie, aadasie.

Było jasne, że mówi „siadajcie”, odsunęliśmy więc białe krzesła, lecz zanim zdążyliśmy usiąść, Ulub zaczął nas szarpać, ciągnąć za rękawy i przesadzać. Nie mieliśmy pojęcia Ga w każdym razie nie miałam), dlaczego którekolwiek z nas

mialoby przypominać jedną z sióstr bardziej niż inne, ale nie stawialiśmy oporu.

Mnie Ulub posadził u szczytu stołu; ciekawe, pomyślałam, rolę której dręczycielki mi wyznaczył i czy była lepsza, czy gorsza niż pozostałe. Ubub i pan Root z powagą usiedli po bokach i splekli dłonie, czekając na rozwój wypadków. Ulub obdarzył nas swym nieczęstym uśmiechem, klepnął się w pierś i machnął ręką w stronę bawialni.

- Aa ięę aam.

I zaczął przebierać palcami, wykonując faliste ruchy dłońmi. Natychmiast odgadłam, że zamierza grać na fortepianie, a Ubub obdarzył mnie brawami. To było jak gra w szarady.

- Yyjsie e-edy aa-booaaam - powiedział Ulub, wskazując na nas po kolei, po czym wydał krótki okrzyk.

Z początku nikt nie wiedział, o co mu chodzi, więc zdaliśmy się na pana Roota i jego zdolność koncentracji. Pan Root kazał Ulubowi jeszcze dwukrotnie powtórzyć zdanie; obaj mieli już bardzo zbolale miny, gdy wtępan pan Root znów klepnął się w udo i oznajmił:

- Zawołasz nas? Mamy przyjść, kiedy nas zawołasz?

Ulub rozpromienił się i wyszedł.

- Do diabła - rzekł pan Root - wcale nietrudno go zrozumieć. Ja tam nie widzę problemu.

Po chwili rozległ się potworny brzęk - to Ulub uderzył w klawisze. Ubub (widziałam to wyraźnie) zamierzał już wstać i zaprotestować, gdy w bawialni zapadła cisza, równie wymowna jak poprzedni hałas. Usłyszeliśmy stłumione poruszenia, a następnie krzyk, zapewne zapowiadane wezwanie. Weszliśmy do bawialni i ujrzeliśmy Uluba, jednak nie na stolku, lecz tuż za drzwiami, jakby przyklejonego do sąsiadującej z kuchnią ściany. Na nasz widok poderwał się i ruszył do fortepianu, gdzie znów zaczął walić w klawiaturę. Wątpię, żeby Mary-Evelyn grała w ten sposób.

Ulub przywołał nas i przy pomocy gestów i chrząknięć nakazał, byśmy ustawili się półkolem, patrząc nań surowo, a kiedy pan Root zaczął coś mówić, wściekle przyłożył mu

palec do ust. Najwyraźniej mieliśmy się nie odzywać, tylko gapić się na zawstydzonego Uluba - czyli Mary-Evelyn - który teraz siedział z pochyloną głową, wpatrzony w czubki swoich butów.

Przypomniałam sobie to, co mówili Woodowie, że siostry Devereau jakoby nie odzywały się do Mary-Evelyn. Zapewne podsłuchiwała rozmowy pod drzwiami do kuchni, by chociaż z daleka usłyszeć ludzką mowę, a przyłapana, wracała pędem do fortepianu. Wspomniałam także słowa mojej matki, że była „cichą dziewczynką”, która w milczeniu roznosiła na przyjęciach szklane talerzyki z małą kanapkami.

Ulub mruknął do pana Roota coś, co brzmiało jak „restaaurację”.

- Eeł aau oo-ację.

Pan Root poważnie się zakłopotał, więc Ulub powtórzył to jeszcze kilkakrotnie, jednocześnie pokazując klawiaturę i przebiegając w powietrzu palcami.

- Przez całą kolację! - rozjaśnił się pan Root. - Przez całą kolację! O to chodzi, prawda?

Teraz już wszyscy zaczęliśmy potakiwać, jakby potwierdziły się nasze najgorsze obawy.

- Mary-Evelyn musiała grać przez całą kolację, a jeśli przestawała, przychodziły ją skontrolować.

Ulub niemal dziko pokiwał głową.

Spuściłam głowę. Naprawdę trudno było w to uwierzyć - nie w opowieść Uluba, lecz w to, że coś takiego mogło się wydarzyć.

Zastanawiałam się, czy to należało do rytuału, że Mary-Evelyn grała na fortepianie, kiedy siostry jadły kolację, czy też zabawiała je przy posiłkach (choć nie sądzę, by rzeczywiście dobrze się „bawiły”) w ramach kary.

Ulub znów przemówił:

- Aa-uaa.

Spojrzeliliśmy na siebie z Ububem, a pan Root nawet pochylił się trochę do przodu, jakby to miało mu pomóc w zrozumieniu.

- Aa-uaa, aa-u-uaaa! - powtórzył Ulub, lecz widząc, że nikt nic nie kojarzy, wykrzywił twarz i zatrząsł się od suchego szlochu.

- Płakała! - wykrzyknął pan Root. - O to chodzi, no nie, Ulub?

Widząc, że pojeliśmy, Ulub przestał szlochać i skinął głową.

- A jej ciotki? - zapytałam. - Po prostu tak stały i patrzyły?

Znow przytaknął. Robił wrażenie naprawdę nieszczęśliwego.

Nikt nic nie mówił; sądząc po minach, pewnie nikt nie miał na to ochoty. Zebrani wokół fortepianu, wpatrzeni w czubki butów, wyglądaliśmy jak odprawiający wspólne modły.

Nie przychodziło mi do głowy żadne pytanie, na które można by odpowiedzieć „tak” albo „nie”, więc w końcu zagadnęłam:

- I co?

- Aa-am figę - odparł Ulub, mnąc i szarpiąc swoją wełnianą czapkę.

Na jego twarzy odmalował się smutek albo wstyd - bądź jedno i drugie. Niemal pod nosem wysapał coś, co zabrzmiało jak „piekłem”. Potem nastąpiła krótka kanonada dźwięków, tak szybka, że nikt, nawet pan Root, nie zdołał ich rozróżnić, zakończona słowami:

- Oo-eedem oo oo-uu.

Zamyśliłam się nad „piekłem”. Było to ostatnie słowo zapisane w zeszycie. Czyżby chodziło o „uciekłem”? Po czym Ulub, jak sam przyznał, „poszedł do domu”?

- Ulub się przestraszył - oświadczył pan Root, grzejąc dłonie pod pachami i energicznie żując tytoń.

- Uciekł i poszedł do domu - dodałam.

A taka byłam pewna, że skoro Ulub tyle widział, to musiał widzieć i więcej. Że był również świadkiem okropnego końca. Ależ się rozczarowałam! Lecz zaraz zdałam sobie

sprawę, że Ulub z pewnością odczuł moje rozczarowanie, uświadomiłam sobie także, że to wszystko działo się czterdzieści lat temu, kiedy Ulub był nastolatkiem albo nawet dzieckiem - że był w moim wieku. Gdyby chodziło o mnie... cóż, nie ma się co oszukiwać, gdyby chodziło o mnie, to nie zdobyłabym się nawet na to, żeby w ogóle tu przyjść, a co dopiero podglądać sprawki panien Devereau. Może końcowa, „wybuchowa” wypowiedź Uluba dotyczyła tego, że ktoś go zauważył. Może któraś z siostr usłyszała lub zobaczyła coś na dworze i poszła sprawdzić, więc Ulub uciekł do domu. Ja na pewno bym uciekła - zmykałabym, aż by się kurzyło.

Pomyślałam, że Ulub czuje się lepiej, jeśli mu to powiem. Poglądziłam go po ramieniu.

- Zachował się pan naprawdę odważnie. Przecież był pan jeszcze dzieckiem. Ja na pana miejscu zwiewałabym, gdzie pieprz rośnie.

Lecz wówczas Ulub nas zaskoczył, gdyż wyciągnął rękę w stronę jeziora i oznajmił:

- A-ee uu-siieem i iziaaem...

Ulub wrócił nad jezioro! A więc było coś więcej! Więcej, niż udało mu się przekazać doktorowi McCombowi - kolejny rozdział, na który tak czekałam! Nasłuchiwałam jego słów w takim skupieniu, że chyba przestałam oddychać. Wszyscy lekko pochylili się w jego stronę.

- Panie Ulub, widział pan jeszcze coś? - zapytałam. Przytaknął energicznie

- Yy-em aa-m - odparł, znów wskazując w dal.

- Na drugim brzegu?

Pan Root chyba się trochę obraził, że zastępuję go w roli tłumacza. Podciągnął spodnie i rzekł:

- Znaczy, uciekłeś do domu, ale potem wróciłeś i coś zobaczyłeś?

Przed chwilą powiedziałam niemal to samo, ale postanowiłam siedzieć cicho.

- Yy-fyy yi miaa-yy laa-myy - oznajmił Ulub.

Tym razem pan Root się zaciął i ja też, na całe szczęście mieliśmy pod ręką mnóstwo rekwizytów. Ulub wziął lampę pana Roota i podniósł ją wysoko, po czym wepchnął bratu w rękę świecznik, mówiąc coś, co Ulub najwyraźniej zrozumiał, ale my nie. Następnie Ulub, a za nim Ubub ruszyli wokół bawialni, trzymając swoje światła wysoko nad głową.

Patrzyłam na tę pantomimę z otwartymi ustami. W końcu się otrząsnęłam i zapytałam:

- Chce pan powiedzieć, że siostry Devereau wyszły na dwór i szły przez las z lampami naftowymi?

Ulub przytaknął.

- Yii šiiesa-amii.

- Z lampami i świecami - pośpiesznie wtrącił pan Root, jakby występował w teleturnieju i koniecznie musiał odpowiedzieć pierwszy. I powtórzył, znów podciągając spodnie: - Z lampami i świecami, no nie, Alonzo?

Ulub kiwnął głową i pomachał rękami. Wyglądał na niemal szczęśliwego, może dlatego, że udało mu się wreszcie zrzucić to z serca.

Zdumiona, powoli pokręciłam głową.

- Panie Ulub, a co z Mary-Evelyn? - zapytałam.

Ale już wiedziałam, co mi odpowie.

- Yy-uaa naa oońsuu. - Tu znów wziął lampę, wręczył Ububowi jego świecznik i pociągnął mnie za rękę. - Doo see-egu! Doo see-egu! - I jak szmaccianą kukielkę ustawił mnie za Ububem.

Pan Root, odzyskawszy panowanie nad Ulubomową, rzekł władczo:

- Mówi, żebyś stanęła w szeregu!

W ślad za braćmi ruszyłam wolno wokół bawialni. Po jednym okrażeniu Ulub chwycił kolejny świecznik i wręczył go panu Rootowi.

- Doo seeegu!

Wepchnął pana Roota między swego brata i mnie, po czym przyjrzał nam się, sprawdzając, czy dobrze stoimy. Nigdy bym nie przypuszczała, że Ulub potrafi tak się rządzić,

ale uznałam, że to bardzo dobrze. Okrążyliśmy bawialnię w ślimaczym tempie: trzy siostry Devereau oraz ja jako Mary-Evelyn.

Okiem duszy ujrzałam je na dworze, całe w czerni (choć pewnie tak nie było), na końcu zaś małą Mary-Evelyn w strojnej białej sukience. Ten obraz był tak beznadziejnie smutny, że niemal nie do zniesienia.

- No i gdzie one lazły, te trzy wiedźmy? - zezłościł się pan Root. - Niemożliwe, żeby ciągnęły to biedne dziecko na przystań!

Ależ tak, uzmysłowiłam sobie, właśnie tam ją prowadziły. To było tak straszne, że wręcz nie do wiary. Zwiesiłam głowę, jakbym przyczyniła się do udreki Mary-Evelyn, jakbym w jakiś sposób też ponosiła winę.

Pan Root oficjalnie wziął na siebie rolę przesłuchującego.

- A ty, Alonzo, gdzie byłeś? - zapytał. - Blisko przystani? Ulub pokręcił głową.

- Oouoo zroo-uaa. Żroo-uaa.

- Mówi, że stał koło źródła - zwrócił się do nas pan Root. Od źródła do budynku przystani nie było zbyt daleko.

Zrobiłam krok w stronę Uluba.

- I co się wtedy stało?

Ulub podjął czapkę z klapy fortepianu i zaczął ją miętosić, wlepiając wzrok w podłogę, jakby nie chciał powiedzieć nic więcej.

- Aa-eem fiee. Aa-eem fiee - powtórzył.

Ubub podszedł i położył mu na ramieniu dużą dłoń.

Tym razem zrozumiałam, co mówi. Bał się. Nic dziwnego - któż by się nie bał, widząc tę czarną procesję i upiorne, migocące światełka? Ale nie powiedział, że uciekł, więc znów zapytałam, co zobaczył, czym zupełnie wytrąciłam go z równowagi, choć wcale tego nie chciałam. Widziałam, że próbuje ponownie uruchomić język, lecz słowa więzły mu między zębami niczym cement, a gardło ścisnęło się na samą myśl o wydarzeniach tamtej nocy. W końcu zniechęcił się i bardzo zawstydził: oto wreszcie znalazł osoby, które miały ochotę

go wysłuchać, które naprawdę tego pragnęły, a on haniebnie je zawiódł, przynajmniej we własnym mniemaniu.

Ja też poczułam wstyd. Podeszłam i śladem Ububa z przyjacielskim współczuciem położyłam mu rękę na ramieniu.

- W porządku, panie Alonzo. Naprawdę. Jest tak, jak być powinno.

Skąd, u licha, wzięły mi się te słowa? Nigdy tak nie mówiłam; nikt tak nie mówił, być może z wyjątkiem ojca Freemana, kiedy przekonywał jakiegoś biednego farmera, że utrata płonów wskutek suszy stanowi część Bożego zamysłu. Przez moment obracałam w myślach tę ideę Boga, gdy wtem doznałam czegoś, co później zawsze określałam jako „chwilę jasności”. Uświadomiłam sobie: istotnie, wszystko jest tak, jak być powinno. Milczenie, wymuszone na Ulubię przez nieznośną kolizję języka i krtani, było „takie, jak być powinno”, prawie jakby Mary-Evelyn wróciła, by oznajmić Wodom: „Opowiem wam, co się zdarzyło. Wiem, że nikomu tego nie powtórzycie, ale poczuję się lepiej, kiedy to opowiem i kiedy wy tego wysłuchacie”. Oni wszyscy - Ulub, Ubub i Mary-Evelyn - byli w pewien sposób do siebie podobni, bo całą trójkę dręczyło milczenie. Los zesłał milczenie na Mary-Evelyn jako karę, nie za coś, co zrobiła, lecz za to, że była sobą. Domyślałam się, że one miały pół tuzina powodów, żeby jej nienawidzić. Bardzo łatwo znaleźć pretekst do nienawiści, wystarczy tylko tego chcieć.

Spojrzałam na sufit i powiedziałam:

- Chodźmy na górę. Niech każde z nas przeszuka inny pokój.

Ruszyliśmy na górę po schodach o wykrzywionej, przegniłej poręczy i zajrzeliśmy po kolei do wszystkich pokojów. Postanowiłam sprawdzić najmniejszy - z pomalowanymi na niebiesko mebelkami wyglądał na pokój dziecienny - zostawiając towarzyszącej pozostałe sypialnie.

Położony od frontu pokoik był jedynym widocznym z przeciwnego brzegu - to on miał mansardowe okienka. Roz-
taczał się stąd najlepszy widok w całym domu, lecz przy-
puszczalnie przeznaczono go dla Mary-Evelyn ze względu na
niewielki rozmiar. Poza tym zapewne istnieją ludzie, dla
których widok na Jezioro Duchów to żadna atrakcja.

Między oknami stało białe metalowe łóżeczko, przykryte
narzutą. Niewielką komódkę ktoś pomalował na niebiesko
razem z drewnianymi galkami szuflad, jakby nie chciało mu
się ich odkręcać, nocny stolik obok łóżka również był niebie-
ski. W kącie rozsiadł się stary bujany fotel, obok ujrzałam
dużą ciemnobrązową szafę. Mamy takie w hotelu - tylko w
nowoczesnych domach są wbudowane schowki, które zresz-
tą uważam za nudne. Szafy są znacznie ciekawsze: zrobione
z drewna rozmaitych gatunków, w różnych wielkościach i
kształtach, niekiedy mają lustra wmontowane w drzwi, a gdy
się je otwiera, rozlega się brzęk i stukot wieszaków. No i
łatwiej się w nich schować.

Otworzyłam szafę i ku swemu zaskoczeniu zobaczyłam
przed sobą ubrania, osiem lub dziewięć sukienek, prawdo-
podobnie uszytych przez ciotkę Devereau. Były piękne, z
dobrych materiałów, na przykład taftowa, ciemnoniebieska,
z marszczoną spódnicą. Poglądziłam jej fałdy i przypomnia-
łam sobie kelnerki, które dawno temu pracowały w hotelu.

Sprawdziłam szuflady (puste), a potem nie miałam wła-
ściwie już nic do roboty. Po krótkich zmaganiach uchyliłam
jedno z okien, wypęzłam na wąski balkonik, gdy nagle zda-
łam sobie sprawę, że postępuję bardzo lekkomyślnie - bal-
kon mógł być przegniły jak poręcz albo jak balkon w poko-
jach Aurory! Nie trzeszczał i sprawiał wrażenie bezpieczne-
go, mimo to raptownie usiadłam na parapecie i wepchnęłam
pupę jak najdalej do pokoju. W końcu coś mogło nagle się
urwać i polecieć w dół!

Zapadła już noc. W czasie gdy przechodziliśmy z bawialni
do sypialni, niebo zdążyło zmienić barwę z przepięknego,

śliwkowego granatu na atramentową czerń, wzeszedł również księżyc, podobny do porcelanowego talerza, takiego, na jakich moja matka podaje lunch. Zimny, twardy i biały wisiał tuż nad jeziorem, gładkim jak czarne lodowisko, i rozlewał po wodzie smugi bladego światła. To było bardzo ciekawe, stać tu i patrzeć tam; nigdy przedtem nie widziałam „mojego” - znaczy, w tej chwili, drugiego - brzegu z tej perspektywy. To ciekawe, oglądać znajome rzeczy i miejsca pod innym kątem niż zwykle.

Opowieść Uluba z pewnością wiele mówiła o stanie ducha Mary-Evelyn i każdy policjant chętnie by jej wysłuchał. Siedziałam w ciemnościach, balansując na parapecie, słysząc (lecz chwilowo lekceważąc) dobiegające z dołu wołania Woodów i pana Roota. Chyba wypatrywałam Dziewczyniny na drugim brzegu; wodziłam wzrokiem, biorąc za jej sylwetkę każdy nagły ruch: zmienne plamy księżycowej poświaty na kamiennej kolumnie przy grobli, nagle rozjaśnioną belkę ściany domu, kołyszący się na wietrze buk. Jednak już po chwili wszystkie te obiekty okazywały się znane i zwyczajne. Wspomniałam wyblakłą, brązową fotografię na ścianie i jasnowłosą dziewczynkę, jakby wypchniętą przed siostry, znacznie wówczas młodsze. A potem pomyślałam o znalezionym u matki, jedynym zdjęciu Mary-Evelyn, i stojących za jej plecami ciotek Devereau.

To już nie było jezioro mojego ojca. Unosił się tu je i j duch.

20.

Patrząc na mnie lub tylko mnie słuchając, nikt by się nie domyślił, że moje życie to jeden ciąg strachów. „Diabelskie bluesy” - tak nazywa je pan Root. Próbuję niczego nie okazywać głosem ani wyglądem, próbuję zachować spokój. Nie, nie chodzi mi o takie strachy, jak groźba linczu bładym

świttem, potknięcie w ciemności i upadek ze stromej skały bez żadnego oparcia dla rąk i nóg albo widok smug dymu liżących futrynę drzwi tuż po przebudzeniu. Mówię o czymś innym: o twarzy za zaparowanym oknem autobusu i machającej na pożegnanie ręce, kiedy i twarz, i ręka nikną w kłębach pary; o krążeniu po polach i lasach i nawoływaniu psa albo kota, który przepadł dwa dni wcześniej; o Loli Dawidów podczas ataku dąsów. O takich rzeczach mówię. Oczywiście, nie zawsze prześladują mnie diabelskie bluesy - potrafię je zepchnąć daleko w głąb psychiki lub nawet całkiem pogrzebać, na przykład jedząc placki gryczane albo rolady szynkowe, albo nawet chili w Tęczy, lub siedząc i pisząc w Różowym Słoniu, lub gryząc popkorn w mrokach kina Orion, lub gadając w Tęczy z Maud. Wiele jest spraw, które spuszczają na te lęki zasłonę. A jednak czuję, że diabelskie bluesy są blisko, tuż pod powierzchnią, zawsze gotowe wyskoczyć i rzucić się na mnie.

W tym stanie ducha wszystko widać wyraźniej. Czasem, gdy siedzę w swoim boksie w Tęczy, każda twarz przy kontuarze jest obrysowana cienką linią, każda czaszka oskalpowana światłem; drzewa za oknem jawią się jak wycięte z nieba, oddzielne i srogie. Czasem ktoś wrzuca monetę do szafy grającej, Patsy Cline śpiewa *I Fall to Pieces*, a ja słyszę, że faktycznie Patsy z brzękiem się rozpada, kawałek po kawałku, jakby drżały kryształki żyrandola, odłamki szkła na szkle.

Diabelskie bluesy. Cieszę się, że pan Root dał mi słowa, by określić ten stan ducha.

Kiedyś matka opowiedziała mi historię o moim ojcu. Nie wiem, czy to prawda, raczej wątpię, ale matka mówiła, że stopa uwięzła ojcu między podkładami, akurat kiedy nadjeżdżał pociąg. Podobno starczyło mu przytomności umysłu, by położyć się płasko wzdłuż szyn; przywarł do ziemi, a pociąg po prostu nad nim przejechał, może zresztą nie był to cały pociąg, tylko wolno jadąca lokomotywa (choć można sądzić, że w takim wypadku maszynista dostrzegłby leżącego człowieka). Nie do wiary, że ktoś miał dość odwagi i opanowania, by

się nie szarpać, tylko spokojnie się położyć, ale matka tak twierdzi. Tak czy inaczej, często budzę się z uczuciem, że stopa uwięzła mi między podkładami i najeżdża na mnie kolejny dzień.

Diabelskie bluesy dopadły mnie, gdy się dowiedziałam, że w Lustrzanym Stawie przy moście White'a policja znalazła martwą kobietę. Blondynkę.

A opowiedziała mi o tym Ree-Jane (myślałby kto, że zjadła wszystkie rozumy), która podobno usłyszała o tym od „Sama” (jakby znała go lepiej niż ja).

To, że właśnie Ree-Jane przyniosła mi tę wiadomość, było wprost nie do zniesienia. Każdy, dosłownie każdy byłby lepszy, nawet jej matka, nawet Helene Baum. Ocaliło mnie tylko to, że Ree-Jane nie wiedziała nic o Dziewczynie, więc nie mogła znęcać się nade mną, sugerując, że zmarła blondynka była dla mnie kimś ważnym. Co z pewnością niechybnie by uczyniła, po pierwsze z zazdrości, że sama jej nie znała, ale jeszcze bardziej ze zwykłej wredności.

Jakoś zapanowałam nad sobą, udając, że temat mnie nudzi, i zdołałam umknąć przed nią na werandę. Skryłam się za rogiem, sprawdziłam, czy nikt mnie nie widzi, usiadłam na zielonym bujaku i wybuchnęłam płaczem.

Diabelskie bluesy jak nic.

W końcu otarłam oczy i postanowiłam przejść do działania. Pójdę do sądu okręgowego, powiedziałam sobie, i spróbuję dowiedzieć się czegoś na temat tożsamości zmarłej.

Przemaszerowałam dwie mile do La Porte, śmiało weszłam po schodach i stanęłam w otwartych drzwiach biura szeryfa, który na mój widok się uśmiechnął i zawołał:

- Cześć!

- Cześć - odpowiedziałam. Tylko tyle.

Tkwiałam w drzwiach jak skamieniała, jak zastygła w bloku lodu. Widziałam, że coś się stało - Donny, zastępca szeryfa, jeszcze nigdy nie był taki zaaferowany. Szeryf obrzucił mnie pytającym spojrzeniem, bo rzadko pokazuję się w jego biurze. Oczywiście, rozumiałam, że jeśli zmarła to naprawdę

Dziewczyna, zechce usłyszeć, co o niej wiem. Ale było mi wszystko jedno. Wcale mnie nie obchodziło, czy zdołam pomóc policji - nawet szeryfowi - czy też nie. Pragnęłam tylko, by to nie była Ona.

Odpowiedź na dwa pytania położyłaby kres moim cierpieniom - jak dokładnie wyglądała? co miała na sobie? - ale nie mogłam ich zadać. Więc tylko wymamrotałam coś o parkomatach, odwróciłam się na pięcie i wyszłam.

Nazajutrz miał się ukazać cotygodniowy numer „Konservatywy”, przynosząc więcej szczegółów. Wiedziałam, że gazeta będzie mnie przyciągać niczym magnes, a ja będę odwracać od niej wzrok. W drodze powrotnej do hotelu zadawałam sobie to jedno, najważniejsze pytanie: dlaczego tak mi zależy, by zmarła nie była Dziewczyną? Powtarzałam sobie, że widziałam ją zaledwie trzy razy, i to przez kilka sekund, że nigdy z nią nie rozmawiałam. Skąd ta pewność, że nie była jedynie duchem, którego nie dostrzegali nikt oprócz mnie? (J e d y n i e duchem?). W ogóle nic o niej nie wiedziałam. Ale... Na peronie w Cold Flat, a potem na Drugiej ulicy w La Porte robiła to, co mógł robić każdy, lecz trzeci raz zobaczyłam ją po drugiej stronie jeziora - a nikt nigdy nie chodził do tego starego, pustego domu. Nie, kiedy trzeci raz widziałam Dziewczynę, to było całkiem co innego. Między nią i Mary-Evelyn Devereau musiał istnieć jakiś związek.

Wróciłam więc do hotelu i ponownie usiadłam za rogiem werandy, tam gdzie nikt nie może mnie zobaczyć, a gdy już otarłam twarz rękawem i odzyskałam wzrok, rzeczy nabrały owej straszliwej wyrazistości, jakby miały krawędzie z lodu. Drzewa przy wiodącej do szosy gruntowej drodze nie zlewały się już w dwa zamazane szeregi - każde z nich było odseparowane, srogie, wypukłe niczym płaskorzeźba, wycięte z tła, oddzielone od nieba.

Zastanawiam się, dlaczego wszystko robi się oddzielne, gdy otrzymuję złe wiadomości?

21.

Wydaje mi się, że istnieją ludzie, którzy karmią się cudzym niepokojem i lękiem, naprawdę żerują na nim jak wampiry. Wbijają ostre zębki w nasz soczysty, wielki strach i z radością wysysają go do cna. Potrafią też zwężyć krew i tropią ten zapach do jego źródła: „Proszę, proszę, to ty? Ładnie pachniesz. Mniam. Haps!”. A ponieważ osoby te są całkiem niewrażliwe, zawsze zadziwia mnie łatwość, z jaką wyczuwają cudze kłopoty. Chyba powinno się określać kogoś takiego mianem „sadysta”, ale kiedy chodzi o Ree-Jane, wystarczy zwykle „zołza”.

Nie umiem się ukryć przed tym jej talentem; to znaczy, nie umiem ukryć swoich uczuć. Emanują ze mnie jak prąd elektryczny, siejąc w krąg widzialnymi iskrami, a gdy przechodzę, powietrze wręcz trzeszczy od wyładowań. Może więc przeceniam Ree-Jane, przypisując jej jakiś szósty zmysł, jeśli o mnie chodzi. Zauważyłam, że swego talentu do unieszczęśliwiania bliźnich nigdy nie ćwiczy na Willu. Ale Willowi nikt nie dokucza, po pierwsze, dlatego że to chłopak, jedyny mężczyzna w naszej „rodzinie”, a po drugie, jest przystojny i inteligentny. Mówi się, że bracia i siostry zawsze kłócą się i dręczą nawzajem, ale to nie dotyczy nas dwojga. Owszem, Will płata mi mnóstwo figłów (jestem bardzo łatwowierna), ale zazwyczaj świetnie się dogadujemy. Ciekawe, czy to się zmieni, gdy będziemy już starzy i siwi - oczywiście, jeżeli dożyję tej chwili, mając w swoim otoczeniu Ree-Jane.

Mimo to wydaje mi się, że naprawdę potrafię się maskować. To wygląda na sprzeczność, niemniej moim zdaniem to prawda. Na przykład kiedy po wejściu do biura szeryfa zamieniłam się w soplek lodu, on na pewno nie zauważył, że mam diabelskiego bluesa - nikt by tego nie zauważył, bo zeszytywniałam od stóp do głów, prawie nie poruszałam wargami. Dziwne, lecz z tego powodu wiele osób uważa, że jestem nieczuła.

Powróćmy jednak do Ree-Jane i jej osobiwej zdolności czytania w moim wnętrzu (aczkolwiek wcale nie sądzę, abym była otwartą księgą).

Zabrała się do roboty od razu nazajutrz. Znów schroniłam się w swój kąt werandy, świadoma, że „Konserwatysta” już się ukazał, lecz zbyt przerażona, by go poszukać. No i oczywiście nie musiałam - Ree-Jane wkroczyła do akcji odziana w kreację od Heather Gay Struther z ekskluzywnego butiku Europa. Matka mówi, że Ree-Jane jest kompletnie zepsuta, bo Lola Davidow ją rozpieszcza, no i muszę powiedzieć, że Heather Gay Struther z pewnością należy do osób, które niemało na tym rozpieszczaniu zarabiają. Panie Davidow nie zniżają się do kupowania strojów byle gdzie - ubierają się tylko u „Heather Gay” (dużej kobiety, która maluje powieki na fioletowo i nosi mnóstwo ciężkiej biżuterii).

Ree-Jane najpierw przyglądała dłonią drobno plisowaną spódnicę dwuczęściowej sukienki z błękitnego jedwabiu - w podkoszulku i spranych szortach z pewnością nie mogłam się z nią równać pod względem ubioru - a gdy już zakończyła ten pokaz mody, jęła ostentacyjnie wymachiwać gazetą. Najpierw mocno nią potrząsnęła, jakby strzepując kłęby kurzu, po czym, udając niesłychane zdumienie, zerknęła na relację (choć było jasne, że już ją czytała) z odnalezienia ciała zmarłej kobiety.

Wiedziałam, co szykuje, jeszcze zanim otworzyła usta. Wiedziona instynktem narzeczonej wampira (choć nie wyobrażam sobie, by nawet wampir zechciał poślubić Ree-Jane), wyczuła, że nie chcę ani czytać, ani nawet słyszeć o tej sprawie. Wiedziała o tym, mimo że wczoraj nawet przez sekundę nie okazałam, że mnie to obchodzi, tylko od razu przestawiłam się na zlodowacenie - nieruchoma twarz, zeszywniałe ciało. Jakoś odgadła, że to dla mnie ważne.

Dlaczego nie odeszłam? Dlaczego po prostu nie wstałam, nie powiedziałam „przepraszam” i nie uciekłam gdzie pieprz rośnie? Zapewne z tego samego powodu, dla którego zamieniłam się w robota i opróżniłam twarz z wszelkiego wyrazu.

Człowiek, który potrafi tak się maskować, kiedy wszystko w nim krzyczy, nie jest zdolny do tego, by zerwać się i uciec. Nie pytajcie mnie, jak to się dzieje.

Siedziałam więc, gapiąc się na podwójny szpaler wysokich dębów wyrzeźbionych na tle nieba, a Ree-Jane czytała mi artykuł. Napisała go Suzy Whitelaw (gwiazda reportażu w „Konserwatyście”), co poznałam od razu po tytule *Tajemnica Lustrzanego Stawu*. Aż jęknęłam z obrzydzenia! Suzy uważa się za pisarkę całą gębą, bo popełniła kryminał, którego nikt na całej planecie nie chce wydać, choć Suzy nieustannie daje do zrozumienia, że jej „agent” domaga się dla niej ogromnej „zaliczki”. Ree-Jane i Suzy bez przerwy trajkoczą o pisaniu, a przecież wiem, że Ree-Jane od czasu publikacji swego nędznego kawałka w gazecie nawet nie wzięła pióra do ręki. Uważają, że mimo sporej różnicy wieku wiele je łączy - Ree-Jane ma niecałe siedemnaście lat, a Suzy Whitelaw trzydzieści lub czterdzieści. Ale taka przepaść nic nie znaczy dla osób, które pragną jedynie schlebiać sobie nawzajem.

A zatem nie dość, że musiałam wysłuchać faktów, to jeszcze podawał mi je ktoś, kto nie umiał czytać, w wersji kogoś, kto nie umiał pisać. Gdybym usłyszała o nich na przykład od szeryfa, cios nie byłby tak dotkliwy - przynajmniej bym wiedziała, że nie usiłuje sprawić mi bólu. Nawet relacja w prostym, bezpośrednim stylu pana Gumbela byłaby mniej okropna. Ale nie, musiałam usłyszeć o tej śmierci w najgorszy możliwy sposób. Poczułam, że jestem zgubiona. Całe moje życie tak wygląda.

Ree-Jane odchrząknęła i zaczęła czytać:

- „Tajemnica Lustrzanego Stawu. Skapaną w księżycowej poświacie, lśniąca taflę niewielkiego stawu przy moście White'a, znanego jako Staw Lustrzany, zmaciło we wtorek wieczorem...”

Udałam, że mam odruch wymiotny. Zdołałam się nieco rozluźnić, między innymi dlatego, że Ree-Jane czytała najbardziej śpiewnym, scenicznym tonem, na jaki było ją stać.

Ree-Jane Davidow pragnęła - między innymi - zostać aktorką na Broadwayu.

Zirytowana uniosła wzrok znad gazety.

- No co? - zapytała ostro. - Co ci się nie podoba?

- Lśniącą taflę? Lustrzany Staw jest brudny, cały pokryty rzęsą i szlamem. Księżyc nie mógłby się w nim odbić, nawet gdyby świecił jak reflektor pomocy drogowej.

- Och, na litość boską! Nie bądź taka cholernie dosłowna! - Ree-Jane często rzuca przekleństwami, gdy ze mną rozmawia.

- To doniesienie o czyjejs śmierci. Powinno być dosłowne.

Bujnęłam się na fotelu; sprzeczką pomagała mi opanować

strach.

- A co ty wiesz o pisaniu i doniesieniach prasowych?

- Więcej niż Suzy Whitelaw, choć to oczywiście niewiele znaczy.

Ree-Jane, nadąsana, zsunęła się z balustrady werandy:

- Słuchaj, chcesz, żebym ci to przeczytała, czy... - urwała.

Bujałam się, niemal szczęśliwa. Urwała, bo nie wiedziała, co robić. Gdyby odmaszerowała obrażona, straciłaby okazję, by się nade mną poznać. Musiał to być dla niej prawdziwy problem. Jednak w końcu chęć znęcania się wzięła górę i znów zaczęła czytać:

- „...zmańciło we wtorek wieczorem ponure odkrycie zwłok młodej kobiety, której do tej pory nie udało się zidentyfikować. Osobiście zapytany szeryf Sam DeGheyn ustalił, że kobieta nie była”...

- Ona nawet nie umie pisać poprawnie. To błąd frazeologiczny - wtrąciłam szybko.

Gazeta znów opadła.

- Co?

- „Osobiście zapytany... szeryf ustalił”.

Nie byłam pewna, czy to faktycznie błąd, ale Ree-Jane nie mogła zaprzeczyć, bo nauka zawsze szła mi dobrze, a z wypracowań mam same piątki. Ree-Jane nic nie idzie dobrze. To po prostu żalosne, jak marnie radzi sobie w szkole.

Teraz też nie wymyśliła nic lepszego niż:

- A kogo to obchodzi?

- No, na przykład mnie. Życzę sobie, by wiadomości dostarczał mi ktoś, kto prawidłowo posługuje się językiem.

- Co ty się tak mądrzysz?!

Aż się skrzywiłam. „Co ty się tak mądrzysz?” - ostatni raz słyszałam to w drugiej klasie. Mówiliśmy tak, gdy nie przychodziło nam do głowy nic naprawdę kąśliwego ani dowcipnego. „Co ty się tak mądrzysz? Co ty się tak mądrzysz?”. Jakbym siebie widziała - biorę się pod boki, pochylam wojowniczo do przodu i krzyczę pod wiatr, a Twinkie Petri odkrzykuje: „Coo? Sama się mądrzysz!”. No proszę, podobno Ree-Jane na przyszłym roku wybiera się do college'u, a wydziera się całkiem jak Twinkie Petri! Poczulałam się silna; kiedy zaczęła się na mnie wściekać, zupełnie zapomniała o relacji prasowej.

- Powiedziałam tylko, że to błąd frazeologiczny - znowu się bujnąłam i podrapałam po łokciach. - No, czytaj dalej - zaryzykowałam.

- A niby dlaczego? Ciągle mi przerywasz swoimi głupkowatymi uwagami! - zawołała piskliwie, lecz chyba ochłonięła, bo za chwilę dodała innym tonem: - Pisanie to zajęcie dla artystów!

Za każdym razem, kiedy Ree-Jane wymawia to słowo, mam wrażenie, że widzę migający neon garkuchni przy drodze z La Porte do Hebrides. Właściciel ma na imię Arturo i jest Włochem, co jego zdaniem dodaje klasy lokalowi, który jednak wciąż pozostaje garkuchnią, tyle że włoską. Neon początkowo wyświetlał jego imię, ale litery URO musiały się przepalić i został tylko początek, ART, który miga na przemian z drugim wyrazem, JADŁO (niegdyś JADŁODAJNIA): JADŁO - błysk - ART - błysk - JADŁO - błysk - ART.

- Mimo to należy pisać poprawnie - oznajmiłam. Oczywiście duszy widziałam, jak neon miarowo zapala się i gaśnie, zapala się i gaśnie, i doznałam pocieszenia.

- Och, głupia jesteś! Artyści zajmują się wielkimi sprawami, takimi jak Miłość, Piękno, Śmierć i... i tak dalej. Nie muszą balansować na linii między ortografią a interpunkcją - rzekła Ree-Jane najbardziej szyderczym tonem, na jaki ją było stać.

- Powiedz to jakiemuś linoskoczkowi.

- Aleś ty głupia!

Najwyraźniej kończył się jej zasób obelg. Udało mi się całkowicie odwieść ją od tematu martwej kobiety w Lustrzanym Stawie. Byłam z siebie dumna.

- Taka tragiczna śmierć! Udręczona dusza...

Od kiedy to Ree-Jane przejmowała się udręczonymi duszami? Uniosłam brew.

- ...pewnie się zastrzeliła...

Zastrzeliła się? Przestałam się bujać. Jeżeli tak, to nie mogła być Dziewczyna. Ona nigdy by się nie zabiła. Dlaczego byłam o tym przekonana? Bo czegoś szukała i z pewnością nie była to śmierć. Nie pytajcie, skąd o tym wiem. Wróciłam myślami do Cold Flat Junction i stacyjnego peronu, na którym siedziałam, a potem stała, wypatrując czegoś to w jednym kierunku, to w drugim. W bladej płóciennej sukience, z długimi, jasnymi włosami była taka... rozjaśniona; podobnie jak szpaler dębów (które teraz już wtapiały się w tło), sprawiała wrażenie wyrzeźbionej światłem, odciętej od otoczenia.

Uczucie, że nachodzą mnie diabelskie bluesy i wszystko zaczyna się od, siebie oddzielać i oddalać, może się komuś wydać przerażające, ale tak nie jest. Po prostu rzeczy, na które patrzę, zyskują niezwykle ostre kontury, jakbym przedtem, w stanie normalności, widziała je zamazane i zamglone. Kiedy ogarnia mnie lęk, widzę inaczej - przedmioty stają się wyraźne, są bardziej sobą. To mnie nie przeraża, przeciwnie, to swego rodzaju pociecha. Ale teraz dęby już zlewały się z niebem, gdyż niebezpieczeństwo minęło - Ree-Jane była zbyt pochłonięta rozprawianiem o sztuce i artystach.

Myśląc o neonie ART - błysk - JADŁO, zadałam sobie pytanie, czy gotowanie można uznać za sztukę. Słyszałam, jak

słowa Ree-Jane krążą wokół mnie niczym osy (i gromadnie padają trupem), ale dystansowałam się od nich, wypełniając umysł rozważaniami o dzisiejszym obiedzie - kurczaku w cieście. Zapiekany kurczak mojej matki nie ma sobie równych na całym świecie. Nie chodzi nawet o samo ciasto (z którego matka słynie w całej okolicy), lekkie, kruche, złociste w brązowe smugi. Rzecz w tym, że zapiekanka z kurczaka mojej matki naprawdę zawiera kurczaka, duże kawałki białego mięsa (więc nawet mnie się trochę dostaje), pływające w sosie, który w niczym nie przypomina zwykłej, wodnistej cieczy, przeciwnie, jest gęsty, zawieszony, przyprawiony czymś szałowim i pieprzowym, co każe myśleć o Świącie Dziękczynienia...

- Czego się tak głupio uśmiechasz?

- Co? Ach! Myślę o kurczaku w cieście.

Dotarłam właśnie do smakowitych, pokrojonych w kostkę ziemniaków, groszku i maleńkich cebulek. Zbyt daleko od Tragicznej Śmierci na gust Ree-Jane.

- Ja ci mówię o pisaniu i sztuce, a ty myślisz o jedzeniu? Nic dziwnego, że jesteś gruba!

Wcale nie jestem gruba. Nie chciało mi się zaprzeczać.

- A co, nie jadłaś na lunch kurczaka?

Przejęła się, by ukazać swoją rzekomo cudowną figurę (wcale nie taką świetną), i oświadczyła:

- Ja nigdy nie jem lunchu.

- Biedactwo.

Ach, ta ciemnopomarańczowa marchewka, te srebrzyste cebulki...

- Ja nie myślę wyłącznie o jedzeniu.

W ogóle o niczym nie myśli.

- Tak się zastanawiam - rzekłam. - Wiesz, gotowanie też jest sztuką.

Siedziałam na ciemnozielonym, drewnianym fotelu, bujając się ze zdwojoną energią, wiedząc, że znalazłyśmy się tak daleko od Lustrzanego Stawu, jakbyśmy były na bezludnej

wyspie. Swoją drogą co za okropny pomysł - sama z Ree-Jane na bezludnej wyspie!

Miała drobny problem, bo nie mogła wprost skrytykować gotowania mojej matki. Kiedy rozmowa schodzi na ten temat, ludzie przybierają ton śmiertelnej powagi i graniczącego z trwogą zachwyty. Zmarszczyłam czoło w zamyśleniu. To trochę dziwne, niemniej tak właśnie jest. Może i ja przeoczyłam coś ważnego w matczynym gotowaniu? Chociaż trudno w to uwierzyć, zważywszy na okoliczności.

- No dobra, twoja matka jest jakby artystką, niech będzie. Ale ja nie o tym mówię.

Postanowiłam znowu zmienić temat (nawiasem mówiąc, zmienił się już trzy lub cztery razy) i wbić ostatni gwóźdź do trumny narzeczonej wampira, dając jej okazję do popisów i przechwałek.

- A propos, czemu żeś się tak wystroila? To naprawdę ładny odcień błękitu. - Słyszałam, jak mówiła Willowi, że potem wychodzi.

- Mam randkę. - Spojrzała w zmierzchającą dal (używam poetycznych określeń, bo okropnie starała się wyglądać na rozmarzoną i rzewną) i dodała: - Nie znasz go.

Nie dziwota, bo ja w ogóle nikogo nie znam, zwłaszcza żadnych chłopców. No i oczywiście chciała mi dać do zrozumienia, iż tak wielu „znanych” chłopców się nią interesuje, że musiała stworzyć całą nową kategorię „nieznanych”.

- Dokąd idziecie?

Wyciągnęła ręce do góry i uniosła znad karku włosy, rozpościerając je niczym anielskie skrzydła. Nienawidzę tego gestu. Włosy Ree-Jane bez przerwy zmieniają kolor, czasem są ciemniejsze, czasem jaśniejsze, co latem tłumaczy jako „smugi od słońca”. No, ale istnieje jeszcze wiosna i jesień, więc moim zdaniem zmiany odcieni nie mają nic wspólnego z porą roku.

- Pewnie do klubu Cliquot.

- Myślałam, że trzeba mieć dwadzieścia jeden lat, żeby tam wejść - rzekłam, bo wiedziałam, że na to czeka.

- Ja z a w s z e wchodzę. Perry dobrze mnie zna.

Perry to mężczyzna po trzydziestce, który ślini się na widok mnóstwa kobiet, ale jakoś nie chciało mi się wierzyć, że Ree-Jane jest jedną z nich.

- Och - mruknęłam, uśmiechając się do gazety, zapomnianej i porzuconej na werandzie. Bąknęłam jeszcze coś o klubie, jakieś nudy, aż wreszcie dotarło do niej, że nie wysię z sytuacji już ani jednej kropli więcej, więc ściągnęła z balustrady swoją niebieską sukienkę i poszła sobie.

Przez jakiś czas bujałam się zadowolona, patrząc na szpaler dębów, które wróciły na swoje zamazane miejsce i powoli stapały się w jedno z niebem, z innymi drzewami, z omszałą ziemią i żwirem. Oczywiście, mój wzrok wielokrotnie padał na gazetę, ale jakoś dziwnie nie kusilo mnie, by ją podnieść i przeczytać. Złe wiadomości stanowią taki sam magnes jak dobre; chociaż nadal nie znałam tożsamości zmarłej, chociaż w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło, potęga słów, ich zdolność zabijania uległy znacznemu osłabieniu.

Ree-Jane nie powiedziała mi nic nowego ponad to, że dopuszcza się „możliwość” samobójstwa. Nic o pochodzeniu ofiary, żadnego opisu. Oprócz tego, że była blondynką, ale to mogło oznaczać cokolwiek.

Wystarczy popatrzeć na Ree-Jane.

22.

Odniosłam małe zwycięstwo, gdyż Ree-Jane się zamknęła, wciąż jednak pozostawało pytanie, kto właściwie zginął nad Lustrzanym Stawem.

„Konserwatysta” leżał sobie u moich stóp, szeleszcząc stronicami w porywach wiatru. Chciałam jednak zbliżyć się do sedna łatwymi etapami - trochę tu, trochę tam, strzępek prawdy, stek kłamstw, bezładny stos informacji, z których

można wybierać i układać kawałki, aż dostrzegę odpowiedź wtedy, gdy będę gotowa ją dostrzec. Łzawa historyjka Suzy Whitelaw zapewne zaspokajała te moje potrzeby - ale nie, każda relacja prasowa, wszystko jedno jaka, zawiera zbyt wiele prawdy. Choć oczywiście nie tyle, ile usłyszałabym, kawa na ławę, z ust szeryfa; wprost nie mogłam wyjść ze zdumienia, jaka byłam lekkomyślna, idąc do sądu dziś rano. Pewnie, że wolałabym dowiedzieć się o tym od niego - jednak „to”, co pragnęłam usłyszeć, mogło wcale nie być „tym”, co by mi zakomunikował. Nie mogłam przecież nawet drgnieniem rzęsy okazać, iż informacja typu „młoda dziewczyna, jasnoblonde włosy, w kretonowej sukience w drobne kwiatki” zdruzgotuje mnie kompletnie. Wtedy naprawdę zamieniłabym się w słupek lodu, który teraz tylko beztrudno udawałam.

I wówczas pojawiło się pytanie: dlaczego? Dlaczego właściwie ta wiadomość zamieniłaby mnie w słupek lodu?

Nie umiałam na to odpowiedzieć.

Skoro zatem chciałam prawdy z u k o s a , zaczęłam zastanawiać się nad źródłami niewiarygodnej informacji. Naturalnie pomyślałam o Ulubie i Ububie - nie dlatego, że nie można im ufać, ale dlatego, że nie da się zrozumieć, co mówią. Zapewne nigdy nie słyszeli o zmarłej, a ponieważ nie śledzą doniesień „Konserwatysty” i prawie nikt z nimi nie rozmawia, nie mieli się skąd o niej dowiedzieć, chyba że od pana Roota. Do głowy, jako źródło wiadomości, przyszedł mi również sklep Brittena, gdzie zbiera się wielu starych bywalców, z których każdy chce udowodnić, że wie więcej od pozostałych. No i była jeszcze panna Flagler, znacznie bardziej bojaźliwa niż panna Flyte, a już na pewno bojąca się trupów. Zauważyłam, że słysząc o czymś przykrym, zawsze próbuje udawać, że to się nie zdarzyło albo istnieje jakieś inne, korzystniejsze wyjaśnienie, toteż często upiększa szczegóły, aby wyglądały lepiej niż w rzeczywistości. Może nawet zdołałyby przywrócić zmarłą do życia? Powiedziałyby: „Cóż, pewnie po tym wszystkim ma tylko wstrząs mózgu i zabrali ją

do szpitala okręgowego”. „Ależ panno Flagler, w gazecie pisali, że nie żyje!”. „Eee tam, sama wiesz, że nie wolno wierzyć w to, co wypisuje ta Whitelaw!”.

W tej chwili najbliższej miałam do sklepu Brittena, odległego zaledwie o pięć minut drogi. Właśnie zbierałam się do wyjścia, gdy na podjeździe zachrząścił samochód; domyśliłam się, że to pani Davidow wraca z miasta. Furgon podskoczył, rozpryskując żwir, po czym z klaksonem wyjechał z za rogu (zsunęłam się na krzesło, żeby mnie nie zobaczyła) i gwałtownie zahamował przed wejściem. Pani Davidow zawsze trąbi, kiedy wraca, zapewne po to, by ludność zdążyła przygotować orkiestrę dętą i confetti, ale głównie jest to sygnał dla Waltera, aby przyszedł i zabrał torby z zakupami. To śmieszne - równie dobrze mogłaby oczekiwać, że jej torby do kuchni zanieśie wiatr. Walter na pewno się kiedyś pojawi, ale trąbienie na niego nie ma sensu.

Na schodach werandy rozległy się kroki, stuknęły siatkowe drzwi, i po chwili usłyszałam jej wołanie.

Zazwyczaj Lola Davidow najpierw zachodzi do kuchni, bo nie może się doczekać, by przekazać mojej matce najświeższe nowiny - uwielbia występować w roli posłańca. Czasem wyobrażam sobie hotel jako ustronne średniowieczne zamczysko - służba szeroko otwiera ciężkie bramy z belek, a kurier niemal spada z konia, pędząc z wiadomością do króla. Pod wieloma względami ta fantazja bardzo mi się podoba, bo mam wtedy uczucie, że hotel jest samowystarczalną twierdzą, otoczoną fosą, połączoną z resztą świata mostem zwodzonym, który można podnosić lub opuszczać na życzenie. Zaraz jednak zdałam sobie sprawę, że zważywszy na dzisiejszą gazetę, pani Davidow po prostu pęka od wieści o zmarłej kobiecie. Nie ma lepszego źródła wątpliwych informacji niż pani Davidow; do tego stopnia kocha swoją rolę posłańca z dalekiego kraju, że nie może się powstrzymać przed koloryzowaniem, dodając lub ujmując różne szczególiki, aby jej opowieść lepiej wypadła. Co oznaczało, że gdyby przypadkiem dobiegło mnie jakieś słowo potwierdzające

moje najgorsze obawy („ładna”, „młoda”, „nieznajoma”), mogłam śmiało nie brać go pod uwagę.

Jak już wspomniałam, po każdej wyprawie do miasta Lola Davidow podąża wprost do kuchni, przysiada na stole sałatkowym, zapala papierosa, po czym dzieli się z matką dzienną porcją najnowszych plotek. Matka jak zwykle stoi między żeliwną kuchenką a długim blatem roboczym, na którym kroi warzywa lub wycina ciasteczka, również pali i słucha. Znam tę scenę na pamięć. W chwilach gdy ich żarliwie nie krytykuję za setki różnych grzechów, to niemal je podziwiam. Naprawdę robią, co mogą, żeby trzymać fason, chociaż z pewnością nie robią pieniędzy.

Wiedząc, dokąd idzie, ruszyłam w ślad za nią. Gdy z trzaskiem przebrnęłam przez wahadłowe drzwi między jadalnią i kuchnią, siedziała już jak zwykle na wielkim, białym porcelanowym blacie, na którym przed obiadem ustawiam miseczki z sałatkami. Na razie stół był cudownie, całkowicie pusty - niezapisana tablica - z wyjątkiem dzbanka na sos winegret, który zawsze stoi na końcu i jest uzupełniany w miarę potrzeby. Na dnie dzbanka moczy się w oliwie pół cebuli, na wierzchu unosi się wir czerwonej papryki i, rzecz jasna, jest to najlepszy sos winegret na świecie. Dzięki Bogu, kuchnia była też cudownie wolna od Very, która zawsze wtrąca się do rozmów matki i Loli i co chwila je koryguje, jedynie Walter stał w ciemnym kącie przy wielkiej przemysłowej zmywarce. Pani Davidow nakłaniała go usilnie, by przyniósł z samochodu zakupy, ale Walter tylko kiwał głową i dalej w skupieniu wycierał blachę do ciasteczek.

Naturalnie, nie chciałam, by ktoś pomyślał, że przyszedłam podsłuchiwać, więc pewnym krokiem podeszłam do dzbanka z winegretem, podniosłam pokrywkę i zajrzałam do środka. Nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi - pilnowanie winegretu należy do moich zadań - jednak na wszelki wypadek zrobiłam zaaferowaną minę, zakręciłam chochelką, dosypałam papryki i dolałam oliwy. Bardzo chciałabym wierzyć, że nie kwestionowano tych czynności przez szacunek

dla mojego talentu, wiem jednak, że jest inaczej - po prostu nie sposób zepsuć winegret, gdyż nie istnieją ustalone proporcje składników. To kolejna rzecz w gotowaniu mojej matki, która mnie zdumiewa: matka właściwie gotuje na oko. Pewnego dnia dotarło do mnie, że to jest prawdziwe ART-JADŁO, w najgłębszym sensie Arturo - że artysta po prostu w i e. Pozornie wydaje się, że działa na chybił trafił, trochę farby tu, trochę papryki tam, ale to nieprawda. Artysta ma takie wyczucie tego, co robi, że jego oko, umysł i ręka same znają właściwą miarę. Tak to sobie tłumaczę i tą myślą wiedziona dosypałam do sosu szczyptę papryki i łyżeczkę cukru.

Trochę też słuchałam. Trochę, bo chciałam zamknąć uszy na złe wieści, a jednocześnie otworzyć je na to, co mnie ciekawiło. Gdybym miała aparat słuchowy panny Berthy, mogłabym go odpowiednio regulować. Lecz poradziłam sobie, wchodząc w świat marzeń i tworząc między sobą a słowami pani Davidow coś w rodzaju teatralnej kurtyny, którą mogłam podnosić i opuszczać według woli. Taki filtr.

Pani Davidow jak zwykle usiadła na stole sałatkowym, skrzyżowała w kostkach swe masywne nogi i zaczęła nimi pomachiwać. Paliła i mówiła, a moja matka paliła i słuchała. Dosypałam do dzbanka soli i zamieszałam; słowa docierały do mnie stłumione jak we śnie lub wspomnieniu.

- ...nikt jej nie zna, nawet ci znad jeziora.

Bez tego już wiedziałam, że nikt jej nie rozpoznał. Postanowiłam zajrzeć do lodówki. Teraz pani Davidow mówiła o tym, że wpadła na „Sama” w Café Tęcza, więc zrezygnowałam z zamiaru przyrządzenia Czarnej Krowy z coli i lodów waniliowych, co byłoby zbyt skomplikowane. Zamiast tego dyskretnie wyjęłam z lodówki mały dzbanek mrożonej herbaty i ruszyłam do kredensu po szklanę.

- ...jego zdaniem to naprawdę dziwne, że znalazła się przy moście White'a. Ciekawe, dokąd szła?

Lola Davidow, damski detektyw. Matka bąknęła, że nie ma pojęcia, dlaczego to ma być ważne, a potem kazała mi

odstawić dzbanek z herbatą na miejsce. Tymczasem pani Davidow ciągnęła:

- Miała się z kimś spotkać? A może nie była sama?

Jak we śnie podeszłam ze szklanką do ociekacza, lawirując między nogami pani Davidow i nożem siekającej warzywa matki, zbyt blisko ich głosów, by stąpić ostre krawędzie słów.

Dotarłszy do zlewu, gdzie my, kelnerki, wstawiamy naczyńka, żeby Walter je umył, znalazłam się poza strefą zagrożenia jawą i ponownie zanurzyłam się w marzeniu. Pomógł mi w tym Walter, który zawsze porusza się sennie i ociężale, więc i teraz powoli tarł w kółko ścierką wielki półmisek, kołysząc go miarowo niczym dziecko. Przez nos, niewyraźnie powiedział mi „Cześć”, po czym obdarzył mnie szerokim uśmiechem gumowych warg. Walter jest zawsze w dobrym humorze, zawsze jest czymś zajęty i zawsze pozostaje w cieniu, zupełnie jakby nosił wielką torbę cieni, które może wyjmować i narzucać na siebie.

- Sam mówił, że widział ślady opon. Chyba pick-upu. Z napędem na cztery koła.

- Lustrzany Staw - zamyśliła się matka. - Ciekawe, że ktoś dał się tam zabić. Albo sam się zabił. To przecież odludzie.

Rzeczywiście. Ale z drugiej strony, gdybym chciała kogoś zabić, też bym wybrała odludne miejsce. Moje wyobrażenie o okolicy było mniej więcej tak samo wiarygodne jak mapa rysowana przez ślepcę. Wiedziałam, że Lustrzany Staw i most White'a leżą gdzieś na północ od Jeziora Duchów, to znaczy, podążając od domu panien Devereau prosto na północ, zapewne dotarłabym w pobliże mostu White'a. Ale to kawał drogi, nie da się tam dojść na piechotę.

Albowiem słuchając matki i pani Davidow, nabrałam że po prostu muszę pójść i zobaczyć wszystko osobiście. To w końcu było miejsce zbrodni! Nie sądziłam, by szeryf zechciał mnie podwieźć „pojazdem służbowym” - tak właśnie go nazywał, kiedy Maud prosiła, by podrzucił ją do Hebrides czy

gdzieś tam. „Sorry, nie mogę cię wozić na przejażdżki pojazdem służbowym”. A ona się zachnęła. „Wozić na przejażdżki? Co to ja jestem, panna La Porte? Nie proszę cię o przejażdżkę”. Oczywiście, szeryf powiedział tak specjalnie, by ją wkurzyć.

Na panią Davidow też raczej nie mogłam liczyć, chyba że sama zainteresowałaby się zmarłą aż tak, by się tam wybrać i w dodatku wziąć mnie ze sobą. Z jakiegoś powodu ze mną czuje się pewniej, jakbym była strzelbą do wynajęcia. Zupełnie tego nie rozumiem.

W roztargnieniu wzięłam ścierkę; czasem wycieranie naczyń korzystnie wpływa na koncentrację. Oczywiście, istniał jeszcze biały kabriolet Ree-Jane, niestety, Ree-Jane była do niego przypisana. Mogłabym w końcu się poniżyć i jakoś ją ubłagać, ale konieczność zabrania jej ze sobą zepsułaby mi całą wycieczkę.

Pomyślałam o taksówkach Axela. Miałam dość pieniędzy na kurs tam i z powrotem, lecz Delbert natychmiast rozgłosiłby po całym La Porte, że zawiózł mnie nad Lustrzany Staw. I wtedy przyszli mi do głowy bracia Wood i ich stare pick-upy. Ciekawe, czy siedzieli teraz u Brittena?

Dobiegł mnie głos pani Davidow:

- ...nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Sam mówi, że nic nie znaleziono w kieszonkach jej sukienki...

Kieszonki sukienki.

Choć z bólem, odwzajemniłam jakoś uśmiech Waltera i wzięłam od niego talerzyk sałatkowy, podczas gdy słowo „kieszonki... kieszonki... kieszonki” z hukiem wirowało mi w głowie. Ale przecież, powtarzałam sobie, sukienki z kieszeniami spotyka się dość często...

- ...ani w torbie.

Słowa te najechały na mnie niczym pociąg towarowy! Torba! Dziewczyna nie miała żadnej torby, to coś, co od razu rzuciło mi się w oczy! Pojawiała się to tu, to tam, w różnych miejscach (takich jak peron stacyjny), w których, można by sądzić, żadna kobieta nie pokaże się bez torby, lecz ona

miała tylko małą portmonetkę, niewiele większą od dłoni. Czy o czymś takim da się powiedzieć „torba”?

A może to był marny argument? Oparłam się o zmywarkę, a Walter zapytał, czy jestem chora.

Nie, nie jestem, odparłam.

Jednak zaraz się zreflektowałam: przecież pani Davidow opowiadała matce tylko to, co jej zdaniem usłyszała od szeryfa. Znowu ogarnął mnie lęk - szeryf nigdy nie zwierzyłby się pani Davidow z wyników dochodzenia! Jej relacja z pewnością składała się głównie z wymysłów, aczkolwiek ona sama była święcie przekonana, że usłyszała te szczegóły od szeryfa. Co oznaczało, że znalazłam się mniej więcej w punkcie wyjścia.

Cisnęłam ścierkę na stół i przez tylne siatkowe drzwi wybiegłam na podwórko.

Ani Woodowie, ani pan Root nie zajęli jeszcze swych miejsc na ławce pod sklepem Brittena. Na razie rezydował tam tylko jeden staruszek, który, założywszy nogę na nogę, objął się ramionami tak ciasno, że jego dłonie niemal stykały się na plecach. Siedział zgięty wpół, z początku myślałam nawet, że coś go boli, okazało się jednak, że tylko wychylił się do przodu, by mrużąc oczy, lepiej przyjrzeć się czemuś ciekawemu (chyba) po drugiej stronie szosy, czego ja w ogóle nie widziałam. Czapka w czarno-białe paski nadawała mu wygląd więźnia, albo może pożyczył ją od więźnia? Nie znałam go, ale w Spirit Lake mieszka wielu nieznanych mi ludzi.

Tak jak się spodziewałam, kilku starych bywalców tkwiło już na stanowiskach w długim i wąskim lokalu sklepowym, gdzie po jednej stronie ciągnęły się półki z konserwami, po drugiej zaś stoisko z papierosami i cukierkami, a na nim kasa i duże szklane pojemniki z ciasteczkami na wagę. Mężczyźni rozmawiali ze sobą przez całą długość pomieszczenia; zapewne byłoby im wygodniej, gdyby stanęli bliżej siebie,

ale nie wiadomo czemu robili to tylko wówczas, gdy mieli do omówienia jakiś naprawdę smakowity kąsek.

No i dzisiaj mieli, gdyż niespełna dziesięć sekund po moim wejściu któryś z nich poruszył temat Lustrzanego Stawu.

- Podobno policja znalazła tam jakąś babę, kto by pomyślał! - odparł drugi.

I wszyscy - było ich czterech - jak przyciągnięci do siebie magnesem, utworzyli mały krąg przy stoisku mięsnym w głębi, gdzie syn pana Brittena, rzeźnik, wsparłszy podbródek na dłoniach, uważnie przysłuchiwał się rozmowie, aby w razie czego móc wtrącić swoje trzy grosze.

Stałam przed gablotą ze słodyczami, patrząc bezmyślnie na rzędy maślanych wafelków i próbując coś usłyszeć. Po wyjściu z kuchni uświadomiłam sobie, że będę potrzebować pieniędzy, pobiegłam więc przez trawnik do drugiego skrzydła hotelu i wzięłam ze swego pokoju trochę monet zaoszczędzonych z napiwków. Miałam dolara drobnymi i teraz potrzasałam nimi z brzękiem za każdym razem, gdy pan Britten spoglądał w moją stronę; niech wie, że przyszłam po sprawunki, a nie tylko się objąć jak niektórzy.

- ...obca...

Znużyło mnie słuchanie tego słowa; utrwaliłam już sobie, że była obca. Lecz wówczas nastąpiło zaprzeczenie:

- Słyszałem co innego... [mamrot] mówił, że przyszła z tych pałaców, co je mają nad jeziorem...

Wezbrała we mnie nadzieja - w takim wypadku to nie mogła być Dziewczyna.

- Nie, cholera, nie. Ja słyszałem - tu strumień tytoniowego soku strzyknął ku jednej ze spluwaczek, które pan Britten porozstawiał tu i ówdzie - że była z tego, no [mamrot, mamrot]...

Wyteżyłam słuch, ale nadaremnie. Znów poczułam gniew w dołku. Zebrani ściszyli głosy, więc nie pozostawało mi nic innego, jak dalej wpatrywać się w gabloty ze słodyczami. Pod moją nieobecność cukierki za centa zdrożały do

dwóch; lubiłam zwłaszcza te w papierkach, twarde, z miękkimi środkami i obrazkiem owoca na białym opakowaniu. Wtem, ku swej radości, usłyszałam:

- ...Hebrides. Słyszysz, Bryson? Ta kobieta podobno była z Hebrides.

Mówiący zwracał się do pana Brittena - zadanie dość beznadziejne, bo sklepikarz niezbyt lubił się odzywać. Teraz też tylko chrząknął i poprawił grube okulary w czarnej oprawie, w sam raz pasującej do jego czarnych włosów. Powiadają, że jest bogaty i posiada spory majątek w okolicy. Z pewną ulgą - założyłabym się, że Dziewczyzna pochodziła z Cold Flat Junction - ponownie zapatrzyłam się w pojemnik z „ognistymi”. Uwielbiam „ogniste” - ciemnoczerwone lub pomarańczowe kulki płomiennej barwy, jakiej nie widziałam nigdzie indziej na świecie. Głosy, niemal niesłyszalne z tej odległości, wznosiły się i opadały, tylko jeden z mężczyzn rozsiadł się w kącie na drewnianym bujaku i stamtąd wykrzykiwał swoje opinie. Przesunęłam się do tyłu, bliżej stoiska mięsnego, i zajęłam pozycję pod regałem z konserwami, udając, że przyglądam się puszkom z fasolą Heinza i Campbella. Wiedziałam, że pan Britten zaraz podejdzie i spyta, czego sobie życzę; nie mogłam wejść i pokręcić się, ot tak sobie, jak dorosła, oczekiwano, że załatwię sprawunki i szybko się wyniosę. A przecież hotel jest najlepszym klientem Brittena, wydawałoby się więc, że powinnam być traktowana co najmniej tak samo uprzejmie, jak ci mężczyźni. No i faktycznie - już do mnie podchodził. Zła, że przez niego tracę część rozmowy, pośpiesznie wyjaśniłam, że nie mogę sobie przypomnieć, ile puszek matka kazała mi kupić, na co zaczął mnie pouczać, że hotel zawsze bierze te duże, „familijne” (jakby ktoś mógł mi powiedzieć coś nowego o fasoli mojej matki), co mnie ostatecznie zirytowało. Odparłam, że nie, teraz chcemy coś innego, odszedł więc, kręcąc podejrzliwie głową. Zawsze ma taką minę, jakby podejrzewał, że wszyscy chcą go okraść do szczeru.

- ...myślisz, że to Louella?

- Całkiem podobna, Donny tak mówił.

Donny! Zastępca szeryfa! Ź Louella! Zesztywniałam, wlepiając wzrok w rzędy puszkowanej fasoli Heinza i Campbella.

- Akurat! Chrzanisz, widziałem ją nie dalej jak trzy dni temu!

- No, Bub, może i widziałeś, ale trzy dni temu to nie dwie noce temu, a z tego, co mówił Donny, to ta kobita wygląda całkiem jak Louella. No, wiecie - zwrócił się do pozostałych - taka duża dziewczucha, mieszka w Hebrides. - I spluła.

Duża dziewczucha. Zamarłam i wstrzymałam oddech, niemal zamieniłam się w puszkę fasoli. To określenie z pewnością nie pasowało do Dziewczyny!

Mężczyzna o wysokim, skrzekliwym głosie, zwany „Jeepers”, oświadczył, że w życiu nie widział Louelli, a poza tym, psiakrew, co to za jedna ta Louella?

Pan Britten zwrócił im uwagę, żeby się nie wyrażali.

Wymamrotali jakieś przeprosiny i kłócili się dalej.

- No, ta z Hebrides! Louella Smitt, przecież ci mówiłem!

- Znaczy Ella? Ella Smitt? - wtrącił Bub, lekceważąco plując tytoniem do spluwaczki, po czym oznajmił kpiąco: - To kompletna bzdura. Będzie już ze trzy lata, jak Ella przychodzi pilnować dzieciaków Kramerów obok nas. Po co miałyby łązić na most White'a w środku nocy, możesz mi wyjaśnić? - Tu stanowczo założył ręce na piersi i energicznie poruszył zuchwą, jakby to wszystko załatwiał.

Wiedziałam, że nie mogę tu stać cały dzień i gapić się na konserwy, chwyciłam więc słoik fasoli Brick Oven, cały czas się dziwiąc, dlaczego ten cały Bub uważa, że ta sama osoba nie może pilnować dzieci sąsiadów i być na moście White'a, jakby te dwie rzeczy nawzajem się wykluczały. Pokręciłam głową nad słoikiem Brick Oven (najlepsza fasola, jeśli nie liczyć domowej) - po co ja w ogóle ich słucham, pomyślałam, może lepiej pójść poszukać Obcych? A może pan Root siedzi już na ławce pod sklepem? Owszem, jest uparty jak osioł, ale przynajmniej potrafi dodać dwa do dwóch.

Skusili mnie rzekomą relacją zastępcy szeryfa (Donny papie wszem i wobec o każdej sprawie, natomiast szeryf zawsze trzyma język za zębami), ale właściwie wszystko, co mówili, było czystym domysłem (nawet bardziej niż w wypadku Loli Davidow). Kawałki o „Hebrides” ani o „dużej dziewczusze” po prostu nie były wiarygodne. Zamierzałam już odstawić słoik na półkę i kupić sobie trochę „ognistych”, kiedy otworzyły się drzwi, przez które wtargnął przyjemny powiew świeżego powietrza, a w ślad za nim duży mężczyzna o kwadratowej szczęce, ubrany w pikowaną kurtkę z przykrótkimi rękawami. Wparował do sklepu z miną człowieka, który zamierza natychmiast zaprowadzić porządek, choć domyślałam się, że zawsze tak wygląda.

- Cześć, Jude! Siema, Jude! - rozległy się powitania, jakby przybyły był kimś w rodzaju przywódcy.

Jude płaśniał dolarowym banknotem o kontuar i zażądała paczki lucke'ów, po czym, wciąż stojąc przy kasie, starannie zdarł z niej celofan. Jeepers swoim nosowym głosem zreferował sprzeczkę Buba z drugim mężczyzną i zapytał, czy Jude czytał dziś rano gazetę.

- Chodzi o tego trupa w stawie przy moście White'a? - Jude przypalił lucke'a, cisnął zapalną do spluwaczki i niespiesznie podszedł do pozostałych. - Jasne, że czytałem.

- Luke powiada, że to Louella Smitt.

Jude parsknął i wypuścił dym przez nozdrza.

- Luke, skąd ci się, do cholery, to wzięło?

Stałam cicho jak mysz, tuląc do piersi słoik fasoli Brick Oven. Ten, którego zwali Luke, nie był zadowolony - stracił całą przewagę, którą zyskał dzięki temu, że w ogóle wymienił jakieś imię.

- Słyszałem w sądzie - powiedział obronnym tonem.

- W sądzie słyhać wiele rzeczy, które nie są prawdą - zaśmiał się Jude, jakby to była najśmieszniejsza rzecz na świecie, więc pozostali też zaczęli rechotać. Potem Jude zapytał, od kogo konkretnie.

Luke coś zamamrotał, aż w końcu wykrztusił:

- Sally.

Sally była jedną z sekretarek szeryfa. A więc nie Donny powiedział mu to wszystko! Miałam rację, że wątpiłam w jego słowa, ale jakoś mnie to nie ucieszyło - wolałabym wierzyć, że zmarłą jest ta duża dziewczucha, Louella Smitt.

Jude znowu parsknął i naciągnął Jeepersowi czapkę na oczy, jakby to on wspomniął o Louelli. Nie znoszę, kiedy ktoś się tak rzuca, szarpie i ciągnie innych ludzi. Założę się, że ten Jude w szkole prześladował młodsze dzieci.

- No więc, to na pewno nie jest żadna Louella. To dziewczyna od Bena Queena.

Złodowaciałam.

Ben Queen.

Zaparło mi dech - oto, jak Bóg na niebie, była najprawdziwsza prawda. Pojęłam to natychmiast. Nigdy w życiu nie słyszałam nazwiska „Ben Queen”, dopóki Aurora nie wspomniała go tydzień temu, a teraz pojawiało się już drugi raz, jakby sunęło ku mnie zza dalekiego horyzontu niczym tornado pędzące po równinach Kansas, aby porwać Dorotkę, albo jak pociąg jadący wprost na mego ojca.

Ben Queen. W dodatku Aurora Paradise wspomniała o nim w związku z Mary-Evelyn Devereau, ja zaś wiedziałam, że Dziewczynę coś łączy z całą rodziną. To było jasne jak słońce - inaczej co by robiła tam, na drugim brzegu Jeziora Duchów?

Patrzac w moją stronę?

Kiedy ten Jude zaczął mówić o ranie postrzałowej, poczułam, że muszę opuścić sklep. Mógł powiedzieć coś, czego wcale nie chciałam usłyszeć, a to, co usłyszałam dotychczas, i tak niezle mnie przestraszyło. Tuż przy drzwiach zatrzymał mnie krzyk pana Brittena, żebym podeszła do kasy - wciąż ścisłałam w rękach słoik fasoli Brick Oven, którą chciał dopisać do rachunku Hotelu Paradise. Nie miałam wyjścia -

rzuciłam przez ramię niewyraźne przeprosiny i czym prędzej wypadłam na zewnątrz.

Pan Root zdążył już zająć stanowisko na końcu ławki jak najdalej od staruszka w czapce więźnia. Obaj panowie w milczeniu gapili się w podniszczoną drewnianą knajpkę wzniesieniu po drugiej stronie szosy, jakby zastanawiali się, czyby się tam nie udać na hamburgera albo na koktajl z lodami. Gdy zbliżyłam się do pana Roota, który powitał mnie szerokim uśmiechem, człowiek w czapce podniósł się powoli, jakby dręczył go straszliwy reumatyzm albo inna straszna choroba. Powiedziałam uspokajająco, że nie musi odchodzić, ale nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Pewnie wcale nie ustępował mi miejsca - pewnie po prostu nie miał ochoty siedzieć i słuchać trajkotania jakiegoś dzieciaka, który nie dałby mu spokojnie się pogapić. Nawet na mnie nie spojrział, jakbym nie istniała, tylko ruszył po stoku w dół ku szosie, przypuszczalnie zmierzając do knajpki.

W porównaniu ze staruszką pan Root aż błyszczał czystością i nawet pachniał wodą Aqua Velva, a może Old Spice, bo wyczułam delikatną woń goździków i alkoholu. O wodach kolońskich dla mężczyzn wiem tyle, ile zdołałam wyczytać na reklamach w drugstorze Soudera. Szczerze mówiąc, uważam, że ich używanie jest trochę niemęskie, i bardzo sobie cenię to, że szeryf nigdy nie pachnie goździkami ani alkoholem, tylko zwykłym mydłem.

Pan Root miał na sobie ładną niebieską koszulę, mocno nakrochmaloną, oraz czerwone szelki. Zapytałam, czy może czeka na taksówkę, albo gdzieś się wybiera.

- Nie. Może później przejdę się na obiad do Grega.

Greg był właścicielem sfatygowanej knajpy naprzeciwko; nie mogłam sobie wyobrazić, żebym miała zjeść w niej obiad, co najwyżej cheeseburgera (gdybym umierała z głodu) i colę. Chadzałam tam z Willem, który lubił sobie pograć na automatach, ale tłukł w nie i walił tak okropnie, że Greg musiał na niego wrzeszczeć, by przestał.

- Coś nie widać braci Wood - rzekł pan Root, patrząc na ścieżkę na tyłach sklepu, wydeptaną przez ludzi mieszkających po tamtej stronie. Najwyraźniej wyobrażał sobie, że będziemy w nieskończoność spotykać się tutaj i snuć plany.

- Ja też ich dzisiaj nie widziałam.

- Czytałaś o tej kobiecie, co ją znaleźli nad Lustrzanym Stawem? Podobno się zastrzeliła albo dała się komuś zastrzelić. Wyobrażasz sobie? - Powoli obrócił w ustach kawałek tytoniu.

Pan Root należy do ludzi, którzy czytają „Konserwatystę” od deski do deski, łącznie z ogłoszeniami drobnymi. Podejrzewam jednak, że różne rzeczy szybko umykają mu z pamięci, bo jest już w wieku, w którym przeszłość wygląda znacznie lepiej niż teraźniejszość, tak mi się wydaje. Dlatego niespecjalnie mnie wzruszyło, że poruszył ten temat, zresztą spodziewałam się tego - w końcu była to jedyna sensacja w tym roku.

- Tak, proszę pana - skłamałam. - Przeczytałam każdziuteńkie słowo. To okropnie podniecające - znaczy, chciałam powiedzieć, wielka szkoda.

Dorzuciłam to „każdziuteńkie słowo” na wypadek, gdyby jednak pamiętał szczegóły. Teraz już nie musiał koniecznie powiadamiać mnie o tym, o czym wcale nie chciałam wiedzieć.

Potwierdził, że faktycznie, to coś okropnego, po czym zapytał:

- Myślisz, że to ma coś wspólnego z tą małą Devereau?

Całkowicie mnie zaskoczył; nie spodziewałam się takiego pytania.

- Dlaczego? - spojrzałam na niego, marszcząc brwi.

- No, obie zginęły nad wodą w tej okolicy. Może ta druga sama z siebie rzuciła się do stawu?

Z jakiegoś powodu serce mi zamarło, bo w jego słowach była pewna doza słusności. Pan Root, którego umysł (moim zdaniem) nie jest zbyt skomplikowany, po prostu wziął dwa zdarzenia, dawne i obecne, i widząc kilka podobieństw,

nałożył jedno na drugie jak ubranka na papierową lalkę, nie sobie nie robiąc ze wszystkich różnic. Byłam wstrząśnięta.

- No... no, ale policja mówiła, że ją zastrzelono - wybąkałam.

- Noo taak. Z gazety niczego się nie dowiesz.

Pochyłony do przodu, z rękami wspartymi na kolanach, wyglądał jak trochę młodsza wersja szczeciniastego staruszka, który właśnie nas opuścił.

Ucieszyłam się, że z prasy niewiele się dowiedział. Przygryzłam wewnątrz policzka, rozważając rzucenie jakimś szczegółem, żeby sprawdzić, czy się z nim zgodzi.

- Słyszałam, że pochodziła z Hebrides. - Przygotowywałam grunt, aby wspomnieć o Benie Queenie.

- A skąd im się to wzięło?

- Podobno pisali w gazecie.

Pokręcił głową.

- W żadnym razie. Policja wcale o tym nie mówiła, bo sami nie wiedzą.

Byłam rozczarowana. Pragnęłam, by zmarła pochodziła z jakiegokolwiek miejsca na świecie z wyjątkiem Cold Flat Junction. Ale tej informacji gazeta z pewnością też nie zamieściła.

- Ci tam w środku - skinęłam głową w stronę sklepu - mówili, że to jakaś Louella cośtam. Z Hebrides. Luke tak twierdzi.

- Luke - parsknął pan Root i przeciągnął dłonią po ustach, jakby czuł, że musi je wypłukać od razu po wymówieniu tego imienia. - Dużo on tam wie. Luke Hazel to taki gość, co by chciał, żeby wszyscy myśleli, że zjadł wszystkie rozumy. Nic takiego w gazecie nie było. Policja mówi jasno i wyraźnie: nie wiadomo, kto-to-jest - z naciskiem wyskan-dował ostatnie słowa.

- Tak, przypominam sobie, że o tym czytałam.

- Mówią, że to może wypadek, ale „nie można wykluczyć działań przestępczych”. - I pan Root wolno powtórzył:

- Otóż to: „nie można wykluczyć działań przestępczych”.

Chyba będą musieli zrobić tą, no, jak jej tam, sekcję? - Odwrócił się i spojrział na mnie, by sprawdzić, czy potwierdzę. Zrobiłam mądrą minę.

- Jak ci się zdaje, kogo do tego wezmą?

Wzruszyłam ramionami:

- Pewnie doktora Bauma.

- Taak...

- Wie pan co? - strzeliłam palcami, jakbym dopiero teraz wpadła na ten pomysł. - Myślę, że powinniśmy się przejechać do mostu White'a. Może bracia Woodowie podwiożą nas swoją półciężarówką.

Ze zdziwieniem ujrzałam, że pan Root kręci głową.

- Ich pick-upy są w naprawie u Cable'a Sława.

- Jak to? Oba?

Pan Root odwrócił ode mnie głowę i delikatnie splunął tytoniem.

- No, tak powiedzieli. Śmieszne, co? Jak jeden się psuje, to drugi też.

Westchnęłam. To było podobne do Woodów. Bardzo mnie zmartwiła ta wiadomość - a już sądziłam, że wymyśliłam świetny sposób, by dostać się na miejsce zbrodni.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, przyglądając się starszemu, który tymczasem zdążył już przejść na drugą stronę szosy i teraz pełzł pod górę do knajpy Grega. Do starych ludzi - jak panna Flagler i pan Root - lgnie pewien rodzaj smutku, coś lepkiego niczym pajęczyna, co wciąż się omiata, ale czego nigdy nie da się usunąć. Przypomniały mi się nieużywane pokoje nad hotelową kuchnią, niegdyś pomieszczenia dla służby, obecnie składziki, w których nikt z wyjątkiem mnie nie bywał. Chodziłam tam właściwie bez powodu, przepychając się wśród stosów drewnianych krzesel ustawionych do góry nogami, stołów, umywalk i toalet z lustrami - wśród wszystkich tych sprzętów, pokrytych warstwą kurzu, zespolonych delikatną mgiełką pajęczyn nici. Pajęczyny, rozbielane promieniami słońca, poruszane zbłąkanym powiewem, czepiały się ramy okiennej, wznosiły

się i opadały niczym strzępy bawełny lub jedwabiu, nabierały materialnej wagi, co wydawało mi się piękne, lecz także nie do zniesienia smutne. Tkwiałam w tych pokojach całymi godzinami, obserwując kąty i okna, czasem ciemne i nieruchome, czasem jasne i zmienne, zupełnie jak Jezioro Duchów, to malowane w słoneczne smugi, to znów spowite we mgły i opary. A potem wyobraziłam sobie, że pajęczyna omotuje moją matkę i panią Davidow, która wciąż macha nogami na sałatkowym stole, zupełnie jakby mgła, unosząca się nad nimi od dawna, wreszcie bezszelestnie opadła, one zaś wciąż rozmawiają, a nawet śmieją się bez troski, spowite woalem nici, trzepoczących w przeciągu, ciągnącym od szpar w oknach nieużywanych pokoiów na górze. To za mało, że coś jest piękne, stanowczo za mało - światło zblednie, przetrzeźni się zamknie i zapanuje duszna ciemność.

Czy to zawsze tak wygląda, kiedy ktoś się starzeje? Siedziałam na ławce, wpatrzona w ziemię pod stopami, i czułam, że tonę. Może i nie miałam się czym chwalić, ale przynajmniej nie byłam stara. Wiedziałam jednak, że jeśli komuś uda się uniknąć tego losu, to z pewnością tym kimś nie będę ja.

Po pewnym czasie zmusiłam się, by wrócić do swego problemu. Zastanowiło mnie, co właściwie takiego powiedział człowiek, zwany Jude, że wypadłam ze sklepu jak oparzona.

- Ile lat pan tu mieszka, panie Root? To znaczy w Spirit Lake?

Najwyraźniej spodobało mu się to pytanie, bo rozsiadł się wygodnie, zmarszczył twarz i pogrążył się w zadumie.

- We wrześniu będzie dwadzieścia sześć lat. Tak jest - powtórzył, jakbym mu nie wierzyła - dwadzieścia sześć lat.

Zatem był tu od dawna, bardzo dawna. Z drugiej strony mówił, że nigdy nie poznał rodziny Devereau, no i cała sprawa zdążyła przyschnąć przez te dwadzieścia lat, zanim tu zamieszkał. A więc pewnie mogłam go bezpiecznie zapytać:

- Słyszał pan kiedyś nazwisko Ben Queen?

To pytanie spodobało mu się jeszcze bardziej - teraz dopiero był w stanie zademonstrować głęboki namysł. Nie przypuszczałam, by coś wiedział o Benie Queenie (dlatego sądziłam, że jego odpowiedź niczym mi nie grozi), ale szperaając w pamięci, mógł przypomnieć sobie coś innego związanego ze sprawą. Dlatego całkowicie wytrącił mnie z równowagi, kiedy powiedział:

- Ben Queen. Queen... Chyba jedna moja znajoma wyszła za jakiegoś Queena. - Uśmiechnął się nieśmiało. - Sam czułem do niej miętę. Wtedy nazywała się Sheba Otis.

- Za Queena? - zdumiałam się. - Którego?

- Nie bardzo wiem. - Westchnął. - Naprawdę ma na imię Batsheba, ale nigdy go za bardzo nie lubiła. - Odwrócił się i spojrzał na mnie. - To imię biblijne.

Zamrugalam, gapiąc się na niego oszołomiona.

- I gdzie ona jest? Znaczący, gdzie są ci Queenowie?

Splunął tytoniem, przez delikatność odwracając się w drugą stronę.

- Nie bardzo wiadomo. Nie widziałem Sheby dobre piętnaście lat, albo i więcej. - I zamilkł. Dlaczego dorośli tak robią? Potrafią całymi godzinami paplać o niczym, a potem nagle powiedzą coś okropnie ważnego i koniec!

- W takim razie gdzie ona mieszkała?

Przekrzywił głowę i wskazał na szosę.

- Wtedy, kiedy ją znałem, mieszkała na Vista View. Ale się przeniosła.

Naprawdę poczułam się sfrustrowana. Przed nami przejechał Axel w pustej taksówce, zatrąbił i pomachał nam ręką. Odmachaliśmy. Nawet tutaj, na wzniesieniu, widać było jego szeroki uśmiech. Zawsze się uśmiechał; ja też pewnie bym się uśmiechała, gdybym nigdy nikogo nie wozila.

Zapytałam pana Roota o godzinę. Spojrzał na zegarek, potrząsnął nim, przyłożył do ucha i wreszcie powiedział, że dochodzi trzecia. Miałam dwie i pół godziny, żeby zdążyć do La Porte, zanim będę musiała wrócić do sałatek. Szkoda, że

nie zatrzymałam Axela, pomyślałam, ale pewnie i tak by nie stanął. Trudno - trzeba będzie iść na piechotę.

Kopiąc przed sobą kępki trawy i grudy stwardniałej ziemi, żałośnie - tak mi się przynajmniej wydawało - powlokłam się do hotelu. Co gorsza, przypomniałam sobie, że zbliżają się urodziny Ree-Jane, co oznaczało uroczysty lunch bądź nawet przyjęcie dla jej tak zwanych starszych przyjaciół, a także prezenty i różne inne rzeczy. Oczywiście, mogłam po prostu pójść do Soudera i kupić zakurzony flakon wody kolońskiej. Ciekawe, co wymyśla Will i Brownmiller, pewnie przygotowują jakiś skecz albo co. Zrobiłam jeszcze kilka kroków i zatrzymałam się jak wryta.

Jej samochód! Hebrides! Ree-Jane lubiła Willa, a nawet Brownmillera. Gdyby to Will poprosił ją o samochód, może by mu pożyczyła! Brownmiller, o rok starszy od Willa, mógł już prowadzić. No, prawie - miał prawo jazdy, ale wolno mu było siadać za kierownicą tylko w towarzystwie doświadczonego kierowcy. Jednakże Ree-Jane nie musiała o tym wiedzieć, a gdyby powzięła jakieś podejrzenia, Will i Brownmiller mogli coś zełgać. Umieli kłamać i zmyślać jak z nut. Ruszyłam dalej bardziej sprężystym krokiem. Wystarczy, myślałam, że Will powie, że chce pojechać do Hebrides, aby kupić jej prezent i zapyta, czy może pożyczyć samochód?

Will i Mill byli straszliwie zajęci jednym ze swoich „spektakli”, którym poświęcają każdą chwilę życia, z wyjątkiem momentów, kiedy Will pracuje jako boy hotelowy. Robi to bardzo dobrze, przede wszystkim dlatego, że wszystkich uwodzi. Nie mówię tylko o dziewczynach; uwodzi każdego, od kogo chce coś wyciągnąć: napiwek, transport do miasta, stare ubrania z matczynych kufrów, które przerabia na kostiumy. (Tylko Aurora poznała się na nim, ale ona poznała się na wszystkich, więc to się prawie nie liczy). Zdołał nawet przekonać panią Conroy, by pozwoliła Brownmillerowi zostać u nas dłużej, mimo że jej zdaniem dawno powinien już leżeć w łóżku. Biedny Mill. Coś podobnego, mieć szesnaście lat i wciąż musieć o pewnej porze „leżeć w łóżku”! Ja jestem

o cztery lata młodsza i nikt mi nawet o tym nie wspomina! Nie pamiętam swojej pierwszej reakcji na imię Brownmiller, ale często się zastanawiam, co sobie myślą niektórzy rodzice, obarczając bezbronne niemowlęta imionami, które niszczą ich szanse na godziwe życie. Jednakże, znając jego matkę Ednę, wcale się nie dziwię.

Choć Will ze swoim wdziękiem już niezliczoną ilość razy zdołał ode mnie coś wyłudzić, zawsze jakoś potrafi mnie przekonać, że jest szczerzy i prawdomówny. Należę do nielicznych osób, które z całą pewnością wiedzą, że Will nigdy nie bywa szczerzy i prawdomówny, więc jeśli jedno przeczy drugiemu, to jest najlepszy dowód, jak Will umie nabierać ludzi. Przypuszczalnie bywa szczerzy z Brownmillerem, ale też Mill to jego współproducent i z konieczności trzeba z nim postępować uczciwie. A może chodzi o to, że Mill bardzo przypomina mojego brata - nie wyglądem, bo Will jest znacznie przystojniejszy, i nie talentem, bo tu Mill znacznie przewyższa Willa, ale pod względem upodobania do spisków. Niewykluczone, że między innymi dlatego potrafią robić takie zmyślnie spektakle.

Rozmyślałam o tym wszystkim w drodze ze sklepu Britena do hotelu, zastanawiając się, jak namówić Willa i Milla na wycieczkę do mostu White'a samochodem Ree-Jane. Istniała spora szansa, że się zgodzą - nie dlatego, by wyświadczyć mi przysługę, lecz dla samego dreszczyka związanego z intrygą. Byłam przeświadczona, że Will pójdzie na tę awanturę, bo chętnie korzysta z każdej szansy, by okpić Ree-Jane, choć w gruncie rzeczy jest mu równie obojętna, jak cała reszta świata. Chcę przez to powiedzieć, że w głowie Willa kłębi się tyle pomysłów, że brak w niej miejsca na wstręt do Ree-Jane. Co innego moja głowa - jest leniwa, gnuśna i dysponuje mnóstwem wolnego czasu, który śmiało może poświęcić na wstręt.

Ale możliwość nabrania Ree-Jane chyba nie wystarczy, żeby ich zachęcić, pomyślałam. Nie, pewnie będę musiała obiecać, że zagram w ich spektaklu jakąś małą rolę,

której nie chce wziąć nikt inny. Dwa sezony temu zmusili mnie, bym zagrała Igora w przedstawieniu *Frankenstein*. To było okropnie żenujące, bo musiałam człapać po scenie przebrana za garbusa, jednak przyznaję, że efekty specjalne były bardzo sprytne. Will ma wielkie zdolności, gdy chodzi o elektryczność, zapadnie i wszystko, co wiąże się z zawieszaniem kogoś nad sceną. Sprawia wrażenie, jakby się z tym urodził.

Krzyk usłyszałam już w połowie polnej drogi na tyłach hotelu. Krótkie, jakby zdławione wrzaski dobiegały od strony wielkiego garażu i tylko świadomość, że Will i Mill mają tam Paula, sprawiła, iż nie rzuciłam się biegiem na pomoc. Pewnie próbowali na nim jakąś nową ekstrawagancję.

Garaż jest ogromny - w swoim czasie, gdy Hotel Paradise uchodził za szczyt luksusu, mieścił przeszło dwadzieścia samochodów. Teraz stoi nieużywany, chyba że jako sala teatralna; w rzeczy samej, widząc scenę, jaką Will i Mill wzniesli na jednym końcu, i składane krzesła rozstawione dla publiczności można uwierzyć, że został zbudowany w tym właśnie celu. Wielkie drzwi oczywiście były zamknięte (próby odbywały się w wielkiej tajemnicy), więc zapukałam głośno. Nikt nie otwierał. Rozległo się szuranie, huk przewracających się dużych obiektów, stłumiony chichot, po czym zapadła cisza. Z irytacji walnęłam w drzwi pięścią. Czy robiąc tyle hałasu, naprawdę sądzili, że nie zwrócą niczyjej uwagi? I że mogą udawać, że w środku nikogo nie ma? A może i tak. Will i Mill najwyraźniej sądzą, że istnieją w równoległym świecie, do którego odchodzą, kiedy tylko zechcą. W ich świecie nie obowiązują reguły zwykłych ludzi.

Nie przestawałam walić. W końcu jedno skrzydło uchyliło się o cal i ukazało się oko mego brata.

- Co? - zapytał krótko.
- Chcę z wami pomówić. Obydwoma.

Oko wpatrywało się we mnie przez chwilę, po czym drzwi znów się zamknęły i rozległ się brzęk, jakby łańcuchów, oraz odgłosy przesuwania ciężkich mebli. Nie było tu porządnego

zamka, więc kto wie, co wykombinowali. Wreszcie drzwi otworzyły się odrobinę szerzej i jakoś wcisnęłam się do środka.

Miałam rację co do Paula. Stał na środku sceny i dziwnie podskakiwał.

- Dlaczego jest cały w mące?

Will i Mill spojrzeli po sobie.

- Bierze udział w przedstawieniu - rzekł Will. - To część jego roli.

Mogłam się założyć, że to nieprawda. Paul zawsze chciał wystąpić w jakimś spektaklu, prosił i błagał, ale nigdy nie chcieli się na to zgodzić.

- Pewnie ściągnęliście go tylko po to, żeby go doprowadzić do obłądu.

Brownmiller poprawił na ostrym nosie grube okulary i zachichotał nerwowo. Miał najbardziej nerwowy chichot, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Will tylko się uśmiechnął. Znów wymienili spojrzenia.

- Nie, tym razem dostał prawdziwą rolę. No, gadaj, bo jesteśmy zajęci.

Zreferowałam swój plan. Nie dość, że stanowił okazję, by spłatać figła Ree-Jane, to jeszcze miał związek ze świeżą zbrodnią, co było pokusą nie do odparcia.

- Pomyślałam, że trzeba tam pojechać i przyjrzeć się miejscu przestępstwa. Gliniarze nie wiedzą, co robić, albo przynajmniej nie chcą nic powiedzieć...

Will jak zwykle w zamyśleniu żuł gumę.

- Sam DeGheyn jest całkiem inteligentny - powiedział.

Ale widziałam, że rozważa mój pomysł. Nie było sensu, bym próbowała jakoś się do nich zalecać, bo nie mam pojęcia, jak to się robi. A błagań by nie znieśli, co też mi odpowiadało, bo i ja ich nie znoszę. Patrzyłam, jak Will powoli przeżuwa, jak światło z zawieszzonego pod stropem reflektora odbija się w okularach Milla. O tak, już połknęli haczyk, choć to oznaczało, że muszą mnie zabrać ze sobą. Mill naprawdę uwielbia biały kabriolet Ree-Jane. Jeszcze raz

spojrzeli na siebie, po czym Will skinął głową.

- Dobra. Ale nie chodź z nami, kiedy pójdziemy ją prosić.

Wcale nie miałam na to ochoty, lecz i tak zapytałam:

- A dlaczego?

- Bo nie.

I krzyknął do Paula, że może wracać do kuchni.

23.

Poskutkowało cudownie, toteż bardzo żałuję, że nie wiedziałam, jak to załatwili. Czasem wydaje mi się, że Ree-Jane podkochuje się w Willu, chociaż jest o dwa lata młodszy. Uchodzi za przystojnego (odziedziczył całą rodzinną urodę), poza tym świetny z niego kłamca - a może uprzejmniejsze jest określenie „konfabulant”. Ale to wszystko ma związek z jego umiejętnością wchodzenia do własnego świata, kiedy tylko zechce.

I tak oto znaleźliśmy się w kabriolecie Ree-Jane, który pędził szosą, żrąc paliwo. To był oczywiście warunek - że odkupimy benzynę. Miałam nadzieję, że Ree-Jane nie sprawdziła licznika, bo nieraz słyszałam, jak szeryf mówi Maud, że po stanie licznika można się zorientować, jak daleko ktoś jeździł. Pewnie chodziło mu o Donny'ego; zawsze podejrzewałam, że Donny wykorzystuje „pojazd służbowy” do celów innych niż czysto policyjne.

Przyjemnie było mknąć z opuszczonym dachem i słuchać, jak Mill i Will na przednim siedzeniu na cały głos ryczą piosenkę Milla, a raczej słowa wymyślone przez niego do melodii religijnego hymnu Tabernakulum. Nuciłam razem z nimi, aż wreszcie samochód podskoczył na moście White'a i znaleźliśmy się nad Lustrzanym Stawem.

Lustrzany Staw. Gdy wyśmiewałam opis Suzy Whitelaw, wydawał mi się całkiem zwyczajny, ale teraz, po tej całej myślowej obróbce, nabrał całkiem innego wyrazu. Był

odludny, trochę niesamowity, trochę niebezpieczny, a także większy, niż zazwyczaj bywają stawy, bo miał około sześćdziesięciu stóp szerokości. Okolony nawłociami, rudbekiami i kępami wysokich traw, był też ładniejszy, niż pamiętałam; jednak jego nieruchome, muliste wody w niczym nie przypominają Jeziora Duchów, które wciąż jest w ruchu i niemal oddycha, kołysząc jasnym dywanem lilii wodnych.

Tu czaiła się ciemność, ukryta wśród cieni niczym deszcz przed burzą. A może ulegałam wyobraźni? Z pewnością było tu chłodniej niż na drodze podczas jazdy. Zadrżałam i spróbowałam się domyślić, gdzie konkretnie znaleziono zmarłą kobietę.

Zatrzymaliśmy samochód pod zbutwiałą wiatą walącą się stacji benzynowej, obok starej, bańkowej pompy. Wydawało mi się, że to dziwne miejsce na stację, aczkolwiek dwadzieścia albo nawet dziesięć lat temu mogło tu być ruchliwe skrzyżowanie. Od drogi, którą przyjechalśmy, odchodził polny trakt niegdyś utwardzony, który zaraz znikał między drzewami. Na pobliskiej sośnie widniały drewniane strzałki z nazwiskami i numerami, namalowane przez różne osoby i wskazujące w głąb lasu. Miejscowi zazwyczaj w ten sposób oznaczają drogę do swoich siedzib lub domków letniskowych, niemniej zdziwiłam się, że jest ich tutaj aż tyle: dostrzegłam nazwisko „Vichy”, był też „Butternut” i „Randall” albo „Randolph” - trudno orzec, bo farba częściowo zlaża. W każdym razie musiało tu kiedyś mieszkać sporo ludzi, tak wielu, że zapewniali byt stacji benzynowej. Najbardziej ciekawiło mnie, czy ten stary trakt prowadzi wprost do Jeziora Duchów - a może łączył się z inną ścieżką, którą można było dojść do domu panien Devereau? Postanowiłam przejść nim kawałek i się rozejrzeć.

Will i Mill przykucnęli nad stawem, pograżeni w rozmowie. Zawołałam, że idę na chwilę do lasu i może mają ochotę na spacer? Nie zdziwiłam się, gdy odmówili; pewnie zamierzali wykorzystać moją nieobecność, aby wykombinować, jak przestraszyć mnie na śmierć.

Dzień robił się coraz ciemniejszy, a właściwie bardziej szary, wypełniony światłem burym jak lita ściana, i naprawdę zimny. Przy drodze pojawiła się kolejna strzałka z wypisanym nazwiskiem, tym razem skierowana w lewo. Przez gęstwę drzew dostrzegłam domek, a właściwie chałupę, niemal ruderę. Ciekawe, pomyślałam, czy ktoś wciąż tam mieszka, bo nikogo nie widziałam ani nie słyszałam.

To znaczy, dopóki za moimi plecami nie rozległ się głos:

- Ty z policji?

Obróciłam się błyskawicznie i spojrzałam w zmacone oczy staruszka, tak zgrzybiałego i wątłego, że wyglądał, jakby ktoś przerwał pracę nad nim i nigdy jej nie dokończył. Byłam zbyt zdumiona, by się przestraszyć; nikt przy zdrowych zmysłach nie wziąłby mnie za policjantkę.

- Ja? Nie. Kim pan jest?

- Prosiłem tego gościa, tego gliniarza, żeby mnie wysłuchał, ale nie chciał. Taki kurdupel z gębą jak łasica, niewiele większy od ciebie. Niech to licha - obrócił głowę prawie do tyłu, żeby wypluć tytoń - niech to licha, ty przecież jesteś dzieciak!

Przytaknęłam, natężając umysł. Człowiek z „gębą jak łasica” to musiał być Donny. Opis był zdumiewająco trafny - zamierzałam go zapamiętać na wszelki wypadek. Donny tak się wywyższa, kiedy szeryfa nie ma w pobliżu!

- To znaczy, nie wrócił, by z panem porozmawiać?

- Jestem Butternut. Mieszkamy tu od niepamiętnych czasów.

Patrząc na niego, mogłam w to uwierzyć. Ale widziałam również, że zaraz zbczy z tematu. Tacy długowieczni ludzie zawsze chcieli zaczynać wszystko od początku, jak Księga Rodzaju, o której kiedyś opowiadał nam z ambony pastor metodystów.

- Ach, pan jest z tych Butternutów! Słyszałam, jak rodzice o panu mówili.

Jeśli takie zmacone oczy mogą się rozjaśnić, to uczyniły to właśnie teraz.

- Asa Butternut we własnej osobie.
- Co pan chciał powiedzieć zastępcy szeryfa?

Miałam nadzieję, że to pytanie doda mi powagi, mimo że nie pracowałam w policji.

- Idzie o tę kobietę, co ją znaleźli nad stawem.

Uniósł czarny kij z wrzośca, na którym się wspierał, i dźgnął nim w kierunku Lustrzanego Stawu.

- To znaczy? - zapytałam z przejęciem.

Jednak wyraźnie nie zamierzał mi nic powiedzieć.

- Niech pan tutaj zaczeka, zaraz zwołam policję! - krzyknęłam z przejęciem. Wyglądał, jakby miał się rozpuścić w powietrzu, więc upewniłam się jeszcze: - Zaczeka pan? - a gdy przytaknął, popędziłam z powrotem do stawu.

Will i Mill tak się zapalili do roli funkcjonariuszy, że było to wręcz bezwstydne. Przebierając niecierpliwie nogami, jak wtedy, kiedy chce mi się sikać, pouczyłam ich, by włożyli ciemne okulary, w których - może - będą wyglądać na trochę starszych; Brownmiller, ze swą wąską, ściągniętą twarzą i spiczastym nosem, mógł nawet uchodzić za zastępcę szeryfa. Nie przypuszczałam, by staruszek miał zbyt dobrą pamięć.

Na nasz widok pan Butternut zapytał nieufnie:

- A gdzie wasze mundury?
- Jesteśmy w cywilu - uciął Will.

Pan Butternut zmrużył oczy i przybliżył twarz ku chłopcom.

- Macie jakieś le-gi-ty-ma-cy-je?

Trzeba oddać Millowi sprawiedliwość - błyskawicznym ruchem wyciągnął prawo jazdy i podetkał panu Butternutowi pod sam nos. Z tej odległości staruszek pewnie nie miał pojęcia, co widzi. Można by pomyśleć, że Mill całe życie dobił się do drzwi świadków, taki był śmiały.

Will nie miał żadnych dokumentów, za to zawsze nosił przy sobie notesik, który teraz powoli wyjął z tylnej kieszeni spodni i jął przerzucać kartki, niewzruszenie żując gumę. W ciemnych okularach wyglądał wręcz zabójczo. Zapytał pana

Butternuta o nazwisko i miejsce zamieszkania (choć staliśmy, by tak rzec, w jego środku), a ten starannie mu wszystko przeliterował.

- Butternutowie żyją tu ze sto lat. - Zamyślił się. - A może ze dwieście albo i trzysta... - Znów splunął tytoniem. - Tatusiowi było Lionel. A znów jego tatusiowi było...

- Panie Butternut! - Will wdarł się w te wspominki jak pociąg miażdżący ciężarówkę. - Znał pan tę kobietę?

- Co? Nie, a gdzie tam - znaczy, przecie żem jej nie widział, to skąd mam wiedzieć? Pomyślałem se tylko, że może policja chce usłyszeć o tych autach albo ciężarówkach, co tu się wtedy kręciły.

- Co z tymi autami? - zapytał Mill. Wyraźnie się zdenerwował, bo przechodził mutację i głos mu się łamał. Jak zwykle.

Pan Butternut robił wrażenie mocno rozdrażnionego.

- Ano nic, tak se jeździły tą drogą, a tu nikt nie mieszka, tylko ja.

Byłam taka podniecona, że znów zaczęłam swój taniec na jednej nodze, zapominając, że nie powinnam wsadzać w tę rozmowę swojego niepolicyjnego nosa.

- Dokąd właściwie prowadzi ta droga? Da się nią dojść do Jeziora Duchów?

Pan Butternut, zezując, spojrział w niebo.

- Ano chyba tak. Albo prawie. Tam dalej mieszkał kiedyś Elmer Randall, a to będzie ze dwie mile stąd.

Will łypnął na mnie, a przynajmniej tak mi się wydało (był w okularach). Miałam się nie wtrącać.

- Widział pan te pojazdy? - Boże drogi, mówił zupełnie jak szeryf. - Zauważył pan numery rejestracyjne?

Co za głupie pytanie! Skoro pan Butternut nawet nie poznał, że ma do czynienia z dwoma dziećmi niemal w moim wieku, to w jaki sposób zdołałby odczytać numery rejestracyjne? Nawet gdyby mu się chciało, w co wątpię.

- Nie, do cholery! Nie widziałem żadnych numerów! I było ciemno jak w piekle, a w ogóle to żem siedział w domu

- tu przerzucił kij do prawej ręki i zaczął nim potrząsać niczym szermierz wymachujący szpadą - aż tu nagle usłyszałem motor, ryczał jak ciężarówka, wyszłem na werandę i zobaczyłem światła. A przedtem chyba więcej samochodów warczało koło Lustrzanego Stawu. Myślałem, że to może chłopaki na tych, no, motorach terenowych.

- Motory terenowe nie warczą - zawahał się Will. - Znaczy, to zależy - dodał, najwyraźniej niepewny swego.

- No... - pan Butternut wzruszył ramionami i zaczął nucić pod nosem.

- To wszystko? - zapytał mój brat.

Pan Butternut nucił dalej.

Wyglądało na to, że faktycznie wszystko. Ale przynajmniej dowiedziałam się, że istnieje inna droga do Jeziora Duchów i że przy moście White'a była kiedyś ważna krzyżówka. Poznałam, by tak rzec, ukształtowanie terenu.

Will i Mill podziękowali panu Butternutowi i powiedzieli, że się z nim skontaktują.

Pan Butternut wciąż nucił. Nie sądzę, żeby w ogóle kontaktował.

Pośpiesznie wróciliśmy do samochodu, bo wyprawa zajęła nam znacznie więcej czasu niż ewentualne zakupy w Hebrides.

- A prezent? Jesteśmy tu już godzinę dłużej, niż trwa jazda do sklepu!

- Zaraz przy szosie jest sklep z przynętą dla wędkarzy - rzekł Will.

Mill zabulgotał z uciechy; jego wesołość udzieliła się Willowi, który wałnął dłonią w skrytkę i aż zakrzuszył się ze śmiechu.

Rzeczywiście, Mill zatrzymał kabriolet pod sklepem wędkarskim - nie do wiary! - po czym obaj wysiedli i zniknęli w środku. Położyłam się na tylnym siedzeniu, napawając się wonią nowych skórzanych obić, i zatonełam w rozmyślnościach o panu Butternucie.

Po niespełna pięciu minutach chłopcy, wciąż chichocząc, wyłonili się ze sklepu z małym wiaderkiem i szklaną bańką.

- Co to takiego? - spojrzałam na wiaderko.

Nie odpowiedzieli. Często tak robili, zupełnie jakbym była niewidzialna.

- Pytam, co to takiego!

Brownmiller przybliżył wiaderko do samochodu, żebym mogła zajrzeć. Pływało w nim pięć lub sześć maleńkich rybek.

- Ależ to gupiki! - zawołałam.

- Gwiazdne ogniki - oznajmił Will.

- Anielskie dupiki - poprawił Mill.

- Anielskie zęby.

- Na litość boską! - zawołałam. - Znów wymyśliliście jakąś historyjkę, tak?

Mój brat odwrócił się ku mnie, lecz zamiast odpowiedzieć, oznajmił:

- Mamy dla ciebie rolę w przedstawieniu. - Na jego wargach zaigrał wredny, nieszczerzy uśmieszek.

Obiecałam, że zagram cokolwiek, żeby zawieźli mnie nad Lustrzany Staw.

- Jaką?

- Potrzebna nam *deus ex machina*.

- Co? - Zerwałam się z tylnego siedzenia i zawisłam nad przednim. - Co to u licha jest „de-X-maszyna”?

Mill wyjaśnił.

- To taka postać w sztuce, na ogół greckiej, zwykle jakiś bóg, która nagle pojawia się znikąd i zjeżdża na chmurze, aby ocalić bohatera albo kogoś tam. Zazwyczaj używa się do tego huśtawki. Albo krzesła na bloczkach. On - albo ona - wynagradza krzywdy, domyka wątki, można powiedzieć, że ratuje sytuację.

Całą sobą usiłowałam okazać, że to absolutnie niemożliwe.

- Bez wygłupów! Nie będę nigdzie zjeżdżać w krzesło na bloczkach!

- Powiedziałaś, że zagrasz rolę. No, to jest rola.
- Sapnęłam, założyłam ręce na piersiach i oznajmiłam:
 - Zjeżdżać na chmurze! Dobrze sobie! W życiu nie słyszałam nic głupszego! - Wówczas przypomniałam sobie Paula i usiadłam z takim rozmachem, że niemal wypadłam z auta.
 - Na chmurze?! Na chmurze?! Nie będziecie mnie obrzucać mąką! Niech Paul zagra waszą cholerną „de-X-maszynę”!
- Samochód pędził, chłopcy pokładali się ze śmiechu, ja wrzeszczałam, a w wiaderku chlapały się gupiki.

24.

Dzbanki z syropem rano, talerzyki z pieczywem w południe i surówki wieczorem znaczą mój dzień niczym skowronki, pagórki albo Pan Bóg, jak w tym wierszu, którego autora nie mogę zapamiętać. Jestem dobra z literatury, ale o poezji mam słabe pojęcie, jak zresztą o większości rzeczy, które nie odnoszą się bezpośrednio do moich problemów. Wciąż nie czułam się na siłach, by stawić czoło szeryfowi czy nawet zajrzeć do Tęczy i zapytać Maud, czego się dowiedziała; po prostu nie byłam przygotowana na całą prawdę.

Postanowiłam iść do kościoła.

Kościół Świętego Michała to katolicki kościół w La Porte, który czasem mijam podczas swych wędrówek. I czasem zatrzymuję się tam, aby pomyśleć. Pod tym względem Święty Michał jest lepszy niż Biblioteka Okręgowa im. Abigail Butte, bo w tej ostatniej wciąż słychać szepty i rozmowy oraz szelest przewracanych kartek, dobiegający od stoiska z periodykami, gdzie czytelnicy przeglądają pisma takie jak „Vogue” albo „Popular Mechanics”. Poza tym rzadko się zdarza, by w czytelni siedziało mniej niż dziesięć osób, natomiast u Świętego Michała prawie zawsze jest pusto. Wczesnym

popołudniem widziałam tam najwyżej dwoje lub troje wier-nych, którzy oczywiście zachowywali się bardzo cicho. Cza-sem się zastanawiam, dlaczego coś tak ważnego jak Bóg zajmuje ludziom mniej czasu niż „Popular Mechanics”.

Osobiście nigdy nie chciałam być zbawiona (chyba że al-ternatywą byłoby pójście do piekła), bo nie bardzo wiem, co to znaczy. Od czasu do czasu natykam się na osoby „zbawio-ne”, takie jak Helene Baum, która twierdzi, że jest pobożną metodystką (co brzmi dosyć dziwacznie), albo żarliwi chrze-ścijanie obozujący po drugiej stronie autostrady. Ci wszyscy „zbawieni” są dla mnie zbyt hałaśliwi. Z pewnością w na-szym mieście jest wielu innych, spokojniejszych „zbawio-nych”, czasem wręcz zadają sobie pytanie, czy cechą bycia „zbawionym” nie jest przypadkiem to, że zainteresowany nic o tym nie wie. Na przykład mogę się założyć, że szeryf jest zbawiony, ale gdybym go o to zapytała, spojrzalby na mnie jak na wariatkę: „Że co?”. Przy jednej z nielicznych okazji, kiedy w hotelu rozmowa zeszła na temat religii, Ree-Jane oświadczyła, że jeśli nie zostałam ochrzczona (nie zostałam), to będę przeklęta. Czyli gdybym padła trupem (jestem pew-na, że Ree-Jane tego mi życzy), to poszłabym do piekła na zawsze. Na wieczność. Ree-Jane, która, rzecz jasna, jest ochrzczona, mówi o tym w ten sam sposób, w jaki przechwa-la się, że ma lepsze ubrania lub więcej chłopaków niż ja (a kto nie ma?).

Kiedyś u Świętego Michała zagadnęłam ojca Freemana, który akurat mnie mijał, czy to prawda, że osoby nie-ochrzczone idą do piekła. Uznałam, że to dobre pytanie, gdyż chodziło jedynie o informację, bez wdawania się w długotrwałe i dziwne rozmowy o Bogu i Jezusie. Ojciec Fre-eman popatrzył na mnie przeciągle, spojrzął na figurę w oknie, a potem znów na mnie. Przez moment myślałam, że naprawdę zabiłam mu ćwieka, co bynajmniej nie było moim zamiarem. Wreszcie po długim namyśle powiedział: „Nie”, uśmiechnął się i odszedł. I chociaż właściwie dotąd się nie przejmowałam, teraz poczułam pewną ulgę, to znaczy, dopóki

nie uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, jak sformułowałam pytanie. No bo odpowiedź zajęła księdzu tyle czasu, że moje dokładne słowa gdzieś się zagubiły. Nie byłam pewna, czy zapytałam: „Czy to oznacza, że będę potępiona?”, czy też: „Czy to oznacza, że nie zostanę zbawiona?”. Jeśli to pierwsze, odpowiedź „Nie” całkowicie wyjaśniała sprawę; jeśli to drugie, „Nie” mogło oznaczać dwie różne rzeczy. Chciałam zapytać go ponownie, ale pomyślałam, że to byłoby grubiaństwo, biorąc pod uwagę, jak długo zastanawiał się za pierwszym razem.

Nie jestem żadnego konkretnego wyznania (tak ujmują to dorośli), aczkolwiek matka i pani Davidow twierdzą, że należą do Kościoła episkopalnego. Ale ani jedna, ani druga nie chodzi na nabożeństwa; w każdym razie za mojej pamięci matka nie była w kościele ani razu. To poniekąd zrozumiałe, bo niedziela jest najruchliwszym dniem tygodnia i matka miota się między plackami i kielbaskami rano a pieczenia wołową i smażonymi ziemniakami po południu. Jedynie pani Davidow od czasu do czasu wkłada kapelusik z małą woalką i jedzie do kościoła do miasta. Gdybym była na miejscu Pana Boga i miała wybierać między moją matką przy kuchni a Lolą Davidow przed ołtarzem, wiem, którą bym wybrała.

Kościół Świętego Michała podoba mi się z tego samego powodu, dla którego podoba się katolikom: jest znacznie bardziej wymyślny niż inne. W porównaniu z kościołem metodystów po drugiej stronie ulicy jest tu o wiele więcej do oglądania; kiedy w ponury deszczowy dzień człowiek się nudzi, naprawdę ma się czym rozerwać. Weźmy, dajmy na to, witraże. Są naprawdę przepiękne; w innych kościołach też je mają, ale u Świętego Michała okna są wyższe i bardziej wyrafinowane, o nasyconych mocnych barwach. Chodzę od jednego do drugiego z zeszytem i długopisem w ręce, udając, że robię notatki, lecz w rzeczywistości po prostu rozmyślam, tylko nie chcę, by ktoś uznał, że przyszedłam tu oddawać jakąś cześć. Kiedy ksiądz Freeman mnie mijają, wyjaśniam, że prowadzę badania, co on uważa za niezwykle ciekawe. Chyba

jest mu przyjemnie, że wybrałam sobie temat Najświętszej Pani i apostołów (jest ich dwunastu), więc nie dopytuje się o szczegóły.

Oczywiście, byłoby prościej zwyczajnie usiąść i rozmyślać w ławce; czasem tak robię, ale staram się tego unikać, aby nie wyglądało, że się modlę. Nie mam zbyt wielu przyjaciół w swoim wieku, a gdyby coś takiego rozniosło się po mieście, zostałabym w ogóle bez znajomych.

Czasem ojciec Freeman staje przy ołtarzu w białej szacie i wykonuje jakieś czynności, mimo że nie ma nabożeństwa. Kiedy indziej przechodzi przez kościół ubrany w czarny garnitur, uśmiecha się do mnie i przekazuje pozdrowienia dla matki i Willa. Nigdy nie pyta, czego tu szukam, po prostu n i g d y, co uważam za wprost niezwykle, gdyż każdy inny dorosły (z wyjątkiem moich wybrańców - szeryfa, panny Flyte, Maud, braci Wood) natychmiast zapytałby, co tutaj robię, i oczekiwałby odpowiedzi. Ale ojciec Freeman traktuje mnie tak naturalnie, jak wodę święconą. Pod tym względem przypomina szeryfa (choć nie jest taki przystojny), co sprawia, że czuję się naprawdę swobodnie. Ojciec Freeman zachowuje się tak, jakbyśmy wszyscy bez wyjątku byli częścią czegoś jednego; czasem zastanawiam się, co to jest to jedno.

Wymyśliłam, że jeśli dostatecznie długo będę się koncentrować na jednej rzeczy, czymkolwiek ona jest, to może odkryję, co to takiego, poznam tajemnicę. Koncentracja przychodzi mi łatwiej niż większości ludzi; wiele czasu spędzam w Różowym Słoniu i dużo się koncentruję. Czasem na kartce w zeszytcie bądź pamiętniku lub na opowiadaniu, które właśnie piszę; czasem na ruchomym układzie cieni na wilgotnym, różowym tynku ściany, kiedy przeciąg spod wypaczonych drzwi kołysze płomykami świec. W takich chwilach mój umysł robi się rozchwiany i pusty, jakby i on padł ofiarą przeciągu.

Długo nosiłam w kieszeni kamyk, który pełnił rolę „rzeczy” służącej mi do koncentracji. Gapiałam się na niego całymi minutami i rzeczywiście, w miarę patrzenia umysł mi się

opróżniał - tyle że nie chciał się niczym zapełnić. Bez końca wpatrywałam się w kamień, ale nic się nie działo. Czego się właściwie spodziewałam? Że zmieni kształt? Albo że zacznie świecić? Kładłam go przed sobą na stole, opierałam podbródek na złożonych rękach - można rzec, że zniżalam się do jego poziomu - i uważnie go obserwowałam. Czasem zabierałam go do Świętego Michała i siadałam na ławce gdzieś z tyłu, mając nadzieję, że w jakiś okrzęny sposób zostanie pobłogosławiony przez sam fakt bycia w kościele. Kiedyś, gdy stałam przed witrażem ze świętym Franciszkiem karmiącym ptaki i wpatrywałam się w trzymany w dłoni kamyk, zauważył to ojciec Freeman i zapytał, czy może mu się przyrzec. Oczywiście się zgodziłam.

- Ładny - powiedział, obejrzawszy go uważnie.

- Dziękuję - odparłam.

I tak kamyk dostał nie błogosławieństwo, lecz komplet.

Rok temu w bibliotece przeczytałam książkę - a raczej jej fragmenty, ponieważ była tak dziwna, że nie sądzę, by w zamyśle autora ktokolwiek miał czytać ją ciurkiem - którą zapamiętałam ze względu na kamienie. Zajrzałam do niej tylko dlatego, że pochwyliłam jego spojrzenie na czwartej stronie okładki. Miał chudą twarz, potargane włosy i wyglądał na przerażonego, więc pomyślałam, że to książka w sam raz dla mnie, okazało się jednak, że wcale nie. Prawie nic z niej nie zrozumiałam; ogólnie mówiąc, była niesamowita, choć miejscami bardzo śmieszna, bo główny bohater pelzał po ziemi, posługując się kulami, jakby to były haki. To było zupełnie tak jak śmiać się na pogrzebie. Ale wspominam o tej książce dlatego, że na końcu ten ktoś zaczął wyjmować z kieszeni kamyki - miał ich pełną kieszeń - i ssać je jeden po drugim w odpowiednim porządku. Nie robił tego byle jak, na przykład tak jak ja jem popkorn, tylko po kolei i z jakiegoś powodu utkwilo mi to w pamięci jako szczyt... koncentracji? Nie, chyba jako szczyt tego, co można zrobić z kamykiem.

Do tego miejsca doczytałam. Liczyło się tylko to, że cała akcja nie miała żadnego celu.

Może mój błąd polegał na tym, że próbowałam coś wy-cisnąć z kamyka? Z przyjemnością obgadałabym z kimś tę koncepcję, a ojciec Freeman wygląda na właściwą osobę, ale nie wiem, jak zagaić. Pewnie nie powinnam myśleć o kamieniach; prawdę mówiąc, pewnie powinnam myśleć o wszystkim, tylko nie o nich.

Wydaje mi się, że to również ma jakiś związek z Dziewczyną.

Przechadzka do miasta zbyt mnie zmęczyła, żebym miała jeszcze siłę oglądać witraże i udawać, że robię notatki, więc po prostu usiadłam na końcu ławki. Ale i siadanie jest niebezpieczne, gdyż zbyt szybko się wtedy rozluźniam. Chociaż „rozluźniam” to chyba nie najwłaściwsze słowo; raczej zapadam się w siebie, powoli się kurczę i rozpuszczam, niczym Zła Czarownica z Oz, kiedy Dorotka oblewa ją kubłem wody. Nie sądzę, abym była złą czarownicą, niemniej czuję się tak, jakby coś ze mnie uchodziło, jakby z sykiem uciekało ze mnie powietrze, tyle że nie chodzi o powietrze, lecz bardziej o to, co wiem. A w moim wieku nie wie się zbyt wiele, więc nie można sobie pozwolić na najmniejszą stratę.

25.

Ciekawe, że stopy, którym kazałam zanieść mnie prosto do gmachu sądu i pomaszzerować korytarzem do biura szeryfa, po prostu przeszły obok niego.

Przekroczyły jezdnię, minęły Ogarek, zwolniły przed wystawą sklepu z upominkami Pod Dębem, gdzie obejrzałam cienki srebrny łańcuszek z małym serduszkim, po czym skręciły za róg i maszerując wzdłuż szeregu parkomatów, dotarły do drugstore'u Soudera. Tu znów przystanęły, tym razem by dać mi spojrzeć na grubą warstwę kurzu, pokrywającą reklamę

Aqua Velva, a następnie ruszyły Drugą ulicą, przechodząc obok sklepu 1001 Drobiazgów, w którym panna Isabelle Barnett najczęściej dokonuje kradzieży, oraz mroczej, pełnej skrzypnięć angielskiej pasmanterii Stemple'a. Starannie wyliczam wszystkie te lokale, bo przy każdym z nich rozkazywałam swoim stopom wracać, wracać, wracać do gmachu sądu, one jednak wciąż chytrze robiły swoje, zupełnie jak dłonie panny Isabelle Barnett.

Wreszcie stopy zatrzymały się przed Café Tęcza. Zdałam sobie sprawę, że już w kościele Świętego Michała okropnie chciało mi się pić, wręcz mnie suszyło od wyobrażania sobie, jak to jest, kiedy się umiera z pragnienia, a dostaje tylko mokrą szmatę na kiju. Zrobiło mi się wstyd, że potrafię myśleć wyłącznie o dużej wiśniowej coli, więc postąpiłam trochę przed witryną, usiłując odczuwać coś, co ojciec Freeman pewnie określiłby mianem skruchy. Oczekałam minutę, żeby skruszyć się należycie, po czym pchnęłam drzwi i weszłam do środka.

Najpierw jednak zerknęłam przez zaparowaną szybę i dostrzegłam zamazaną Shirl, która siedziała na stołku, trzaskając kasą, a także pewnie dziobem, gdyż jej usta, ułożone w duże O, zwracały się do kogoś w głębi. Po chwili rozpoznała mnie przez spływające krople, bo przetarła kawałek okna i łypnęła na mnie wrogo. Wiem, że nie ma w tym nic osobistego - Shirl po prostu łypie na każdego, kto ma mniej niż dwadzieścia lat, łącznie z Ree-Jane. Ree-Jane traktuje to jak osobisty afront i z tego między innymi powodu nigdy nie bywa w Tęczy. Drugim powodem jest jej straszliwy snobizm - nie usiądzie przecież przy kontuarze z braćmi Wood albo z Dodge'em Hainesem! Czasem tylko kupuje tu pączki albo kruche ciasteczka i od razu wychodzi.

Właściwie Shirl mogłaby być dla mnie trochę miłsza, zważywszy na to, jak bardzo pożąda przepisów mojej matki, a kiedy nie może ich zdobyć, to je nieudolnie naśladuje, ba, nawet podkrada. A przecież jeśli ktokolwiek na całej planecie wie, co matka dodaje do potraw, to tym kimś jestem ja,

bo przyglądam się bacznie, kiedy gotuje - nie dlatego, by w przyszłości zostać kucharką, lecz by zobaczyć, w którym momencie królik wyskoczy z cylindra lub srebrna moneta wypadnie zza ucha. Pewnego pięknego dnia uświadomię Shirl, że powinna być nieco uprzejmiejsza; w końcu to ja wiem, że tak naprawdę matka nie dodaje zimnych fusów kawowych do piórkowego tortu czekoladowego, to ja wiem, że do fantastycznej bananowej baby nie należy wrzucać skórki od banana nasączonej rumem. Ale na razie Shirl wciąż odnosi się do mnie, jakbym się zupełnie nie liczyła. Trudno. Niech dalej wrzuca do potraw fusy po kawie i skórki od banana, a zobaczymy, jak daleko zajedzie.

Największy tłok panuje w Tęczy około południa, a potem o szóstej po południu, ale o każdej porze jest tam pełno gości, od otwarcia o siódmej rano, aż do zamknięcia około ósmej lub dziewiątej wieczorem. Nawet teraz, trochę po czwartej, kilka osób jadło duże posiłki - pewnie farmerzy, może z doliny Paradise. Nie mogłam sobie wyobrazić spożywania krwistej pieczeni wołowej i zrumienionych ziemniaków mojej matki o tak dziwacznej godzinie - gdybym zasiadła do owej pieczeni, zanim wszędzie księżyc i pokażą się gwiazdy, byłby to jawny brak szacunku. Ale też ja nie wstaję o czwartej rano, nie chodzę spać o ósmej, i nie haruję w polu w międzyczasie.

Już wchodząc, usłyszałam, jak Shirl skrzeczy: „No, to po co w ogóle jeździła na most White'a? - Ma krzykliwy, kłótlivy głos, który okropnie ludzi irytuje. - I może mi wyjaśnisz, w jaki sposób postrzeliła się w klatkę piersiową, co? Co? Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś sam strzelił sobie w pierś”.

Duże, umięśnione chłopisko przy drugim końcu kontuaru - chyba kierowca ciężarówki, oni bardzo lubią ten lokal - machnął na nią ręką, pewnie żeby zakończyć spór. Ale Shirl nadal klóciła się sama ze sobą, równocześnie wałąc w kasę niczym szalona maszynistka i przyjmując pieniądze od klientów, którzy podchodzili z rachunkami, obracając w zębach wykałaczki.

Wiedziałam, że ludzie w Café Tęcza będą mówić wyłącznie o zmarłej i że nie zdołam uniknąć wiadomości. Druciany koszyk, w którym leżał barowy przydział „Konserwatysty”, był pusty; na kontuarze i stolikach leżały rozpostarte gazety, zewsząd dobiegał szelest i łopot papieru. Już samo wejście tutaj dowodziło sporej śmiałości z mojej strony (choć nie takiej, jaką byłaby kilka godzin temu!).

Gdyby na wszystkich stołkach nie rozpierały się szerokie zadki, chętnie bym usiadła przy kontuarze, mimo że wolę siedzieć w boksie. Dwa boksy były wolne, ale oczywiście Shirl ich pilnowała; co prawda, pozwoliła pannie Isabelle Barnett siedzieć samodzielnie, ale to nie znaczyło, że ja też tak mogę. Stałam więc, drapiąc się po ręce, skrępowana, że jestem sama i nie mam gdzie usiąść, patrząc, jak Dodge Haines złowieszczo szczyrzy do mnie zęby, a panna Isabelle pozdrawia mnie, delikatnie zamykając i otwierając dłoń.

Dzięki Bogu dostrzegła mnie Maud i gestem nakazała mi zostać na miejscu. Za kontuarem, założywszy pulchne ręce na obfitej piersi, stała roześmiana Charlene, co oznaczało, że klienci zostali już obsłużeni. Dodge Haines oraz kierowca ciężarówki zajadali specjalność dnia, befsztyk z tłuczonymi ziemniakami i fasolką.

Maud krzyknęła do Shirl, że robi sobie przerwę, i unosząc do góry dużą szklankę coli, dała mi zachęcający znak. Wyraźnie zapraszała mnie do boksu dla personelu, żebym z nią posiedziała; prawdę mówiąc, chyba zrobiła tę przerwę tylko dla mnie. Shirl to się nie spodobało, ale w końcu kiedy ona lub Charlene chcą zaprosić znajomych do swojego boksu, robią to bez przeszkód, więc Maud też chyba wolno. Shirl po prostu nie lubi, żeby siedział tam jakiś dzieciak.

Przechodząc obok panny Isabelle, która obdarzyła nas promiennym uśmiechem, zauważyłam jej kolczyki - tanie i jaskrawoniebieskie niczym kawałki porcelany spryskane srebrzystym pyłem jak fantazyjne świeczniki panny Flyte. Bez trudu odgadłam, skąd te kolczyki pochodzą.

Maud postawiła swój kubek na leżącym na stoliku „Konserwatyście”, ale chyba w ogóle nie zwróciła uwagi na gazetę. Nawet się nie zająknęła na dyżurny temat, tylko zapaliła camela i pomachała zapalką, którą następnie cisnęła do aluminiowej popielniczki. Upiłam łyk coli. Maud wyjrzała za oparcie boksu, po czym spojrzała na mnie i zapytała:

- Widziałas dzisiaj Sama?

Ciągnąc colę przez słomkę, pokręciłam przecząco głową. Westchnęła i znów zerknęła na drzwi.

- Zwykle wpada przynajmniej raz, po lunchu.

Miała dziwną, trochę smutną minę. Postąpiła tak miło, biorąc przerwę właśnie teraz, że zapragnęłam powiedzieć coś, co podniesie ją na duchu. Nie całkiem zdając sobie sprawę, co robię, podsunęłam:

- Pewnie jest zajęty przy moście White'a.

I szybko opuściłam głowę nad swoją colę, przerażona, że coś uruchomiłam.

Ale nie. Maud bąknęła z roztargnieniem:

- Pewnie tak - i dalej paliła w milczeniu.

Nie jest plotkarą i nigdy nie próbuje wyssać wszystkich soków z każdego kaska, który jej się nawinie; niemniej martwa, a może zamordowana kobieta była czymś więcej niż jedynie „kaskiem”. Przez jakiś czas Maud ze smutkiem obracała w palcach zapalki, po czym wzięła do ręki „Konserwatyście”. To musiało nastąpić - nikt z obecnych nie mówił o niczym innym. Przebiegła wzrokiem zadrukowaną szpaltę i odłożyła gazetę z nieszczęśliwą miną, choć chyba nie z powodu nieznojonej w Lustrzanym Stawie. Maud bywa kapryśna - nie niemiła, tylko właśnie kapryśna, szeryf kilkakrotnie zwracał mi na to uwagę. W każdym razie nie zaczęła rozmowy o artykule. Może sądziła, że już go czytałam i znam wszystkie szczegóły? Może i znałam; w końcu nie było ich tak wiele.

Trochę żeby przerwać jej diabelskiego bluesa, a trochę żeby usłyszeć własny głos, oznajmiłam z brawurą:

- Ludzie mówią, że wiadomo, kim była.

Machnęła ręką z lekceważeniem.

- Ludzie są głupi.
- Ktoś w sklepie Brittena powiedział, że to Louella Smitt Maud ściągnęła brwi w supeł nad nosem.

- A kto to jest Louella Smitt?

- Podobno mieszkanka Hebrides. - Pominęłam słowa Jude'a o „dziewczynie od Bena Queena” pewnie dlatego, że chciałam to najpierw jakoś sama sprawdzić.

- Policja nie wie, ani kto to jest, ani skąd pochodzi. Więc ten, kto to mówił, po prostu się popisывał. No, chyba że pan szeryf DeGheyn puścił parę z gęby!

Kiedy Maud złości się na szeryfa, zaczyna o nim mówić po nazwisku, jakby dystansując się od niego. Trochę mnie to śmieszy.

- Nigdy tego nie robi - zaprotestowałam. - Ale Donny, i owszem.

Lecz Donny jej nie interesował, więc wróciła do gazety. Była wściekła, bo szeryf nie przyszedł do Tęczy, żeby pogadać z nią o tym, co się zdarzyło.

- Na pewno nie pochodzi z Hebrides - rzekła, zezując w dół na stronicę. - Ktoś by już ją rozpoznał. - Pochyliła głowę niżej. - Nic nie widać na tym zdjęciu...

Zdjęcie! Moje serce zatrzepotało szaleńczo.

- ...w ogóle nie powinni go drukować. Nawet nie widać, jakiego koloru ma włosy, wszystko jest mokre i ubłocone. Ta Whitelaw zawsze miała fatalny gust. - Pokręciła głową. - Właściwie mogą tylko opisać jej sukienkę. Tu piszą: „jasna płócienna sukienka w kwia...”.

- Pani Davidow mówi - przerwałam - że nie miała żadnych dokumentów, nic, po czym można by ją rozpoznać, nawet w torbie - trajkotałam pośpiesznie, aby jak najszybciej zejść z tematu sukienki, być może w kwiaty.

- Hmm, nie pamiętam - ale zaraz, jest. Faktycznie: „żadnych wskazówek co do tożsamości ofiary nie znaleziono również w białej winylowej torbie...”.

Odetchnęłam z ulgą. Dziewczyna w życiu nie nosiłaby białej winylowej torby.

- „...znalezionej w pewnej odległości od ciała. Szeryf De-Gheyn...”. A co on tam wie? - skrzywiła się - „...przypuszcza, że torebka nawet nie należała do ofiary”.

Co? Nie należała do ofiary? Tylko ta torba dawała mi pewność, że to nie jest Dziewczyna, bo ona nie miała przy sobie żadnej torebki. Zdenerwowałam się do tego stopnia, że chwyciłam gazetę i zaczęłam czytać. Rzeczywiście, tak się wyraził. Wróciłam na początek, odważyłam się nawet spojrzeć na zamazane zdjęcie leżącej twarzą do ziemi postaci, której nikt by na tej fotografii nie rozpoznał - i przeczytałam artykuł do końca.

I nie dowiedziałam się niczego nowego, poza tym, że „przesłuchano okolicznych mieszkańców”, bez rezultatu, na wypadek, gdyby ofiara szukała kogoś z miejscowych. Sukienka została opisana jako „drukowana w kwiatowy wzór”, lecz po namyśle uświadomiłam sobie, że to dotyczy każdej kobiety w La Porte, z wyjątkiem tych, które noszą jednolite kolory, jak na przykład Helene Baum, zawsze ubierająca się na żółto. Pozostałe szczegóły podśledzałam już wcześniej, czyli właściwie nie dowiedziałam się niczego istotnego.

Wyprostowałam się z poczuciem, że zostałam nabita w butelkę. Okazało się, że można przeczytać cały trzyszpaltowy artykuł i wiedzieć nie więcej niż przedtem, jakby go w ogóle nie napisano! A ja przez cały dzień bawiłam się z gazetą w kotka i myszkę, wręcz się czałam, próbując nie okazywać zbytnej ciekawości i nie patrzeć na nią wprost! Godzinami jej unikałam!

Zadałam sobie mnóstwo trudu, żeby się czegoś n i e dowiedzieć, po czym okazało się, że dowiadywać się nie ma czego. Powinnam czuć rozczarowanie, lecz zamiast tego dziwnie mi ulżyło, jakby ktoś zdjął ze mnie ciężar. Ludzie paplają - paplają, żeby usłyszeć własny głos, jakby pragnęli udowodnić, że naprawdę istnieją. I dlatego godzą się na cudzą paplaninę.

Maud wstała, bo ktoś zawołał ją za kontuar; ja wlepiłam wzrok w okno, patrząc, jak drzewa po drugiej stronie ulicy wykonują swoją magiczną sztuczkę i oddzielają się od budynku, który zasłaniały. I wtedy nagle zdałam sobie sprawę, że jest już kwadrans po piątej i że powinnam się pośpieszyć, bo inaczej nigdy nie zdążę z sałatkami.

26.

W kuchni zastałam Ree-Jane, która zastępowała Verę, która była chora. To było wręcz śmieszne - Ree-Jane miała przejąć obowiązki tej alfy i omegi wśród kelnerek! Nikt nie wymaga od Ree-Jane, by nosiła strój kelnerki tak jak my, wolno jej pracować we własnym ubraniu, pod warunkiem, że włoży mały organdykowy fartuszek. Nienawidzę naszych strojów - są białe i wykrochmalone, z krótkimi rękawkami i płaskimi błyszczącymi guzikami, i wyglądamy w nich jak pielęgniarki. Oczywiście, Vera nosi czarną suknię z długim rękawem, bo jako szefowa kelnerek musi się czymś wyróżniać. Ree-Jane natychmiast obwieściła, że skoro ona zastępuje szefową, to ona decyduje, która z nas obsługuje których gości. Ale ponieważ wszystkie mamy swoje stałe stoliki, a Vera najwięcej, oznaczało to, że Ree-Jane porządnie się napracuje, więc nie miałam nic przeciwko temu.

Kiedy Ree-Jane pomaga w jadalni, zawsze jest wystrojona i umalowana, uważa bowiem, że są to wystąpienia publiczne. Właściwie nie wnosi potraw, lecz je p r e z e n t u j e, przechadza się tam i z powrotem między stolikami, jakby to był wybieg. Przybiera swój krok modelki, stawiając palce stopy na ułamek sekundy przed piętą, co daje osobliwy, poślizgowy efekt. Stawia na stole sałatkę lub tackę z przyprawami, trzymając jedną rękę na biodrze, po czym wykonuje ćwierć obrotu, kręcąc przy tym ramionami, jakby demonstrowała jedzącym plecty kreacji od wielkiego krawca.

Zważywszy na jej sny o sławie, w ten sposób Ree-Jane jakby chwytła dwie sroki za ogon, bo zamierza zostać zarówno modelką, jak i projektantką mody. Jeśli dodamy do tego fotoreportaż i karierę w Hollywood, to widać, że Ree-Jane będzie w życiu bardzo zajęta. Rzecz jasna, wszystkie te sukcesy odniesie, z a n i m wyjdzie za mąż za angielskiego hrabiego lub za rosyjskiego księcia (albo, podpowiadam jej, za pana Nasalwhite'a, wtedy zostanie królową Czech). Popisy w naszej jadalni to z całą pewnością prosta droga do nowojorskiej stajni modelek, skąd już tylko mały skok na srebrny ekran.

Ponieważ znałam tylko jedno źródło informacji o Benie Queenie, musiałam wymyślić, jak się zbliżyć do Aurory Paradise jeszcze tego wieczora - nie miałam ochoty czekać cały następny dzień na popołudniowy zastój w interesie. Między projektowaniem sałatek (mój tytuł do sławy) i układaniem serwetek w koszykach z gorącymi bułeczkami zdołałam wyjąć z kredensu wysoką szklanę i napać do niej kawałków lodu, odrąbanych z wielkiego bloku - zajmuje całą połowę lodówki - a następnie wypełniłam ją w jednej czwartej sokiem pomarańczowym, po czym dołożyłam łyżkę cukru i dwie kandyzowane wiśnie. Oczywiście, w trakcie tej operacji ktoś zdążył mnie zapytać, co szykuję, lecz tylko mruknęłam coś niewyraźnie. Już dawno się nauczyłam, że ludzie często wygłaszają komentarze lub zadają pytania, wcale nie dbając o odpowiedź, wystarczy, że rozmówca wyda z siebie jakiś odgłos. Gdyby więc ktoś jeszcze zobaczył szklanę stojącą obok lodowego bloku, mruknęłabym coś innego, na przykład, że potrzebuję jej do obiadu.

Musiałam zaczekać na przejściową ciszę, gdy moi goście, pochłonięci przeżuwaniem, nie będą już żądać wody ani masła. Sęk w tym, że o tej porze Lola Davidow zazwyczaj spożywa w biurze swój *filet mignon*, lecz miałam nadzieję, że tym razem usiądzie do posiłku w jadalni i umożliwi mi dostęp do alkoholi. Już wcześniej zauważyłam, że grzebała w lodówce w poszukiwaniu osobistych zapasów jedzenia -

grejpfrutów i *filet mignon*, które ukrywa niczym diamenty w sejfie.

Stawiając salátky na tacy, dostrzegłam ją w biurze. Boczne okno biura wychodzi na siatkowe drzwi kuchni, więc w razie potrzeby wołamy do siebie, choć odległość jest spora. I teraz do nas wołała, wymachując rękami, a potem zwijając je w trąbkę przy ustach. Podeszłam, żeby sprawdzić, o co chodzi, i ponad zdziçałym, rozkołysanym na wietrze trawnikiem, usłyszalam słowa:

- Winda ręczna się zepsuła!

Los mi sprzyjał!

A przynajmniej tak się z początku wydawało. Winda ręczna czasem się psuje i nic dziwnego, zważywszy na to, ile butelek džinu, dzbanków z drinkami, orzeszków koktajlowych, jajek na grzance, pieczonych kurczaków i brudnej bielizny wciąż wędruje z dołu na górę i z powrotem. W takich razach zaszczyt dostarczenia obiadu Aurorze Paradise przypada Verze, gdyż tylko ona jest tak zadowolona z siebie, że się nie przejmuje, gdy Aurora obrzuca ją obelgami. Słyszałam, jak mówiła, że cioteczna babka Paradise „to straszny dzieciuch”. Akurat! Matka nie może wyjść z kuchni w czasie posiłków, żeby zanieść tacę na trzecie piętro, a Lola Davidow nie będzie się fatygować, zwłaszcza nie po wypiciu dzbanka martini.

Tak czy inaczej, skoro Vera była nieobecna, szybko zaproponowałam swoje usługi. Matka, która właśnie zdołała bitą śmietaną krawędzie anielskiego placka, powiedziała, że dobrze, ale najpierw powinnam się upewnić, czy na tacy jest wszystko, co trzeba.

No i wtedy wtrąciła się Ree-Jane. W końcu, oświadczyła, to ona zastępuje Verę i to ona powinna pójść na górę. Wiedziałam, że w gruncie rzeczy wcale nie ma na to ochoty, ale wystarczyło, że ja tego chciałam, a już robiła wszystko, by mi przeszkodzić. Matka zerknęła na nią, po czym szybko odwróciła wzrok i z małym, dziwnym uśmieszkiem na ustach rzekła, proszę bardzo, niech Ree-Jane idzie. Protestowałam,

a jakże, ale matka odmówiła klócenia się o takie bzdury i poleciła mi zajrzeć do „gości Jane”, bo mogą czegoś chcieć pod jej nieobecność.

W środku aż gotowałam się ze złości. Jednak na zewnątrz niczego nie okazałam; wzruszyłam ramionami, ziewnęłam i wzięłam sobie bułeczkę.

Taca z obiadem Aurory była gotowa - smażony kurczak (białe mięso), lśniące purée z ziemniaków, groszek zielony niczym Szmaragdowe Miasto, parujący dzbanek kawy i porcja anielskiego placka. Ree-Jane uniosła ją w górę jak sztandar zwycięstwa i zadowolona z siebie, odplynęła.

Pożeglowałam w ślad za nią, trzymając w ręce szklany dzbanek z kawą, dołąłam gościom do filiżanek, po czym szybko odstawiłam go na płytkę i niemal biegiem pośpieszyłam przez jadalnię. Ree-Jane poszła przez pokój muzyczny do schodów od frontu, ja tymczasem przemknęłam się do kuchennych schodów i jakieś dwie minuty po niej znalazłam się na korytarzu trzeciego piętra.

Już na wysokości drugiego piętra usłyszałam wrzaski, a gdy dobiegłam na trzecie, Aurora wydzieriała się tak, jakby napadła na nią banda złodziei w czarnych maskach. Ree-Jane wydawała z siebie tylko zwierzęce, płaczliwe miauknięcia.

- ...co robisz, do cholery, ty tleniona...?

Niewyraźny bełkot i kwilenie Ree-Jane.

- ...sól i pieprz, ty blond idiotko!

Kolejna łzawa odpowiedź.

Rozległ się głośny stukot, a potem łkanie - przynajmniej miałam nadzieję, że to łkanie - i piskliwe protesty Ree-Jane.

Kucnęłam skulona w cieniu schodów, kiwając się od tłumionego śmiechu. Rozległy się odgłosy szamotaniny. A może Aurora w końcu dostała szału i rzuciła się na Ree-Jane z laską albo nawet ze scyzorykiem i pochlastała tę gładką, bezmyślną buzię? W wyobraźni ujrzałam Ree-Jane za kilka lat, skrytą za gęstą woalką, i szepty za jej plecami: „Szrama Davidow”. Rwetes za drzwiami trwał nadal. Zaśmiewając się

bezgłośnie, podniosłam oczy ku górze, żeby podziękować Panu Bogu za to wszystko, lecz uzmysłowiłam sobie, że ojciec Freeman zapewne by tego nie pochwalił, posłałam więc podziękowania w nieokreślonym kierunku, po czym wsadziłam w usta pięść i utonęłam we łzach uciechy.

Wreszcie usłyszałam tupot; przez słupki balustrady zobaczyłam, że coś szybuje w powietrzu i trafia Ree-Jane w tył głowy, po czym rozległ się przenikliwy wrzask Aurory, że jeśli jeszcze raz zobaczy ten tleniony łeb, to rzuci w niego całym kurczakiem.

Klnąc i szlochając, Ree-Jane przebiegła pędem obok mej kryjówki, kurczowo łapiąc się za głowę. „Stara kurwa! Jędza! Zastrana stara jędza!” - zapiszczała, skręciła na schody i zbiegła na dół, przypuszczalnie do swojego pokoju, aby naprawić szkody, jakich doznała jej powierzchowność. Ostrożnie podkrađłam się na korytarz, by zobaczyć pocisk Aurory. Skrzydełko kurcze. Zostawiłam je tam, gdzie leżało.

Naturalnie, chciałam być świadkiem tego, jak Ree-Jane ponownie się pojawi; tym razem wybrałam drogę frontowymi schodami, przez długą bibliotekę i pokój muzyczny. Pogwizdując beztrzesko pod nosem, spokojnie weszłam do jadalni, gdzie nieliczni goście kończyli spożywać swojego kurczaka czy też pieczoną rybę. Właśnie nalewałam wody do szklanek, usiłując nie zwracać uwagi na pannę Berthę, która domagała się więcej gorących bułeczek, gdy do jadalni wkroczyła Ree-Jane swoim posuwistym krokiem „od palców” i przez wahadłowe drzwi udała się do kuchni. Podeszłam i usłyszałam, jak pani Davidow, grzejąc grill na swój *filet mignon*, pyta ją, czy Aurorze smakował obiad. Matka dekorowała bitą śmietaną drugi anielski placek; zawsze szybko się kończył, bo wszyscy go bardzo lubili i zdarzały się nawet prośby o dokładkę.

Beztrzesko, wręcz nonszalancko Ree-Jane upewniła zebranych, że zdaniem Aurory obiad wyglądał na pyszny.

- Ależ z niej niezdar! Upuściła tacę i wszystko spadło na podłogę! Pewnie trzeba jej zanieść więcej... Och! *Filet*

mignon! Ja też chcę taki! - Tu wsadziła palec wskazujący do miski z bitą śmietaną mojej matki i go oblizła. Matka spiorunowała ją wzrokiem. - Uważa, że wyglądam dokładnie jak Lana Turner - dodała Ree-Jane.

Tego już było za wiele. Objęłam się ramionami i zgięłam w pół, jakby chciało mi się sikać. Ree-Jane zapytała, o co mi chodzi; wyprostowałam się i zaproponowałam, że zaniosę ciotecznej babce Aurorze jeszcze trochę kurczaka.

Ree-Jane uśmiechnęła się jadownicie:

- A zanieś, czemu nie?

- Za chwilę, teraz jestem zajęta panną Berthą - zawołałam, pobiegłam do lodówki, wyjęłam szklankę z lodem (tylko nieznacznie podtopionym), postawiłam ją na tacy i spokojnie przeszłam przez jadalnię, przyśpieszając kroku i znów ignorując wołanie panny Berthy o bułeczki. Wypadłam przez wielkie drzwi, pędem przebiegłam przez pokój muzyczny oraz bibliotekę (wciąż trzymając szklankę na tacy) i zasapała wtargnęłam do biura.

Jak zwykle o tej porze panował tu koktajlowy rozgardiasz - rozsypane orzeszki, dzbanek, oliwki turlające się obok pojemnika na ołówki, talerzyk ze skrawkami skórki cytrynowej, cienkimi jak obcięte paznokcie. Przyjrzałam się zawartości półek: Smirnoff, whisky Early Times, burbon Wild Turkey, mała butelka owocowej brandy... cholera, nie ma Southern Comfort! Zastanowiłam się, wzruszyłam ramionami, chlapanęłam do soku pomarańczowego w szklance trochę brandy, dołałam Early Times, dopełniłam Wild Turkey, a na koniec dorzuciłam najświeższą z cytrynowych skórek. Porwałam serwetkę koktajlową, pobiegłam dwa piętra wyżej i postawiłam tacę ze szklanką w swojej poprzedniej, ciemnej kryjówce. Następnie raz-dwa zbiegłam do jadalni, gdzie nikt nie zwrócił na mnie uwagi, z wyjątkiem panny Berthy, która wciąż wołała o bułeczki. Oczywiście, nie należało oczekiwać, że Ree-Jane zajmie się obsługiwaniem stolików, skoro jej matka spożywała *filet mignon*. Pani Davidow

siedziała już przy „rodzinnym” stole, ślepa, głucha i obojętna na otoczenie - w końcu miała swój stek i szklaneczkę whisky.

Podczas mojej krótkiej nieobecności Ree-Jane chyba rozprawiała o Paradise'ach. Oparła łokcie na stole roboczym i objąwszy dłońmi ostry podbródek, bacznie śledziła poczynania mojej matki, która przyrządzała ogony homara. Nie-smażony kurczak albo pospolita ryba to nie dla Ree-Jane! (Ja bym jej dała kleik owsiany). Jedno z dwojga: albo zapasy *filet mignon* pani Davidow się wyczerpały, albo nie zamierzała dzielić się z Ree-Jane, która teraz domagała się klarowanego masła, jednocześnie cały czas pomstując na Paradise'ów. Cóż, muszę jej oddać sprawiedliwość - oberwała od Aurory skrzydełkiem kurczaka, a zachowywała się tak, jakby całkowicie panowała nad sytuacją. Poczułam coś zbliżonego do podziwu, ale natychmiast stłamsiłam w sobie to uczucie.

- Jest walnięta - zwierzała się Ree-Jane mojej matce - ale pewnie to u nich rodzinne, naprawdę wielka szkoda, to znaczy, że pani weszła do takiej rodziny. Rany, co pani musiała znieść!

Matka obrzuciła ją złym spojrzeniem i plasnęła o talerzyk ogonem homara.

- To nic w porównaniu z tym, co muszę znieść teraz - warknęła i wręcz zobaczyłam, jak dym idzie jej z uszu.

- No pewnie, ci goście są okropni! Gdzie jest klarowane masło?

I rozejrzała się po kuchni, jakby sądziła, że Walter je zabrał i postawił na zmywarce.

Weszłam za blat roboczy i zdjęłam z półki nad kuchenką ciepły talerz (matka prędzej by umarła, niż podała gorące danie na zimnym talerzu), na którym najpierw położyłam serwetkę, po czym misternie umieściłam prześliczną porcję piersi kurczaka - serwetka wchłania cały tłuszcz, nie zostawiając po nim najmniejszego śladu - i małe naczynie z purée z ziemniaków.

Ree-Jane nadal obrażała moją matkę i jej inteligencję.

- A hotel wciąż nosi jej nazwisko! Hotel Paradise to w tej chwili dość głupia nazwa, prawda?

Rzecz jasna, wiedziałam, że Ree-Jane wolałaby nazwę Zajazd Davidow, ale nie śmiała tego powiedzieć głośno - w końcu ona i jej matka kręcą się tutaj zaledwie od pięciu lat, a Paradise'owie od około stu. Nućąc pod nosem, zrobiłam w ziemniakach małe wgłębienie, do którego wlałam roztopione masło.

- Na przykład Pod Wierzbami brzmiałoby ładnie.

Matka zapaliła papierosa i spojrzała na nią szyderczo spod oka.

- Kiedy ostatnio je widziałam, to były dęby.

- No, pani wie, o co mi chodzi... A ty, dokąd idziesz z moim masłem?

Wysoko unosząc tacę ze świeżym obiadem Aurory, zręcznie wymknęłam się przez wahadłowe drzwi, które trzasnęły za mną przy wtórze wrzasków panny Berthy, nadal domagającej się gorących bułeczek.

27.

- Cold Turkey, czyli Zimny Indyk - wyjaśniłam, gdy Aurora Paradise spróbowała już drinka. - Southern Comfort nie ma.

Upiła drugi łyk i mlasnęła.

- Niezłe. Ale nie takie dobre jak Słaba Pociecha. Nie dołaś dżinu.

- Dżinu też już nie ma.

Co ona sobie wyobraża, że prowadzę sklep monopolowy?

- Żartujesz sobie? Loli Davidow pewnie nigdy w życiu nie zabrakło dżinu.

- Ale teraz pije wódkę. Butelka jest pusta.

- Cóż, można to zrozumieć.

Rozsiadła się, żeby wypić w spokoju Zimnego Indyka, całkowicie ignorując obiad.

Pokój wyglądał tak samo jak przedtem; poczułam się wręcz tak, jakby to wszystko mi się śniło. Biblia nadal leżała na widoku, otwarta na stronicy, której, idę o zakład, Aurora nigdy nie przeczytała. Łupiny orzechów, równo uszeregowane, czekały na stoliku (pewnie na frajerów takich jak ja). Na środku pokoju nadal stał otwarty kufer okrętowy i dwie walizki, a wokół wałały się ubrania, szale i biżuteria, jakby Aurora przed chwilą grzebała w bagażu. Nie zauważyłam tego wcześniej, ale suknie wiszące w kufrze wyglądały na wieczorowe lub koktajlowe i były dość wymyślne, z koronkami, haftami z perełek lub lśniącymi naszywkami z czarnych cekinów. Ciekawe, co za życie wiodła Aurora Paradise, że miała takie stroje.

- Kto to jest ta blond wariatka, która się tu przybujala z moim obiadem? Kto jej pozwolił? Co za bezczelność!

- Znasz ją. To córka pani Davidow, Jane. - Nie dodałam „Ree”.

- Boże drogi! Jeszcze jedna? To przecież oszustki! Czyhają na nasze pieniądze!

Zaskoczyło mnie, że mówi o „naszych” pieniądzach.

- No to mają pecha, bo matka żadnych pieniędzy nie ma.

- Pieniądze Paradise'ów. Twoja matka nie jest Paradise.

No, pokrój mi to. Ja mam reumatyzm.

I jakby chcąc to udowodnić, powoli rozprostowała i zgięła palce.

Wiedziałam, że nic jej nie jest, po prostu lubiła się rządzić. Siedziała, prostując i pocierając dłonie, jakby ją bolały. Dzisiaj były obciążone czarnymi mitenkami, robionymi na szydelku, zdobnymi w miniaturowe różyczki z jedwabiu. Wzięłam nóż i widelec i odkroiłam białe mięso od kości.

- Gdzie mój groszek?

- Na podłodze, tam gdzie go rzuciłaś.

Na szczęście talerze wylądowały na tacy i po podłodze rozsypało się niewiele jedzenia. Minimalna ilość sprzątanina, zapewne dla mnie.

Zrobiła zdumioną minę, wiedziałam jednak, że udaje.

- Ja? Nic podobnego! To ta dziunia cisnęła we mnie tacą!

Popatrzyłam jej w oczy, mam nadzieję, że bystro, i po chwili jej spojrzenie ześliznęło się ze mnie, po czym powędrowało do okna. Zmusiłam Aurorę Paradise do odwrócenia wzroku! Sprawilo mi to wielką przyjemność. Nadal patrząc w okno, zaczęła nucić pod nosem, jakby dawała mi do zrozumienia, że zapomniała o moim istnieniu. Pokroiłam kurczaka na kawałki wielkości kęsa, tymczasem nucenie przeszło w podśpiewywanie. Rozpoznałam *Alicję w błękitnej sukni*. Aurora okropnie fałszowała, śpiewała chrypliwie i przez nos, ale najwyraźniej sądziła, że jest świetna, bo położyła dłoń na piersi, uniosła podbródek i ryknęła: *Gdy tu zbłądziłem pierwszy raaaz...*

- Obiad stygnie! - musiałam podnieść głos, żeby przekrzyczeć te miaukoty.

Urwała nagle, jakby w ogóle nigdy nie śpiewała, i wraziła widelec w ziemniaki.

- Dużo masła. Doskonale.

- To klarowane masło.

Stałam - jak dotąd, nigdy nie raczyła mnie poprosić, bym usiadła - i drapiąc się po łokciach, zaczekałam, aż zaspokoii pierwszy głód. W końcu zagadnęłam:

- Myślałam o Rose. Opowiedz mi o niej coś więcej.

- O jakiej Rose? - zapytała z ustami pełnymi ziemniaków.

Westchnęłam ciężko.

- Wiesz o jakiej. Ty pierwsza o niej wspomniałaś. Rose Devereau.

Z gracją ujęła kciukiem i palcem wskazującym kawałek kurczaka i wrzuciła go do ust. Całkowicie mnie ignorowała.

- Mówiłaś, że grała na fortepianie - nie ustępowałam.

Bena Queena trzymałam w odwodzie, niczym asa w rękawie.

Wrzucała do ust kęsy kurczaka, póki się nie skończył, po czym wyciągnęła zza kołnierzyka serwetkę i jęła bez końca wycierać palce. Całkiem niepotrzebnie, po prostu chciała mnie zdenerwować.

Uroczyście wyciągnęłam z kieszeni pierwszą stronę gazety i rozwinęłam ją.

- No to pewnie nie ciekawi cię ta martwa kobieta, którą znaleźli przy moście White'a. W Lustrzanym Stawie - dodałam.

Wytrzeszczyła na mnie oczy, ale ja powoli złożyłam gazetę i pozbierałam rozsypane jedzenie na tacę, jakbym zamierzała wyjść.

- Martwa kobieta? Kto taki?

- Jakaś pani. Policja mówi, że się zabiła. Z pistoletu.

Pochyliła się ku mnie, żadna szczegółów.

- Samobójstwo?

- Chyba nie. Chyba morderstwo.

Ruszyłam do drzwi.

Jedno trzeba przyznać Aurorze Paradise - jako mistrzyni szantażu od razu pojęła, o co chodzi.

- Wracaj tu natychmiast! - Odęła wargi, jakby się zastanawiała. - Zaraz, zaraz, Rose... Ach tak, Rose Fern Devereau. Grała na fortepianie, a Isabel śpiewała. Słysząc je było nad całym jeziorem.

- Już o tym mówiłaś.

Ciekawe, skąd wiedziała, że to akurat Rose Fern (ładne imię moim zdaniem) grała na fortepianie. Aurora nie mówiła mi wszystkiego - albo też zmyślała.

- Bo wiesz, Isabel uważała, że jest wielką gwiazdą opery, a przecież to ja zawsze miałam głos. - I znów podjęła *Alicję w błękitnej sukni*, więc dałam jej zaśpiewać kilka taktów; w końcu trzymała się tematu, przynajmniej z grubsza. Urwała i powiedziała: - Ale Isabel śpiewała na Chautauqua i myślała, że jest wyjątkowa - ha!

Słowo „Chautauqua” zawsze miało dla mnie szczególne znaczenie. Powściągnęłam swoją żądzę informacji i na chwilę

się nad nim zamyśliłam. Miało w sobie coś magicznego, jakby przyjechał cyrk i rozstawił ogromny namiot, by olśnić Spirit Lake. Ale tu nie chodziło o namiot, lecz o stały amfiteatr, wciąż istniejący, choć nieużywany, który zbudowano na przelomie wieków wśród drzew na wzniesieniu po przeciwnej stronie szosy stanowej. Już dawno miał zostać rozebrany - drewniana konstrukcja przegniła i drażyły ją termyty, a część całkiem się zawaliła - więc Willowi i mnie surowo zakazano się tam bawić, co oczywiście robiliśmy nader często (kiedy jeszcze bawiliśmy się razem), bo niebezpieczeństwo to największa atrakcja każdej aktywności. Nazwą Chautauqua określano doroczny uroczysty letni koncert, na który zjeżdżali się różni sławni ludzie, muzycy i śpiewacy; wyblakłe zdjęcia, znalezione w szufladzie komody mojej matki, a także w starym albumie, przedstawiały kobiety w ogromnych kapeluszach i powiewnych, strojnych wiktoriańskich sukniach, nieco podobnych do kreacji w okrętowym kufrze Aurory.

Naprawdę żałowałam, że niedane mi było obejrzeć Chautauqua, a skoro go nie widziałam, to pragnęłam, by mi go przynajmniej opisano. Na dole w Różowym Słoniu miałam jedynie album, który wielokrotnie przeglądałam, ostrożnie przewracając jego szorstkie, poczerniałe kartki. Zdjęcia, które robimy obecnie, są wyraźne, ostre i kolorowe, lecz mnie interesują kolory przeszłości. Dlaczego musi być taka zamazana, taka wyblakła i wytarta na brzegach? Na zdjęciu zrobionym wczoraj niepotrzebny mi kolor, nie muszę widzieć błękitu jedwabnej sukienki Ree-Jane, bo mogę obejrzeć sobie Ree-Jane na żywo (niestety). Ale jakie były barwy sukien na Chautauqua? Naprawdę chciałybym to wiedzieć. Studiując album, maluję je w myślach bładą żółcią, dymnym fioletem, a nawet dżetową czernią. Jaskrawych kolorów unikam, choć pewnie i wówczas wiele kobiet ubierało się w krzykliwą czerwień, jasną zieleń i purpurę.

Co prowadzi mnie do wniosku: a zatem to jest kompromis. Skoro nie wiem, jakie były kolory sukni, mogę je

zabarwić, jak mi się podoba. Będą takie, jak zechcę, ale inne niż w rzeczywistości. A jeśli nawet takie same, to i tak nigdy się o tym nie dowiem. Może dlatego właśnie przeszłość jest tajemnicza, czasem wręcz myślę, że dlatego bywa niebezpieczna.

- A więc Rose grała na fortepianie? - podsunęłam.
- Właśnie. A ta wariatka Isabel śpiewała.

Niewiele się posunęłyśmy.

- Ktoś mi mówił, że grała Mary-Evelyn.
- Możliwe. A skąd ja mam wiedzieć?

Dopiła drinka i dmuchnęła w słomkę. Płyn na dnie szklanki zabulgotał.

- Nie uważasz, że to dziwne życie dla dziecka?
- Jakiego dziecka?

Wciąż bulgotała hałaśliwie, żeby mnie zirytować.

- Dla Mary-Evelyn. Takie życie z trzema dorosłymi kobietami.

Młasnęła kilkakrotnie i potrząsnęła szklanką.

- Nie miałabym nic przeciwko dolewce.

Westchnęłam. Zmuszenie jej, by mówiła do rzeczy, było absolutną niemożliwością. Najwyraźniej już nie pamiętała o samobójstwie/morderstwie opisanym w gazecie. Z takimi jak ona trudno się targować, bo wciąż zapominają, co jest przedmiotem targu.

- Będziesz musiała poczekać.

- Wcale nie, panno Mądralińska. Poproszę tę całą Lole, żeby mi zrobiła.

- Ona nie umie. Tylko ja znam przepis.

To jej dało do myślenia.

- Słuchaj - powiedziała, patrząc na mnie spod przymrużonych powiek - przyniesiesz mi drinka razem z deserem. Chcę kawałek anielskiego placka.

- A ta zamordowana kobieta już cię nie ciekawi?

Pomachała nonszalancko dłonią - „no, zmykaj, zmykaj”.

- Przecież to zmyśliłaś - dodała.

- Nic podobnego.

Wyciągnęłam gazetę i podetkałam jej pod nos. Odchrząknęła kilka razy „ehhhm”, po czym oznajmiła:

- Nie przeczytam tego bez okularów. - I pomacała kieszeń stalowoszarej sukni, a potem z roztargnieniem rozejrzała się po pokoju. - Gdzie one są? Kto je zabrał?

Z obrzydzeniem stęknęłam:

- Dobra, daj, przeczytam ci - i wyrwałam jej gazetę.

Pelen samozadowolenia uśmieшек Aurory powiedział mi, że właśnie o to jej chodziło. Naprawdę, to było wprost nie do zniesienia, że wciąż muszę wyciągać z niej informacje, choć minęła już ósma i jeszcze sama nie jadłam obiadu. Po głowie snuły mi się nieproszone obrazy steków i homarów, zdradzieckie, kuszące i prawdę mówiąc, dość idiotyczne, bo z wyjątkiem moich urodzin, nie mam najmniejszej szansy, by zobaczyć na talerzu homara albo *filet mignon*.

Skupiłam się na artykule i zaczęłam czytać, wkładając w lekturę swoje największe dramatyczne zdolności. Ale nie dotarłam nawet do końca pierwszego akapitu, gdy Aurora przerwała:

- Dobry Boże! Kto mógł napisać coś taaakie-eeego?

Ostatnie słowo wypiszcziała, jakby lamentowała na szczycie góry.

- Suzy Whitelaw-Smythe. Tak się nazywa. Z łącznikiem.

- Mówisz o tej okropnej dziewczusze od Whitelawów? O tej, co latała za każdą parą portek?

Ciekawe, pomyślałam, w jakim właściwie wieku jest Suzy Whitelaw-Smythe. Oczywiście, Aurora mogła mówić o czymś, co działo się dwadzieścia lat temu, a nie dwieście, choć często podejrzewałam, że właśnie tyle sobie liczy.

- Chyba tak - odrzekłam, ucieszona, że nareszcie znalazłam kogoś, kto nie dość, że ma smak literacki, to może mi dostarczyć plotek o Suzy Whitelaw, które będę później mogła rozpowiadać, kiedy Ree-Jane znajdzie się w zasięgu głosu.

- Dobry Boże! Że też ten oblesny staruch Edsel Broadwinters zamieścił w gazecie taki szajs! Na pewno zdjęła przed nim majtki!

Nie miałam pojęcia, o kim mówi.

- Chyba właściciel gazety nazywa się inaczej. Wydawcą jest pan Gumbel.

Uwagę o zdejmowaniu majtek zepchnęłam daleko w głąb umysłu, żeby zastanowić się nad nią później. Najważniejsze było ustalenie tożsamości zmarłej, reputacja Suzy mogła poczekać. I choć nade wszystko pragnęłam podjąć dyskusję o jej pisarskim stylu, to także musiało na razie poczekać.

- Do diabła, ty byś to lepiej napisała.

- Wiem.

- Można zwymiotować. „Skąpana w księżycowej poświacie, lśniąca tafla”? Przecież wszyscy wiedzą, że Lustrzany Staw to zamulona dziura. Czytaj dalej. Mam nadzieję, że dalej się poprawia?

Zamyśliłam się. A może należało odwołać się do przeświadczenia Aurory, że od stworzenia świata wszystko wie lepiej?

- Rzeczywiście, masz rację. To jest naprawdę źle napisane. Ale spróbuj nie zwracać uwagi na jej styl. Problem polega na tym, że nikt nie wie, kim jest ta kobieta. Nawet szeryf...

- Ten, jak mu tam, Sam DeGheyn?

Byłam zaskoczona, że to nazwisko coś dla niej znaczy, zwłaszcza że szeryfa nie było w okolicy, kiedy Aurora wyrosła z podkolanówek, więc zupełnie nie liczył się w jej życiu.

- Tak, szeryf nazywa się Sam DeGheyn.

Za każdym razem, gdy wymawiam jego nazwisko, mam uczucie, że brakuje mi tchu, toteż rzadko to robię, chyba że w Tęczy, podczas rozmów z Maud. Tam brzmi całkiem naturalnie.

- On też nie wie - powtórzyłam. - To prawdziwa zagadka. Aurora zmrużyła oczy, przypuszczalnie, żeby się skupić.

Miałam nadzieję, że jakoś zdoła skoncentrować się na temacie.

- Hmm. No, dalej, przeczytaj do końca.

Przeczytałam, starając się, by opis jasnowłosej kobiety - jej wygląd, domniemany wiek, ubranie - zabrzmiał jak najwyraźniej.

Aurora zapatrzyła się w okno, choć za nim widać było tylko ciemność. Potem wzięła do ręki karty i przetasowała je. Milczała.

Wciąż stałam, bo rzecz jasna, wciąż nie poprosiła mnie, bym usiadła. Czulałam coraz większe zmęczenie. Siedziała, gapiąc się w pustkę, tasując karty w zwolnionym tempie, jakby właściwie myślała nie o nich, lecz o artykule w gazecie, i na przemian wciągała i wydymała wargi, jak to robią tłuste rybki w zmętniałym akwariu Willa. Byłam wyczerpana z głodu (nic w tym niezwykłego) i z powodu całego tego stania, więc wykręciłam nogi kostkami na zewnątrz i stanęłam na krawędziach stóp, tak jak to robiłam w dzieciństwie, a tace, którą dotąd trzymałam pod pachą, przytuliłam do piersi - piersi zresztą zaczynały mnie martwić, a to z powodu podstępnych uwag Ree-Jane, że mi „widać”. (W Księżce Rodzaju Ree-Jane z pewnością byłaby wężem: pełzałyby w raju po okrytej rosą trawie, stawałyby na ogniu i opowiadały ludziom rzeczy, których woleliby nie słyszeć).

Ułożone nienaturalnie stopy bolały mnie jak sto diabłów, więc powrót do poprzedniej pozycji sprawił mi niemal ulgę. Byłam zdumiona, że Aurora poważnie zastanawia się nad tą sprawą, do tego stopnia, że zwątpiłam, czy w istocie o niej myśli, czy też po prostu kombinuje, jak skuteczniej oszukiwać przy kartach.

Dopóki nie zapytała:

- Czy ktoś ma zdjęcie? Musi być jakieś zdjęcie.

Zmarszczyłam czoło.

- Znaczy, jej zdjęcie? Tej zmarłej?

- No, chyba nie twoje, panno Mądralińska.

W jej głosie nie było złośliwości, po prostu taki miała nawyk.

- Zamieścili zdjęcie w gazecie, ale nic na nim nie widać.

O żadnych innych zdjęciach nie słyszałam.

- Szeryf pewnie ma ich całe mnóstwo. Zawsze zabierają fotografa na miejsce zbrodni, żeby zarejestrować stan ciała. I całej reszty. Bardzo tego przestrzegają.

Powoli zaczęła układać rząd kart.

- Na litość boską, przecież szeryf mi ich nie da! Nikomu by nie dał!

A przynajmniej nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

- No to mu ukradnij - rzekła spokojnie, kładąc czerwonego waleta na czerwonej damie.

- Co? Mam coś ukraść?

Zwariowała czy co? To znaczy, owszem, zwariowała, zawsze o tym wiedziałam.

- Chcesz się dowiedzieć, kim była, czy nie?

Nie odpowiadałam. Zerknęła na mnie spod starannie utrzymanych siwych brwi.

- Bo ja prawie się domyślam, ale muszę mieć absolutną pewność.

Zatkało mnie.

- To... to... - zabelkotałam - to dlaczego nie powiesz od razu?

- Bo rozpaplesz wszystko po całym mieście.

I zaczęła nucić.

Miałam ochotę cisnąć w nią tacą.

- Wcale nie!

Nucąc, umieściła na walecie czarną dziesiątkę. Jej wargi wciąż poruszały się w ów rybi sposób. Nie odpowiadała.

Stałam niezdecydowana, a moje palce nerwowo postukiwały w tacę.

- No... ale... nie mogę... co będzie... co będzie, jak mi się nie uda?

Pomyśl, żeby ukraść coś z biura szeryfa, przeraził mnie. Nie chodziło o samą kradzież; nie byłam znów taka uczciwa. Ale szeryfowi?

Zadałam sobie jednak pytanie: skąd człowiek, który przyszedł do sklepu Brittena, wiedział, że zmarła była „dziewczyną od Bena Queena”? Musiał widzieć ciało albo jakieś zdjęcie, bo z fotografii w gazecie nie sposób było nic wynioskować. Może to z nim powinnam porozmawiać? Tyle

że kompletnie go nie znałam, a nie wyglądał na przyjaźnie nastawionego do dzieci.

- To co, ukradniesz to zdjęcie? - warknęła Aurora.

- Nie.

- Tchórz.

- Chcesz, żebym wkroczyła na drogę przestępstwa.

Chcesz, żebym miała kłopoty.

- Niewiele byś zdziałała jako przestępca, panienko.

Z plaśnięciem rzuciła waleta karo na damę kier.

Najbardziej doprowadzało mnie do szału to, że nie wiedziałam, ile prawdy jest w słowach Aurory. A jeśli tylko udawała, że domyśla się, kim jest zmarła? Żeby zagrać mi na nerwach? Przygryzłam wargę, gotując się ze złości. Może powinnam wspomnieć o tym, co podsłuchałam u Brittena, że to „dziewczyna od Bena Queena”? Mogłam to zrobić - ale nie chciałam. Nie wiem dlaczego. Chyba nie lubię zbyt szybko dowiadywać się prawdy, nie chcę, by nagle weszła niczym słońce i mnie oślepiła. Lepiej, kiedy powoli ciurka. Tak uważam. Ale, pomyślałam, mogę wspomnieć, że jakiś człowiek u Brittena twierdził, że wie, kim była zmarła, nie mówiąc Aurorze, co dokładnie powiedział. Nie, to na nic - była za chytra na taki numer.

- No, co tak stoisz? - burknęła. - I nie myśl sobie, że mnie przekupisz tym Zimnym Indykiem.

Ukradkiem położyła na czerwonym walecie dziesiątkę pik i przesunęła ku mnie szklanke.

- Po prostu lubię patrzeć, jak oszukujesz przy pasjansie.

Nie można kłaść czerwonych na czerwone, to ogólnie znana zasada.

Mocno zacisnęła wargi.

- Tych zasad nauczył mnie mój tatuś. - Nabzdyczyła się, wskazując na asa, króla, damę i waleta ułożone w jednym rzędzie, kara i kiery na przemian: - Figury muszą być tego samego koloru... - Tu jej wzrok padł na ostatni rząd, gdzie dziesiątka kier leżała na walecie karo. - No i dziesiątki. Asy do dziesiątek - czerwone na czerwonych albo czarne na

czarnych. Dziewiątki do dwójek - czarne na czerwonych albo na odwrót. - Machnęła ręką, żebym sobie poszła.

- Doprawdy? - przybrałam sarkastyczny ton. - To co ta dziesiątka pik, którą właśnie położyłaś, robi na czerwonym walecie?

Przetasowała karty, zastanawiając się przez chwilę.

- Dziesiątka pik to jakby dzoker, nie mówiłam o tym? Zastępuje dzokera i może pójść wszędzie.

Ale kłamczucha! Wściekła porwałam jej pustą szklanę, obróciłam się na pięcie i wymaszerowałam z pokoju, słysząc ścigający mnie wrzask:

- I nie siedz za długo przy obiedzie - robisz się gruba!

U szczytu schodów odwróciłam się, wywaliłam język i potrząsnęłam głową w tył i w przód, jakby w ten sposób mój język mógł się wyrwać, przelecieć przez ścianę i zdzielić starą w plecy. Po czym, tupiąc co siłą, skierowałam się na dół. Trzy piętra tupania.

Korzystając z nieobecności Loli w biurze, następnego Zimnego Indyka zrobiłam jeszcze przed obiadem, żeby mieć to z głowy. Zrobiłam go byle jak, wlewając po trochu ze wszystkich czterech butelek, wyciągając z wiaderka nieliczne pływające kostki lodu (w międzyczasie musiała się tu odbyć niezła impreza), a na końcu dolewając sporą miarkę burbona. Nie zamierzałam wracać na górę, to pewne. Otworzyłam drzwiczki ręcznej windy i przyjrzałam się jej uważnie. Wyglądała normalnie; wcale bym się nie dziwiła, gdyby się okazało, że w ogóle się nie zacięła, tylko pani Davidow po jedenastym martini doszła do wniosku, że jest zepsuta. Postawiłam w środku szklanę, szarpnęłam za sznur i przy wtórze hurgotów i zgrzytów wysłałam ją na trzecie piętro, jednocześnie łomocząc w ścianę. To był umówiony sygnał - toteż połomotałam sobie jak wszyscy diabli.

Tego wieczora leżałam w łóżku, zanurzona w granatowej ciemności swego pokoju na drugim piętrze, słuchając dalekich

dźwięków radia czy też gramofonu. Gdzieś grała muzyka.

Spoczywałam, rozkosznie pełna udek kurczaka i purée z ziemniaków pływającego w kałużach masła. Matka nigdy nie robi w ziemniakach wgłębień na sos, takich, jakie widuje się w podrzędnych barach i restauracjach. Uważa, że to strasznie „pospolite”. Oczywiście, można polać sosem mięsnym ziemniaki podawane z sandwiczem z wołowiną na gorąco, bo to danie stanowi całość. Lecz matka nigdy nie przyrządza takich sandwiczów, bo jej zdaniem one również są „pospolite”.

Niebycie pospolitym w biblii mojej matki mogłoby śmiało zająć miejsce któregoś z Dziesięciorga Przykazań. „Nie będziesz pospolity” jest dla niej równie ważne, jak zakaz kradzieży lub kłamania (Aurora chyba nigdy ich nie czytała) albo oszukiwania i zabijania - jak wszystkie przykazania z wyjątkiem, być może, tego o czczeniu ojca i matki swojej. „Pospolitość” w wersji mojej matki to okropnie skomplikowane pojęcie. Zasadniczo ma związek z wykształceniem i wychowaniem, na przykład matka nie jest specjalnie wykształcona, ale posiada nieskazitelne maniery. Nie-bycie-pospolitym (dla słowa „pospolity” nie istnieje przeciwieństwo, z pewnością nie jest nim słowo „niepospolity”) zazwyczaj oznacza, że ktoś został starannie wychowany lub dobrze wykształcony, lub obie te rzeczy na raz. Doskonałym przykładem „pospolitości” jest Walter (przynajmniej wedle mojej matki), bo nie zaznał ani jednego, ani drugiego, a w dodatku jest trochę niedorozwinięty - właściwie jest taki „pospolity”, że wręcz nie warto go rozpatrywać. Prawdę mówiąc, każda pomoc kuchenna jest „pospolita”, nawet Vera (miewam takie podejrzenie), choć matka nigdy głośno tego nie przyzna; Vera prawdopodobnie balansuje na krawędzi „pospolitości”. Z drugiej strony, istnieją ludzie, którzy po prostu nie mieszczą się w tej definicji. Weźmy taką Marge Byrd, która, można by sądzić, „pospolituje się” okropnie, wnosząc do biura butelki whisky w papierowych torbach.

Ale nie - Marge jest zbyt oczytana, by być „pospolitą”, a ponieważ matka też bardzo dużo czyta, to bez przerwy wymienia z nią opinie o książkach. Tak, „pospolitość” jako idea posiada wiele niuansów.

Leżałam sobie, rozmyślając na ten temat, usiłując odzielić to, co „pospolite”, od całej reszty, zaczęłam się nawet zastanawiać, czy nie jest tak, że „pospolity” jest ktoś, kogo matka osobiście nie lubi, ten zaś, kogo lubi - nie. Uznałam jednak, że muszę docenić jej zdolność czynienia subtelnych rozróżnień. Matka nie bywa prostacka. Rzecz pewnie w tym, że do gotowania i pospolitości stosuje tyle reguł, ile Aurora do układania swych pasjansów.

Rozważałam to sennie przez jakiś czas i już myślałam, że mi się śni, kiedy usłyszałam śpiew. Otworzyłam oczy i nadstawiłam uszu.

Gdy tu zbłądziłem pierwszy raaaz... spływało z trzeciego piętra i niesło się łagodnie po korytarzach. Zimny Indyk spełnił swoje zadanie.

28.

Vera nadal była chora, więc musiałam przejść jej stałych śniadaniowych gości, a w dodatku obsłużyć pannę Berthę, która przy śniadaniu najbardziej daje się we znaki. Po prostu jest za duży wybór. Oprócz zwykłych sposobów przyrządzania jajek matka wymyśliła mnóstwo innych - na przykład wśród dań z jajek czasem muszę wyliczać jajka po wiedeńsku, czego nienawidzę, bo nikt nie wie, co to właściwie jest. Poza tym goście zawsze żądają dokładnego opisu potraw typu „omlet po florencku” (wcale im się nie dziwię). Z drugiej strony, kiedy widzę „omlet” w jadłospisie gdzie indziej, ogarnia mnie pusty śmiech, bo w wydaniu większości kucharzy omlet niewiele różni się od jajecznicy. Moja matka przed dodaniem żółtek ubija białka, że aż lśnią; jej omlety są

wysokie, puszyste i delikatne jak obłoki, a już omlet wypełniony jednym z jej farszów to obrazek wręcz nie z tego świata. Nie mogę pojąć, dlaczego wytworne pisma kulinarne nie pchają się do Hotelu Paradise, żeby robić zdjęcia naszym omletom.

Tak czy inaczej, próbowałam wyobrazić sobie Verę naprawdę chorą, ale przychodziło mi to z dużym trudem. Niepodobna, by jakaś choroba zdołała powalić to żylaste ciało i przyprawić je o ataki kichania i siąkania, westchnienia bólu i gorączkowe dreszcze. No i rzecz jasna, nie można było oczekiwać, że Ree-Jane, która wczoraj wieczorem podawała do obiadu (po czym pewnie poszła na swoją sekretną randkę z Nieznajomym), dziś rano zdoła się zająć czymkolwiek oprócz spania. Tak więc do obsługi tuzina stolików zostałyśmy tylko Anna Paugh i ja.

Tego ranka skupienie się na bułeczkach, plackach kukurzydźnianych i babeczkach z pomarańczą sprawiało mi szczególnie trudność - chciałam czym prędzej zejść do Różowego Słonia i poczynić plany - toteż popełniłam kilka pomyłek (jak zwykle), których większość wylądowała na stole panny Berthy (również jak zwykle). Na przykład podałam jej omlet kalifornijski, pyszne warzywa w puszystych jajecznych fałdach, chociaż zaklinała się, że nigdy go nie zamawiała. Kiedy więc zaczęła walić laską o podłogę, domagając się uwagi, skryłam się w kuchni i poprosiłam Annę Paugh, by mnie zastąpiła. Na szczęście Anna jest miła i wyrozumiała - Hotel Paradise nie zdążył jej jeszcze wykrzywić.

Kiedyś, dawno temu, gdy byłam bardzo mała, hotel zatrudniał pół tuzina Kelnerek, które mieszkały w skrzydle kuchennym w pokojach nad pralnią. Żeby tam dotrzeć, trzeba pokonać najwęższe i najciemniejsze schody, jakie widziałam w życiu. Od podestu na górze odchodzi wąski korytarz, przy którym znajduje się sześć pokojów, trzy po lewej i trzy po prawej stronie. Kilka jardów dalej korytarz się rozgałęzia i przy lewej, szerszej odnodze mieszczą się kolejne pokoje, osiem lub dziesięć, w dawnych czasach używane przez resztę

obsługi. Układ pomieszczeń jest taki, że Kelnerki miały oddzielną przestrzeń tylko dla siebie.

Naprawdę kochałam Kelnerki. Zresztą zawsze wolałam przebywać z pracownikami hotelu niż z dziećmi gości - większość z nich zadziera nosa i oczekuje, że zawsze będzie wygrywać w krokieta i inne gry tylko dlatego, że ich ojcowie płacą za pobyt.

Matka nie mogła wiedzieć, ile czasu spędzam w pokojach na zapleczu, gawędząc i śmiejąc się z Kelnerkami, bo z pewnością uważała je za „pospolite”. Kelnerki (zawsze myślałam o nich dużą literą, jak o całości) chyba były młode, ale kiedy ma się sześć czy siedem lat, dwudziestoletnia dziewczyna robi wrażenie egipskiej starożytności, tajemniczej i nieosiągalnej. Nieosiągalnej, rzecz jasna, w tym sensie, że nijak nie potrafiłam sobie wyobrazić, iż kiedykolwiek dorosnę do ich wieku, wzrostu i urody, gdyż wszystkie były śliczne, o twarzach jakby rzeźbionych z kości słoniowej i złotych, rudych lub hebanowych włosach. Bawiłam się doskonale zwłaszcza w sobotnie wieczory, gdy Kelnerki uruchamiały stary patefon, nastawiały płyty i tańczyły ze sobą. Ubierały mnie wówczas w którąś ze swych „wieczorowych kiecek” i delikatnie malowały mi usta. Do dziś pamiętam ciemnoniebieską suknię z tiulu, nazywaną cekinami, którą uważałam za najwytworniejszą kreację na świecie. A przynajmniej tak sądzę teraz, bo nie pamiętam, co wtedy myślałam. Ale pamiętam, że uwielbiałam przebierać się i tańczyć. Kochałam te korowody w pokojach nad pralnią.

Napisałam, że Kelnerki było pięć czy sześć, ale nie jestem tego pewna, mogło być ich cztery albo osiem. A może tylko trzy. Sprawiały wrażenie tak radosnych, tak bardzo lubiły się bawić, że zawsze jawiły mi się niczym stadko stłoczonych w grupkę flamingów, jak na tych obrazkach, które czasem wypożycza Biblioteka Okręgowa im. Abigail Butte. Albo grupka baletnic na tych innych obrazach - chyba bardzo sławnych - które ukazują tancerki w tiulach i jedwabiach podczas ćwiczeń rozciągających, niekiedy z nogami na

drażku. Kelnerki były barwne jak owe flamingi i giętkie jak baletnice.

A poza tym należały do epoki, gdy nasza sala widowiskowa, daleko na tyłach hotelu, jeszcze stała; nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego spłonęła i co Will albo ja (jeśli w ogóle) mieliśmy z tym wspólnego. Do epoki, gdy jeszcze miałam psa, który później został przejechany na szosie przy wylocie podjazdu, a ja, widząc nadjeżdżający samochód, rzuciłam się na jezdnię, lecz ktoś (lub coś) mnie powstrzymał. Do epoki, kiedy jeszcze żył mój ojciec.

Kelnerki miały w sobie rodzaj magii, jakby ktoś wyciągał kwiaty z cylindra lub tęczowe, nieskończenie długie szale z rękawa. Wydawało mi się, że w jakiś sposób ninie chronią, trochę tak, jak magik chroni nas przed ujrzeniem pustki; pfft - parawan się odsuwa i tam, gdzie przedtem była pusta przestrzeń, ukazuje się wazon róż lub rajski ptak.

I choć zapewne odchodziły po kolei, miałam wrażenie, że zniknęły jednocześnie; widzę je wszystkie - albo nie widzę żadnej.

Siedząc w Różowym Słoniu (jak tego ranka po śniadaniu) z notesem i pudełkiem pełnym zdjęć i innych przedmiotów, często rozmyślam o Kelnerkach. To już wspomnienie. Głowa mi ciąży, więc układam ją na złożonych ramionach i myślę: jeśli wspomnienia w tej chwili są tak bolesne, to co będzie, gdy dobrnę do dwudziestki? bądź czterdziestki? Trzydzieści lat wspomnień, by mnie przygniatać, coraz więcej rzeczy do stracenia. Bo przecież w pewnej chwili wszystko stanie się wspomnieniem: panny Flyte i Flagler, bracia Wood, Maud. Szeryf. To ostatnie było tak niesłychane, że poderwałam głowę jak marionetka pociągana za sznurki.

Coraz więcej utraconych rzeczy. A tym, co je zastępuje, co zajmuje miejsce Kelnerek, jest Vera, szara, żylasta, z wyciągniętą długą szyją, wkraczająca do jadalni niczym stalowy kogut. To wręcz niemożliwe, że wszystko tak się zmienia. To niemożliwe, że Kelnerki odeszły i zabrały ze sobą ciemnoniebieską tiulową suknię.

29.

Zakończywszy smutne rozmyślania w Różowym Słoniu, wreszcie zabrałam się do robienia planów. Postanowiłam przede wszystkim wybrać się do miasta, do sądu, ale nie chciałam tracić czasu, idąc na piechotę, bo była już dziesiąta, a ja musiałam wrócić na dwunastą, żeby podać lunch. Obsługiwanie stolików rozbija dzień, że coś okropnego.

Poszłam do biura na zapleczu, żeby wezwać taksówkę od Axela (upewniwszy się najpierw, czy Ree-Jane nie czai się w zasięgu głosu). „Dyspozytorka” (nie wiem, po co Axelowi dyspozytorka, skoro ma tylko dwie taksówki) powiedziała, że przyśle Delberta, jak tylko wróci z trasy, co zaraz nastąpi, bo tylko zawiózł pannę Isabelle Barnett na stację, a już słychać nadjeżdżający pociąg. (Każdy, kto wzywa taksówkę w naszym mieście, zna wszystkie poruszenia innych pasażerów).

Oświadczyłam, że nie mam nic przeciwko Delbertowi, ale wolałabym Axela. Oczywiście, wiedziałam, że nic z tego nie będzie, chciałam tylko sprawdzić, co się stanie.

- Och, złotko, Axel ma daleki kurs, prędko nie wróci.

Mogłam poczekać (nie mogłam, ale tak powiedziałam).

- Axel pojechał aż do Hebrides, kotku, naprawdę, nie będzie go przez dłuższy czas. Delbert zaraz cię zabierze... - aa, o wilku mowa, właśnie podjechał.

Westchnęłam, podziękowałam i zadałam sobie pytanie, dlaczego dyspozytorka nigdy nie mówi o pasażerach Axela, kim są i dokąd jadą. Może dlatego, że ona także ich nie widzi.

Kiedy Delbert wysadził mnie pod gmachem sądu, weszłam do środka i przyczałam się w holu, gotowa schować się w ciemnej wnęce przy automacie z wodą, gdyby drzwi biura szeryfa nagle się otworzyły.

Usłyszałam jego głos, jakby głębokie dudnienie, a za matową szybą zamajaczyła zamazana postać. Domyśliłam się,

że zaraz wyjdzie, więc czym prędzej wcisnęłam się do wnęki. Tym razem (pierwszy raz w życiu) nie chciałam się z nim spotkać, przynajmniej nie w tej chwili.

Wreszcie otworzył drzwi; ukryta za automatem śledziłam, jak zmierza do wyjścia i oddala się kamiennym chodnikiem, aż w końcu zostaje z niego tylko czarna, oświetlona słońcem sylwetka, po czym ruszyłam po marmurowej posadzce holu (gmach sądu jest całkiem elegancki) i weszłam do biura.

Donny i pozostali dwaj zastępcy sprawiali wrażenie mocno zajętych, a obie sekretarki żwawo stukwały w maszyny. Jedna z nich uniosła głowę i ani na chwilę nie przestając pisać, uśmiechnęła się do mnie przez glut gumy do żucia, którą następnie wydmuchała z trzaskiem (jakby mówiła „cześć”).

Donny, który zawsze usiłuje strugać waźniaka, siedział rozparty za biurkiem szeryfa, oparłszy nogi na blacie, i marszcząc brwi, z uwagą wpatrywał się w coś, co wyglądało na fotografię. Byłam tego niemal pewna, mimo że widziałam tylko odwrotne strony.

Fotografie policyjne. Zrobiło mi się trochę zimno.

Zerknął na mnie sponad połówek okularów, w których robił wrażenie starszego od szeryfa, choć w rzeczywistości jest młodszy, przełożył oglądane zdjęcie na spód pliku i oznajmił, że Sama nie ma.

- Ojej - udałam rozczarowanie. - Wie pan, dokąd poszedł?

- Chyba do Tęczy. Mówił, że ma ochotę na chili.

Niecałe dwie godziny temu zjadłam porcję placków kukurydzianych, smażonych kiełbasek oraz jajko sadzone, a jednak mój żołądek usłyszał zew chili. Zignorowałam go.

- Pewnie jesteście bardzo zajęci, znaczy, odkąd znaleźliście tę kobietę w Lustrzanym Stawie.

- Mhmm.

Z rozmachem plasnął odwróconym zdjęciem o bibułę w zasięgu moich palców. Cofnęłam dłoń.

Donny jest jak większość dorosłych: nie wierzy, że można poważnie rozmawiać z dzieckiem, więc trzeba wyciągać z niego informacje podstępem. Co ja najwyraźniej i tak lubię robić. Ta refleksja wprawiła mnie w głęboką zadumę.

- No trudno - udałam, że zbieram się do odejścia. - Zaraz, zaraz - zaszcebiotałam, jakbym właśnie wpadła na wspaniały pomysł - a może zna pan człowieka ze Spirit Lake, który ma na imię Jude? Nie wiem, jak mu na nazwisko. Ale on zna pana. - Kolejne kłamstwo; to ktoś inny powiedział, że zna Donny'ego.

Donny zrobił minę, jakby szukał owego nazwiska w rozumie, po czym pokręcił przecząco głową.

- Byłam wczoraj w sklepie Brittena, żeby kupić parę rzeczy do hotelu, i on tam był - wyjaśniłam.

- A twoja mama jak się czuje?

Ludzie nigdy nie zapominali zapytać o matkę, co mi się podobało. Prawie nikt nie pytał o panią Davidow.

- Dziękuję, doskonale. W każdym razie ten cały Jude twierdzi, że wie, kim jest ta kobieta. Była.

- Kim? - zmarszczył czoło Donny.

- Podobno... - zagryzłam wargę i tak jak przy Aurorze, zawahałam się, czy powiedzieć „dziewczyna od Bena Queena”. - Niezbyt dobrze słyszałam, co powiedział. Ale ciekawi mnie co innego - ten cały Jude chyba nie widział miejsca zbrodni, prawda? Tylko wyście tam byli. - Objęłam wzrokiem pozostałych zastępców, którzy pochłonięci rozmową nie zwracali na nas uwagi. - Więc skąd może wiedzieć, kim była? Zdjęcie w gazecie nie jest zbyt dobre.

Oczy Donny'ego odruchowo powędrowały ku zdjęciom, które trzymał w ręce.

Odgadłam właściwie - to były fotografie zmarłej.

- Nie. - Złożył je, starannie umieścił w szarej teczce oznaczonej numerem i schował teczkę do głębokiej szuflady biurka. - Więc nie pamiętasz, co mówił?

- Nie. Tylko, że to ta... dziewczyna.

Odchylił się na krześle, zaplótł dłonie za głowę i oparł wielką podeszwę o krawędź biurka; wyraźnie chciał pokazać, kto tu rządzi.

- Dziewczyna, znaczy przyjaciółka?

- Nie, nie... raczej córka. Tak jak „chłopak” czasem oznacza syna.

Znów zmarszczył czoło w zadumie.

- Myślisz, że ten Jude może być w to jakoś zamieszany?

Wstrząśnięta cofnęłam się niezdarnie i uniosłam dłonie, jakbym chciała odpędzić coś okropnego.

- Nie, nie, skądże! Nie, on tylko mówił, że domyśla się, kim ona jest. - Wydobyłam z dna pamięci nazwisko. - Ktoś inny wspomniał Louellę Smitt. I ten ktoś powiedział, że słyszał to w biurze szeryfa.

Donny otworzył szeroko oczy.

- Na pewno nie! Nam nie wolno rozmawiać o prowadzonych sprawach! Ludzie okropnie lubią zmyślać, przez to czują się ważniejsi!

- Od razu tak pomyślałam.

W duchu bardzo się ucieszyłam, że porzuciliśmy temat „zamieszania” Jude'a.

- Mówili też, że opis w gazecie nie jest zbyt dokładny. - To było kłamstwo, ale prawda jak dotąd nie zaprowadziła mnie zbyt daleko. - Podobno była młodsza, niż pisali. I miała jaśniejsze włosy. - Wstrzymałam oddech.

Donny zaczął odwijać kawałek gumy do żucia.

- Nie wiem, skąd im się to wzięło.

- Ja też nie wiem. Ale przypominam sobie, że jeszcze ktoś mówił, że wcale nie była taka młoda. I nie była blondynką.

Wzruszył ramionami.

- Zależy, co kto rozumie przez „młoda”. Albo „blondynka”.

Nie dało się z nim wygrać.

- Zależy, co kto rozumie przez „młoda”. Albo „blondynka”.

Mówiąc te słowa, zerknęłam na niedojedzone przez szeryfa chili.

Popatrzył na mnie przeciągle, aż oderwałam wzrok od jego miseczki.

- Chcesz to chili?

- Nie. Nawet nie pora na lunch - odparłam wzgardliwie. Drażniło mnie, że nie reaguje na moje uwagi. Właśnie omawialiśmy z Maud artykuł w gazecie.

- A po co jej zimne resztki twojego chili? - Ton Maud był kąśliwy; znów popadła w jeden ze swych „nastrojów”.

- Bo je lubi - odparł szeryf pojednawczo. I się uśmiechnął.

Niezwykłe rzadko reaguje na czyjeś humory. Nie wiem, jak mu się to udaje, bo to, co niekiedy z Maud mówimy, powinno doprowadzać go do rozpacz. W każdym razie to, co mówi Maud.

- Dobry Boże - powiedziała teraz - przecież mogę jej przynieść gorące, jeśli zechce.

- Nie chcę. Jeszcze nie pora na lunch. Nie rozumiem, jak ktoś może jeść lunch tak wcześnie.

- Nie jadam śniadań - wyjaśnił szeryf.

- Więc jak pan może jeść chili na śniadanie?

- No i co, chłopaki pracują? - zapytał szeryf, ignorując krytykę swych zwyczajów żywieniowych. - Czy tylko udają?

Napomknęłam już, że wracam z sądu, choć nie wspomniałam, że Donny rozpiera się za jego biurkiem, nadęty jak nie wiadomo co. Opowiedziałam mu również, że podsłuchałam, jak ktoś określił artykuł w gazecie jako niedokładny, lecz pomna słowa „zamieszany”, którego użył Donny, oświadczyłam, że nie pamiętam, kto to był. A potem dodałam uwagę o młodej blondynce.

- Faktycznie, w jakim była wieku? - zapytała Maud. - Bo nie mówileś?

- Ano nie.

Szeryf pogrzebał w paczce cameli, stwierdził, że jest pusta, i zgniótł ją w garści.

Zauważyłam, że Maud nie częstuje go papierosem. To była kara za tajemniczość.

- Pewnie nie potrafisz ocenić, ile kto ma lat.

Usta mu drgnęły, jak wtedy, kiedy próbuje powstrzymać śmiech.

- Była mniej więcej w twoim wieku. I miała podobne włosy. Zadowolona?

Zalała mnie fala ulgi, lecz zaraz zrozumiałam, że mówi tak, żeby zakpić sobie z Maud.

- Problem polega na tym - rzekła Maud, patrząc na mnie - że Sam dziś wie nie więcej niż dwa, ba, prawie trzy dni temu, ale nie chce się do tego przyznać, więc udaje, że wszystko jest strasznie tajne.

Wsadziła papierosy do kieszeni, poklepała ją, po czym wdmuchwała zgrabne kółko z dymu.

- Mhmm. - Szeryf lekko uniósł się z miejsca i spojrzął za siebie ponad oparciem, jakby przy kontuarze, gdzie urzędowała Shirl z resztą gości, działo się coś znacznie ciekawszego niż tutaj.

- No przecież nie wiesz nic więcej, prawda?

Naprawdę była zła, że szeryf nie chce jej nic powiedzieć.

- Póki trwa dochodzenie, nie mogę o tym rozmawiać. - Jego uśmiech doprowadzał Maud do szału.

- Tak się zastanawiam - wtrąciłam. - Ten człowiek, który podobno wie, kim ona jest, chyba musiał widzieć zdjęcia ciała? Bo inaczej skąd by wiedział?

Maud potarła ramiona.

- Aż mnie dreszcz przechodzi.

- Może znał ją, a może znał kogoś, za kogo ją bierze - wtrącił szeryf i zamyślił się: - Na pewno nie pamiętasz, gdzie i od kogo to słyszałaś?

Machinalnie pokręciłam głową, gapiąc się na niego olśniona. Wyjaśnienie było takie proste! Przez cały czas patrzyłam na sprawę tylko z jednej strony, nie uświadamiając

sobie, że istnieje druga. Dlaczego założyłam, że Jude rozpoznał ofiarę osobiście bądź na zdjęciu w gazecie? Przecież mogło być odwrotnie: może przypuszczał, że ją zna, bo zaginęła osoba odpowiadająca jej mętnemu opisowi!

Jakbym doznała objawienia.

Maud wstała i wróciła za kontuar, ale nie jestem pewna, czy się z nią pożegnałam, tak głęboki był mój namysł. Wyobraziłam sobie, jak Jude mówi do kogoś: „Coś od dawna nie widziałem tej dziewczyny od Queenów”, a ten ktoś odpowiada: „Nie, ale powiadają, że ta kobieta, co ją znaleźli przy moście White'a, jest do niej trochę podobna”. Koniecznie musiałam odnaleźć Jude'a. Ze sposobu, w jaki zwracali się do niego znajomi, odniosłam wrażenie, że nie mieszka w Spirit Lake i nieczęsto bywa u Brittena.

- Chcesz sprawdzić ze mną parkomaty?

Głos szeryfa wyrwał mnie z zadumy. Otrząsnęłam się.

- Parkomaty? Och, nie. Nie mogę, muszę wracać i podawać do stołów.

Wstał, rzucił na stół kilka dolarów i poprawił pas z kaburą.

- Chcesz, żeby cię podrzucić? - Patrzył na mnie oczyma, które z każdą chwilą coraz bardziej niebieszczały. Uśmiechał się.

- Eee... nie, ja... - Chciałam po drodze zajrzeć do sklepu Brittena, a nie miałam ochoty się tłumaczyć. Nigdy dotąd nie zrezygnowałam z przejażdżki z szeryfem, nigdy. - Wezmę taksówkę.

Szeryf starannie umieścił na głowie kapelusz, zawadiacko pstryknął w rondo, znów się uśmiechnął, po czym wyszedł z Tęczy.

Jeszcze przez moment zastanawiałam się nad Jude'em, a potem spuściłam wzrok. Dlaczego, u licha, trzymałam w ręce łyżkę? Odłożyłam ją i spojrzałam na miskę chili szeryfa. Pusta. Zjadłam wszystko, co w niej zostało.

A on nie powiedział ani słowa.

Taki właśnie jest szeryf.

W taksówce (z Delbertem za kierownicą) do Spirit Lake przećwiczyłam sobie, co powiem stałym bywalcom, którzy wczoraj byli w sklepie, jednakże nie przewidziałam, że zastanę tam tylko pana Brittena, co zupełnie udaremniało moje plany. Pan Britten nie jest szczególnie gadatliwy nawet w sprzyjających okolicznościach, a ja z pewnością nie kojarzę mu się z niczym sprzyjającym. Na mój widok chowa dłoń pod brązowym swetrem, pochyla głowę i z upodobaniem śledzi mnie spode łba, znad okularów w czarnych oprawkach, jakby się obawiał, że lada moment spróbuję mu przyłożyć.

Teraz też tak na mnie patrzył - podejrzliwie, zastanawiając się, co mnie znów przyniosło. Musiałam natychmiast wymyślić coś, po co mogła przysłać mnie matka.

- Ciasto w proszku Bisquick - poprosiłam.

- Dużo się u was piecze. Przed chwilą dwa pudełka wyszły stąd z Walterem.

W relacjach pana Brittena towary zawsze działają samodzielnie. Nikt ich nie kupuje - zawsze „wychodzą”, „wyskakują” albo „walczą o miejsce na półkach”. Niekiedy wyobrażam sobie puszki, słoiki, torby i pudełka wyprawiające najdziwsze brewerie, aż sklep się trzęsie od ich aktywności.

- Walter już tu był? Jak to? Przecież to ja miałam kupić bisquick!

Przewróciłam oczami i potrząsnęłam głową, jakby w Hotelu Paradise nikt oprócz mnie nie pamiętał o swoich obowiązkach. Westchnęłam, podeszłam do długiej oszklonej gabloty i zajęłam się kontemplacją gum oraz cukierków.

- No - rzekłam po długim namyśle - to poproszę żurawinową.

Pan Britten nie znosi, kiedy musi ruszyć się choćby o cal dla kogoś takiego jak ja, więc zbliżył się naprawdę wolno i niechętnie. Wyszarpnął paczkę gumy spomiędzy lśniących opakowań, obejrzał ją fraszobliwie i położył na ladzie. Zapłaciłam, powoli (żeby zyskać czas do namysłu) odwinęłam sreberko i włożyłam gumę do ust.

- Matka się zastanawia - zagadnęłam - czy ten człowiek - tu próbowałam strzelić palcami, jakbym coś sobie przypomniała - chyba Jude, prawda? Ten, co był tu wczoraj... - Pan Britten wpatrywał się we mnie tępymi piwnymi oczami, nie dając mi żadnej wskazówki. - Więc matka zastanawia się, czy on jest wolny.

- A o co chodzi?

- Nie jestem pewna - zmarszczyłam czoło, jakby z wysiłku przypominania.

- Ja go nie znam.

Pan Britten skasował pieniądze i wydał mi cztery centy reszty.

Rozczarowana zbierałam się do wyjścia, energicznie żując gumę, kiedy trzasnęły siatkowe drzwi i w drzwiach stanął jeden z uczestników wczorajszej rozmowy.

- Cześć, Bryson - rzekł i uprzejmie skinął mi głową, kładąc na ladzie dolara.

- Sie masz, Lucas - odparł krótko pan Britten, odwrócił się i z półki za plecami wyjął zwinięty pakiet tytoniu Mail Pouch, który położył na ladzie, jednocześnie zabierając banknot. Domyśliłam się, że Lucas żuje ten tytoń regularnie. Pod tym względem sklep Brittena przypomina Café Tęcza, gdzie Maud i Shirl na ogół wiedzą, jaką kto lubi kawę - czarną, że śmietanką, z cukrem - i podają ją bez pytania.

- Coś jeszcze? - Pan Britten łypnął na mnie znad okularów. Zawsze zachowywał się tak, jakbym przysła obrabować sklep.

Teraz musiałam zacząć temat od początku.

- Nie wie pan, czy ten Jude mieszka w Spirit Lake?

Specjalnie podniosłam trochę głos, żeby usłyszał mnie Lucas, który właśnie zajmował miejsce na drewnianym fotelu w głębi sklepu. Udało się; już otwierał usta, by mi odpowiedzieć, kiedy do sklepu wszedł drugi z wczorajszej trójki („Cześć, Bryson, cześć, Luke”) i usiadł obok Luke'a. To był ten, którego nazywali Bub.

Luke wskazał na mnie i zwrócił się do kolegi:

- Pyta o Jude'a. Chce wiedzieć, czy on mieszka w Spirit Lake.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w moją stronę, co nie bardzo mi się spodobało.

- Nie - rzekł Bub, rozkładając gazetę. Po co udzielać informacji dziecku?

- Chyba w Hebrides, no nie? - podsunął Luke.

Bub pokręcił głową.

- W Cold Flat Junction.

Gwałtownie nabrałam tchu. W moim umyśle, niczym nad barem Arturo, zamigotały neonowe strzałki wskazujące Cold Flat Junction. Bub i Luke przez chwilę spierali się o miejsce zamieszkania Jude'a, ale im przerwałam:

- Ona... znaczy, moja matka, mówi, że pan Jude kiedyś dla niej pracował.

Luke wzruszył ramionami. Chyba rozdrażnił go fakt, iż wiem więcej o Judzie niż on; w końcu ja byłam obca, a on był u siebie.

Bub, najwyraźniej chętny do rozmowy z każdym nowo przybyłym, nawet ze mną, zachował się przyjaźniej.

- Czy ja cię tu nie widziałem kilka dni temu?

Pan Britten głośno wtrącił:

- To córka Jen Graham z Hotelu Paradise.

Kiedy pan Britten już postanowi się odezwać, zawsze wali jak kulą w płot, akurat kiedy człowiek wcale sobie tego nie życzy.

Zdumiony Luke otworzył szeroko oczy.

- Coś takiego, jesteś córką Jen Graham?

Przytaknęłam z westchnieniem; wiedziałam, że teraz już na pewno Jude i Cold Flat Junction pójdą w zapomnienie.

- A niech mnie! Pracowałem dla twojego taty, kiedy byłaś jeszcze tycia-tycia! - Odmierzył palcami odcinek wielkości myszy. - Hej, Bub - zwrócił się do drugiego mężczyzny - ty też robiłeś w Hotelu Paradise, no nie? Będzie już z piętnaście, może dwadzieścia lat?

Po czym zaczęli wymieniać się wspomnieniami, które początkowo skupiały się na Hotelu Paradise, lecz wkrótce objęły całe Spirit Lake, zupełnie jakby po torach jechał pociąg, zatrzymujący się na tej czy tamtej stacji, coraz cięższy i cięższy od faktów zabieranych na trasie niczym podróżni, walizki i kufry. Obaj panowie byli tak pełni wspomnień z ostatnich dwudziestu lat, że tylko w kółko coś sobie wyjaśniali („Nie, to nie był Asa Stemple, tylko Ada. To Ada spakował manatki i wyjechał do Nowego Jorku. Za to Asa...”).

Wyszłam.

Cudownym zrządzeniem losu, kiedy wpadłam do kuchni spóźniona o dwadzieścia minut, matki akurat nie było. W ogóle nikogo tu nie było, jeśli nie liczyć Waltera w kącie obok wielkiej zmywarki. Poznałam, że Vera wróciła do pracy, gdyż na wieszaku wisiał jej smolistoczarny uniform, okryty folią z Pralni Whitelaw (żadnego pokrewieństwa z Suzy, gwiazdą reportażu). Był to jej najlepszy służbowy strój - pozostałe Vera prała i prasowała sama - co oznaczało, że wieczorem przewidziany jest uroczysty obiad.

Nienawidziłam tych przyjęć, bo wiedziałam, że z pewnością zostanę zaprzęzona do roboty w roli niewolnicy Very; ona będzie obsługiwać gości, skupiając na sobie całą uwagę, ja, niemal niewidoczna za jej plecami, będę dźwigać tace i podawać jej talerze. Zupełnie jak w tych filmach z doktorem Kildare, gdy Wielki Chirurg panoszy się przy stole operacyjnym, a mało ważna pielęgniarka stoi w cieniu i tylko wkłada mu do ręki narzędzia.

Gdyby Walter nie powiedział cześć, nawet bym go nie zauważyła; na tyłach kuchni znajdowała się strefa mroku, gdzie można było tkwić, nie zwracając niczyjej uwagi. Z lunchem najwyraźniej nikt się nie śpieszył, postanowiłam więc pomóc Walterowi - prawie nigdy tego nie robiłam, ale uznałam, że powinnam jakoś mu wynagrodzić posądzenie o

pomyłkę w kwestii bisquicka. Chwyciłam ścierkę i wzięłam talerz; w ten sposób mogłam mu pomóc, a zarazem pozostać niewidoczna dla Very, gdyby nagle się tu zjawiła. Walter jak zwykle uśmiechał się od ucha do ucha.

- Walter, ja mogłam kupić bisquicka. Szkoda, że chodziłeś niepotrzebnie.

- Nic się nie stało - odparł przyjaźnie, miękkim ruchem przeciągając namydloną ściereczką po powierzchni półmiska, który nie mieścił się w zmywarce. Większość naczyń jest do niej za duża albo za mała, albo za dobra, albo do garnków przywarły resztki jedzenia. Zmywarka prawie wcale się nie przydaje.

- Nie, naprawdę. I tak tam zaszłam, to mogłam odebrać. Nie powinni cię zmuszać, żebyś latał tam i z powrotem.

- Nie szkodzi.

- No, wiesz... - powiedziałam to trochę zrzędliwie, żeby dać mu do zrozumienia, że przynajmniej ja go doceniam. Co nie było prawdą.

Przez wahadłowe drzwi weszła Vera i natychmiast zaczęła kręcić się po kuchni, wykonując rozmaite niecierpiące zwłoki czynności, absolutnie według niej niezbędne, które zdawały się wyrastać przed nią niczym jaskrawozielone chwasty spomiędzy desek podłogi. Od kredensu, gdzie miała się niczym zapyłająca pszczołka, dobiegał brzęk i szcęk porcelany. W końcu dźwignęła na ramię wyładowaną tacę i pobiegła do jadalni, ja zaś wznowiłam wycieranie półmiska.

- Chyba już wyzdrowiała - powiedziałam z widocznym smutkiem. Walter też jej nie lubi, chociaż nigdy by tego nie okazał.

- Mówi, że jeszcze nie.

- To po co przyszła?

- Mówi, że to duże przyjęcie i czuje się zo-bo-wią-za-na.

- Chodzi jej o napiwki, i tyle.

Walter zachichotał.

Nikt specjalnie nie przejmuje się Walterem, chyba że trzeba zwalić na kogoś winę, nic więc dziwnego, że i ja niewiele

myślę o nim i jego życiu. Ale teraz zaciekawilo mnie, jak dlugo Walter jest w Spirit Lake. Zapytalam go o to.

- Prawie cale zycie.

I wtedy przypomnialam sobie, ze Walter mieszka niedaleko sklepu Brittena. Raz czy dwa go tam widzialam - nic nie robil, w niczym nie uczestniczyl, po prostu stal i patrzyl, usmiechajac sie jak zwykle.

- Chodzisz czasem do Brittena, prawda?

- Mhmm.

Wręczył mi garnek.

- Rozmawiales kiedyś z czlowiekiem o imieniu Jude?

Walterowi moge zadawac takie pytania wprost, bo Walter nigdy sie nie interesuje, dlaczego cos robie. Walter w ogole nie jest niczego ciekawy, a moze uwaza, ze to nie jego sprawa. Czuję sie przy nim troche tak, jakbym mowila do siebie.

- Jude, mhmm. Przychodzi do Brittena co tydzien, cos koło tego.

Przestalam wycierac i wlepilem w niego wzrok. Jak to? To ja zadalam sobie tyle trudu, a Walter zna wszystkie odpowiedzi? Podniecona, zapytalam:

- Kto to jest?

- Jude Stemple. Mieszka w Cold Flat. Raz na tydzien przyjezdza do Spirit Lake. Pracuje u panny Isabelle Barnett. Ja tez robilem u niej koło domu, az dostalem lepsza prace.

Czy to mozliwe, ze mowil o Hotelu Paradise? Na wszelki wypadek wolalam nie pytac.

- Co robi?

- Drobne naprawy. Buduje kratownice przy jej werandzie. Troche zna sie na stolarce. Powiadaja, ze jest niezly.

- I ten Jude Stemple mieszka w Cold Flat Junction?

Skinal glowa.

Tego dnia mialam szczescie - na lunch przyszly tylko panna Bertha i pani Fulbright, pozostali goście sie wymeldowali badz gdzieś pojechali. Godzine i kwadrans po rozmowie z Walterem siedzialam juz na lawce na stacji kolejowej

w Spirit Lake, czekając na pociąg o 13.53 do Cold Flat Junction.

Tym razem kupiłam bilet.

30.

Czy naprawdę sądziłam, że Dziewczyna znów się pojawi?

Chyba tak, bo gdy pociąg zatrzymał się z sykiem i ujrzałam pusty peron, poczułam rozczarowanie.

Do Cold Flat Junction jedzie się bardzo krótko, zaledwie osiemnaście minut, więc konduktor nawet nie zdążył sprawdzić mojego biletu. Równie dobrze mogłam go nie kupować. To bardzo irytujące, kiedy człowiek jest uczciwy i praworządny, a nikt tego nie docenia, ba, wręcz nie zauważa. Ale poczułam się lepiej, gdy obejrzałam prostokątny żółty kartonik i odkryłam, że data na nim jest tak zamazana, że prawie nic nie widać. Wsadziłam go do portmonetki z zamiarem wykorzystania w przyszłości, po czym zatrasnęłam portmonetkę i schowałam ją do kieszeni.

Kilka minut za Spirit Lake, jeszcze przed Cold Flat, znajduje się jedyny przystanek w La Porte. Czulałam się wspaniale, będąc pasażerką, a nie jedną ze stojących na peronie osób, jakbym zyskała swego rodzaju boską perspektywę. Przycisnęłam nos do okna, wiedząc, że nikt, nawet znajomy, nie zobaczy mojej twarzy za taflą szkła.

Nawet Helene Baum. Stała na peronie, osłaniając dłonią oczy, i wypatrywała czegoś zza kocich okularów. Przypuszczalnie nie wybierała się nigdzie dalej, w końcu to ona zamówiła dzisiejsze przyjęcie. Lustrowała wzrokiem pociąg, zapewne szukając oczekiwanego gościa, i z niepokojem marszczyła czoło, jakby w obawie, że gość ten, wyjrawszy przez okno, na jej widok się wycofa i jednak nie wysiądzie. Jak zwykle miała na sobie żółtą sukienkę i żółty sweter zarzucony na ramiona. Nie znoszę jej, ale zrobiło mi się jej

trochę żal; miała taką minę, na jaką sobie pozwalamy, kiedy sądzimy, że nikt nas nie widzi, można powiedzieć bezbronna - minę, jaką przybierają ludzie w kinie, kiedy patrzą na ekran.

W końcu konduktor przystawił do drzwi wagonu metalowe schodki, po których ciężko zeszła tęga kobieta obwieszona tonami sztucznej biżuterii. Na twarzy Heleny wykwitł sztuczny uśmiech. Rzuciły się ku sobie niezdarnie, jak osoby, które wiedzą, że powinny się uściskać, ale nie chcą się dotknąć, więc nie całkiem się obejmują, a ich pocałunki trafiają w pustkę. Po czym, sapiąc, udały się w dalszą drogę i pociąg również.

Po kwadransie ja także znalazłam się na przystawionych przez konduktora metalowych schodkach. Uśmiechnąłem się do mnie uprzejmie, nieświadom, że pomaga wysiąść właścicielce nieskasowanego biletu z niewyraźnie wydrukowaną datą, powiedziałam zatem do widzenia i też się uśmiechnęłam.

Nikt więcej nie wysiadł z pociągu, nikt też nie wsiadał, co mnie specjalnie nie zdziwiło; na peronie w Cold Flat Junction rzadko coś się dzieje. Kiedy pociąg odjechał i stukot kół ucichł w błękitnej dali, ruszyłam powoli przed siebie, co chwila przystając, aby podziwiać ozdoby i wieżyczki stacyjnego budynku. Zajrzałam do wszystkich okien, osłaniając dłońmi swe odbicie w szybie - nie wiem, dlaczego myślałam, że za każdym razem zobaczę co innego. Następnie podeszłam do drzwi, zwieńczonych pięknym, ciemnym, łukowatym gzymsem, z półksiężycem rubinowego witrażu wmontowanym w nadproże, przekroczyłam próg i zawahałam się - czułam się jak osoba wchodząca do kościoła, do którego nie należy.

Prawdę mówiąc, ciemne wnętrza, pocięte pasami jasności, bardziej przypominało mi budynek kina - pustego kina. Sześć długich solidnych drewnianych ławek, zwróconych do siebie oparciami, stało w równym rzędzie na środku poczekalni. W okienku, najwyraźniej nieczynnym, nie było nikogo; półokrągły otwór w szybie zasłaniała przegródka ze

sklejki, jasnobrazowa roleta była do połowy zaciągnięta. Za nią dostrzegłam dolną część półeczki ze schludnie ułożoną tęczą biletów, jakby owe barwne docelowe stacje cieszyły się nieustającym powodzeniem. Nigdzie nie było informacji, dokąd poszedł zawiadowca i kiedy wróci, niemniej stacja była dobrze utrzymana, więc ktoś z pewnością się nią zajmował.

Na tablicy ogłoszeń wisiały rozkłady jazdy, owe skomplikowane układy drobnego druku i strzałek skierowanych w górę albo w dół, których właściwie nikt nie rozumie. Przypuszczalnie był wśród nich także pociąg o 16.32, którym poprzednio wróciłam z Cold Flat Junction do Spirit Lake. Teraz miałam przeszło dwie godziny - mnóstwo czasu, by się rozejrzeć i w porę zdążyć do hotelu, żeby przygotować przyjęcie Baumów.

Wyszłam na peron i przysiadłam na drewnianej ławce, tej samej, na której siedziała Dziewczyna, kiedy ją tu ostatnio widziałam. Musiałam obmyślić plan. Przy lunchu zbyt rozpraszała mnie panna Bertha i mój własny posiłek, bym zdołała się porządnie zastanowić - naturalnie krokiety z szynki w sosie pietruszkowym z przysmażaną kukurydzą pochłonęły mnie bez reszty. Na deser były „pływające wyspy”, a już one same skutecznie potrafią przepędzić z głowy jakiegokolwiek inne myśli.

Zamierzałam odszukać Jude'a Stemple'a albo (to byłby już nadmiar szczęścia) rodzinę Queenów, a przynajmniej zdobyć o nich informacje. Kiedy jednak próbowałam się skupić na jakiejś koncepcji, moje myśli wciąż zbaczały ku rozciągającym się przede mną terenom po drugiej stronie linii kolejowej - nagim, wypranym z barw nieużytkom, gdzieś tam upstrzonym kępami roślinności. Drzewa rosły tu rzadko, tylko w oddali rysowała się ciemna linia lasu, tak daleka, że nawet mrużąc oczy, nie potrafiłam odróżnić poszczególnych pni. Przy tej odległości, w tym świetle, las wyglądał niczym jednolita, błękitna kreska; między stacją a tą kreską ziemia była naga i pusta, można wręcz rzec, spustoszona, jakby przeszły tędy hordy indiańskich plemion, skalpując i niszcząc

wszystko po drodze, pola, nielicznych mieszkańców i wszelkie domostwa, które, zda się, zbiegły na moją stronę torów, kryjąc się za budynkiem stacyjnym jak za fortem.

Siedziałam wpatrzona w pustkę dłużej, niż zamierzałam, czując, jak wsysa mnie ta ziemia. Miasteczko Cold Flat Junction ma taki wpływ, przynajmniej na mnie; nie jest piękne jak Spirit Lake, które tonie w bujnej zieleni wielkich drzew i gdzie stąpa się po istnych dywanach polnych kwiatów, ani brzydkie i cuchnące jak odległe o dwadzieścia mil Dubois, gdzie domy i budynek papierni zawsze pokrywa czarny pył. Nie, Cold Flat Junction jest po prostu nijakie, jakby zamazane. Krajobraz tylko częściowo przyczynia się do tego wrażenia - przede wszystkim panuje tu dziwna, nieruchoma cisza, zapewne skutek niespełnionej obietnicy linii kolejowej, która miała tchnąć w miasteczko życie. Ale życie nigdy tu nie zagościło.

Cold Flat Junction nie posiada głównej ulicy ze sklepami, tylko kilka rozrzuconych tu i ówdzie lokali, takich jak bar i stacja obsługi. Jest tu biały, drewniany budynek szkolny, kościół, grill-bar Rudy'ego, który widziałam poprzednim razem, a także urząd pocztowy, lecz brakuje punktu centralnego, zupełnie jakby miasteczko zamarło w oczekiwaniu na coś, co nada mu kształt. Nie ma tu sądu, nie zauważyłam też posterunku policji. Wiem, że szeryf często tu przyjeżdża, żeby interweniować w bójkach i awanturach, które stanowią jedyną miejscową formę rozrywki i na ogół toczą się w barze Rudy'ego. Nie istnieje tu nawet kino, co samo w sobie wystarczy, bym wymazała tę miejscowość ze swej mapy.

Idąc wąską ścieżką, udeptaną do gładkości przez ludzi wędrujących między stacją a „miastem”, zastanawiałam się, jak uzyskać potrzebne mi wiadomości. Pomna sprzeczki, jaką wywołało w barze moje pytanie o Tidewaterów, nie sądziłam, by trudno było skłonić ludzi do mówienia, problem stanowiło raczej uzyskanie zgodnej opinii. Nie chciałam dowiadywać się o nic bezpośrednio; nie chciałam ni z gruszki, ni z pietruszki wypytywać o Jude'a Stemple'a.

Próbowałam wymyślić inne imię, aby nikt się nie zorientował, że faktycznie pragnę rozmawiać z Jude'em, imię, którego z dużym prawdopodobieństwem nie mógł nosić żaden Stemple, dlatego zrezygnowałam z Boba, Toma i tym podobnych. Im bardziej zbliżałam się do baru Na Wietrznym Szlaku, tym więcej imion odrzucałam. Najlepsze byłoby jakieś imię biblijne, lecz zważywszy na moją nieznamość Biblii, musiałam strasznie się namęczyć, żeby coś sobie przypomnieć.

Dopiero przed samym wejściem zdecydowałam się na Abła (Kain odpadał jako zbyt znany i niepopularny). Wąską drogą nadleciał ku mnie poryw wiatru, zdmuchnął mi włosy na twarz, po czym zawirował wściekle, rozrzucając na schodkach liście, papierki po kanapkach i ulotki reklamowe. Pchnęłam osłonięte żaluzją szklane drzwi, usiadłam przy kontuarze, i spomiędzy pojemników na cukier, pieprz i sól wyciągnęłam jadłospis, który przeczytałam od deski do deski. Nagłówek głosił: „Louise Snell, wł.”.

Najwyraźniej Louise Snell pragnęła, by cały świat wiedział, do kogo należy bar. Odłożyłam jadłospis i starając się nie okazywać zainteresowania, rozejrzałam się po sali. Rozpoznałam kilka osób z poprzednich odwiedzin: tęgą panią w okularach, kierowcę imieniem Billy, również para w jednym z boksów wyglądała znajomo. W ich obecności nie było nic dziwnego, w końcu zeszyłam razem wpadłam tu o tej samej porze. Klienci Tęczy też tak robią - z dużą dokładnością da się odgadnąć, gdzie bracia Wood będą w południe, panna Ruth La Porte o szóstej po południu, a Dodge Haines o trzeciej. Człowiek czuje się pokrzepiony, mając pewność, gdzie się znajdzie o konkretnej porze. Wiem, że tak jest ze mną. Regularność przyzwyczajień daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Trzeba powiedzieć, że w Cold Flat Junction chyba niewiele się działo, bo kelnerka natychmiast mnie sobie przypomniała.

- Hej, witaj, złotko. Twoim rodzicom udało się naprawić samochód?

Mężczyzna przy końcu kontuaru zawołał schrypniętym głosem:

- Jeśli zajmował się nim Toots, to pewnie ciągle stoi na podnośniku!

Uznał to za okropnie śmieszne, podobnie jak kilku innych gości w niebieskich sukiennych czapkach. Toots przypuszczalnie był mechanikiem w warsztacie.

Nie spodobało mi się, że tak dobrze mnie zapamiętano, więc po prostu potaknęłam i zagłębiłam się w jądłospisie. Zdecydowałam się na sandwich z pieczenia wołową na gorąco, żeby sprawdzić, czy faktycznie jest tak „pospolity”, jak twierdzi moja matka, poprosiłam również o colę. Miałam nadzieję, że kelnerka o nic więcej mnie nie zapyta, bo nie bardzo pamiętałam, co mówiłam poprzednim razem, z wyjątkiem tego, że wypytywałam o Tidewaterów. Fatalnie byłoby, gdyby ktoś to sobie przypomniał - mogliby uznać za dziwne, że znów się pojawiam, by na odmianę wypytywać o Stemple'ów! Lepiej na razie zjeść sandwich i nic nie mówić, pomyślałam, żeby przyzwyczaili się do mojej obecności.

Jednakże nikt nie wspomniał o Tidewaterach i nie zapytał, czy znalazłam Toyę, w końcu więc doszłam do wniosku, że jestem bezpieczna. Z początku trochę popatrywali na mnie, ale i to im się znudziło; znów zaczęli żądać dolewek kawy, a tęga pani zagadnęła Louise o Betsy - czy już jej przeszło przeziębienie? Louise odparła, że nie, wciąż jest chora i nie chodzi do szkoły. Betsy prawdopodobnie była córką Louise.

Z braku innego zajęcia zaczęłam przyglądać się papierowej podkładce, na której wydrukowano kilka łatwych łamiągłówek, typu połącz-punkty-kreską, lecz usłyszawszy ostry stukot, uniosłam głowę. Na końcu sali zobaczyłam za kontuarem uchylone drzwi, a za nimi kawałek stołu bilardowego, przy którym stał chudy chłopak w podkoszulku z wysoko podwiniętymi rękawami, zapewne by pokazać niepozorne mięśnie. Trzymał pionowo kij do bilardu i pośpiesznie, raz po raz, zaciągał się papierosem. W polu widzenia ukazał się

drugi chłopak, jeszcze wyższy i chudszy od pierwszego, jakby ktoś kiedyś chwycił go za głowę i nogi i rozciągnął niczym toffi. Za poprzedniej bytności nie zauważyłam sali bilardowej - być może drzwi były zamknięte. Stukot wydawały zde-
rzające się bile.

W tym momencie kelnerka Louise postawiła przede mną gorący sandwich z wołowiną. Buchała z niego para, co z pewnością spotkałoby się z aprobatą matki. Pokryty był ciemnym sosem, który wypełniał spore wgłębienie pośrodku i rozlewał się na mączyste ziemniaki. Jak na danie „pospolite”, całość wyglądała bardzo apetycznie. Jadłam, obserwując chłopców przy bilardzie, czasem tylko zerkałam na klientów przy kontuarze, szczególnie na Billy'ego, który robił najwięcej hałasu. Macał Louise za każdym razem, gdy ta mijała go w drodze do kuchni albo do ekspresu z kawą, ona zaś waliła go po rękach, co traktował jak najprzedniejszy dowcip. Cóż, podobnie zachowuje się Dodge Haines i paru innych wobec Charlene i Maud w Tęczy. To chyba typowe barowokawiarniane maniery; wielu mężczyzn nie czuje się dostatecznie męsko, po prostu siedząc, pijąc kawę i rozmawiając - nie, muszą macać kelnerki i rznąć głupa. Nigdy nie widziałam, by szeryf zniżył się do klepania i głaskania kogokolwiek. Ta myśl bardzo podniosła mnie na duchu.

Kiedy Louise przyszła zabrać pusty talerz (w jaki sposób zdołałam pożreć to wszystko?) i zapytała, czy chcę kawalek świeżego placka z rabarbarem (aż się skrzywiłam), podziękowałam, po czym zagadnęłam ją o Abła Stemple'a, który, jak słyszałam, podobno mieszka w Cold Flat Junction.

- Abel Stemple? Niech pomyślę - spojrzała w sufit, okropnie marszcząc twarz niczym komiksowy wizerunek Osoby Zamyślonej.

Jak się spodziewałam, Billy natychmiast włączył się do rozmowy:

- Jak mówiłaś, panienko? Abel Stemple? - Nienawidzę, kiedy mówią do mnie „panienko”. - Nie ma żadnego Abła

Stempla. Nigdy nie słyszałem o Ablu, a ty, Don Joe? - zwróci się do jednego z mężczyzn w niebieskich czapkach.

Don Joe potarł brodę, potarł nos, odkaslnął, po czym odparł, że nie, w życiu.

Wówczas Billy zadał to samo pytanie Tiny'emu, drugiemu mężczyźnie w niebieskiej czapce, który wszakże tylko pokręcił głową, nie odrywając wzroku od kontuaru. Wyglądało na to, że Billy już przechwycił imię Abel na własność i podtaczał je klientom baru jak kulę bilardową. Z wyraźną radością, niemal z ulgą wziął na siebie zadanie upewnienia się, że w Cold Flat Junction faktycznie nie mieszka żaden Abel Stemple, i nie spoczął, aż potwierdzili ten fakt wszyscy obecni.

- Jesteś pewna, że ma na imię Abel? - zapytał mnie w końcu. - Mieszkają u nas różni Stemple - tu wiele osób pokiwalo głowami i powiedziało, że tak, owszem, zgadza się - ale ani jeden Abel. Nie wydaje mi się.

Zaczęłam więc udawać, że się zastanawiam; podrapałam się po głowie i zmrużyłam oczy, niby próbując sobie przypomnieć.

- No, chyba Abel. Ale może się myłę? Może... Abner?

Lecz Billy stanowczo pokręcił głową, już pewien swego, pewien, że coś mi się pokiełbało i pytam o jakichś Stemple'ów, których w ogóle nie ma i nigdy nie było na świecie.

- Jedyne Stemple, jakich znam, mieszkają hen, tam, przy drodze na Lonemeadow - oznajmiła tęga pani, siedząca przy kontuarze między mną i Billym. Szła jej okularów lśniły odbitym światłem, więc nawet nie wiedziałam, czy patrzy w moją stronę. No i znowu wypłynęła ta droga - miałam nadzieję, że nie przypomną sobie moich pytań o Tidewaterów. Dziwne, ale Toya Tidewater całkiem wyleciała mi z głowy.

Zaczęła się sprzeczka, zupełnie jak przedtem, co mnie ucieszyło, bo odwróciło ode mnie uwagę. Nikt nie zapytał i nikogo nie obeszło, po co mi właściwie ta informacja. A zatem, choć

mijał drogocenny czas (była już za kwadrans trzecia), pozwoliłam, by klócili się dalej. Strasznie dużo tu tych Stemple'ów, pomyślałam: spora ich banda - przypomniał sobie mężczyzna, siedzący w boksie razem z żoną - mieszkała pod Skałą Rudego Szopa, a duża, chyba dziesięcioosobowa (zdaniem Louise) rodzina zajmowała farmę przy drodze do Sweetwater. Louise wymieniła prawie wszystkich, machinalnie wycierając kontuar. Ale to w końcu Billy zakończył spór, oznajmiając, że na pewno chodzi mi o tych Stemple'ów, którzy mają dom we Flyback Hollow. No i miał rację, bo za sekundę dodał:

- Jude Stemple. Jude przynajmniej ci powie, czy w ogóle mają w rodzinie Abła, ale ja daję ci słowo, nie ma nikogo takiego i nigdy nie było. W każdym razie nie w Cold Flat Junction. Faktycznie, może kiedyś jakiś Stemple spakował manatki i stąd wyjechał, ale ja mieszkam w Cold Flat całe życie i gdyby był tu kiedykolwiek jakiś Abel, tobym go pamiętał. - Tu zmierzył mnie twardym, baczny spojrzeniem, jakbym kwestionowała jego pamięć.

Znów udałam, że się zastanawiam.

- Wie pan co, może Jude to jest to imię, o które mi chodzi? Gdzie jest Flyback Hollow? - (Billy wymawiał je „Holler”, co na chwilę mnie zmyliło). Wciąż miałam nadzieję, że nikt się nie ocknie i nie zapyta, po co mi to wszystko.

Jednak byli zbyt pochłonięci udzielaniem mi wskazówek i wyklócaniem się, gdzie właściwie leży Flyback Hollow. Rany boskie, pomyślałam, przecież Cold Flat to taka mała i wyludniona miejscowość! Nie do wiary, że każdy mieszkaniec nie zna jej co do cala! Wreszcie Billy kazał wszystkim zamilknąć, po czym wyjaśnił, że mam iść w kierunku szkoły, a potem skrócić trochę na zachód do ulicy Dubois i iść prosto, aż zobaczę „Holler”.

Zmięłam w dłoni brudną serwetkę, podziękowałam uprzejmie i zsunęłam się ze stołka.

- Skąd jesteś, kochanie? - zapytała kobieta w boksie.

Nie pamiętałam, co mówiłam wcześniej, więc powiedziałam prawdę, że przyjechałam z La Porte, no i wzbudziłam sensację.

- Napraaaawdę? - zdumiała się tęga pani przy kontuarze.
- Rany, Billy, to tam znaleźli trupa tej kobiety!

- No, chyba wiem, gdzie znaleźli trupa! Na litość boską, znam tamtejszą policję! Tego waszego szeryfa, DeGheyna, znam od lat!

- Oj, Billy, przestań na chwilę gadać i daj małej coś powiedzieć - zezłościła się tęga pani.

Oczy Louise zrobiły się wielkie jak spodki.

- No, złotko, opowiadaj, co się tam u was stało. Znaczy, tę kobietę zamordowali, czy jak?

Znów zmrużyłam oczy i zrobiłam tępą minę.

- Jaka kobietę?

31.

Dobrze, że miałam przygotowane pieniądze, gdyż dzięki temu mogłam je cisnąć wraz z rachunkiem w stronę kasy (kasjer był ten sam i wciąż czytał komiks) i trzaskając drzwiami, wypaść na zewnątrz z okrzykiem „Dziękuję, dziękuję!”, bo wszyscy osłupieli, słysząc, że ktoś, nawet dziecko (podobno dzieci nigdy nie wiedzą, co się wokół nich dzieje), że ktokolwiek, kto mieszka w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono zwłoki (przypuszczalnie ofiary morderstwa), może nic o tym nie wiedzieć. Mimo pośpiechu zdążyłam zauważyć, że usta już układały się do pytań, a dłonie unosiły się, by na mnie skinąć.

Nie mogłam tego pojąć; w końcu La Porte dzieli od Cold Flat zaledwie piętnaście - dwadzieścia mil, skoro więc tak ich to interesowało, dlaczego nie załadowali się wszyscy do autobusu Tabernakulum i tam nie pojechali?

Ale wtedy pomyślałam, nie, nic z tego. Faktycznie, pragnęli nowin; nudzili się i czekali na nowiny; marzyli o nowinach; lecz to wszystko nie oznaczało, że są gotowi gdzieś jechać i zdobywać nowiny. Nie opuściliby baru Na Wietrznym Szlaku w pogoni za informacją, choćby była nie wiem jak fascynująca. To przypominało coś, co nazywamy (bądź nazywaliśmy) żywe obrazy. Ta myśl uderzyła mnie, kiedy człapałam ulicą znaną jako Wietrzny Szlak, kopiąc przed sobą kamyki - dziwna myśl, tak dziwna, że w końcu zatrzymałam się przed grillem i barem u Rudy'ego i zmarszczyłam czoło w zadumie. Żywe obrazy robiliśmy w szkole, w pierwszej czy w drugiej klasie. Jakieś dziecko (albo dwoje, zależnie od obrazu) ubierało się w kostium, żeby wyglądać, dajmy na to, jak „błękitny chłopiec” albo inny sławny malarzki obiekt, i stawalo w ogromnym pudle, mającym naśladować ramę obrazu. Pudło to z jednej strony (ze strony widowni, bo to przecież miała być „rozrywka”) osłaniała kurtyna z gazy, przez którą było widać, co jest w środku, ale niewyraźnie, jakby przez dym. Żywe obrazy robiły spore wrażenie.

I teraz pomyślałam sobie - właśnie to było dziwne - że ludzie w barze Na Wietrznym Szlaku są jakby zatrzymani w żywym obrazie, to się chyba nazywa tableau. Owszem, poruszali się i mówili, ale miałam dziwne uczucie, że żadna ich czynność nie przenosi się poza bar, do zewnętrznego świata, że nie mogą opuścić baru, żeby zdobyć wiadomości, choćby najciekawsze.

Wymyśliłam to wszystko, stojąc przed wielkim oknem baru Rudy'ego.

Bar Rudy'ego mieścił się w drewnianym domku z krzywym gankiem. W oknie widniał napis „Kiełbaski - Hamburgery - Frytki”, nad którym przyczepiono dużą reklamę jarmarku okręgowego w Cloverly (spore miasto z lunaparkiem). Całość wieńczył neon z niebieskiej rurki, układający się w tekst „Piwo - Dania”. Nieco dalej po lewej zauważyłam strzałkę, wskazującą drogę do Skały Rudego Szopa (siedziby,

o ile dobrze zrozumiałam, pewnej gałęzi rodziny Stemple'ów). Spojrzałam w tamtą stronę, na płaski, beżowy krajobraz za kwadratowymi sylwetkami domów. Czy gdziekolwiek na tej ziemi istniało wzniesienie dostatecznie duże, by zasłużyć na oddzielną nazwę? W górach nieco powyżej hotelu mieliśmy skałę zwaną Kominem, wielką, pionową płytę, otoczoną innymi ogromnymi głazami. Ale za Chiny nie mogłam sobie wyobrazić, że tam, gdzie teraz patrzę, znajduje się coś oprócz kamyków i żwiru.

Niebawem dotarłam do ulicy Szkolnej i ujrzałam przed sobą fermę, do której pani Davidow przyjeżdża po jajka dla Hotelu Paradise. W głębi podwórka równymi rzędami siedziały kwoki, z tej odległości wyglądające jak sadzonki w szarej ziemi. Chłodny wiatr niósł ich ciepłe, dobrotliwe gdakanie, spokojne i niespieszne niczym głosy pijących herbatę staruszek, podobnych do panien Flyte i Flagler (choć te zapewne nie byłyby zadowolone z porównania).

Tuż za kurnikami widniał budynek szkolny, gdzie ongiś grałam w bierki z milczącą dziewczynką, mistrzynią tej gry. Boisko obok budynku było puste, jeśli nie liczyć samotnego chłopca, siedmio- lub ośmioletniego, który ścisnął w ramionach piłkę do siatkówki czy koszykówki. Stał pod zawieszoną wysoko obręczą, z czego wywnioskowałam, że przedtem próbował trafić do kosza; teraz jednak tkwił całkowicie bez ruchu i patrzył na mnie, mocno tuląc piłkę do wąskiej piersi.

Po chwili w bocznych drzwiach szkoły pojawiła się kobieta w ciemnej sukni i stanęła na szczycie kamiennych schodków. Była zbyt daleko, bym mogła się jej dokładniej przyjrzeć, widziałam tylko czarną sukienkę, odcinającą się od białego budynku i perłowego nieba. Kobieta osłoniła dłonią oczy i rozejrzała się na wszystkie strony, jakby kogoś wypatrywała. Sądziłam, że szuka chłopca, który nie odrywał ode mnie wzroku, ale spojrzała w jego kierunku i nie zareagowała. Wreszcie opuściła rękę, postąpiła jeszcze sekundę, po czym odwróciła się i z powrotem weszła przez drzwi, które zamknęły się za nią z miękkim stuknięciem.

I tak było wszędzie, ze wszystkim ludźmi, których spotkałam po drodze. Nikogo nie widziałam z bliska - siedzieli na gankach, gdzieś szli, robili coś przy samochodach, czasem jakieś dziecko bawiło się w oddali czymś, czego nie mogłam rozpoznać. Ale zawsze jakby trzymali mnie na dystans, niedostępni niczym odległa linia lasu.

Dotarłam do końca ulicy Szkolnej i skręciłam w drogę bez nazwy. Tutaj, na dużej działce, stał jeszcze jeden dom, dość spory, o żółtych okiennicach. Otaczały go rabaty kwiatów, rzecz niezwykła w Cold Flat Junction. Ścianę po jednej stronie drzwi obrastały pnące róże, po drugiej zaś dzikie wino, a na werandzie zieleniły się w skrzynkach sadzonki pomidorów.

Ale prawdę mówiąc, nie miałam już czasu, żeby snuć się koło szkół i ładnych domów. Dochodziła trzecia, czyli do powrotu na stację zostało mi około godziny. Nieco dalej zobaczyłam tabliczkę „Dubois” i szybko ruszyłam zakurzoną drogą. Wkrótce miejsce nielicznych domów zajęły zardzewiałe przyczepy kempingowe, przed którymi wały się równie zardzewiałe trójkołowe rowerki, a potem nie było już nic, z wyjątkiem drzew i krzaków. Natomiast drzewa stanowiły zaskoczenie - kiedy patrzyłam ze stacji na tę płaską przestrzeń, wydawały się znacznie bardziej odległe. A jednak znalazłam tu jakby niewielką oazę, szeroki pas coraz gęściej rosnących dębów i chyba sumaków (niewiele wiem o drzewach), o koronach splątanych ponad wąskim traktem, twarde i poorane koleinami. Samochody pewnie z trudnością się tędy przedzierały. W końcu dotarłam do znaku w kształcie strzałki, na którym widniał wyblakły, ręcznie namalowany wapnem napis „Flyback Hollow”. Byłam na miejscu.

Billy wspominał, że w tej części Cold Flat mieszka niewiele ludzi, i rzeczywiście, szłam przez pięć minut i nie napotkałam żadnego domu. Wreszcie z prawej strony pojawił się mały domek kryty szarym gontem, a po kolejnych trzech minutach ujrzałam dziwaczną konstrukcję, jakby chatę z bali, do której dobudowano skrzydło z desek. Otaczała ją działka wielkości około akra, tak zarośnięta drzewami, że

trudno było stwierdzić, gdzie kończy się posesja i zaczynają nieużytki. Na zapadniętej werandzie leżał stary kundel, który na mój widok uniósł łeb i postawił uszy, ale nie wydał żadnego głosu.

Widząc podwórko zaśmiecone rupieciami, kawałkami drewna, skrzynkami materiałów budowlanych, pomyślałam, że to z pewnością dom Jude'a Stemple'a - wszystko wskazywało na to, że wykonuje się tutaj roboty ciesielskie. Ruszyłam wzdłuż płotu ze sztachet, podążając za powolnym, miarowym łup, łup, łup dobiegającym zza domu. Jude Stemple we własnej osobie rąbał drewno na opał.

Zawsze mam wrażenie, że mężczyźni rąbiący drewno są na nie naprawdę wściekli, że go nienawidzą. Można by pomyśleć, że wszystkie okropności, jakie kiedykolwiek przydarzyły się Jude'owi Stemple'owi, zebrały się w owym kawałku drewna na pieńku, taką miał czerwoną, wykrzywioną twarz i tak zawzięcie walił siekierą.

Płotek, który nas dzielił, na szczęście był niski, więc bez trudu mogłam nad nim patrzeć i rozmawiać. Przez chwilę w milczeniu przyglądałam się Jude'owi, który w końcu uniósł głowę i na mój widok otarł czoło rękawem kraciastej koszuli. Jednak zaraz wrócił do rąbania, jakby osoba w moim wieku była niewidzialna.

- Przepraszam pana! - zawołałam.

Znów wytarł twarz, tym razem wielką chustką wyciągniętą z kieszeni.

- Taak?

- Czy to jest Flyback Hollow?

Wyjęłam z kieszeni świstek papieru; był to tylko stary rachunek z Café Tęcza, udałam jednak, że pilnie go studiuję, jakby zapisano na nim jakieś informacje.

Jude odpowiedział, że tak, to jest Flyback Hollow (wymawiał to słowo „Holler”, tak jak Billy). Postanowiłam zaryzykować.

- A gdzie mieszkają Queenowie? Ludzie o nazwisku Queen?

Potrząsnął głową, przyjrzał mi się uważnie, po czym zrobił kilka kroków w stronę płotu. Wciąż trzymał w ręku siekiere; może dobrze, że ten płot nas dzielił?

- Ee, Queeny już nie mieszkają w Holler.

- Naprawdę? - Zafrasowana spojrzałam na papierek. - Mówiono mi, że tak.

- Queeny mieszkają tam dalej, na Dubois. - Tu kiwnął głową w stronę, z której przyszłam. - Wielki dom z żółtymi okiennicami.

I wrócił do walenia w drewno.

Nie do wiary! Znalazłam Queenów! A przynajmniej niektórych. Zapominając, że mam zachować chłód i nonszalancję, zapytałam pośpiesznie:

- Co to za Queenowie? Którzy?

Pytanie zapewne zabrzmiało zbyt natarczywie, bo Jude znów zbliżył się do płotu i odgryzając kawałek tytoniu, zapytał podejrzliwie:

- A kto pyta?

Pomyślałam, że to chyba oczywiste, że ja, ale jako dwunastolatka pewnie nie uchodziłam za pełnoprawną osobę. Po zastanowieniu odparłam:

- Moja babka. - „Cioteczna babka” było zbyt skomplikowane. - Nazywa się Aurora Paradise.

Przestał żuć.

- Znaczy, ta ze Spirit Lake? Z ichniego Hotelu Paradise?

Przypuszczalnie nie znał Aury tak dobrze, by móc sprawdzić moje słowa.

- Tak jest.

Teraz trzeba było tylko jakoś skierować rozmowę na Be-na Queena.

- A po co jej ta wiadomość?

Prawdę mówiąc, to już było wścibstwo, ale nie mogłam mu tego powiedzieć.

- Hmm, obawiam się, że nie jestem przygotowana - gdzie ja to słyszałam? - żeby to u-jaw-nić.

- Ach, nie? - Wyprostował się i przedrzeźniając mnie oznajmił: - No to ja, kurde, nie jestem przygotowany, żeby u-jaw-nić, gdzie są Queeny. - Odwrócił się i ruszył do swojego pieńka.

O cholera, o cholera! Popelniłam taktyczny błąd! Jak ja teraz zatnę złe wrażenie? Któregoś dnia będę musiała poprosić szeryfa, żeby mnie nauczył wyciągać od ludzi informacje. Na myśl o nim wpadłam w zadumę.

- Okej, i tak panu dziękuję! - zawołałam w końcu wręcz wesoło. - Powtórzę to szeryfowi, niech on sam z panem porozmawia! - I oddaliłam się w podskokach, zerkając przez ramię na Jude'a.

Zatrzymał się jak wryty.

Nie zwalniałam kroku, aż wreszcie rozległ się okrzyk:

- Zaraz, zaraz, dokąd to, panno pędziwiatr? Stój!

Posłuchałam.

- O co chodzi z tym szeryfem? - Głos Jude'a brzmiał zaczepnie.

- O nic. To bliski przyjaciel mojej babki. Ona... - urwałam, żeby się zastanowić, udając, że wytrząsam kamyk z buta. - Babcia Aurora - niemal uwięzło mi w gardle - boi się, że ta kobieta, którą znaleźli martwą przy moście White'a... że może babcia ją znała... - Umilkłam.

Rozdrażnienie nagle mu przeszło.

- A tak, czytałam o tym.

Nie mogłam pojąć, dlaczego nie pyta mnie, co ja tu właściwie robię i z jakiego powodu go przesłuchuję. Po co jakkolwiek szeryf miałby mnie wysłać? Czy ja wyglądałam na jego zastępcę? Ciekawe... Może Jude miał coś na sumieniu? Najwyraźniej trochę się rozluźnił, kiedy wspomniałam o zmarłej, jakby poczuł ulgę, że chodzi o inną sprawę, która go nie dotyczy.

- Nie wiedzą, kim była ta zmarła. No i, tak jak mówiłam, babcia się zmartwiła, że to jej znajoma. Znaczą, była znajoma.

- Aha.

Nie robił wrażenia zainteresowanego, niemniej podszedł do płotu i wpatrzył się we mnie podejrzliwie.

- Ile masz lat, mała?
- Czternaście.

Wyprężyłam się jak struna. Większość ludzi daje mi więcej niż dwanaście lat.

Dopiero teraz wpadł na to, żeby mnie zapytać, co robię w Cold Flat.

- Przyjechałam w odwiedziny - odparłam odruchowo.
- Taa? A do kogo?

Rozpaczliwie szukałam w pamięci jakichś nazwisk. Popatrzyłam na werandę, mrużąc oczy.

- To pański pies?

Niespiesznie splunął strumieniem tytoniowego soku.

- Siedzi na moim ganku, to chyba mój, no nie? No, kogo przyjechałaś odwiedzić?

Nagle stanęła mi przed oczami scena w barze Na Wietrznym Szlaku,

- Zna pan Louise Snell z baru przy stacji?

Miałam nadzieję, że nie; nie chciałam, aby się zgadali na mój temat.

- Pewno, że znam.

- Więc przyjechałam do Betsy Snell. Wie pan, do jej córki. - Modliłam się, by Betsy nie była chora na coś, co uniemożliwia odwiedziny - żeby na przykład nie leżała w sztucznym płucu, albo co. Chyba jednak nie, bo Jude Stemple tylko parsknął obojętnie. - Kiedy babcia się dowiedziała - paplałam dalej - że jadę do Cold Flat, poprosiła mnie, żebym wpadła do Flyback Hollow i spróbowała pogadać z Queenami. O tej zmarłej. - Wzruszyłam ramionami, jakby mnie również cała sprawa niewiele obchodziła.

Zamyślił się i spojrzął na mnie, już bez podejrzliwości.

- I która to będzie Queen, zdaniem twojej babci?
- Serena. Serena Queen.

Skąd mi się wzięło to imię? W życiu nie słyszałam o żadnej Serenie, ani Queen, ani żadnej innej.

Zsunął kraciatą czapkę na tył głowy, otarł ramieniem czoło i znów nasadził czapkę.

- Nigdy nie słyszałem o żadnej Serenie Queen. - Ale wyglądał na autentycznie zaintrygowanego, jakby się zastanawiał. Dobrze i to, pomyślałam. - Może akurat tej nie znam. - Obrócił w palcach papieros, wyjęty z pogniecionej paczki ukrytej w kieszeni grubej, roboczej koszuli. Czyżby, zdumiałam się, zamierzał jednocześnie palić i żuć tytoń? Rzeczywiście, zapalił zapalkę, osłonił ją dłońmi i głęboko się zaciągnął.

- Tak czy owak, ta nieżywa to jest ktoś inny - oznajmił.

Przygryzłam wargę od środka.

- Nie? O... ojej. Znaczący... ee... skąd pan wie?

Bardzo się starałam, by nie doszedł do wniosku, że kwestionuję jego znajomość Queenów. Ale się nie obraził.

Dmuchnął dymem i zapatrzył się w bok, na odległe drzewa.

- To dziewczyna od Bena Queena, dam sobie za to rękę uciąć - powiedział wreszcie.

Dziewczyna od Bena Queena. Znieruchomiałam; gdzieś dalej lelek uderzył w żalony ton. Dziewczyna od Bena Queena - te słowa nabrały już śpiewnej modlitewnej monotonii. „Zdrowaś Mario dziewczyno od Bena Queena Matko Boża dziewczyno od Bena Queena”. Miały magiczną moc, choć jednocześnie o niczym jeszcze nie świadczyły. Same słowa to na pewno było za mało, nie odpowiadały też na najważniejsze pytanie.

- To jego... córka?

- Mhmm - zaciągnął się mocno, lecz zaraz zaniósł się suchym kaszlem.

Przez chwilę było mi go żal. Jak najostrożniej (ze względu na siebie, nie na niego) zapytałam:

- I ta córka Bena Queena to blondynka w... średnim wieku?

- Pewnie miała ze czterdziestkę. Ale blondynka tleniona, jakby mnie kto pytał.

A więc skoro tak, zmarła nie mogła być Dziewczyną. Dziewczyna miała co najwyżej dwadzieścia lat, a jej jasne włosy na pewno nigdy nie kontaktowały się z chemią, chyba że gdzieś robią chemicznie światło księżycy. Przeszył mnie dreszcz ulgi, tak silny, że musiałam mocniej zapleść ramiona. Oczywiście, Jude mógł się mylić co do tożsamości zmarłej, nie sądziłam jednak, by tak było. I wciąż nie odpowiadał na moje pytanie: „Skąd pan wie?”. A zatem zadałam je znowu.

- Bo paniusia, o której mówię, wyjechała pięć dni temu do La Porte. Wsiadła do autokaru Tabernakulum przy poczcie w Cold Flat i od tej pory nikt jej nie widział.

Wytrzeszczyłam oczy. Powiedział to w taki sposób, że poczułam czyhające zewsząd niebezpieczeństwo.

- No, ale... znaczy... właściwie dlaczego nie poszedł pan na policję?

Przeleżałam się, że teraz już na pewno się obrazi, lecz tylko wzruszył ramionami.

- A niby po co? Zabili ją w La Porte, nie w Cold Flat, a poza tym myślałem, że już wiedzą, kto to jest.

- Szeryf nie wie, a przynajmniej nie wiedział, kiedy ostatni raz z nim rozmawia... znaczy, kiedy ostatni raz rozmawiał z moją babką. Znaczy, wczoraj. Widzi pan, nie mają nic, po czym można by ją rozpoznać.

Przez chwilę palił w milczeniu, oparty o płot.

- Nie bardzo widzę, jaki mam interes, żeby rozmawiać z jakimś szeryfem z La Porte.

Wyraźnie się wycofywał.

- Ja też nie. Znaczy, też nie sądzę, żeby pan miał interes. Właściwie powinni to zrobić ci Queenowie. Jak pan myśli, czemu nie zgłosili się na policję? Skoro od pięciu dni jej nie ma?

Znów wzruszył ramionami i małym palcem strzepnął popiół z papierosa.

- Queeny to dziwaki. Kto wie? Może jedno z nich ją załatwiło? - zachichotał upiornie.

Nagle zdałam sobie sprawę, że prawie zapomniałam, iż kobieta została zamordowana. Zadygotałam i nerwowo schowałam dłonie w rękawy swetra.

- Ale nie kojarzę tej Sereny - zamyślił się. - Zupełnie sobie nie przypominam.

- Ojej, pewnie mi się pomyliło. A ta kobieta, którą znaleźli, jak się nazywała, pańskim zdaniem?

- Fern Queen. Tak mi się widzi, że to musi być Fern.

Zdumiałam się, choć nie wiem dlaczego. „Rose Fern Souder Devereau” - tak mówiła Aurora. Rose Fern uciekła z Benem Queenem, więc jeśli zmarła była jego córką, to imię Fern wydawało się naturalne. Po matce. Zatonęłam w rozmyślaniach o domu nad Jeziorem Duchów.

Ale Jude Stemple mówił dalej już bez żadnej zachęty, zupełnie jakby od dawna pragnął mówić, a teraz, niczym w bajce, ktoś zdjął z niego urok, przy czym to, że byłam dzieckiem, nie miało najmniejszego znaczenia. Dorośli tak się przy mnie zachowują - znaczy, zaczynają gadać. To bardzo dziwne. Czasem odnoszę wrażenie, że kiedy mówią do mnie, czują się trochę tak, jakby mówili do siebie. Nie jestem pewna, czy mam to uważać za komplement.

- Queeny, przynajmniej niektóre, mieszkają w tym wielkim domu z żółtymi okiennicami. Jeśli szłaś ulicą Dubois, pewno go minęłaś.

- Chyba tak. Obrośnięty pnącymi różami?

Wypluł tytoń i równocześnie rzucił na ziemię peta, którego zgniótł obcasem.

- Właśnie. No dobra, ale co z Serena? Co babka ci o niej mówiła?

Niechby już dał spokój Serenie!

- Niewiele. - Odważyłam się: - Mieszka tu Ben Queen? - I żeby wyjaśnić swoje zainteresowanie, dodałam pośpiesznie: - Zdaje mi się, że babcia o nim wspominała.

- Ben? - zmarszczył brwi. - Będzie ze dwadzieścia lat, jak Bena nie ma.

Pewnie umarł. Nie wiem dlaczego, ale na tę myśl ogarnęło mnie przygnębienie. Jednak nic po sobie nie okazałam i zagadnęłam od niechcienia:

- Zastanawiam się, co się stało z jej matką. Znaczy, z żoną Bena Queena.

Spojrzał mi prosto w oczy.

- Sporo się zastanawiasz jak na dzieciaka. - Zamyślił się, po czym podjął: - Rose dobiegała czterdziestki, kiedy... umarła. To będzie ze dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat temu. Rose Fern Queen. - Pokręcił głową z uśmiechem, a jego jasne oczy się zamglily. - Ależ to była ładna kobita! Najładniejsza, jaką w życiu widziałem. Szkoda, że Fern nie miała jej urody. Ale też żadna nie była taka ładna jak Rose. - I straszliwie posmutniał, jakby coś utracił. Bardzo dziwne. - Idę wziąć sobie piwo - oznajmił nagle, opierając siekiere o płot. - Napijesz się lemoniady albo czego?

Kiwnęłam głową, zdumiona, że sytuacja nagle przybrała towarzyski charakter i że Jude mnie w niej uwzględnił.

- Idź na ganek - zawołał przez ramię. - Ten pies nie gryzie.

A więc dalszy ciąg wizyty najwyraźniej miał się odbyć na siedząco.

Wróciłam przed dom, ale na werandzie stał tylko jeden drewniany bujak, więc przysiadłam na schodkach obok psa, który niemrawo majtnął ogonem, chyba na przywitanie. Podrapałam go po grzbiecie. Wyraźnie sprawiło mu to przyjemność, gdyż przeciągnął się i obrócił, bezwładnie zwieszając z werandy łeb i przednie łapy. Często się zastanawiam, jak zwierzęta (zwłaszcza koty) wytrzymują w niewygodnych pozycjach, które najwyraźniej wcale takie nie są. Na chwilę moja dłoń na grzbiecie psa znieruchomiała, a ja zadałam sobie pytanie, czy należy zazdrościć zwierzętom. To byłaby ulga, niczego nie chcieć, ani białego mięsa z kurczaka, ani strojów z butików Europa. Byłoby przyjemnie być kotem, wylegiwać się na kuchennym krześle w promieniach słońca i nic sobie nie robić z Very pędzącej z tacą na ramieniu i jej

apodyktycznych okrzyków: „Przejdźcie! Przejdźcie!”. Ale z drugiej strony, jako kot nigdy nie weszłabym do kina Orion, nie jadłabym popkornu z różowej tutki i nie obejrzałabym powtórki *Pożegnane go walca*.

Jude Stemple przyniósł dla siebie piwo Black Label, a dla mnie oranżadę Orange Crush. Powiedziałam mu, że to moja ulubiona, co zresztą jest prawdą. Lubię Orange Crush z powodu butelki, ciemnobrązowej w delikatne pionowe rowki. Uwielbiam ją, bo różni się od wszystkich innych; pozostałe napoje mają butelki z przezroczystego szkła.

Jude nie zajął fotela, tylko przysiadł obok mnie na schodku. Miałam nadzieję, że mimo przerwy na przyniesienie piwa i oranżady nie będę musiała od nowa wszczynać towarzyskiej pogawędki o tym i owym. To się często zdarza dorosłym - w kółko się spotykają i odwalają te same pogaduchy, zanim przystąpią do właściwego tematu. Na szczęście Jude Stemple był inny; raz wspomniawszy o Rose i Benie Queenach, na dobre pograżył się w przeszłości.

- Ben Queen urwał się stąd, kiedy był niewiele starszy od ciebie. Pojechał gdzieś na Zachód - Nevada, Arizona, w tamte strony - i wrócił, kiedy miał około dwudziestki. Nie chodził do szkół, nie miał żadnego fachu, podejrzewam, że kombinował. Miał wrodzony spryt. No i urodę. Był bardzo przystojny. - Urwał, pociągnął spory łyk i wytarł usta. - Jedno ci powiem, dzięki urodzie można naprawdę daleko zajechać na tym świecie. - Przyjrzał mi się badawczo i zmarszczył czoło, jakby doszedł do wniosku, że to z pewnością nie mój przypadek. - Kobiety latały za Benem Queenem jak opętane. No i wtedy poznał Rosie Devereau - znaczy, Rose Fern Devereau. Jej rodzina mieszkała w twoich stronach, bliżej Spirit Lake. - Jakbym o tym nie wiedziała! - No i się z nią ożenił, a przynajmniej tak przypuszczam, bo uciekli razem. Musieli, bo jej rodzina podobno okropnie się wywyższała i nie podobał im się jakiś tam Queen. Muszę przyznać, że niektóre Queeny to naprawdę, za przeproszeniem, cholerne dziwadła. W tym domu na Dubois mieszka brat

i bratowa Bena. On jest w porządku, ale ona to wścibska jędza. Mają własne warzywa...

- Widziałam krzaki pomidorów.

Przytaknęła.

- Na tyłach jest wielki, stary ogród - sałata, szparagi, kapusta, co chcesz.

- Znał pan tych Devereau?

- Rodziców Rose? Nawet ich nie widziałem. Żaden Devereau w życiu by się nie pokazał w Cold Flat Junction. - Zaczął skubać etykietę na butelce.

- A ona o nich nie mówiła?

- Nie słyszałem.

- A co z Fern? To dziwne, że nikt nie zgłosił jej zaginięcia.

Parsknął śmiechem.

- Pewnie myślą, że znów uciekła, i prawdę mówiąc, nie specjalnie ich to obchodzi.

W jego tonie zabrzmiało coś, co powstrzymało mnie od pytania dlaczego. Miałam osobliwe przeczucie, że gdybym o to spytała, byłby to koniec naszej rozmowy. Ale robiło się późno i nie mogłam wечно mówić ogródkami, więc jednak zadałam pytanie:

- A słyszał pan, żeby ktoś wspominał o Mary-Evelyn Devereau?

Zmarszczył czoło w namyśle i zapatrzył się na dalekie drzewa.

- Chyba gadali coś o jakimś wypadku, trzydzieści pięć, czterdzieści lat temu.

Opowiedziałam mu, co się stało z Mary-Evelyn. Skinął głową, że owszem, coś o tym słyszał, po czym kilkakrotnie cmoknął językiem, jakie to smutne.

Byłam zawiedziona, że nie wie nic więcej o Rose.

- Pewnie pan zna wszystkich w Cold Flat Junction?

- Tak, prawie - odparł.

- Ciekawa jestem, czy widział pan kiedyś... - Urwałam.

Nie wiem, czemu zamilkłam i nie zapytałam go o Dziewczynę. Nie, bo nie.

Milczeliśmy, pies pochrapywał cicho. Podążając za wzrokiem Judea Stemple'a, spojrzałam wysoko ponad najwyższe gałęzie drzew, okryte świeżymi liśćmi o konturach rzeźbionych przez szare popołudniowe światło. Niebo o ton pociemniało. Spojrzałam na zegarek - miałam dwadzieścia pięć minut, żeby zdążyć na pociąg.

- Muszę już iść! - zawołałam śpiewnie, zerwałam się i wykonałam taneczny krok do tyłu.

Jude Stemple wyprostował się i rzekł:

- No, miło mi się z tobą gadało. Tylko żebyś mi zaraz nie poleciała do tego szeryfa w La Porte i nie powtarzała mu, co mówiłem, słyszysz?

Zamarłam jak rażona piorunem.

- Ale przecież...

Kręcił stanowczo głową, nie, nie, nie.

- Obiecaj mi, słyszysz? W końcu to nie moja sprawa.

Nie mówić szeryfowi? Jakże to? Przełknęłam z trudem ślinę. Ale Jude Stemple wyglądał na tak... no nie wiem... na tak sponiewieranego i nieszczęśliwego, że wbrew sobie kiwnęłam głową. Pomyślałam, że może jest samotny, bo chyba tylko ktoś bardzo samotny zechciałby tyle czasu ze mną gadać.

Niemniej poczułam się nieswojo - oto miałam chodzić po świecie z kupą informacji, których nie wolno mi było przekazać dalej. Informacji, które szeryf - zwłaszcza szeryf - bardzo by chciał posiadać. Pociężyłam się przypuszczeniem, że z pewnością już się dowiedział, kim była zmarła kobieta.

Jude Stemple najwyraźniej czytał w moich myślach, dostrzegł moje wątpliwości i niepewność, bo przyglądał mi się długo i bacznie, po czym krótko skinął głową, jakby w odpowiedzi - jakbyśmy zawarli pakt.

Ruszyłam w stronę stacji, lecz odwróciłam się jeszcze na chwilę.

- Jak ona wyglądała? Znaczy, Rose Devereau?

Skłonił głowę, odczekał kilka uderzeń serca i spojrział na mnie z głębokim namysłem.

- Już mówiłem, że była piękna. Włosy miała naprawdę jaśniuteńkie, jak światło na tych listeczkach. - Gestem głowy wskazał blask przesączający się przez gałęzie. - I oczy jak woda w jeziorze, bez przerwy zmieniały kolor. Była wysoka, wiotka, blada i jasnowłosa, można powiedzieć, prawie przezroczysta. - Wstał z werandy, otrzepał spodnie i wzruszył ramionami. - Wiesz, ja tam nie bardzo umiem opisywać.

Ależ umiał. Właśnie opisał Dziewczynę.

Chyba domyślałam się już, że tak będzie. Rose, potem Fern, potem Dziewczyna. Musiała być córką Fern. Pewna odpowiedzi, zapytałam:

- A dzieci Fern Queen? Gdzie one są?

Wzruszył ramionami.

- Fern nie miała żadnych dzieci.

Po czym uśmiechnął się, pomachał mi ręką i odwróciwszy się, zniknął w drzwiach domu.

Stałam, gapiąc się za nim, jakby nogi wrosły mi w ziemię. Fern nie miała żadnych dzieci! Pewnie do dziś bym tam stała, tak mnie to zaskoczyło, ale musiałam zdążyć na pociąg.

Dwadzieścia pięć minut wystarczyło, aby dojść na stację, zwłaszcza że szłam szybko, nie miałam już jednak czasu, żeby przystanąć przed domem z żółtymi okiennicami i dokładnie go sobie obejrzeć. Zauważyłam tylko, że sadzonki zniknęły z werandy, lecz za firankami nie dostrzegłam żadnego ruchu.

Dotarłam na dworzec, mając pięć minut w zapasie, usiadłam więc na tej samej ławce co przedtem i znów zapatrzyłam się w puste pole, gdzie nic się nie ruszało i nic nie zmieniało. Czas uwiązał mi w krtani niczym łuska prażonej kukurydzy, z tych, które w kinie doprowadzają człowieka do szaleństwa. Nie można ich dosięgnąć palcami, nie da się ich

przelknąć, tkwią jakby przyklejone, potem się o nich zapomina, a potem po prostu znikają.

A taka byłam pewna, że słusznie rozumiuję i udało mi się prześledzić pochodzenie Dziewczyny. Odkrycie, że jednak się myliłam, stanowiło gorzkie rozczarowanie.

Ale, czy aby na pewno?

Co powstrzymało mnie przed zapytaniem o nią kogośkolwiek, choćby szeryfa? Co nie pozwoliło mi jej opisać, na przykład doktorowi McCombowi, po tym, jak ujrzałam ją nad jeziorem? Co nie pozwoliło mi zagadnąć Jude'a Stemple'a, czy zna taką osobę?

Siedziałam nieporuszona, nawet gdy z oddali dobiegł mnie odgłos nadjeżdżającego pociągu, i gapiałam się na horyzont, gdzie późnopołudniowe słońce zdobiło złotą błękitną linię lasu. Cold Flat Junction wydało mi się już nie miejscem, lecz wspomnieniem miejsca. Strasznie mnie to zdenerwowało - bo teraz i Dziewczyna stała się wspomnieniem.

Pociąg wyjechał zza zakrętu, wydając przeciągły gwizd, równie smętny jak wołanie lelka we Flyback Hollow. Podniosłam się sztywno, skrzypiąc jak staruszka, i przeszłam po podkładach na drugą stronę torów. Tu również stała ławka.

Pociąg, coraz bliższy i głośniejszy, sprawiał wrażenie rozpędzonego, ale w rzeczywistości zaczął już zwalniać.

Spojrzałam na ławkę, którą przed chwilą opuściłam, i oczyma duszy zobaczyłam siebie, wciąż tam siedzącą. Było to bardzo dziwne, jak powidok, który zostaje pod powiekami, gdy odwraca się wzrok od jaskrawego światła.

Siedziałam na swojej ławce, aż pociąg nadjechał z łoskotem i rozciął mnie na pół.

32.

I znów znalazłam się wśród surówek. Ledwie pamiętałam podróż pociągiem, wsiadanie i wysiadanie oraz drewniany chodnik prowadzący do hotelu. Pamiętam, że zatrzymałam się na chwilę, aby usiąść na jednej z krytych ławek w chłodnym cieniu, ustawionych tam, gdzie chodnik przekracza kamienisty potok, zapewne po to, by ludzie mieli gdzie schronić się przed deszczem.

Zasiedziałam się tak bardzo, że gdy zjawiłam się w kuchni, dochodziła szóstka. Panował tu zgiełk i rwetes, zwykle towarzyszący wieczornym przyjęciom. Nie mogę pojąć, dlaczego bankiet na dziesięć - dwanaście osób wywołuje więcej zamieszania i nerwów niż pięćdziesięciu gości siedzących pojedynczo, każdy przy swoim stoliku. W miseczkach do surówek leżały już kawałki sałaty lodowej, a na talerzach czekały krążki cebuli i papryki oraz ćwiartki pomidorów, przygotowane do układania. Pokroiła je Anna Paugh, która chyba sądzi (tak mi się czasem wydaje), że to niesprawiedliwe, iż zawsze ląduję przy surówkach. Anna Paugh jest naprawdę miłą i w niczym nie przypomina Very, choć równie dobra z niej kelnerka - to nieduże chuchro, podczas gdy Vera jest wysoka i (to chyba stosowne słowo) władcza.

Na przyjęcie Helene Baum wyjęto specjalne salaterki do surówek z ciemnozielonego szkła, z których każda obecnie zawierała małą sałatę masłową. Lola Davidow wymachiwała chochlą do sosu winegret, rozprawiając o tych sałatach, jakby to były, nie przymierzając, szmaragdy lub jakby wygrzebał je spod ziemi świński ryj niczym (wedle słów mojej matki) trufle. W życiu nie widziałam trufli i mam szczerą nadzieję, że nigdy już nie obejrzę żadnej sałaty masłowej. Choć, prawdę mówiąc, właściwie dobrze się złożyło, bo z tą sałatą nie trzeba nic robić, wystarczy ją polać sosem winegret z dzbanka. Ale okazało się, że i od tego zadania zostałam odsunięta - jak już wspomniałam, przechwyciła je ośrobieście pani Davidow, jakby tylko ona posiadała potrzebne

kwalifikacje. W gruncie rzeczy podjęła się tego, bo po prostu pragnęła mieć poczucie, że jest niezbędna, aby przyjęcie się udało, chociaż to oczywiście nieprawda. Matka również była już w pełnej gotowości; paliła więcej papierosów niż zwykle, wciąż wykrzykiwała polecenia i w kółko nas pouczała, że jeśli jedzenie nie dociera na stół gorące, to winą zawsze obarczany jest kucharz (czyli ona), a nie kelnerki (akurat!). Przy takich okazjach matka zwykle wzywa tymczasową pomoc w osobie niejakiej pani Ikleberger, która pracuje jako „podkuchenna”, nie mam pojęcia o co, bo tylko płacze się pod nogami i wciąż trzeba ją odpychać. Pani Ikleberger prowadzi jadalnię obok knajpy Grega, którą otwiera w samym środku zimy i wydaje uczniom obiady; jadamy tam z Willem, kiedy - co się rzadko zdarza - zostajemy na zimę w Spirit Lake i chodzimy do miejscowej szkoły. To pogodna, wesoła kobieta, z którą przyjemnie mieć do czynienia w mroźne zimowe dni, gdy stopy zapadają się jakby wessane w głęboki śnieg, a lodowate powietrze nadaje odległym przedmiotom dymnoblękitną barwę.

W tej chwili pani Ikleberger szamotała się jak zwykle wśród garnków i rondli, jednocześnie wrzeszcząc do Waltera, żeby przyniósł jej czyste naczynia, co naturalnie uczynił, choć chyba z godzinę trwało, zanim wydobył się z ruchomych cieni i pokonał dwanaście stóp dzielących zmywarę od kuchenki. Przy okazji przyjęć nawet Walter dostaje tymczasową pomoc, a jest nią matka Paula. Zawsze z ciekawością podsłuchuję ich rozmowy i kręcę się przy zmywarce tylko w tym celu. Żadne słowo nigdy nie wychodzi poza jej migdałki, jakby nie było w stanie przedrzeć się do języka i zębów, a Walter, ze swoją ciągnącą się jak syrop wymową, też mówi trochę podobnie. Doskonale do siebie pasują i dobrze się rozumieją, mimo że nie potrafią się wyjęzyczyć, a może właśnie dlatego.

Czasem, ku wielkiemu zakłopotaniu mojej matki, zjawia się również Paul. Zwraca się do niej „psze pani”; co kwadrans staje przy blacie do wydawania posiłków, do którego

ledwie sięga podbródkiem, z brzdękiem stawia swój wielki talerz i pyta: „Psze pani, mogę dostać obiad?”. Wtedy jego matka go odciąga i wali w ucho, grożąc straszliwą karą, ale jemu najwyraźniej to nie przeszkadza. W ogóle się nią nie przejmuje, toteż przez większość czasu tkwi przywiązany do krzesła na tylnej werandzie i z lubością wyskubuje nici ze swych brązowych butów, póki się nie rozpadną.

Tego wieczora stałam jak zahipnotyzowana w chmarze dźwięków, machinalnie przyrządzając surówki. Prawdę mówiąc, ledwie je widziałam; myślami przebywałam jeszcze w Cold Flat Junction, gdzie szłam od stacji do Flyback Hollow i z powrotem. Z jednej strony miałam wrażenie, że dowiedziałam się mnóstwa rzeczy - ale zarazem czułam, że bardzo niewiele. Wciąż nie byłam pewna, czy zmarła kobieta to Fern Queen (choć było to wielce prawdopodobne); nikt w hotelu nawet się o niej nie zająknął, przypuszczalnie więc dotąd nie została rozpoznana. Zdumiewało mnie, że w tak małej miejscowości jak La Porte i w jeszcze mniejszej jak Cold Flat Junction, nikt dotąd nie domyślił się, kim była. Czy tutejsi ludzie w ogóle nie używali rozumu? Pięć dni temu pewna kobieta z Cold Flat przepadła bez wieści, a niecałe cztery dni temu pewna kobieta została znaleziona martwa na obrzeżach La Porte. I obie odpowiadały temu samemu opisowi. Boże drogi, czy naprawdę trzeba być geniuszem, żeby dodać dwa do dwóch?

Istniało tylko jedno wytłumaczenie - szeryf (który z pewnością jest dostatecznie inteligentny) po prostu nic nie wiedział o żadnym zaginięciu, bo Queenowie go nie zgłosili. Może myśleli, że Fern wyjechała gdzieś z własnej woli, może zwyczajnie nie czytali gazet. Pocieszałam się, że nie złamię obietnicy, jeśli tylko powiem szeryfowi, że podobno w Cold Flat Junction zginęła jakaś pani, ale nie wyjawię, skąd o tym wiem. I zaraz uświadomiłam sobie, że faktycznie usłyszałam o tym u Brittena, owego dnia, kiedy pierwszy raz ujrzałam Jude'a Stemple'a.

Z ulgą zaczęłam rzucać krążki cebuli na „zwykłe” surówki, zadowolona, że dziś wieczorem moja rola sprowadza się do pomocnicy Very. No i do obsłużenia panny Berthy, która tego zażądała. Można by wręcz pomyśleć, że mnie lubi, choć wiem, że tak nie jest; po prostu nie ma ochoty od nowa się przyzwyczajać do wrzeszczenia na kogoś innego. Anna Paugh miała zająć się pozostałymi gośćmi - przyjęliśmy cztery rezerwacje, co oznaczało dziesięć do piętnastu osób.

Oczywiście, mimo zamieszania zdążyłam już zorientować się w jadłospisie - czyli w tym, co dostanę do jedzenia, jak już będzie po wszystkim. Miała być pieczeń jagnięca, zrumienione w piecu ziemniaki i zielony groszek. Jednak ująć to w ten sposób to jakby napisać, że zachód słońca jest czerwony, niebieski i żółty - takie sformułowanie w żaden sposób nie oddaje wyglądu żadnej z owych potraw (na przykład chrupiących krawędzi ziemniaków), a już na pewno nie jest w stanie przekazać, jak stapiają się i mieszają ich barwy. Moja matka uważa, że posiłek powinien być „skomponowany”: brokułów nie wolno jeść z jagnięciną ani pieczenią wołową, zrumienionych ziemniaków nie podaje się z kurczakiem, pomidory nie mogą występować z papryką *pimento* i tak dalej. Jak już wspominałam, to jest SZTUKA. Jadłospis tego wieczora był taki, jaki był, i już - mogliśmy (ja i reszta gości) wybrać jedynie między brązowym sosem pieczeniowym i sosem miętowym. Co wydaje się proste, ale sprawa Salomona i noworodków też wyglądała prosto, póki nie poznało się szczegółów. Sos pieczeniowy jest gładki, brązowy i lśniący niczym mahoniowy słupek przy schodach w holu; świeża mięta pochodzi wprost z ogromnej, dzikiej łąki na tyłach lodowni. (Jest jej znacznie mniej od czasu, gdy pojawiła się u nas pani Davidow, która latem przejawia ogromne upodobanie do miętowych koktajli w południowym stylu). Matka wyznała mi kiedyś, że robi sos miętowy, po prostu miażdżąc garść mięty, do której dodaje wody, octu i cukru. Każdy głupi to potrafi, powiada. Nieprawda, nieprawda i nieprawda. Z jakiegoś powodu, kiedy matka wlewa wodę do

szklanki lub dzbanka, z wodą coś się dzieje. To jest trochę tak, jakby przez pokój przeszła kobieta w szyfonowej lub jedwabnej sukni, pachnąca ulotnymi perfumami; nawet po jej wyjściu w drzwiach mignie czasem rąbek szyfonu, a w powietrzu unosi się delikatna woń.

Matka to czarnoksiężnik. Niestety, ja nie jestem uczniem czarnoksiężnika.

Podczas tych rozmyślań o Cold Flat Junction i sosie miętowym surówki jakoś same zdążyły się zakomponować i wywedrować do jadalni. Zjawiała się też pierwsza para gości - Anna Paugh krążyła tam i z powrotem, żeby ich obsłużyć - natomiast panna Bertha gdzieś się zapodziała. Może miała wylew? Próbowałam stłumić tę nadzieję. No i przyjęciowi goście się spóźniali; matka gotowała się ze złości, a Vera z królewską miną paliła papierosa i poprawiała białe, krochmalone mankiety. Spóźnienie na proszoną kolację to dla mojej matki wprost świętokradztwo. Jedzenie, powiada, wysycha. Osobiście nigdy tego nie zauważyłam, ale skoro jej bezbłędne oko coś dostrzega, to na pewno tak jest.

Panna Bertha, która przez większość czasu nie ma pojęcia, co się wokół niej dzieje, zawsze świetnie wyczuwa, kiedy sprawi najwięcej kłopotu, toteż i tym razem weszła do jadalni tuż przed gośćmi Baumów; deptali jej po piętach do tego stopnia, że wyglądała jak chorążyna.

- Stara idiotka! - warknęła matka, z hukiem stawiając na blacie półmisek gorących bułeczek. - Dowiedz się, czego chce, szybko! I wsadź jej to pod nos!

Westchnęłam. „Szybko” i „panna Bertha” to określenia wzajemnie sprzeczne, rozumiałam jednak desperację matki. Teraz musiałam porzucić stół Baumów i Verę, która (rzecz jasna) oszpeciła, że świetnie sobie poradzi, jakby moja obecność nie miała dla niej najmniejszego znaczenia. Wtedy jednak wpadła do kuchni Anna Paugh i zadeklarowała, że chętnie obsłuży pannę Berthę, czy jej się to spodoba, czy nie, bo moja pomoc na przyjęciu Baumów jest absolutnie niezbędna. Nie użyła tych słów, lecz niewątpliwie zdołała

przekazać taki sens. Pomyślałam, że jest wprost cudowna, Vera natomiast z chęcią by ją zabiła.

Wysoko unosząc na jednej dłoni tacę z talerzami zupy *consomme*, Vera pchnęła barkiem wahadłowe drzwi i wkroczyła do jadalni. Ja podążałam za nią, niosąc sałaty masłowe. Helene Baum usiłowała przesadzić swoich gości, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Naturalnie, towarzystwo było już nieźle zalane, a najbardziej Lola Davidow, która zdążyła dopilnować, by wszyscy poszli za jej wesołym przykładem. Nie mrugnawszy nawet okiem, porwała nakrycie z pobliskiego stolika i jęła się wciskać w przerwę pomiędzy żoną burmistrza i aptekarzem Kenem Kingiem, który zaśmiewając się do łez, wrzeszczał coś do doktora na drugim końcu stołu. To zdumiewające, że Loli Davidow zawsze udaje się wkręcić na cudze przyjęcie. Nie pierwszy raz to robi. Chociaż faktycznie potrafi być świetnym kompanem, a poza tym ludzie chcą, by ich uważano za wyrozumiałych, pogodnych i otwartych na przygodę.

Wszyscy goście z rezerwacji zwalili się do jadalni dokładnie w tym samym czasie co Baumowie, ich znajomi oraz panna Bertha. Anna Paugh, choć bardzo sprawna, nie nadążała z obsługiwaniem wszystkich na raz, w końcu więc klienci zaczęli po cichu wysyłać do mnie małe sygnały (stałam beczynnym przy stole Baumów, więc chyba myśleli, że nie jestem zajęta). Dyskretnie na mnie kiwali bądź bezgłośnie prosili „wody, wody” albo „chleba, chleba”, jakby ginęli z głodu na pustyni. Natomiast panna Bertha bynajmniej nie zachowywała się cicho, lecz niezadowolona trąbiła na całą salę. Ignorowałam wszystkich.

W połowie obiadu dotarło do mnie, że goście Baumów wymieniają uwagi i teorie na temat trupa znalezionej w Lustrzanym Stawie. Chwyciłam dzbanek i przysunęłam się bliżej, udając, że chcę dolać wody do szklanek. Podobno szeryf i jego ludzie - usłyszałam - dotychczas nie zdołali ustalić tożsamości zabitej, i czy to nie jest okropnie tajemnicze?

Niestety, Helene Baum wybrała ten nader ciekawy moment, aby wziąć sprawy w swoje ręce i poskarżyć się, że jej jagnięcina jest zbyt wypieczona. Wymianę zdań na temat zmarłej oraz mostu White'a natychmiast zagłuszyła ostra kłótnia Helene Baum i pani Davidow. Pani Davidow, zamiast pod byle pretekstem szybko i dyskretnie odesłać porcję do kuchni, oświadczyła głośno, że jagnięcina jest przyrządzona doskonale i że Jen zawsze piecze ją tak samo. Rzecz jasna, pretensje Helene tylko przybrały na sile. Pieczeń nie jest różowa, zaprotestowała; nie jest krwista! Pieczeń jagnięca, którą jadła w Paryżu, była krwista! (Tu podniosła i pokazała swój kawałek mięsa, jakby poddając go pod osąd Pana Boga i prezydenta Francji). W tej sytuacji Vera (gdyby akurat nie była w kuchni) miauknęłaby coś przeprosząco i zaproponowała inne danie ale nie Lola Davidow. Muszę jej oddać sprawiedliwość - nikt nie śmiał krytykować kuchni mojej matki w jej, Loli, obecności! Skoro więc zamierzały dalej się kłócić, porwałam talerz z uniesionej dłoni Helene Baum i pośpieszyłam do kuchni.

Naturalnie pieczeń wcale nie była zbyt wypieczona, po prostu nie wolno jeść krwistej jagnięciny. Nawet ja o tym wiem. Matka mówi, że można od niej dostać tej samej choroby, co od surowej wieprzowiny; Helene Baum zwyczajnie się czepia za każdym razem, gdy przychodzi do hotelu, bo jest zazdrosna o matkę i jej talent kulinarny. Postawiłam talerz na czarnej żeliwnej płycie, żeby go podgrzać, podczas gdy matka z Vera trzepotały się nad stołem z deserami, dokonując jakichś skomplikowanych czynności z ciastem.

W tym momencie do kuchni wpadła pani Davidow, czerwona i wściekła jak nie wiem co, bo Helene Baum wciąż perorowała o Paryżu i młodej jagnięcinie. Wyjaśniła mojej matce, o co chodzi.

- Krwista? Ta cholerna idiotka chce, żeby pieczeń jagnięca była krwista? - Matka sięgnęła za siebie, zdjęła z półki pusty słoik po konserwach i trzasnęła nim o stół z deserami.
- Bardzo proszę, zanieś jej trochę włosów!

Lola i Vera wybuchnęły śmiechem, matka zresztą też. Właśnie otrzymałam doskonałą nauczkę, żeby nie tracić nerwów na idiotki.

Nadal jednak trzeba było coś zrobić z obiadem pani Baum, dołożyłam więc na jej talerz połówkę pieczonego ziemniaka i uporządkowałam kupkę groszku, żeby danie wyglądało na całkiem świeże. Lecz robiłam to mechanicznie, bo głowę wciąż zaprzętała mi zmarła kobieta i Fern Queen. Nikt oprócz mnie i Jude'a Stemple'a nie podejrzewał nawet, że to jedna i ta sama osoba. Polewając stare plastry jagnięcia świeżym, gorącym sosem, rozważałam obietnicę złożoną Jude'owi Stemple'owi. Czy rzeczywiście oficjalnie coś mu przyrzekłam? Chyba nie - przecież nie wymówiłam na głos słowa „przyrzekam”. Lecz nie, to na nic - nie dałam rady siebie przekonać. Zgoda, często bywam z prawdą na bakier, ale zmyślanie wygodnych historyjek to jedno, a złamanie obietnicy to całkiem co innego. Biorąc z miski gałązkę pietruszki i rzucając ją na oblane sosem mięso, poczułam się niezwykle szlachetna.

Przy stole Baumów Lola Davidow wciąż boleśnie przeżywała zarzut „zbytniego wypieczenia”, więc gdy zobaczyła, że stawiam przed Helene świeży talerz, uniosła pytająco brew. I choć na ogół moje stosunki z Lolą układają się marnie, często nadajemy na podobnych falach, więc w odpowiedzi ja również poruszyłam brwiami, a słysząc, jak Helene Baum oznajmia, że, proszę, teraz mięso zostało przyrządzone właściwie, przewróciłam oczami, na co pani Davidow zareagowała tym samym.

W ten sposób przyjęcie osiągnęło etap deseru i Vera, zręczna jak zwykle, ustawiła przed każdym z gości kawalek szyfonowego tortu z limonek, elegancko przybranego bitą śmietaną. Biedna Anna Paugh nadal miotała się wśród swoich pięciu stolików, panna Bertha wciąż na mnie wrzeszczała. A ja nadal nie zwracałam na nic uwagi.

Kiedy przyjęcie się skończyło (albo przynajmniej kiedy mogłam już odejść od gości, którzy wciąż jeszcze balowali nad kieliszkami brandy), zjadłam wreszcie własny obiad (sos miętowy był jak płynny szmaragd) i około dziesiątej wieczorem zasiadłam w Różowym Słoniu z otwartym zeszytem i podbródkiem wspartym na dłoniach, wpatrzona w najnowszy wypożyczony obraz. Była to sielska, niemal akwarelowa scena z ogrodu, pędzla jednego z tych słynnych Francuzów na „M”, który, jak mi wyznała pracownica biblioteki, jest jej ulubionym malarzem. Opowiedziała mi o nim wszystko, ale pięć minut później już nic nie pamiętałam. Zastanawiam się, jak to wróży mojej przyszłej edukacji. W tym samym czasie żył i tworzył inny francuski malarz, którego nazwisko (też je zapomniałam) różni się tylko jedną literą od nazwiska tego mego. On również malował takimi rozwodnionymi barwami, kropkami i maleńkimi pociągnięciami pędzla. Ciekawe, czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach rozróżnia tych dwóch panów „M” - bo i po co w ogóle miałyby ich rozróżniać. Czasem nawet myślę, że to jakiś kawał i chodzi o jednego i tego samego człowieka.

To wszystko jednak był wyłącznie pretekst, żeby nie myśleć o prawdziwym problemie: jak uniknąć powiedzenia szeryfowi o Fern Queen. A przecież Fern Queen stanowiła tylko część większej tajemnicy. Siedziałam przy zielonym piknikowym stole i sennie próbowałam coś wykombinować.

„Fern nie miała żadnych dzieci”. Tak powiedział pan Stemple. Sięgnęłam do pudełka po czekoladkach Whitman's i wyjęłam zdjęcie siostr Devereau zrobione przed frontem hotelu, z Mary-Evelyn na pierwszym planie, odsuniętą od pozostałych. Czy Rose nie było na nim dlatego, że zdążyła już uciec z Benem Queenem?

Dlaczego ludzkie wspomnienia są takie niepewne? Matka prawie nie pamięta tych jakże ważnych osób sprzed czterdziestu lat, a jednocześnie potrafi snuć historie o swojej rodzinie i rodzinie mego ojca, o dawnych gościach Hotelu Paradise i mieszkańcach Spirit Lake, sięgające niepamiętnych czasów.

Słucham jej opowieści w późne letnie wieczory, kiedy obie z panią Davidow siedzą na werandzie od frontu, jedna z kieliszkiem złotawego porto, druga ze szklaneczką whisky, a dym z ich papierosów sączy się ku górze, niebieski w ciemnożółtym świetle górnej lampy, gdzie w białym kulistym kloszu mającą uwięzione ćmy. Matka niezwykle barwnie i szczegółowo wspomina dawne czasy; pani Davidow, oparłszy ramię na balustradzie, od niechcienia strzepuje papierosa, sypiąc popiołem na krzaki rododendronów. I obie często śmieją się w głos, bo też wspomnienia matki bywają bardzo śmieszne.

Choć pani Davidow przez większość czasu doprowadza mnie do szału, w owe wieczory, gdy mam wrażenie, iż specjalnie się mną nie krępują, szczerze ubolewam, że ich ścieżki nie przecięły się wcześniej, co zapewne brzmi dziwnie w moich ustach. Skoro uważam pięć lat obecności pani Davidow za coś okropnego, dlaczego nagle życzę sobie pięćdziesięciu? Cóż, nie wiem. Ale od razu wyjaśniam, że mówię o samej pani Davidow, nie o pani Davidow i Innej Osobie. Inna Osoba i tak nie bierze udziału w pogaduszkach na werandzie. Przeszłość ją nudzi, pewnie dlatego, że w niej nie występuje. Ja tam nie nudzę się nigdy; owe noce mają w sobie gładkość złotawego porto w kieliszku matki, światło zaś - jego barwę. Bujam się, słucham i żałuję, że nie jestem częścią przeszłości.

Albowiem moja matka, oprócz tego, że jest wielką kuchmistrzynią, jest także wielką opowiadaczką. Powinna była zostać pisarką lub przynajmniej damą z towarzystwa w jakimś wielkim, eleganckim mieście, takim jak Nowy Jork albo Paryż. Urządzałyby regularne spotkania dla artystycznych gości (zapomniałam, jak to się nazywa), którzy wpadaliby po południu na drinka i pogawędkę, zostawiając na srebrnej tacy białe wizytówki. Moje życie pewnie też byłoby całkiem inne, choć trudno mi sobie wyobrazić, jak by wyglądało; może krążyłabym wśród tłumu gości, roznosząc półmiski maleńkich sandwichów bądź gorących krabowych prażynek (zakładając,

że matka nadal by je przyrządzała), słuchając rozmów i śmiechów, dźwięczących wokół mnie niczym owe maleńkie łyżeczki na spodkach filiżanek do pół czarnej?

Ale później zastanowiłam się - gdyby „błyskotliwe riposty” (tak to się chyba mówi) były dla mnie chlebem codziennym, to czy ceniałabym te rzadkie wieczory na werandzie, kiedy świerszcze brzęczą w letniej ciszy?

Właśnie ze względu na talent mojej matki do opowiadania nie potrafiłam w żaden sposób pojąć, siedząc tutaj, w Różowym Słoniu, dlaczego nie mogła sobie przypomnieć szczegółów śmierci Mary-Evelyn. Może po prostu nie chciała? ,

Ospale wpatrywałam się w zdjęcie, unosząc je pod nos, żeby lepiej zobaczyć twarze. Wspomniałam fotografię pozostawioną na ścianie w domu Devereau. Wszystkie były na niej znacznie młodsze, ale z łatwością rozpoznałam je na swoim zdjęciu.

Oparłam podbródek na przedramieniu i trzymając zdjęcie za krawędzie, powoli je obróciłam, jakbym patrzyła w kalejdoskop. Może zdawało mi się, że dzięki temu jego treść się przesunie? Nic podobnego, rzecz jasna. Obrócone bokiem czy do góry nogami, siostry Devereau spoglądały na mnie sponad ciemnych sukien z niezmiennie poważnymi minami i milczały jak grób.

„Fern nie miała żadnych dzieci”.

Skoro Dziewczyna nie była spokrewniona z Rose i Fern, skądże, u licha, się wzięła?

Przez szparki zaspanych oczu spjrzałam na leżący na stole stos książek. Wolną ręką leniwie przysunęłam ku sobie przygody Nancy Drew i z ukosa zerknęłam na podartą okładkę książki. Widniała na niej Nancy z latarką i przerażoną miną - pewnie trafiła na wskazówkę wielką niczym odcisk stopy olbrzyma.

Zamknęłam oczy. Nie było żadnych wskazówek.

33.

Obudziłam się w niesamowitej, różowej ciemności, zastanawiając się, gdzie jestem i co to za rwetes rozlega się nad moją głową. Nade mną mieściła się jadalnia i część kuchni, zapewne więc hałasy - jak się zaraz domyśliłam - oznaczały przygotowania do śniadania (miałam nadzieję, że nie do lunchu!).

Półprzytomna otrząsnęłam się ze snu i zobaczyłam, że w jednej dłoni wciąż ściskam zdjęcie, druga zaś spoczywa na książce o Nancy Drew niczym na świętym mszale, jakby mój śpiący umysł przez całą noc poszukiwał tropów. Na drugim końcu stołu spał zwinięty w kłębek hotelowy kot, który w jakiś niepojęty sposób wśliznął się do Różowego Ślonia. Już dawno temu uznałam, że koty umieją rozplýwać się w powietrzu i znów przybierać właściwy kształt po drugiej stronie ściany.

Walenie nadal rozlegało się od czasu do czasu, naszła mnie nawet dziwaczna myśl, że to panna Bertha siedzi na górze i stuka łaską w podłogę. Kiedy mnie pochowają, panna Bertha zasiądzie przy stoliku na moim nagrobku, walnie trzy razy łaską i wrzaśnie: „No, rusz się, do roboty! Gdzie moje gorące bułeczki?”

Cała zdrętwiała poskakałam trochę, aby odzyskać czucie w jednej ręce i nodze. Następnie cicho podkrađłam się pod drzwi (chyba dlatego, żeby dzień mnie nie usłyszał), uchyliłam je i wyjrzałam na zewnątrz. Był ranek, bardzo wczesny. Uspokoiliam się i otworzyłam drzwi do końca. Poranne opary, podobne do pajęczyn lub kolderek, snuły się tuż nad ziemią, lgnęły do wysokich, mokrych traw, kładły się na miętowej łące, po czym wzlatywały ku koronom drzew, gdzie znikaly bez śladu w niskich promieniach słońca. Las na wzniesieniu daleko za łąką był całkowicie spowity mgłą, która zamieniała drzewa w upiorne zjawy.

Te poranne widoki zawsze mnie zachwycają, to znaczy, przy tych nielicznych okazjach, gdy uda mi się wstać o

godzinę wcześniej, żeby je docenić. Ale zazwyczaj sen bierze górę nad urokami przyrody (jak większość rzeczy), więc tylko niekiedy, tak jak dzisiaj, przypadkiem widuję zamgloną drogę i pola oraz niewyraźne szare bryły, z których, kiedy mgła się rozprasza, wyłaniają się lodownia i kurnik.

Kot za moimi plecami też się obudził i widząc, że stoję w drzwiach Różowego Słonia, wymknął się na dwór. Jak już mówiłam, koty potrafią przenikać do pomieszczeń i z nich wychodzić całkiem samodzielnie, lecz niech no tylko pokaże się człowiek, można się założyć, że będzie musiał przytrzymać kotu drzwi.

Uznałam, że do rozpoczęcia pracy i tak zostało mi jakieś pół godziny, więc nie poszłam już do swego pokoju, bo mi się nie chciało, ale podążyłam wprost do kuchni. Prowadzi do niej czworo drzwi - dwoje po obu stronach kuchennego' skrzydła i dwoje od tyłu, jedno z pralni, drugie z przeszklonej werandy, do której trzeba iść naokoło domu (miałam nadzieję, że nie siedzi tam Paul, wciąż przywiązany do krzesła). Były spore szanse, że wchodząc od werandy, nie wzbudzę komentarzy Very (jeśli już zeszła) i że nikt się nie zdziwi, co ja tu robię tak wcześnie, ruszyliśmy więc (kot i ja) żwirową ścieżką na tyły domu. Podobało mi się, że nie widzę swoich stóp, skrytych we mgle, fascynował mnie również kot, którego jedyną widoczną częścią był gruby, szary ogon, wijący się przede mną wśród oparów. Na kamiennym chodniku przy tylnej werandzie ogon skręcił w trawę, by dopilnować swoich porannych spraw - pewnie udał się do wielkiego garażu łowić myszy.

Wchodząc do kuchni zrozumiałam, że niepotrzebnie się ceregieliłam: nie było obawy, że ktoś zacznie mnie wypytywać. Nikt nie zwróciłby uwagi, nawet gdybym wpadła przez sufit - byłam niewidzialna jak stopy we mgle.

Śniadanie, dzięki Bogu, trwało krótko, a byłoby jeszcze krótsze, gdybym nie musiała wysłuchiwać pretensji panny Berthy o wczorajszą kolację. „Bułki były zimne, a ta kelnerczka z talią osy nie ma bladego pojęcia o tej robocie...”.

Stałam cierpliwie, wetknąwszy tacę pod ramię, choć powieki ciążyły mi jak ołów. Wreszcie wtrąciła się pani Fulbright, jak zwykle przemiała, i zaczęła uspokajać pannę Berthę, mówiąc, że przecież obie lubią, kiedy ja je obsługuję, bo jestem bardzo sprawna i doskonale wiem, co im smakuje. Umiejętność, z jaką pani Fulbright zdołała obrócić stek obelg w komplement, wzbudziła mój nieklamany podziw. Pod względem talentów dyplomatycznych pani Fulbright niemal dorównuje szeryfowi.

Albowiem moje myśli zaprzętało przede wszystkim pytanie, co mu powiedzieć.

Po śniadaniu, złożonym z gofrów i pasztecików z kielbasą (które znacznie podniosły mnie na duchu), zakreśliłam się koło recepcji, zastanawiając się, czy iść do miasta na piechotę. Czułam jednak zbyt wielkie zmęczenie, zadzwoniłam więc do Axela po taksówkę, niestety, odkładając słuchawkę, odkryłam, że tuż obok, skryta w fotelu za ogromnym rododendronem, przez cały czas siedziała Ree-Jane. Podeszła teraz do mnie, nie odrywając wzroku od pisemka z modą, jakby nawet patrzenie w moją stronę nieopisanie ją nudziło, i oświadczyła, że zabierze się ze mną do La Porte, bo jej kabriolet jest w warsztacie. Tu po raz pierwszy spojrzała na mnie - oskarżycielsko - i dodała, że psuje się od czasu, gdy Brownmiller jeździł nim do Hebrides. Więc skoro i tak wzywam taksówkę, ona, Ree-Jane, zamierza ze mną pojechać. Nie była to prośba, lecz komunikat.

- Co ty tu robisz tak wcześniej? - zapytałam, wściekła na siebie, że dałam się jej przyłapać. Ree-Jane prawie nigdy nie schodzi na dół przed dziesiątą.

Dochodziła za kwadrans dziewiąta.

- Sam chce się ze mną widzieć - odpowiedziała Ree-Jane.

I westchnęła, jakby policja okropnie ją męczyła tymi wezwaniami.

- Szeryf? - Byłam zdruzgotana. Oczywiście, mogła kłamać. - Jak to? Po co?

Zyskała okazję, by rzucić mi pełen wyższości, wiedzący uśmiezek jaskrawo uszminkowanych warg.

- To poufna policyjna sprawa.

Świadoma, że cudze poufne sprawy nie mogą liczyć na dyskrecję Ree-Jane, postanowiłam trochę ją podpuścić:

- Pewnie chodzi o tę zmarłą kobietę.

Powiedziałam to kategorycznym tonem, jakbym była całkiem pewna.

Wyraźnie rozdrażniona rzuciła pismo.

- A ty skąd wiesz?

- Skąd wiem? - zastanowiłam się szybko. - Bo szeryf mnie też wezwał.

Zacisnęła gniewnie czerwone wargi.

- Ze mną miał się zobaczyć o dziewiątej.

Od niechcenia zerknęłam na główny zegar, obojętnie tykający nad naszymi głowami.

- No to chyba się spóźnisz.

Ree-Jane otwierała już usta, żeby coś powiedzieć (jej zdaniem, jadowicie), lecz w tej chwili rozległ się szelest żwiru i głośny klakson. Przyjechała taksówka.

Porwałyśmy swetry, kurtki i pieniądze (oczywiście, ona jak zwykle zostawi mnie z rachunkiem: „Przecież i tak byś jechała...”) i wybiegłyśmy na werandę, witane szerokim uśmiechem Delberta.

Już w środku, zapytałam, gdzie jest Axel. Zawsze o to pytam.

- Aa, Axela wezwali ci znad jeziora, żeby ich zawiózł do Meridian.

- Muszą być naprawdę bogaci, by jechać taksówką tak daleko - zauważyłam.

- Chyba tak. Axel lubi długie trasy. Wprost uwielbia prowadzić. Dlatego założył firmę taksówkową. To naprawdę dobry kierowca.

Chyba nie będzie mi dane tego sprawdzić.

Ree-Jane patrzyła prosto przed siebie i nie odzywała się do mnie; wciąż piekła ją świadomość, że ja również zostałam wezwana do szeryfa. Ciekawe, dlaczego mi uwierzyła. Odczuwałam potrzebę myślenia, tymczasem Ree-Jane przez samą swoją obecność zabierała z powietrza niezbędny dla mózgu tlen. Postanowiłam wypróbować na niej to, co wiem szeryfowi.

- Helene Baum i ci wczorajsi goście mówili, że policja nie wie nic nowego o zmarłej. Znaczy, nie wiedzą, kim była.

- Mnie nie pytaj - warknęła gorzko Ree-Jane.

Z jej słów wywnioskowałam, że nie ma o niczym pojęcia - w przeciwnym razie z pewnością wysłałaby z nowin ostatnie soki. Natomiast Delbert, który się nam przysłuchiwał, oczywiście miał własne zdanie i był gotów radośnie podzielić się nim z każdym, kto chciał go słuchać.

Ja tam nie chciałam.

Na skraju miasta ciekawość wzięła górę i Ree-Jane zapytała mnie, o czym Sam chce ze mną rozmawiać. (Nienawidzę, jak mówi o nim „Sam”).

- Nie wiem. Mamy się spotkać w Café Tęcza.

Powiedziałam tak na wypadek, gdyby wspomniała szeryfowi, że podobno umówił się ze mną o dziesiątej. W ten sposób szeryf pomyśli, że jak zwykle chcę się z nim zobaczyć w Tęczy i może sprawdzać razem parkomaty.

Życie aż nader często wymaga szybkiej orientacji.

Delbert wysadził Ree-Jane obok magistratu. Ja również mogłam tam wysiąść, ale to by oznaczało, że nie mam własnych

pilnych spraw - których nie miałam. Poprosiłam więc Delberta, żeby zjechał ze wzgórza, skręcił za róg i zatrzymał się po drugiej stronie ulicy.

Wysiadłam przed wejściem do sklepiku Pod Dębem, gdyż pomyślałam sobie, że byłoby miło dołączyć do panien Flyte i Flagler na poranny posiłek. Biała kuchnia panny Flagler jest przytulnym, cichym miejscem w sam raz do rozmyślań, którym się często oddaję, podczas gdy one rozmawiają. Kot również sprzyja myśleniu.

Lubię sklepik Pod Dębem przede wszystkim dlatego, że jest taki mały i niepozorny - „biedny, ale z klasą”, jak mawia moja matka - a także dlatego, że zawsze pachnie tu lawendą i *eau de rose*. Ładne, wypukłe okno wystawowe zawsze wygląda tak samo, choć na własne oczy widziałam, jak panna Flagler pochyla się i układa w nim biżuterię. Ale na ogół są to rzeczy tego samego typu: srebrne serduszka na cienkich łańcuszkach, złote medaliony, srebrne grzechotki przewiązane wstążeczką, taca pierścionków ze szczęśliwymi kamieniami dla każdego oraz małe srebrne misie (bez konkretnego zastosowania). W białych pudełkach na podkładkach z waty moszczą się naszyjniki i broszki, na półkach okrytych kaskadami granatowego aksamitu lśnią bransolety i srebrne łańcuchy.

Dźwięk dzwoneczka całkiem już ucichł, gdy na zapleczu rozległo się szuranie. Przyszło mi do głowy, że skoro mam w portmonetce kilka dolarów, mogłabym kupić prezent Annie Paugh, której urodziny przypadały za kilka dni. Matka zamierzała zrobić dla niej tort (zawsze go robi dla pracowników), a w kuchni miało się odbyć małe przyjęcie. Jak zauważyłam, Anna Paugh często nosi broszki, więc właśnie broszki szukałam, kiedy panna Flagler wyłoniła się zza zasłony. Najwyraźniej ucieszyła się na mój widok, a gdy wyjaśniłam, o co chodzi, pomogła mi przeszukać gablotę. Wreszcie znalazłam srebrną zapinkę w kształcie trzech kotów siedzących rzędem, z maleńkimi, lśniąco-ciemnymi oczkami z jakiegoś zielononiebieskiego kamienia. Wiem, że Anna Paugh uwielbia

koty, nawet kota hotelowego, wiem również, że hoduje kilka w domu, kupiłam więc broszkę, a panna Flagler zapakowała ją w srebrzysty ozdobny papier i zawiązała srebrną wstążeczką. Panna Flagler naprawdę kocha srebro.

- Panna Flyte zajdzie do mnie na kawę - powiedziała. - Napiłabyś się kakao?

Właśnie po to przyszłam, więc szybko wyraziłam zgodę. Przeszliśmy do kuchni, gdzie kotka Albertyna, tłusta i puszysta, leżała wyciągnięta przed żeliwnym piecykiem. Spojrzała na mnie, otrząsnęła się i widząc, że siadam na żółtym krześle, skoczyła na półkę nad moją głową, po czym zaczęła obwąchiwać mi włosy. Na białym stole stał półmisek świeżych bułeczek i panna Flagler poczęstowała mnie uprzejmie, podziękowałam jednak, mówiąc, że zaczekam na pannę Flyte. Pewnie nie byłabym taka grzeczna, gdyby nie brzuch, pełen gofrów i kielbasek.

Kiedy panna Flyte stanęła w bocznych drzwiach, ubrana w rozpinany sweter, przesiąknięty wonią woskowych świec, panna Flagler właśnie nalewała do kubka parujące kakao. Zamieszałam je szybko (by uniknąć kożucha) i wrzuciłam dwie pianki. Spokojnie, w przyjaznej ciszy, zabraliśmy się do napojów i bułeczek, podczas gdy Albertyna leniwie żuła moje włosy. Panna Flagler kazała jej przestać, ale oczywiście nie posłuchała.

Wreszcie uznałam, że pora wspomnieć o kobiecie znalezionej w Lustrzanym Stawie. Miałam nadzieję, że słyszały jakieś ciekawe plotki.

- No i szeryf wciąż nic o niej nie wie, nie zna jej tożsamości - zakończyłam. - Prawdę mówiąc, to dziwne, w końcu minęły już cztery dni. Policja mogłaby przynajmniej dowiedzieć się, kim była, nie sądzą panie?

Panna Flyte zgodziła się, że istotnie, to dziwne. Ale panna Flagler po chwili milczenia zaczęła mówić w osobliwy, okrężny sposób.

- Wiesz, wydaje mi się, że czasem... no, zdarza nam się utknąć na jakimś problemie. - Co powiedziawszy, zerknęła

na mnie i odwróciła wzrok. - Z jakiegoś powodu poruszamy się wyłącznie wokół niego. Albo wcale się nie poruszamy, tylko bezradnie trzepoczemy skrzydełkami. - Wpatrzona w filiżankę zmarszczyła czoło, jakby trudno jej było się wyjęzyczyć.

- Jak ćma, chcesz powiedzieć - wtrąciła panna Flyte, której myśli rzadko oddalały się od płomieni świec. - To obsesja. - Lubiała takie wyrazy. Była romantyczką. - Jak ćma krążąca wokół płomienia lub bijąca skrzydełkami o klosz lampy.

Panna Flagler zamyśliła się, wodząc palcami po krawędzi filiżanki; podobny gest widziałam kiedyś u wróżki czytającej z herbacianych fusów.

- Obsesja... nie, nie całkiem. Chodzi mi raczej o... przyciąganie. Tak, przyciąganie.

Zmarszczyłam brwi. O czym ona mówiła? Nie pojmowałam, jaki to ma związek z szeryfem i zmarłą kobietą.

- Pewne problemy nas przyciągają - powiedziała panna Flagler. - To a t r a k t o r y, jak magnes. Jeśli kogoś przyciągną, ten ktoś nie bardzo może... się oderwać.

Wyciągnęła dłoń, jakby próbowała wyłowić z powietrza odpowiednie słowa.

Zazwyczaj obie ćwierkały w najlepsze o codziennych sprawach, ale tym razem panna Flagler najwyraźniej wypłynęła na głębsze wody. Panna Flyte chyba też tak myślała, bo skinęła głową i rzekła:

- Głęboka myśl. Bardzo głęboka.

- Niezbyt dobrze to wyraziłam. Ale o to mi chodzi, gdy mówię o utknięciu. Albo uwięzieniu.

Przez całe to gadanie o „atraktorach” poczułam się nieswojo, zapytałam więc:

- No, ale chyba to nie jest wina ćmy, że dała się uwięzić.

- Wydawało mi się, że powinnam szybko to wyjaśnić, na wypadek, gdyby ktoś chciał kogoś obarczyć winą. Z niepokojem wpatrzyłam się w dno kubka. - W takim razie jak można się „odetknąć”?

Panna Flagler lekko pokręciła głową.

- Nie wiem. Nie wiem.

Niespecjalnie użyteczna odpowiedź. Zirytowałam się:

- Właściwie o jakich problemach pani mówi?

Myślała przez chwilę.

- Chyba o wewnętrznych. Tak, o wewnętrznych. - Popukała się pięścią w piersi.

Problemy wewnętrzne. Trochę się uspokoiłam. Nie posiadam takowych, chyba z wyjątkiem jednego: jak się pozbyć Ree-Jane.

- „Nie jestem u-po-waż-nio-ny, żeby o tym mówić” - sarknęła Maud, przedrzeźniając szeryfa.

Po głębokich myślach, które usiłowała wyrazić panna Flagler (denerwując mnie na dodatek), z ulgą słuchałam Maud, dobierając słowa bez najmniejszych trudności.

- Czy policjanci naprawdę tak mówią? - ciągnęła. - „Nie jestem upoważniony”? Wydaje mi się, że on po prostu udaje gliniarza z telewizji, żeby mi dokuczyć. - Zapaliła papierosa, po czym pomachała zapalką, żeby ją zgasić.

Rozmawialiśmy o reakcji szeryfa na jej pytanie. Podobno przyszedł tuż przed dziesiątą, kwadrans przede mną (a to pech), duszkiem wypił kawę i wystartował niczym „demon prosto z piekła”, a przynajmniej Maud tak to opisała, ze świstem pocierając jedną dłoń o drugą, co miało pewnie ilustrować pisk demonów wylatujących z piekielnych otchłani.

- Chcesz chili? - zapytała. - Świeżo przyrządzone.

Powiedziałam, że wracam od panny Flagler, gdzie razem z nią i panną Flyte jadłam lukrowane bułeczki i piłam kakao.

- Masz bujniejsze życie towarzyskie niż ja.

Przyglądałam się swoim palcom, rozpostartym na stole jak na klawiaturze fortepianu, rozmyślając o tym, co powiedziała panna Flagler.

- Jak pani sądzi - zwróciłam się do Maud - czy ludzie mogą uwięznąć w swoich problemach?

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.
- No, po prostu panna Flagler powiedziała coś w tym sensie, że problem może tak kogoś przyciągnąć, że ten ktoś w nim uwięźnie i nie zdoła się wydostać.
- Panna Flagler tak powiedziała? A to dopiero, taka cicha woda!

Maud w zadumie zdierała z paznokcia strzępek różowego lakieru.

- Panna Flyte uznała, że chodzi o obsesję, ale panna Flagler zaprzeczyła, że nie, że taki problem to „atraktor”. Tak powiedziała. „Atraktor”.

Maud zmarszczyła czoło.

- Chyba wiadomo, że ludzie potrafią całkowicie pogрузić się w swoich problemach. Ale wydaje mi się, że nie całkiem to miała na myśli... - Tu uniosła oczy i rękę, dłonią do góry, tak jak poprzednio panna Flagler, jakby wzywała Boga na pomoc. Chociaż obie wiedziałyśmy, że oczywiście na Boga nie ma co liczyć. - Może chodzi o to, że „wciążniemy” w problemie, jeśli wynikają z niego poważne osobiste konsekwencje.

U Maud lubiłam szczególnie to, że nigdy nie zbywała moich pytań i nie dopytywała się „a dlaczego pytasz?”. Mimo całego sarkazmu (zwłaszcza wobec szeryfa) traktowała sprawy poważnie.

- O czym rozmawialiście, kiedy tak powiedziała?
- O tej zmarłej kobiecie. - Odchrząknęłam. Nie chciałam już gadać o refleksjach panny Flagler, bo znowu zaczynałam się denerwować. - A dokąd szeryf pojechał, skoro był taki podniecony?
- On? Podniecony? - Wydmuchała kółko z dymu. - Nie powiedziałam, że był podniecony. Miał kamienną twarz jak zwykle.

Chyba Ree-Jane nie powiedziała mu nic ważnego? Maud rozstrzygnęła tę dręczącą kwestię, zanim o nią zapytałam.

- Powiedział tylko, że chodzi o zaginioną osobę. Gwałtownie uniosłam głowę.

- Co?
- O zaginioną osobę.
- Dobrze, ale o kogo?
- „Nie jestem u-po-waż-nio-ny”, itede., itepe. - Wzruszyła ramionami. - Nie mam pojęcia, kto to ani gdzie. - Skłoniła głowę w stronę szafy grającej. - To brzmi jak stary kawalek Jo Stafford. „Lecz nie pamiętam, kiedy i gdzie” - zanuciła. Miała naprawdę ładny głos. Po czym znów dobrała się do paznokcia, z którego zerwała kolejny strzępek lakieru. - Donny przyleciał do Shirl po kawę i pączki, ale zaraz wypadł na zewnątrz i wskoczył do samochodu patrolowego.

To dało mi do myślenia: Donny był papłą, Shirl także. Uniosłam się z siedzenia, zerknęłam w głąb sali i zobaczyłam, że Shirl jak zwykle rezyduje na wysokim stolku przy kasie. Pośpiesznie oznajmiłam, że muszę wracać do hotelu podawać lunche - minęła już jedenasta - i poprosiłam Maud o rachunek. Nie bardzo chciała go wystawić, jednak nalegałam; powiedziałam, że się boję, iż pewnego dnia wpadnie przeze mnie w tarapaty, jeśli będzie przynosić mi darmowe cole. Nie zgadzam się, powtórzyłam, więc Maud lekko wzruszyła ramionami i z uśmiechem spełniła moją prośbę. Podeszłam do kasy, przywitałam się z Shirl, położyłam rachunek i pieniądze na gumowej podkładce, po czym spojrzałam na rzędy pączków w szklanej gablocie.

- Matka mówi, że pani robi najlepsze pączki w promieniu stu mil - oznajmiłam.

W rzeczywistości najlepsze pączki robi moja matka, o czym sama doskonale wie.

Ale Shirl rozpląnęła się w uśmiechach.

- Przekaż jej, że dziękuję za komplement.
- Dobrze, przekażę. Chyba kupię ze dwa i zaniosę szeryfowi i Donny'emu naprzeciwko. I tak mam z szeryfem do pogadania.

- Szkoda twojego czasu, złotko - mruknęła Shirl, stukając w klawisze kasy. - Donny wpadł tu niecałą godzinę temu i wyleciał jak oparzony. I Sam też.

- Nie może być! - skrzywiłam się okropnie. - A ja miałam się z nim zobaczyć! Dokąd pojechali?

- Cold Flat Junction - Shirl plasnęła o podkładkę moją resztą.

Wiedziałam! Jude Stemple miał rację. Po prostu wiedziałam!

34.

Gdyby nie panna Bertha i jej trzy posiłki dziennie, zabrałabym torbę z pączkami prosto do magistratu i siedziałam tam, aż szeryf z Donnym wróca. Ale skoro było tak jak było, ruszyłam na postój taksówek Axela. Idąc z Café Tęcza obok Super Ścięcia, dostrzegłam przez wielką szybę, że na jednym, z trzech foteli siedzi Ree-Jane we własnej osobie, a fryzjerka rozczesuje jej włosy. Całkiem zapomniałam o Ree-Jane i jej spotkaniu w magistracie; przez chwilę nawet miałam ochotę wejść i spytać ją, jak poszło, ale z pewnością by się domyśliła, że chcę coś od niej wyciągnąć, a to oczywiście byłby świetny powód, aby mi nic nie powiedzieć. Ree-Jane bawi wyłącznie opowiadanie o rzeczach, o których nie mam ochoty słuchać.

Siedziała na fotelu i trajkotała jak najęta z Alną Duke, Stylistką (taki właśnie biały napis widnieje w prawym dolnym rogu wystawy). Alma Duke jest właścicielką Super Ścięcia, a także bez cienia wątpliwości najgorszą plotkarzą w La Porte, większą nawet niż Helene Baum czy Mabel Haines (a to dużo powiedziane). Jak wszyscy plotkarze, Alma Duke na ogół plecie głupstwa, bo gdyby choć przez chwilę zastanowiła się nad tym, co mówi, to musiałaby pohamować język, a to przecież niemożliwe. Żeby mówić z sensem, trzeba poświęcić trochę czasu na sprawdzenie faktów.

Pomyślałam, że to okropne być „stylistką” i przez cały dzień spełniać zachcianki próżnych bab. Po chwili zauważyłam w

środku Helene Baum, niemal niewidoczną pod wielką półką suszarki do włosów, a obok niej żonę burmistrza Simsa. Obie panie kłapały dziobami z naddźwiękową prędkością, trzymając na podołkach zapomniane babskie pisma. W jaki sposób słyszały się nawzajem poprzez warkot pracujących suszarek, nie miałam pojęcia.

Człapiąc (kaczym chodem, jak go określa Ree-Jane) Drugą ulicą, zobaczyłam, że przed firmą Axela stoi wolna takśówka. Przynajmniej raz mi się poszczęściło.

Ale oczywiście nie do tego stopnia, żeby kierowcą był Axel.

Moja szczęśliwa passa nadal trwała: na lunch przyszła tylko panna Bertha, nawet pani Fulbright pojechała gdzieś ze swoim bratankiem (pewnie chciała na odmianę pobyc z jakąś istotą ludzką). Poza tym jadalnia była zupełnie pusta, co bardzo przypadło pannie Bercie do gustu - mogła mną pomiatać, mogła na mnie wrzeszczeć przez pustą salę, jakby to był kanion, mogła bez opamiętania walić laską w podłogę. Mogła robić to wszystko z powodu tak błahego jak klubowy sandwicz, którego - twierdziła - nigdy nie jada i absolutnie nie chce; nie, nie, chce coś gorącego.

- Zanieś tej cholernej idiotce wiadro gorącej wody! - wrzasnęła matka, co Walter najwyraźniej uznał za przeraźliwie śmieszne, bo tylko w kółko pocierał ścierką wielki, porcelanowy półmisek, trzęsąc się od bezgłośnego chichotu.

W końcu panna Bertha na znak protestu rozebrała swój klubowy sandwicz, warstwa po warstwie, na części pierwsze i zmusiła mnie do wysłuchania krytycznych uwag na temat wszystkich jego składników, grzanek, sałaty, pomidorów i szynki, które piętrzyły się na jej talerzu niczym piękna ruina w majonezie. Słuchałam, tłumiąc ziewanie, aż wreszcie się zmęczyła i odesłała mnie do kuchni po swój pucharek lodów czekoladowych.

- Tylko nie ten rzadki syrop Hersheya! Chcę sos karmelowy!

Prawdę mówiąc, zważywszy na smak gorącego sosu karmelowego mojej matki, wcale się jej nie dziwiłam.

Po lunchu kilkakrotnie zbierałam się na odwagę, żeby zadzwonić do biura szeryfa, ale swobodna rozmowa przez telefon to dla mnie zadanie zbyt trudne, znacznie trudniejsze niż osobisty kontakt, kiedy można udawać, że spotkało się kogoś przypadkiem, po prostu wpadło się na niego w Tęczy lub podczas sprawdzania parkomatów.

Siedziałam w drewnianym bujaku na bocznej werandzie, rozmyślając o swoim problemie, gdy na zakręcie prowadzącym z szosy na nasz podjazd mignął mi wśród drzew biały samochód. Przypomniałam sobie, że Ree-Jane miała odebrać z warsztatu swój kabriolet. Nie chciało mi się wysłuchiwać, jak się nim przechwala; porzuciłam bujak, żeby bujał się sam, i kiedy samochód, kołyszac się na wybojach, dotarł do połowy podjazdu, weszłam do hotelu od frontu, po czym tylnymi drzwiami wydostałam się na kamienny chodnik za domem.

Mój problem polegał na tym, by znaleźć kogoś, kto pójdzie ze mną do domu panien Devereau. Nie bardzo chciało mi się wierzyć, by pan Root i bracia Woodowie po raz drugi dali się namówić na wycieczkę, ale nigdy nic nie wiadomo, postanowiłam więc iść do Brittena i sprawdzić, czy się tam nie kręca.

Droga do sklepu prowadzi obok wielkiego garażu, gdzie Will i Mill przygotowują swoje letnie przedstawienie, w którym jak zwykle nie miałam być gwiazdą. Zawsze zwycięża konkurencja w postaci dalekich kuzynów, na ogół nieprzytomnie bogatych, co w ich mniemaniu świadczy o niebywałym talencie scenicznym. Lecz i tak jedyną osobą z prawdziwym talentem jest Brownmiller, najzdolniejszy człowiek, jakiego znam; potrafi grać na wszystkim, od grzebień po koncertowy fortepian, pisze też piosenki, a nawet teksty przedstawień, które wystawiają z Willem każdego lata. To

Will rozwiązał problem jego imienia, skracając „Brownmiller” najpierw do „Millera”, a potem do „Milla”, żeby mówiono o nich „Will” i „Mill”. (Osobiście uważam, że nazwisko „Miller Conroy” mógłby nosić jakiś pisarz, malarz lub muzyk. I to jest właśnie cały Mill).

Will i Mill byli w garażu i „pracowali” nad kolejnym wystawnym spektaklem, to znaczy Mill bębnił w starożytne pianino, rycząc wspólnie z Willem jakąś piosenkę (którą pewnie przed chwilą napisał), przy czym obaj aż krztusili się ze śmiechu.

Przystanąłam przy bramie, skubiąc łuszczące się resztki szarej farby. Nie, pomyślałam. Już poprzednim razem nie chciałam ich prosić, by poszli ze mną do domu panien Devereau, i teraz było podobnie. Przez całą drogę płataliby mi figle - nie złośliwe, ale dokuczliwe, na przykład chowaliby się przede mną w lesie lub udawali, że widzą coś, czego nie ma. A na miejscu byłoby jeszcze gorzej. Zbyt długo ich znam, aby nie wiedzieć, że uwielbiają robić psikusy, czasem śmieszne, a czasem zwyczajnie kretyńskie. Ich ulubioną sztuczką jest zaczajanie się w krzakach na Paula i polewanie go wodą z węża ogrodniczego. Paul jest tak głupi, że traktuje to jak zabawę.

W końcu nie poszłam też do sklepu Brittena. Zamiast tego zawróciłam do Różowego Słonia, zabrałam swoje prowizoryczne pudełko i siatkę na motyle, po czym udałam się nad jezioro.

Po głowie kołatała mi się niejasna myśl, że tym razem powinnam iść sama.

A więc znów znalazłam się wśród podmokłych traw, dokładnie w tym samym miejscu co przedtem. Położyłam na ziemi siatkę oraz pudełko i spojrzałam w dal ponad gładką powierzchnią jeziora, dzisiaj bardzo spokojnego i szarego jak łupek. Chyba sądziłam, że jeśli będę patrzeć naprawdę uważnie, wszystko się powtórzy, że znów zobaczę Dziewczynę

w jasnej sukience, która stoi na drugim brzegu i nieruchomo się we mnie wpatruje. Ale nie zobaczyłam nic, choć czekałam bardzo długo, tak długo, że miałam uczucie, jakby błoto przesiąknęło przez stare gumki i zalało mi nogi.

Zostawiłam siatkę i pudełko, zamierzając je zabrać w powrotnej drodze; i tak pełniły wyłącznie rolę rekwizytów, jak te, których Will i Mill używają na scenie. Podeszłam do źródła i na chwilę przysiadłam na kamiennym murku, popijając lodowatą wodę z blaszanego kubka, który, o dziwo, zawsze tu stoi. Zdumiewa mnie, że nikt dotąd go nie ukradł, nawet chłopcy, choćby dla samej frajdy zwęczenia czegoś. Ale zaraz zdałam sobie sprawę, że pewnie niewiele osób przychodzi w to miejsce - jest zbyt zarośnięte, zbyt na uboczu, zbyt wiele trudu trzeba sobie zadać, żeby pobawić się tutaj godzinę lub dwie. Po prostu, nie jest zbyt interesujące. Chyba że dla kogoś takiego jak ja.

Przez pewien czas wpatrywałam się w zarośnięty, ciemny tunel ścieżki prowadzącej w las, usiłując opanować nerwy. Gdyby nie to, że już raz szłam tędy z braćmi Wood i panem Rootem, nigdy nie odważyłabym się sama wejść między drzewa. Nadal nie byłam pewna, czy zdołam pokonać całą drogę do domu panien Devereau.

Między drzewami nikt by się nie domyślił, że wokół jest jasny dzień. Światło ledwie przenikało przez gałęzie, równie gęste zimą jak latem, gdyż rosną tu głównie świerki o konarach rozpostartych szeroko jak namioty. Wokół panowała cisza, którą ludzie nazywają „nieziemską”. Nie była to cisza holu hotelowego w południe ani cisza na bocznej werandzie, ani w Różowym Słoniu. To była cisza całkiem innego rodzaju, jakby z powietrza usunięto, zdarto, ostatnią warstwę szmerów, ostatni szelest liści, ostatnie wołanie ptaków. Posuwałam się równym krokiem, nie rozglądając się wokół siebie, aż dotarłam do skrajności lasu - do polany, na której stał dom.

Oddechnęłam swobodniej i ruszyłam wokół budynku do kuchennych drzwi.

W kuchni nic się nie zmieniło - świeczki, porcelanowy stół, skisły, zatechły zapach, wciąż jeszcze wiszący wokół lodówki z odpadającymi drzwiami. Sucha woń zbutwiałych liści, piętrzących się na parapetach i progach, wydawała się silniejsza niż przedtem, pewnie dlatego, że wówczas moją uwagę rozpraszali Woodowie i pan Root. Przeszłam do bawialni? salonu? czy jak tam panny Devereau nazywały frontowy pokój, i rozejrzałam się w półmroku. Fortepian i ciężkie fotele wyglądały tak samo - dlaczego więc wydawało mi się, że zapamiętany obraz tego pokoju jest jakoś niedoskonały?

Podeszłam do ściany, na której wisiała owa jedna, jedyna fotografia przedstawiająca siostry Devereau jako nastoletnie panienki. Teraz, kiedy wiedziałam, kim jest Rose, kiedy potrafiłam przypisać twarzy imię, nie wiadomo czemu poczułam duszności. Nie dość, że miała imię, to jeszcze w dodatku wiedziałam o niej różne rzeczy. A przecież nie występowała w opowieści Uluba - przynajmniej tak mi się wydawało, bo z Ulubem to nie zawsze wiadomo. W scenie, którą odtworzył z naszą pomocą, tylko trzy siostry siedziały przy kuchennym stole i trzy siostry wyruszyły na tę okropną wyprawę o północy. Wydarzenia, które zrelacjonował Ulub (jeśli Ulubowi można dać wiarę), miały miejsce w noc poprzedzającą odkrycie ciała Mary-Evelyn w jeziorze. A Rose wtedy już z nimi nie było.

„Uciekła z Benem Queenem” - powiedziała Aurora.

Odeszła wcześniej.

Tuż obok fotografii stał ogromny kredens z ciemnego, niemal czarnego drewna. Pochodził z okresu empire; wiedziałam o tym, gdyż w hotelowej jadalni mamy taki sam kredens, w którym trzymamy srebra, podkładki pod talerze oraz inne akcesoria do nakrywania stołów. Zaciekawily mnie szuflady. Szukałam głównie fotografii - musiały tu być jakieś zdjęcia, podobne do tego, które dostała moja matka i które przynajmniej stanowiło dowód, że w ogóle ktoś coś fotografował. Zaczęłam od największej, środkowej szuflady, w której

znalazłam lniane serwetki, nie wykrochmalone do gładkości, jak te, które wychodzą z hotelowej pralni, ale miękkie i wiotkie, niemal jedwabiste, poślizkłe na zgięciach od długiego leżenia. Były tu również obrusy, zapewne przeznaczone na okrągły stół stojący na środku pokoju, gdzie siostry zasiadały do niedzielnych obiadów, a może i do podwieczoroków, gdy wołały nie jeść w kuchni. W kolejnych szufladach odkryłam dodatkowe serwetki, zmatowiałe kółka do serwetek i posrebrzane podstawki pod gorące naczynia, stosowane, by nie niszczyć stołu - ale nic więcej. Starannie ułożyłam wszystko z powrotem, i zamknęłam szuflady. Następnie podeszłam do biurka, którego masywne kształty również z daleka wołały „empire”, lecz znalazłam tu jedynie puste koperty, postrzępione rachunki, poślizkłe reklamy oraz całkiem stare menu z pajęczym nagłówkiem „Hotel Paradise” (no proszę, jakie niskie były wówczas ceny posiłków). Złożyłam menu i wsadziłam je do kieszeni, po czym ruszyłam na górę.

Przy drzwiach prowadzących na werandę zatrzymałam się na chwilę, żeby przejrzeć stosik płyt obok starego patefonu. Wydało mi się, że rozpoznaję nazwisko Lauritza Melchiora - matka chyba wspomniała, że był jednym ze znanych śpiewaków, którzy brali udział w Chautauqua w owe odległe letnie wieczory. Wiele piosenek miało francuskie tytuły, których nie umiałam wymówić, i wykonywali je artyści, o których nigdy nie słyszałam. Siostry Devereau musiały być znakomicie wykształcone.

Na górze wzięłam się do przeszukiwania pokojów. Trzy z nich, zapewne sypialnie siostr, wyglądały bardzo podobnie. Stały tam podwójne łóżka, jedno nawet z baldachimem, a materace na łóżkach były zwinięte i przesypane naftaliną, co spotyka się raczej u letników, którzy zamknęli dom tylko na zimę, niż u ludzi, którzy wyjechali na zawsze. Czyżby siostry zamierzały tu wrócić? Jeśli wówczas miały około czterdziestu lat, teraz pewnie już nie żyły, w każdym razie były sporo po osiemdziesiątce albo wręcz dziewięćdziesiątce.

Wyciągnęłam też szuflady biurek, puste, jeśli nie liczyć arkuszy gazety na dzień. Gazeta mnie zaciękała - był to nasz stary, dobry „Konserwatysta”, tylko z inną winiętą, wydrukowaną ozdobnymi literami, jakie czasem widuje się na czekoladkach, na przykład na moim pudełku Whitman's. Na końcu korytarza znajdował się jeszcze jeden pokój, niewiele większy od sypialni Mary-Evelyn, o wąskich, wysokich oknach wychodzących na las, z których, gdy się stanęło w odpowiedni sposób, widać było kawałek jeziora i kamienny mostek na drugim brzegu. Pewnie był to pokój Rose Fern Devereau.

Sypialnia Mary-Evelyn podobała mi się najbardziej, a to ze względu na prawie nową tapetę na ścianach. Tapeta była w żółto-białe paski, inna niż w pozostałych pokojach, gdzie królowała wyblakły wzór w obwisłe peonie na brudnobrązowym tle. Niebieskie mebelki wyglądały przy niej bardzo ładnie. Mansardowe okna wychodziły na jezioro, no i oczywiście na balkonik. Podniosłam górną część okna, jak przedtem przełożyłam nogi przez parapet i zapatrzyłam się przed siebie.

Nadciągnęły chmury, niebo poszarzało, a kiedy podniosłam wzrok, ciężka kropla trafiła mnie w policzek. Nie uciekłam jednak, lecz siedziałam przez jakiś czas, pozwalając, by kroił na mnie powolny, leniwy deszcz, którego prawie się nie czuło; lubię patrzeć na jezioro przy takiej pogodzie, na jego powierzchnię, ospowatą od kropel, migotliwą i lekko falującą. Kiedy rozpadało się na dobre, wczółgałam się do środka.

Na tym łóżku materac nie był zwinięty; pokrywała go narzuta z bladożółtej szenili w białe wzory, schludnie wygładzona i podwinięta, jakby ktoś miał tu spać dziś w nocy, a w każdym razie wkrótce. Nawet myszy się do niej nie dobrały, choć moim zdaniem wzór w białe kosmate kółka mógł sprawiać wrażenie smacznego. Zawahałam się, czy przeglądać rzeczy Mary-Evelyn; gdyby mnie ktoś zrobił coś takiego wściekłabym się nie na żarty. Jednakże tylko ta sypialnia wyglądała na choć odrobinę zamieszkaną, a ponieważ na

toaletce wciąż leżało kilka drobiazgów - szczotka, lusterko, flakon, który mógł kiedyś zawierać perfumy - uznałam, że jest szansa, iż znajdę coś pożytecznego.

I miałam rację: w szufladach nadal leżała bielizna, zwinięte skarpetki, piżamy. Nie było tu podkoszulków ani szortów, za to znalazłam kilka starannie złożonych bluzek z cieniutkiego płótna z haftem angielskim, a jedną nawet z koronką przy kołnierzyku. Jednak poza tym w szufladach nie odkryłam żadnych niespodzianek, żadnych pamiątek, zdjęć i tym podobnych.

Zamknęłam komodę i podeszłam do szafy. Wiszące wewnątrz ubrania wciąż były w doskonałym stanie; być może kawałki kory sosnowej na wieszakach i silna woń kamfory odstraszyły myszy i mole.

Była tu wełniana spódniczka w kratę, miękkie sweterki w pastelowych kolorach oraz sukienki. Ale jakie! Niewiarygodnie eleganckie, a wiem, co mówię - przecież jestem stałą bywalczynią butiku Europa. Nie raz musiałam robić za widowię dla Ree-Jane, która swym nienaturalnym, posuwistym krokiem prezentowała najnowsze fasony, sztywno wyginając nadgarstki lub okręcając się z dłońmi na biodrach, w nieskończoność przybierając różne pozy i rzucając przez ramię sztuczne uśmiechy. Podnosiłam również na duchu panią Davidow, choć tej obce były błazeństwa Ree-Jane, od których robi mi się niedobrze; po prostu szybko wychodziła z przebieralni, obracała się kilka razy przed lustrem, szarpnięciem obciągała pas do pończoch i poprawiała to czy owo. Chcę powiedzieć, że byłam świadkiem przymierzania i kupowania najdroższych, najbardziej ekskluzywnych strojów w promieniu stu mil, nasłuchiwałam się też dyskusji Heather Gay Struther i pani Davidow o skosach, fałdach, zaszewkach i godetach. Słyszałam wystarczająco dużo, by umieć rozpoznać dobre krawiectwo, gdy miałam je przed oczami. Tak jak teraz, kiedy biorąc w palce plisowaną spódniczkę bladżółtej sukienki, ujrzałam, jak gładko i równiutko układają się drobne fałdki, wprawiane w ruch dopiero poruszeniami

noszącej ją osoby. Inna sukienka, w pięknym, szarozielonym odcieniu, o prostym, lecz znakomitym kroju, została uszyta z tkaniny delikatnej jak płatek kwiatu. Sukienek było osiem, poczynając od prostej zielonej aż po niezwykle wyszukaną kreację wyjściową z błękitnej tafty, zapinaną z przodu na rząd zmyślnych guziczków i pętelek z tego samego materiału. Pomacałam tkaniny i pomyślałam, że są w najlepszym możliwym gatunku; różowo-szara wełna, granatowy aksamit wręcz się rozplątały, a gładka tafta miała barwę ostróżek, które otaczają ogród przed hotelem.

Wybrałam najskromniejszą, zieloną sukienkę, najbardziej w moim stylu, zdjęłam płócienną spodniczkę i podkoszulek i nałożyłam sukienkę przez głowę, po czym przechyliłam wiszące nad biurkiem lustro, aby zobaczyć jak najwięcej siebie. To, co ujrzałam, wyglądało całkiem ładnie. Podeszłam bliżej - chciałam sprawdzić, jak przy tej zieleni (dokładnie tej samej barwy co jeden z likierów pani Davidow) wyglądają moje oczy. Zrobiły się znacznie zieleniejsze. Kiedyś powiedziałam Maud, że mam oczy jak wzruszenie ramion, bo za każdym razem, kiedy pytam kogoś, jakiego są koloru, ta osoba wzrusza ramionami raz („Czy ja wiem... niebieskie? zielone? piwne?”) i drugi. Maud odparła, że to śmieszne - przecież widać, że moje oczy są „orzechowe” i bardzo ładne. Co za ulga usłyszeć coś takiego! Rzeczywiście, moje oczy zmieniają kolor zależnie od ubrania, które mam na sobie. Zazwyczaj noszę podkoszulki, i to białe, więc niespecjalnie mają szansę się zmieniać, ale teraz, w tej sukience, naprawdę zzieleniały. Cofnęłam się o krok, przyjrzałam się sobie z podziwem, wzięłam szczotkę i przeciągnęłam nią po włosach. Nawet one utraciły swój „myszaty” odcień i wyglądały na jaśniejsze. Oczywiście, zawsze udaję, że nie dbam o stroje, ale właśnie w tym rzecz - udaję. Gdybym kiedykolwiek się przyznała, że mi zależy, naraziłabym się na niemiłosierne kpiny. Stroje są dla takich jak Ree-Jane - dla dziewczyn w jej wieku, z jej wyglądem i z jej krokiem modelki. Dla osób, które umieją je pokazać. Wiem, bo mi o tym mówiono.

Spojrzałam na zieloną sukienkę i wygładziłam spódnicę, skrojoną ze skosu tak, że rozszerzała się u dołu. Była to taka sukienka, jaką chętnie bym nosiła, gdyby ktoś zainteresował się moimi ubraniami.

Wtedy po raz pierwszy uderzyło mnie, jakbym nigdy sobie tego nie uświadamiała (ale uświadamiałam sobie, choć tylko górną, najcieńszą warstwą umysłu), że nie powinnam nawet rozważyć posiadania takiej sukienki, ani teraz, ani nigdy. Ani tej sukienki, ani żadnej innej z butiku Europa. I zastanowiłam się - dlaczego? Dlaczego nie mogłam nawet marzyć o tym, że stoję w przymierzalni Europy, zaciągam zasłonkę i coś przymierzam? Dlaczego matka i pani Davidow nie mogły się wspólnie naradzić przy okazji moich urodzin i polecić Heather Gay Struther, żeby podczas swoich wyjazdów „na zakupy” wyszukała dla mnie sukienkę? Nie umiałam odpowiedzieć na te pytania. Postanowiłam więc, że zostanę w zielonej sukience przez krótki pobyt w tym domu - kto wie, może nawet przymierzę wszystkie? Wylaamywałam sobie palce, stopniowo doprowadzając się do furii, lecz zaraz się opamiętałam - atak złości, tak jak wkładanie i zdejmowanie sukienek, zajmuje zbyt wiele czasu.

Zamiast tego postanowiłam zbadać kufer w nogach łóżka. Także był niebieski i nie różnił się zbyt od mojego starego, różowego kufra na zabawki, którego oczywiście już nie używam, lecz do którego zaglądam od czasu do czasu, by sprawdzić, czy Ree-Jane nie grzebie w moich rzeczach.

I ten kufer był pełen zabawek. Były tu pluszowe zwierzątka (niektóre nadgryzione przez myszy i mole), gry planszowe, puzzle z widokami przyrody typu *Zimowa baśń* albo *Kwiaty w rozkwicie*, moim zdaniem dość obrzydliwe, oraz kilka lalek. Sprawdziłam gry i znalazłam Monopol oraz mojego ulubionego „Pana Ree, detektywa”. Usiadłam po turecku na podłodze (uważając na sukienkę) i rozłożyłam planszę, która ukazywała jedno piętro wielkiego domu, ze wszystkimi pomieszczeniami, zupełnie jakby ktoś odciął dach i grający mogli zaglądać wprost do środka. Ciasno ułożone w pudełku

leżały główki postaci, w które wcielali się poszczególni gracze, drewniane rurkowane podstawki do główek oraz rozmaite rodzaje narzędzi - nóż, pistolet, siekiere, sznur - również przeznaczone do wtykania w odpowiednie rurki. To najmańdrzejsza gra, jaką kiedykolwiek widziałam, najbardziej skomplikowana i pomysłowa. Obok leżały trzy niezbędne komplety kart: jedna dla postaci, jedna dla narzędzi zbrodni i jedna o nazwie „poczęstunki”, z kolorowymi obrazkami ciast, napojów i sandwiczów - kolejny powód, dla którego tak lubię tę grę.

Umieściłam w rurkach małe główki, ustawiłam je w szeregu i przyjrzałam się im uważnie. Nic dziwnego, że „Pan Ree” cieszy się taką popularnością - człowiek ma wrażenie, że to prawdziwa rodzina, mieszkająca w prawdziwym domu. Chociaż postaci nie są blisko spokrewnione, żyją razem spokojnie i wygodnie, w każdym razie do chwili, gdy jedna z nich postanawia zamordować inną i zostaje wezwany pan Ree. Uniosłam na dłoni małe narzędzia zbrodni i popatrzyłam na nie z bliska. Tylko jednego z nich nie brałam pod uwagę, kiedy pragnęłam wykończyć Ree-Jane, a mianowicie siekiery, pewnie z powodu makabrycznej ilości krwi, którą niechybnie bym się upaprała. Nucąc pod nosem, wyobrażałam sobie, jak sznur zaciska się wokół jej szyi, a ona obraca się na wietrze; słyszałam jej zdławiony okrzyk i brzęk spadającej na ziemię filiżanki z trucizną; widziałam nóż wbity w jej plecy i słyszałam przenikliwy wrzask. Przyjemnie było tak siedzieć, kiedy deszcz bębnił o dach, i rozmyślać o tym wszystkim.

Wreszcie odłożyłam broń i wsparłszy łokcie na kolanach, a podbródek na dłoniach, zajęłam się ludźmi: Panem Perrinem, Panną Lee, Ciotką Córą, Siostrzenicą Rhodą, Kamerdynerem Higginsem oraz Beatrice. Wszystkie te postaci są cudowne, lecz najbardziej lubię Siostrzenicę Rhode. Jest za ładna, by kogokolwiek zabić; wygląda zbyt słodko na morderczynię i bardzo niepokoi mnie myśl, że sama mogłaby zostać ofiarą morderstwa. Wyjmując karty postaci, pomyślałam, że szkoda,

iż nie ma tu braci Wood ani pana Roota, dopiero byśmy sobie zagrali!

Znowu nucąc, odsłoniłam pierwszą kartę, Pana Perrina, i położyłam ją przy jego główce. Jako następny odkrył się Artysta George - jednak jego główki nie było. Przeszukałam pudełko, bez skutku, pomyślałam więc, że wypadł gdzieś na dno kufra. Wyjęłam część zawartości, próbując go wymacać. Niestety, nie znalazłam ani głowy George'a, ani jego rurkowego korpusu. Co za rozczarowanie! To oznaczało, że rodzina nie jest kompletna. Lecz kiedy odwróciłam kolejne karty, doznałam takiego zaskoczenia, że całkiem zapomniałam o Artyście George'u.

Na pozostałych czterech kartach zamiast twarzy postaci widniały starannie wycięte i przyklejone twarze całkiem innych osób. Beatrice miała wyciętą z fotografii twarz jednej z siostrz Devereau (chyba Isabel, zawsze mi się myli, która jest która), Panna Lee dostała twarz drugiej, twarzą trzeciej obdarowano Ciotkę Corę. A na twarzączce Siostrzenicy Rhody naklejona została czwarta twarz, bardzo ładnej, bardzo jasnej blondynki. Przypuszczenie, że to Rose Fern Devereau, wręcz się narzucało.

Widziałam ją trzy razy, to znaczy, trzy razy widziałam kogoś bardzo do niej podobnego. Tę twarz miała Dziewczyna na peronie w Cold Flat Junction; Dziewczyna idąca Drugą ulicą; Dziewczyna patrząca na mnie z drugiego brzegu jeziora. Po prostu Dziewczyna.

Zaparło mi dech. Oczywiście, buzia z fotografii na partezie, chociaż młodsza, także przypominała Dziewczyne, ale wycięta z tła twarzączka Rose Devereau, okolona burzą biało-blond włosów, była wręcz identyczna. Podniosłam się, podeszłam do łóżka i starając się nie pognieść sukienki, położyłam się na wznak, wciąż trzymając w ręku Siostrzenicę Rhodę.

Wpatrywałam się w nią, rozmyślałam, marszczyłam w zadumie czoło, ale w głowie miałam pustkę, pamiętałam wyłącznie Dziewczyne. Przenosiłam wzrok z twarzy na karcie

na twarz w moich myślach - na peronie w Cold Flat, na chodniku w mieście, nad jeziorem. Było to jak wyświetlanie slajdów. Klik. Klik. Klik.

Wreszcie ułożyłam kartę na piersi twarzą w dół, złożyłam na niej dłonie, po czym spojrzałam na sufit, pokryty płynnym wzorem cieni i światel z zalanego deszczem okna. Całe to domyślanie się i zgadywanie bardzo mnie zmęczyło, przynajmniej umysłowo. Deszcz padał z przyjemną monotonią, jak to mu się niekiedy zdarza, gdy nie wie, co zrobić z czasem. Pomimo gonitwy myśli i umysłowych zmagani to z jedną, to z drugą twarzą poczułam, że się wyciszam, a wirujące na suficie światłocienie zaczęły mnie wręcz hipnotyzować.

Kiedyś Will próbował mnie zahipnotyzować, każąc mi wpatrywać się w białe światelko; właśnie przeczytał książkę o hipnozie i oczywiście na ofiarę swoich doświadczeń wybrał mnie. Willowi się nie udało, ale deszcz chyba zrobił swoje. Czułam, że wir nad głową coraz bardziej mnie wciąga, że znikają wszelkie uporczywe, zwyczajne myśli, irytacje, przykrości: wybuchy złości pani Davidow, żądania panny Berthy, surówki, czekające, by je zrobić, cichy szelest nakrochmalonych mankietów i fartuszka Very. Wszystko to ulatywało niczym włókienka dmuchawca, niesione moim oddechem, zostawiając za sobą tylko rdzeń; miałam wrażenie, że centrum mego ja ulega sile przyciągania, wznosi się ku centrum chwiejnych rozbłysków na suficie, a te włókna to kłamstewka i momenty nieuwagi, które już do mnie nie należą. A w czystej, pustej przestrzeni nad moją głową pojawiała się raz po raz twarz Dziewczyny.

Chyba rzeczywiście uległam hipnozie (tak mi się wydawało), bo ogarniała mnie coraz większa senność, wręcz zasypiałam od wszystkich tych rozmyślań. Mogłabym tak leżeć bez końca, zahipnotyzowana, oczarowana, urzeczona. Prawie nie zauważałam panującego w domu zimna, choć ramiona pokryły mi się gęsią skórką. Był to nieruchomy chłód, jaki (tak słyszałam) niosą ze sobą duchy - chłód, w którym nie ma przeciągów, prądów powietrza, ziębiących, ale i

pobudzających. Lecz ja nie wierzę w duchy ani nawiedzone domy; boję się mnóstwa rzeczy, ale tych akurat nie, jestem na to zbyt praktyczna. A poza tym nie jestem pewna, czy duchów w ogóle należy się bać; skłonna jestem sądzić, że są to istoty smutne i krążą w różnych miejscach - na zakręcie schodów, w bibliotece, przy oknie z widokiem na morze - bo właśnie smutek nie pozwala im odejść. Prawdę mówiąc, nie miałabym nic przeciwko temu, by pojawił się duch Mary-Evelyn i zagrał ze mną w „Pana Ree”.

Pomyślałam o wszystkich sukienkach wiszących w szafie i zdałam sobie sprawę, że mogę przychodzić tutaj, do domu panien Devereau, kiedy tylko zechcę, choćby codziennie, przebierać się i bawić zabawkami z kufra, siedzieć na parapecie i patrzeć na jezioro, a nawet przynieść sobie kanapki i oranżadę. Ba, mogłam nawet wziąć z domu koce i przenocować; nikt w hotelu nie zwraca uwagi na to, co robię po obiedzie, kiedy goście się rozejdą. Lecz wówczas w pustym, białym miejscu na suficie wykwitł obraz kandyzowanych batatów z orzechami pekanu, podawanych przez matkę jako dodatek do pieczonej szynki. To przekonało mnie, że jednak nie jestem w hipnozie i mogę się podnieść.

Ziewnęłam i usiadłam na krawędzi łóżka, nadal trzymając w ręce kartę z przyklejonym zdjęciem; pojęłam, że rozmarzyłam się na własny temat i całkiem zapomniałam o tajemnicy Rose Devereau i o Fern, dziewczynie od Bena Queena. Ściągnęłam sukienkę przez głowę, starannie odwiesiłam ją na wieszak i zapięłam górny guziczek, żeby nie spadła. Następnie zamknęłam pokój i zesłam na dół.

Deszcz ustał i pokazało się słońce, rozpalając wodę na głym rozbłyskiem. Patefon na korbkę, stojący obok prowadzących na werandę drzwi, skryty był we własnej mahoniowej szafeczce. Otworzyłam małe drzwiczki i moim oczom ukazały się kolejne stare płyty, wszystkie francuskie; przypomniałam sobie, jak matka czy też Marge Byrd mówiły, że siostry Devereau odebrały doskonale wykształcenie i władały obcymi językami. Wyjęłam jedną z płyt i nakręciłam

patefon. Przez chwilę z głośnika wydobywało się trzeszczenie - igła była bardzo stara - w którym jednak po chwili dało się odróżnić smutną piosenkę, przeważnie z akompaniamentem skrzypiec. Uchyliłam wewnętrzne drzwi na werandę (były jeszcze drugie zewnętrzne drzwi z siatki), aby las też posłuchał sobie muzyki, po czym jeszcze raz przeszłam się po salonie, oglądając fotele, kanapę i podnóżki obciążone końską skórą. Wciąż marzyłam o tym, aby znaleźć fotografie albo pamiętnik, choć już nie tak bardzo jak przedtem - miałam przecież kartę Siostrzenicy Rhody.

Przeglądając wcześniej szuflady, zapomniałam o stołku pod fortepian, teraz więc uniosłam jego wieko, choć nie spodziewałam się, że cokolwiek znajdzie; i rzeczywiście, były tam tylko nuty do różnych utworów, a na samym wierzchu leżała *Alicja w błękitnej sukni*, tak ulubiona przez Aurorę. Muzycznie jestem beznadziejna (dlatego tak podziwiam Brownmillera, który potrafi zagrać wszystko ze słuchu), ale pamiętam podstawowe tony i umiem jednym palcem wystukać melodię. Podniosłam więc ciężką przykrywą fortepianu, podparłam ją, jakbym zamierzała za chwilę olśnić swym talentem salę koncertową, a potem rozłożyłam nuty. W tym momencie skończyła się płyta i z patefonu rozległy się trzaski podskakującej daremnie igły. Podniosłam ramię, znów usiadłam za klawiaturą i zaczęłam bębnić *Alicję*, trochę sobie przy tym podśpiewując. Spróbowałam nawet wziąć akord lewą ręką, lecz nie zabrzmiało to zbyt dobrze - całe szczęście, pomyślałam, że Brownmiller tego nie słyszy. Mimo to zagrałam *Alicję* jeszcze dwa razy (śpiewanie sprawiało mi przyjemność), po czym, zmęczona, wróciłam do zawartości stołka.

Stare nuty, w tym wiele francuskich, rozsypały się pod moją ręką. Próbowałam odgadnąć ich tytuły, co mi się oczywiście nie udało, zauważyłam jedynie, iż większość zawiera słowo *amour*. Jednakże niektóre wyglądały znajomo, więc znów rzuciłam okiem na patefon i płyty ukryte w jego szafce. Najwyraźniej siostry Devereau musiały bardzo lubić te piosenki - między nutami i płytami dostrzegłam pewne

podobieństwo, a tytuł jednego z arkuszy nutowych był taki sam jak tytuł płyty, która się właśnie skończyła. Uznałam, że byłoby miło zagrać jednym palcem z akompaniamentem, postanowiłam więc znowu ją puścić. Podeszłam do patefonu, mocno zakręciłam korbką, opuściłam ramię i pędem wróciłam do fortepianu.

Przez jakiś czas francuska piosenkarka i ja bawiłyśmy się doskonale. Na szczęście piosenka była powolna - wręcz melancholijna, co uświadomiłam sobie, kiedy dobrze się w nią wsłuchałam. Głos wydobywał się z głośnika i zawisał w powietrzu, odcieleśniony, pozbawiony substancji, jakby nic go nie podtrzymywało. Częściowo przyczyną była jego zagraniczność; ponieważ nie rozumiałam słów, nie kojarzyłam ich z żadnymi obrazami, istniały tylko głoski i sylaby. Ów smutny francuski głos był jedynym dźwiękiem, który mącił ciszę pogrążonego w półmroku salonu, a snujące się po podłodze smugi chmurnego światła sprawiały, że było tu po prostu - samotnie. Śpiew trwał i nabrzmiewał; samotność stawała się przytłaczająca. Czułam jej ogrom w całym ciele, zupełnie jakby kamienna dama, stojąca na straży martwego ogrodu, przysła i usiadła obok, opierając się o mnie całym ciężarem. W końcu jednak piosenka się skończyła, posąg wstał, by wrócić na swe miejsce w ogrodzie, a ja znowu mogłam poruszać palcami.

Ale cisza była niemal gorsza niż śpiewanie, usiadłam więc przy klawiaturze i znów zagrałam początkowe nuty. Igła zaskrobała po wewnętrznej ścieżce płyty, więc już chciałam podejść i wyłączyć patefon, gdy mój wzrok padł na siatkowe drzwi.

Na zewnątrz, pod otaczającymi dom sosnami, stała Dziewczyna. Za kręgiem drzew, po drugiej stronie jeziora, czerwonym pożarem zachodziło słońce. W pokoju pochłodziło, las pociemniał, ona zaś odwróciła się i odeszła.

Niespecjalnie się przejmuję takim rzeczami, jak przeznaczenie, Pan Bóg czy astrologia; Ree-Jane natomiast bardzo sobie bierze do serca horoskopy zamieszczane w „Konserwatyście”. Oczywiście, można im zaufać bez żadnego ryzyka - bez względu na znak zodiaku, przyszłość, którą przepowiadają, zawsze jest pomyślna. Ba, wręcz fantastyczna, jeśli wierzyć temu, co Ree-Jane wygaduje o wielu czekających ją romansach i przystojnych nieznajomych, którzy zabiorą ją w niezliczone egzotyczne podróże, pozbawiając możliwości zrobienia niejednej błyskotliwej kariery.

Ree-Jane czyta mi na głos to wszystko i naturalnie czyta również mój horoskop, choć wielokrotnie jej mówiłam, że nie wierzę w te bzdury. Muszę jednak przyznać - czasem (choć nie jest to moim stałym zwyczajem) bywam wobec siebie okrutnie szczerą - że nie wierzę w nie głównie dlatego, iż horoskopy Ree-Jane sprawiają wrażenie pogodniejszych i bardziej beztrudnych niż moje. Przyszłość jej znaku maluje się różowo, jakby Ree-Jane miała przez całe dni i noce wiorować w tańcu, ubrana w białą, zwiewną suknię, mieniącą się od niezliczonych cekinów (mam to wyraźnie przed oczami, gdyż taka właśnie suknia wisi w jej szafie na górze). Siebie natomiast widzę jako osobę w grubych okularach, ubraną w myszate swetry, obdarzoną niebywałą inteligencją i patrzącą z góry na głupiutkie rozrywki typu taniec.

Ree-Jane uwielbia czytać mi horoskopy również dlatego, że mój znak cechuje lojalność oraz skłonność do dobrych uczynków i poświęceń za wszelką cenę - czyli przymioty spotykane u zakonnic i świętych, takich jak Joanna d'Arc albo ktoś, kto w imię Boże pozwoli się zakopać w mrowisku. (Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby Pan Bóg wkroczył i interweniował w takich sprawach, czego dowodzi przykład Hioba; podejrzewam, że w ten sposób sprawdza, czy traktujemy Go poważnie, niestety, zanim zdołamy to udowodnić, zazwyczaj jest już za późno). Wprawdzie horoskopy nie obiecują

mi pieniędzy, miłości i sławy, jednak są dość pochlebne. Ale Ree-Jane za każdym razem robi z nich koszmar, wciąż klepie o czymś, co nazywa „karmą”, i w kółko podkreśla, że nie uda mi się uniknąć przeznaczenia.

Wspominam o astrologii i horoskopach dlatego, że mamy w Spirit Lake wróżkę, niejaką panią Louderback. Mówi się, że pani Louderback postępuje nader szlachetnie, bo nie pobiera opłat za swoje usługi. To znaczy, nie oficjalnie. Ale gotowa jest przyjmować „ofiary”, więc oczywiście ludzie, którzy do niej chodzą, zawsze coś „ofiarowują”, żeby nie wyjść na skąpych. Nie chcę być wobec pani Louderback złośliwa (może należałoby powiedzieć „cyniczna”, chociaż to słowo również oznacza złośliwość, tylko gładszą), bo słyszałam, że to naprawdę miła osoba; podobno przepowiada ludziom przyszłość w swojej kuchni, a „ofiara” zazwyczaj wynosi dwa dolary.

A poza tym z kim właściwie miałam się poradzić? Cała opowieść o Dziewczynie - o Mary-Evelyn, złych siostrach (tak zaczęłam o nich myśleć), domu, Judzie Stemple'u - trafiłaby w próżnię. No, może nie całkiem w próżnię, ale na pewno wystawiłabym się na pośmiewisko. Kiedy wyobraziłam sobie, jak ludzie, rechocząc, otaczają mnie kręgiem (a Will razem z nimi; normalnie się ze mnie nie wyśmiewa, lecz w większym towarzystwie jakby „łapie” ogólny nastrój), zrozumiałam jedno: w gruncie rzeczy ludzie nie śmieją się, bo są złośliwi (z wyjątkiem Ree-Jane, rzecz jasna), lecz bardziej dlatego, że ich zdaniem mają do tego prawo. Im dłużej o tym myślałam, tym więcej obrazów pchało mi się do głowy - Indianie w barwach wojennych, tańczący wokół ogniska i wznoszący okrzyki mające przywołać bogów, albo kozioł osaczony przez wieśniaków, którzy wieszają na nim garnki i rondle i pędzą go w góry.

Ktoś zawsze musi być Tym. Ktoś musi. Nawet nie chodzi o karę - raczej o karmę.

Wracając jednak do pani Louderback: jestem osobą praktyczną. Nie wierzę w duchy, zjawy, diabły, anioły,

potwory wyskakujące z ciemnych schowków ani temu podobne. Nie oznacza to bynajmniej, że poddam tę niewiarę próbie; nie narażam się, nie wchodzę do pustych domów w Halloween, nie spaceruję po cmentarzach. Powtarzam, jestem po prostu praktyczna.

Pani Louderback uprawia swoje hobby w następujący sposób: zainteresowany umawia się z nią telefonicznie na konkretną popołudniową godzinę (pani L., jak każdy, musi mieć czas na prace domowe), ale nie mówi, kim jest. To ostatnie trochę mnie dziwi, bo pani Louderback musi znać wszystkich mieszkańców Spirit Lake choćby z widzenia. Może nie należy się przedstawiać, bo pani L, tymczasem mogłaby się czegoś dowiedzieć, na przykład o naszej przeszłości, i potem udawałaby, że coś odgadła? Ale nie przypuszczam, żeby chciało się jej tak oszukiwać - po co miałyby gdzieś pędzić i sprawdzać przeszłość mieszkańców Spirit Lake i La Porte? Podobno jedną z jej stałych klientek jest Helene Baum; wyobraźcie sobie tylko, że macie poznać całe nudne życie tej pani! Już samo siedzenie z nią przez chwilę przy kuchennym stole musi być nieznośne.

Ree-Jane już kilkakrotnie chodziła do pani Louderback i zawsze wracała z miną kota, który opił się śmietanki. Przesłałam pytać, czego się dowiedziała, bo odpowiada tylko, że było cudownie, lecz nie chce podawać żadnych szczegółów. Pani Davidow też tam chodzi, ale moja matka nie, mimo że pani Davidow próbowała ją wyciągnąć, żeby nie wyjść na idiotkę samodzielnie.

Trochę się bałam, że kiedy zadzwonię, aby się umówić, pani Louderback pomyśli, że jakiś dzieciak robi jej kawał, ale nie. Kazała mi przyjść o wpół do piątej.

Przez cały dzień byłam w nerwach. Boję się przyszłości. Z drugiej strony, nie słyszałam, by pani Louderback kiedykolwiek powiedziała komuś, że czeka go coś naprawdę strasznego, na przykład, że umrze w przyszłym tygodniu. Trochę mnie to pocieszyło, ale martwiłam się, że wyczytam coś złego z jej twarzy, kiedy odkryje jakąś złowrobną kartę. Wiem,

jak wyglądają karty do tarota, bo (rozumie się) Ree-Jane ma całą talię i w przeciwieństwie do pani Louderback zawsze z radością pokazuje mi Śmierć i Diabła jako wróżby na przyszłość. W jej wersji zostałabym spalona na stosie, nie mając nawet tej pociechy, że ludzie uznają mnie za świętą i będą oddawać mi cześć. Nie, ja spaliłabym się całkiem zwyczajnie. Oczywiście, Ree-Jane kłamie, bo niczyja przyszłość nie może być bez ustanku tak ponura, jak ona maluje moją.

Ale same karty są fascynujące, a niekiedy bardzo piękne. Z zaskoczeniem dowiedziałam się, co znaczą niektóre z nich, na przykład Wisielec, który symbolizuje coś w rodzaju odrodzenia, a nie (jak myślałam) śmierć przez powieszenie za nogę.

Przed wizytą u pani Louderback zaszłam do sklepu Brittena, tym razem oficjalnie, bo matka posłała mnie po mąkę kukurydzianą na jutrzejsze „pływające wyspy”. Mąka nie była potrzebna natychmiast, nie musiałam więc biegiem z nią wracać.

Pan Britten, podejrzliwy jak zwykle, zmierzył mnie posępnym spojrzeniem znad okularów w czarnych oprawkach. Ponieważ jednak w sklepie nie było nikogo, kto mógłby mi coś powiedzieć o Benie Queenie, nie zamarudziłam długo przy półkach i gablotach. Pan Britten wie, że mąkę należy dopisać do rachunku Hotelu Paradise. Wątpię, czy dostanie należność przed dniem Sądu Ostatecznego - Lola Davidow bardzo zręcznie żongluje rachunkami.

Na zewnątrz natknęłam się na pana Roota, który siedział na swoim końcu ławki. Woodów nie było. Puścił do mnie oko i skinął głową na powitanie, po czym rozejrzał się bacznie, jakbyśmy oboje należeli do jakiegoś tajnego stowarzyszenia, a on nie chciał, by ktoś nas podsłuchał.

- Pomyślałem sobie - zagaił, patrząc na szosę - że może kiedy podjedzie autobus, wiesz, ten kościelny, może popytałbym trochę? - Tu przez delikatność odwrócił głowę i splunął tytoniem. - Pomyślałem, że dowiem się, co się stało z Shebą, wiesz, z tą, co wyszła za Queena. Uważasz, że

powinniśmy jeszcze raz pójść do tego domu? Ty, ja i bracia Wood?

Oczywiście, mówił o domu panien Devereau. Nie wiedząc, kiedy znów zapragnę towarzystwa, na wszelki wypadek odparłam, że owszem, może kiedyś później. Posiedzieliśmy chwilę - pan Root z namaszczeniem żuł gumę i poważnie (sądząc po zmarszczkach na czole) o czymś rozmyślał, ja przyglądałam się wizerunkowi kobiety na opakowaniu mąki - aż wreszcie przyszła pora, by wyruszyć do pani Louderback. Mieszkała za szosą, po drugiej stronie miasteczka, na wąskiej uliczce jakieś dziesięć minut drogi od sklepu.

- Tylko uważaj na siebie - rzekł pan Root.

Podziękowałam, zbiegłam z nasypu, przekroczyłam szosę, która nie bywa tu zbyt ruchliwa, po czym minęłam rozpadającą się knajpę Grega z automatami do gry oraz sąsiadującą z nią jadalnię, gdzie pani Ikleberger zimą wydaje kartoflankę. To jest „centrum handlowe” Spirit Lake - knajpa Grega, jadalnia pani Ikleberger i sklep Brittena po drugiej stronie szosy. Duże wiktoriańskie rezydencje występują tu na przemian z mniejszymi, schludnymi domkami, jak ten należący do Marge Byrd, z dużą ilością treliaczy i pnących roślin od frontu. Jej ogród jest nieco zapuszczony, gdyż Marge Byrd nie należy do osób, które porzucą ciekawą lekturę, żeby zająć się wrywaniem chwastów.

Do domu pani Louderback wpuściła mnie jakaś kobieta, pewnie służąca albo krewna, która poleciła mi przejść prosto do bawialni i zapowiedziała, że pani Louderback za kilka minut mnie przyjmie.

Pokój, do którego weszłam, był chłodny i mroczny. Przypominał dom doktora McComba, tyle tu było mebli i ciemnych zakamarków. Na dużym okrągłym stole, przykrytym serwetą w ciemny wzór, stały liczne fotografie w ramkach, a fotele były tak stłoczone, że wprost się dotykały. Ciekawe, pomyślałam, czy to dlatego, że gospodyni jak lekarz musi pomieścić w poczekalni wiele osób naraz.

Ale tymczasem byłam jedyną klientką, co przyjął z pewną ulgą; dotąd powstrzymywałam się od wizyty między innymi wskutek obawy, że natknę się na przykład na Helene Baum albo na kogoś innego, kto rozpowie po całym mieście, że chodzę do wróżki. Postanowiłam już sobie, że gdybym zastała tu innych klientów, udam, że przysłam dostarczyć pani Louderback paczkę mąki. Na samą myśl, że ktoś mógłby się dowiedzieć, że tu byłam, aż mnie skręcało z zażenowania.

Pani Louderback jest kręłą kobietą około pięćdziesiątki albo sześćdziesiątki, albo siedemdziesiątki (dla mnie wszyscy ludzie w tym wieku wyglądają tak samo). Ma gęste, siwe włosy zebrane w luźny kok, niezwykle gładką cerę i oczy o tak bladych tęczówkach, że nie wiadomo, jakiego są koloru. Z jej miny od razu widać, że jest osobą dobrotliwą. Tym razem miała na sobie płócienną domową suknię oraz fartuch z karczkiem, z którego kieszeni wyciągnęła talię kart. Wszystko wyglądało bardzo po domowemu, a stół w kuchni, przy którym mnie posadziła, nakryty był obrusem w czerwono-białą kratkę. Położyłam na nim swoje opakowanie mąki, jednak zaraz przestawiłam je na podłogę, żeby nie wprowadzać zamieszania w świecie duchów.

Na wstępie pani Louderback oznajmiła, że zna mnie z widzenia jako „małą Jen Graham”, co mnie zaskoczyło, bo na ogół ludzie myślą, że jestem dzieckiem Loli Davidow. Nie mogę tego pojąć - w końcu nasza rodzina mieszka tu znacznie dłużej niż rodzina Davidow. Może to dlatego, że matka od pięciu lat prawie nie pokazuje się w La Porte. Po zakupy jeździ Lola, która uczestniczy także w różnych towarzyskich imprezach - matka często jest zbyt zmęczona po całym tym gotowaniu - i to Lolę najczęściej widuje się w mieście. No i dlatego ludzie niekiedy biorą mnie za Ree-Jane, co rzecz jasna przyprawia mnie o mdłości.

Pani Louderback wyjęła talię kart, wyświechtanych od wieloletniego wróżenia, podzieliła ją na trzy kupki, po czym poprosiła, bym zadała pytanie. Jakie tylko zechcę.

Pytanie? Jedno? W głowie aż kłębiło mi się od pytań! Kim jest Dziewczyna? Co naprawdę stało się z Mary-Evelyn? Czy to Fern Queen została zamordowana nad Lustrzanym Stawem? Czy Ree-Jane spotka straszny koniec? (To ostatnie pojawiło się nieproszone; z pewnością nie zamierzałam tracić czasu na Ree-Jane!). Siedziałam bez ruchu, zaciskając powieki tak mocno, że mnie rozboleły.

Pani Louderback podpowiedziała, że mogę zapytać na przykład, czy moje życie będzie szczęśliwe, czy będę bogata, czy odniosę sukces w wybranym zawodzie, czy „zmierzam we właściwym kierunku” - takie rzeczy. Popatrzyłam na nią, surowo marszcząc brew. Co takiego? Miałam marnować pytania na „takie rzeczy”? O ile wiem, nie „zmierzam” w żadnym konkretnym kierunku; szczerze mówiąc, przykłady pani Louderback w ogóle wydały mi się dość głupie. Nie mogła jednak czekać cały dzień, aż coś wymyślę. I wtedy uświadomiłam sobie, że w tej chwili przede wszystkim muszę wiedzieć jedno: czy mam powtórzyć szeryfowi, co powiedział mi Jude Stemple? Przyznaję, że poczułam się zaskoczona, wręcz wstrząśnięta faktem, iż ze wszystkich możliwych pytań przyszło mi do głowy właśnie to.

Czy miałam wypowiedzieć je na głos? Pani Louderback wyjaśniła, że mogę, ale nie muszę. Chyba że kartom by się coś pomyliło - wtedy lepiej zapytać głośno.

„Kartom by się pomyliło” - dobre sobie! Pomyślałam, że pani Louderback zostawia sobie spore pole manewru. Świetnie się urządziła, bo w ten sposób nigdy nie odpowiada za wynik. Wszystko spada na karty. Ale wcale nie sądzę, że to nieuczciwe; po prostu żałuję, że kiedy spóźniam się do kuchni na robienie surówek i matka z Vera na mnie wsiadają, nie mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że karty się pomyliły.

Nie chcąc wplątywać szeryfa w swoje sprawy, zapowiedziałam, że zadam pytanie w myślach. Pani Louderback oświadczyła, że jej to nie przeszkadza. Kazała mi złożyć talie w całość, a potem odkryła trzy karty: Królową Kielichów,

Wisielca i dwie sieroty, tak w każdym razie wyglądał obrazek na tej karcie - chłopiec i dziewczyna w lachmanach, wędrujący pośród śnieżycy. Trudno było uwierzyć, że może z niej wynikać coś pomyślnego. Ale wcale się nie zdziwiłam, że ją dostałam.

Pani Louderback wpatrzyła się badawczo w moje karty i lekko poruszyła wargami, jakby próbowała ująć ich znaczenie w jak najłagodniejsze słowa.

- No, no, bardzo ciekawe - powiedziała. Nagle zapytała: - Czy spotkało cię coś strasznego? Czy musiałaś... czy musiałaś znieść dużo...

Zafascynowana swoim losem, z napięcia wychyliłam się do przodu, wpiierając się pierśią w krawędź stołu (krzesło było trochę za niskie).

- Dużo czego? - odpowiedziałam, z obawy, że pani L. odleci w znane tylko sobie światy, gdzie nie będę mogła jej towarzyszyć.

Z namysłu aż zmarszczyła czoło.

- Trudności. Bólu. Winy. - Skrzywiła się, nie umiejąc znaleźć właściwego określenia, i w końcu poprzestała na: - Musiałaś sobie radzić bez niczyjej pomocy?

O, rany! Nie zadawałaby takich pytań, gdyby знаła te Davidow, gdyby musiała wracać do surówek już za (ukradkiem spojrzalam na zegarek pod stołem) pół godziny.

- Tak - skinęłam głową.

Pani Louderback wyglądała na szczerze przejętą, przestraszyłam się nawet, że natknęła się na którąś z tych złych interpretacji, które podobno zawsze zachowuje dla siebie. Jak na przykład śmierć. Zadrżałam i okryłam się gęsią skórką. Nie, zreflektowałam się po chwili, chyba nie o to chodzi: nie bała się, że przestraszy mnie czymś, co zobaczyła w kartach, była raczej zdezorientowana. Naprawdę wyglądała na owładniętą jakąś siłą.

Nie był to żaden seans (wyjaśniła to na początku), ale najwyraźniej coś w nią wstąpiło. Długo milczała; tam, gdzie patrzyła, nad moim ramieniem, znajdowała się tylko pustka,

a jednak wydawało się, że coś widzi i słyszy. Zapewniała, że nie jest medium, niemniej zaczęłam się zastanawiać. Może umie przenikać do świata duchów i nawet o tym nie wie? To mogło być ciężkie przeżycie. Odwróciłam głowę i zerknęłam za siebie; oczywiście, nie wierzę w duchy i tak dalej, ale nie szkodziło sprawdzić. Pani Louderback wpatrywała się w okno nad zlewozmywakiem, jakby zobaczyła tam czyjąś twarz albo postać, a przecież po drugiej stronie czystej szyby, wyłączonej z boku słońcem, był jasny, czysty dzień. Nagle wykonała dłonią szybki gest, jakby chciała się od czegoś odciąć albo coś wymazać, i wzdrygnęła się lekko. Wskazując kartę z sierotami na śniegu, oznajmiła:

- To oznacza ciężkie próby. - Rzeczywiście, jakbym sama na to nie wpadła! - Będziesz musiała pokonać wiele trudności, zanim dojdiesz do celu. Nie będzie łatwo, ale wiele, bardzo wiele na tym skorzystasz. Osiągniesz stan większej jasności, a dzięki przeszkodom, które spotkasz na swej drodze, dużo się nauczysz. Wyjdiesz na tym lepiej niż ktoś, kto bez najmniejszego wysiłku dostaje wszystko, czego zechce.

(Ciekawe, czy Ree-Jane była tu niedawno). Pani Louderback przyglądała mi się bacznie.

- Jesteś nieugięta.

„Nieugięta”? Czy to znaczyło to samo co „zdecydowana”? Nie chciałam pytać. Ale sama wyjaśniła:

- Nigdy się nie poddajesz.

- Aha. Faktycznie, ludzie mówią, że jestem naprawdę uparta.

„Ludzie”, to znaczy pani Davidow, Ree-Jane, Vera, moja matka.

Chyba zdenerwowali ją ci „ludzie”.

- Nie, nie! Ta karta wcale nie to oznacza! Osoba, która się nie poddaje, to nie jest osoba „uparta”, więc jeśli ktoś tak mówi, powinien się zastanowić!

Jej pewność, że nie jestem zwyczajnie „uparta”, sprawiła mi ogromną przyjemność. Czyżbym faktycznie nigdy się nie

poddawała? Nie potrafiłam przypomnieć sobie sytuacji, w których bym się poddała bądź nie. A co z Dziewczyną? To prawda, w jej sprawie nie zamierzałam się poddać. „Nieugięta”. Wyprostowałam się. Cieszyłam się, że tu przyszłam.

Zanim jednak pani Louderback zaczęła omawiać Wisielca - który wyglądał naprawdę interesująco - uświadomiłam sobie, że mam tylko kwadrans, by dotrzeć do hotelu. Powiedziałam, że muszę iść, podziękowałam i wyjęłam z kieszonki dwa banknoty jednodolarowe. Uśmiechnęła się, lecz przyjęła tylko jeden.

- Nie skończyliśmy sesji, która zawsze trwa godzinę. Jeden dolar wystarczy.

Aż trudno było uwierzyć, że pani Louderback potrafi wytrzymać tę robotę przez całą godzinę, bo wyraźnie bardzo się zmęczyła. Zapytałam ją o to.

- Och, nie, nie zawsze jest tak jak teraz. Większość ludzi jest nudna, nie starcza im dzielności na godzinę. Ale ty nie. Nie jesteś nudna ani trochę, a jeśli ktoś twierdzi inaczej, to jest cholernym idiotą!

- Nie jestem nudna? - Jej słowa brzmiały w moich uszach jak muzyka.

Zamknęła oczy, po czym powoli i stanowczo pokręciła głową.

Ponownie podsunęłam jej drugą jednodolarówkę. Spojrzała na mnie z ukosa.

- Mówiłam ci, jeden wystarczy.

- Nie wystarczy. A poza tym jestem n i e u g i ę t a .

Pani Louderback odrzuciła głowę, walnęła dłonią w stół i wybuchnęła głośnym śmiechem, jakby w życiu nigdy nie słyszała nic równie zabawnego.

- Niech będzie. Bardzo ci dziękuję!

Zabrałam swoją mąkę, a pani Louderback odprowadziła mnie do drzwi i wyraziła nadzieję, że zjawię się, by dokończyć wróżbę. Obiecałam, że niedługo przyjdę.

Kobieta, która mnie wpuściła, zniknęła. Ciekawe, pomyślałam, może w tej okolicy tak bywa?

Wracając do hotelu w cieniu bujnych, zielonych drzew, których liście rzucały na chodnik cienie krągłe jak monety, uświadomiłam sobie znieca, że pani Louderback ani razu nie potraktowała mnie jak dziecko, nie mówiła do mnie z góry. Miałam prawo do swojego pytania, tak jak każdy w Spirit Lake i La Porte. A zatem pani Louderback zaliczała się do tej samej grupy co Maud, panny Flyte i Flagler, doktor McComb, pan Root i bracia Wood. No i oczywiście szeryf, ale on sam dla siebie stanowi grupę.

Przystanąłam, zastanawiając się nad owym niewypowiedzianym pytaniem. Liście nad moją głową drżały na lekkim wietrze. Czy rzeczywiście, pomyślałam, nie chcę nic wyjawić szeryfowi, bo obiecałam Jude'owi Stemple'owi, że tego nie zrobię? Wierność danej obietnicy - to brzmiało dobrze. Ba, nawet szlachetnie. Ale też trochę świętoszkowato. To był taki powód, jaki człowiek wymyśla, żeby ukryć swoje prawdziwe motywy, do których nie bardzo chce się przyznać. Muszę jednak oddać sobie sprawiedliwość (co zdarza mi się znacznie częściej niż „okrutna szczerłość”) - na pewno to był jakiś powód, chociaż nie jedyny. Ruszyłam dalej wolnym krokiem, lecz przed domkiem Marge znów przystanąłam, bo przysła mi do głowy niejasna myśl - naprawdę, bardzo mętna - że w gruncie rzeczy nie chcę nikomu zdradzić, co mówił mi Jude Stemple ani co Ulub mówił o siostrach Deve-reau, ani o Dziewczynie, bo...

Potrząsnęłam głową i przygryzłam wargę, patrząc w okna Marge, lśniące odbitym słońcem, jakby ktoś zaciągnął rolety z oslepiającego światła. Nie chciałam nikomu powiedzieć o tym, co widziałam i słyszałam, bo w gruncie rzeczy nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział. Czyżby to wszystko był jeden wielki sekret? Czy jeśli się zdradzi sekret - nawet jeśli to własny sekret i można z nim robić, co się tylko zechce -

to odbiera mu się część mocy? A może należałoby powiedzieć - magii? Może dlatego nie chciałam o nim mówić nikomu, nawet szeryfowi...

Zwłaszcza szeryfowi. Jest inteligentny. Zacznie śledztwo. Wytropi Queenów za ich złotymi okiennicami. Mógłby nawet odkryć Ją.

Byłaby w niebezpieczeństwie.

To sformułowanie brzmiało dość górnolotnie, ale - nie bardzo wiem dlaczego - odniosłam wrażenie, że jest trafne. Czułam, że trzeba dać jej spokój, aby dalej szukała tego, co tak pragnęła odnaleźć.

36.

Nawet robiąc surówki, nie potrafiłam zapanować nad myślami, które krążyły tam i z powrotem, tam i z powrotem, pomiędzy „powiedzieć” a „nie powiedzieć”. Zawsze uważałam, że najlepiej jest siedzieć cicho, niestety, rzadko stosuję tę zasadę w praktyce. Wiem, że często pakuję się w kłopoty z Lolą Davidow właśnie dlatego, że nie potrafię milczeć; nie umiem się powstrzymać, by nie zareagować warknięciem na jej besztańnię, co doprowadza ją do wścieklej furii.

Ale milczenie na ten konkretny temat to było zupełnie coś innego. Choć obie - Fern Queen i Dziewczyna - zlewały się w jedno w moich myślach, tak że ujawnienie jednej oznaczało ujawnienie drugiej, musiałam przyznać, że niekoniecznie są ze sobą powiązane. Niekoniecznie. Wiedziałam, że coś je łączy. Ale - może dałoby się to przemilczeć? Problem byłby wtedy znacznie prostszy: opowiedziałabym szeryfowi o zmarłej i jej związku z Queenami z Cold Flat Junction, w taki jednak sposób, by nie wspomnieć, że wiem o tym od Jude'a Stemple'a.

Gapiałam się na rząd surówek - dzisiaj z pomidorów - usiłując przypomnieć sobie, co dokładnie mówił Jude, słowo

w słowo. Zmarszczyłam czoło. To mi wyglądało na dobre rozwiązanie. Wyobraziłam sobie, jak oto siedzę i słucham Jude'a Stemple'a we Flyback Hollow, po czym ocknęłam się z powrotem w kuchni, pochłonięta rozważaniem, czy na siekanym jajku położyć pół czarnej oliwki, czy raczej przyozdobić surówkę siekaną natką pietruszki.

Walter przestał machać miotłą, zerknął na moje dzieło i nieznacznie skinął głową, po czym wrócił do zamiatania. Zupełnie bez potrzeby, podłoga była idealnie czysta, ale ponieważ na razie brakło naczyń do zmywania, matka kazała mu zamiatać. Matka i Lola Davidow nie mogą znieść, kiedy Walter nie ma zajęcia. To by je zrujnowało, wykończyło, nastąpiłby istny koniec świata, gdyby Walter kiedyś przystanął i chwilę odpoczął. Doprowadza mnie to do szału.

Uśmiechnęłam się do Waltera i posypałam surówkę natką, po czym przyjrzałam się drugiej, ozdobionej oliwką i siekanym jajkiem. Właśnie je porównywałam, gdy za moimi plecami, niczym czarna zjawa, wyrosła Vera. Aż się wzdrygnęłam na dźwięk jej piskliwego głosu; Walter też wyraźnie drgnął (a Waltera trudno jest zaskoczyć). Vera trzymała na czubkach palców pustą metalową tacę, jakby chciała mi dać do zrozumienia, proszę, taca jest pusta, więc czemu surówki nie są gotowe? I chciałaby wiedzieć, zapytała, co ja sobie w ogóle myślę, posypując je siekanym jajkiem? Zastanowiłam się chwilę i spokojnie odparłam, że czytałam w „Ladies' Home Journal” artykuł o tym, że jajko na twardo, szczególnie w połączeniu z natką i oliwkami, cudownie usuwa z krwi zanieczyszczenia. I dodałam, że może Harold (mąż Very) powinien tego spróbować. Wiem, że Verę strasznie złości, kiedy mówię o Haroldzie po imieniu, dlatego zawsze to robię. Złości ją również, że wszyscy wiedzą, że Harold to stary pijak i na dokładkę hipochondryk - wcale nie jest chory, a jedyne „zanieczyszczenia” dostają się do jego krwi za pośrednictwem burbona Old Turkey, więc jego choroby to czysty wymysł. A kiedy Vera idzie do pracy usługiwać przy stołach, Harold leży w łóżku i narzeka. Chociaż wcale

niewykluczone, że wyskakuje z łóżka i sięga po Old Turkey, ledwie drzwi się za nią zamkną.

Vera usiłowała jakoś zareagować na wzmiankę o artykule, ale nic nie wymyśliła, poprzestała więc na lodowatym spojrzeniu, po czym sztywnymi ruchami z łoskotem ustawiła na tacy sześć surówek.

Walter, wsparty na miotle, zanosił się swoim dziwnym chichotem, jakby tonął albo właśnie ocalał z dymu i pożogi - wciągał gwałtownie powietrze i wypuszczał je, sapiąc ihi-ih. Walter nigdy nie powie o nikim złego słowa, ale widać, że nie znosi Very. Pochwalił moje surówki, a ja zrewanżowałam mu się pytaniem, która dekoracja bardziej mu się podoba, oliwka czy natka.

- Obie - odparł, więc posypałam jedną surówkę natką i położyłam na niej oliwkę. Rzeczywiście, kompozycja wyglądała niezłe.

Po obiedzie, kiedy zrobiło się ciemno, poszłam do Różowego Ślonia, nadal próbując sobie przypomnieć, co kazał mi przyrzec Jude Stemple. Zadawałam sobie pytanie, czy powiedział: „Nie mów nikomu o Fern Queen”, czy: „Nie mów nikomu, że ci mówiłem o Fern Queen”? To były dwie całkiem różne rzeczy. Wydawało mi się, że chodzi o tę drugą, ale nie byłam pewna. Usiłowałam przemyśleć to logicznie: Jude'owi Stemple'owi chyba było wszystko jedno, czy ktoś powie policji, że ta zmarła kobieta to Fern Queen, prawda? I ktoś chyba wreszcie powiadomił policję o jej zaginięciu, bo inaczej szeryf nie pognałby do Cold Flat na złamanie karku? Chyba Jude martwił się głównie tym, że może zostać w coś wpłątany? Rozważałam to sobie, machinalnie przekładając kolekcję z pudełka Whitman's. Chyba przede wszystkim trzeba zrozumieć intencje mówiącego, a nie tylko jego słowa? Prawdę mówiąc, Jude Stemple pewnie życzyłby sobie, żebym w ogóle trzymała buzię na kłódkę. Ale cóż, nie bardzo mogłam tak postąpić. Ciekawe jednak, dlaczego - skoro

gotów był tak wiele ujawnić - zmusił mnie, bym przyrzekła, że nie zdradzę, skąd o tym wiem. Pewnie chodziło mu o te inne rzeczy, które mi mówił, te o Queenach. Ziewnęłam. Ułożyłam pięści jedna na drugiej i oparłam na nich podbródek. Powieki same mi się zamykały i chyba musiałam na chwilę przysnąć, bo obudziło mnie ciche chrapnięcie. Wciąż trzymając podbródek na zwiniętych pięściach, uniosłam wzrok i spojrzałam na wypożyczony z biblioteki obrazek. Przedstawiał mostek i staw, zarośnięty pięknymi kwiatami; powtarzałam sobie, że przypomina Jezioro Duchów, ale naturalnie wcale tak nie było. Ten staw wcale nie wyglądał na nawiedzony.

Trudności. Wina. Ból. Oczyma duszy ujrzałam Wisielca i sieroty błędzące w śnieżycy. Te karty, pomyślałam nagle, wcale nie przepowiadają przyszłości; one mówią nam, Co Jest, a może powinnam rzec: Kim Jesteśmy? Nie podpowiadają, co robić. Nie wyjawiają, gdzie Aurora Paradise zakopała pieniądze i gdzie Lola Davidow ukryła skrzynkę whisky. Nie wywróżają, że Ree-Jane zginie marnie, choć można mieć nadzieję, że tak będzie.

Trudności. Wina. Ból.

Ale byłam nieugięta. Pani Louderback tak powiedziała.

Nieugięta. Nie poddawałam się łatwo. To mnie pocieszyło, nawet jeśli karty niczego sensownego mi nie doradziły. A potem zrozumiałam: gdyby wystarczyło poprosić karty o radę, to nieugiętość nie byłaby mi potrzebna. A więc może tylko mi się wydawało, że potrzebuję rady lub pomocy? Może, w gruncie rzeczy, wcale sobie nie życzyłam żadnych rad? Bo na ogół nienawidzę, kiedy ktoś mi mówi, co mam robić, nawet gdy są to sieroty albo Wisielce.

Życie jest ciężkie, ale ja jestem nieugięta.

37.

Następnego ranka zadzwoniłam do Taksówek Axela, gdzie zostałam poinformowana, że być może Axel we własnej osobie pojedzie do nas, by dostarczyć jakieś towary, i przy okazji mnie zabierze. Naturalnie, wiedziałam, że Axel nic podobnego nie zrobi, a za kierownicą znów będzie siedział Delbert. Na pytanie dyspozytorki, dokąd chcę jechać, odparłam, że do gmachu sądu. Podjęłam decyzję.

Uznałam, że naprawdę nie mogę dłużej zatajać informacji „istotnych dla śledztwa” (słyszałam, jak w ten sposób je określano). Wprawdzie wiedziałam, że szeryf już dwa dni temu był w Cold Flat Junction, i mogłam się założyć, że miało to związek z zamordowaną kobietą, ale nie miałam pojęcia, czy wezwali go Queenowie, czy ktoś inny, na przykład kaznodzieja Tabernakulum Pierwszej Unii. Gdybym więc ujawniła szeryfowi, co wywnioskowałam ze słów Jude'a Stemple'a, z pewnością oszczędziłabym mu mnóstwo czasu.

Jednakże nie miałam obowiązku opowiadać mu o Dziewczynie. Tym sposobem uniknęłabym wyjaśnień na temat swych pierwszych odwiedzin w Cold Flat i wycieczki do domu panien Devereau w towarzystwie braci Wood. Nie było najmniejszego powodu, żeby wciągać w to wszystko pana Roota i Woodów i narażać ich na udawkę przesłuchań. Pewnie zajmowałby się tym Donny, który zgrywałby waźniaka i traktował wszystkich jak strasznie podejrzanych, bo poszli ze mną do domu panien Devereau. I z pewnością wykluczono by mnie ze śledztwa (choć wyprawa to był mój pomysł), bo szeryf po prostu by nie zniósł, że Donny traktuje dziecko - czyli mnie - jak przestępcę. Tak, bycie dzieckiem ma swoje zalety: policja nie przyjmuje do wiadomości, że jest się zamieszana w morderstwo i można wejść do kina Orion za pół ceny.

Taksówkę zamówiłam na dziesiątą, żeby mieć czas na obsłużenie spóźnialskich. Teoretycznie śniadania wydajemy od wpół do ósmej do dziewiątej, ale matka ogotuje coś dla

każdego gościa o dowolnej porze. Strasznie mnie to złości. Z obiadem jest tak samo; Vera i Anna Paugh idą do domu o dziewiątej wieczorem, ale kiedy ktoś później zażąda pokoju oraz obiadu, matka jest zawsze do usług, co oznacza, że ja również muszę być do usług, bo poza mną nie ma nikogo, kto podałby do stołu. Rzecz jasna, z wyjątkiem Ree-Jane, lecz niechby tylko ktoś spróbował poprosić ją o cokolwiek.

No i oczywiście właśnie tego ranka panna Bertha musiała spóźnić się na śniadanie, choć zazwyczaj według niej i pani Fulbright można regulować zegarki. Na szczęście „spóźnienie” oznacza, że przychodzą nieco po dziewiątej, więc nie jest to takie straszne; nawet panna Bertha nie jest w stanie marudzić przy śniadaniu dłużej niż pół godziny, góra trzy kwadransy.

No i marudziła, a jakże. Placki kukurydziane zbyt nasiąkły syropem, sok pomarańczowy był rozwodniony, kielbaski nie dość pikantne. To ostatnie naprawdę mnie zezłościło, bo zwykle panna Bertha piekli się, że wręcz przeciwnie, matka za mocno wszystko przyprawia. To śmieszne - przecież je te placki i kielbaski od wielu lat i zawsze są takie same. Pani Fulbright prosiła, żeby przestała zawracać ludziom głowę, ale panna Bertha po prostu siedziała sztywno, objąwszy się ramionami niczym mała, szara mumia, i z uporem kręciła głową. Odniosłam wzgardzony talerz do kuchni i z łomotem postawiłam na blacie do wydawania posiłków, ale matka tylko westchnęła, po czym kazała mi zanieść jej świeżą porcję. Miałam powiedzieć, że została świeżo przyrządzona - faktycznie, z czarnej brytfanny, na której smażyły się kielbaski, wzbijały się smugi siwego dymu. Następnie matka odwiązała troczki fartucha, tak wielkiego, że zazwyczaj owijała się nim dwukrotnie wokół talii, i oznajmiła, że idzie do recepcji, porozmawiać z panią Davidow o dostawie bielizny, więc żebym za dwie minuty przewróciła kielbaski na drugą stronę. I żebym natłuściła drugą blachę i zużyła na placki resztkę ciasta z miski.

- Wiesz, jak to się robi - powiedziała. - Zaniesiesz tej starej wariatce świeże placki, to pomyśli, że usmażyłam je specjalnie dla niej. - Po czym wyszła przez boczne siatkowe drzwi i drewnianym pomostem oddaliła się do biura.

Z przyjemnością zajęłam się śniadaniem; lubię być za coś odpowiedzialna. Kielbaski strzelały tłuszczem, ja zaś tymczasem wyciągnęłam z lodówki słoik z zielonymi papryczkami chili, których moja matka używa - nader oszczędnie - do ostrego włoskiego sosu. Wyjęłam z kamionkowej miski wielki nóż, położyłam papryczkę na desce i posiekałam ją na maleńkie kawałeczki. Wcisnęłam paprykę w smażące się na brytfannie kielbaski, przewróciłam je na drugą stronę, po czym, nucąc beztrudnie, przysunęłam sobie miskę z rozrobionym ciastem i zaczęłam chochlą nakładać je na blachę. Ciasto na placki kukurydziane mojej matki zawsze jest gęste i ziarniste i niewątpliwie te placki lubiłabym najbardziej, gdyby nie placki gryczane, no i gofry, które matka skrapia syropem ze świeżych owoców...

Gdy na plackach wystąpiły bąbelki, szybko przewróciłam je łąpatką, żeby podsmażyły się z drugiej strony, i zdjęłam z półki nad płytą dwa ogrzane talerze, na których ułożyłam porcję placków oraz dwie gotowe już kielbaski. Resztę kielbasek, tak jak uczyła mnie matka, starannie umieściłam na papierowym ręczniku, żeby pozbyć się tłuszczu.

A potem zaniiosłam talerz panny Berthy do jadalni. Była dokładnie dziewięćdziesiąt trzydzieści pięć.

Po ugryzieniu kielbaski panna Bertha długo nie zabawiła w jadalni, co bardzo mi odpowiadało, bo za niespełna dwadzieścia minut miała przyjechać taksówka. Skrupulatnie odniosłam jej talerz do kąta, gdzie Walter powoli wycierał półmisek, i zeszkrobałam jego zawartość do śmieci. A nuż ktoś by się nim zainteresował? Walter uśmiechał się od ucha do ucha - zorientował się już, że dzieje się coś niezwykłego. Ba, kto by się nie zorientował, skoro panna Bertha wrzeszczała jak potępieniec, że chcemy ją otłuścić? Obiecałam Walterowi, że opowiem mu wszystko, jak tylko wrócę z miasta,

ale zaczęłam się już okropnie śpieszyć, poza tym z jadalni dobiegł mnie odgłos kroków matki. Ma niepowtarzalny chód, wszędzie bym go rozpoznała. Szybko powiedziałam Walterowi, że będę mu ogromnie wdzięczna, jeśli nie wspomni, że oczyściłam talerz panny Berthy, na co uśmiechnął się jeszcze szerzej, naprawdę od ucha do ucha. Walter uwielbia, gdy się go dopuszcza do sekretów.

Matka wkroczyła do kuchni i oznajmiła, że ta stara wariatka, panna Bertha, ma atak hysterii, bo kielbaska jakoby była zatruta. Po czym jęła ze złości łomotać garnkami i rondlami, tak jak artysta malarz, który ciska pędzlem o ścianę, gdy malowanie nie idzie po jego myśli. W końcu chwyciła jedną kielbaskę z ręcznika i odgryzła kęs.

- Na mój gust smakuje całkiem normalnie, dokładnie tak samo, jak wczoraj. Proszę - rozerwała kolejną kielbaskę i dała po połowie Walterowi i mnie. - Taka sama, prawda?

Żuliśmy w skupieniu.

- Pewnie, że tak - potwierdziłam.

- Mhmm - przytaknął Walter. - Tak jak zawsze. Bardzo dobra.

Matka wzniosła ręce błagalnym gestem.

- Skoro wszyscy troje tak uważamy, to ona najwyraźniej ma fioła.

Pod tym względem matka jest wielką demokratką.

- W dodatku powiada, że nie zje tu więcej ani jednego posiłku. To pewnie dla ciebie dobra nowina. - Matka uśmiechnęła się do mnie. - Nie będziesz musiała podawać do lunchu.

Premia! A ja chciałam tylko zdążyć na taksówkę o dziesiątej! Premia, a to dopiero niespodzianka!

Wtedy Walter uśmiechnął się niespiesznie, jak to on, po czym rzekł:

- Pewnie sobie myśli, że tylko jej kielbaski były zatrute. - Zachichotał bez tchu. Wlepiłam weń wściekle spojrzenie.

- Szkoda, że wywaliłem resztę jej śniadania - dodał, puszczając do mnie oko. - Stara wariatka.

Kiedy wsiadałam do taksówki, Delbert, straszliwie zezując (jakby od tego lepiej słyszał), zapytał mnie, czemu do jasnej anielenki w hotelu ktoś się tak wydziera, na co odparłam, że nie mam bladego pojęcia i że chcę pojechać do sądu, proszę. Zignorowałam jego uwagę, że już raz mnie tam zawiózł, parę dni temu, i może mam jakieś kłopoty? Po czym aż zaniósł się ze śmiechu.

Ciekawa, co mi odpowie, zapytałam od niechcienia, gdzie jest Axel. Podobno miał przywieźć coś do Spirit Lake?

- Eee, już dawno wziął i to zrobił - powiedział Delbert. - Z samego rana. Przyjechałby po ciebie, ale dostał nagłe wezwanie od tych z Buena Vista.

Prawdę mówiąc, niezbyt mnie ciekawiły nagle przypadki właścicieli Buena Vista, którzy przez większość czasu chłali do nieprzytomności i trzeba było ich wozić do szpitala. Delbert gadał, a ja patrzyłam przez okno na pole, gdzie starsi chłopcy z La Porte czasem przyjeżdżają swoimi gruchotami, żeby się pościgać. Ziemia, brązowa w ostrym świetle słońca, mieniła się od plam oleju i benzyny, lśniących wśród dmuchawców i potarganych rudbekii, nieśmiało wyrosłych tam, gdzie jeszcze zostało trochę trawy. Szału dostaję na myśl, że gdyby nie te chłopaki i ich paskudne, ryczące auta, mogłaby tu być ogromna łąka pełna kwiatów i krzewów. Z drugiej strony, widząc kępy szafirków armeńskich wielkości opony, pomyślałam, kto wie, może przyroda jest silniejsza, niż mi się wydaje? Wspomniałam lasy wokół jeziora, gdzie krzepkie pnącza i drzewa o grubych konarach opanowały drogę, po której kiedyś dało się jeździć samochodem, i szerokie trakty zamienione w wąskie ścieżki. Dom panien Devereau, ongiś zapewne centrum tamtej części Spirit Lake, wyglądał tak, jakby za kilka lat miał całkiem zniknąć z oczu, zatonąć wśród bujnych, ciężkich liści, które zamknęłyby się nad nim niczym ciemnozielona woda.

Takie oto rozważania pochłaniały mnie przez całą drogę do miasta, a gdy po prawej mijaliśmy kościół Świętego Michała, poświęciłam również chwilę Panu Bogu. Ocknęłam się

dopiero, kiedy taksówka zahamowała przed gmachem sądu i Delbert triumfalnie zawołał: „Jesteśmy!”, jakby był to nie wiem jaki wyczyn. Wsiadłam, zapłaciłam za kurs, dałam mu ćwierć dolara napiwku - ku jego wyraźnej radości - po czym wbiegłam po stopniach do budynku. Podjęłam decyzję i nie mogłam się już doczekać, żeby zrzucić ciężar z serca.

- Sama nie ma.

Donny, znów rozparty za biurkiem szeryfa, z uciechą przekazał mi tę przykrą wiadomość.

- Dokąd pojechał?

Spojrzał na mnie przeciągle, przypuszczalnie starając się wymyślić jeszcze bardziej frustrującą odpowiedź, po czym oznajmił:

- Sprawy służbowe.

Następnie odchylił się na obrotowym krześle i zaplótłszy ręce za głowę, bujnął się kilka razy, jakby chciał mi pokazać, kto tu rządzi.

- Muszę z nim porozmawiać. To ważne.

- No to porozmawiaj ze mną. Do jego powrotu jestem szefem.

Jego uśmiech był nieszczerzy, wręcz zjełczały jak stary tłuszcz.

Popatrzyłam na niego, jakbym się zastanawiała, choć oczywiście ani myślałam mu cokolwiek mówić.

- Ee, to ja zaczekam.

Zawróciłam i usiadłam na jednym z twardych krzeseł. Wiem, że Donny nienawidzi, kiedy mu się przyglądam, zwłaszcza jeżeli nie ma nic specjalnego do roboty. Cieszyłby się, gdybym była świadkiem, jak rozmawia z burmistrzem albo nawet z gubernatorem, albo jak karci kogoś za wykroczenie. Ale w biurze było pusto, jeśli nie liczyć nas dwojga, nie miał nawet sekretarki ani archiwisty, żeby lepiej udawać zajętego. Przez jakiś czas gapiałam się, jak podnosi i odkłada rozmaite kartki i różowe notatki służbowe, aż w końcu nie

wytrzymał; po prostu nie mógł znieść, że widzę, iż w gruncie rzeczy nie ma nad niczym żadnej władzy.

- Sam pojechał do Cold Flat. Pewnie zostanie tam całe popołudnie.

Wstrzymałam oddech, lecz zachowałam spokój.

- Przecież już tam był dwa dni temu - powiedziałam. - I ty też - dodałam, czując, że to go zirytuje jak nie wiem co. I rzeczywiście, łypnął na mnie wrogo. Podniosłam się z krzesła, podziękowałam i wyszłam.

Czasem, kiedy chcę nad czymś pomyśleć, idę do Ogarka, żeby po prostu się rozejrzeć i popodziwiać „efekty” panny Flyte. Są cudowne, a ona lubi, gdy ludzie zagląдают do sklepu, nawet jeśli nie są z tych, co kupują. Do których ja z pewnością nie należę.

Słońce nigdy nie świeci wprost na wystawę panny Flager, tylko maluje pasek bądź falbankę z boku lub na dole. To dlatego, że panna Flyte spuszcza nad swoim oknem wąską markizę, która częściowo osłania oba sklepy.

W środku panuje półmrok i przy zapalonych świecach robi się tu trochę niesamowicie. Ze względów przeciwpożarowych świece tkwią w szklanych kloszach lub w kinkietach na ścianach, albo też stoją na czymś niełatwopalnym. Panna Flyte lubi umieszczać świece między dwoma lustrami, dzięki czemu powstają zwielokrotnione szeregi migotliwych płomyków, albo ustawiać je przy trójskrzydłowym lustrze, co daje podobny efekt, tylko potrojony.

Panny Flyte dzisiaj nie było i za kasą stała Bonnie, pomoc do wszystkiego i zaopatrzeniowiec w jednej osobie. Poślizniętym palcem z wolna przewracała kartki kolorowego czasopisma, jakby miała do czynienia ze średniowiecznym manuskrytem z inicjałami niczym klejnoty (zapomniałam, jak to się nazywa). Nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi (dzieci w sklepach nie są mile widziane), póki nie zapytałam

jej, gdzie jest panna Flyte. Nie podnosząc głowy, odparła, że u panny Flagler.

Właściwie panna Flyte nie była mi do niczego potrzebna, po prostu miło było usłyszeć, że wszystko u niej w porządku, że nie jest chora ani nic. Przeszłam się po sklepie, jak zwykle z przyjemnością, która byłaby jeszcze większa, gdyby nie Bonnie. Trudno czuć się swobodnie w obecności kogoś, kto za wszelką cenę chce, żebyśmy sobie jak najszybciej poszli: mam wtedy wrażenie, jakby jakaś ciemna dłoń ścierała z radości cały blask, tak jak wąska markiza nad sklepem, nie-dopuszczająca światła na ten kawałek chodnika.

Bonnie, wciąż zagłębiona w swoim pisemku, machinalnie nawijała na palec pasmo matowych włosów i nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Przesunęłam się na ciemny, jakby zadymiony tył sklepu. Panna Flyte ustawiła tam na lustrze kilka świec, wysokich i cienkich, a także bardziej przysadzistych, otoczyła je półkolem błyszczącej folii i nakryła całość daszkiem z ciemniejszego metalu. Powstało coś w rodzaju amfiteatru, jak ten nasz w Spirit Lake. Na powierzchni lustra stały maleńkie figurki łyżwiarzy, mniejsze nawet niż ołowiane żołnierzyki: mężczyźni w szalikach, kobiety w kapturkach i długich, szerokich spódnicach, chłopcy w czapkach z daszkiem i małe dziewczynki z mufkami - staroświecka scena na lodowisku. Ale najbardziej zaskakujący był niezwykle efekt wytworzony przez zapalone świece różnych rozmiarów: płomienie wysokich i cienkich świec odbijały się w metalowym sklepieniu niczym gwiazdy, krótsza świeca o grubym knocie naśladowała chwiejne, zmienne światło księżyca, a sznurkowy knot bardzo niskiej świecy prawdopodobnie został rozstrzępiony na pojedyncze nitki, gdyż drobne ogniki tańczyły, łączyły się i rozdzielały, do złudzenia naśladowując płonące ognisko.

Że też panna Flyte zadała sobie tyle trudu! Stałam jak oniemiała. Chociaż, zważywszy na jej sławę, nie powinnam się dziwić.

Migotliwe światełka niemal mnie zahipnotyzowały, podobnie jak wodne refleksy na suficie sypialni Mary-Evelyn, i równie trudno było wyjaśnić ten efekt. Miałam wrażenie, że wszystkie rzeczy bez znaczenia, które zaśmiewały mój umysł, lecą w powietrze i znikają jak spopielone skrawki płonącej gazety. Irytujące grymasy panny Berthy, Vera pchająca się do obsługi najlepszych gości, nawet napady złości pani Davidow - wszystko to gdzieś się rozplywało, zostawiając za sobą jedynie niewielkie, ogniste jądro. Tylko ono się liczyło, cała reszta to był pył i popioły, którym nie należało poświęcać ani jednej myśli. Popadłam w dziwny stan, mój umysł był jasny i pusty jak pokój wypełniony światłem. Spoglądałam w tę rozświetloną przestrzeń, ciekawa, co się w niej pojawi, toteż wcale się nie zdziwiłam, ujrawszy Dziewczynę, która stała i patrzyła na mnie, najpierw bliska, jak na peronie, potem daleka, jak na drugim brzegu jeziora. Mój umysł wydawał się czysty, jakby ktoś wymiół z niego wszystko, by ona mogła swobodnie zacząć mówić. Ale oczywiście milczała - mój umysł, chociaż pusty, nie potrafił z niej wydusić ani jednego słowa.

Jej postać stopniowo bladła, aż w końcu całkiem zniknęła, a na tym miejscu pojawił się Jude Stemple, siedzący ze mną na werandzie domu we Flyback Hollow, jak owego dnia, gdy opowiedział mi o Queenach.

„Fern nie miała żadnych dzieci”.

Wpatrzyłam się w pelgające płomyki świec i zmarszczyłam czoło.

„Fern nie miała żadnych dzieci”.

Wyjaśnienie spadło na mnie z taką siłą, jakby ktoś walnęła mnie w brzuch, takie było proste: A skąd właściwie Jude Stemple o tym wiedział?

Nie chcę powiedzieć, że kłamał; podejrzewam, że naprawdę sądził, że coś wie, ale Fern Queen mogła przecież gdzieś wyjechać i urodzić całą kupę dzieciaków, o czym on nie miałby pojęcia. Czyż nie wspomniał, że Fern „odeszła”, potem wróciła, a po jakimś czasie znowu wyjechała?

To była nauczka, żeby wierzyć świadectwu własnych pięciu zmysłów, nie temu, co gadają inni. Pan Stemple wyrażał się bardzo stanowczo, ale nigdy nie widział Dziewczyny, a ja tak.

Wychodząc z Ogarka, ze zdumieniem odkryłam, że jest już prawie południe; podziwiałam „efekty” panny Flyte przez niemal godzinę. Chyba naprawdę uporczywe myśli o Fern Queen i Dziewczynie wprawiły mnie w trans. J e j Dziewczynie, uświadomiłam sobie, lekko wstrząśnięta.

Rozmyślałam o tym wszystkim, idąc z Ogarka do Tęczy na sąsiedniej ulicy, po drodze mijając kino Orion i drugostore Soudera. Byłam tak zatopiona w myślach, że w ogóle nie zauważyłam Helene Baum i odwróciłam się dopiero wtedy, gdy zawołała mnie po imieniu od drzwi Soudera, nie wiem nawet, wchodząc czy wychodząc. Czyżbym zadzieriała nosa do tego stopnia, że przestałam odzywać się do ludzi? Tak właśnie zawołała na całą ulicę, na wypadek, gdyby ktoś inny też był ciekaw, czy zrobiłam się zarozumiała.

Miałam to gdzieś.

Było całkiem jasne, że szeryf już wie o zaginięciu Fern Queen i o tym, że to ją znaleziono zastrzeloną na śmierć w Lustrzanym Stawie.

Przystanąłam na chwilę, zapatrzona w wielkie okno Café Tęcza, i mimo niedawnego „oświecenia” westchnęłam z rozkoszy - oto przyszła pora lunchu, a ja nie musiałam biegać po hotelowej jadalni i słuchać narzekań panny Berthy! Poczulałam w żołądku bolesny skurcz - czyżbym czuła się winna z powodu kiełbasek? Nie, sprawił to widok chili i chrupków z krewetek, które Charlene właśnie stawiała przed braćmi Wood.

Kiedy weszłam, Maud stała właśnie za kontuarem i przyrządzała koktajl mleczny. Uśmiechnęła się na powitanie i pomachała ręką; za to Shirl, jak zwykle, bąknęła coś niezrozumiale i wróciła do umieszczania w gablocie cytrynowego tortu beżowego.

Ulub i Ubub powiedzieli po swojemu „cześć”. Najwyraźniej ucieszyli się, że przyszłam. Ulub wręcz wstał ze stołka i przesiadł się na sąsiedni, dając do zrozumienia, że mam usiąść między nimi. Część klientów przy kontuarze aż się odwróciła, by zobaczyć, kto też skłonił braci Wood do mówienia. No, prawie.

Sprawiłam komuś przyjemność swoją obecnością! To było tak niezwykle, że poczułam się jak jakaś osobistość. Bez mrugnienia okiem zajęłam zaproponowany stołek i poprosiłam Charlene o wiśniową colę. Ale Maud już nalewała syrop do dużej szklanki.

- Dobry Boże - rzekła, stawiając colę przede mną. - Urwałaś się z niewoli?

Z zaskoczeniem spostrzegłam, że na te słowa Ubub zanośsi się od śmiechu. Woodowie nie są głupi; szkoda, że ludzie tego nie widzą. Też się roześmiałam i odparłam:

- Nie ma nikogo na lunch.

Sączyłam colę, zadowolona, że chociaż raz w życiu jestem „osobistością”.

- No to chodź, usiądź ze mną z tyłu. Kucharz właśnie zrobił świeże chili.

Świeże chili wcale nie jest najsmaczniejsze, lepiej, jeśli przyprawy przegryzą się przez dzień lub dwa. Niewielu ludzi to rozumie. Zresztą, właściwie nie byłam głodna, może przez całe to myślenie, które odwaliałam wcześniej. Chyba po prostu miałam zbyt wiele na głowie, by jeść chili.

- Dziękuję, teraz nie - odrzekłam. - Może później.

Uprzejmie zaczekałam pięć minut, aż Ulub i Ubub skończą swoje porcje - nie chciałam, aby pomyśleli, że ich porzucam, ponieważ mam w perspektywie coś lepszego. Dopiero kiedy otarli serwetkami usta i zmięli je w kulki, powiedziałam, że zobaczymy się niebawem. Obaj na pożegnanie szeroko się uśmiechnęli i pokiwali mi głowami.

Po chwili Maud dołączyła do mnie w boksie.

- Chora jesteś czy co? - zdumiała się. - Odmawiasz chili? A może twoja matka robi na lunch coś specjalnego?

- Zawsze robi coś specjalnego - odparłam poważnie.

Maud popatrzyła na mnie przeciągle z dziwnym uśmiechem, jakby czuła urazę.

- Założę się, że Chad nigdy tak nie mówi o moim gotowaniu.

Zapaliła papierosa.

Nie widuję Chada zbyt często w La Porte, bo zazwyczaj przebywa w szkole z internatem, a część wakacji spędza z ojcem. Zawsze mi się wydawało, że Maud bardzo przeżywa tę sytuację, zwłaszcza rozłąkę z Chadem; coś podobnie bolesnego istnieje między szeryfem i jego żoną Florence.

- Donny mówi, że szeryf pojechał do Cold Flat Junction.

- Byłam ciekawa, czy Maud coś wie.

- Chyba dowiedział się, kto to jest.

- Ta ze-marła?

Wypuściła dym w bok, żeby nie dmuchać mi w twarz.

- „Ze-marła”? Odkąd to mówisz w taki sposób? Ty też pętasz się po Cold Flat Junction? „Ze-marła”, dobre sobie.

- Kto to jest?

- Nie powiedział. Może nie był pewien, a może dlatego, że ma obowiązek najpierw powiadomić rodzinę.

Ucieszyłam się, że nie muszę już mówić szeryfowi o Fern Queen. Teraz chciałam skupić się wyłącznie na tym, jak wrócić do Cold Flat Junction i dostać się do domu za żółtymi okiennicami.

38.

Wcale mnie nie zdziwiło, że następnego dnia spóźniłam się na pociąg do Cold Flat Junction właśnie przez pannę Berthę. Zaczęło się, kiedy podałam jej spaghetti z klopsikami (jedyne danie w menu na lunch). Najpierw zakomunikowała pani Fulbright, że klopsiki z pewnością zrobiono z resztek wczorajszych trujących kiełbasek; potem podniosła głos

i powiadomiła o tym mnie; a potem ni mniej, ni więcej, tylko wydobyła się z krzesła i zgięta wpół doczłapała o lasce do kuchennych drzwi, gdzie wyrzeszczała tę nowinę mojej matce.

Kiedy wspólnymi siłami zdołaliśmy ją w końcu uspokoić, było już po pierwszej i nie miałam najmniejszych szans, żeby zdążyć na stację. Moje rozgoryczenie zapewne byłoby większe, gdybym przygotowała jakiś plan. Ale nie miałam planu. Utknęłam. Żaden z pomysłów, jakie przychodziły mi do głowy - na przykład że zastukam do drzwi Queenów i poproszę o datek na Okręgowe Kaleki, nie brzmiał zbyt przekonująco. Koniecznie musiałam wymyślić coś, co skłoniłoby Queenów do rozmowy o siostrach Devereau, a także o Benie Queenie.

Niemniej spaghetti z klopsikami znacznie poprawiło mi nastrój, więc kiedy już zjadłam i sprzątnęłam stół panny Berthy (która wrzuciła swoje klopsiki do cukiernicy), poczułam się znacznie lepiej, toteż postanowiłam przejść się do sklepu Brittena. Albowiem spaghetti nie tylko podniosło mnie na duchu, lecz także pobudziło mój mózg - chyba wykombinowałam, jak się dostać do Cold Flat Junction.

Na ławce zastałam pana Roota, lecz ku memu rozczarowaniu Uluba i Ububa nie było. Zapytałam pana Roota, czy ich widział, ale odparł, że nie, dzisiaj nie..

- Myślałam, że przejedziemy się do Cold Flat Junction. Obaj mają półciężarówki.

- Ano mają. A po co chcesz tam jechać?

Głupio było przyznać, że chodzi mi tylko o to, żeby ktoś mnie podwiózł, powiedziałam więc, że to ma związek z rodziną Devereau. Moje słowa musiały zabrzmieć trochę tajemniczo, bo pan Root popatrzył na mnie bacznie, jakby usiłował coś zrozumieć.

Przygryzając wewnętrzną stronę policzka, z ponurą miną słuchałam odgłosów oddalającego się pociągu i zastanawiałam się, co zrobić.

I wtedy zdarzył się cud - choć ojciec Freeman pewnie nie nazwałby tego cudem, zwłaszcza że jego „sprawcą” był kościół Tabernakulum Pierwszej Unii. Przyjechał autobus - ten sam, który dwa razy w tygodniu przywozi wiernych z Cold Flat Junction, a potem ich odwozi.

Stałam, wypuściłam jedną osobę i znów odjechał, lecz zdążyłam już przygotować plan - wiedziałam, że przystaje również po drugiej stronie szosy, przy wielkim namiocie nieopodal knajpy Grega.

- To na razie, panie Root. Spróbuję złapać ten autobus.
- Dobra, leć, chociaż pewnie cię nie zabrają, bo nie jesteś od nich.

Zanim skończył mówić, już frunęłam z nasypu; usłyszałam tylko, jak wołał za mną, że jeśli spotka Woodów, to im powtórz, że są mi potrzebni.

W rozgwarze ciżby opuszczającej wielki modlitewny zбір nikt nie zwrócił uwagi, że wchodzę do namiotu, zwłaszcza, że biegało tu mnóstwo dzieci (które nieustannie obrywały za to w ucho). Chwyciłam ze składanego krzeselka wolny modlitewnik - czy jak się ta czarna książeczka nazywa - wyszłam i stanęłam w kolejce do autobusu. Czekало tu dwadzieścia pięć do trzydziestu osób, które rozmawiały ze sobą w niewielkich grupkach. Od czasu do czasu ktoś zerkał na mnie, nie podejrzliwie, lecz obojętnie, ci zaś, którzy poważnie traktowali zalecenia swej religii, nawet obdarzali mnie życzliwym uśmiechem.

Usiłując wyglądać jak najświętobliwiej, starałam się podsłuchać, co mówią, i po chwili doszłam do wniosku, że Maud ma rację: faktycznie, zamiast „powiedział” mówili „pedział”, a zamiast „wzięli” - „wzieni”.

- ...no i pedziałam jej, że mamuśka poszli z wizytom...

Tak się skupiłam na tej interesującej wymowie, że niemal przegapiłam autobus, który zatrzymał się tuż obok mnie. Wsiadłam i podeszłam do pani kierowcy.

- Cześć, złotko, a ciebie to dotąd nie widzia-am? - zdziwiła się. - Nigdy nie jeździsz autobusem, co?

Odchrząknęłam.

- Nie, psze pani, ano nie jeżdżę - powiedziałam, nadając głosowi wysokie i śpiewne brzmienie. I zanim zdążyła zapytać - widziałam, że ma taki zamiar - dodałam: - Mam na imię Rae-Jane i jestem kuzynką Queenów. Zna ich pani?

- Pewno, że tak. A co...

Ludzie przepychali się obok mnie, więc usunęłam się z drogi, ale nie przestałam mówić:

- Znaczy, ja nie do Queenów. Ja z wizytom do takich jednych z Flyback Holler.

Pani kierowca witała się ze wsiadającymi, dzień dobry, dzień dobry, i niespecjalnie zwracała na mnie uwagę, więc paplałam dalej:

- Znaczy, ja z wizytom do Stemplów. Mieszkają we Flyback HOLLER. - Bardzo chciałam, żeby zauważyła, jak wymawiam to słowo, z naciskiem na drugą sylabę.

- Mhmm. A gdzie są twoi rodzice?

- Och, mamusia i tatuś ze-marli.

Wlepiłam wzrok w buty. Kobieta, która właśnie witała się z kierowcą, potrząsnęła głową ze współczuciem i przeszła do najbliższego wolnego miejsca.

Pani kierowca poklepała mnie po ramieniu.

- No, złotko, nic się nie przejmuj, idź na koniec i siądnij sobie wygodnie.

- Dziękuję, psze pani. Dziękuję uprzejmie.

I podążyłam na tył autokaru, z trudem hamując się, żeby nie podskoczyć.

Około pięciu mil za miastem zaczęli śpiewać „Byłem smutny i pełen winy”, klaszcząc sobie do wtóru; rzecz jasna, śpiewałam razem z nimi, choć musiałam się pilnować, bo znałam jedynie wersję Brownmillera „Byłam smutna i pełna dzinu”, na cześć Loli Davidow. Mill i Will zawsze biorą udział w nabożeństwach, żeby posłuchać hymnów, po czym wracają do Hotelu Paradise i Brownmiller wymyśla do tych

pieśni nowe teksty. Jest to rozrywka na deszczowe dni, kiedy chłopcy nie mają nic innego do roboty, ale w tym momencie myślałam o nich z wdzięcznością, bo dzięki nim poznałam te hymny, a przynajmniej ich melodie. Will i Mill razem do spółki posiadają wyobraźnię niczym ogień prerii; wystarczy zapalona gałązka, a pożar ogarnia całą okolicę. Lubię się przy nich ogrzać, jednak nie mogę z nimi rywalizować, w dodatku zawsze dają mi w swoich sztukach najgorsze role. Gram świnki, psy albo Igora, czyli istoty, które nawet nie umieją porządnie mówić.

Śpiew wokół mnie wznosił się i zacichał, autobus trząsał się na wyboistej drodze. Przypadkiem wyjrzałam przez tylną szybę i we wzbijanym przez nas tumanie kurzu ujrzałam coś, co wyglądało jak miraż - mogłabym przysiąc, że jedzie za nami półciągarówka! I rzeczywiście. Pobiełam na tył, żeby dokładniej się przyjrzeć, i zobaczyłam, że to samochód jednego z braci Wood, a gdy zmrużyłam oczy, dostrzegłam nawet litery ULB na obluzowanej tablicy rejestracyjnej. Rany boskie, Ulub gonił autobus! Zalana słońcem przednia szyba pick-upu przypominała srebrną tarczę, więc nie widziałam, czy jest sam... lecz wtedy zobaczyłam z tyłu drugą chmurę kurzu, w której zamajaczyły litery UBB.

Opadłam na siedzenie naprawdę zła - po tym, jak zadałam sobie tyle trudu, by wsiąść do tego autobusu, oni zjawiali się, kiedy ich nikt nie prosił! Z drugiej strony, powiedziałam panu Rootowi (a był z nimi, mogę się założyć), że chcę, by mnie podwieźli, więc pewnie myśleli, że dobrze robią. Może postanowili mnie chronić? Świadomość, że ktoś się o mnie troszczy, była doznaniem tak dla mnie nowym, że chyba poczułam wdzięczność.

Ale co ja z nimi zrobię, gdy już będziemy na miejscu?

Oczywiście, był jeszcze bar Na Wietrznym Szlaku. Ulub i Uubub uwielbiali Tęczę, więc pewnie nie mieliby nic przeciwko temu, żeby napić się tam kawy. Przypomniałam sobie duże drożdżówki z maślanym lukrem, leżące na kontuarze pod przezroczystą przykrywą. Na pewno by im smakowały.

A pan Root? On pewnie nie zechce siedzieć...

Poderwałam się gwałtownie, jakby autobus podskoczył na wyboju. Przypomniałam sobie rozmowę z panem Rootem na ławce pod sklepem Brittena. Znał jakąś kobietę z rodziny Queenów, kobietę imieniem Sheba. Skąd wiadomo, czy to nie ona mieszka w domu z żółtymi okiennicami? Kto powiedział, że to nie jest stara znajoma pana Roota? Autobus z tapnięciem wjechał na drogę do Cold Flat Junction, a ja zatopiłam się w rozmyślaniach.

W Cold Flat Junction jak zwykle nie było żywej duszy. Autobus przejechał przez miasto, skręcił w lewo w ulicę Szkolną i stanął przy wieży kościelnej, oślepiająco białej niczym beza mojej matki; obie półciężarówki zatrzymały się nieco dalej przy krawężniku. Przy wyjściu z autobusu kilka osób uśmiechnęło się i pogłaskało mnie zachęcająco, jakby widziały we mnie kolejnego zbawionego grzesznika. Powiedziałam „dziękuję” i czym prędzej popędziłam do pick-upów.

Stały z włączonymi silnikami, ziejąc czarnym dymem z rur wydechowych. Jak przypuszczałam, w szoferce Ububa siedział pan Root, niezwykle podniecony, że bierze udział w przygodzie, gdy zaś powiedziałam, że wsiądę do szoferki Uluba i wszyscy razem pojedziemy do baru Na Wietrznym Szlaku, również twarz Ububa rozjaśniła się w uśmiechu.

Zatrzasnęłam drzwiczki i udzieliłam Ulubowi wskazówek, jak dojechać do baru. Bąknął coś niezrozumiale, ale robił wrażenie jeszcze szczęśliwszego niż Ubub, a jadąc niebrukowaną drogą, znaną jako Wietrzny Szlak, zaczął nawet podśpiewywać pod nosem jak głupi. Naprawdę go podziwiam, że umie się cieszyć czymś tak nieważnym jak perspektywa jedzenia w przydrożnym barze. Westchnęłam i pokręciłam głową; pewnie za bardzo się przyzwyczałam do Ree-Jane i jej rojeń o tym, że zostanie księżną Kentu.

Louise Snell jak zwykle przekomarzała się z dwoma mężczyznami, którzy wyglądali na kierowców ciężarówek, choć

i tym razem na zewnątrz nie stały żadne ciężarówki. Może byli mieszkańcami Cold Flat? Trochę się niepokoiłam - w końcu Jude Stemple mógł powtórzyć Louise, że podobno znam jej córkę - jednak na mój widok od razu podeszła i szeroko się uśmiechnęła.

- No proszę, dzień dobry! Czy to twój tatuś? - zapytała, wycierając kontuar i wskazując pana Roota gestem głowy.

Wydaje mi się, że jak na mojego ojca pan Root wygląda trochę staro, ale może nie mam racji? Wyjaśniłam, że to są znajomi z La Porte.

Pan Root, któremu pomyłka sprawiła wyraźną przyjemność, rozpromienił się i wyciągnął menu, tkwiące pomiędzy dozownikiem do cukru i stojakiem na serwetki. Ulub i Ubub poszli w jego ślady. Pomyślałam, że dobrze będzie coś dla nich zamówić - przywykli do tego, że Maud stawia przed nimi talerz bez pytania. Powiedziałam więc, że drożdżówki są tu naprawdę świetne.

- Domowe - przytaknęła Louise.

Spojrzeli po sobie i kiwnęli głowami.

- Pewnie panowie chcą także kawę - dodałam uczynnie. Znów przytaknęli.

Kiedy już dostałam swoją colę, odwróciłam się do pana Roota. A może, zapytałam, ta pani Queen, którą kiedyś znał, mieszka gdzieś tutaj, w Cold Flat? Odparł, że wątpi, ale naciskałam: a może jednak? Po kilku chwilach takich przekomarań udało mi się doprowadzić do tego, że pan Root bardzo posmutniał i zaczął się żalić, jakie to przygnębiające, że czas mija i przyjaciele odchodzą. Dopiero argument, że tutejsi Queenowie mogą być krewnymi zabitej kobiety i mieć coś wspólnego z Mary-Evelyn zdołał go przekonać, chociaż było widać, że wciąż się okropnie krępuje tak po prostu zastukać do obcego domu.

Nalegałam, że zapłacę, lecz pan Root oświadczył, że moje pieniądze dzisiaj są nic niewarte, uprzedziłam więc Woodów - którzy radośnie żuli drożdżówki - że chcemy komuś złożyć wizytę i wyszliśmy na dwór.

Na zewnątrz pan Root znów próbował się opierać, że ci tutejsi to na pewno nie są właściwi Queenowie albo że nikt go nie będzie pamiętał, albo wymyślał inne powody, aby się wycofać.

Więc w końcu obiecałam, że będę mówiła za niego, choć wcale nie miałam takiego zamiaru - ostatecznie to nie ja byłam starą znajomą Sheby Queen.

39.

Pan Root, jak sam wyznał, nie był w Cold Flat od ponad dziesięciu lat, mimo że Spirit Lake leży całkiem blisko. W drodze jednak przypominał sobie różne szczegóły, co sprawiało mu wyraźną przyjemność. Przy sklepie wielobranżowym powiedział, że jego były właściciel Elmer Fry został wsadzony do więzienia za to, że miał dwie żony. Według pana Roota już samo to było dostateczną karą, więc czy wymiar sprawiedliwości naprawdę musiał pognać Elmera i wlepić mu jeszcze wyrok?

Gdy minąwszy szkołę, dotarliśmy do ulicy Dubois, zapytałam go, czy zna Jude'a Stemple'a. Tak, odparł, ale niezbyt dobrze, a potem spytał, co właściwie ma robić u Queenów. Wyjaśniłam, że może rozmawiać z nimi o czymkolwiek, ale najlepiej byłoby, gdyby wyciągnął ich na wspominki. Zwłaszcza wspominki o Rose Devereau.

- Myślisz, że Sheba może coś wiedzieć o tej małej, tej Mary Ellen Devereau?

- Mary-Evelyn. Moja cioteczna babka Aurora powiada, że Rose Devereau uciekła z Benem Queenem.

- Ah-ha! - zakrzyknął, pocierając pięścią otwartą dłoń, jakby właśnie sam doszedł do tych jakże istotnych wniosków.

I tak znaleźliśmy się przed domem, który pojawił się w polu widzenia prawie znienacka, ukazując stare, bananowo-żółte

okiennice oraz łuszczące się futryny i poręcze werandy. Pan Root zatrzymał się na zarośniętej ścieżce i powoli pokręcił głową.

- Jeśli Sheba naprawdę tu mieszka, no to nie widziałem jej od...

- Wiem, wiem, od piętnastu lat. Idziemy.

Obawiałam się, że się rozklei albo nawet zacznie płakać na wspomnienie dni spędzonych z Batshebą, toteż chciałam jak najprędzej zaciągnąć go do środka.

Jak się okazało, niepotrzebnie się martwiłam, czy ktoś sobie kogoś przypomni: chuda kobieta o ostrych rysach w muślinowej wzorzystej sukience, która stanęła w siatkowych drzwiach, na nasz widok otworzyła szeroko usta, a z jej gardła wyrwało się zawodzenie:

- Elijah ROOT! A niech mnie! Jak żyję...

Nie dokończyła. Pchnęła drzwi, niemal trafiając mnie w twarz, i chwyciwszy go szorstkimi dłońmi za ramiona, lekko nim potrząsnęła. Byli tego samego wzrostu, ale ona wyglądała żyłaściej.

- Sheba, nic a nic się nie zmieniła!

To było z pewnością bezczelne kłamstwo, ale spokojnie wysłuchałam tego i jeszcze kolejnych, aż wreszcie pan Root (który, jak się właśnie dowiedziałam, nosi imię Elijah) obrócił się ku mnie i oznajmił:

- To jest moja znajoma ze Spirit Lake, co zawsze mówi, że chce przyjechać do Cold Flat i nigdy nie ma okazji, więc ją zabrałem.

Dorośli kłamią, nawet nie mrugnawszy okiem! Ale wyszło na dobre, bo Sheba Queen potraktowała mnie jak najlepszą przyjaciółkę i natychmiast zaprosiła nas do środka, obiecując, że zaraz przyniesie domowe ciasteczka z melasą oraz lemoniadę. Choć, prawdę mówiąc, nie spodziewam się wiele po jedzeniu w obcych domach - wiem, że pod żadnym względem, ani smaku, ani formy, ani kształtu, nie da się go porównać z potrawami mojej matki.

Stojąc w chłodnej sieni wyklejonej okropną tapetą w brązo-zielone liście, chyba winorośli, patrzyliśmy, jak Sheba biegnie do bawialni i woła do mężczyzny, dotąd skrytego za wysokim oparciem fotela, że powinien nas zabrać na werandę.

Co też uczynił, przedstawiając się jako George Queen, mąż Sheby. Sprawiał miłe wrażenie i miał łagodny, nienatrzętny głos, lecz był chmurny, a nawet trochę smutny. Na werandzie obaj panowie zasiedli w dwóch bujakach, przysuwając trzeci dla pani Queen, ja zaś zajęłam miejsce na drewnianej huśtawce za ich plecami. To mi odpowiadało; stąd było lepiej słyhać.

Pani Sheba Queen zjawiała się, niosąc na tacy szklanki z lemoniadą oraz prawie czarne ciasteczka, które nie rokowały zbyt dobrze, i od razu zaczęła pleść androny, jak to Elijah młodo wygląda, jaki ma wciąż cudowny uśmiech i tak dalej. Pan Queen najwyraźniej nie znał pana Roota z dawnych czasów, więc nie mógł ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, niemniej uśmiechał się uprzejmie i kiwał głową. Może przyczyną jego posępnego, nieobecnego spojrzenia była straszna śmierć Fern Queen? Za to pani Queen była nadzwyczaj pogodna - prawdę mówiąc, wydało mi się dziwne, że tak wesoło trajkocze, jakby nieświadoma, że jej bratanica, córka Bena Queena, właśnie została zamordowana. A przecież musiała o tym wiedzieć; szeryf już dwukrotnie był w Cold Flat w sprawie zaginięcia i z pewnością powiadomił rodzinę o tragedii.

Pan Root pierwszy poruszył ten temat - po prostu wyraził swój żal i współczucie w żalobie. I chyba George Queen naprawdę żałował Fern, bo aż odwrócił twarz. Ale jego żona tylko udawała, poznałam to od razu, po tym, jak zgrywała przejętą, chociaż przedtem nawet jej to do głowy nie przyszło. Nie osądzam jej dlatego, że nie była smutna ani nawet wstrząśnięta morderstwem - potępiam ją, bo odgrywała komedię.

Wszystko to jednak okazało się nieważne. Albowiem panu Rootowi udało się ich skłonić - a przynajmniej ją - do rozmowy o rodzinie Devereau. Od razu zaczęła posapywać w ów pruderyjny, świętoszkowaty sposób, jak to czynią kobiety, gdy mówią o kimś, kogo nie lubią.

A Sheba nie lubiła Rose Devereau.

- Mówiłam mu, żeby się nie żenił z tą Devereau. To wszystko wariatki!

Przestałam skrzypieć huśtawką i zatrzymałam się, wpięrając stopy w deski werandy. Zamarłam. Pan George Queen wtrącił:

- No, no, Sheba. Ben też był niezły wariat, oboje dobrze wiemy...

- Nic podobnego nie wiemy, George'u Queen! To tylko plotki! - I obracając twarz gwałtownym ruchem grzechotnika, zwróciła się do pana Roota: - Ben nie powinien brać tej dziewczuchy za żonę, trzeba było trzymać się Lou, ot co! - I skwapliwie wyjaśniła panu Rootowi (zapomnieli o mojej obecności): - Louise Landis. Znałeś Louise? No więc Ben z nią chodził. Bardzo rozsądna dziewczyna, nawet kiedy miała osiemnaście, dziewiętnaście lat. Naprawdę dorosła jak na swój wiek, przy niej Ben by się ustatkował. Ale nie, musiał mieć tę wariatkę Devereau!

- Ależ ta Rose była piękna - rozmarzył się George. - Taka sama ładna... - jego głos zaniknął.

Ucieszyłam się, że jej broni. Mimo że moim zdaniem Rose Devereau nie powinna była nigdy porzucić Mary-Evelyn.

- No i ta jej siostrzyczka, ta, co się utopiła... - Sheba aż się skrzywiła z wysiłku przypominania.

Wyprężyłam się, by lepiej słyszeć, ale zaczęła mówić szeptem. Cała zamieniłam się w słuch.

- ...nie pamiętam, jak miała na imię... Mary coś...

- Mary-Evelyn - powiedziałam głośno, nie zastanawiając się, co robię.

Wszyscy spojrzeli na mnie; Batsheba obróciła się w swoim fotelu, zezując spoza wysokiego oparcia.

- Na litość boską, dzieciaku, a skąd ty to możesz wiedzieć? To będzie już ze czterdzieści albo i pięćdziesiąt lat.

- I znów odwracając się do mężczyzn, oświadczyła ponurym głosem: - Lepiej za dużo nie gadać o tej sprawie.

- Tu nieznacznie skinęła głową w moją stronę. - Dzieci i ściany mają uszy...

Pokazałam jej język za plecami. Niemal widziałam, jak świętoszkowate poglądy wyrastają niczym skrzydła spod jej chudych, obciągniętych muślinem łopatek.

- Biedna, biedna Fern - jęknęła, po czym wyciągnęła zza mankietu chusteczkę i wydmuchała nos, jakby przed chwilą przestała płakać, chociaż nie uroniła ani jednej łzy. Nastąpiły dalsze szeptki, z których dosłyszałam tylko: - Należało jej się!

Wychyliłam się do przodu. C o się należało? I k o m u ?
Mówiła o Rose? Czy o Fern?

Pan Root zerknął na mnie.

- Zaraz, zaraz, Sheba. O czym ty mówisz?

Niech Bóg pana błogosławi, panie Root! Miałam ochotę zaklaskać.

- No wiesz, Elijah, mieszkasz w Spirit Lake, tak blisko i w ogóle, i nie słyszałeś o Rose? Wszystkie gazety pisały!

- Ano nie słyszałem. Wiesz, może nie skojarzyłem, o co chodzi, bo nie znałem tej historii, co ją opowiadasz.

- I to źle opowiadasz! - wtrącił George z wyraźnym niesmakiem.

- Wcale nie! Ty zawsze byłeś za Rose Devereau, przeciwko rodzonemu bratu!

- Sheba, wiesz, że to nieprawda! Wcale nie! - Plasnęła dłonią w poręcz fotela. - A poza tym być za Rose znaczyło też być za Benem. Tylko ty nie chcesz w to uwierzyć. Zgadzałeś się we wszystkim, z wyjątkiem Fern.

To wystarczyło, żeby Sheba Queen znowu zaczęła:

- Biedna Fern!

George Queen tylko machnął dłonią, jakby chciał powiedzieć „cicho bądź”.

- Biedna Fern, akurat! - sarknął pod nosem, ale tak cicho, że wątpię, by ktoś oprócz mnie to usłyszał.

- Zawsze popierałeś Rose, kiedy była mowa, co zrobić z Fern! A Rose obróciła się przeciwko Fern, przeciwko własnej córce! Chciała ją wysłać do zakładu... bo była za leniwa, żeby się nią zająć!

- Kobieto, kompletnie nic o tym nie wiesz! - George był tak wściekły, że prawie pluł. - Ben Queen nigdy nie występował przeciwko nikomu ze swojej rodziny. - Pochylił głowę, wsparł ją na dłoni i pokręcił nią z boku na bok, jakby próbował się uwolnić od jakiegoś zadawnionego nieszczęścia. - Nie wiem, jak mogłaś pomyśleć, że którekolwiek z nich obróciło się przeciwko Fern. Może i lepiej, że nie żyje. Nareszcie. - Głos miał ciężki od smutku.

Sheba tak się wściekła, że niemal wyskoczyła z fotela.

- To twoja własna bratanica, twoja krew! Jak możesz tak mówić! - I żeby dołożyć jeszcze coś do jego zbrodni, krzyknęła, wskazując na mnie: - Kalasz własne gniazdo przed obcymi!

Chciałam wrzasnąć, na litość boską! Sheba najwyraźniej należała do tych dorosłych, którzy przy każdej okazji wywlekają krewnych, rodzinę oraz więzy krwi i podtykają je ludziom pod nos niczym zdechłe skunksy. Chodzi o to, żeby rozmówca się przejął, załkał i z ręką na sercu zawołał: „Tak, to krew z mojej krwi!”. Poświęciłam chwilę, żeby to przemyśleć.

Ale George Queen nie dał się zakrzyczeć.

- Sama wiesz najlepiej, ile z tą małą było kłopotów! Była chyba z każdym chłopem w Cold...

Ale Sheba już całkiem poderwała się na nogi.

- Nigdy tak nie mów, George'u Queen! - krzyknęła, grożąc mu palcem. - Ona nie żyje! Zamordowana, tak mówi policja!

- Kto sieje wiatr... - mruknął George półgłosem.

Szkoda, że się nie zastanowiłam, co to wszystko znaczy, zamiast siedzieć i rozkoszować się kłótnią dorosłych. Sheba

jeszcze raz wrzasnęła na męża, ale nie odezwał się już ani słowem.

Zsunęłam się na krawędź huśtawki tak daleko, że znalazłam się niemal na podłodze. Wówczas jednak Sheba ściszyła głos, chwyciła pana Roota za ramię szponiastymi palcami i niemal napała na niego, więc nie docierało do mnie już prawie nic, tylko jej wściekły szept. Wtem przypomniałam sobie: skandal! To był ten skandal, o którym mówiła Aurora! Spojrzałam na pana Roota, który też przesunął się na krawędź fotela i chyba naprawdę próbował się skupić, by lepiej zapamiętać, co mówi Sheba i potem mi powtórzyć. Ledwie mogłam usiedzieć na miejscu, tak byłam zadowolona z tego, że go tu przywiozłam. Bez niego nigdy nie uzyskałabym tych informacji, gdyż najwyraźniej sądzono, że nie są one stosowne dla uszu dziecka.

Jednakże pan George Queen chyba się nie przejmował moimi uszami, bo nieprzytomnie zniecierpliwiony żoniną wersją opowieści wybuchnął w końcu:

- To nie była wina żadnego z nich! Żadnego! Ben Queen nigdy by tego nie zrobił!

- No, cieszę się, że choć raz stajesz po stronie swojego biednego brata! - rzekła Sheba karcąco.

- To ktoś inny. Zawsze mówiłem, że to ktoś inny!

- Nie bądź idiotą. Nikt inny nie miał powodu, żeby to zrobić. Doprowadziła go...

- Kobieto, przestań to powtarzać! Nie masz pojęcia, o czym mówisz! Kochał ją i koniec. A poza tym, właśnie że był ktoś jeszcze, kto mógł to zrobić.

- Milcz! Milcz w tej chwili! - Wymamrotane przez niego słowa rozjuszyły ją bardziej niż cokolwiek przedtem. Już, już wstawała, żeby mu wygarnąć, lecz powstrzymała się i usiadła ciężko, po czym zaczęła się bujać, tam i z powrotem, tam i z powrotem, jakby chciała zabujać się na śmierć. Ciekawa jestem, czy należała do tych kobiet, które według Aurory „poszłyby do piekła i z powrotem” za Benem Queenem. Trochę na to wyglądało.

Niezręcznie ciszę przerwał w końcu pan Root, który odkasznął i ostentacyjnie patrząc na zegarek, zwrócił się do mnie:

- No dobra, lepiej już wracajmy do Hotelu Paradise.

Miałam ochotę go zdzielić. Musiał się wtrącić właśnie teraz, kiedy wreszcie zbliżaliśmy się do sedna sprawy! Ale potem zrobiło mi się wstyd, bo zerknęłam na swój zegarek i zobaczyłam, że jest znacznie później, niż sądziłam.

- Tak, powinnam już wracać.

Queenowie chyba zdziwili się, że wciąż tu jestem, gdyż pan Queen lekko podskoczył i powiedział życzliwie:

- Miło było poznać, panienko. Znam twoją matkę. Kiedyś woziliśmy warzywa do Hotelu Paradise, znaczy, Ben i ja. Lata temu.

I spojrzął ponad poręczą na długie cienie, które słońce rzucało na zasnutą pyłem drogę, jakby wspominał lepsze czasy - czasy, gdy był szczęśliwy ze swym bratem. Ze wszystkich sił skupiłam myśli, aby odpowiedzieć panu Rootowi pytanie: „Gdzie jest Ben?”.

Bez skutku, zapytałam więc sama na swój okrężny sposób.

- Jestem pewna, że moja mama pamięta pana i pańskiego brata. A gdzie on jest? Mieszka tutaj?

I rozejrzałam się dokoła, jakbym się spodziewała, że Ben zaraz wejdzie przez siatkowe drzwi.

George Queen już otwierał usta do odpowiedzi, gdy jego żona ucięła:

- Mniejsza o to, kochanie.

I obdarzyła mnie swoim nieznośnym, obłudnym uśmiechem, a jemu rzuciła twarde, ostrzegawcze spojrzenie. Rozzłościło mnie to, jednak powiedziałam uprzejmie:

- Dziękuję za lemoniadę. I za ciasteczka.

Nadgryzłam jedno i wsadziłam resztkę do kieszeni, żeby ją później wyrzucić.

Pan Root wstał, męskim zwyczajem podciągnął spodnie i energicznie podał dłoń George'owi. Potem pożegnał się z

Shebą, nadal była mocno nakręcona tym, co powiedział George. Ale zachowała się grzecznie i poprosiła pana Roota, żeby, na litość boską, nie czekał aż piętnaście lat z następną wizytą!

Na odchodne pomachali nam z werandy.

Gdy tylko zniknęliśmy im z oczu, zatrzymałam się i pociągnęłam pana Roota za rękaw.

- No i co? Co powiedzieli?

Wydobył papierosa z paczki wypychającej mu kieszeń koszuli i przyłożył do niego zapaloną zapalną; pewnie chciał poczuć się ważny, bo zdołał wydobyć z Sheby upragnione przeze mnie informacje. Ale nie miałam mu tego za złe. Naprawdę, zasłużył sobie na to, żeby móc potrzymać mnie w napięciu jeszcze przez chwilę, choć z niecierpliwością aż przeskakiwałam z nogi na nogę.

- No... - zaciągnął się papierosem i zapatrzył w ulicę Szkolną. - No... - odchrząknął i wreszcie powiedział: - A to dopiero historia. - I znów się zaciągnął.

Zgrzytnęłam zębami, ale ugryzłam się w język.

- To było prawie dwadzieścia lat temu. Rose Queen zginęła. - Urwał.

- Zginęła? Jak to zginęła? - nie wytrzymałam.

- No, została zamordowana. Ale afera, co?

Szczęka mi opadła. Rose Devereau z a m o r d o w a n a ?

- Podobno znaleźli ją któregoś dnia - ciągnął - na podwórku za domem, tam gdzie trzymali kury nioski, całą poturbowaną i pokrwawioną. Ktoś dobrał się do niej z nożem... - Zamilknął i pokręcił głową.

Cofnęłam się o krok, również kręcąc głową ze zdumienia. Zaniemówiłam na chwilę, a potem wykrztusiłam:

- No, ale kto...?

Nadal kręcąc głową, jakby to spotkało kogoś z jego rodziny, pan Root odpowiedział:

- Powiadają, że Ben Queen to zrobił. Znaczący, nie oni. - Skinął głową w stronę domu Queenów. - Oni w to nie wierzą.

Ale Bena za to wsadzili. Do więzienia. Odbył się proces i tak dalej, i Ben poszedł siedzieć.

Gapiałam się na niego. W głowie kłębiło mi się tyle pytań, że nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Niektórzy mówili - kontynuował pan Root - że to zrobił kto inny, jakiś łobuz, z którym Rose Devereau puszczała się za plecami Bena. - Podniósł dłoń, jakby odpierając moje pytania: - Sheba tylko tyle mi powiedziała. Chyba myśli, że Rose sama ściągnęła na siebie nieszczęście. Coś mi się zdaje, że Sheba nie za bardzo lubiła Rose.

To było słabo powiedziane. Zastanawiałam się przez chwilę.

- A co Fern Queen robiła w La Porte? Pytał pan Shebę?

Pan Root przytaknął.

- Mówi, że Fern pojechała się z kimś spotkać. - Wzruszył ramionami. - Nic więcej nie wie. - Pokręcił głową. - No i się spotkała, a niech to licho!

- Znaczy, to musiał być ktoś, kogo Fern znała.

Byłam wstrząśnięta - dwa morderstwa w jednej rodzinie! Patrzyłam na ulicę Szkolną i rozmyślałam nad tym wszystkim. Czy Ben w ogóle mógł zabić Rose? Jak Rose mogła się puszczać z „łobuzem”? To nie miało sensu. Z tego, co mówił pan George Queen, wynikało, że Rose szalała za Benem, a on za nią. I chyba rozumiałam dlaczego.

W głębi ulicy Szkolnej widziałam boisko: małe huśtawki obracające się na wietrze i ich ciasno skręcone łańcuchy; sama czasem tak je skręcałam, odpychając się nogą, żeby potem zawirować jak szalona. Wydaje mi się, że chciałam przez chwilę zająć tym myśli, aby nie dopuścić do siebie obrazu Rose Devereau i całej tej krwi.

Lecz moje myśli zaraz się odkreśliły.

- To wszystko, co panu powiedziała? - zapytałam.

Skinął głową w milczeniu.

Jęknęłam. To było prawie gorsze niż nie wiedzieć nic. W jaki sposób wszyscy moi znajomi zdołali zapomnieć coś tak okropnego? Musiał istnieć ktoś...

- Pan Stemple! - Poderwałam się do biegu, szarpiąc pana Roota za rękaw - Idziemy!

- Dokąd? A bracia Wood, co z nimi? I mówiłaś, że musisz wracać do hotelu...

Miałam w nosie surówki; to było nieważne.

- Jude Stemple! Mówił pan, że go trochę zna! - Pociągnęłam go kilka kroków. - Mieszka tutaj zaraz, we Flyback Hollow. To znajomy Queenów. On będzie wiedział, co się stało.

Jude Stemple i jego kundel byli w domu i siedzieli na werandzie, tak jak ich zostawiłam, zupełnie jakby czekali, aż wrócę i podejmę rozmowę. Przyznaję, że mi to pochwiliło.

Jude podniósł głowę znad ostrugiwanego kawałka drewna i zawołał:

- Patrzcie państwo, kto wrócił! - a pies nawet wstał i pomachał ogonem.

Wciągnęłam pana Roota na ścieżkę i przedstawiłam gospodarzowi oraz jego psu.

- Czy ja pana aby nie widziałem pod sklepem Brittena? - zapytał Jude, mrużąc oczy. - Na ławce od frontu? - Z trzaskiem zamknął scyzoryk i poprosił, byśmy usiedli.

- Pan Root chciał odwiedzić Queenów, bo jest dawnym znajomym pani Queen.

Po co ja wciskałam panu Stemple'owi te półprawdy? Człowiek się jakoś przyzwyczaja.

Jude Stemple kiwnął głową i znowu otworzył scyzoryk, żeby uciąć kawałek tytoniu, którym następnie poczęstował pana Roota. Obaj przez chwilę żuli w najlepsze, gawędząc o psie pana Stemple'a i polowaniach. Trwałoby to wiecznie, gdybym im nie przerwała, co też uczyniłam:

- Pamięta pan, jak rozmawialiśmy o Queenach?

Pan Stemple skwapliwie przytaknął. Przypuszczalnie mieszkając samotnie we Flyback Hollow, był bardziej zainteresowany plotkami niż psami i polowaniem. Już przedtem

poprosiłam pana Roota, żeby powtórzył Jude'owi to, czego dowiedział się od Sheby Queen. Zrobił to teraz, chociaż wciąż przerywał, częstował papierosami, prosił o szklanke zimnej wody i tak dalej, wszystko po to, by jak najbardziej rozciągnąć opowieść. Ale wreszcie skończył.

- To wszystko prawda - rzekł Jude Stemple z namysłem.

- Ben Queen poszedł do więzienia za zabójstwo Rose. Ława przysięgłych orzekła, że jest winny, ale sędzia wziął pod uwagę, że to było jedno z tych przestępstw popełnionych z pasji.

Pan Root przytaknął:

- „Krimspasjonels”, tak mówią we Francji.

- Niech będzie. Zwał jak zwał, ja i tak nigdy nie wierzyłem, że Ben Queen miał z tym coś wspólnego. Zawsze mi się wydawało, że coś tu śmierdzi. I powiem wam dlaczego. Z dwóch powodów: po pierwsze, Ben Queen miał kompletnego fiola na punkcie Rose. W życiu nie widziałem, żeby chłop tak leciał na babę po prawie dwudziestu latach małżeństwa. A on ciągle ją kochał. Pewnie, że się czasem kłócili. Ale nie o żadnego faceta; to zwyczajna głupota. - Odpędził ten pomysł gestem ręki. - Bo ona też go kochała. Jak długo znałem Rose Devereau, nigdy nie widziałem, żeby kombinowała z innym mężczyzną. Nie żebym ją znał blisko, ale zawsze trochę. Kłócili się przede wszystkim o swoją córkę Fern. Tę, co to ją teraz zabito przy moście White'a. Kiedy zaginęła kilka dni temu, byłem prawie pewien, że ta zmarła to ona. Fern miała nie całkiem po kolei w głowie. Jakby była... no nie wiem... pusta, wymazana albo co. Rose bez przerwy kłóciła się z Benem, co robić z Fern. Była bardziej praktyczna niż Ben i sądziła, że Fern lepiej miałaby się w jakimś zakładzie. Nie, nie była nieczuła, nic takiego, chyba po prostu strasznie się męczyli z tą dziewczuchą. Jeśli ktokolwiek latał za chłopami, to właśnie ona, a miała nie więcej niż czternaście, piętnaście lat. Ale jak mówiłem, natura nie dała jej rozumu. Tego dnia, kiedy zabito Rose, słyszałem okropną awanturę między nią

a Benem, choć Sheba nigdy by nie przyznała, że Ben się wściekł na Rose, bo to by źle wyglądało na procesie, no nie? Trudno mieć o to do Sheby pretensje. No i powiedzieli, że Ben zabił Rose, lecz najgorsze było to, że on wcale się nie bronił. Ani razu nie zaprzeczył, żadnego: „Nie zrobiłem tego” ani „Jestem niewinny”, ani nic. Gadali tylko prawnicy.

Jude Stemple zamilkł i miarowo żuł tytoń, pocierając dłonią grzbiet starego psa. Też się nie odzywałam; nie chciałam zakłócać toku jego myśli, bo wydawało mi się, że nie wymienił jeszcze drugiego powodu, o którym wspomniał. I doczekałam się.

- Jest i drugi powód, dlaczego nie wierzę, że Ben mógłby to zrobić. To wszystko dziwnie wyglądało. Rose poszła za dom do kurnika, żeby wybrać jajka. Trzymali kury na jajka, które Rose czasem sprzedawała, i na mięso do garnka...

Nie mogłam obronić się przed myślą o rosole mojej matki.

- ...ale Rose nie potrafiła nawet zabić kury na własny obiad. Zawsze ktoś to za nią robił, zwykle Sheba. Sheba łapała kurczaka za chudą szyję i - tu skręcił pięści w przeciwnych kierunkach - albo brała siekierę. - Podniósł rękę, i opuścił ją na górny schodek, jednocześnie wydając z siebie chrzęszczący dźwięk.

Mógł sobie darować.

- Ale co pan mówił, że jak to wyglądało? - wtrąciłam.

- Wszędzie było pełno krwi i z pół tuzina martwych kurczaków, dwa z obciętymi łbami. Mnóstwo krwi, w tym sporo samej Rose...

Zerknął pytająco na pana Roota, nawet mnie objął spojrzeniem.

Pan Root wycelował w ziemię mocny, cienki strumień tytoniowego soku.

- Chce pan powiedzieć, że to nie wyglądało na robotę Bena Queena?

Jude Stemple skinął głową.

- Właśnie.
 - Ktoś się musiał strasznie wściec - zamyślił się pan Root. - A pan mówił, że on się na nią wściekł, prawda?
 - Wściec się na kogoś to jedna sprawa. Zabić wszystko, co się rusza w promieniu mili, to coś całkiem innego.
- Popatrzyli na mnie. Muszę przyznać, iż bardzo mi pochlebilo, że liczą się z moją opinią.
- Był tam ktoś jeszcze? Znaczy, kogoś jeszcze podejrzewano?

Pan Stemple przez chwilę przeżuwał z namysłem, po czym odparł:

- Powiem wam, że na jedną osobę padło podejrzenie, że aż strach. Lou Landis.

Zmarszczyłam brwi.

- Ta sama, która kiedyś była dziewczyną Bena Queena? Ale to przecież było wiele lat wcześniej!

Pan Root i Jude Stemple wymienili spojrzenia światowców (tak to się chyba nazywa) i Jude Stemple powiedział:

- Niektórym kobietom nigdy nie przechodzi. Lou Landis nie wyszła za mąż. - Skinieniem głowy wskazał jakiś daleki, niewidoczny obiekt na drodze do Flyback Hollow. - Ciągle tu mieszka, nigdzie nie wyjechała. To nasza nauczycielka, teraz już chyba dyrektorka, choć przy trójce nauczycieli nie bardzo jest czym rządzić. Ale dobrze radzi sobie z dziećmi. Uczenie to jej życie. Po Benie już z nikim nie chodziła i, jak mówiłem, nie wyszła za mąż. Chociaż śliczna z niej kobieta, nawet teraz.

Spojrzałam w głąb ulicy na niewidoczne boisko. Czy to mogła być ona - ta ciemnowłosa kobieta, która pojawiła się w drzwiach i patrzyła nieruchomo przed siebie? Panna Lou Landis. Dziwne, jak czasem wszystko się ze sobą łączy...

- No i co? - zapytałam.
- No, oczywiście przeprowadzono śledztwo i szeryf...
- N a s z szeryf? - wykrzyknęłam.

Zmarszczył czoło, zaskoczony.

- Aa, mówisz o DeGheynie. Nie, Sam DeGheyn nie był wtedy szeryfem. To był ktoś inny... nie pamiętam nazwiska tego gościa...

Zastanowiłam się i tym razem to ja się trochę zdziwiłam.

- Zaraz, zaraz. Jeśli był proces, to musiał się odbyć w La Porte! Tu jest siedziba okręgu. Więc nie wyobrażam sobie, żeby ludzie tego nie pamiętali, na przykład pan Root...

Jude Stemple podniósł dłoń, żeby mi przerwać.

- Ale to nie było w La Porte. Rozprawa została przeniesiona.

- „Potrawa przeniesiona”? - Nigdy nie odbiegam myślą zbyt daleko od jedzenia.

- Rozprawa, znaczy proces. Przenoszą go w inne miejsce, kiedy zachodzi podejrzenie, że ława przysięgłych w miejscu popełnienia przestępstwa nie będzie bezstronna. - Splunął sokiem tytoniowym, najwyraźniej dumny ze swojej wiedzy o rozprawach. - Proces odbył się w Meridian, sto mil stąd. Nie trwał długo; adwokat Bena przekonał tego drugiego prawnika, aby zmienił zarzut na zabójstwo, że niby Ben to zrobił w napadzie szału. Coś w tym rodzaju. - Jude Stemple westchnął. - Myślę, że każdy by się dwa razy zastanowił, zanimby skrzywdził Rose Queen. Sądzę, że nawet diabeł ominąłby ją z daleka. Było w niej coś takiego, co nie dopuszczało złych myśli. - Teraz patrzył wysoko ponad czubki drzew, na zachodzące słońce i schwywane w liściach czerwonożłote światło. - Pamiętam, jak pewnego dnia zobaczyłem Rosie idącą drogą na Holler, o tam, z koszykiem na ramieniu, bo niosła jajka czy coś tam do chorej pani Jessup. Pomachała do mnie, zawołała i pomachała. Pamiętam, jaka była... błyszcząca. Po prostu błyszcząca. Jakby wypełniona słońcem, co je miała za plecami. - Podniósł rękę na tle słonecznego blasku i rozpostarł palce, aż zobaczyłam płynącą w nich czerwonożłotą krew. Jakby machał do Rose Queen. - Rosie była taka jasna, że prawie przeźroczysta... - Urwał nagle, zażenowany. - No, mniejsza z tym. Nie umiem za dobrze mówić, nigdy nie umiałem.

- A ja myślę, że pan umie, panie Stemple. Naprawdę.
Pan Root przytaknął.

- W życiu nie widziałem takiej pięknej dziewczyny jak Rose Devereau Queen - ciągnął pan Stemple. - Bo wiecie, ona ciągle była dziewczyną, chociaż miała już prawie czterdzieści lat. Już nigdy nie spotkałem nikogo podobnego. Już nigdy.

„A ja tak” - chciałam powiedzieć, ale oczywiście nie powiedziałam tego. Milczałam, żeby uszanować opisowe talenty pana Stemple'a. Jednak niezbyt długo.

- Co się stało z Fern? Czy została z Shebą i George'em?

Matka zawsze mi powtarza, że bym nie mówiła o obcych dorosłych po imieniu, lecz tym razem naprawdę czułam się tak, jakbym znała Queenów przez całe życie.

- Bardzo długo jej nie było. Sheba ma rodzinę gdzieś na Zachodzie i Fern chyba do nich wyjechała.

„Na Zachodzie” zabrzmiało w moich uszach niemal tak samo romantycznie jak „Ben Queen”.

- A po powrocie była tak samo... przygłupia?

Bez najmniejszego trudu przyjęłam sposób mówienia Cold Flat.

- Ano tak. Poprawiło się jej, kiedy podrosła, nabrała trochę rozumu. Ale wciąż była dziwna.

Spojrzałam na czubki drzew, na ich ciemne liście, które słońce zamieniło w szklistą, półprzejrzystą zieleń. Wyobraziłam sobie, że zostaną takie aż do jesieni, kiedy zaczną opadać i zderzać się na wietrze, a powietrze wypełni się cichym dzwonieniem. Tak mocno wsłuchałam się w te szkliste dzwonki, że zgubiłam wątek opowieści Jude'a Stemple'a. Dopóki nie powiedział:

- A teraz wyszedł. Spojrzałam na niego, zaskoczona.

- Kto?

- Ben Queen. Wyszedł z więzienia.

40.

Jak na osobę, która przysięgała, że my w Hotelu Paradise chcemy ją otruć, panna Bertha niewątpliwie dawała nam po temu mnóstwo okazji, pośpiesznie przybywając na każdy posiłek. Pewnie sądziła, że teraz ma prawo zabierać mi czas ciągłym odgrzewaniem katastrofy z kielbaską, uznała też, że może zrezygnować z dań w jadłospisie i domagać się, by matka gotowała specjalnie dla niej. Niezbyt to logiczne, bo właśnie „specjalne” dania zazwyczaj zawierają arszenik i temu podobne, niemniej nie chciała kotletów wieprzowych ani kurczaka. Zażądała ryby.

Matka wściekła się nie na żarty. Kazała mi wrócić do jadalni i powiedzieć tej starej wariatce, że może dostać omlet z pieczarkami, a jeśli nadal będzie żądała ryby, mam jej dać wędkę Willa i wysłać ją nad Jezioro Duchów. Po czym zaczęła z całej siły tłuc garnkami o kuchnię, aż Walter skręcił się ze śmiechu. Oczywiście, to ja musiałam latać tam i z powrotem, przekazując złe wieści, więc czułam się okropnie skrzywdzona, dopóki nie przypomniałam sobie, że sama jestem temu winna. Przyjęłam więc pokutę bez słowa protestu i zaproponowałam pannie Bercie omlet z pieczarkami, lecz odmówiła, twierdząc, że na pewno będzie w nim sromotnik i czerwone muchomory na dokładkę, pięknie dziękuję, p a n i e n k o . Biedna pani Fulbright, cała różowa i wypudrowana, okropnie się przejęła, że panna Bertha „tak szarga dobre imię Hotelu Paradise”. Na to panna Bertha jadowicie zwróciła uwagę, że nikt dotąd nie próbował otruci Serile Fulbright, prawda? Nic więc dziwnego, że Serile broni hotelu.

Mniej więcej w tym momencie zjawił się Will ze swym wielkim, obłudnym uśmiechem i jeszcze większym kłamstwem. Pochwalił pannę Berthę, że cudownie wygląda, i oświadczył, że właśnie złowił świeżego tęczowego pstrąga i czy panna Bertha życzy go sobie w migdałowym sosie?

Aż mnie zemdlilo od tego jego gadania. W oczach świata Will jest bez skazy. Nie mogę wyjść z podziwu, że wszyscy ufają Willowi, bo ja jestem znacznie bardziej godna zaufania niż on. No, może nie bardziej, bo też czasem kłamię, lecz na ogół mam po temu ważne powody. A Will kłamie dla zabawy.

Całe to nadszkakiwanie oczywiście podziało jak balsam na duszę panny Berthy, która oświadczyła, że czemu nie, chętnie zje pstrąga z odrobiną cytryny. Stałam więc, oplótlszy ramiona wokół tacy, z całych sił marząc o tym, by coś wyrwało mnie wreszcie z tej jadalni.

Raz w życiu moje modlitwy zostały wysłuchane.

Zepsuła się ręczna winda i Aurora zażądała, bym przyniosła jej przedobiednię drinka.

Kiedy zaniósłm pani Davidow obiad do biura na zaplecze, zastałam ją krzyczącą do szybu, że drinka zanieś Regina, na co Aurora odwrzasnęła, żeby ta blond zdzira nie ważyła się wchodzić na trzecie piętro! Pobiegłam do kuchni powtórzyć to matce, która nie posiadała się z uciechy. Wiem, że nie lubi Ree-Jane, mimo że zawsze daje jej białe mięso z kurczaka. Walter, który wszystko słyszał, też wybuchnął swoim czkającym śmiechem.

Pani Davidow zawołała przez okno biura, żeby ktoś wreszcie się ruszył, więc matka poszła jej wysłuchać. Po powrocie oznajmiła, że cioteczna babka Aurora życzy sobie, bym osobiście zaniósła jej drinka i obiad; co więcej, ku niebotycznemu zdumieniu Very, dodała, że skoro mam dodatkowe obowiązki, nie muszę dzisiaj przy obiedzie podawać do stołu. Odwołano rezerwację przyjęcia i zostały tylko trzy stoliki gości hotelowych, z którymi Vera świetnie sobie poradzi.

Vera miała obsługiwać pannę Berthę! Rzuciła mi spojrzenie, ostre niczym matczyne tasak do mięsa, po czym szybko zakręciła się po kuchni, schludna i wykrochmalona tak mocno, że niemal polakierowana.

Lola Davidow przygotowała mały dzbanek martini à la Davidow, który umieściła na mojej tacy razem z szerokim kieliszkiem - słaba namiastka Zimnego Indyka, ale co miałam poradzić. Tymczasem z jadalni już niósł się krzyk panny Berthy, która kategorycznie zabraniała Verze się obsługiwać; wołała, że skoro nauczyła mnie, jak to się robi, to nie chce, żeby cały wysiłek, który osobiście we mnie włożyła, poszedł na marne, bo Vera nie jest dobrą kelnerką, taką jak ja. Przemknęłam przez salę, słuchając tego z najwyższym zachwytem, wręcz czując błyskawice, które miotają ku mnie przezroczyste oczy Very. Profesjonalnie uniosłam tackę z martini na jednej dłoni, rzuciłam przez ramię: „I pamiętaj, że panna Bertha lubi gorące bułeczki!”, po czym wypadłam przez drzwi tak szybko, jak tylko się dało.

Aurora drapieżnie wpatrzyła się w dzbanek martini, który postawiłam na stoliku obok jej pasjansa. Zauważyłam, że tym razem karty są ułożone jak należy, czerwone na czarnych i czarne na czerwonych.

- To martini tej baby Davidow? A gdzie moja Słaba Pocięcha? Mówiłam jej, że masz mi zrobić Słabą Pocięchę!

- Płasnęła czarną ósemką na czarną dziewiątkę i powiedziała: - Więc idź i zrób!

- Zawiera składniki, których akurat zabrakło.

Spojrzała na mnie podejrzliwie sponad okularów, osadzonych w połowie nosa.

- No, chyba nie masz na myśli alkoholu. W tej budzie nigdy nie brakuje napojów wy-sko-ko-wych!

- Nie, ale zabrakło soku z wiśni marasca.

- Och, na litość boską! Obejdzie się bez niego!

Pokręciłam głową.

- Nie, to część sekretnego przepisu. Ten sok - poszukałam w pamięci jakiegoś kucharskiego słowa mojej matki - wiąże wszystko razem. Związuje cały napój. - I zanim zdołała zaprotestować, dodałam: - Ale jak zjesz obiad, to ci przyniosę specjalnego poobiedniego drinka. - Ponieważ Aurora zawsze bawi się obiadem, w związku z czym konsumuje go

całymi godzinami, uznałam, że prawdopodobnie zdąży o wszystkim zapomnieć. - A jeśli nie będę mogła, ktoś inny przyniesie ci brandy albo co.

Lypnęła na mnie znad waleta kier, którego zamierzała położyć na damie karo, po prostu żeby mnie zirytować.

- Byle nie ta tleniona lafirynda!

- Miałam na myśli Willa. Na pewno z radością cię obsłuży.

Dobrze mu tak za tę bajeczkę o pstrągu!

- Ten twój cwany braciszek? Niech się trzyma ode mnie z daleka! I ten bachor Conroyów też! Nie pojmuję, jak ta jego wścibska matka zdołała uleżeć bez ruchu tak długo, żeby dać sobie zrobić dziecko!

Teatralnym gestem zgarnęła wszystkie karty i przetasowała je z trzaskiem. Czasem wyobrażam sobie Aurorę Paradise na statku-kasynie na Missisipi.

Zaskoczyło mnie, że mówi o Willu w ten sposób. Powiedziałam, że w takim razie Vera przyniesie jej, co zechce.

- Ta wypindrzona deska! Dobry Boże, nie mam pojęcia, jak twoja matka ją znosi. Nie rozumiem, dlaczego ty nie możesz przynieść mi drinka.

- Kładę się wcześniej spać.

Cóż, Aurora miała dość rozsądku, aby nie dać mi wiary, jednak ustąpiła:

- To niech przyjdzie ten facet. Przynajmniej nie gada jak najęty. Niech przyniesie mi deser i kawę, sko-ro-ty-nie-jesteś-łas-ka-wa.

Ostatnie pięć słów wyskandowała.

„Ten facet”? Chyba nie miała na myśli Waltera? Nie przypuszczałam, iż w ogóle wie o jego istnieniu! Poza tym nikt nigdy nie prosił o Waltera.

- Chodzi ci o Waltera?

- Skąd mam wiedzieć, jak on ma na imię? Rany boskie, czy ja nie mam co robić, tylko być po imieniu z pomocą kuchenną? - Energicznie przetasowała karty, przełożyła i znów

przetasowała. - Ten z czarnymi włosami, co mu lecą na czoło.

- To właśnie Walter. Znaczy, on ma ci przynieść obiad?
- Nie, niech ten cholerny kot go przyniesie! Do licha, ile razy mam powtarzać?
- Dobrze, w porządku.
- Tylko żebym potem dostała drinka, słyszysz, co mówię?

Słyszałam.

Kiedy oznajmiłam w kuchni, że cioteczna babka Paradise życzy sobie, aby Walter zaniósł jej na górę obiad, wszyscy osłupieli. Z wyjątkiem Waltera. Wytrzeł ręce w ścierkę i powiedział, że z przyjemnością to zrobi. Popatrzyłam z podziwem, jaki jest gładki i niewzruszony, po czym wyszłam.

41.

Tym razem wzięłam silniejszą latarkę, prawie latarnię, która potrafi oświetlić całe otoczenie niezdrowym białym blaskiem. Do zapadnięcia zmroku zostało jeszcze półtorej godziny, ale byłam przygotowana. Zmierzch zawsze trwa tutaj dłużej niż gdzie indziej, wisząc nad Jeziorem Duchów jak wielka szara ćma.

Popatrzyłam na drugi brzeg, na dom, który niknął wśród popielatych pni drzew i z wolna wtapiał się w las. Wyglądał tak samo; nie wiem czemu oczekiwałam, że z powodu tych wszystkich rzeczy, których się dowiedziałam przez ostatnich kilka dni, zajdzie w nim jakaś zmiana.

Jak zwykle zatrzymałam się przy źródle, żeby się napić i napełnić butelkę. Popijając wodę z blaszanego kubka, spojrzałam w głąb wykładanego kafelkami basenu, żeby sprawdzić, czy ktoś dorzucił ostatnio jakieś pieniądze. Chyba jednak nie, bo zauważyłam tylko swoje monety, żadne nowe nie przybyły. Ostatnio ludzie rzadko przychodzą do źródła. Kiedyś, jak mój ojciec, bywali tu częściej, ale teraz przestali.

Mój lęk przed lasem trochę się zmniejszył - w końcu od-
byłam tę drogę już dwukrotnie. Mimo to kilka razy włączy-
łam i wyłączyłam latarkę, żeby sprawdzić, czy baterie działa-
ją. Działały doskonale. Chwyciłam stary chlebak na książki,
w którym miałam kawałek tortu kokosowego (na wypadek,
gdybym zabłądziła), i ruszyłam w drogę.

Przez jakiś czas szłam w ciszy, zakłócaną jedynie miękkim
odgłosem kroków na zbutwiałych liściach oraz, czasami,
ostrym trzaskiem łamanej gałązki. Ku swemu zaskoczeniu
spozstrzegłam, że jestem z siebie dumna. Rok, nawet miesiąc
temu za nic nie odważyłabym się na taką wędrówkę jak dzi-
siaj. Siedziba panien Devereau zawsze wydawała mi się za-
gadkowa i niedostępna, lasy - nieprzebyte. Ale teraz i dom, i
las stały się znane i znajome; sama świadomość, dokąd pro-
wadzi czarna od liści ścieżka, dawała mi poczucie bezpie-
czeństwa. Dzięki temu otoczenie robiło wrażenie mniej ta-
jemniczego, wręcz mogłam sobie wyobrazić, że przyjdzie
dzień, gdy nie będzie z nim związana żadna tajemnica. To
dało mi do myślenia: czy rzeczywiście trzeba zrezygnować z
tajemnicy, by zyskać bezpieczeństwo? Postanowiłam się
napić i rozważyć ten problem, a skoro już piłam, mogłam
równie dobrze usiąść i zjeść trochę tortu.

Usiadłam na zmurszałym pniu tuż obok drzewa, na któ-
rym Ulub wyciął litery AL, a pod nimi serce, i znów zadałam
sobie pytanie, czy kiedykolwiek miał dziewczynę. Z ciastem
w dłoni wstałam, przyjrzałam się sercu z bliska i przeciągnę-
łam palcem po jego niedbale wyrzeźbionym konturze. Jakoś
nie umiałam wyobrazić sobie Uluba z dziewczyną. Ale z dru-
giej strony, jakoś nie widziałam samej siebie z chłopakiem,
więc to o niczym nie świadczyło. Dojadłam biały lukier i
wiórki kokosowe, podniosłam chlebak i poszłam dalej.

Prawdę mówiąc, nie potrzebowałam latarki, bo przez
grube gałęzie wysoko nade mną przesączała się wystarczają-
ca ilość światła. W poszyciu szeleściły małe zwierzęta - może
zaskronce - gdzieś nade mną zawołał ptak, chyba nur.
Wszystko było takie nieruchome, t a k i e s a m o j a k

przedtem. Pomyślałam, że to jak żywy obraz, który nigdy się nie zmienia - nawet gdy mnie nie ma - i tylko cichy szmer oddechu różni jedną chwilę od drugiej. W końcu, gdy słońce dotknęło drzew po drugiej stronie jeziora, znalazłam się na polanie obok domu.

Otwierając siatkowe drzwi do kuchni, odniosłam wrażenie, że kątem oka widzę jakiś ruch. Wstrzymałam oddech - liczyłam na to, że podczas którejs z tych wycieczek znowu spotkam Dziewczynę. Jednak to, co się poruszyło (jeśli w ogóle istniało, a może i nie), tylko mignęło mi w półmroku i zniknęło.

W salonie od razu podeszłam do ściany z fotografią sióstr Devereau. Chciałam raz jeszcze przyjrzeć się Rose, jakby to, czego się o niej dowiedziałam, mogło zmienić coś w jej zdjęciu. Fotografia jednak wyglądała tak samo. Rose rzeczywiście była ładna, wręcz śliczna; lecz aby zrozumieć, co miał na myśli Jude Stemple, gdy mówił, że jaśniała, pewnie należało zobaczyć ją na własne oczy. Zdjęcie wisiało trochę krzywo; pchnęłam lekko ramkę, żeby je poprawić, po czym przespacerowałam się po pokoju, dotykając każdego mebla po kolei, z dziwnym przeświadczeniem, że dzięki temu odpędzę złe duchy albo przywołam dobre. Pod nosem nuciłam ową francuską piosenkę, której słów nie rozumiałam, lecz której melodii nie mogłam zapomnieć. Wreszcie przystanęłam, żeby wyjrzeć przez okno od frontu na ognistą ścieżkę słońca na jeziorze.

Może oczekiwałam, że Dziewczyna znów się pojawi, co się oczywiście nie zdarzyło. Pomyślałam, jakie to dziwne, że te wszystkie pokolenia połączył podobny los. Zaczęło się od Mary-Evelyn, potem była Rose, potem Fern, a teraz Dziewczyna. Wszystko się ze sobą powiązało. Odwróciłam się i poszłam po schodach do pokoju Mary-Evelyn.

Otworzyłam szafę i uważnie obejrzałam każdą sukienkę. Czy bladożółta, tak jasna, że prawie biała, to ta, którą opisała panna Flagler, ta sama, w której Mary-Evelyn wystąpiła na garden party? Z obciążniętymi jedwabiem guziczkami z

pewnością wyglądała na wizytową. Zdjęłam z wieszaka białą w różowe kropki, z szeroką marszczoną spódnicą, i przyłożyłam ją do siebie przed lustrem, uznałam jednak, że niezbyt mi dobrze w tym kolorze. Odwiesiłam ją i sięgnęłam po tafetową sukienkę barwy ostróżki, a gdy zobaczyłam, że moje oczy całkiem w niej zniebieszczały, zdjęłam spódnicę oraz podkoszulek i włożyłam ją na siebie. Wyginałam się i obracałam przed lustrem (mając nadzieję, że nie wyglądam jak Ree-Jane), aż wreszcie uznałam, że leży równie dobrze, jak poprzednio zielona.

Przeszłam do kufra z zabawkami, podniosłam wieko i przytrzymując je głową, zajrzałam w granatową czeluść, ciekawa, czy znajdę tam coś jeszcze, co powiedziałoby mi więcej o Mary-Evelyn. Albowiem mimo informacji, jakie zdobyłam o Rose i Benie Queenie, o samej Mary-Evelyn nie udało mi się więcej dowiedzieć. Poprzednim razem, kiedy szukałam główki Artysty George'a, nie zauważyłam żadnego zeszytu, a przecież w kryminałach bohater na ogół odkrywa coś w rodzaju pamiętnika. Sama mam dziennik na pięć lat z kartkami cienkimi jak bibułka, który mogę zamykać na kluczyk, choć nigdy mi się nie chciało. Ukrywam go w szufladzie z bielizną.

W kufrze znalazłam trzy lalki. Wyjęłam jedną, wypchaną trocinami, w długiej, szerokiej spódnicy, z jasnymi włosami związanymi różową wstążką. Kiedy się ją odwróciło lub podniosło spódnicę, ukazywała się czarna lalka w bandanie na głowie. Miałam kiedyś taką lalkę, oczywiście w czasach, kiedy jeszcze bawiłam się lalkami. Przez chwilę ją obracałam, nie mogąc się zdecydować, którą woleę, białą czy czarną. Na pewno bandana w kratkę podobała mi się znacznie bardziej niż różowa wstążka. Oparłam lalkę o kufer i wyciągnęłam czarną lakierowaną lokomotywę ze złotymi okuciami, przypominającą pociąg, który jeździ przez La Porte, a potem trzy kawałki połamanych torów. Ciekawe, pomyślałam, czy Mary-Evelyn miała całą kolejkę? Oprócz tego były tu układanki, talia rozsypanych kart, które pozbierałam i ułożyłam

w pudełku, a na dnie prawdziwe znalezisko: tabliczka ouija do seansów spirytystycznych! Zawsze marzyłam, by taką mieć, i zawsze zapomniałam o nią poprosić w pobliżu Gwiazdki. Ree-Jane naturalnie miała tabliczkę ouija, ale nie lubiłam się z nią bawić, bo popychała strzałkę, gdzie jej było wygodnie, a potem wmawiała mi, że zrobiła to Niewidzialna Ręka. Niewidzialna Ręka zawsze przynosiła jej dobre wiadomości, a mnie złe. Gdybym słuchała, co mówi tabliczka, nie odważyłabym się rano wstać z łóżka.

Było tu również kilka książek, niektóre bez okładek. Z miłym zaskoczeniem dostrzegłam dwie historyjki o Babarze, królu słoni, które szalenie lubiłam jako dziecko. Aby się upewnić, że z nich wyrosłam, wzięłam jedną, położyłam się na podłodze (ostrożnie, żeby nie zniszczyć sukienki) i uniosłam ją nad głowę. Poczytałam chwilę, uważnie przyjrzałam się obrazkom, i ze smutkiem zamknęłam książeczkę, odkryłam bowiem, że to prawda - rzeczywiście wyrosłam z Babara. Więc tylko przekartkowałam drugi tomik, nie marnując już czasu na lekturę.

Nie zauważyłam nawet, kiedy smuga słonecznego światła zniknęła ze stronicy, zostawiając po sobie ciężkie ołowiane lśnienie. Schowałam książki do kufra, pogrzebałam głębiej i wyciągnęłam lalczynie ubranko, aksamitny płaszczyk i kapturek w kolorze czerwonego wina, nieprzeznaczone jednak dla żadnej ze znalezionych lalek. Odłożyłam je i grzebałam dalej, ale nie znalazłam pamiątnika ani notesu. Artysty George'a też nie było, a już myślałam, że leży gdzieś na dnie, przywalony stosem lalek, rękawiczek i dzieciennych kocyków.

Wstałam z podwójną lalką w rękach i podeszłam do wychodzących na jezioro okien. Dlaczego zostawiono tu rzeczy Mary-Evelyn? Może siostry Devereau nie życzyły sobie, by cokolwiek im ją przypominało, może chciały zatrzeć po niej wszelki ślad? Jednak zostawiły także meble, obrazki na ścianach, talerze i srebra stołowe, nuty w stołku pod fortepian,

plyty z francuskimi piosenkami. Zupełnie jakby miały lada moment wrócić - zupełnie jakby nigdy nie wyjechały.

Ujęłam lalkę za ramiona, i zaczęłam ją obracać tam i z powrotem - biała twarz, czarna twarz, różowa wstążka, bandana - zastanawiając się równocześnie, czy w domu jest piwnica, gdy wtem kątem oka - samym kącikiem - zauważyłam ruch na zewnątrz. Znieruchomiałam i bardzo powoli odwróciłam głowę, na wypadek, gdyby ktoś mnie obserwował. Nikogo nie dostrzegłam, ale tym razem byłam całkiem pewna - widziałam, jak coś się poruszyło. Wybiegłam z sypialni Mary-Evelyn i popędziłam do pokoju na końcu korytarza, który musiał należeć do Rose. Jego jedyne okno wychodziło na las.

Spojrzałam w dół w gęstniejący zmierzch. Pod drzewami stał mężczyzna; po prostu stał nieruchomo, cofnięty nieco w głąb lasu, i patrzył w górę. Szybko odsunęłam się od okna i przyciskając lalkę mocno do piersi, wstrzymałam oddech, jakby najłżejsze drgnienie mogło mnie zdradzić. Domyśliłam się, kto to jest; do tego domu oprócz mnie ciągnęło tylko jednego człowieka. Bena Queena.

Ostrożnie zrobiłam krok w stronę okna. Nie ruszył się z miejsca. Usłyszałam głos Aurory: „Jego noga nigdy nie powstała w tym domu” i jej opowieść o tym, jak Ben Queen siedł przez las, stawał pod oknami i wypatrywał Rose. Ale może Aurora zmyśliła to wszystko, żeby historia brzmiała bardziej romantycznie?

Mógł przyjść tą samą drogą co ja, ale nie sądziłam, by tak było. Znów usłyszałam Aurorę: „Mężczyźni tacy jak Ben Queen zawsze znajdą sposób, by dopiąć swego”. Stał jak skamieniały absolutnie bez ruchu, wetknawszy kciuki w kieszenie dżinsów. Miał na sobie długi płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, a na szyi chustkę, jakby wyszedł prosto z westernu, z popołudniowego seansu w kinie Orion.

Nawet po ciemku i w cieniu kapelusza zauważyłam, że jest bardzo przystojny, choć musiał już być po sześćdziesiątce.

Rose Devereau uciekła z nim ponad czterdzieści lat temu, kiedy miała około dwudziestki, a on niewiele więcej.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak czuła się Rose, widząc go noc w noc w tym samym miejscu, pragnącego - żądającego - by opuściła ten dom i siostry i z nim uciekła. Równie dobrze mogłaby się opierać jakiejś przemożnej sile, huraganowemu wiatrowi, trąbie powietrznej, która wstrząsa domem, szarpie drzewami i wzbija fale na powierzchni jeziora. Poczułam pustkę w brzuchu, jednak nie ze strachu. Byłam jak wydrążona - nie umiem opisać tego inaczej.

Kiedy wreszcie się poruszył, doznałam szoku, jakby to posąg drgnął i zmienił pozycję. Kilkoma krokami pokonał niewielką odległość dzielącą go od domu, a potem straciłam go z oczu. Wszedł do środka. Dobięło mnie skrzypienie drzwi kuchennych, otwieranych, a potem zamykanych. Nie miałam pojęcia, co robić; stałam nieruchomo, nasłuchując powolnych, nierównych kroków na deskach podłogi, a potem słabych, jakby leśnych szelestów. Cisza. Znowu ruch. A chwilę później - muzyka. Uruchomił patefon; zostawiłam na nim francuską płytę i teraz rozległy się jej dźwięki.

Ostrożnie wyszłam na palcach z pokoju. Pod moją stopą zakrzypiała deska. Znowu zastygłam, lecz zaraz uświadomiłam sobie, że przecież musiał mnie widzieć z zewnątrz, zanim znalazł się w domu. Wiedział, że tu jestem, więc wszystkie te starania, aby być cicho, wyglądały trochę głupio, tak jak próby, żeby się ukryć. Gdyby Ben Queen po mnie przyszedł, cóż, nic bym na to nie poradziła. Mogłam równie dobrze zejść na dół.

Ale wciąż coś mnie powstrzymywało. U szczytu schodów przystanąłam, po czym usiadłam. Widziałam go doskonale - stał obok patefonu i palił cienkie cygaro, wyglądając przez boczne, oszklone drzwi domu. Podniósł rękę do ust, obrócił głowę, spojrzął na schody i zatrzymał na mnie wzrok. Nie powiedział ani słowa.

Z jakiegoś powodu to spojrzenie podniosło mnie na nogi. Lepiej byłoby powiedzieć, p o c i ą g n ę ł o . Nawet z tej odległości, z dołu ku górze, było to spojrzenie o niezwyklej sile. Był wyższy niż szeryf i znacznie przystojniejszy, choć nie przypuszczałam, że to w ogóle możliwe. Nie mieściło mi się w głowie, jak człowiek w tym wieku może być taki przystojny.

Jeśli nawet zdziwił się na mój widok, nie okazał tego. Stał i palił swoje cygaro, mierząc mnie uważnym spojrzeniem. Oczywiście, jeśli kogoś, tak jak mnie, przez całe życie spotykają niespodzianki, uczy się ukrywać uczucia, gdy natknie się na coś nowego. Mimo to wzdrygnęłam się, gdy przemówił:

- Może zejdziesz na dół, mała?

Posłuchałam. Zeszłam po schodach, udając swobodę, której nie czułam.

Kiedy znalazłam się na dole i zadarłszy głowę, spojrzałam mu w oczy, chyba pojął, że nie zamierzam wszczynać rozmowy, bo zapytał tylko:

- Mieszkasz tu?

Pokręciłam głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Zauważyłam, że wciąż ściskam w ręce dwugłową lalkę, więc rzuciłam ją na fotel.

- Tak mi się wydawało, że teraz nikt tu nie mieszka. - Obrzucił mnie wzrokiem. - Ładnie ci w tym kolorze. Pasuje do twoich ślicznych oczu.

I spojrzał na mnie uwodzicielsko, tak jak czasem Will patrzy na ludzi, co mnie trochę zatkało. Śliczne oczy. Wcale nie na wzruszenie ramion. Całkiem zapomniałam, że wciąż mam na sobie taftową sukienkę.

- W hotelu było... było przyjęcie. Wystroiłam się.

Nie wiem, czemu zawsze się tłumaczę; zazwyczaj jeszcze bardziej się pograżam. Ale nie tym razem.

- Musisz lubić ten dom, skoro wolisz być tutaj niż na przyjęciu.

Odkaszlnęłam.

- Mieszkały tu siostry Devereau - szepnęłam. - Ale już ich nie ma.

Nie zareagował. Powoli pokręcił głową, po czym spojrział wprost na mnie. Miał oczy siwej, zimowej barwy, jaką w grudniu przybiera Jezioro Duchów, barwy, która, zda się, wypływa z wody, aby rozlać się na trawiaste brzegi, pnie drzew i niebo.

- W hotelu? Chyba nie jesteś z Hotelu Paradise?

Ucieszyłam się, że mogę go czymś zaskoczyć.

- Tak. Należy do mojej matki.

Roześmiał się, jeszcze bardziej zdziwiony.

- Mój Boże, ja ich tam wszystkich znam. Właściwie powinienem powiedzieć, znałem. To hotel Grahamów, pamiętam. A ty jak się nazywasz?

- Emma. - Własne imię w moich ustach zabrzmiało dziwnie, jakby coś we mnie nagle zaistniało.

- A niech mnie... a niech mnie. - Potrząsnął głową. - Tyle czasu. - Odwrócił twarz w taki sposób, iż odgadłam, że patrzy na fotografię. - Tyle czasu...

- Pan jest Ben Queen, prawda?

Trochę się zdziwił, że to wiem.

- No tak.

- I był pan mężem Rose Devereau.

Tym razem nawet nie kiwnął głową.

- I słyszałam, że pan właśnie wyszedł z więzienia.

- Chyba nieźle mnie znasz. Skoro tyle wiesz, to czemu wcale się nie boisz? Sama z obcym mężczyzną, skazanym za morderstwo?

- Ja... - Nie wiedziałam, co powiedzieć. - Co... po co pan tu przyszedł?

- Mógłbym cię zapytać o to samo.

Zaczynałam rozumieć, dlaczego na procesie nie wyciągnęli z Bena Queena zbyt wiele.

- Musiałaś się na coś piekielnie uprzeć, żeby przejść sama przez ten las.

Skinął głową w stronę, z której przyszedłam, gdzie jezioro zataczało wielki łuk. Noc zapadała szybko, drzewa, na które patrzył, kołysały się na ciągnącym znad wody wietrze jak czarne pióra. Widziałam już tylko wąski, wygięty pasek przy brzegu, który znikał mi z oczu kawałek po kawałku, niczym kot w *Alicji w krainie czarów*.

Chyba Alicja przywiodła mi na myśl Czerwoną Królową, która musiała bardzo szybko biec, żeby się nie cofać. Niezbyt dobrze rozumiałam, co to znaczy, ale nagle poczułam się jak ta Królowa i naprawdę nie mogłam już wytrzymać, tyle wysiłku musiałam włożyć, żeby pozostać w jednym miejscu! Ogarnął mnie straszliwy smutek, aż przeraziłam się, że zaczęłam ryczeć, wlepiłam więc wzrok w podłogę, usiłując przełknąć ból w gardle.

- Chyba faktycznie się uparłam.

- To jest nas dwoje.

Teraz mogłam bezpiecznie podnieść głowę, panowałam już nad sobą. Zobaczyłam, że wyjął kartonik zapalek i wprawnie potarł jedną o kciuk, jakby przywykł robić różne rzeczy w ciemności. Przytknął płomyk do łojowych świec, które zamigotały nierówno, rzucając na nasze twarze stożki światła. Oświetleni od spodu oboje wyglądaliśmy jak maski.

Bez namysłu powiedziałam:

- Przy moście White'a nad Lustrzanym Stawem znaleźli zastrzeloną kobietę.

Milczał i patrzył w ciemność.

- Czy to... pańska krewna? - ciągnęłam desperacko. - Tak słyszałam.

Zaciągnął się, wypuścił dym i dopiero wtedy odrzekł:

- Nazywała się Fern. To moja córka.

Ben Queen, mówiąc te słowa, wydawał się nie tyle smutny, ile znużony. Ja tak się czuję, kiedy po sprzątnięciu wszystkich stołów nagle słyszę, że na obiad przyjdzie jeszcze sześć osób. Po prostu przytłacza mnie znużenie, jakby robota, którą uważałam za wykonaną, nie miała końca.

Długo mi się przyglądał pogrążonymi w cieniu oczyma.

- Jeśli cię to pocieszysz - powiedział wreszcie - nie zabiłem ani jednej, ani drugiej, ani mojej córki, ani, Bóg mi świadkiem, mojej żony Rose. Ale oczywiście będą chcieli mnie dopaść. Tutejszy szeryf już mnie ściga. Tyle że na razie szuka nie tam, gdzie trzeba.

Przeciągnął kolejną zapalką po paznokciu kciuka i uniósł ją, by znów przypalić cygaro.

I wówczas, ku memu zdumieniu - byłem zbyt zaskoczona, żeby się bać - sięgnął pod połę długiego płaszcza, wyciągnął pistolet nie większy od swojej dłoni, złamał lufę i rzucił go na stolik przy kanapie.

- To jest ta broń. Chcesz mnie wydać? Proszę bardzo, już nie mam ochoty uciekać. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się leciutko. - Czasami bywam cholernie zmęczony. Wybacz, że się wyrażam. - Wykonał w moją stronę lekki, sztywny ukłon; można by pomyśleć, że ze mnie drwi, wiedziałam jednak, że tak nie jest. Nie mogłam oderwać wzroku od pistoletu, niebezpiecznego przedmiotu, którym wszakże Ben Queen ciskał bez najmniejszej obawy, tak jak ja rzucam lalkę na fotel.

- Znalazłem go przy moście. Nad tym stawem.

- Nad Lustrzanym Stawem? Pan go znalazł? Nikt w to nie uwierzy! - To było najgłupsze tłumaczenie, jakie w życiu słyszałam. Powiedziałam mu to.

Roześmiał się, a jego śmiech był głęboki i serdeczny.

- Pewno masz rację. Faktycznie, głupie.

- Ale to znaczy, że pan tam był; był pan nad stawem.

Ramiona okryły mi się gęsią skórką.

- Emma, robi się późno. Lepiej już pójde, i ty też powinnaś już iść. Pozwolisz, że odprowadzę cię przez las? - Sięgnął po pistolet, który z powrotem schował do wewnętrznej kieszeni płaszcza. - Chętnie bym go tu zostawił, ale mógłby wpaść w ręce jakiegoś dzieciaka. - Podszedł do patefonu i podniósł ramię, które z trzaskiem jeździło tam i z powrotem, odkąd skończyła się francuska piosenka.

- No, chodź, przejdę się z tobą.

- Dobrze - zaraz, niech pan zaczeka! Muszę się przebrać!

Nim zdążył odpowiedzieć, popędziłam na górę, ściągnęłam sukienkę i włożyłam własne ubranie. Kiedy zbiegłam na dół, gasił świece dwoma palcami; gdyby nie księżyc, pograżylibyśmy się w kompletnych ciemnościach.

Powiem tyle: czułam się o wiele lepiej, idąc przez las razem z nim. Zwłaszcza że najwyraźniej w ogóle nie odczuwał strachu. Przytrzymał nisko rosnące gałęzie, żebym mogła przejść, pilnował, bym nie skręciła nogi i nie potknęła się o korzeń czy zwalone drzewo. A ponieważ był niemałego wzrostu, unosił latarkę znacznie wyżej, otaczając mnie bezpiecznym snopem światła. Tak, miło było pokonać tę drogę w towarzystwie, szczególnie Bena Queena. Wiem, że ktoś mógłby uznać, że całkiem zwariowałam - sama z obcym mężczyzną, i to takim, który podobno zabił kobietę - ale jakoś wcale się nie bałam.

Chciałam mu zadać tak wiele pytań, że nie mogłam się zdecydować, które z nich wybrać. Szłam więc w milczeniu, aż wreszcie stwierdził:

- Wygląda na to, że gruntownie mnie przestudiowałaś.

Nie byłam pewna, czy życząc sobie, żeby tak myślał, więc odparłam:

- To moja cioteczna babka pana studiowała. Sporo mi o panu mówiła. Podobno siostrze Devereau okropnie się nie podobało, że przychodził pan, by zobaczyć się z Rose.

- Święta prawda - roześmiał się. - Trzy czwarte mili stąd - tu skinął głową za siebie - jest stara polna droga, z której teraz pewnie już nikt nie korzysta. Zostawiałem tam samochód i szedłem piechotą przez las. Czasem chodziłem też wtedy, ale potrafiły rozpoznać mój samochód, kiedy go widziały po drugiej stronie jeziora. Te kobiety chyba przez cały czas patrzyły przez okno.

- Ale właściwie dlaczego nie pozwalały panu przychodzić do domu?

Zaśmiał się szorstko.

- Podobno dlatego, że nie byłem dość dobry dla Rose Devereau, tak przynajmniej twierdziły. Ludzie z Cold Flat Junction nie mają zbyt dobrej opinii. A poza tym uważały, że jestem wariat i hulaka.

- A był pan? - zapytałam z lekkim podnieceniem. Nigdy przedtem nie miałam okazji rozmawiać z hulaką.

- Czasami. Piłem za dużo, wdawałem się w bójki, za dużo grałem w pokera.

- Tak właśnie mówiła Aurora - wyrwało mi się. - Powiedziała, że w pokera nauczyła się grać od pana.

Zatrzymał się nagle.

- Dobry Boże! Chcesz powiedzieć, że ona jeszcze żyje? Ona jest twoją cioteczną babką? Rany boskie! Ta to dopiero była szalona! Nie ma co, Aurora Paradise nauczyła mnie paru ładnych sztuczek! Wciąż mieszka w Hotelu Paradise? Mój Boże... - pokręcił głową.

- Ma pokoje na trzecim piętrze. - Poczulałam dreszczyk emocji na myśl, że Aurora też była hulaką jak Ben Queen.

- Jakich sztuczek?

Ben Queen zachichotał i przytrzymał nade mną pnącza polnej róży.

- Mniejsza o to.

Stanęłam jak wryta przy drzewie z wyciętym sercem.

- Ludzie zawsze tak do mnie mówią!

- Spokojnie - rzekł, kładąc dłoń na moim ramieniu. - Opowiem ci jedną rzecz, żebyś na nią coś miała, kiedy zaczniesz ci dokuczać. Bo dokucza ci, prawda? Kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku, Aurora Paradise rozebrała się do rosołu i goła jak ją Pan Bóg stworzył wskoczyła do tego jeziora w obecności dwudziestu osób. Ktoś jej powiedział, że się nie odważy, więc zrzuciła ubranie i chlup!

Zaczęłam iść dalej ogromnie zadowolona. Doskonały pomysł! Przypomnę jej tę historyjkę następnym razem, kiedy nie zechce mi czegoś powiedzieć.

- Ja tam nie uważam, że ludzie z Cold Flat to coś gorszego.

- Och, siostrze Devereau wcale nie o to chodziło. Prawdziwy powód był taki, że nie chciały, żeby Rose zaznała szczęścia. Nie chciały, żeby ktokolwiek go zaznał. Od razu to zrozumiałem, gdy zobaczyłem ich ściągnięte twarze i ciasne gorsety. Zamierzały zatrzymać ją na zawsze, żeby była tak samo nieszczęśliwa jak one. Są tacy ludzie, wiesz? Ale mimo to Rose była osobą szczęśliwą, chociaż mieszkała w tej zimnej graciarni.

Znów poczułam się okropnie, jakbym miała zaraz się rozplakać. Ale byłam też zła.

- A Mary-Evelyn?

Przystanął i spojrzał na mnie.

- A skąd ty wiesz o Mary-Evelyn?

- Jak to skąd wiem? To raczej nie była tajemnica, no nie? Pisały o tym wszystkie gazety.

Dotarliśmy do źródła i nie wiedziałam, czy cieszyć się z tego, czy nie.

Zsunął kapelusz do tyłu i otarł czoło rękawem.

- No, faktycznie.

Złożył dłonie, żeby nabrać wody.

- Niech pan poczeka. - Wyciągnęłam blaszany kubek z wnęki i napełniłam go pod rurą. Ben przysiadł na obmurowaniu basenu. Podałam mu wodę i usiadłam obok.

Upił trochę, oddał mi kubek i przypalił świeże cygaro.

- Wiesz, co to jest kozioł ofiarny?

Dobre sobie! Jeśli istnieje coś, o czym wiem wszystko, to właśnie ofiara z kozła!

- Pewnie, że tak. To kozioł, do którego przywiązywali rozmaite przedmioty, na przykład garnki i rondle, a potem go przeganiali, żeby w ten sposób pozbyć się swoich grzechów. - Podrapałam się w ucho. - Albo coś w tym rodzaju.

- Dokładnie tak. No więc mała Mary-Evelyn była takim kozłem. Niektóre rodziny mają kogoś takiego, na kogo wszystko zwalają. Bo tylko w ten sposób pozostali potrafią sobie poradzić. Są albo zbyt ślepi, albo zbyt słabi, albo zbyt głupi, żeby pojąć, co naprawdę robią...

Nie bardzo chciało mi się wysłuchiwać usprawiedliwień sióstr Devereau.

- Więc wsadziły ją do łódki i wypchnęły na jezioro...

Urwałam. Naprawdę w to wierzyłam? To było okropne, naprawdę nie do pomyślenia. Kątem oka dostrzegłam, że odwrócił głowę i bacznie mi się przygląda. Ale nie chciałam na niego patrzeć, czułam zbyt wielki gniew. Byłam zła, że nie uratował Mary-Evelyn.

- Dlaczego tak jej nienawidziły? Dlaczego się nie odzywały? Dlaczego stosowały ostrokół? - Tego ostatniego nie byłam całkiem pewna.

- Co stosowały?

- Ostrokół. To znaczy, że wszyscy człowieka ignorują i nikt się do niego nie odzywa.

Obrócił w ustach cygaro i chrząknął gardłowo. Nie hamowałam już gniewu.

- Rose wiedziała, że to robiły! Musiała wiedzieć! Nie powinna była uciec i zostawić Mary-Evelyn. Mary-Evelyn została całkiem sama...

Tym razem załamalam się i rozplakałam. Zeskoczyłam z murku i wciąż płacząc, zaczęłam krążyć wokół źródła. Ben Queen patrzył na mnie, ale nie odezwał się ani słowem, za co byłam mu wdzięczna. Wybuch trwał tylko chwilę, po czym ustał niczym nagły deszcz lub grzmot. Przestałam płakać. Podeszłam do rury, pochyliłam się i podstawiłam twarz pod strumień lodowatej wody.

Byłam całkiem mokra, więc Ben Queen podał mi zdjętą z szyi chustkę.

- Masz, Emmo. Chodź, usiądź przy mnie.

Posłuchałam, wdzięczna, że nie mówi tak, jak zwykle doróśli: nie ma powodu płakać, a w ogóle to płacz i tak nic nie pomoże.

- Postaram się wyjaśnić - powiedział.

- Najwyższy czas! - rzekłam z większą pewnością siebie, niż naprawdę czułam. Machinalnie zaczęłam składać mokrą chustkę w małą kostkę.

- Masz rację - uśmiechnął się.

Milczał przez chwilę zamyślony, wpatrując się w rozżarzony czubek cygara.

- Widzisz, mieliśmy zamiar po nią wrócić. Próbowaliśmy znaleźć sposób, żeby ją stamtąd wydostać. Ten wypadek zdarzył się zaledwie kilka dni po naszym odejściu.

- Pan sądzi, że to był wypadek?

- No jasne. Ta łódka przeciekała. Tyle się zajmowałaś tą sprawą, a o tym nie wiesz? - Westchnął. - Naprawdę chcieliśmy po nią wrócić.

A więc nie została porzucona. Gniew wyparował ze mnie, a jego miejsce zajęło znajome uczucie ulgi. Mimo to oświadczyłam surowym tonem:

- No to szkoda, żeście tego nie zrobili! Widzi pan, jak to się skończyło!

Pewnie, że widział; założę się, że patrzył i widział już od dawna. Zapanowało milczenie. Podałam mu kubek, z którego pociągnął spory łyk.

Obrócił w ustach cygaro i dmuchnął dymem.

- Żle, bardzo źle się stało. Bałem się, że biednej Rose pęknie serce. Widzisz, obwiniła siebie. Mary-Evelyn pewnie sobie myślała, że nikt jej nie dogoni, że te staruchy jej nie znajdą, jeśli weźmie łódkę. Przynajmniej Rose tak wykombinowała - że Mary-Evelyn chciała wiosłować, aż znajdzie rzekę. Żeby stąd odpłynąć wszystko jedno dokąd.

„Wiosłować, aż znajdzie rzekę”. Te słowa przyniosły mi ulgę, jakbym całymi dniami wstrzymywała oddech i teraz go wypuściła. Ale natychmiast znów się rozgniewałam.

- Nigdy by tego nie zrobiła, gdybyście nie uciekli i jej nie zostawili!

Jednak mój gniew był już trochę sztuczny; wierzyłam, że wyrwaliby Mary-Evelyn ciotkom, gdyby mieli czas. Nagle przypomniałam sobie, co mówił Ulub.

- Zaprowadziły ją na przystań! - wykrzyknęłam. Zmarszczył czoło.

- A może po prostu jej szukały, nie uważasz?

- Szukały jej? - zdumiałam się.

A potem zdałam sobie sprawę, że ulub mógł źle zrozumieć sytuację. Przecież patrzył z drugiego brzegu! Jak zdołał z takiej odległości odróżnić lampy od świeczek, skąd miał pewność, że wśród idących jest Mary-Evelyn? Zanim opuścił posesję panien Devereau, pobiegł do domu i wrócił, upłynęło tyle czasu, że Mary-Evelyn mogła już znaleźć się po tej stronie jeziora. W gruncie rzeczy od początku opierałam się tylko na informacjach Uluba, uznając za represyjne milczenie coś, co mogło być tylko wrodzoną niechęcią siostr Devereau do gadania. Muszę też przyznać, że ogromnie pociągał mnie obraz kobiet idących gęsiego przez ciemny las, oświetlających sobie drogę latarniami. Przypominało to pannę Flyte i jej „efekty” i było trochę w stylu Nancy Drew. Skoro więc pod tym względem uległam złudzeniu, to może i cała reszta była nieporozumieniem? Wszystko, co mamy, to albo świadectwo własnych oczu, albo takie dowody, jakie gromadzi szeryf: ślady stóp, odciski palców, alibi.

- Ale dlaczego te baby nie wezwały policji?

- Nie wiem. Zdaniem Rose pewnie myślały, że zaraz ją odnajdą albo że sama przybiegnie z powrotem. Były zbyt dumne, by przyznać, że od nich uciekła; Rose mówiła, że nie mogły znieść, kiedy ktoś je przyłapywał na błędzie, poza tym nienawidziły wyciągać swoich spraw na publiczny widok.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w przyjemnej ciszy, choć bardzo chciałam nadal drażnić temat rodziny Devereau. Miałam nadzieję, że Ben Queen nie obrazi się na wzmiankę o śmierci Rose, lecz zbyt się nią przejęłam, aby milczeć.

- Ludzie wiedzą, że to nie pan zabił Rose.

Skinał tylko głową, jakby to załatwiało sprawę.

- I słusznie. Szkoda, że nie oni zasiadali w ławie przysięgłych.

- Pan Stemple... pamięta go pan? - Ben Queen przytaknął, że jasne, pamięta, ciągnęłam więc: - On mówi, że pana znajoma, panna Landis, była mocno podejrzana.

Ben Queen machnął lekceważąco ręką.

- Lou Landis to osoba, która umie się pogodzić z tym, że coś idzie wbrew jej woli. Nigdy nie słyszałem, żeby powiedziała złe słowo o Rose. Kiedy braliśmy ślub, podeszła do nas i życzyła nam szczęścia. Lou to wspaniała kobieta.

Przypomniałam sobie panią w ciemnej sukni, stojącą w drzwiach i patrzącą na boisko, jakby czekała na czyjś powrót. Pochyliłam głowę, bo znów zbierało mi się na płacz; to było takie romantyczne i tragiczne. Ale opanowałam się jak zawsze, odchrząknęłam kilka razy, żeby głos mi nie drżał, i zapytałam:

- Ale dlaczego pan w ogóle się nie bronił? Dlaczego?

- Chyba nie bardzo mi zależało, co się ze mną stanie po utracie Rose.

W przyplywie złości aż się podniosłam.

- To nie w porządku! - zawołałam. - Miał pan pod opieką Fern - miał pan dziecko! A pan zapewne o niej zapomniał i zostawił ją własnemu losowi!

Usiadłam ciężko, jakby los zapomnianych dzieci był dla mnie zbyt wielkim brzemieniem.

Ben Queen odwrócił się i spojrzał na mnie przeciągle.

- Sporo o tym myślałaś, co, Emmo?

Kiwnęłam głową. Uświadomiłam sobie nagle, że jestem już zmęczona myśleniem o tej sprawie. Palil przez chwilę, po czym powiedział:

- Jedyne nieszczęście, jakie przytrafiło się Rose i mnie, to dziecko, które miało nie po kolei w głowie. Biedna Rose obwiniła siebie i swoją zwariowaną rodzinę. Czasami mówiła półzartem, że właściwie oni wszyscy mają nie po kolei w głowie. Rzecz jasna, to zupełna głupota - Rose była przytomna jak mało kto. Ale miała rację co do jednego: Fern byłoby lepiej w jakimś miejscu, gdzie byłaby zadbana i dopilnowana. Fern zachowywała się jak wariatka. Uciekała z domu na całe dni i tygodnie, była rozwiązła - wiesz, co to znaczy?

- Ależ oczywiście! - W głowie kłębiły mi się jakieś mętne wyobrażenia, które nie do końca pojmowałam. Czyżby Ben Queen się uśmiechał? Nie patrzyłam. - I co?

- Fern nie chciała iść do zakładu, chociaż nie wiedziała, co to takiego ani dlaczego mama chce ją tam oddać. Ja też się sprzeciwiałam. Ale to Rose miała rację. Oj, miała.

Spojrzałam na jego pochyloną głowę; smutek, który unosił się nad nim niczym mgła nad rzeką, ogarnął mnie gęstą falą. Położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Strasznie mi przykro, panie Queen... Ben. Strasznie. To była... - urwałam, bo pewnych rzeczy lepiej nie mówić na głos. Zamierzałam powiedzieć: „To była Fern”, ale po co miałam zwiększać jego żal? Nieszczęścia wydobyte na światło dzienne i głośno nazwane roztaczają wokół siebie straszną moc. A poza tym on wiedział, że ja wiem. To Fern chronił przez cały ten czas. Jakie to okropne.

- Czasem myślę sobie, że niektórzy z nas przyszli na ten świat tylko po to, żeby wziąć na siebie cudze winy - powiedział.

- Jak Mary-Evelyn - szepnęłam. - I pan.

Ben Queen popatrzył w górę na nocne niebo.

- Ona na pewno.

Milczeliśmy. I wówczas przypomniałam sobie o Dziewczynie - chociaż w zasadzie zawsze była blisko moich myśli. Zebrałam się na odwagę:

- Czy pana córka Fern miała dzieci?

Przestał potrząsać blaszanym kubkiem, jakby chciał wyczarować z niego więcej wody, i obrócił ku mnie stężałą twarz. Jej wyraz odebrał mi chęć do dalszych dociekań.

- Dlaczego o to pytasz?

Uniknęłam bezpośredniej odpowiedzi:

- Jude Stemple mówił...

- Dziewczyno, ależ ty masz dziwnych znajomych. - Potrząsnął głową.

- ...mówił, że Fern nie miała żadnych dzieci, ale...

- Więc po co pytasz, czy miała?

Coś we mnie wezbrało; czułam, że atak płaczu nadciąga niczym oberwanie chmury. Nie chciałam nikomu o Niej mówić, chociaż nie bardzo wiedziałam dlaczego. Jednakże to był Ben Queen, który i tak już wziął na siebie zbyt wielką winę.

- Bo widziałam kogoś, kto wygląda dokładnie tak samo jak pańska żona Rose. Tak samo jak na tym zdjęciu na ścianie.

Słyszając to, Ben wstał i podszedł do rury, z której płynęła woda, po czym wpatrzył się w nią, z rękami wbitymi w kieszenie dżinsów.

Nie mam pojęcia, dlaczego to, co powiedziałam, wzbudziło we mnie lęk. Poczulałam się tak, jakbym zawiodła czyjeś zaufanie lub zdradziła sekret, którego miałam dochować. A za karę Dziewczyna mogłaby zniknąć - albo, co gorsza, mogłoby się okazać, że nigdy nie istniała.

Ben Queen nieskończenie długo wpatrywał się w rurę wbitą w skałę, słuchając równego ciurkania źródlanej wody. Po czym spojrzał na mnie, uśmiechnął się niczym upiór i rzekł:

- A gdybym ci powiedział, że ta Dziewczyna, którą widziałeś, albo ci się wydała, że ją widziałeś, jest tylko wytworem twojej wyobraźni? Uważasz, że tak mogło być?

Wiedziałam, że w to nie wierzy. W przeciwnym razie szczegółowo by mnie wypytał, kiedy ją spotkałam i gdzie, zwłaszcza że powiedziałam, że jest bardzo podobna do Rose Devereau. Więc zrozumiałam, że sam nie wierzy w to, co mówi, i w dodatku zrozumiałam, że on wie, że ja w to nie wierzę. Niemniej odparłam krótko:

- Chyba tak. Chyba to faktycznie wytwór.

Nie wspominaliśmy już o tym. Po pewnym czasie Ben Queen rzucił cygaro na ziemię, wstał i oznajmił, że musi się zbierać.

Ja też wstałam. Nie chciałam, żeby odchodził, ale nie wiedziałam, jak go zatrzymać.

Wówczas odwrócił się ku mnie z uśmiechem, dotknął ronda kapelusza, jakby mi salutował, a to, co powiedział, było dziwne i zaskakujące:

- Teraz posłuchaj mnie, Emmo. Jeśli zaczną ci zadawać pytania, co się może zdarzyć, i będzie to dla ciebie zbyt trudne, po prostu im powiedz, gdzie i kiedy mnie widziałaś.

- Uśmiechnął się. Ten uśmiech miał nas oszukać, przekonać, że to nic ważnego. Ale oboje wiedzieliśmy, że jest inaczej.

- Jeśli będzie ci za ciężko, wydaj mnie.

Ze zdumienia odjęło mi mowę. *W y d a j m n i e .*

Znów dotknął kapelusza i jeszcze raz się uśmiechnął.

- Miło się z tobą rozmawiało.

Po czym odszedł.

Stałam, patrząc za nim, dopóki nie wchłonęła go ciemność, dopóki nie ucichł trzask deptanych gałązek i szelest krzaków. Ale nie skończyłam jeszcze z pytaniami. To mi nie wystarczało; nie wystarczało uznać, że nikt niczego nie zaplanował, nie uknuł. Miałam uczucie, że tajemnica przecieka mi między palcami i że za chwilę zostanę z niczym. Rozpaczliwie rzuciłam się w stronę lasu.

- *M a r y - E v e l y n !* - krzyknęłam i pobiegłam kawałek ścieżką, którą przyszliśmy. Lecz albo był już za daleko i mnie nie słyszał, albo też słyszał, ale nie chciał wrócić. - *Mary-Evelyn.*

Tym razem wyszeptałam to do siebie.

42.

Tej nocy w ogóle nie spałam. W każdym razie wiem, że najpierw gapiłam się w sufit, rozmyślając o Benie Queenie, a rano również gapiłam się w sufit. Nie bardzo pamiętam, co się działo w międzyczasie.

Na pół przytomna wciągałam skarpetki i buty, rozmyślając o Benie Queenie: jak potrafi zajrzeć w głąb spraw i słów, jak bardzo pod tym względem przypomina szeryfa...

Szeryf! Wyprostowałam się, już całkiem rozbudzona. Wielki Boże! Wciąż miałam na głowie ten pasztet, znów musiałam się zastanawiać, czy powinnam powiedzieć szeryfowi, co wiem. Tyle że tym razem nie było co do tego absolutnie żadnych wątpliwości. Dlaczego tak jest, że kiedy uda nam się podjąć jedną decyzję, pojawia się przed nami następna, jeszcze trudniejsza? Czy wszyscy tak mają, kiedy robią się starsi?

Nie wszyscy jednak musieli zejść na dół i obsłużyć pannę Berthę.

Kiedy już sprzątnęłam grzanki z masłem, które panna Bertha zdołała strącić na podłogę razem z sokiem pomarańczowym - jej zdaniem nie był świeżo wyciśnięty, lecz pochodził z kartonu - zadzwoniłam na postój taksówek, gdzie powiedziano mi, że Axel zaraz pojedzie, choć oczywiście, gdy taksówka podjechała, za kierownicą siedział Delbert.

Byłam tak zmęczona, że prawie nie zjadłam własnego śniadania, z wyjątkiem gofra i odrobiny owego podejrzanego soku pomarańczowego, toteż gdy dotarłam do Tęczy (nie byłam jeszcze gotowa na gmach sądu) i doszedł mnie zapach chili, poczułam przemożny głód. Maud szybko przyniosła mi miseczkę chili oraz talerzyk ostrygowych chrupek i oznajmiła, że szeryf pewnie niebawem przyjdzie na lunch, bo Shirl zrobiła placek brzoskwiniowy, który on szczególnie lubi. Pomyślałam, że skoro mam co jeść, równie dobrze mogę zostać; kiedyś i tak musiałam stawić szeryfowi czoło, choć wciąż nie miałam pojęcia, co mu powiem.

Maud przyniosła sobie kawę i papierosy, usiadła przy mnie i zapaliła.

Wrzucałam chrupki po jednej do chili, patrząc, czy będą pływać, czy się przylepią. To był mój sprawdzian - jeśli się przylepiały, chili było za gęste. Pływały.

- Chrupkowy sprawdzian dobrze wypadł.

Kiwnęłam głową:

- U was chyba zawsze dobrze wychodzi.

- Wyglądasz na trochę zmęczoną. Za bardzo w ciebie orzą.

- To panna Bertha. - Opowiedziałam Maud, co zaszło. Wie wszystko o pannie Bercie.

- Pewnie jesteś jedyną osobą, która poświęca jej tyle uwagi, ile ona pragnie.

To wprost zdumiewające, jak Maud potrafi przekształcić rzucanie w kogoś grzankami i oblewanie sokiem pomarańczowym w coś w rodzaju komplementu.

- Sam dowiedział się czegoś o tej zastrzelonej kobiecie - powiedziała. - Jej ojciec właśnie wyszedł z więzienia, gdzie odsiedział piętnaście lat za zabicie jej matki. Czy to nie dziwne?

Przytaknęłam i wkruszyłam do chili więcej chrupek.

- No i Sam chyba się domyśla, jak dostała się na miejsce... Ciebie to w ogóle interesuje?

Pośpiesznie uniosłam głowę.

- Mnie? Jasne, że tak. Więc jak?

- Przyjechała pociągiem do La Porte, a potem wzięła taksówkę do mostu White'a. Axel ją zawiózł.

W tym momencie Maud odwróciła się w stronę drzwi, więc nie zobaczyła, jak opada mi szczeka. Axel ją zawiózł! Tak, to by się zgadzało! A Maud patrzyła na drzwi, bo właśnie pojawił się szeryf. Wciągnęłam głowę w ramiona i zsunęłam się niżej na siedzeniu.

Szeryf zatrzymał się przy naszym boksie; jeśli nawet na mnie patrzył, cóż, nic nie widziałam, bo nosem prawie dotykałam chili. Przywitał się z nami obiema, oparł ramię o drewniane oparcie boksu, po czym poprosił Maud o porcję placka z brzoskwiniami.

- Ale najpierw zjesz trochę chili albo sandwicza z wołowiną, albo coś takiego. Nie możesz jeść samego deseru.

Dała nura pod jego wyciągniętym ramieniem.

- Właśnie że mogę - zawołał przez ramię do jej pleców. - Jeśli pozwolisz. - Po czym wśliznął się na siedzenie naprzeciwko mnie. Zapadło milczenie, w czasie którego za wszelką cenę usiłowałam powiedzieć coś od niechcenia, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

- Parę dni temu byłem w Cold Flat Junction. I dzisiaj znowu tam byłem. Rozmawiałem z George'em Queenem i jego żoną. Ale ty pewnie znasz ich lepiej niż ja.

- Chce pan trochę chili? - pchnęłam ku niemu miseczkę.

- Dzisiaj zasługuje na cztery gwiazdki.

- Nie. Dziękuję.

Owo „dziękuję” wyraźnie sporo go kosztowało.

- Znasz ich, prawda? - powtórzył. - George'a i Bathshebę Queenów?

Zatrzymałam łyżkę w połowie drogi do ust i udałam, że się usilnie zastanawiam.

- No, znam jakichś Queenów...

- Znasz tych konkretnych Queenów. Byłaś u nich przedwczoraj z Elijahem Rootem.

- Aa, to pan zna pana Roota? - Skruszyłam następne chrupki i posypałam nimi chili. - Lubi wysiadywać przed sklepem Brittena z Ulubem i Ububem. Rozumie prawie wszystko, co Ulub mówi. Pan Root...

Szeryf odrobinę podniósł głos, by mnie zagłuszyć.

- Według słów pani Queen odwiedził ją Elijah Root, który przyprowadził ze sobą córkę Jen Graham. To chyba o ciebie chodzi, prawda? Kiedy ostatnio sprawdzałem, twoja matka nie miała innej córki.

Wiedziałam, że zaczyna się dla mnie życie w sieci kłamstwa. Jak w pokojach dla służby na piętrze hotelu, gdzie lepkie, wiotkie pajęczyny zniemacka przylepiają się do człowieka.

- Siedzieliśmy pod sklepem Brittena, kiedy pan Root powiedział, że chce odwiedzić panią Queen, która jest jego starą znajomą. Nie miałam nic lepszego do roboty, więc się z nim zabrałam. Wie pan, żeby się przejechać.

Och, całe szczęście, że Maud już wracała, bo szeryf tylko pokręcił głową. Postawiła przed nim duży biały talerz z ociekającym brzoskwiniami plackiem, zwieńczony porcją lodów waniliowych. Odsunęłam się trochę, żeby mogła usiąść, ale szeryf podał jej filizankę.

- Mogłabyś mi dolać?
- Tak jest, panie Kamienna Twarz. Dzisiaj nadajesz się tylko na Mount Rushmore.

Zerknęłam na niego ukradkiem. Nie wyglądał na rozgniewanego. Jego twarz była ściągnięta jak pięść.

Maud odeszła, ja zaś znów jęłam kruszyć chrupki, aż w końcu chili okryło się jakby kołderką. Ciekawa byłam, czy szeryf przepytał również członków Tabernakulum Pierwszej Unii. Chociaż dlaczego miałby to robić?

- George Queen mówił, że rozmawialiście sporo o jego bracie Benie.

- Może i tak. Nie bardzo zwracałam uwagę.

- Akurat.

Placek z brzoskwiniami leżał nietknięty na talerzu, topniejące lody ściekały po bokach. Wszystko ucichło, jakby klienci Café Tęcza nagle postanowili przestać mówić i oddali się wyłącznie słuchaniu. Ktoś wrzucił monetę do szafy grającej i głos Patsy Cline rozciął ciszę niczym dźwięk pękającego szkła.

Maud wróciła z dzbankiem kawy, napełniła szeryfowi filiżankę, odwróciła się i odeszła.

- Ben Queen to ojciec kobiety, którą znaleźliśmy nad Lustrzanym Stawem - rzekł szeryf.

- Pan nie ma śmietanki! Zaraz przyniosę! - Rzuciłam się, żeby wyjść z boksu, lecz on wyciągnął rękę i mnie powstrzymał. Zobaczyłam, że Maud zajęła się klientami przy kontuarze. Wzięłam kolejną garść chrupiek; moje chili było już w połowie chrupkowe. Zaryzykowałam szybkie spojrzenie na szeryfa i pożałowałam tego. Jego błękitne oczy przypominały kawałki lodu.

- Ben Queen tydzień temu wyszedł z więzienia. Siedział za zamordowanie żony...

- On tego nie zrobił!

Okrzyk sam wyrwał się ze mnie, nieplanowany, bezradny.

- Ach, nie? - Szeryf, zaskoczony, odchylił się na siedzeniu. - A skąd ta pewność, jeśli wolno spytać? - Pochylił się

tak głęboko, że prawie zawisł nad stołem, przygważdżając mnie swym niebieskim spojrzeniem. - Czyżbyś wiedziała coś, o czym ja nie wiem?

To było straszne. Przelknęłam ślinę.

- No, po prostu mnóstwo ludzi w Cold Flat uważa, że to nie on. Jego bratowa, ta pani Queen, powiedziała, że on nie mógłby tego zrobić. Jego brat George myśli tak samo. - Nie chciałam wciągać w to Jude'a Stemple'a.

- To rozumiałe, że jego rodzina tak sądzi. - Kolejna chwila ciszy. - No, powiesz mi czy nie?

Nawet nie zavracałam już sobie głowy chrupkami. Lekko wzruszyłam ramionami i zapytałam:

- Co mam powiedzieć?

Siedział teraz z dłońmi złożonymi pod brodą, więc widziałam jego usta. Miło by było uważać, że powstrzymuje uśmiech, ale wiedziałam, że tak nie jest. Zmarszczyłam czoło, jak najmocniej potrafiłam, i powtórzyłam:

- Co mam powiedzieć?

- Mam takie dziwne uczucie, że wiesz coś, o czym mi nie mówisz.

Jego głos brzmiał miękko, ale oczy były niczym niebieski lód na fotografiach z wypraw na bieguny lub na Alaskę.

W mojej głowie zrodził się cichy jęk, cienki jak nuta, którą wyciągała Patsy Cline, jakby wiatr świstał przez pęknięcia i szpary czaszki. Och nie, och nie, och nie! Czy taki los spotyka przyjaciół? Czy to możliwe, że nagle zdarza się coś, co jest ważniejsze niż przyjaźń? Otworzyłam usta, by mu odpowiedzieć, ale w duszy usłyszałam ten drugi głos: „Jeśli będzie ci ciężko, wydaj mnie”.

Więc zamknęłam usta i wlepiłam wzrok w stół, podczas gdy moje chili stygło, a jego lody topniały.

W końcu szeryf powiedział, że zobaczymy się później, wstał i ruszył do drzwi. I nie zapytał mnie, czy chcę z nim sprawdzać parkomaty.

Patrzyłam na jego nietknięty placek i pękałam na kawałki razem z Patsy Cline.

43.

Znalazłam rurkę z główką Artysty George'a w małej kamiennej wnęce, gdzie chowamy kubek. O dziwo, wcale mnie to nie zaskoczyło. Odkręciłam główkę i zajrzałam do środka rurki, myśląc, że może jest tam jakaś wiadomość. Nancy Drew niechybnie znalazłaby liścik, ale pewnie w prawdziwym życiu to się nie zdarza.

Ciągle myślę o Mary-Evelyn, jakby w wieku lat dwunastu zniecka ukazała się wraz z ciotkami w moim polu widzenia, prawie jakby urodziła się na moich oczach. Jakby ciotki pojawiły się razem z całym nieszczęściem albo wręcz same były nieszczęściem, albo przywlokły je ze sobą niczym diabelskie bluesy, żeby zwalić je na głowę Mary-Evelyn.

Mary-Evelyn. Oczyma duszy widzę, jak ubrana w białą sukienkę idzie wśród czarnych liści w zwolnionym tempie, niczym na filmie. Widzę, jak wsiada do łódki, odpycha się wiosłem od pomostu, po czym upuszcza je do wody. Może chciała umrzeć. A może chciała sprawdzić, czy woda ją gdzieś poniesie. Woda - lub cokolwiek innego.

Cieszę się, że w moim sercu imię Rose Devereau zostało oczyszczone, bo trudno było ją znieawidzić. Chyba przez cały czas w skrytości ducha bardzo ją lubiłam, na co nic nie mogłam poradzić.

Najdziwniejsze jest jednak to, że śmierć Mary-Evelyn Devereau - a może jej życie - w końcu została pomszczona, zupełnie jakby Dziewczyna spadła z nieba niczym de-X-maszyna Willa i Milla, aby sprawiedliwości ostatecznie stało się zadość. Myślę, że Ben Queen wie, dlaczego ona to robiła. Co do mnie, sądzę, że diabelskie bluesy dostały się jej w spadku, bo przecież częściowo należy do rodziny Devereau. Może i trzeba było na to czekać dwa pokolenia, może to i jest kowbojska sprawiedliwość, lecz jeśli o mnie chodzi, czuję ulgę, kiedy zło, pozornie nie do naprawienia, ktoś w końcu jednak naprawi.

Jak już mówiłam - kiedy sądzimy, że tajemnica się wyjaśnia, ona zaczyna się snuć od nowa. Bardzo mnie dziwi, że pani Louderback mówi, że to „stan większej jasności”, bo mogłabym przysiąc, że jeszcze dwa tygodnie temu moje życie było jasne i przejrzyste jak lza.

Choćbym nie wiem jak chciała wierzyć, że ta historia zgrabnie się domyka, to chyba jednak nic z tego. Odwracam stronę, a tam jest następna historia; kolejna strona, kolejna historia. Wodzę palcami po literach książki o Nancy Drew i wyobrażam sobie, jak bym się czuła, będąc ślepą i czytając pismo Braille'a. Jak by to było, gdybym naprawdę wy-
c z u w a ł a słowa. To właśnie najbardziej mnie pociąga w Bibliotece Okręgowej im. Abigail Butte - pociecha, którą dają słowa.

A druga rzecz, w którą zaczęłam wierzyć, jest taka oto: jedno z dwojga - albo się dryfuje w dziurawej łódce, albo odwraca nową stronicę.

Ciekawe, dokąd odeszła Dziewczyna, ciekawe też, dokąd pójdzie Ben Queen, jeśli uda mu się zniknąć, a sądzę, że tak. Na wypadek, gdybym kiedyś zwątpiła w siebie i uznała, że to wszystko był sen, nadal mam w kieszeni złożoną chustkę, którą nosił na szyi. Wyjmuję ją teraz i myślę o nim.

I odwracam stronicę.

